FERDYNAND HOESICK

SŁOWACKI I CHOPIN

Z ZAGADNIEŃ TWÓRCZOŚCI

TRZASKA, EVERT I MICHALSKI S. A.

WARSZAWA, KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 13
GMACH HOTELU EUROPEJSKIEGO

Ch.: t. I s. 109-19, 124-
t. II s. 286-93, 294

SŁOWACKI I CHOPIN

FERDYNAND HOESICK

SŁOWACKI I CHOPIN

Z ZAGADNIEŃ TWÓRCZOŚCI

PISM ZBIOROWYCH
TOM PIERWSZY I DRUGI

TRZASKA, EVERT I MICHALSKI S. A.
WARSZAWA, KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 13
GMACH HOTELU EUROPEJSKIEGO

Zbiory Stowarzyszenia I. F. C.
811
BIBLIOTEKA INSTYTUTU FRYDERYKA CHOPINA NARODOWEGO

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI
1932

OD AUTORA

W roku 1897 wyszła moja trzytomowa monografja o Życiu Juljusza Słowackiego, w roku zaś 1911 pojawiły się na półkach księgarskich trzy tomy mojej pracy o życiu i twórczości Chopina. Książkę o Słowackim pisałem od roku 1891, a do pisania dzieła o Chopinie przystąpiłem w roku 1897 zaraz po skończeniu biografji Słowackiego.

W ciągu tych lat dwudziestu, od roku 1891 do 1911, studjując w bibljotekach polskich i zagranicznych materjał do żywotów Słowackiego i Chopina, miałem aż nadto okazji do kreślenia krótszych lub dłuższych szkiców i rozpraw z dziejów życia i twórczości tych dwóch narodowych potentatów ducha. Były to jakby prolegomena do różnych rozdziałów z pomienionych monografji. Jednocześnie, wobec różnych zapotrzebowań dziennikarskiej natury, wypadało mi nieraz pisać dorywcze artykuły o jednym lub drugim z tych Djoskurów naszej poezji romantycznej, i to zarówno w czasie pracy nad ich kolejami życia, jak i później, czy to z powodu różnych rocznic ich narodzin lub śmierci, czy też z powodu różnych ukazujących się o nich dzieł lub studjów innych pisarzy, polskich lub cudzoziemskich.

W ten sposób, na długiej przestrzeni lat 1891—1926, powstał cały szereg drobnych lub obszerniejszych szkiców, przyczynków historycznych, lub zwykłych artykułów okolicznościowych, które rozprószone po najrozmaitszych czasopismach warszawskich, krakowskich

i lwowskich, tudzież w petersburskim Kraju za redakcji Erazma Piltza, utonęły w dziennikarskiej «zapomnienia fali».

Są to wprawdzie — z małemi wyjątkami — rzeczy już do zwiędłych liści podobne, zwłaszcza, jeżeli chodzi o przyczynki do życia i twórczości Słowackiego, o którym od roku 1897 powstała u nas olbrzymia literatura (a jak się ktoś dowcipnie wyraził, do «rozpętania tych złych duchów» przyczyniła się moja książka w pierwszym rzędzie), ale mimo to, zebrane razem w jedną serję, mogą one, bez pretensji do tytułu rzeczy «naukowych», t. j. równie ścisłych, jak suchych, stać się wcale pouczającą lekturą dla tych, co się Słowackim i Chopinem interesują, a na czytanie wyczerpujących o nich wielotomowych monografji specjalnych, nie mają ani czasu, ani cierpliwości.

Dlatego, przygotowując do druku zbiorowe wydanie moich Pism, zdecydowałem się w dwóch pierwszych tomach zamknąć wszystkie te drobne rozprawy, szkice i artykuły o Słowackim i Chopinie, które w różnych czasach i pod wpływem rozmaitych okoliczności od roku 1891 w różnych czasopismach i wydawnictwach zamieszczałem, a które, stawiając Słowackiego i Chopina obok siebie, niby na jednym cokole pomnika, nie predentują bynajmniej do jakiegokolwiek porównania z pomnikiem Goethego i Schillera przed frontonem weimarskiego teatru, ani tembardziej do tego, by do nich stosować poetyczne słowa o Lelum i Polelum w zakończeniu listu Słowackiego Do autora Irydjona, umieszczonego na czele Lilli Wenedy:

A tych dwóch wodzów! Czy ty myślisz, Irydjonie, że tworząc ów myth jedności i przyjaźni, nie łudziłem się słodką nadzieją, iż kiedyś i nas tak we wspomnieniach ludzie powiążą i na jednym stosie postawią...

Niestety, poetyczny ten obraz nie da się w żadnej mierze zastosować do Słowackiego i Chopina, gdyż

w stosunku ich do siebie o żadnym «micie jedności i przyjaźni» nie mogło być mowy.

Krótko mówiąc, nie lubili się wzajemnie, na co zresztą złożyło się wiele w życiu emigracyjnem powodów, nie biorąc już nawet tego pod uwagę, że obaj kochali się w jednej i tej samej pannie, co z natury rzeczy nie bywa wdzięcznem podłożem do «jedności i przyjaźni».

Warszawa, 16 maja 1927.

CHOPIN I SŁOWACKI

DWA POKREWNE DUCHY

Studjując życie i epokę Juljusza Słowackiego, raz po raz spotykałem się z mnóstwem przyczynków do biografji Chopina, przyczynków często pierwszorzędnej wagi, a wcale nie spożytkowanych ani przez Karasowskiego, ani przez Niecksa (nie mówiąc już o innych biografach Chopina, którzy wszyscy wciąż przepisywali z Karasowskiego).

To mimowolne i przypadkowe, a ciągłe odkrywanie nowych źródeł i materjałów do życiorysu Chopina kojarzyło mi się w myśli z coraz bardziej uświadamiającem się przeświadczeniem o duchowem i artystycznem powinowactwie Słowackiego i Chopina, powinowactwie, na które mało zwracano do owego czasu uwagi, a które z życia i twórczości tych dwóch romantycznych Djoskurów czyni nader wdzięczny temat do studjum w rodzaju słynnych *Paralelli* Plutarcha...

A jednak zaprzeczyć się nie da, że między poezją Słowackiego, a muzyką Chopina istnieje jakaś goethowska *Wahlverwandschaft*, że łączy je mnóstwo cech pokrewnych, że przy czytaniu *W Szwajcarji* lub niektórych strof *Beniowskiego*[1]) duszę ogarnia podobne

[1]) Czy nie doznaje się wrażenia, że się słucha nokturnu Chopina, kiedy się czyta tę n. p. strofę z poematu *W Szwajcarji:* «Jest chwila, gdy się ma księżyc pokazać, Kiedy się wszystkie słowiki uciszą, I wszystkie liście bez szelestu wiszą, I ciszej źródła po murawach dyszą... Jest chwila, kiedy ze srebrzystą tęczą Wychodzi blady pierścionek Djanny; Wszystkie się wtenczas słowiki rozjęczą, I wszystkie liście na drzewach zabrzęczą, I wszystkie źró-

rozmarzenie, jak przy melancholijnych dźwiękach *Nokturnów* lub niektórych *Preludjów* Chopina, i że nie wyda się paradoksalnem twierdzenie, jako muzyka Chopina to poezja Słowackiego przetłumaczona na język tonów i odwrotnie. Co dziwniejsza, że ci dwaj wielcy romantycy, tak podobni do siebie rodzajem twórczości, tak spokrewnieni przez swą żałość, w równym stopniu cechującą i przenikającą każdy takt muzyki Chopina, jak i każdy wiersz w poezji Słowackiego, że ci dwaj genjalni piewcy tęsknot i melancholji duszy ludzkiej wogóle, a własnych dusz i «serc rozdartych i krwawych» w szczególności, tak pokrewni rodzajem natchnienia i genjuszu, mieli również — dziwnym przypadkiem — podobne koleje żywota, podobne «smutki błahe, wiotkie, kruche», podobne zawody i rozpacze, a stąd często i te same źródła natchnień. A co już najszczególniejsza, że wszystkie te, tak dziwnie podobne wypadki i przejścia, przypadają w życiu jednego, jak i drugiego, na ten sam okres czasu, począwszy od przyjścia na świat, a skończywszy na śmierci przedwczesnej... Bo nietylko, że żyli w tym samym czasie, będąc synami tego samego narodu, ale

---

dła jęk wydają szklany», i t. d. i t. d. A następująca oktawa z *Beniowskiego*, czyż nie jest pełna tego samego nastroju romantyczno-księżycowego, jakim się odznaczają nokturny Chopina? «W gajach, gdzie księżyc przez drzewa oliwne Przegląda blado, jak słońce sumienia, Chodziłem z tobą, jak dwie mary dziwne. Jedna z marmuru, a druga z płomienia; Skrzydła nam wiatru nie były przeciwne, I nie ruszały włosów ni odzienia; Między kolumny na niebie się kreśląc, Staliśmy, jak dwa sny, oboje myśląc». A to samo można powiedzieć o napisanem pod wpływem tęsknoty za Marją Wodzińską *Rozłączeniu* Słowackiego, przy którego czytaniu zdaje się, że słucha się chopinowskiego *Nokturnu Cis-moll* (również pod wpływem tęsknoty za Marją Wodzińską napisanego). «Rozłączeni, lecz jedno o drugiem pamięta; Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku, I nosi ciągłe wieści... Wiem, kiedy w ogródku, Wiem, kiedy płaczesz w cichej komnacie zamknięta, i t. d. i t. d.

żyli jednakową liczbę lat, a wkońcu zmarli w tym samym roku, i to wskutek tej samej choroby, bo z suchot, które obaj odziedziczyli po ojcach: Juljusz po Euzebjuszu Słowackim, Fryderyk po Mikołaju Chopinie. Słowacki, urodzony 23 sierpnia 1809 roku był zaledwie o kilka miesięcy starszym od Chopina, który się urodził d. 22 lutego 1810 roku. Obaj byli jedynakami, bo jak autor *Balladyny*, był jedynym synem Euzebjusza i Salomei Słowackich, podobnie i twórca *Mazurków* był jedynym synem Mikołaja i Justyny Chopinów. Wprawdzie ci ostatni mieli oprócz Fryderyka jeszcze trzy córki, ale i Słowacki kochał swe siostry przyrodnie, Hersylję i Aleksandrę Becu, równie gorąco, jak Chopin, który tak był do sióstr swych, Ludwiki i Izabelli, nie mówiąc już o najmłodszej Emilji, przywiązany. Dzięki tej przewadze żywiołu niewieściego w rodzinie, i Chopin i Słowacki, całą połowę życia spędzili w atmosferze domowej kobiecej, co na urobienie się ich charakterów nie pozostało bez silnego wpływu. Prócz tego, obaj wzrastali i rozwijali się w najpomyślniejszych warunkach, wśród otoczenia ludzi wyjątkowo inteligentnych, bo zarówno w domu Chopinów jak i w domu rodziców Słowackiego bywali wybitni literaci, uczeni i artyści, a jak u Słowackich w Wilnie do częstych gości należeli tacy ludzie, jak obaj Śniadeccy, Rustem, Mickiewicz, Odyniec, podobnie u Chopinów często się gromadzili wieczorami Linde, Brodowski, Brodziński, Elsner, Skarbek, Maciejowski i Piasecki. W obu domach, i u rodziców Chopina, i u rodziców Słowackiego, panowała atmosfera wyjątkowo inteligentna, kulturalna, absolutnie pozbawiona cech mieszczańskich, filisterskich, a działo się to głównie dzięki niepowszednim indywidualnościom ojców obu późniejszych mistrzów, bo zarówno Euzebiusz Słowacki, jak Mikołaj Chopin, jako profesorowie najcelniejszych zakładów naukowych, w miejscowym świecie profesorskim wybitne zajmujący stanowisko i ogól-

ną cieszący się sympatją, byli osobistościami o wysokim poziomie umysłowym, co oczywiście i na ogólny poziom intelektualny domu całego wpływało bardzo korzystnie. Co także pod tym względem nie pozostawało bez wpływu na atmosferę domową tak u Chopinów, jak i u Słowackich, że jak jedni mieszkali w oficynach Uniwersytetu Warszawskiego, tak drudzy zajmowali lokal w jednej z oficyn Uniwersytetu Wileńskiego. Ta bliskość podobnych zakładów naukowych, zarówno jak i najbliższe sąsiedztwo innych profesorów (bo zarówno w Warszawie, jak Wilnie, wszyscy profesorowie mieszkali w obrębie gmachów uniwersyteckich), nadzwyczaj się przyczyniały do podniesienia i uszlachetnienia atmosfery domowej, tak u Chopinów, jak u Słowackich; bo nie ulega wątpliwości, że inną atmosferą oddycha się w domu profesora uniwersytetu, jak Euzebjusz Słowacki (lub August Becu), a nawet w domu profesora Liceum i Szkoły Aplikacyjnej, jak Mikołaj Chopin, aniżeli w domu kupieckim, bankierskim lub przemysłowym, gdzie zawsze najwięcej mówi się o interesach. Skoro mowa o ojcach Chopina i Słowackiego, którzy obaj, przy ciemnych włosach i oczach czarnych odznaczali się bardzo słabem zdrowiem, tak, że obaj wcześniej odumarli żony swoje, to obaj byli i pod tym względem podobni do siebie, że obaj byli profesorami licealnymi: Chopin profesorem Liceum Warszawskiego, Słowacki profesorem Liceum Krzemienieckiego, że obaj przedtem byli nauczycielami na wsi: Chopin u Skarbków w Żelazowej Woli, Słowacki u Poniatowskich na Wołyniu, i że jak później Mik. Chopin, z profesora Liceum Warszawskiego, awansował na profesora Szkoły Aplikacyjnej, tak Euz. Słowacki, z profesora Liceum Krzemienieckiego, awansował na profesora Uniwersytetu Wileńskiego. Co za dziwny zbieg okoliczności!... Ten profesorski zawód Mikołaja Chopina i Euzebjusza Słowackiego, o ile chodzi o rozwój umysłowy ich synów, był pierwszorzędnego znaczenia. Jakoż obaj, niezależnie od swych niepospolitych zdolności, bardzo wcześnie przejawiających się u jednego, jak i u drugiego, otrzymali nadzwyczaj staranne wychowanie, najprzód domowe, a następnie w najlepszej szkole w całem mieście, którą też obaj wzorowo ukończyli: Słowacki w r. 1825, Chopin w r. 1826. Obaj bardzo wcześnie — i w tym samym czasie mniej więcej — poczęli ujawniać wyjątkowe uzdolnienia artystyczne, i to nietylko w zakresie jednej sztuki, w której celowali od dziecka, ale i w innych: obaj odznaczali się wybitnemi zdolnościami do rysunku i malarstwa: Słowacki w kierunku pejzażów, Chopin w kierunku portretów i karykatur, a w tych samych latach, kiedy przyszły autor *Anhellego* uczył się grać na fortepianie, przyszły twórca *Polonezów* próbował sił swoich na polu poezji i prozy, z wcale dobrym skutkiem. W młodzieńczym wieku, w epoce, gdy jeden był uczniem warszawskiego konserwatorjum, a drugi słuchał wykładów w wileńskim uniwersytecie, obaj doznali pierwszych upojeń i zawodów miłosnych, tak, iż w tym samym czasie, gdy Słowacki pisał swoje sonety do Ludwiki Śniadeckiej, Chopin komponował swoje walce, pieśni i koncerty, natchnione miłością ku Konstancji Gładkowskiej. W roku 1829, gdy obaj, jeden po ukończeniu konserwatorjum, drugi po skończeniu uniwersytetu, stoją jak gdyby u wrót życia, zbliżyły ich losy w Warszawie, dokąd Słowacki w tym czasie zjechał na dłuższy pobyt, a gdzie tymczasem Chopin dawał swoje koncerty jako «najlepszy w mieście fortepianista». Tutaj też, w Warszawie, po raz pierwszy mieli sposobność spotykać się w niektórych wielkoświatowych salonach, w salonie panny Kickiej między innemi... Rok 1830 zastał ich obu jeszcze w mazowieckiej stolicy, ale niebawem mieli stąd obaj wyruszyć w daleki świat, ażeby już nigdy więcej do kraju nie wrócić. Dnia 2 listopada 1830 r. wyjechał Chopin, a już w niecałych pięć miesięcy później, przez tę samą ro-

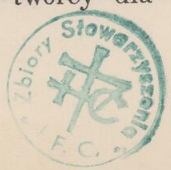
gatkę przejechał Słowacki, udający się przez Wrocław do Drezna. Dnia 29 listopada wybuchła w Warszawie rewolucja. Chopin bawił wtedy w Wiedniu, a choć pragnieniem jego było wrócić do kraju i być w czasie wojny chociażby doboszem, bo do dźwigania karabina nie bardzo czuł się zdolnym, to jednak ulegając życzeniu rodziców został zagranicą i tym sposobem w powstaniu udziału nie brał. Zato w twórczości jego rok 1831 upamiętnił się nietylko słynną *Etiudą rewolucyjną* i wstrząsającemi kartkami jego dziennika z tej epoki: bo jak *Preludjum D-mol* kończy się trzema wystrzałami armatniemi, tak słychać je również i w tragicznym *Polonezie Fis-mol* i w *Polonezie As-Dur*, który ma być muzycznym obrazem bitwy pod Grochowem... Mniej więcej w taki sam sposób przeszedł rok 1831 w życiu Słowackiego. Noc 29 listopada zastała twórcę *Jana Bieleckiego* w Warszawie, a zaraz następne dni, które nastąpiły po niej, odbiły się w twórczości Słowackiego szeregiem poezyj rewolucyjnych, *Hymnem Bogarodzicą, Odą do wolności, Pieśnią legjonu litewskiego, Kuligiem*. Gdy jednak wszyscy, co byli zdolni do noszenia broni, zaczęli się zaciągać do wojska, wątły i słabowity poeta ociągał się, czuł bowiem, że więcej odda usług ojczyźnie, dzierżąc pióro, aniżeli idąc na wroga z karabinem w ręku. Wkońcu, ulegając życzeniu matki, która drżała o swego jedynaka, wyjechał zagranicę dla uniknięcia wszelkiego niebezpieczeństwa. Podobnie, jak Chopin, obrał drogę na Wrocław i Drezno. We Wrocławiu stanął nawet w tym samym hotelu, co Chopin. Twórca *Koncertu F-mol* pisał do rodziców z Wrocławia dnia 9 listopada 1830: «Stanęliśmy (z Wojciechowskim) *Zur goldenen Gans*...» Słowacki zaś, z tegoż samego Wrocławia po upływie pięciu zaledwie miesięcy, dnia 17 marca 1831 r., donosił matce: «Mieszkam z Gaye'm w jednym hotelu *Pod złotą gęsią*...» Z Wrocławia, gdzie obaj zabawili niedługo, udali się, tak Słowacki, jak Chopin, do Drezna, gdzie

spędzili czas jakiś, obracając się w tem samem towarzystwie polskiem, które ich obu jednakowo psuło i pieściło. W liście z d. 21 listopada 1830 r. pisał Chopin między innemi do rodziców: «Byłem także tego samego dnia u pani Dobrzyckiej, która z powodu swoich urodzin prosiła mię do siebie nazajutrz. Zastałem tam księżniczki saskie... Byłem jeszcze na obiedzie u Komarów... Generałowi Kniaziewiczowi podobałem się bardzo...» W liście zaś Słowackiego do matki, pisanym z Drezna d. 12 kwietnia 1831 r., takie między innemi znajdują się wiadomości: «Zrobiłem już w Dreznie jedną znajomość u pani Dobrzyckiej; poczciwa staruszka, Polka, jej córka jest pierwszą damą dworu... Mam jeszcze być u Komarów... Znajomy wam zapewne dobry nasz plenipotent, co to nazywał siebie *Kniaź*, chociaż jego imię, tak jak nasze szlacheckie, na *wicz* się kończyło, jest teraz w Paryżu». Przez tego plenipotenta miał Słowacki na myśli jenerała Kniaziewicza, któremu tak bardzo podobała się gra Chopina. Po skończonej rewolucji listopadowej, jesienią roku 1831, Słowacki jak Chopin znajdują się na paryskim bruku. Słowacki stanął tu d. 9 września, Chopin zaś pod koniec tegoż miesiąca, w jakieś dwa tygodnie później. Chopin, zatrzymawszy się nad Sekwaną, jechał właściwie do Londynu, przejeżdżając przez Paryż *en passant par Paris* (jak miał napisane w paszporcie); zaś Słowacki był w podobnem położeniu parę miesięcy temu, kiedy spiesząc do Londynu, zatrzymał się *en passant* na krótko w stolicy Francji. Teraz, pod koniec roku 1831, znalazłszy się obaj «na paryskim bruku», a obaj mniej więcej w analogicznem położeniu, jeden i drugi z plikiem gotowych do druku manuskryptów, znów się zaczęli spotykać częściej, bądź na zebraniach coraz liczniej gromadzącej się emigracji, bądź w domach prywatnych jak n. p. u Ludwików Platerów. Nie wiemy, czy w listach Chopina, pisanych w tym czasie do rodziny, a uległych zniszczeniu, znajdowały się

wzmianki o Słowackim; ale natomiast w listach Słowackiego z tego czasu do matki z nazwiskiem Chopina spotykamy się niejednokrotnie. I tak n. p. w liście z dnia 3 września 1832 r. pisze Słowacki: «Podczas obiadu (na cześć jen. Dwernickiego) Cezary Plater biegał i zapraszał nas na wieczór artystów do siebie. Był to wieczór z mężczyzn samych złożony. Szopen, sławny fortepianista, grał nam, gadaliśmy różne poezje...» W innym znów liście, w opisie mile spędzonego wieczoru w domu Platerów, donosił Słowacki matce, że «pod koniec Szopen upił się i prześliczne rzeczy improwizował na fortepianie». Na jedną także okoliczność zwrócić należy uwagę, że zarówno Chopin, jak Słowacki, przybyli do Paryża nie z emigracją, lecz wcześniej, i że obaj, wyjechawszy z kraju za paszportem, emigrantami we właściwem pojęciu nie byli i tem samem powrotu zamkniętego dla siebie nie mieli. Gdyby byli chcieli, mogli wracać, i to całkiem legalnie. A jednak obaj dobrowolnie skazali się na dolę emigrantów i sami za takich się uważali. Pod koniec roku 1832 rozmijają się pozornie ich drogi: Słowacki, którego pierwsze dwa tomy poezyj — napisanych przeważnie w Warszawie — wyszły w Paryżu w r. 1832, przenosi się do Genewy, Chopin zaś, który także w tym czasie zaczął u nakładców paryskich drukować swoje utwory muzyczne — również powstałe przeważnie w Warszawie — osiedla się w stolicy Francji. Ale ten geograficzny rozdział staje się przyczyną psychicznego konfliktu między Rafaelem muzyki a Rafaelem poezji; w Genewie bowiem zawiera Słowacki bliższą znajomość z dobrymi znajomymi Chopina, Wodzińskimi, i w tym samym czasie, gdy przebywający w Paryżu twórca *Mazurków*, koresponduje z braćmi panny Marji Wodzińskiej, gdy w salonach paryskich improwizuje na temat nadesłanych mu jej próbek kompozytorskich, gdy w listach swoich z rozrzewnieniem wspomina te błogie czasy warszawskie, kiedy to

się jako młody chłopiec z panną Marjanną «po pokojach goniło», i kiedy się jej kłaniać każe, «bardzo elegancko z uszanowaniem», autor *Kordjana*, słucha tymczasem w interpretacji tejże panny Marjanny najświeższych kompozycyj Chopina, zachwyca się jej grą, a niebawem zaczyna ulegać jej urokowi. Dochodzi do tego, że w tym samym czasie mniej więcej, gdy Chopin improwizował w jednym z salonów paryskich na temat nadesłanych mu przez pannę Wodzińską jej próbek kompozytorskich, Słowacki, rozmarzony wspomnieniem odbytej z nią cudnej wycieczki w Alpy, wpisuje jej do sztambuchu melancholijny wiersz: «Tam byli, kędy śnieżnych gór błyszczą korony, Gdzie w cieniu wiszeń Bożym strzeżone napisem, Stoją ciche szalety wiązane cyprysem, Gdzie smutnie biją w łąkach trzód zbłąkanych dzwony, Gdzie się nad wodospady jasna tęcza pali, Gdzie na zwalonych sosnach czarne kraczą wrony: Tam byli razem — kiedyś — i tam się rozstali». Wkońcu dochodzi do tego, że odgrywająca tak ważną rolę w korespondecji Chopina z młodymi Wodzińskimi «panna Marjanna» zaczyna pod wpływem Słowackiego także «zapływać trochę w kraj ideału» (tak się przynajmniej zdawało Słowackiemu), a nawet wzbudza przekonanie w poecie, że się w nim «mocno» kocha... Co najciekawsze, to, że miał to Słowacki głównie do zawdzięczenia fizycznemu swemu podobieństwu do Chopina... Takie przynajmniej było jego mniemanie w tym względzie... Nie przypuszczał wcale, że gdy on roił czarowne sny o małżeństwie, gdy marzył o tem, by się móc jak lilja wodna owinąć koło «ładnej, dobrej, może nawet bogatej żony», panna tymczasem ulatywała nieraz myślą w stronę Paryża, gdzie przebywał sławny już w tej chwili wesoły towarzysz jej zabaw dziecięcych w Warszawie... W roku 1835, wkrótce po pożegnaniu się «panny Marjanny» ze Słowackim, który pod wpływem tego rozstania napisał niebawem kilka najpiękniejszych swoich wierszy lirycznych, *Rozłącze-*

nie, Stokrótki, Przekleństwo, we wszystkich dając poetyczny wyraz swej bezbrzeżnej tęsknocie za ową «czarnobrewą panienką», wkrótce potem, bo w ciągu dwóch miesięcy niespełna, nastąpiło w Dreźnie spotkanie się rodziny Wodzińskich z Chopinem, spotkanie, które się równało pierwszemu rozdziałowi uroczej sielanki miłosnej. Skończyło się na tem, że genjalny twórca *Mazurków* wrócił do Paryża zakochany «w czarnobrewej córce Euterpy», że pod wpływem wspomnień o tem drezdeńskiem spotkaniu napisał swą powiewną *Etiudę F-moll,* która, jak sam się wyraził, ma być muzycznym portretem duszy panny Maryni, i że — podobnie jak niedawno temu Słowacki — zaczął marzyć o połączeniu się z nią dozgonnymi śluby. Po roku, gdy Słowacki tymczasem, z sercem wciąż pełnem wspomnień swej «czarnobrewej panienki», błądził po ruinach Romy, gdy «rozkochany i przekochany i rozczarowany», wchodząc na Wezuwjusz, z rozrzewnieniem marzył o swej wycieczce w Alpy, odbytej w towarzystwie «czarnobrewej» Marji: Chopin zjechał się z Wodzińskimi w Marjenbadzie, spędził tam z nimi miesiąc cały, a wreszcie odwiózł ich do Drezna i tam oświadczywszy się oficjalnie o rękę panny Marjanny, został przyjęty. Wtedy to skomponował swego wdzięcznego Walca F-moll, a gdy wrócił do Paryża, by odtąd przez czas pewien z narzeczoną swą listowne prowadzić rozmowy, nie domyślający się wszystkiego tego Słowacki błądził samotny po wybrzeżach Nilu i laską na piasku wilgotnym pisał imię Marji, a w djarjuszu swym podróżnym kreślił rzewny wiersz *Do* ****, w którym opisywał chwilę, gdy z Marją siedział na progu kaplicy Tella nad Jeziorem Czterech Kantonów. W wyobraźni jego dojrzewał już zwolna poemat *W Szwajcarji*... Tymczasem Chopin komponował swój przepiękny *Nokturn Cis-moll,* który jest tak samo pełen miłości dla Marji Wodzińskiej, jak Beethovenowska *Sonata Cis-moll* wyraża miłość swego twórcy dla Giulietty Guicciardi,





a komponując go, nie przypuszczał jeszcze, że miłość ta podobnie gorzkim stanie się niebawem epizodem w jego życiu, jak w życiu Beethovena jego romans z piękną hrabianką. W r. 1837 musiał się już Chopin uważać za zwolnionego ze wszelkich węzłów, łączących go z Marją; węzły te zostały zerwane. Wtedy to wydarła się Chopinowi ze zranionej piersi dramatyczna melodja do pieśni: «Smutno niańki mi śpiewały... Próżnom wierny był i stały, Próżno pierścień dałem!» O tym samym czasie mniej więcej Słowacki, osiadły po powrocie z podróży na Wschód we Florencji, napisał pod wpływem wspomnień Marji Wodzińskiej poemat swój *W Szwajcarji,* a jak wspomnienia te silnie grały mu w duszy, tego dowodzą listy jego do matki. Oto, co n. p. pisał w jednym z nich pod świeżem wrażeniem wycieczki z rodziną Potockich do Vallembrosy: «Podróż ta melancholiczne na mnie zrobiła wrażenie, gdyż przypomniała mi moją wędrówkę po Szwajcarji: coś było bowiem w gwarze tej licznej familji, przypominającego mi rodzinę Wodzińskich, a l e m o j e j m ł o d e j p a n i e n k i c z a r n o b r e w e j b r a k o w a ł o...» Gdy mu pisano z Genewy, by wrócił do pensjonatu pani Patey, gdzie tak miło trzy lata przeżył, odpisał, że nie wróci, a co go do odmowy tej skłoniło, z tego zwierzył się w liście do matki: «Więc już wróciwszy do Genewy, zamiast przywitać się z drzewami ogrodu, gdziem sobie przez trzy lata marzył, zamiast odpocząć w pokoiku, gdziem przywykł był leżeć spokojnie, z a m i a s t t e j m e l a n c h o l j i, j a k ą b y m i ę p r z e n i k n ą ł w i d o k m i e j s c, g d z i e m l a t a ł p o m u r a w c h z m ł o d z i u t k ą M a r j ą, c o m i ę k o c h a ł a k r ó t k o, a l e m o c n o, j a k z a z w y c z a j m ł o d e p o l s k i e d z i e w c z ę t a k o c h a j ą, zamiast tego wszystkiego, znajdę dom w mieście czarnem i posępnem... O, nie wrócę do Genewy!» Jednocześnie grywał także wiele na fortepjanie, a kompozycje Chopina najbardziej odpowiadały jego ówcze-

snemu nastrojowi. Oto, co n. p. pisał do matki d. 2 kwietnia 1838 r.: «Nie skarżcie się na waszą zimę, bo i tu już kwiecień, a ja jeszcze na kominku muszę ogień zapalać wieczorem, abym nie marzł w ręce, grając na fortepjanie lub pisząc. Co się tyczy fortepjanu (a dodać trzeba choćby w nawiasie, że Słowacki wcale dobrze i z wielkiem uczuciem grał na fortepjanie, i że ulubionym jego kompozytorem był Chopin), przez tę zimę znaczne poczyniłem postępy w czytaniu nut, ale Foka przeklinam, że mnie gamy, prostej gamy nie nauczył. Biegłości mi płynnej braknie, i dlatego ludzie, którzy się na czuciu nie znają, a tylko sypanie grochu w grze wielbią, nic nie uwielbią w moim melodyjnym talencie. Czy zna Sylka koncert z *Krakowiaka* Szopena?[1]). Prześliczny, ale trudny, jak djabeł». Tym swoim «melodyjnym talentem», tą grą pełną «czucia», tak nieodzowną do interpretowania Chopina, posługiwał się Słowacki niejednokrotnie w salonach, jako środkiem do «kruszenia serc» niewieścich, do czego znów tęskne kompozycje Chopina specjalnie się nadawały. Jakoż nie innego kompozytora, tylko Chopina, grywał w takich razach Słowacki, gdy mu zależało na opętaniu jakiej pięknej duszy w powabnem ciele... We Florencji n. p. gdy starał się być Don Juanem w stosunku do płochej księżnej Survilliers, muzyka Chopina świadczyła mu często ogromne psychologiczne przysługi. «Wstydzę ci się opisywać szarlatanerji, której używam czasem, abym jej nieznacznie pokazał dar twój, t. j. moje pańsko-eleganckie wychowanie... Raz na wieczorze u Potockich, kiedy była księżna w drugiej sali przy kolacji, doszła ją jakaś fantazja Szopena, grana z melancholją na fortepjanie i zgrabnie ucięta w tem miejscu, gdzie trudniejszy pasaż odkryłby z pod skóry wołowej moje oślątka uszy». Nagle, jak grom z jasnego nieba, spadła na twórcę miłosnych we-

[1]) *Krakowiak*, Rondeau de Concert. Op. 14.

stchnień *W Szwajcarji* wieść o... ślubie Marji Wodzińskiej z Chopinem. Zawrzało w duszy poety i żachnęła się w nim zadraśnięta miłość własna, zakipiała żółć, a uczuciu tej obrażonej dumy dał sarkastyczny wyraz w liście do matki, której w te słowa o fakcie rzeczonym doniósł: «Mówią, że się Szopen z Marją Wodzińską, a niegdyś moją Marją ożenił; może poszła za niego trochę z przyjaźni dla mnie, bo mówią ludzie, że Szopen do mnie jak dwie krople wody podobny. Jak to sentymentalnie pójść za człowieka podobnego temu, którego się pierwszą miłością kochało. Stałość i niestałość harmonizują się z sobą w takiem zdarzeniu i podług Swedenborga, już w niebie nie z dwóch ale z trzech dusz robi się jeden anioł po śmierci. Ale w tym przypadku niech Marysia na mnie nie liczy; wolę się do innej jakiej światłej istoty w niebie przylepić; dla niej dosyć Orfeusza. Skrzydła tego anioła będą z siedmiu pedałów, a z klawiszów ząbki». Ale jednocześnie przypomniał mu się jego własny wiersz *Rozłączenie*, pisany pod wpływem rozłąki z Marją i bezpośrednio po tej sarkastycznej wzmiance o małżeństwie Chopina dał rzewny wyraz trapiącej go z tego powodu melancholji. «Miło mi, że Sylka nie zapomniała mojego walca (bo podobnie jak malarstwo, uprawiał Słowacki w wolnych chwilach i sztukę muzyczną kompozytorską). Przypomniałem sobie o tym walcu i zaraz sobie zagrałem go na fortepjanie, aby grać to, co wy gracie, aby słyszeć to, co wy słyszycie. Takim sposobem znajduję jakiś mistyczny sposób połączenia się z wami i przychodzi mi na myśl wiersz jeden z jakiejś mojej poezji: «Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku i nosi ciągłe wieści». W roku 1838 spotyka się Słowacki z Chopinem znowu w Paryżu, gdzie odtąd obydwaj do końca życia przemieszkiwać mieli, spotykając się z sobą dość często w różnych domach polskich, bądź u Czartoryskich, bądź u Delfiny Potockiej, bądź w Klubie Polskim, którego obaj byli członkami, bądź na zebraniach i posie-

dzeniach Towarzystwa Historyczno-literackiego, którego Chopin był członkiem od roku 1833, Słowacki zaś od roku 1839. Chopin był wtedy związany miłosnemi węzły z panią Sand, starszą od siebie o lat kilka matką dorastających dzieci, syna i córki, Słowacki zaś znalazł swą «dręczycielkę» w pani Bobrowej, również starszej od niego o lat kilka, również matce dwojga dzieci, dwóch córek. Jak Chopin, bardzo często po burzliwych scenach ze swoją *femme à l'oeil sombre* znajdował ukojenie i balsam dla duszy w rozmowach i miłych sam na sam z córką jej, Solange, podobnie i Słowacki, gdy go już nadto wyczerpał brak wzajemności ze strony jego «rubensowej Madonny», wynagradzał to sobie zabawą z jej uroczemi córeczkami, Lolką i Sofinetką, którym przynosił cukierki, wpisywał wiersze do albumów, etc.[1]). Tak trwało aż do końca roku 1847: Chopin wciąż trwał w stosunku do pani Sand, od której, pomimo różnego rodzaju dysonansów, oderwać się nie mógł, Słowacki zaś, choć przestał już «duszę swą całą kłaść pod stopy» pani Bobrowej, jeszcze ciągle pozostawał pod jej urokiem, korespondował z nią, gdy wyjeżdżała z Paryża, spotykał się, to we Frankfurcie, to w Ostendzie, a gdy zjeżdżała nad Sekwanę, to nawet chorym będąc, ciągnął do jej «elizejskiego domu». A był on już wtedy bardzo chorym i rozwijające się w nim suchoty, wycieńczały go w równym stopniu, jak Chopina. Chopin zaś tak był w tych czasach wycieńczony, że na schody musiano go wnosić. I tak obaj ci genjalni suchotnicy, kaszląc i spluwając krwią, powoli zbliżali się ku kresowi swoich żywotów, obaj najlepszej myśli i pełni złudzeń co do rychłego powrotu do zdrowia. Lecz niedość na tem, że obaj byli dotknięci tą samą zabójczą chorobą, która z każdym dniem coraz bardziej trawiła i podkopywała ich

[1]) Zob. wiersz Słowackiego: *Do Ludwiki Bobrówny:* «Gdy na mnie spojrzą czarne oczy Lolki...» i do *Zofji Bobrówny:* «Niechaj mnie Zośka o wiersze nie prosi...»

wątłe organizmy (gdyż obaj byli jednakowo delikatnej kompleksji); ale nawet w drobnych szczegółach drogi ich były dziwnie podobnemi do siebie. Takim n. p. szczegółem był fakt, że obaj ratowali się piciem wód mineralnych. Słowacki w jednym ze swych listów do matki pisze: «Uczciwy mój doktór Hłuszniewicz kazał mi za jedyne lekarstwo pić wodę *Bussang*, której samo nazwisko powie ci, że to jest niby k r e w w y p i t a, t. j. wzmocnienie i razem ochłoda». Chopin zaś, w jednym z listów do Woyciechowskiego tak pisze: «Doktorzy żadnej podróży mi nie pozwalają. Piję w pokoju pirenejskie wody, ale twoja obecność byłaby mi więcej warta, niż wszystkie leki...» Tymczasem nadszedł rok 1848, w Paryżu wybuchła rewolucja lutowa. Słowacki i Chopin, obaj po przebyciu obłożnej choroby, tak byli wyczerpani obydwaj, że zdawało się, iż wyjazd w takich okolicznościach i przedsiębranie męczącej podróży absolutnie musiały być wykluczone. A jednak obaj prawie w tym samym czasie opuścili Paryż: Chopin w drugiej połowie kwietnia wyjechał do Londynu, Słowacki na początku kwietnia udał się do Poznania. Upłynął szereg miesięcy i obaj mistrze, po nużącej włóczędze w dali od Francji, wrócili znowu do Paryża: Słowacki stanął zpowrotem w drugiej połowie lipca, Chopin zaś w marcu r. 1849 (nie w styczniu, jak pisze Niecks). Na Słowackim robił już Chopin wtedy wrażenie *moribunda*[1]), a można być pewnym, że i Słowacki wydawał się też Chopinowi podobnym kandydatem do lepszego świata. Niezależnie od tego, nie tracili otuchy, a nawet — jak zwykle suchotnicy na krótko przed śmiercią — czynili różne daleko sięgające plany: Słowacki projektował sobie wyjazd na Podole austrjackie, do Ubienia, do Teofilów Januszewskich, Chopin zaś projektował sobie spędzić zimę na południu, w Nizzy.

[1]) W rozmowie z Cyprjanem Norwidem wyraził się o Chopinie w tych czasach Słowacki: «Parę miesięcy temu spotkałem jeszcze tego *moribunda*».

Tymczasem śmierć nie dała im długo na siebie czekać, a gdy przyszła ostatnia choroba, obaj — dziwnym zbiegiem okoliczności — znaleźli swych najtroskliwszych aniołów-stróżów... w Angielkach: nad łożem Chopina, obok innych przyjaciół i przyjaciółek, czuwała panna Stirling; chorego Słowackiego, obok innych przyjaciół, doglądała pani Reitzenheim, jak twierdzą niektórzy, przedmiot jego ostatniej miłości. Wkońcu zapukała do obu śmierć. Należało się do niej przygotować, wyspowiadać się, przyjąć sakramenta, pogodzić się z Bogiem. A był to szkopuł niemały, bo i Chopin i Słowacki byli pokłóceni z kościołem: Chopin jako podszyty wolterjanizmem, Słowacki jako hołdujący towianizmowi. Ale gdy przyszło umierać, jeden jak drugi zapragnęli umrzeć, jako wierni synowie kościoła katolickiego, i wyspowiadali się: Chopin przed księdzem Jełowickim, Słowacki przed księdzem Praniewiczem. I tak, obaj przez polskich kapłanów przygotowani na śmierć, zmarli w tym samym roku 1849, Słowacki d. 3 kwietnia, Chopin 17 października. «Nie jestże to zbliżenie szczególne — powiada St. Tarnowski — że z tą poezją równocześnie ustaje i muzyka Chopina? Czy to nie jest jakgdyby stwierdzeniem, że one do siebie należały, że miały jedno życie i jedną duszę?» Cokolwiekbądź, obaj, i Słowacki, i Chopin, zostali pochowani w Paryżu, gdzie też i aż do tej pory spoczywają: Słowacki na cmentarzu Montmartre (nieopodal pokrewnego sobie duchem Heinego), Chopin na cmentarzu Père Lachaise (nieopodal pokrewnego sobie duchem Musseta). Obu chciano ostatniemi czasy przewieźć z obcej ziemi francuskiej do Krakowa i złożyć ich obok Mickiewicza w grobach królewskich na Wawelu, na co obaj w jednakim stopniu życiem swem i pracą dla chwały narodu swego zasłużyli, ale dotąd obaj jeszcze spoczywają w swych tułaczych mogiłach, bo choć zasłużeni, to jednak na to, by spocząć w «grobie zasłużonych» na Skałce pod Krakowem, obaj są za wielcy, za dumni! Natomiast obaj

mają swe piękne tablice pamiątkowe w warszawskim kościele św. Krzyża, a przypadek sprawił, że te tablice znajdują się tuż przy sobie, wmurowane w ścianę tego samego filaru.

A jak kolejami żywota, tak i charakterami i usposobieniami, a nawet i pod względem fizycznym, bardzo byli podobni do siebie. «Mówią ludzie — pisał raz Słowacki do matki — że Chopin do mnie, jak dwie krople wody podobny», a Chopina «także to podobieństwo ze Słowackim korciło i nie lubił, żeby mu o niem mówiono». Mimo to podobni byli do siebie bardzo, i to nietylko dlatego, że obaj odznaczali się niesłychanie wątłą kompleksją, że byli chudzi i mizerni, że mieli zapadnięte policzki, najczęściej blade, a tylko czasami, w chwili podniecenia, okraszone gorączkowemi rumieńcami, ale natury ich, dusze, były pokrewne, choć pozornie Chopin był może weselszym, a Słowacki więcej melancholijnym. Ale ta melancholja, ta żałość — żałość *Anhellego* i *Nokturnów* — tak przenikająca ich utwory, tak charakterystyczna dla wszystkiego, co wyszło z pod ich genjalnego pióra, ta była im obu wspólna, obu ich cechowała w równym stopniu, w takim samym, jak ów niezrównany artyzm formy, którym odznaczają się ich dzieła, a który sprawia, że obaj byli największymi artystami: Chopin, jako kompozytor, Słowacki, jako poeta. Obaj też mieli niewątpliwie najwięcej poezji w duszy, najwięcej tego, jak powiada Małecki, «poetycznego na świat wejrzenia», które sprawiało, że jak muzyka Chopina p o e t y c z n i e j s z ą jest od muzyki współczesnych mu Schumanna i Mendelsohna (nie mówiąc o Liszcie i wielu innych), tak poezja Słowackiego p o e t y c z n i e j s z ą jest od poezji Mickiewicza i Krasińskiego. Ta poetyczność ich utworów wynikała z poetyczności ich usposobień, które również pod bardzo wielu względami niesłychanie były podobne do siebie. Obaj bowiem, zarówno Chopin jak Słowacki, byli naturami *par excellence* kobiecemi, delikatnemi,

wykwintnemi, nerwowemi, kapryśnemi, a tem samem i trochę chorobliwemi (która to chorobliwość była znów wynikiem ich suchotniczego usposobienia). Obaj mieli dusze tęskne i smętne, skłonne do spleenu, a jednocześnie obaj byli skończonymi arystokratami ducha, gardzącymi tłumem, zdala trzymającymi się od krzykliwej i gruboskórnej demokracji, a natomiast ciągnącymi do salonów i ludzi wielkiego świata, ludzi elegancko ubranych i wykwintnych form towarzyskich, bo tylko w tym świecie nic nie raziło ich dobrego smaku, bo tylko w tym świecie czuli się w swoim żywiole. To upodobanie w elegancji i wykwincie, tak dla obu charakterystyczne, było powodem, że w przeciwieństwie do ówczesnej cyganerji artystycznej, zarówno jeden, jak drugi, nietylko sami byli ogromnymi elegantami, niesłychaną wagę przywiązującymi do garderoby, ale nie znosili ludzi źle ubranych. Na temat kłopotów, jakie prześladowały Chopina z powodu źle skrojonego ubrania, istnieje cały szereg anegdot, a gdy chodziło o frak, to był tak wymagającym na tym punkcie, że nigdy żadne ubranie nie wydawało mu się dość dobrze zrobionem. «Przed każdym koncertem było zawsze zamówionych fraków kilka, u kilku różnych krawców. Przymierzały się wszystkie jeden po drugim, ale żaden — zdaniem Chopina — nie leżał nigdy dość dobrze. W ostatniej chwili, gdy już trzeba było wychodzić na estradę, mistrz w rozpaczy brał czempredzej frak swego przyjaciela i ucznia, Gutmanna, dwa razy za długi i za obszerny na siebie, i w tym wychodził». W listach do przyjaciół także kwestja garderoby, a zwłaszcza kamizelek, bardzo często wysuwała się u niego na pierwszy plan. «Zamiłowanie wykwintnego ułożenia i obejścia posunięte może było do zbytku, ale to skutkiem tego, że go mierził i korcił ówczesny obyczaj artystów, którzy zasadzali genjusz na złem wychowaniu, ubraniu zaniedbanem, na nieładzie bród i włosów». To zamiłowanie wykwintnego ułożenia i obejścia, to popisywa-

nie się swem «pańsko-eleganckiem wychowaniem», cechowało także w wysokim stopniu Słowackiego; a w listach jego do matki nie brak ustępów w kwestjach garderoby, bo choć poeta wyrzucał kobietom, że na ubiór patrzą, pióra i trzewiki, to jednak sam niezmierną do nich także przywiązywał wagę. Oto n. p. co raz pisał do matki z Paryża: «Przeszedłem trochę do dandyzmu i... ubiorem zwróciłem oczy dam, bo miałem białe szarawarki, kamizelkę białą kaszmirową w ogromne różnokolorowe kwiaty i kołnierz od koszuli odłożony. Do tego dodajcie laseczkę z pozłacaną główką i glansowane rękawiczki, a będziecie mieli Julka. I zapytasz zapewne, Mamo, dlaczego to robię? Oto dlatego, że zostawszy raz poetą, chcę ujść powszechnej nagany, która nasz ród wystawia, jako opuszczony i niedbały... i nie chcę, aby mię tak, jak Mickiewicza, do domu gry nie wpuszczono, bo go służący wzięli za lokaja i dali odpowiedź, że ma źle związaną chustkę». Wogóle wytworna jego natura nie znosiła zaniedbania w garderobie, a ludzi brudnych i źle ubranych nie znosił. To niezwracanie najmniejszej uwagi na strój raziło go i w Mickiewiczu. «Nie możecie sobie wystawić, jak po liderlichowsku wygląda z pomiętym od koszuli kołnierzem i we fraku zasmolonym», pisał raz o twórcy *Dziadów* po jakimś wieczorze. To zwracanie uwagi na strój i jakby wrodzony sceptycyzm na punkcie trafności przysłowia, że «nie ubiór człowieka zdobi», tak właściwe i Chopinowi i Słowackiemu, sprawiało również, że obaj ogromnie lubili mieszkać ładnie, że zamożniejszy Chopin mieszkał, «jak kokota», mając całe mieszkanie zapełnione mnóstwem cacek, bibelotów, antyków, najmodniejszych mebli, obić, dywanów, etc., a uboższy Słowacki, choć nie mógł sobie pozwolić na takie zbytki, jak Chopin, również zawsze mieszkał bardzo wykwintnie, a na punkcie czystości w mieszkaniu był takim samym pedantem, jak Chopin. Bo zamiłowanie w porządku, zamiłowanie, tak obce Mickiewi-

czowi, cechowało Chopina w równym stopniu, jak Słowackiego. W listach ich nie brak na to mnóstwa dowodów, a opisy mieszkań zajmują nieraz daleko więcej miejsca, niż sprawozdanie z nierównie ważniejszych wypadków życiowych. Obaj też, dzięki swym kobiecym usposobieniom, które ich cechowały w równym stopniu, ogromnie lubili kwiaty, zwłaszcza fjołki. Słowacki pisze raz do matki: «Lubię bardzo kwiaty i teraz bukiet fjołków i lewkonij mam przed sobą na trójnożnym stoliku, na którym piszę do Ciebie». Chopin zaś, obok różnych zleceń dawanych na wyjezdnem z Londynu przyjacielowi swemu Grzymale, tak między innemi pisze: «Każ w piątek bukiet fjołkowy kupić, żeby w salonie pachniało. Niech mam jeszcze trochę poezji u siebie...» Podobnych cech wspólnych mieli Słowacki i Chopin daleko więcej jeszcze. I tak n. p. obaj byli bardzo dowcipni, a potrafili być bardzo złośliwymi i sarkastycznymi w swym dowcipie, czy to w rozmowie, czy w listach. Obaj byli bardzo kochliwi, bardzo wrażliwi na piękno niewieście, a jeśli o Chopinie opowiadano sobie, że na każdym wieczorze kochał się w innej kobiecie, a czasem w dwóch naraz, to wnosząc z listów Słowackiego można i o nim śmiało powiedzieć to samo... Nadto obaj byli bardzo wysokiego mniemania o sobie, a jeśli Słowackiemu nie dawał spać Mickiewicz, to Chopinowi współzawodnictwo z Lisztem także dyktowało niemało złośliwych i pełnych uprzedzenia uwag na temat twórcy *Rapsodji węgierskich*... Obaj też, i Słowacki i Chopin okazywali niemało lekceważenia, gdy chodziło o ich kolegów w sztuce, a dowcipy w listach Chopina o innych muzykach, zwłaszcza o fortepjanistach, ogromnie przypominają dowcipy twórcy *Beniowskiego* o innych współczesnych mu poetach. Ale jak w słabościach natury ludzkiej, tak i w prawdziwych zaletach charakteru, niemniej byli podobni do siebie. Obaj byli najlepszymi synami, niesłychanie przywiązanymi do rodziców, zwłaszcza do matek; obaj

bardzo łatwo przywiązywali się do ludzi (choć niezawsze byli skłonnymi do szczerości); obaj byli bardzo czułymi w przyjaźni, a niektórych przyjaciół, jak n. p. Cyprjana Norwida, Leonarda Niedźwieckiego, mieli wspólnych i »nigdy im kto szlachetny, nie był obojętny», a jeśli ani jeden ani drugi nie brali zbrojnego udziału w powstaniu roku 1831, to jednak obaj, jako Polacy, byli najgorętszymi patrjotami, obaj, depcząc przez pół życia «obcych ludzi łany», nie zapominali o kraju, tęsknili za nim, widzieli go wciąż «w całej ozdobie» przez pryzmat nostalgji, służąc mu wiernie, bądź to «niosąc przed narodem oświaty kaganiec», bądź to «stojąc na maszcie, kiedy okręt tonął...»

A jak w życiu, pod względem charakteru i upodobań, tak i w sztuce, jako artyści, gdy «siłą fatalną» swoich utworów usiłowali «zjadaczów chleba w aniołów przerabiać», byli Słowacki i Chopin, niby dwaj Djoskurowie, wielce podobni do siebie. Przedewszystkiem, gdy inni twórcy odznaczali się wielką łatwością tworzenia, gdy n. p. Mickiewicz, który «tak wszystko napisał, jak tu do was gadał» i mógł wskutek tego «kropić» dziennie po 800 wierszy *Pana Tadeusza*, Słowacki zarówno jak i Chopin tworzyli z wielkim trudem. Nic bardziej pomazanego, pełnego kreśleń, poprawek, zmian, warjantów, jak manuskrypty Słowackiego i Chopina. To zaś, co z takim mozołem rodziło się im pod piórem, choć przedzielone różnicą poezji i muzyki, również jest pokrewne nastrojem i duchem, a często z podobnego wypłynęło źródła, czy to pod wpływem burz sercowych, czy też z miłości ojczyzny... Jak w chopinowskiem *Scherco H-moll* lub w *Etiudzie* snują się motywy polskiej kolendy, tak i w poezji Słowackiego n. p. w *Złotej czaszce* «rzewna kolenda w przyćmionej piekarni» jest osią niektórych scen. Jak Chopin duet z mozartowskiego *Don Juana* przełożył w swych słynnych *Warjacjach La ci darem la mano* na język fortepjanu i przystroił go we wszystkie brylantowe blaski

swej muzycznej wyobraźni, podobnie Słowacki, tłumacząc kalderonowskiego *Księcia niezłomnego* zabarwił tę tragedję wszystkiemi czarami swego poetycznego języka, wszystkiemi kolorami swej weneckiej palety. Legendowy charakter Słowackiego «sześciu kronik dramatycznych», *Balladyny*, w pierwszym rzędzie odpowiada legendowemu nastrojowi czterech *Ballad* Chopina, a jeśli prawdą jest, co opowiada Schumann, że do napisania drugiej *Ballady* natchnęła Chopina *Świtezianka* Mickiewicza, to również tyle przynajmniej wpływu *Świtezianki*, co w *Balladzie* Chopina, jest i w *Balladynie* Słowackiego, w której *Goplana* jest jakby *Świtezianki* rodzoną siostrą... Jeżeli dramatyczny nastrój *Polonezów* Chopina jest tak dalece polskim i to w duchu rycerskiej przeszłości polskiej, że sam Chopin jeden z polonezów swych nazywał *Stefanem Batorym*, a przy pisaniu drugiego miał halucynacyjne widzenie całego korowodu postaci w kontuszach, z karabelami przy boku, w husarskich zbrojach ze skrzydłami i w lamparcich skórach, starych matron w robronach, to czyż w twórczości Słowackiego nie grają tej samej roli jego tragedje z dziejów polskich, jego «Zebrzydowscy i Zborowscy w czerwonych deljach», jego *Mazepa*, jego *Horsztyński*, jego *Jan Kazimierz* a także i jego «powieść narodowa» *Jan Bielecki*?... Na podobieństwo nastrojów w chopinowskich *Nokturnach* i niektórych poematach Słowackiego, zwłaszcza w poemacie *W Szwajcarji*, nieraz już zwracano uwagę, a to samo w równym stopniu dałoby się powiedzieć i o niektórych rozdziałach *Anhellego*, który znów w całości ma w sobie coś z wielkiej chopinowskiej *Sonety B-moll*, lub z wielkiej *Fantazji F-moll*, która tak samo zaczyna się od ponurego minorowego marsza, jak *Anhelli* Słowackiego od tragicznego pochodu wygnańców: «*Przyszli wygnańcy na ziemię sybirską...*» O psychologicznej genezie chopinowskiego *Marsza żałobnego* najróżnorodniejsze krążą wersje, ale co pewna, że daleko potężniejszem jego «tłumaczeniem», aniżeli słynny wiersz Ujejskiego, mógłby być Słowackiego *Pogrzeb kapitana M...* I kto wie, czy w tragicznych rozdzierających akordach *Marsza żałobnego* Chopina nie więcej jest tego emigracyjnego tragizmu, którego potężnym krzykiem jest wspomniany wiersz Słowackiego, aniżeli rozpaczy romantycznego młodzieńca idącego za trumną narzeczonej. Można być nawet pewnym, że Chopin pisząc swego *Marsza żałobnego*, miał w duszy swej obraz podobniejszy nierównie do tego, jaki kreśli w swym *Pogrzebie kapitana M...* Słowacki, aniżeli do tego, jaki maluje Ujejski. A chopinowskie *Scherza*, *Impromptus*, czyż nie można im w szeregu dzieł Chopina podobnego wyznaczyć miejsca, jakie wśród utworów Słowackiego zajmuje *Beniowski*. Czyż ta błyskotliwość *Scherz* i *Impromptus*, w których wszystko miesza się razem, i wesołość, i figlarność, i przejmująca groza, i cichy smutek, i smętna żałość, w których Chopin raz igra z fortepjanem, rozsypując po nim, niby perły, swe niezrównane pasaże, to znowu grzmi piorunami lub trąbi w surmę wojenną, raz wzdycha melancholijnie i daje się porywać tęsknej zadumie, to znowu zdaje się złorzeczyć niebiosom, raz swawoli dowcipnie, to znowu przechodzi w patetyczny chorał, czyż ta rozmaitość tonów i nastrojów w *Scherzach* i *Impromptus* tak kunsztownie powiązana i stopiona w jedną artystyczną całość, nie da się porównać z mistrzowskiemi oktawami *Beniowskiego*, z jego fajerwerkowemi dygressjami, z jego nagłemi przeskokami z eposu w liryzm, z melancholji stepów ukraińskich do plotek i swarów emigracyjnych, z jego skargami i konceptami, z jego arjosztyczno-paskowemi scenami i awanturami i hymnami panteistycznemi, z jego opisami krwawych bitew przeplatanych humorystycznemi zwrotami, pełnemi różnych najekscentryczniejszych *Concetti* i «niegramatycznościów», a któremi podobnie oburzali się niektórzy antagoniści Słowackiego, jak niektórych antagonistów

Chopina skandalizowały dwa pierwsze dysonansowe akordy w *Scherzu H-moll*. A podobnych «niegramatyczności ów» wytykali Chopinowi współcześni klasycy muzyczni przynajmniej tyle, ile ich wytykali w *Beniowskim* poeci z obozu Mickiewicza... A gdy nadszedł schyłek twórczości obu Djoskurów, gdy miało się już pod koniec ich pracy na niwie poezji i sztuki, obaj stawali się w utworach swych coraz bardziej mistyczni i mgliści. Jaką była twórczość Słowackiego z epoki towianizmu, wiedzą wszyscy, o ostatnich zaś kompozycjach Chopina pisze Liszt, co następuje: «Poczynając od zimy r. 1848 Chopin nie był już w możności stale pracy się oddawać. Od czasu do czasu wykończał tylko coś zaczętego, ale i to bez wielkiej dla sztuki korzyści. Wogóle wszystkie dzieła, należące do ostatniego perjodu twórczości Chopina, nacechowane są jakby gorączkową trwogą, niema w nich już śladu tych tak zuchwałych a tak jaskrawo oświetlonych obrazów, nie słychać tam już tętentu, ani śpiewów kipiących pewnością siebie i swobodą duszy. Wszędzie tam elegijne panuje zasmucenie, mieszanina osłupiałych spojrzeń, melancholicznych uśmiechów, bezmyślnego ruchu, lub spoczynku przejmującego dreszczem i jak bywa w człowieku zewsząd obsaczonym przez złą dolę, dla którego na widnokręgu całym znikąd nie świta nadzieja, któremu niejako rozpacz uderzyła do głowy, jak tym, co przebrali miarę w użyciu cypryjskiego wina i myśl mają żywiej zbudzoną, płynniejszą niż na trzeźwo wymowę, doraźniej czują, chwilowo nawet żyją potężniej, a przecież umysł ich w podnieceniu swojem bliski jest obłędu. Są to już wszystko przedmioty w obrazowaniu swojem mało dla sztuki mające powabów, jak wogóle wszelkie krańcowe momenty, konania, prostracje, konwulsyjne drgania, słowem, chwile, w których nerwy zwolna przestają być organami woli, stopniowo w porozumieniu z cierpieniem, w bierny łup najdostojniejszą zmieniają naturę. W tej samej fazie, jakże ogląd-

nym, jakże wyższym nad siebie, należy być artyście!» Czyż słowo w słowo tego samego, co tu o Chopinie, nie można powiedzieć i o ostatniej fazie twórczości Słowackiego?... Ale choć genjusz ich twórczy — w ostatniej fazie swego rozwoju — zstępował niekiedy na artystyczne manowce, to jednak obu im przyświecał w trakcie pisania ostatnich na wielką skalę pomyślanych utworów ten sam promienny ideał. Jak Słowacki, którego duch «zawsze był ku Polsce obrócony twarzą», pragnął ze swego *Króla Ducha* uczynić «alfę i omegę ojczyzny» i — jak powiada Małecki — «przeprowadzić w taki sposób cały wątek dziejów ojczystych, przedstawiony jako działanie jednego głównie czynnika, stawianego w tym narodzie na pierwszem zawsze miejscu, bądź to na tronie, bądź na innem skądinąd tak podniosłem w sferze duchowej stanowisku, że czyny, błędy, grzechy, zbrodnie, zasługi i poświęcenia jego oddziaływały na całe położenie społeczeństwa narodowego», podobnie i Chopin, w ostatnich latach życia, gdy się męczył nad swoim wielkim *Polonezem fantastycznym*, pragnął w nim odzwierciedlić całkowicie «przeszłość i przyszłość Polski», kończąc utwór ten, «po wyrazistych obrazach walk i bojów, śmiałym i pewnym siebie hymnem triumfu». Jakkolwiek niedorzecznością byłoby — powiada St. Tarnowski — szukać w muzyce allegorji, historjozofji, politycznych lub filozoficznych pomysłów i wywodów, bo ma ona tylko uczucie, mówi tylko przez nie i do niego, to jednak ten ostatni ton muzyki Chopina, który on, jak pieczęć, przyłożył na swem artystycznem dziele, jest jakby szeregiem obrazów «przeszłości i przyszłości Polski», obrazów coraz nowych, zmieniających się, jak «w scenach widzenia» *Snu* Byrona, jak w patetycznych rapsodach *Króla Ducha* Słowackiego, a wszystkie te obrazy — jak to zauważył w swym odczycie St. Tarnowski — zdają się mieć niejakie podobieństwo ze sławnym Jankla «Koncertem nad koncertami» z ostatniej księgi *Pana Ta-*

deusza, podobieństwo ducha, a nawet układu. Zrazu brzęczenie ciche, «jak kilku much, gdy z siatki wyrwą się pajęczej», to coś, jak szepty, jak zmowy, jak jakieś tajemnicze przygotowania. Potem «rozpierzchnięte tony łączą się i w akordów wiążą legjony» tylko to, co grają, to nie smutna pieśń o żołnierzu tułaczu, ale potężna i twarda pieśń bitwy. Złej? dobrej?... kończy się ona przejściem przytłumionem, smutnem i łzawem, jak pogrzeb. Ale wkońcu wraca znowu pierwszy motyw, tylko jak w początku grał się cicho i tajemniczo, tak teraz odzywa się on *fortissimo*, że «struny dzwonią jak trąby mosiężne». Jankiel także takim triumfem kończy swoją muzykę, a choć w zakończeniu Chopina melodja nie jest ta, która zamyka koncert cymbalisty, to jednak myśl i symboliczne znaczenie tego finału jest to samo [1]). Ale jak *Król Duch* Słowackiego, choć potężny i wielki w pomyśle, w wykonaniu pod względem artystycznym jest mętnym i nie może się równać z dawniejszemi utworami Juljusza, podobnie i ten *Polonez fantastyczny Chopina*, choć przepiękny w pomyśle, jako dzieło sztuki nie stoi na wysokości innych kompozycji mistrza. Oto, co o nim pisze Kleczyński: «Piękno muzyczne powinno do nas przemawiać samo, a po za niem ukrytą wówczas być może i jakaś głębsza symbolika, z życiowych analogji zaczerpnięta. Dowodem najlepszym, że sama legenda nie wystarcza, aby dzieło muzyczne było porywającem, jest właśnie ostatni z polonezów Chopina. Nie można zaprzeczyć, że faktura tego dzieła jest dobra; bardzo wiele szczegółów świadczy o mistrzowskiej dłoni, co posąg ten rzeźbiła; ale idee ogólne — jak w *Królu Duchu* Słowackiego — są trochę niewyraźne, ich przeprowadzenie gubi się w komplikacjach dla muzy Chopina mniej właściwych, i nie robi wrażenia. A przecież właśnie do tego poloneza utworzył sobie Chopin najpiękniejszą legendę: prze-

[1]) St. Tarnowski. *Chopin i Grottger*, str. 30, 31.

szłość i przyszłość Polski miała się tu odzwierciedlić całkowicie. Na nieszczęście muzyczna pewna sztywność paraliżuje wrażenie i mimo mistrzowskiego wykonania, n. p. pani Essipow, dzieło pozostaje jedną z mniej szczęśliwych kreacji Chopina. Symbol tu nie wystarcza: złote słońce natchnienia nie oświeca pracy, poczętej raczej w głowie i fantazji, niż w sercu» [1]). Podobnie nadmiar symboliki zabił artystyczne piękno *Króla Ducha* Słowackiego, tak, iż poemat ten, choć według zamiaru autora miał być «alfą i omegą ojczyzny», nie stał się nawet alfą i omegą twórczości poety [2]).

[1]) *Chopin w celniejszych swoich utworach.* Trzy odczyty Jana Kleczyńskiego. Warszawa, 1886.

[2]) Na podobieństwo Chopina i Słowackiego zwrócił już w swoim czasie uwagę St. Tarnowski: «Podobny do Słowackiego usposobieniem smutnem, nerwowem, chorobliwem, był (Chopin) od niego lepszy, bo był wolny od zarozumiałości i miłości własnej, a tego uczucia, które paliło tamtego na widok wyższych od siebie, u Chopina ani śladu». A jednak, kiedy się dokładnie wnika w koleje życia Chopina, dostrzega się w nim i te rysy charakteru, które, jak n. p. wygórowana miłość własna, w tak wybitnym stopniu charakteryzowały Słowackiego. W stosunku Chopina do Liszta, często wchodziły te same czynniki w grę, co w stosunku Słowackiego do Mickiewicza, z tą różnicą, że Słowacki był szczerszym w swojem zachowaniu się względem Mickiewicza, niż Chopin w swej «przyjaźni» do Liszta. W innem miejscu swego odczytu powiada St. Tarnowski: «Jest zbliżenie pomiędzy Chopinem a współczesnymi jemu wielkimi poetami, jest wspólność uczuć i natchnienia, są nawet niektóre podobieństwa natur». Że tu autor ma Słowackiego na myśli, to nie ulega wątpliwości, a wynika poprostu z następującej charakterystyki Chopina, która jednocześnie może być wziętą za charakterystykę Słowackiego: «A kiedy do tego przyjdzie jeszcze urok natury dziwnie szlachetnej i wykwintnej, z uczuciami pięknemi i wzniosłemi, z wyobraźnią bujną i żywą, z inteligencją niepospolitą, i z tą czułością smętną, tęskną do zbytku prawie, do chorobliwości, która tak umie zdobywać sobie współczucie, kiedy jest prawdziwą, złoży się z tych pierwiastków jedna z najwdzięczniejszych i najbardziej zajmujących postaci współczesnej Polski». Czyż o Słowackim nie można powiedzieć dosłownie tego samego?...

SŁOWACKI POTOMKIEM ASTROLOGÓW

Ciekawą byłoby rzeczą zbadać, jaki zachodzi związek — i czy istnieje — pomiędzy rodziną Słowackich z Podhorzec (w Galicji wschodniej), z których pochodził urodzony w tychże Podhorcach Euzebjusz Słowacki, ojciec Juljusza, a Słowackimi ze Zdakowa, których rodzina w XVI-tym wieku za panowania Zygmunta Augusta i Stefana Batorego wydała aż trzech sławnych astrologów.

Jeden z nich, Piotr, powszechnie mistrzem Piotrem nazwany, *Petrus Slovacius Zdacoviensis*, należał w swoim czasie, jako astronom, astrolog i matematyk, do największych sław Akademji Krakowskiej, w której był profesorem.

O życiu jego wiemy niewiele, prawie nic. Urodzony w Zdakowie (w Galicji), po ukończeniu szkół w Krakowie został tamże w r. 1567 bakałarzem filozofji. Jako taki, wykładał w Akademji prozodję, w r. 1570-tym zaś *sphaeram Joannis de Sanok*. W r. 1572-im otrzymał stopień doktora filozofji. W r. 1581, za wdaniem się Stefana Batorego, pozwolono mu udać się na trzy lata do Włoch, na naukę lekarską, pod warunkiem, że na miejsce swoje zostawi zdatnego astrologa. Wróciwszy do kraju, znowu wykładał w Akademji. Umarł w Krakowie, w r. 1588. (Ob. *Encykl. powsz. Orgelbr.* XXIII, 622). Feliks Bentkowski w swojej *Historji literatury polskiej*, t. II, str. 310, pisze o Piotrze Słowackim, co następuje: «Piotr

Słowacki, profesor matematyki w Akademji Krakowskiej za Zygmunta Augusta, który (Słowacki, nie Zygmunt August) przy układzie poprawy kalendarza za Grzegorza XIII-go (stąd nazwa kalendarza *gregorjańskiego*) czynnym będąc, do sławy Akademji przyłożył się. Dowód tego w liście Papieża, który pracę dokładną i szczęśliwą w tej mierze Słowackiego, jako wybornego astronoma, pochwałą swoją zaszczycił, jak świadczy Sołtykiewicz (na str. 260), mówiący o tym liście, który się między rękopismami bibljoteki Akad. Krak. znajduje. Ile mi wiadomo, z prac jego uczonych (Słowackiego, nie Sołtykowicza), drukowane są kalendarze jego rachuby na południk wrocławski...» Cytowany tu przez Bentkowskiego Sołtykowicz pisze ze swej strony o Piotrze Słowackim, co następuje: «Grzegorz XIII Buocompagno, który był dawniej profesorem w Akademji Bonońskiej i sławnym prawnikiem, gdy tylko na Stolicę Papieską wyniesiony został, postanowił na wzór poprzednika swego Leona X-go, wrócić nieodwłocznie w należyte kadry rok astronomiczny, który się tak daleko był z nich wysunął. Zaraz więc na początku rządu swojego, r. 1572-go zgromadził do Rzymu z różnych miejsc matematyków, dla naradzenia się ostatecznie w tej tak ważnej świata i Chrześcijaństwa sprawie. Że nasi Krakowscy w niej, z chwałą swego narodu, nie dając się innym wyprzedzać, czynnymi byli, nie można o tem powątpiewać; ponieważ Ojciec Św. (jak czytam w rękopisie XVI-go wieku pod znakami E. E. II, 7, fol. 66), pracę dokładną i szczęśliwą w tej mierze Piotra Słowackiego, Akademika naszego, jako wybornego astronoma, pochwałą swoją wyraźnie zaszczycił». Zob. *O stanie Akademji Krakowskiej od założenia jej w r. 1347-ym aż do teraźniejszego czasu. Krótki wykład historyczny, Najjaśniejszemu Panu Fryderykowi Augustowi, Królowi Saskiemu, Książęciu Warszawskiemu etc. etc. na posiedzeniu Szkoły głównej dnia 10-go maja 1810-go, podany przez I. Sołtykowicza.*

W *Krakowie 1810 r., w drukarni Gröblowskiej*, str. 260. W *Historji literatury polskiej* Michała Wiszniewskiego, to, co jest o Piotrze Słowackim, jest dosłownym odpisem z Bentkowskiego i Sołtykowicza. Ob. t. VII, str. 368. Z dzieł Piotra Słowackiego dochowały się do naszych czasów następujące. Z niemieckich (bo pisywał i po niemiecku, nietylko po polsku i po łacinie): *Schreibkalender aufs 1583 Jahr durch M(agistrum) Petrum Slovacium der löbl. Universität zu Krakau Astrologum gestellt auf den Meridian der Stadt Breslau.* Breslau, bei Joh. Scharffenberger, 1581, in 4-to, 3½ ark. (z Notat Karola Estreichera), oraz: *New und alter Schreibkalender auf das Jahr 1585 durch D(octorem) P(etrum) Slovacium der löbl. Universität zu Krakau verordneten Astrologum.* Breslau bei Joh. Scharffenberger. (Ob. Dr. T. Żebrawski, *Bibljografja z piśmiennictwa polskiego z działu matematyki, fizyki oraz ich zastosowań.* (Kraków, 1873). Z polskich zaś: *Praktyka o komecie widzianej Roku Pańskiego 1577-go dnia 10 listopada, przez Mistrza Piotra Słowacjusza ze Zdakowa sła... Akademiej... Krak... Astrologa.* Tu ślad komety w drzeworycie; dolnej części kartki tytułowej brak. Na odwrotnej stronie szczątek tarczy z herbem Łabędź, nad którą w dwóch wierszach: «...Księdza Piotra Duni...a Płockieº Kancle: Koronneº. Następuje dedykacja: Jego Mo... dzu... Piotrowi... Wolskiemu, Bisk... y Kanclerzowi K... mu Mościweu Pa... wi w... M. Piotr Słowac... w łaskę m...». W przedmowie do czytelnika pisze: «Zdało mi się z drogi, gdybym nieco pierwej o tym dotknął, jako się takowe gwiazdy na niebie rodzą. O czem jeśli kto dostatecznie zechce wiedzieć, szerzejieśmy to *w łacińskim scripcie* napisali». Szczątki pierwszych czterech kartek drukiem gockim in 8º są w Bibl. Jag. In libro promot. na str. 211 czytamy: «Anno 1572 in decanatu mgri Josephi Thomae Vrędovii intra scripti artium ingenuarum baccalaurei in magistros artium ac doctores Philos. sunt promoti: Petrus Slovacius Zdacoviensis

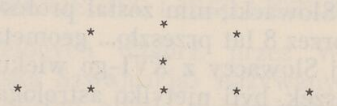
(collega)...» Na str. 222: «Anno Domini 1578 in decanatu Petri (Slovacii) Zdacoviensis... (Ob. u Żebrawskiego, *Dodatki do bibljografji*, str. 29).

Oprócz Piotra Słowackiego było jeszcze dwóch Słowackich: Stanisław i Franciszek. O Stanisławie Słowackim podaje T. Żebrawski w swych *Dodatkach do bibljografji mat.* (Kraków, 1886) na str. 36 następującą wzmiankę, wyjętą z jakiegoś starego dokumentu łacińskiego: «Johannes Ursinus patria Leopoliensis Canonicus ecclesiae collegiate Zamoscensis Academiae Rhetore publico, adtexta est. Leopoli primum graecis et latinis litteris instructus, Cracoviam adultus petiit et in philosophicis atque mathematicis disciplinis, Valentino Fontano viro doctissimo usus est. *Mortem Stanislai Slovacii medici et astrologi iniquissime tulit, cum enin doctorem in disciplina geometrica et astrologica habuit...*» Z powyższego wynika, że Stanisław Słowacki był astrologiem i doktorem medycyny. Trzeci Słowacki, Franciszek, był także astrologiem, jak o tem świadczy jego dzieło, znajdujące się po dziś dzień (z uszkodzonym tytułem) w bibljotece Ossolińskich we Lwowie. Tytuł tego dzieła brzmi: *Questio phisica de motu coelorum, a M. Francisco Slovacio, publice in Alma Academia Cracov. Deo auspice disputanda; anno a pertu Virginis MDCXXIIII... Mensis Augusti...* in 4-to kart. 6. (Żebrawski, *Bibljografja mat.*, 254).

Sądzę, iż wdzięcznem dla którego ze szperaczów naszych zadaniem byłoby wykazać, że ci Słowaccy-Mistrze, ci Astrologowie królewscy w XVI-ym wieku, ci profesorowie Akademji Krakowskiej, która się jednym z nich, Mistrzem Piotrem, szczycić mogła, że go posiada w swem gronie, że ci Słowaccy, ze Zdakowa w Galicji się wywodzący, byli przodkami Euzebjusza i Juljusza Słowackich, którzy także z Galicji byli rodem, skoro się Euzebjusz rodził w Podhorcach... Gdyby się tego komukolwiek dowieść kiedy udało, możnaby powinszować Słowackiemu takich przodków; albowiem

zaszczyt to nielada być pra-pra-prawnukiem takiego, jak Piotr Słowacki, człowieka, którego sam papież, «jako wybornego astronoma», osobną pochwałą zaszczycił. A przytem sprawiaćby to mogło wielbicielom Słowackiego niemałą przyjemność: pomyśleć, że w tym poecie, który tak «z gwiazdami rozmawiać» lubił, a w którego poematach i listach *(Anhelli, W Szwajcarji, Dantyszek, Ojciec zadżumionych)*, gwiazdy tak wielką grają rolę, że w tym poecie-marzycielu płynęła krew dawnych królewskich astrologów...

Uważam, że nie bez pożytku będzie przytoczyć na tem miejscu kilka takich ustępów z listów poety, gdzie mowa o gwiazdach, albowiem dadzą one może do myślenia niejednemu, komu spokoju nie daje kwestja dziedziczności psychicznej. Zdaniem H. Taine'a, Napoleon nie byłby takim, jakim był, gdyby w nim nie płynęła krew dawnych kondotierów włoskich, krew Macchiavelów i Borgiów. Czemużby więc nie przypuścić, że Słowacki dlatego z takiem zamiłowaniem oddawał się obserwowaniu gwiazd na niebie, ponieważ przodkowie jego w XVI wieku byli astrologami? Oto, co pisze np. w liście z Florencji, pod datą d. 2-go stycznia 1838-go: «Wczoraj na Nowy Rok oddałem kilka wizyt i wieczór przepędziłem u pani Zdzisławowej Zamoyskiej, w gronie ziomków. Ona sama niedawno syna powiła, a ja mu zrobiłem horoskop, bo wiedzą wszyscy, że w mieszkaniu mojem mam wieżę astronomiczną, gdzie często z gwiazdami rozmawiam, więc wierzą we mnie, jak w astrologa». Doprawdy, że czytając te słowa, mimowoli chce się wierzyć, że w chwili, kiedy je Słowacki pisał, pokutował w nim atawistycznie duch któregoś z jego przodków... Może duch Mistrza Piotra? Wszystko jest możebne... W liście znów z d. 19-go maja 1838-go r., także z Florencji, czytamy: «Nie dziw się droga, że tak wyrzekam: oddawna moje przyjemności przywykłem czerpać z błękitnego tylko nieba i od dwóch miesięcy nie widzę gwiazd, chociaż teraz Oryon, konstellacya podobna do lutni, którą ja ukochałem, widząc ją w pustyni nad moim namiotem, musi być na szczycie nieba, i wiem, że się chce ze mną zobaczyć». O tej konstelacji Orjona pisał raz bezpośrednio po przybyciu do Florencji: «Ty rano wstajesz, Filu; szukaj o godz. 4-tej wschodzącej konstelacyi Oryona na wschodzie, a obaczysz gwiazdę moją ukochaną, która mnie przez cały rok prowadziła. Gwiazdy tak są ułożone



Pierwszy raz poznałem się w Grecyi z tą lutnią niebieską. Za 2 miesiące ujrzysz ją wschodzącą o 8-ej wieczorem». Kiedy podróżując po Wschodzie, zamieszkał na sześć tygodni w klasztorze Maronitów na Libanie, obserwował niebo gwiaździste, a jedną taką konstelację gwiazd naszkicował w dzienniku, z napisem: «Niebo widziane w Bet-chesz-ban dnia 29 marca 1837-go r. o godzinie 8-ej wieczorem». (*Bibl. Warsz.*, 1891, IV, str. 352). Kiedy wracał stamtąd okrętem do Europy, pisał z nudów list do matki, a w liście tym donosił jej między innemi, co następuje: «Życie moje na statku jest bardzo jednostajne: wstaję przed wschodem słońca i obserwuję gwiazdy, w których się teraz głęboko zaciekam, pomagając często oku naszym okrętowym teleskopem. Potem widzę czerwieniące się niebo etc.». Tego Słowackiego, obserwującego gwiazdy przez teleskop, nie powstydziłby się Mistrz Piotr Słovaciusz, nadworny astrolog króla Zygmunta Augusta!... Wieczorami oddawał się również obserwowaniu gwiazd. «Wieczerza (pisze w tymże liście) i obserwacya gwiazd wschodzących dzień mój kończą».

Na zakończenie nie od rzeczy będzie może napomknąć, że Euzebjusz Słowacki, ojciec Juljusza (jakby przystało na potomka Piotrów, Stanisławów i Franciszków Słowackich), niemałemi odznaczał się zdolno-

ściami do nauk matematycznych. Leon Borowski w życiorysie jego szczególny na to kładzie nacisk. «W czasie pobytu swego w Krzemieńcu wypracował kilka rozpraw w materjach naukowych, równie dobrze wybranych, jak jasno i porządnie wyłożonych. Opisał życie i prace uczone Józefa Czecha (matematyka), w których dokładnym rozbiorze okazał, że nauki matematyczne nie były Słowackiemu obcemi». Nie należy zapominać, że Euzebjusz Słowacki, nim został profesorem wymowy i poezji, był przez 8 lat przeszło... geometrą królewskim. Wszyscy trzej Słowaccy z XVI-go wieku, Piotr, Stanisław i Franciszek, byli nietylko astrologami, doktorami medycyny i filozofji, ale i matematykami...

MIASTO RODZINNE SŁOWACKIEGO

KRZEMIENIEC I JEGO LICEUM

Wśród zielonych wzgórz, przez Wołynian powszechnie «polską Szwajcarją» nazywanych, w głębokim parowie, którym płynie unieśmiertelniona w *Beniowskim* rzeczka Ikwa, u podnóża wysokiej, ostro ściętej góry, «Bony ochrzczonej imieniem», a uwieńczonej na szczycie fantastycznemi ruinami starożytnego zamczyska, przez Olgierda ongi wzniesionego, leży miasteczko Krzemieniec, dzisiaj [1]) zżydziałe i podupadłe zupełnie, miasteczko, o którem śmiało powiedzieć można to samo, co Mickiewicz o Bagczyseraju w jednym ze swoich *Sonetów Krymskich:* że los nad niem krwawemi Baltazara zgłoskami wypisał słowo «ruina»; i ono bowiem, jak owo «możnych Ghirajów» dziedzictwo, miało niegdyś — nie tak dawno jeszcze — swoje czasy świetności i blasku, czasy, kiedy je nazywano «nowemi Atenami na ziemi wołyńskiej», kiedy «jaśniał» Czacki, kiedy się mówiło w całej Polsce, że Krzemieniec «żyje i oddycha swoją szkołą, a cała prowincja Krzemieńcem». Ale skończyły się piękne dni Aranjuezu: w roku 1834 przeniesiono liceum do Kijowa, gdzie zostało przeobrażone w uniwersytet, a Krzemieniec przestał być «ostoją narodowości i kultury polskiej» na wschodnich kresach dawnej Rzeczypospolitej. Z dawnych gmachów, dotąd zdobiących miasto, całe i nienaruszone pozostały tylko licealne, po-jezuickie mury, z obszernym dziedzińcem dookoła, opasanym przepyszną galerją z cio-

[1]) Pisane w roku 1893.

sowego kamienia, z figurą Najśw. Panny pośrodku... Kościół licealny, z dwiema wieżami i wielką kopułą, zmienił się do niepoznania, a to samo stało się również i z innemi większemi świątyniami katolickiemi: z kościołem OO. Franciszkanów, tudzież z niewielkim kościółkiem OO. Reformatów, który, położony na wysokiej górze, w pięknym gaju leszczynowym, szeroko słynął z powodu swej oryginalnej architektury... Z białych domków z ogródkami i przysionkami o dwóch lub czterech kolumnach — tych domków, które Słowacki w *Godzinie myśli* przyrównywał do «pereł, szmaragdami ogrodów przeszytych» — pozostały tylko rudery, zamieszkałe przez niechlujną dziatwę Izraela, żyjącą z drobnego handlu i kontrabandy; kontrabanda bowiem, dla bliskości granicy austrjackiej, kwitnie tu w całej pełni. Na ulicach słychać prawie wyłącznie żargon żydowski; na rynku bawią się dzieci, przeważnie żydowskie, po kałużach pływają kaczki, w kupach śmieci grzebią kury, a po szynkach, których najwięcej pomiędzy sklepikami, obradują kontrabandziści. Jednem słowem, niema dziś poco jeździć do Krzemieńca; chyba poto jedynie, ażeby się przekonać naocznie, że *sunt lacrimae rerum*.

Inaczej działo się tu przed laty, pomiędzy rokiem 1805 a 1834; wtedy, od końca sierpnia aż do ostatnich dni czerwca, u podnóża góry Zamkowej i niższej trochę od niej Czerczy, — które według pseudoklasycznego wyrażenia J. U. Niemcewicza «jak niegdyś w Delfach dwa szczyty Parnasu» wieńczyły to «nauk siedlisko» — wszystko kipiało tu życiem, wszędzie panowała atmosfera rodzima, całkiem niepodobna do dzisiejszej. W tych niepozornych dworkach, nadających miastu pozór wsi, mieszkali często ludzie, którzy polorem, światłem, znaczeniem, mogli być (i bywali istotnie) duszą i ozdobą najwyższych towarzystw europejskich; dość powiedzieć, że takie rodziny, jak Sapiehów, Radziwiłłów, Ożarowskich, Chodkiewiczów, Drzewieckich i w. i. znajdowały tu godne siebie otoczenie, tak, iż wielu

z nich, zamiast jeździć na zimę do Włoch lub do Paryża, zjeżdżało do Krzemieńca. Niektórzy nawet, pobudowawszy domy, osiedlili się tu na stałe. Książę Franciszek Sapieha, ile razy wracał z Neapolu lub Makaryewa, zawsze wypoczywał w Krzemieńcu. Przed rokiem 1812 przesiadywał tu czas dłuższy X. Hugo Kołłątaj, wciskając się do zaufania Czackiego, który go w głębi duszy nie lubił podobno, a może się lękał... Legendowy Wacław Rzewuski, co zginął pod Daszowem, tutaj strawił niejeden miesiąc życia: tutaj jadał i sypiał przy swojej ulubionej klaczy arabskiej, której minjaturę razem z minjaturą kochanki zawsze nosił w pugilaresie; tutaj ubrany po turecku, w zawoju, czytywał Koran; tutaj ściany swego domu pozapisywał arabskiemi wężykami; tutaj, kiedy go odwiedzali znajomi, nie podejmował ich nigdy inaczej, tylko — zwyczajem wschodnim — fajką i wodą; tutaj, ku najwyższemu podziwieniu uczniów liceum i dzieciaków żydowskich, wjeżdżał konno na spadzistą górę Zamkową i ciskał dzirytem lub strzelał z pistoletu; tutaj komponował swe melancholijne arje i pisał poezje polskie; stąd wreszcie, w roku 1830, «w stepowe zapuścił się szlaki,

A za nim, na koniach, buńczuczne kozaki,
W czerwieni i w bieli, po stepach płynęli,
Po smutnych kurhanach przeszłości».

Tutaj w roku 1818 J. U. Niemcewicz płakał, gdy mu wchodzącemu na bal zaśpiewano niespodziewanie «Za szumnym Dniestrem, na Cecorskiem błoniu». Tu jenerał Krupiński, opowiadał wesołe chwile towarzystwa Puławskiego. Tu szef Drzewiecki rozprawiał o odbytych wspólnie z Dąbrowskim kampanjach w ziemi włoskiej i pisał swoje *Pamiętniki*. Tu Alojzy Feliński, bystry, dowcipny i rozumny, w którym więcej było uczucia i poezji, niż w jego książkach i rymach, opisywał chwile pobytu swego w obozie Kościuszki. Tutaj ze łzami w oczach, często z głośnem szlochaniem, dyktował

Czacki swe dzieła, dzieła, w których widać duszę rozdartą przeświadczeniem, «żeśmy mogli być wielkim i potężnym narodem», lecz dobrowolnie zamiast wielkości, przodkowie nasi zostawili swym wnukom poszarpaną dziedzinę. Tu Franciszek Rudzki opowiadał wypadki ostatniego sejmu grodzieńskiego, którego był uczestnikiem. Tu bogaty i w troje zgięty hrabia Moszyński, w diamentowe guzy przystrojony, spotykał się z młodym Mniszchem, potomkiem w prostej linji ojca carowej Maryny. Tu książę Adam Czartoryski odwiedzał w roku 1809 Czackiego, który bytność jego złotemi literami na marmurze wyryć kazał. Tu, pochylony ku ziemi, chociaż nie stary wcale, ks. Alojzy Osiński, następca Euzebjusza Słowackiego, czytał Skargę i pisał jego żywot, pracując jednocześnie nad słownikiem języka polskiego, a w wolnych chwilach wygrywając na skrzypcach [1]). Tutaj Józef Korzeniowski wykładał od roku 1823 literaturę polską i, patrząc okiem obserwatora-powieściopisarza na życie krzemienieckie, zbierał materjały do swego *Tadeusza Bezimiennego*.

...Bohater powieści tej kształci się, jak wiadomo, w liceum krzemienieckiem, co daje asumpt autorowi do skreślania całego szeregu scen, którym to ukochane dzieło Czackiego służy za tło; że zaś talentem mało kto zrównał u nas Korzeniowskiemu — co mu nawet Klaczko w swej zabójczej krytyce *Krewnych* przyznaje — nie dziw więc, że doczekawszy się takiego Homera, Krzemieniec ożył pod jego piórem na nowo, ażeby już od tej chwili żyć wiecznie, przynajmniej w sercach naszych...

* *
*

Wykłady w liceum rozpoczynały się z dniem pierwszym września, co sprawiało, jak powiada autor

[1]) Por. J. K. Stecki, *Krzemieniec i jego okolice*, w *Dzienniku literackim* (lwowskim) z r. 1865. Nr. 78 i nast.

Tadeusza Bezimiennego, że od czasu założenia szkoły krzemienieckiej, koniec sierpnia był dla mieszkańców Wołynia i Podola epoką ważną. Na wszystkich główniejszych traktach roiło się zawsze o tej porze od mnóstwa wózków i bryczek, bud żydowskich, *perekładnych*, koczów obywatelskich i pańskich karet, bo młodzież zjeżdżała się do Krzemieńca, a z paniczami jechały niejednokrotnie ich matki i siostry: pierwsze dla lepszego niby dopilnowania edukacji synów, drugie dla zabawy. Stąd zdarzało się nieraz widzieć całe t. zw. «karawany dworskie», składające się często z kilku rozmaitych powozów, w których oprócz państwa jechała cała kawalkata służby, panien służących, guwernantek, lokajów, kuchcików, kozaczków *et consortes*. Karawany takie z największą były wyczekiwane niecierpliwością przez gospodynie przydrożnych domów zajezdnych, czyli t. zw. «Dębowych karczem», które, rozrzucone gęsto wzdłuż Jampolskiego traktu, najbardziej ożywionego wówczas, bo łączącego Krzemieniec z najbogatszą częścią Wołynia, z całem Podolem, Poberežem i Ukrainą, ogromne miały wzięcie. Z karczem tych najsławniejszą była szczególniej jedna, nie dębowa, lecz murowana, a przytem z największym względnie urządzona komfortem. Dla jadących do Krzemieńca, nocleg w niej lub popas należały do przyjemnych konieczności. Z końcem sierpnia panowało zawsze w Dębowych karczmach niezwykłe ożywienie. Gwar rozmowy, rżenie koni, nawoływania woźniców, wszystko to pomieszane razem, rozbrzmiewając wśród natłoku najrozmaitszych pojazdów, miało dziwny jakiś, z niczem nieporównany urok (urok, który tego rodzaju scenom nadawać umie w swoich obrazach Józef Brandt). Rozumie się samo przez się, że i na brak humoru nikt się tu nie uskarżał. Smutnych i zasępionych twarzy — jak świadczy Korzeniowski — nie spotykało się wtedy: po dwumiesięcznych wakacjach tęsknił już każdy do pracy, każdy jechał z ukontentowaniem, wiedział bowiem, że w Krzemieńcu,

oprócz nauki, czeka go przyjaźń kolegów, piłka na galerji kolegjum, rozkoszne przechadzki po górach, samotne rozmyślania na zamku królowej Bony, składkowe podwieczorki u Mińczuczki, nowy głos profesora, którego nie słyszał jeszcze, a przytem nowe pole wiadomości, na które rad był co najprędzej wstąpić. Tacy nawet, którzy dojeżdżali do Krzemieńca, mając kilka złotych zaledwie w kieszeni, jechali bez troski i z nadzieją, że tam nie zginą, gdyż fundamentalne prawidło tej szkoły, że każdy uczeń musiał być lub sam dozorcą domowym albo mieć dozorcę, najbiedniejszym nawet dodawało śmiałości, krzewiąc w sercu otuchę, że znajdą pracę i co zatem idzie, jakie takie utrzymanie [1]).

Dnia 1 września z uderzeniem godziny 8-mej rano, odzywał się chrapliwie dzwon licealny i dzwonił cały kwadrans; znaczyło to, że dzień otwarcia szkoły się rozpoczął, że wszyscy należący do niej, zarówno profesorowie jak i uczniowie, znaleźć się winni niebawem przed kościołem. Około wpół do 9-tej dawała się słyszeć cienka, mile brzmiąca sygnaturka, co było znakiem, że zbliżała się chwila wyjścia Mszy świętej, że uczniowie z dalszych i bliższych części miasta powinni wyruszać z domu. Stosowało się to również i do profesorów. Nakoniec na kilka minut przed 9-tą uderzano w wielki dzwon katedralny, obwieszczający całemu miastu, że będzie kazanie. Ta muzyka dzwonów powtarzała się później w każdą niedzielę i święto; w dni powszednie, oprócz sygnaturki, wzywającej Krzemieńczan — a uczniów liceum w szczególności — do wysłuchania Mszy św., odzywał się o pewnych godzinach znany całemu miastu dzwonek szkolny, zwołujący uczniów na lekcje, a który, rozbity od niepamiętnych czasów, brzęczał przeraźliwie, ale tak głośno i tak inaczej, jak wszystkie inne licealne i reszty kościołów, że — jak powiada Karol Witte w swoich wspomnieniach Krzemieńca [1]) — nikt się omylić nie mógł, kogo ten dzwon wzywa: na odgłos jego każdy gimnazjasta biegł co tchu w stronę liceum [2]).

[1]) Por. *Tadeusz Bezimienny* str. 175 i 177 (w tomie IV «Dzieł J. Korzeniowskiego», wyd. red. *Kłosów*, Warszawa, 1887).

O godzinie 9-tej punktualnie w kościele licealnym trudno się już było przecisnąć. Na środku nawy, bliżej wielkiego ołtarza, na krzesłach w dwóch szeregach, siedzieli profesorowie z prefektem i dyrektorem na czele, wszyscy w galowych mundurach. W roku 1809 grono to stanowili: znakomity Józef Czech, dyrektor, tyle zasłużony w Akademji Krakowskiej, a w Krzemieńcu wykładający wyższą matematykę; Wojciech Jarkowski, wykładający język grecki; Besser, botanik; X. Osiński Alojzy, ekspijar, wykładający literaturę łacińską; Lefort, nauczyciel języka francuskiego i geografji; Michalski, nauczyciel języka niemieckiego i historji (w niższych klasach); Klembowski, nauczyciel malarstwa, i w. w. i. Do roku 1813 widywano także i Tadeusza Czackiego pomiędzy nimi, z niebieską wstęgą pod rozrzuconym mundurem, z łysą, w tył wygiętą głową, z przymrużonemi oczami, z których — jak powiada Korzeniowski — biły promienie rozumu i dobroci [3]). Za

[1]) *Krzemieniec*, przygody i wspomnienia studenta pierwszej klasy przez Walentego Spektatora (Karola Wittego). Kraków, 1873. Zob. str. 106.

[2]) W r. 1834, kiedy zamknięto liceum Krzemienieckie, przebywający podówczas w Genewie Juljusz Słowacki, któremu nieomieszkano donieść o tem z domu, przypomniał sobie brzęczenie tego dzwonka i takie o nim napisał rzewne słowa w liście swym do matki z d. 13 lipca 1834 r.: «Takie samo wrażenie (jak na Genewian muzyka zegarów genewskich) sprawia na was dzwonek szkolny, rozbity, krzemieniecki; niestety, dzwonek ten ogłuchł; głos i śmiechy żaków grających w piłkę, nie rozlegają się więcej (już) po pustej galerji waszego kościoła. Widzę stąd umarłą twarz waszej mieściny i z większym smutkiem patrzałbym na nią dzisiaj, niż na marmurową i umarłą Wenecję». (Listy, I, 171).

[3]) *Tadeusz Bezimienny*, str. 159. — Ob. także: Karol Kaczkowski, *Wspomnienia* (Lwów, 1876), I, 52

nimi, w dalszych ławkach, blisko wejścia, widziałeś pierwszych protektorów szkoły: Filipa hr. Olizara, podczaszego koronnego, Aleksandra hr. Chodkiewicza, Michała Sobańskiego, Wacława Borejkę, Filipa hr. Platera, Romualda Steckiego, szefa Józefa Drzewieckiego, ówczesnego marszałka szlachty krzemienieckiej, Pawła i Franciszka Sapiehów, Dymitra i Józefa Czetwertyńskich [1]) i w. i. W ławkach naczelnych, po obu stronach, siadywali rodzice uczniów, bądź stale mieszkający w Krzemieńcu dla edukacji dzieci, bądź przybyli umyślnie z domu na uroczystość otwarcia roku szkolnego. Dalsze miejsca zajmowały żony i dzieci profesorów. Pod amboną i naprzeciw niej grupowały się wychowanice dwóch zakładów żeńskich; przed ołtarzem zaś, przy kratach presbiterjum i w przedziałach między ławkami stali uczniowie czterech klas gimnazjalnych i trzech kursów licealnych, wszyscy w granatowych mundurach ze złotemi guzikami [2]). W r. 1809 można było pomiędzy tymi studencikami widzieć w takimże mundurku i 16-letniego podówczas Antoniego Malczewskiego, przyszłego śpiewaka *Marji* [3]). Z uderzeniem dzwonka przy zakrystji, wychodził przed wielki ołtarz liczny orszak do służby w czasie mszy przeznaczony: naprzód sześciu studentów, parami, mniejsi na czele, starsi za nimi, wszyscy w eleganckich komżach, ładnemi koronkami obszytych, z długiemi, kolorowemi wstążkami, a za nimi w ozdobnych i bogatych ornatach, celebrant ks. Kulikowski z dwoma asystentami; poczem, jak zwykle w takich razach, odzywała się muzyka na chórze, w dni uroczyste złożona z amatorów, pod dyrekcją licealnego nauczyciela gry na skrzypcach, Lencego [4]). Po odśpie-

[1]) Kaczkowski, op. cit. I, 26—29.

[2]) Por. Walenty Spektator, *Krzemieniec*, przygody i wspomnienia studenta pierwszej klasy, str. 110, 102, 103. Także *Tadeusz Bezimienny* str. 169.

[3]) Ob. Mikołaj Mazanowski, *Żywot i twory Antoniego Malczewskiego* (Lwów, 1890), str. 6—9.

[4]) W. Spektator, op. cit. str. 110, 111.

wanej ewangelji, ukazywał się na ambonie ks. Prokop (Krzywicki), kapucyn, znakomity szkoły tej kaznodzieja «i tym głosem przenikającym i rzewnym, który się wciskał do każdej piersi, uczył młodzież obowiązków wdzięczności dla rodziców, dla przełożonych, od roku 1813 zaś, kiedy umarł Czacki, wrażał w serca jej pamięć człowieka, który żył tylko dla niej» [1]).

Po skończonem nabożeństwie, uwieńczonem na finał hymnem *Veni Creator*, opróżniał się wielki pojezuicki kościół, a zgromadzenie całe przechodziło do t. zw. sali fizycznej, zamienionej na aulę, w której jeden z profesorów — do roku 1811 zawsze Euzebjusz Słowacki — miał odczyt dla publiczności [2]). Sala ta — w ciągu roku szkolnego zastawiona całkowicie przyrządami do doświadczeń fizycznych — mogła pomieścić kilkaset osób. Na ścianie głównej, naprzeciw drzwi wchodowych, wisiał w pewnej wklęsłości muru, pomiędzy dwiema kolumnami z białego alabastru, duży portret cesarza Aleksandra I, a od roku 1813 począwszy, bliżej nieco, pośrodku tej samej wklęsłości, stał na marmurowej kolumnie biust Tadeusza Czackiego [3]). Pod portretem cesarskim był stół, czerwonym aksamitem ze złotą frendzlą okryty. Na stole — jak powiada Józef Korzeniowski — leżał dyplom przez «wiekopomnego monarchę» szkole tej ofiarowany. Na prawo wznosiła się mała mównica dla czytającego rozprawę profesora. Przy stole zasiadali z Czackim na czele członkowie komisji edukacyjnej, obaj zwierzchnicy szkoły, tudzież biskup Łucki, jeżeli posiedzenie obecnością swą zaszczycić raczył; za nimi — jak świadczy autor *Tadeusza Bezimiennego* — pstrzył się rząd dam, w stosownych i pięknych strojach, z uśmiechem macierzyńskim na ustach,

[1]) *Tadeusz Bezimienny*, str. 158. O ks. Prokopie zob. u Spektatora, op. cit., str. 113—114.

[2]) Zob. *Dzieła* Euzebjusza Słowackiego (Wilno 1826) III, 293, 330, 364, 388.

[3]) Spektator, op. cit., str. 115.

i grono panien, upatrujących w tłumie młodzieży braci i krewnych; na końcu zaś widziałeś poważne i zainteresowane twarze ojców, oraz masę publiczności, przyjezdnej i miejscowej. Studenci mieścili się gdzie mogli, stojąc.

Nazajutrz rozpoczynały się lekcje, trwające — z przerwami od 12-tej do 1-szej w południe — od 8-mej rano do 6-tej wieczór.

Od chwili tej opustoszały trochę w ciągu wakacji Krzemieniec ożywiał się znacznie. Na ulicach roiło się więcej przechodniów; w powietrzu rozbrzmiewał co godzina pęknięty dzwonek szkolny; wszędzie panował ruch, ożywienie. Najhałaśliwiej bywało o pewnych godzinach wpobliżu gimnazjum, gdzie wśród pejsatych żydków z łakociami, uwijających się między młodzieżą, dwóch zwłaszcza, Pekunia i Czerny, najwięcej sprzedawali przysmaków, gdyż mieli prawo handlowania ciastkami i przekąskami na dziedzińcu licealnym nawet w czasie każdej 10-minutowej pauzy [1]).

Wogóle, jeżeli chodzi o ruch handlowy, który jak wszędzie, tak i w Krzemieńcu znajdował się prawie wyłącznie w rękach żydków, to w ciągu roku szkolnego, a zwłaszcza na jego początku, obroty powiększały się stale, albowiem przyjeżdżający tu z synami rodzice nie odrazu wracali do domu, lecz zostawali czas jakiś, «aby poznać dokładnie Krzemieniec i przypatrzeć się nagromadzonym przez Czackiego skarbom». Następujący urywek z *Tadeusza Bezimiennego* doskonale ilustruje podobne zwiedzanie Aten Wołyńskich [2]) przez przyjezdne obywatelstwo. «Anna — powiada Korzeniowski — została jeszcze w Krzemieńcu przez kilka dni, a chłopcy, którzy nie odstępowali na krok matki i córki, oprowadzali je po gmachu szkolnym, różne pokazując osobliwości. W milczeniu przeszli przez bibljotekę, która dziś

[1]) W. Spektator, op. cit., str. 175.

[2]) Tym, który pierwszy nazwał Krzemieniec «Atenami Wołyńskimi», był minister oświaty, hrabia Zawadowskij.

w poważnej swej ciszy, zaludniona tylko marmurowemi twarzami wielkich mężów, poglądających ze ścian nad szafami pełnemi książek, wydała się tem większa, tem bardziej wrażająca cześć i uszanowanie. Tam, skłoniwszy się przed biustem założyciela szkoły, obejrzeli bogaty gabinet medalów, przeszło 20.000 sztuk zawierający; poczem, minąwszy wielką galerję, przed kościołem znajdującą się, na której młodzież zbierała się w letnie wieczory, przeszli do drugiej połowy gmachu, niegdyś klasztoru bazyljanów, obejrzeli gabinet fizyczny, z kosztownych narzędzi złożony, gabinet mineralogiczny, zoologiczny, a wreszcie laboratorjum chemiczne, które im sam profesor, miłujący przedmiot swój nadewszystko, pokazywał... Obejrzawszy obserwatorjum astronomiczne i gabinet machin, do szkoły mechaników należący, skończyli uczoną wędrówkę swą na ogrodzie botanicznym, ciesząc się jego porządkiem i widokami, dziwiąc się oraz tylu tysiącom roślin i kwiatów, z różnych stref pod jeden dach zgromadzonych... W ciągu następnych dni chodzili po górach, odwiedzając najpiękniejsze miejsca, zwykłe przechadzki studentów, zwykłe punkta, gdzie się zbierali, gdzie podziwiając naturę, rozmawiali o swoich pracach, o dalszym kierunku w życiu i odległych, a opromienionych tyloma złudzeniami nadziejach. Gdy stanęli nad skałą, którą uczniowie, przez wygórowaną erudycję, Tarpejską nazwali, Anna i Sabinka, zachwycone widokiem, który się im odkrył z tego urwiska, zieloną i miękką okrytego murawą, ujrzały pod nogami swemi przepaść, mocno wgłębioną i kilkadziesiąt stóp wynoszącą; dalej zaczynała się stroma pochyłość, obrosła ogromnemi drzewami, których tylko korony można było widzieć. Pochyłość ta ciągnęła się aż do parowu, którego oba boki, znacznie od siebie odchylone i zarosłe najpiękniejszemi drzewami, podnosiły się na kilkaset stóp w górę. Przez parów ten otwierał się widok na pola, na zielone sianożęci i błonia; widać było zdaleka Ikwę, wijącą się, jak

świetna jaka wstęga, a za nią bory sosnowe, wsie okoliczne, białe mury w Podberezach i samotną górę Podbereziecką, od wieków tam patrzącą na szereg sióstr swoich, skupionych, od których ją snać wody odniosły i do których wrócić nie może» [1]).

Z nadejściem zimy, po świętach Bożego Narodzenia, kiedy góra królowej Bony bieliła się od śniegu, w Krzemieńcu zaczynano palić sute ofiary na cześć arlekinowatego bożka karnawału: rozpoczynały się słynne na cały Wołyń zapusty krzemienieckie, które nieprzyjaciołom Czackiego (a miał ich wielu!) aż nadto w swoim czasie dostarczały tematu do szkalowania Krzemieńca i systemu, jakiemu hołdowała tamtejsza pedagogika. Jak do Kijowa na kontrakty, tak do Krzemieńca zjeżdżała się cała okolica na karnawał. Taki już panował tu zwyczaj. Zainaugurował go po części sam Czacki, który uważał, iż zebrania publiczne, «gdzieby młodzież pod okiem władzy szkolnej, nauczycieli, rodziców i obywatelstwa, bawiąc się, przywykała do więcej światowego znajdowania się w towarzystwie», tylko z korzyścią dla niej mogą być połączone. Dlatego rad zawsze widział, jeżeli wychowańcy jego szkoły mieli od czasu do czasu sposobność potańczenia i zabawienia się. W tym celu przyczynił się nawet w r. 1810 do założenia w Krzemieńcu t. zw. kasyna, gdzieby się miejscowe życie towarzyskie koncentrować mogło. Jakoż kiedy nadszedł karnawał, bawiono się tu nieraz do białego dnia. Prócz tego urządzali u siebie wielkie przyjęcia: Radziwiłłowie, Chodkiewcze, Ożarowscy, Drzewieccy, Gadomscy, którzy pod względem wpajania w młodzież sekretów poloru towarzyskiego, stanowczo trzymali prym. Atmosfera bowiem, panująca na tych balach, była *par excellence* europejska, stołeczna, tak, iż — jak zapewnia Korzeniowski — «jeśli kto przyjechał w nocy do Krzemieńca i, wszedłszy

[1]) Dzieła Józefa Korzeniowskiego, IV, 202, 203.

niespodziewanie do jednego z tych salonów, rzucił okiem na grono poważnych dam, na orszak mężczyzn z wyraźnemi cechami dobrego wychowania, na strojną gromadkę panien, wesołych i pięknych, jakby je kto umyślnie dobierał, aniby mu do głowy nie przyszło, że się znajduje w małem miasteczku, ścieśnionem w dole między wysokiemi górami, nie mającem kamienic, nie wszędzie brukowanem, złożonem z domów drewnianych, z których ledwie kilkanaście było większych i nie koszlawych». Obok tych wieczorów «magnackich», wspaniałych i hucznych, mniejszym świeciły blaskiem skromne, składkowe pikniki nauczycielskie, kolejno urządzane przez panie profesorowe, a na których rej wodziła młodzież licealna, pod wodzą starego Uldyńskiego, jedynego z profesorów, który choć stary i łysy, «zawzięcie w takt należyty tańczył», będąc pewnym, że wielka jego powaga i szacunek, jakim go uczniowie otaczali, na żaden szwank narażone przez to nie będą [1]). Inni profesorowie, najmłodszych nie wyjmując, nie tańczyli nigdy.

Ale niestety, zło łatwo się rozkrzewia, cóż dopiero tak ponętne zło, jak zabawa. Panowie i panie, którzy przedtem w poszukiwaniu zabawy włóczyli się zagranicą, osiadłszy w Krzemieńcu lub przyjeżdżając tu na czas karnawału, skrzywili do pewnego stopnia myśl Czackiego, zbyt wiele bowiem przywozili z sobą pod Górę Zamkową ochoty do tańca. Stąd poszło, że młodzież szkolna, rozrywana przez nich, więcej zaczęła zczasem — przynajmniej w karnawale — myśleć o zabawie, aniżeli o nauce, a nadto, ponieważ miała powodzenie w salonach, przejmowała się zbytnio pewną próżnością światową, tak, iż niemała ich część zasłużyła sobie później na ironiczne miano trefnisiów krzemienieckich, do Krzemieńca zaś — powiada X. Jełowicki — jechał już nietylko ten, co się chciał uczyć, ale i ten,

[1]) W. Spektator, op. cit., str. 225.

co się chciał bawić. «Wielu o mil kilkadziesiąt ciągnęło na zapusty do Krzemieńca, jak lud pobożny ciągnie na odpust do Poczajowa»...[1]). Na młodzież nie mogło to oczywiście pozostać bez niepożądanego wpływu: wielu zaczęło zbyt wielką przywiązywać wagę do powierzchowności, do stroju, ze szkodą dla strony umysłowej i moralnej, a nie brak było i takich, którym się wskutek tego do reszty przewróciło w głowie i myśleli, że są Bóg wie czem... Takich nazywano czubami krzemienieckimi, a pani starościna ma trochę racji, kiedy w *Tadeuszu Bezimiennym* powiada: «Co też to za prezumpcje roją się pod temi czubami krzemienieckimi»[2]).

Niegorzej bawiono się w poście, tylko inaczej. O ile w karnawale wieczory tańcujące, kuligi, szlichtady i t. p. były na porządku dziennym, o tyle teraz, kiedy skończył się sezon Terpsychory, zaczynała się pora wieczorków muzykalno-deklamacyjnych, rautów, etc. Na brak koncertów nie mógł się również Krzemieniec w epoce tej uskarżać, żaden bowiem ze znakomitszych artystów, który odwiedził już Petersburg, Moskwę i Kijowskie kontrakty, nie mijał Aten Wołyńskich[3]). Dnia 10 marca 1820 r. śpiewała tu rozgłośna w całej Europie Catalani, a Lipiński grał na skrzypcach. Na pamiątkę pobytu słynnej *divy* nad Ikwą, jednę z ulic urządzającego się naówczas miasteczka przezwano ulicą Catalani, a po wyjeździe jej długo jeszcze żyła pomiędzy Krzemieńczanami tradycja o uniesieniu, z jakiem szef Drzewiecki wysiadającej z powozu śpiewaczce własny płaszcz rzucił pod nogi, ażeby sobie pantofelków zabłocić nie potrzebowała[4]).

Skoro się już wspomniało o błocie, to wypada mu

[1]) Aleksander Jełowicki, *Moje wspomnienia*, Poznań 1877 (wyd. drugie), str. 177.
[2]) Dzieła Józefa Korzeniowskiego, IV, 163.
[3]) Tamże, 176.
[4]) Pamiętniki Józefa Drzewieckiego, Wilno 1858, str. 344.

na tem miejscu koniecznie obszerniejszą poświęcić wzmiankę, rola bowiem, jaką w Krzemieńcu grało przysłowiowe błoto krzemienieckie, nie była wcale drugorzędną. Bawiący tu w r. 1818 z Adamem ks. Czartoryskim Juljan Ursyn Niemcewicz powiada w swoich słynnych *Podróżach historycznych*, że w słotę smutnym jest pobyt w Krzemieńcu, albowiem niedostatek bruku i położenie górzyste, nierówne, sprawia, że za spadnięciem deszczu ulice stają się błotnistemi nie do przebycia, tak, iż w zimie nieraz czterema końmi ledwo wydobyć się można. Nieinaczej brzmi świadectwo, wydane pod tym względem Krzemieńcowi przez Lelewela, który w listach swoich do rodziny błotu krzemienieckiemu wystawia prawdziwie horacjuszowskie *monumentum aere perennius*. Oto np. co czytamy o niem w liście tego znakomitego historyka do brata pod datą 7 lipca 1809 roku: «Błota pełno, a grunt gliniasty. Mimo lata suchego ledwie kilka tygodni, co zupełnie wyschnie, a i tak wiele ulic dotąd jest miękkich; dość powiedzieć, że bywają wypadki, iż kiedy nagły deszcz spadnie w tym obszernym wąwozie, po parze żydów wśród suchego lata potonęło»[1]). Walenty Spektator (Karol Witte) powiada również, że w późnej jesieni, wśród deszczów nieustających, lub na wiosnę, w czasie puszczania lodów, topiły się w Krzemieńcu i na Maćkowej dolinie «ludzie czasem, konie często». Szef Drzewiecki, który jako marszałek szlachty krzemienieckiej, taką w historji Krzemieńca odegrał rolę, jak baron Hausmann w dziejach Paryża za drugiego cesarstwa, dopóty nie mógł sypiać spokojnie z powodu tego błota, dopóki nie znalazł odpowiednich funduszów na wybrukowanie jednej przynajmniej ulicy Szerokiej[2]), przyczem niejednokrotnie dał się we znaki miejscowym synom Izraela. Charakterystycznym pod tym względem

[1]) Listy J. Lelewela, Oddział pierwszy. Listy do rodzeństwa pisane, tom I, str. 149 (Poznań 1878).
[2]) Karol Kaczkowski, *Wspomnienia*, str. 29.

i pełnym mimowolnego humoru jest jeden z listów Józefa Drzewieckiego, który w zapale *hausmanizowania* swego rodzinnego miasteczka tak pisze raz w maju 1819 do któregoś z przyjaciół: «Oni (t. j. różni właściciele nieruchomości w Krzemieńcu) tu na mnie patrzą, jak na zdobywcę, co niszczy i któremu ulec trzeba, gdy go pokonać nie można; lecz spodziewam się, że choć mię przeklinają teraz, oswoją się z porządkiem i później mi złorzeczyć nie będą... Po dwóch latach walki z okupującymi się żydami, wygnałem nakoniec ich brudne jurty i walę je dziś bez litości. Oczyszczę zatem część niższą rynku i brukuję natychmiast...»

W chwili, kiedy pan szef słowa te pisał, potrzeba wybrukowania główniejszych ulic dawała się uczuć tem dotkliwiej, że była to właśnie wiosna, maj, epoka więc, w której ulice Krzemieńca, częstym deszczem roztapiane, z samych składały się kałuż, większych lub mniejszych, głębszych lub płytszych, a nie zawsze miły rozsiewających zapach.

Szczęściem, klimat tutejszy, z powodu silnych wiatrów, które wiejąc między górami oczyszczały powietrze, należał do najzdrowszych w okolicy, tak, iż Krzemieniec, pomimo swego osławionego błota, był miastem zdrowem, w którem ludzie żyli długo, a chorowali rzadko. Pomiędzy uczniami liceum także zdarzało się bardzo rzadko, ażeby który zachorował. Co prawda, dbałość o zdrowie ich, nietylko moralne ale i fizyczne, była jednym z główniejszych punktów w pedagogicznym programie Czackiego. Nadzwyczajny też kładł zawsze na to nacisk, ażeby młodzież poza godzinami wykładowemi, dużo używała ruchu, i to na świeżem powietrzu. Stąd owe, obowiązkowe poniekąd, gry w piłkę na dziedzińcu licealnym, pod okiem prefekta, profesorów, czasem najpoważniejszych obywateli kraju [1]), a kiedy żył Czacki, pod jego osobistym

[1]) W. Spektator, op. cit., 221.

przewodem, pomimo, że dla krótkiego bardzo wzroku nigdy nie mógł ani piłki złapać, ani w łapę dobrze palnąć [2]). «Zawsze nas cieszyło niezmiernie, gdy on do zabawy należał, a każda partja chciała go mieć między sobą. Chwytaliśmy więc starostę za poły, całowaliśmy po rękach, zapraszając każdy w swoją stronę. Dogadzał on i tym i owym, aż wkońcu, umęczony, wymykał się z pośród nas pokryjomu prawie».

Oprócz codziennej — w godzinach rekreacyjnych — zabawy na galerji, w piłkę, w wolanta, w palanta, w kaszę, w ściankę, w żyda wreszcie, lekcje konnej jazdy, fechtunku, pływania i tańca, bardzo się przyczyniały do rozwijania młodych organizmów. W niedziele i święta, gdy nie było lekcji, odbywano wycieczki za miasto, na Zołoby, do futoru Wasylichy, na górę Czerczy. Kiedy nadeszła wiosna, odbywano majówki takie co pewien czas regularnie; a że odbywano je hucznie, z muzyką, w szyku bojowym, szeregami po czterech w jednym, każda klasa pod wodzą jednego nauczyciela, każda ze swoją chorągwią, sława więc majówek krzemienieckich zaczęła być równie głośną niebawem, jak sława krzemienieckiego... błota.

W drugiej połowie czerwca zaczynały się egzaminy, poprzedzane ogólną spowiedzią uczniów (bo spowiadała się młodzież krzemieniecka cztery razy do roku). Po egzaminach przychodziła kolej na popisy publiczne, trwające około pięciu dni zwykle, a do których stawali, rozumie się samo przez się, tylko celujący uczniowie. W r. 1809 był na nich obecnym Adam ks. Czartoryski, a Euzebjusz Słowacki rozpoczął je pięknym wykładem *O potrzebie doskonalenia języków i używania mowy ojczystej w wykładzie nauk* [2]). Ostatniego dnia, zazwyczaj 28 czerwca, następowała — przy licznym zawsze współudziale publiczności miejscowej

[1]) Karol Kaczkowski, *Wspomnienia*, tom I, str. 30.
[2]) Dzieła Euzebjusza Słowackiego, III, 364—388.

i przyjezdnej — uroczystość wręczania uczniom nagród, dyplomów, medalów, listów pochwalnych, uroczystość, której od śmierci założyciela gimnazjum nigdy nie rozpoczynano inaczej, tylko t. zw. «obchodem za Czackiego», t. j. nabożeństwem żałobnem w kościele po-jezuickim, na intencję zmarłego. Cała świątynia wówczas, umyślnie przyćmiona, z wspaniałym katafalkiem, wzniesionym pośrodku pod olbrzymią kopułą, z portretem Czackiego, ustawionym na katafalku w głowach trumny, w otoczeniu mnóstwa świec, kwiatów i wieńców, zapełniała się tysiącznym tłumem, a wszyscy zjawiali się w żałobie, począwszy od uczniów i profesorów, którzy mieli rękawy u mundurów przewiązane krepą, a skończywszy na licznej publiczności, która wiedziała dobrze, iż dnia tego należy przyjść do kościoła ubranym czarno. Jeden z obchodów takich, pierwszy mianowicie, opisał Korzeniowski w *Tadeuszu Bezimiennym* [1]).

Następnego dnia, po uroczystem zamknięciu roku szkolnego, zakończonego odśpiewaniem *Te Deum* w kościele licealnym, urządzał u siebie pan szef Drzewiecki wspaniały bal dla celujących uczniów, którzy otrzymali nagrody «w medalach lub akcessytach do medalów», bal, na którym najpiękniejsze nieraz damy robiły im honory, a z którego zawsze miłe każdy wywoził wspomnienie na całe życie.

W święto Piotra i Pawła zaczynał się już Krzemieniec powoli opróżniać; młodzież, a z młodzieżą i wiele rodzin, opuszczały to «nauk siedlisko», udając się na wakacje, odpocząć po całorocznej pracy, obaczyć domowe kąty, odwiedzić przyjaciół i krewnych. I znowu, jak dziesięć miesięcy temu, na trakcie Jampolskim uwijało się mnóstwo bryczek, pojazdów, *perekładnych*, karet i żydowskich wózków, a w Dębowych karczmach panował ruch, wrzała rozmowa, rozlegały

[1]) Dzieła J. Korzeniowskiego, IV, 158 i nast.

się śmiechy i żarty, próbowały nowe cybuchy i fajki; deklamowano sobie wiersze, powtarzano różne anegdoty szkolne, oceniano wykłady profesorów; szły żarciki z paniczów, którzy się pięli do nagrody i nie dostali jej, ile że więcej myśleli o kontredansie i konnej jeździe, aniżeli o atrakcji, o rachunku różniczkowym lub integralnym; a ponieważ — jak świadczy Korzeniowski — w Krzemieńcu «młodzieniec, który fumy pańskie wywoził z domu, przez takie przechodził rózgi i fryców ki, że się prędko reflektował i z najbiedniejszymi, których mu opinja kolegów jako czoło młodzieży wskazywała, wkrótce się pobratał», równość więc w gronie tem zawsze panowała zupełna: wszyscy się znali doskonale i nikt nie zważał na to, czy jedzie własnym koczem, czy najętym wózkiem...

OJCIEC JULJUSZA SŁOWACKIEGO

(* 1772 † 1814).

Euzebjusz Słowacki, jakkolwiek mu przypadło w udziale być ojcem niepospolitego syna, był sam ze wszech miar człowiekiem niepowszednim, co, jak wiadomo, nie o wszystkich ojcach wielkich poetów i artystów powiedzieć można... Pod tym względem poszczęściło się twórcy *Anhellego* wyjątkowo: ojciec jego był także poetą; nie genjalnym wprawdzie, ale także i nie tuzinkowym.

Była to natura szlachetna, wykwintna, pełna najwznioślejszych aspiracyj: charakter prawy, nieskazitelny, a serce złote. Wystarcza spojrzeć na jego portret, malowany w Wilnie przez Rustema, a znajdujący się dziś w lwowskiem Ossolineum, ażeby sobie wyrobić o nim przekonanie, że taka twarz o rysach regularnych i ujmujących, o oczach czarnych, inteligentnych i pełnych jakiejś melancholji w spojrzeniu, może tylko być wyrazem dobroci i «łagodności duszy». Jakoż były to dwa przymioty, cechujące ojca Juljuszowego najwybitniej. Co także charakteryzowało go bardzo stanowczo, to smutek. Była to *une âme triste*. «Smutek jest towarzyszem moim od powicia», pisał w swoim horacjuszowskim *Liście do Erazma* (Słowackiego), swego młodszego brata.

Z umysłem przenikliwym i bystrym, z «darem, prawdziwym czy zwodniczym, dalszego widzenia», mimowoli zapatrywał się na życie i na ludzi sceptycznie

i nie bardzo im ufał. Więcej, aniżeli poczciwych i zacnych spotykał

nie bardzo przyjemnych,
Fałszywych, próżnych, srogich, zuchwałych, nikczemnych.

A że własnemi nieszczęściami nieraz miał sposobność «sprawdzić te wnioski», nie co innego więc, tylko «cierpienia i klęski, zamiary i troski»

Były i są przyczyną, że nigdy wesoła
Myśl zoranego smutkiem nie wyjaśni czoła.

Stąd nie potrafił nigdy «i śmiać się i myśleć» jednocześnie, bo czemukolwiek przypatrzył się bliżej, we wszystkiem, pod najkorzystniejszemi nieraz ukryte pozorami, dostrzegał obłudę, fałsz, głupotę, wszędzie znajdował wzory,

które rada zbiéra
Ta, co śmieszności ludzkie maluje, satyra.

Z takim poglądem na świat, umotywowanym doświadczeniem życiowem, nie dziw, że pomimo całej «łagodności duszy», zbyt często może w stosunkach z ludźmi bywał sarkastyczny, zgryźliwy, ironiczny, i że złośliwość ta, tem dotkliwsza niejednokrotnie, że okraszona dowcipem, ośmieszającym przeciwnika, niemało tem samem mogła mu z biegiem czasu narobić nieprzyjaciół: bo ludzie nie lubią, żeby z nich stroić sobie drwinki, zwłaszcza, gdy na nie zasługują.

Urodzony w Podhorcach, w Galicji, dnia 15-go grudnia 1772 r., jako syn niebogatych — ale ze stanu szlacheckiego — rodziców (Słowaccy pieczętowali się herbem Leliwa), w siódmym roku postradawszy ojca, został z dwoma młodszymi braćmi, Erazmem i Józefem, oraz dwiema siostrami, pod opieką matki i stryja. Oddany przez nich w bardzo młodym wieku do szkoły w Krzemieńcu, dał tutaj od pierwszej chwili dowody niepospolitych zdolności, a rozwijającym się z rokiem każdym coraz bardziej talentem pisarskim obudzał

współzawodnictwo w gronie swych rówieśników. Po ukończeniu nauk wszakże, pozbawiony środków utrzymania, zamiast — jak to było jego marzeniem — pojechać dla dalszego kształcenia się na który z uniwersytetów zagranicznych, a choćby nawet i do Krakowa, wyjednał sobie przez przyjaciół w Warszawie patent na geometrę królewskiego i zaczął trudnić się prywatnem rozmierzaniem majątków obywatelskich na Wołyniu. Zawód ten jednak nie dawał mu zadowolenia moralnego, nie dostarczał pokarmu dla duszy, którą wyjaławiał raczej. Dusza zaś w tym młodym geometrze była wrażliwa niezmiernie, szczególniej na rzeczy piękna, poezji! Z natury obdarzony żywą wyobraźnią i nieprzepartą żądzą nauki i wiedzy, a może i sławy, szamotał się wskutek tego w narzuconych mu więzach najrealniejszej rzeczywistości, jak Pegaz w jarzmie... Na szczęście niedługo marnował się w ten sposób: jeden z najbogatszych obywateli na Wołyniu, Poniatowski, widząc, że pod niepokaźną figurą tego geometry ukrywa się niepowszedni umysł, powierzył mu wychowanie swych dzieci. Pod dachem tego domu, gdzie mając do swej dyspozycji piękną bibljotekę, zaopatrzoną w klasycznych pisarzów francuskich i rzymskich, mógł się w nich rozczytywać dowoli, przekonał się niebawem Słowacki, co było jego właściwem powołaniem, i zdecydowawszy się poświęcić wyłącznie nauce i poezji, zaczął tłumaczyć *Henrjadę* Woltera. Tłumaczenie to, przeczytane najbliższym, tak się spodobało, że je bez wiedzy ani upoważnienia autora ogłoszono w Warszawie w r. 1803. W cztery lata później, gdy się organizowało gimnazjum wołyńskie w Krzemieńcu, powołał go Czacki na profesora literatury polskiej. Karjera profesorska bardzo mu się uśmiechała, a że z włożonych na się obowiązków miał zwyczaj wywiązywać się sumiennie, więc, jak sam powiada, «nigdy się jeszcze nie rzucił w pracowitszy zawód». Chciwy nauki, znalazłszy w bibljotekach Poryckiej i Krzemienieckiej, tudzież

w prywatnej Czackiego, odpowiedni materjał do nasycenia swej żądzy wiedzy, zakopał się w studjach, doprowadzając nieraz pilność swą aż do przesady, z uszczerbkiem dla wątłego zdrowia. Po roku pobytu w Krzemieńcu, ożenił się tu z panną Salomeą Januszewską. Pomiędzy kolegami swymi, jak i pomiędzy uczniami cieszył się niebywałą sympatją wszystkich, z czem szło równocześnie w parze i najwyższe poważanie, zarówno dla pisarza, jak i dla wytwornego mówcy. Stąd prawie na wszystkich uroczystościach otwarcia lub zamknięcia roku szkolnego, w których programie figurował zwykle odczyt publiczny, na mównicę występował przyszły ojciec Juljusza Słowackiego. Ten ostatni urodził się w sierpniu r. 1809, we dwa miesiące po ogłoszeniu przez uniwersytet wileński konkursu na rozprawę: *O sztuce dobrego pisania w języku polskim*, konkursu, którego laureat miał możność otrzymania w Wilnie wakującej katedry historji literatury polskiej, czyli, jak się mówiło podówczas, wymowy i poezji. Euzebjusz Słowacki, pomimo iż w Krzemieńcu «niepodzielnem cieszył się uznaniem uczniów i kolegów», postanowił ubiegać się o tę katedrę: raz dlatego, że mu zależało na większej pensji, a powtóre, że, ambitny z natury, wolał mieć tytuł profesora uniwersytetu, aniżeli w dalszym ciągu poprzestawać na skromnej posadzie nauczyciela gimnazjalnego. W nadziei, że mu się z turnieju tego uda wyjść zwycięzcą, zabrał się do pisania rozprawy... i zwyciężył. Z nadejściem lutego 1811 r. otrzymał z Wilna list, w którym mu rektor uniwersytetu tamtejszego, Jan Śniadecki, donosił między innemi, iż po przeczytaniu jego rozprawy «Rada pełna uchwaliła, że WM. pan okazałeś się przez to pismo godnym placu profesora ordynaryjnego wymowy i poezji w uniwersytecie». W pół roku później, dnia 15 września, miał już Euzebjusz Słowacki swój pierwszy wykład na wszechnicy wileńskiej. Od pierwszej chwili wejścia na katedrę zyskał ogromne powodzenie,

jako profesor, a równocześnie i jako człowiek podbił sobie odrazu serca wszystkich. Zarzucano mu tylko — a na zarzut ten zasługiwał z dniem każdym coraz bardziej — że zbyt wiele ciężarów brał na swe wątłe barki. On wszakże, niebaczny na te życzliwe przestrogi, «jakby dręczony przeczuciem, iż kres jego żywota niedaleki, posuwał pracowitość swą aż do przesady i nie umiał naznaczyć jej granic». Poza godzinami wykładów uniwersyteckich, i czasem poświęcanym na przygotowanie się do nich, pracował nad krytyczną historją literatury polskiej, pisał, tworzył, tłumaczył... Nadto, żeby zwiększyć dochody, ustawicznie pomnażał swe zatrudnienia, pisując artykuły do *Kurjera Litewskiego* (sprawozdania teatralne w tem piśmie od września 1811 r. są jego pióra), aż wkońcu podjął się roli redaktora tego pisma. Tak upłynęły trzy lata, na które również przypada przejście Napoleona z wielką armją przez Wilno w roku 1812 — fakt, który Euzebjusza Słowackiego natchnął do napisania wspaniałego wiersza na cześć nowożytnego Cezara. Jednocześnie zaczął uczyć czytać swojego jedynaka... Niestety, lekcje te nie miały potrwać długo: ojciec 5-cioletniego «Julka», zaczął gwałtownie podupadać na zdrowiu... Okazała się potrzeba zaniechania wykładów w uniwersytecie, a redaktorstwa *Kurjera Litewskiego* powierzenia komu innemu; wkońcu przyszły suchoty, na które też, ku powszechnemu żalowi swoich kolegów i uczniów, chory zmarł 22 października 1814 r.

W przeczuciu rychłej śmierci, napisał dla syna swoje pamiętniki (które, zdaje się, zaginęły), przed samym zgonem zaś, już stygnącą ręką, skreślił następujący wierszyk:

Wędrownik, w życia drodze, stargawszy mdłą siłę,
Wkrótce rzucę, co mile i co mi niemiłe.
Bez trwogi, nie bez żalu, widzę kres zbliżony,
Który nagle w nieznane przeniesie mnie strony:
W tę uchronę spokojną, gdzie wieczność przebywa,
I którą chmura, pełna tajemnic, okrywa.

Po przejrzeniu czterech grubych tomów *Dzieł Euzebjusza Słowackiego*, wydanych w Wilnie, nakładem księgarni Zawadzkiego, z przedmową Leona Borowskiego, okazuje się, że był to klasyk najczystszej wody w duchu rzymsko-francuskim, klasyk jednak, który, wolny od niektórych przesądów i stronniczości, właściwych innym jego współwyznawcom literackim, bardziej był od nich umiarkowany. Jeżeli tłumaczył utwory poetów obcych, to ze starożytnych wybierał Wergiljusza lub Owidjusza; z nowoczesnych zaś poetów, w których mniej, zdaje się, smakował, aniżeli w starożytnych rzymskich (z greckich nie przetłumaczył ani jednego), wybierał takie utwory, jak niektóre sentymentalniejsze pieśni z *Jerozolimy* Tassa, lub Delille'a *Poema o imaginacji*. Tworząc oryginalnie, pisał tragedje w smaku francuskim, na wzór Kornela i Rasyna, wedle tego samego szablonu, którego trzymał się Feliński w *Barbarze Radziwiłłównie*. Pod tym względem niewiele można zarzucić obu jego tragedjom, zarówno *Mendogowi*, jak *Wandzie:* pisane 13-tozgłoskowym aleksandrynem, podzielone są na pięć aktów, z zachowaniem jedności miejsca i czasu. Prace Słowackiego literacko-estetyczne, traktując o *Teorji wymowy*, o *Teorji poezji* lub rozbierające takie dzieła, jak Delille'a *Ogrody*, Junga *Sąd ostateczny*, Pope'a wiersz *O człowieku* lub *Historja pukla włosów*, a nawet *Luizjady* Kamoensa, świadczą o niezwykłem, jak na owe czasy, oczytaniu autora. Przedewszystkiem atoli posiadał on gruntowną znajomość historji piśmiennictwa ojczystego. Jego rozprawy o *Pisarzach polskich dawnych i późniejszych:* o Kochanowskim, Skardze, Górnickim, Orzechowskim, Birkowskim, Krasickim i wielu innych, należą do najlepszych rzeczy krytycznych, jakie u nas wydał początek bieżącego stulecia, a choć pisane w duchu pseudo-klasycznym, nie brak w nich przecież gorących słów uwielbienia dla «autorów złotego dla nauk polskich Zygmuntów wieku». «O, jaka

rozkosz dla Polaka — czytamy w jednej z tych rozpraw — gdy położywszy obok Teokryta sielanki Szymonowicza, waży się, zawieszony w zdaniu, któremu dać pierwszeństwo; gdy w *Trenach* Jana Kochanowskiego spostrzega ton elegji tkliwszy i naturalniejszy, niźli w Owidjuszu; gdy w mowach Orzechowskiego znajduje kawałki, godne Demostenesa i Cycerona!»

Tak się przedstawia sylwetka Euzebjusza Słowackiego. Gdyby nawet nie był ojcem przyszłego twórcy *Balladyny*, jeszczeby nie przeszedł zapomniany w dziejach naszego umysłowego rozwoju, zawsze bowiem należałby nietylko do najuczeńszych, ale i do najbardziej sympatycznych osobistości swego czasu.

BOŻE NARODZENIE

W ŻYCIU JULJUSZA SŁOWACKIEGO

«Jak też mię Bóg wysłuchał! Ja Go zawsze dzieckiem prosiłem, aby mi dał poetyczne życie. To też On wszystko teraz tak klei, żeby serce moje napełniło się najpoetyczniejszemi wrażeniami... Chwała Mu za to i dzięki!» Tak pisał Słowacki w r. 1837, kiedy po powrocie z podróży na Wschód mieszkał w uroczej Florencji, a wystarcza sobie uprzytomnić cały kolejny przebieg życia Juljusza, ażeby zapytać mimowoli: czy się zna jaki poetyczniejszy żywot poety, aniżeli biografja twórcy «Beniowskiego»? Wszystko w tem życiu, od urodzin aż do śmierci, było owiane jakąś poetycznością, której n. p. były pozbawione żywoty Mickiewicza lub Krasińskiego.

Powiada Jan Kochanowski, że

Wszystko się dziwnie plecie
Na tym tu biednym świecie.

Otóż, jeśli to jest prawdą, to Słowackiemu na tym świecie wszystko splatało się w życiu poetycznie. Bo cokolwiek się rozpatrzy w jego egzystencji, niemal na każdym kroku dostrzega się najczystszą poezję.

Miłość? Żaden poeta, nie wyłączając Byrona i Shelleya, nie kochał się tak poetycznie, jak Słowacki; jego przeżycia miłosne, to poematy lub poemaciki, pełne jakiegoś przedziwnego wdzięku i czaru roman-

tycznego, którego n. p. pozbawione są pełne emfazy i pozy romansowe miłości Krasińskiego.

Podróże? Trudno o poetyczniejsze lata wędrówki, aniżeli Słowackiego pielgrzymowanie po szerokim świecie, po Szwajcarji, po Włoszech, po Grecji, po Egipcie i Ziemi św.

A to samo, jakimś szczególnym a szczęśliwym przypadkiem, da się powiedzieć i o dorocznych świętach Bożego Narodzenia, które, jak wszystko w życiu Juljusza, także mu się splatały w dziwnie poetyczny wieniec. Poprostu możnaby napisać mały poemacik na ten temat.

Oczywiście, że najpoetyczniejszemi były te czasy Gwiazdki, które mu upłynęły w kraju, na Litwie i na Wołyniu, a które go widziały dzieckiem lub młodzieńcem.

Oto n. p. w jaki sposób «Julek» spędzał wieczory wigilijne, kiedy mieszkał z matką w Krzemieńcu, w «białym dworku» dziadków swoich, Januszewskich «pomiędzy Czerczą a Bazyljanami». Jeśli zajrzymy do nieporównanego fragmentu z dramatu Słowackiego o «Złotej Czaszce», do sceny drugiej aktu pierwszego, którego scenerja odgrywa się «w piekarni w domu Strażnikowstwa», to zobaczymy poetyczny obrazek, w którym na tle odtworzonego po mistrzowsku nastroju wieczoru wigilijnego łatwo możemy sobie wyobrazić przyszłego autora «Balladyny». Scena zaczyna się od tego, że pan Strażnik (dziadek poety) prosi swą małżonkę, aby zwołała dziewki czeladne na kolendę, poczem zapytuje, czy już rozdała im wstążki? «Dałam każdej po wstążce i po tynfie (odpowiada pani Strażnikowa, przez którą tu należy rozumieć babkę poety). Kontentne. Ambrożemu (tak nazywał się w rzeczywistości parobek państwa Januszewskich) nie dałam nic gotówką, bo by się upił, ale kupiłam dla niego czapkę z barankiem». W chwilę później wchodzą do piekarni dziewczęta, pan Strażnik każe im poprawić kagańca,

żony prosi, aby zawołała córkę (zczasem matkę Słowackiego) i zaczyna się tradycyjne śpiewanie kolend:

Chrystus Pan się narodził,
Świat się cały odmłodził,
Et mentes.

Nad sianem, nad żłóbeczkiem
Aniołek z aniołeczkiem
Ridentes.

Przyleciały wróbelki
Do Panny Zbawicielki
Cantantes.

Przyleciały łańcuchy
Łabędzi srebrne puchy
Mutantes.

Puchu wzięła troszeczkę,
Zrobiła poduszeczkę
Dzieciątku.

Potem je położyła
I sianem je nakryła
W żłobiątku.

Patrjarchalny zwyczaj śpiewania kolend ze służbą pospołu był w szlacheckim domu państwa Januszewskich przyjęty od dawna. W listach swoich do matki wspomina o tem Słowacki niejednokrotnie. «O, gdybym raz jeszcze mógł (czytamy w jednym z listów z Genewy) usłyszeć dziadunia mego, śpiewającego prostą kolendę w dzień Bożego Narodzenia razem ze służącymi domu. Zdaje mi się, żebym do dziecinnej wiary przeszłości mojej powrócił». Innym razem, w kilka lat później, przypomniała mu się «wielka babuni piekarnia, czeladź śpiewająca kolendy» i t. d. Sceny te nigdy nie wychodziły mu z pamięci i przez całe życie o grudniowej porze rozmarzało go zawsze przypomnienie tych nocy Bożego Narodzenia, spędzonych w Krzemieńcu w domu dziadowstwa, kiedy to, podczas zamieci śnieżnej i wichury na dworze

Jasna kolenda w przyćmionej piekarni
Płakała, w rytmy ubrana najlichsze,

i kiedy z nią na ustach «usypiali ludzie gospodarni».

Tak działo się w Krzemieńcu, kiedy Słowacki był dzieckiem lub pacholęciem.

Ale i później, kiedy już mieszkał w Wilnie, gdzie pobierał i kończył nauki, zawsze, ilekroć nadeszły święta Bożego Narodzenia, spędzał je nie banalnie. Najczęściej spożywał wieczerzę wigilijną na wsi, w Jaszunach, w domu Balińskich, zajmując wyznaczone sobie miejsce przy stole, przy którym siedzieli obydwaj Śniadeccy, Michał Baliński z żoną (córką Jędrzeja Śniadeckiego), oraz siostra tej ostatniej, Ludwika, przedmiot pierwszej miłości przyszłego twórcy *Kordjana*.

Nigdzie mu nie było tak dobrze, jak wśród tych lasów Jaszuńskich, gdzie razem z Ludką, jako «kochanką swych pierwszych dni», jeździł sankami, gdzie razem z nią ślizgał się po zamarzłej Mereczence, gdzie się wzajemnie obrzucali śnieżkami, a gdzie czując się z Ludką swobodniejszy, aniżeli w Wilnie w salonowej atmosferze, nietylko pisał płomienne sonety, natchnione miłością dla niej, ale raz nawet, podczas konnej przejażdżki we dwoje, wyznał swej lubej, że ją kocha.

Scena ta jednak nie należała, niestety, do jego najmilszych wspomnień, Ludwika bowiem, zamiast dać się porwać upojeniu, starała mu się tę studencką miłość wybić z głowy.

Wtenczas lat tysiące,
Wtenczas mu w oczach przyszłość stanęła daleka,
Świetna okrzykiem ludzi; a z tymi obrazy
Obecna chwila czarnym łamała się cieniem,
O d r z u c o n ą m i ł o ś c i ą, dumą, oburzeniem.

Mimo to przykre wspomnienie, którego poetyczne odbicie znalazło się zczasem w *Kordjanie*, nie mógł Słowacki przez całe życie zapomnieć o tych świętach Bożego Narodzenia, spędzanych w Jaszunach z Ludką.

Jeszcze w Genewie w r. 1835, pisząc do matki, wspominał te błogie chwile. «Przed trzema dniami spadł śnieg; cieszyłem się, jak małe dziecko, widokiem białej ziemi i sprószonych jodeł pod mojemi oknami: razem doznawałem jakiegoś smutnego uczucia. Różne wspomnienia cisnęły mi się do głowy, a nadewszystko wspomnienie ostatnich świąt Bożego Narodzenia, kiedy byłem w Uniwersytecie. Patrząc na śnieg, zdawało mi się, że zajeżdżam z dzwonkiem przed ganek Jaszuński... Potem wszedłem do ogrodu i robiłem śnieżki i rzucałem je na wiatr północny, jak na imaginacyjną osobę przeszłości: chciałem ją śnieżkami zasypać». Że przez tę imaginacyjną osobę przeszłości rozumieć należy Ludwikę Śniadecką, tego z pewnością pani Becu domyśliła się odrazu.

W roku 1829, w Krzemieńcu, przeżył Słowacki ostatnie Boże Narodzenie, które mu wogóle było sądzone spędzić w gronie rodzinnem, z matką, z Teofilami Januszewskimi, z dziadostwem. Jak zwykle, tak i tym razem, kiedy nadszedł wieczór wigilijny, kolendowano razem z czeladzią, a dziadunio był, jak i poprzednich lat, przewodnikiem tego sielskiego chóru. Jeszcze w r. 1834 w Genewie wspominał Słowacki rzewnie tę scenę: «Teraz przy zbliżającem się Bożem Narodzeniu (pisał w tem uczuciu do matki), chciałbym, ażeby mi kto mógł zaśpiewać kolendę, taką, jaką słyszałem ostatniego roku, będąc w Krzemieńcu».

Następny wieczór wigilijny zastał poetę w Warszawie, gdzie w jakikolwiek sposób przepędził święta, z kimkolwiek łamał się opłatkiem, zasiadając do wigilijnej wieczerzy, w każdym razie musiał się czuć osamotniony, bo nietylko, że przy tej warszawskiej wigilji nie widział przy stole nikogo ze swych najbliższych, ale było to Boże Narodzenie rewolucyjne, podczas którego Polska, wypędziwszy z Warszawy Moskali, przygotowywała się do walnej z nimi pod Grochowem rozprawy, gdyż zaczynały już grzmieć pod Stoczkiem ar-

maty... Słowacki, jako popularny w stolicy autor hymnów patrjotycznych, jak *Bogurodzica, Kulig* i *Oda do wolności*, był mimo to wieczora tego w bolesnej rozterce duchowej, bo musiał się zdecydować niebawem, czy wstąpić do wojska, czy nie? To też z pewnością nie doznawał takich kojących uczuć podczas kolendowania, jak dawniej w Krzemieńcu lub Wilnie...

Odtąd wszystkie święta Bożego Narodzenia wypadło mu spędzać nietylko wdali od swoich, ale i daleko od kraju. W roku 1831 i 1832 zastała go Gwiazdka w Paryżu, wśród rodaków emigrantów, poczem trzy razy z rzędu spędzał czas Bożego Narodzenia w Paquis pod Genewą, razem z Eglantyną Patey i jej rodziną. Dobrze mu było w tem otoczeniu szwajcarskiem, ale zawsze byli to ludzie obcy, choć przywiązani do niego.

W roku 1836 zastało poetę Boże Narodzenie na pustyni afrykańskiej, pod płótnem namiotu w El Arisch, na granicy pomiędzy Egiptem i Syrją, na granicy Afryki i Azji. Podróżował po Wschodzie razem z Zenonem Brzozowskim, a teraz właśnie po zwiedzeniu Grecji i Egiptu, podążał do Ziemi Świętej. Drogę odbywając na wielbłądzie, pod przewodem kilku Arabów, musiał odbywać nakazaną kwarantannę. Oto, jak ją opisuje w swej cudownej przedmowie do *Ojca zadżumionych:* «Rozłożywszy się pod namiotem, przywykać zacząłem do smutnego widoku, który mnie otaczał... i podobałem sobie w ciszy piaskowego stepu i w szumie morza, do którego brzegu pozwolono mi chodzić, wziąwszy ze sobą jednego z kwarantanny strażników. W wigilję Bożego Narodzenia, kiedy w tej spokojnej pustyni myśli moje odbiegły aż do dalekiej Ojczyzny mojej i ku owym dniom, które dawniej spędzałem na ucztach w gronie rodzinnem, okropna burza, przewiewana wiatrem z morza Czerwonego na Śródziemne gruchnęła w nocy i polała się deszczem piorunów na mój namiot, oddalony od ludzi. W smutne i zamyślone o kraju serce zaczęło wchodzić powoli przerażenie. Szeleszczący od wichrów

i deszczów, namiot chwiał się nade mną i zaczerwieniony od piorunów, wydawał się ognistym i strzegącym łoża bezsennego cherubinem. Wicher mi zagasił światło, a wilgotny knot na nowo zapalić się nie chciał. Próżne tu byłyby opisy, albowiem wielkością biblijną nacechowana była ta burza w pustyni (Anhelli myślał, że już przyszedł wicher, który go z ziemi zwieje i uniesie w krainę cichą): przeszła jednak ta bezsenna noc zgrozy, a gdy nad rankiem wyszedłem z namiotu, chmury żelazne okrywały niebo i drobny deszczyk zasmucał powietrze».

O wiele spokojniejszy i milszy wieczór przeżył Słowacki w równy rok później, kiedy po swych wschodnich wędrówkach osiadł we Florencji. Tutaj nad Arnem znalazł liczną kolonję ziomków, między innemi gościnny dom Hermanostwa Potockich, którzy też nie zapomnieli o nim, kiedy nadszedł wieczór wigilijny. Wieczór ten, spędzony w domu polskim, w towarzystwie ludzi życzliwych i serdecznych, był może najprzyjemniejszą wilją, jaką Słowacki spożył w ciągu swej drugiej połowy życia, od czasu, gdy był skazany wszystkie święta Bożego Narodzenia spędzać na obczyźnie.

W liście poety, datowanym 2 kwietnia 1838 roku, znajduje się taki opis tego wieczoru: «Wigilję jadłem z ziomkami, w domu Hermana Potockiego, na Litwie. Sama gospodyni domu dała nam wszystkie dawne potrawy, w których wspomnienia były pieprzem i rodzynkami. Nie wiem dlaczego, ale ciągle myślałem o wilji u prefekta Jarkowskiego, którą niegdyś jadłem, będąc dzieckiem; potem przyszła mi na myśl wielka babuni piekarnia, czeladź śpiewająca kolendy, potem wertep Krzemieniecki (szopka), któremu może winien jestem mój szekspirowski zapał. Nareszcie dawnym zwyczajem wyciągnąłem źdźbło siana z pod obrusa i wyciągnąłem je bez kwiatka, a pani domu, widząc moje zasmucenie, ofiarowała się mi drugie wyciągnąć. Jakoż dobyła mi źdźbło krótkie bardzo, ale z kłosem na końcu.

Tłumacz więc sobie, moja droga, że dni moje będą krótkie, ale kłos zostanie po nich. Ja tak tłumaczę to sobie i cieszę się».

W chwili, kiedy poeta pisał te słowa, można powiedzieć o nim, że miał jasnowidzenie przyszłości: istotnie dni jego miały być krótkie, bo nie dożył nawet 40 lat, ale po tem krótkiem życiu pozostał plon obfity, będący chlubą poezji polskiej.

Powiadali starożytni Grecy, że ludzie, których ukochali bogowie, umierają młodo. Słowacki był niewątpliwie jednym z takich «ukochanych przez bogów». Mimo to pod wieloma względami nie wiodło mu się w tem krótkiem wygnańczem życiu, a między innemi i pod tym również, że od r. 1838 począwszy aż do śmierci, kiedy przyszły święta Bożego Narodzenia, czuł się nieszczęśliwszym i bardziej osamotnionym, niż kiedykolwiek.

Albowiem zawsze marzył o tem, ażeby znowu raz do wilji zasiąść w Krzemieńcu ze swymi najbliższymi, a potem słuchać w otoczeniu rodziny, jak

> Jasna kolenda w przyćmionej piekarni
> Płakała, w rytmy ubrana najlichsze,

a tymczasem marzeniu temu, niestety, nigdy nie miało się stać zadość. Umarł, a do takiej wilji miał zasiadać tylko w... wyobraźni, ze wspomnieniem lat dziecięcych i młodzieńczych.

Odkąd osiadł znowu w Paryżu na stałe, najwięcej czasu poza domem spędzał w «Klubie polskim» przy rue Godot de Mauroy, gdzie jadał obiady i kolacje, a gdzie w wilję Bożego Narodzenia ci członkowie, co nie mieli własnych rodzin, wspólnie zasiadali do wigilijnego stołu. Ale te wilje w «kasynie» z towarzyszami-emigrantami, tak się miały do tych, które pamiętał z Krzemieńca i Wilna, jak rzeczywistość do marzenia, jak proza do poezji. To też nawet nie opisywał ich matce.

ZE SPUŚCIZNY LITERACKIEJ

PO CHOPINIE

Chopin — mówiła mi niedawno jedna z jego uczenic — był genjuszem wszechstronnym, który w każdej dziedzinie sztuki, gdyby się był jej poświęcił tak, jak się poświęcił muzyce, pozostawiłby arcydzieła. Rysowane przezeń karykatury, z których, niestety, ledwo kilka dochowało się do naszych czasów, dowodziły, że gdyby się był wziął do ołówka i pendzla, mógłby zostać wielkim malarzem. Jego talent mimiczny, dzięki któremu w arcyzabawny sposób naśladował i przedstawiał różne znakomitości paryskie, jak Liszta, Kalkbrennera i Pixisa, talent, którego Mickiewicz nie zawahał się nazwać wprost «talentem Garricka», pozwoliłby mu, gdyby się poświęcił był sztuce aktorskiej, zostać genjalnym aktorem, zwłaszcza aktorem-komikiem.

Niemniej uzdolnionym był również w kierunku literackim.

Wogóle t. zw. «żyłka literacka» była właściwą wszystkim dzieciom Mikołaja Chopina. Najmłodsza z sióstr Fryderyka, przedwcześnie zmarła Emilja Chopin, była urodzoną poetką, która byłaby mogła z czasem «zająć tak świetne na niwie literackiej polskiej stanowisko, jakie zajął jej brat w dziedzinie muzyki». Dwie jego starsze siostry, Ludwika i Izabella, również odznaczały się ogromnem zamiłowaniem literackim, jak tego dowodzi napisana przez nie i w r. 1836 wydana 4-tomowa powieść, p. t. «Pan Wojciech».

Co się tyczy Fryderyka, to od najwcześniejszych lat czuł pociąg do pisania wierszy, a przyoblekanie myśli w rymowane szaty zawsze przychodziło mu z łatwością. Napisanie listu wierszem nic go nie kosztowało: musiał na to być tylko w dobrym humorze. Mając lat piętnaście, napisał do spółki z siostrą swą, Emilją, komedję w jednym akcie *wierszem*, p. t. «Omyłka, czyli mniemany filut», komedję, którą wraz z siostrami odegrał w zimie na imieniny ojca (a odegrał tak, że mu znakomity artysta dramatyczny, Wojciech Pisarski, wróżył przyszłość doskonałego aktora). Do pisywania różnych drobnych wierszyków, zwłaszcza humorystycznych, przez całe życie był skorym przy lada okazji. Gdy go np. proszono o wpisanie się do albumu (co za jego czasów było bardzo w modzie), zawsze potrafił *ex promptu* skreślić jakiś udatny wierszyk, a że w mowie Corneill'a równie był biegły, jak w ojczystej, więc z taką samą łatwością układał wiersze francuskie, jak polskie. Kilka z takich jego wierszy ogłosiłem niedawno w *Echu Muzycznem* (był między niemi i jeden także francuski z roku 1821), komu zaś zdarzyło się być w r. 1892 w Wiedniu na Wystawie Muzycznej, ten w gablotce z pamiątkami i rękopisami po Chopinie, wystawionej przez paryską fabrykę fortepjanów Pleyel'a, mógł między innemi przeczytać kilka wierszowanych *Krakowiaków* pióra wielkiego kompozytora, które to *Krakowiaki*, pełne Rejowskiej dosadności w wyrażeniach, śmiało mogłyby figurować wśród tych *Fraszek* Kochanowskiego, które się nie kwalifikują do czytania na głos... pannom w salonie.

Wśród wielu niezmiernie ciekawych pamiątek po swym nieśmiertelnym wuju, które posiada p. Antoni Jędrzejewicz, siostrzeniec Chopina, znajduje się kilka literackiej natury. Wszystkie one, dotychczas ogółowi nieznane, odnoszą się do lat dziecięcych artysty, a są tego rodzaju, że bezwarunkowo mogą zainteresować wielbicieli twórcy *Mazurków*. Jakkolwiek drobne, jednak są to, bądź co bądź, przyczynki do charakterystyki wielkiego poety tonów, jako człowieka.

Najprzód idą cztery powinszowania dla rodziców: trzy na imieniny ojca, jedno na imieniny matki. Wszystkie w języku polskim, co tembardziej podkreślić należy, że Mikołaj Chopin, choć dobrze i poprawnie mówił po polsku, jednak myślał po francusku. Z pensjonarzami, którzy u niego mieszkali na stancji, również nie mówił nigdy inaczej, jak po francusku (żeby ci wprawiali się w mówienie tym językiem), swoje dzieci jednakże, od samego zarania, wychowywał po polsku, w ojczystym duchu.

Świadczy o tem między innemi pierwsze z dochowanych powińszowań małego «Frycka» na imieniny ojca, powinszowanie, ułożone przez przyszłego twórcę *Polonezów* w 6-ym zaledwie roku życia, bo noszące datę d. 6 grudnia 1816 roku. Urodzony d. 22 lutego 1810 r. miał wtedy Chopin dopiero sześć lat skończonych, a już — jak się okazuje z tego powinszowania — nietylko umiał pisać wcale kaligraficznie, lecz umiał już nawet układać wiersze, wprawdzie pod względem formy pozostawiające to i owo do życzenia, ale bądź co bądź oryginalne wiersze. Nadto umiał już wcale niezle rysować, jak o tem świadczy okazały, ołówkiem narysowany wieniec z dębowych i laurowych liści, który, związany wstążką u dołu, okala cały tekst powinszowania, oraz efektowny monogram w nagłówku, z liter N i C złożony.

Samo powinszowanie brzmi, jak następuje:

Gdy świat Imienin uroczystość głosi
Twoich, mój Papo, wszak i mnie przynosi
Radość z powodem uczuciów złożenia:
Byś żył szczęśliwie, nie znał przykrych ciosów,
Być zawsze sprzyjał Bóg pomyślnych losów:
Te Ci z pragnienia ogłaszam życzenia

F. Chopin

Dnia 6 grudnia 1816.

Następne powinszowanie, na pięknej laurce, było napisane na imieniny matki:

Imienin Twoich, Mamo, Ci winszuję!
Niech ziszczą Nieba, co w mem sercu czuję:
Obyś zawsze zdrową wraz szczęśliwą była,
Jak najdłuższe życie pomyślnie pędziła.

F. Chopin

16 czerwca 1817.

Gdy po upływie pół roku znów przyszedł dzień imienin Mikołaja Chopina, jedynak jego wygotował dlań z powodu tej uroczystości familijnej takie wierszowane

Powinszowanie.

Jak wielką radość w sercu mojem czuję!
Gdy tak przyjemny, drogi i wspaniały
Dzień się zaczyna, którego winszuję,
Życząc, by w szczęściu lata długie trwały
W zdrowiu, czerstwości, pomyślnie, spokojnie:
Niech niebios dary spłyną na Cię hojnie.

F. Chopin

Dnia 6 grudnia 1817 roku.

W rok później, gdy wypadło ułożyć nowe powinszowanie na imieniny ojca, nie dopisała jakoś 8-letniemu «Fryckowi» jego zwykła poetycka wena, tak, iż gratulacje swe skreślił prozą w formie listu. Bądź co bądź jest powinszowanie to bardzo dlań charakterystycznem, świadczy bowiem, że Chopin-muzyk, Chopin-kompozytor, brał już górę nad Chopinem-wierszopisem. Jakoż było to już po pierwszym publicznym koncercie 8-letniego «Szopenka», który to koncert odbył się dnia 24 lutego 1818 roku, a na którym przyszły «Rafael fortepjanu» odegraniem trudnego *Koncertu* Gyrowetz'a wzbudził entuzjazm wśród zgromadzonej publiczności...

Kochany Papo!

Luboby mi łatwiej było wynurzyć uczucia moje, gdyby je muzycznemi tonami wyrazić można;

gdy jednak i najlepszy *Koncert* przywiązania mego ku Tobie, kochany Papo, objąć nie potrafi, użyć muszę prostych wyrazów serca mego, aby Ci najczulszej wdzięczności przywiązania synowskiego hołd złożyć.

Dnia 6 grudnia 1818 r.

F. Chopin.

Upłynęło lat pięć. We wrześniu r. 1823 zaczął Chopin uczęszczać do 4-tej klasy Liceum Warszawskiego, a po upłynionym roku szkolnym, po świetnie zdanych egzaminach uwieńczonych «nagrodą w książce», udał się wraz z kolegą swoim i przyjacielem, Dominikiem Dziewanowskim, jednym z pensjonarzy Mikołaja Chopina, do Szafarni w lipnowskie, majątku ojca «Domusia», Juljana Dziewanowskiego.

Jako gorliwy czytelnik *Kurjera Warszawskiego* zaczął tu Chopin «wydawać» *Kurjera Szafarskiego*, który pisany przezeń na ćwiartkach papieru formatu ówczesnego «Kurjerka», zawierał humorystyczny opis różnych wypadków, jakie się w Szafarni i okolicy w ciągu dnia wydarzyły. «Na wzór ówczesnej prasy Kurjer podzielony był na dwie części: pierwsza zawierała wiadomości krajowe, druga zagraniczne. Kurjer poddawany był cenzurze panny Ludwiki Dziewanowskiej, ciotki Dominika, która, niby cenzor, pilnowała, by nie było zbyt ostrych lub przyzwoitość obrażających dowcipów, i każdy numer Kurjera podcyfrowała wyrazami: «Wolno posłać». *Cenzor L. D.* Z tej racji, gdy raz srogi cenzor nie przepuścił czegoś młodemu Fryckowi, tenże napisał:

Proszę bardzo cenzora
Nie krępować mi ozora [1]).

---

[1]) *Fryderyk Chopin w Lipnowskiem* przez Józefa z nad Drwęcy (w *Echach Płockich* i *Łomżyńskich*).

Z Kurjerów tych, które ich «redaktor», przezywający się w nich «panem Pichonem», posyłał co kilka dni rodzicom swym i siostrom do Warszawy, zachowały się — w zbiorach p. Jędrzejewicza — cztery numery [1]).

Pierwszy z nich, najwcześniejszy pod względem daty «wyszedł» d. 16 sierpnia 1824 r. Oto jego treść:

Dnia 16-go sierpnia 1824 roku.

KURYER SZAFARSKI.

Wspomnienie narodowe. r. 1826 wyszlamowana sadzawka w podwórzu.

Wiadomości krajowe.

Dnia 11 sierpnia r. b. odbywał IP. Fryderyk *Chopin* kursa na dzielnym koniu; ubiegał się do mety; a lubo po kilkakroć pieszo idącą panią *Dziewanowską* wyścignąć nie mógł (w czem nie jego, lecz konia wina była) otrzymał jednak zwycięstwo nad *Panną Ludwiką*,

[1]) Maurycy Karasowski wspomina w dziele swem jeszcze o dwóch numerach *Kurjera Szafarskiego* z d. 15 lipca i 24 sierpnia 1824. Oba te numery zaginęły, wraz z częścią korespondencji Chopina, w czasie pożaru pałacu Andrzeja Zamoyskiego. Karasowski podaje z Kurjerów tych następujące wiadomości krajowe: «Dnia 15 lipca r. b. na zgromadzeniu muzycznem w Szafarni, złożonem z kilkunastu osób i półosóbek, popisywał się I. Pan *Pichon* i grał koncert Kalkbrenner'a, który atoli nie tyle zrobił wrażenia, szczególniej na małych figurkach, ile *żydek* grany przez tegoż Pana Pichona». «D. 20 (sierpnia) w Oborowie było okrężne. Cała wieś, zgromadzona przed dworem, szczerze się weseliła, szczególniej po wódce, a dziatki piskliwym semitoniczno-fałszywym głosem znaną piosnkę wyśpiewywały:

«Przede dworem kaczki w błocie,
Nasza Pani w samem złocie i t. d.»

Żeby nie te pobyty Chopina w czasie wakacyj na wsi, możeby w naszej literaturze muzycznej zabrakło jego nieporównanych *Mazurków*.

która już dość blisko mety piechotą doszła. IP. *Chopin* wyjeżdża codzień na spacer, z takiemi jednak honorami, iż zawsze z tyłu siada. IP. Jakób *Chopin* wypija na dzień sześć filiżanek kawy żołędziowej, Mikołajek zaś codzień cztery bułeczki zjada, notabene prócz potężnego obiadu i trzypotrawnej kolacyjki.

Dnia 13 m. i r. b. I Pan *Better* dał się słyszeć na fortepianie z niepospolitym talentem. Wirtuozus ten, Berlińczyk, gra w guście I Pana *Bergera* (owego fortepianisty skolimowskiego); w sztrychu i układzie palcy przechodzi Panią *Łagowską*, a z takiem uczuciem gra, iż każda prawie nutka, nie z serca ale z potężnego brzucha wychodzić się zdaje.

Dnia 15 m. i r. b. doszła ważna wiadomość, jako się przypadkiem *Indyczka* za spichlerzem w kąciku wylęgła. Ważny ten wypadek nietylko że przyczynił się do pomnożenia familji *Indyków*, lecz nadto powiększył dochody skarbowe i powiększanie się onych zapewnił. Wczoraj w nocy kot, zakradłszy się do garderoby, stłukł butelkę z sokiem; lecz jak z jednej strony wart szubienicy, tak z drugiej strony zasługuje na pochwałę, bo sobie najmniejszą (butelkę) wybrał.

Dnia 12 m. b. kura okulawiała, a kaczor w pojedynku z gęsią nogę utracił. Krowa tak gwałtownie zachorowała, że aż się w ogrodzie pasie.

Dnia 14 m. b. wypadł wyrok, ażeby, pod karą śmierci żadne prosię nie ważyło się wchodzić do ogrodu.

Wiadomości zagraniczne.

Pewien obywatel w okolicy chciał czytać *Monitora*. Wysłał więc służącego do Księży *Karmelitów* w Oborach, prosząc o pismo perjodyczne. Służący w życiu o piśmie perjodycznem nie słysząc, przekręcił wyraz i pytał się Księży o pismo *hemorojdyczne*.

W Bocheniu lis zjadł dwóch bezbronnych gąsiorów; ktoby go złapał, niech raczy uwiadomić sąd bo-

haniecki, który niezawodnie podług praw i przepisów zbrodniarza ukarze. Oddawcy zaś lisa owe dwa gąsiory, jako godne wynagrodzenia, ustąpione będą.

Wolno posłać
Cenzor
L. D.

Drugi z Kurjerów tych, jeszcze dowcipniejszy od poprzedniego, zredagowany o dziesięć dni później, przedstawia się jak następuje:

Piątek
dnia 27-go
sierpnia
1824 roku.

KURYER SZAFARSKI.

Wspomnienie
R. 1798. Ogier
kasztanowaty,
wracając do domu
zdechł na samej
granicy.

Wiadomości krajowe.

Dnia 25 m. i r. b. IPanna Kosterja, owa dama, która niegdyś czarującym głosem wołała na IPana Szymona gaj, gaj, wychodząc z kuchni z dzieżką pełną wody, zagapiła się, brzdękła i dzieżkę stłukła. Tak wielki przypadek natychmiast Redaktorowi Kurjera doniesionym został, który uważając go za igraszkę ekstraordynaryjnej zgrabności, pierwsze mu miejsce między narodowemi wiadomościami przeznaczył. Dnia 26 m. i r. b. w Kurniku znalezionym został potwór kurczęci. Owe straszydło jest o dwóch nogach, z jednem skrzydełkiem, bez kupra i głowy. Ochmistrzyni kurczęcia stara się ile możności przesłać go do Warszawy lub do innej stolicy, ażeby tam, rozpoznane, miejsce zająć mogło w rzędzie szczególniejszych zjawisk natury.

IPan Pichon doznaje wielkich przykrości z powodu kuzynów [1]), których w Szafarni bardzo wiele zastał. Gryzą go, jak mogą, dobrze jednak, iż nie w nos, boby miał jeszcze większy, aniżeli ma.

---

[1]) Francuzów (robactwa).

Dnia 26 m. i r. b. *Sudyna*, suka, złapała w zbożu kuropatwę. J. W. Panna *Kozaczka*, spostrzegłszy to, odebrała jej ową zdechłą biedaczkę i powiesiła na gruszce. Suka przemyślna dopóty trzęsła gruszką i skakała, dopóki kuropatwy nie dostała, którą złapawszy smacznie skonsumowała. *Potomkowie* owych sławnych *Bohaterów* [1]), którzy *Kapitol* od *Gallów* obronili, często owies na pniu zakupują. Tandeta ta czasem panów kupców o śmierć przyprawia; wielu z nich bowiem kijem w łeb dostaje, a więcej jeszcze na rożnie ginie. Brat owego melancholicznego *gulaka* [2]) ze zgryzoty dostał zgniłej gorączki i leży bez nadziei życia. Dnia 25 Kaczor, wyszedłszy po kryjomu bardzo zrana z kurnika, utopił się. Dotąd jeszcze nie można dojść przyczyny owego samobójstwa; familja bowiem nie chce gadać. Krowa daleko zdrowsza i nikt nie wątpi o jej zupełnem wyzdrowieniu.

Wiadomości zagraniczne.

Dnia 26 m. i r. b. w Sokołowie indyk wlazł ukradkiem do ogrodu. Kania, chowana od młodości w ogrodzie, w życiu nie widząc indyka, krzywo na niego patrzała, a zbliżywszy się, oczy mu wydrapać chciała. Indyk się napuszył, a widząc, że miną nic nie wskóra, wziął się do dzioba. Wszczęła się walka; zwycięstwo żadnej stronie nie sprzyja, aż nakoniec po długiej potyczce indyk zwycięzca, wydziobawszy kani oko prawe, smutnie pojedynek zakończył.

IPan Pichon był dnia 26 m. i r. b. w *Golubiu*. Między innemi pięknościami i szczegółami zagranicznemi widział *Świnię* zagraniczną, która szczególniejszą uwagę tego tak dystyngowanego Wojażera zajęła.

Dnia 25 m. i r. b. w *Białkowie* kot zadusił kurę, której nikt odżałować nie może. Pewien Jegomość

---

[1]) Gęsi.
[2]) Indyka.

z okolicy, pomimo najściślejszej rewizji strażników na pograniczu będących, zdefraudował trzy kije pod płaszczem, bo je w Golubiu podczas jarmarku na surdut dn. 24 m. i r. b. dostał.

Żyd pachciarz w *Rodzonem* wpuszczał w nocy cielę w szkody: kilka razy mu się udało; d. zaś 24-go, w nocy, wilk przyszedł i zjadł bydlę. Pan się cieszy, iż tym sposobem przypłacił swej niegodziwości. Żydzisko jednak złe na wilka. Ofiaruje temu całe to cielę, ktoby mu go dostawił.

Wolno posłać
Cenzor
L. D.

Niemniej dowcipnym jest trzeci numer tego Chopinowskiego pisemka:

Wtorek, dnia 31-go sierpnia 1824 r.

KURYER SZAFARSKI.

Wspomnienie. Mysz, r. 1802, wygryzła dziurę w trzewiku JWPanny Józefy Dziewanowskiej.

Wiadomości krajowe.

D. 28 m. i r. b., gdy IPan Pichon, zatrudniony toaletą o śniadaniu rozprawiał, wlatuje z krzykiem do pokoju jakaś dama boso. Pichonek zdziwiony, otworzywszy gębę stał z początku jak gapa; po chwilce jednak dowiedział się przyczyny łez i narzekania: IP Stolnik, Wiktor Sikorowski, pospolicie od panny Michuchnej *Fuchturem* zwany, pokłócił się z Panną Kozaczką, a po długich sprzeczkach i korowodach tak ślicznie zamalował pięścią w łeb damulkę, że aż w wyższej instancji satysfakcji szukać przymuszoną była.

Dnia 29 m. i r. b. jechała fura żydów. Die ganze Familie składała się aus eine Maciore, tsiech dużich żydziech, dwóch malich i sieść ślutk żydzątek; wsiscy siedziali na kupie, kieby śledziów holenderskich. Tymczasem zawadzili o kamień, wywrócili i następującym porządkiem na piasku leżeli: naprzód bachorki, każde w innej pozycji, większa część z zadartemi do góry nóżkami, a na nich Maciore, stękająca pod ciężarem żydów, którym w locie i z impetu krymki pozlatywały.

Dnia 30 m. i r. b. w oborze trzy dziewki się pobiły. Dwie szczególniej, uzbrojone węborkiem i skopkiem, biły trzecią bezbronną, a lubo i ta ku końcowi dostała i skopek i węborek (*nota bene* na pysku), oprzeć się jednak tamtym nie mogła.

Dnia 30 m. i r. b. IPani *Zakierska*, obywatelka Szafarska, pokłóciwszy się z drugą, ze złości, że jej nic zrobić nie mogła, utopić się chciała. Szczęściem, iż pani *Szrederowa*, żona pana Gärtnera, owego starego obywatela, spostrzegłszy to, przybiegła, a gdy ta już głową w stawie była, zręcznie ją za nogi wyciągnęła i życie jej ocaliła.

Sudyna, suka, idąc dnia wczorajszego za Panną Józefką przez wieś, złapała gęś, zadusiła i zjadła. Dnia 31 m. i r. b. cztery gęsi, złapane w szkodzie. Dotąd są w wolnym areście, nie wiedzieć jednak, na czem się skończy.

Krowa ma się coraz lepiej, a na generalnem konsyljum doktorowie osądzili, że już najmniejszego niebezpieczeństwa niema.

Wiadomości zagraniczne.

Dnia 29 m. i r. b. IPan Pichon, przejeżdżając przez Nieszawę, usłyszał na płocie siedzącą *Catalani*, która coś całą gębą śpiewała. Zajęło go to mocno, a lubo usłyszał arję i głos, nie kontent jednak z tego, starał się wiersze usłyszeć. Po dwakroć przechodził koło płota, ale napróżno, bo nic nie zrozumiał; aż nakoniec zdjęty ciekawością, dobył trzech groszy, obiecał je śpiewaczce, byle mu śpiewkę powtórzyła. Długo się kręciła, krzywiła i wymawiała, lecz zachęcona trzema groszami, zde-

cydowała się i zaczęła śpiewać mazureczka, z którego Redaktor, za pozwoleniem zwierzchności i cenzury, na wzór jedną tylko strofę przytacza:

Patsaj ze tam za gulami, za gulami, jak to wilk tańcuje,
A wsakzeć on niema zony, bo się tak frasuje (bis).

W Radomiu dnia 29-go m. r. b. kot się wściekł. Szczęściem nikogo nie ugryzł, ale biegał i skakał po polu i to tylko dopóty, dopóki go nie zabili; po zabiciu bowiem przestał i więcej nie szalał.

W Dulniku wilk zjadł na kolację owcę. Stroskani opiekunowie pozostałych jagniąt ofiarują temu ogonek i uszy, ktoby wilka złapał, związał i przywiózł na inkwizycję radzie familijnej.

Wolno posłać
Cenzor
L. D.

Pierwsza w tych *Wiadomościach zagranicznych* o owym panu Pichonie (Chopinie), który dla usłyszenia piosenki ludowej datkiem pieniężnym zachęcał do śpiewania wiejską dziewczynę, niezmiernie jest ważnym przyczynkiem do rozwoju twórczości autora *Mazurków;* świadczy bowiem, jak wielką wagę przywiązywał on do pieśni ludowych, z jakiem przejęciem wsłuchiwał się w ich melodje, jak sumiennie starał się wnikać nawet w ich treść, której melodja była odpowiednikiem muzycznym, jak, jednem słowem, już w pacholęcych latach — bo opisując powyższy fakt miał lat 14 dopiero — instynktownie zwracał się do pieśni gminnej, celem dokładnego poznania się z duchem i charakterem melodji polskiej, z jej odrębnością i wszystkiemi typowemi właściwościami. W jednym z jego listów do Tytusa Wojciechowskiego czytamy te niezmiernie dlań charakterystyczne słowa: «Wiesz, ile chciałem czuć i w części doszedłem do uczucia naszej narodowej muzyki...» Powyższa wiadomość z *Kuryera*

Szafarskiego wtajemnicza nas w sposoby, do jakich uciekał się Chopin, by ducha «naszej muzyki narodowej» poznać i zgłębić. Skądinąd wiemy, że «w częstych wycieczkach za miasto, dokonywanych zwykle w towarzystwie ojca, albo też podczas wakacji szkolnych na wsi, jeżeli kiedy Fryderyk posłyszał sielską piosenkę, albo skrzypki rozlegające się z chaty włościańskiej lub karczmy, stawał pod ścianą, przysłuchiwał się uważnie, tonął duszą w ludowej melodji, napawał się jej rytmem i nie było sposobu na odciągnienie go stamtąd». Przytoczony — a po raz pierwszy drukiem ogłoszony — numer *Kuryera Szafarskiego* z d. 31 sierpnia 1824 r., rzuca jeszcze jeden bardzo silny snop światła w tej kwestji.

Ostatni pod względem daty z dochowanych Kurjerów Chopina brzmi, jak następuje:

Piątek
d. 8-go września 1824 roku.

KURYER SZAFARSKI.

Wspomnienie.
Założenie Szafarni roku 1740 przez Wawrzyńca Szafarniaka.

Wiadomości krajowe.

Dnia 1 m. i r. b. Właśnie JPan *Pichon* grał Żydka, gdy Pan Dziewanowski zawoławszy *Pakciarza* żyda, prosił go o zdanie o żydowskim wirtuozie. *Mosiek* zbliżył się do okna, wścibił nos garbato-wzniosły do pokoju i słuchał, mówiąc, że gdyby Pan Pichon chciał grać na żydowskiem weselu, zarobiłby sobie najmniej dziesięć talerów. Takie oświadczenie zachęciło Pana *Pichon* do sztuderowania, ile możności tego rodzaju muzyki, i kto wie, czy z czasem nie odda się zupełnie tak korzystnej harmonji.

Dnia 2 m. i r. b. Kot dopiero co przywieziony wymknął się z pokoju. Dozorczyni wybiegła za nim, a widząc, że ucieka, ścigać go zaczęła. Już go doganiała, gdy właśnie kot, dawszy susa przez płot, z drugiej strony bezpiecznie odpoczywał. Lecz Dama, chcąc go koniecz-

nie złapać, wlazła na płot, celem przejścia na drugą stronę, tymczasem noga się jej psnie... *equilibrum* straci... i... brzdęka, jak placek na ziemię.

Dnia 3 m. i r. b. JPan *Łukasz*, urzędu Parobek, wlazłszy na grużkę (!) zaczął trząść ulęgałki *damom*, pod cieniem drzewa na spadające grużeczki chciwie oczekującym; a trząsnąwszy kilka razy, gdy żadna spaść nie chciała, sam, *notabene* przypadkiem, zamiast ulęgałki, zleciał na ziemię.

Dnia 2 m. r. b. JPanna *Brygida*, kucharka, różne z chlebem w dzieży robiąc obroty, przez zbytnią zgrabność i zręczność, wszystek chleb na ziemię wywaliła.

Dnia 1 m. r. b. *Murzyn*, wyszedłszy ku wieczorowi z Panem na pole, zabił kuropatwę, notabene bez fuzyi i bez prochu.

Krowa ma się bez porównania lepiej: już przyjmuje wizyty, a niedługo to może i sama oddawać będzie.

Wiadomości zagraniczne.

Dnia 1 m. r. b. Kania zażarła kuropatwę w borze Bocheniecckim.

Dnia 5 m. r. b. W Bocheńcu odbędzie się wesele JPana Jana Lewandowskiego, stolnika, z Panną Katarzyną Ciżewską, córką Gubernatora ziemi Bocheniecckiej. Pani Gubernatorowa wielkie czyni przygotowania, a Pan młody już zaprasza gości na gody weselne. Między innemi Pan *Pichon* dostał inwitację, z czego się niewymownie cieszy, wraz z Redaktorem *Kuryera*, który w przyszłym numerze niezawodnie ważniejsze sceny i wypadki owego wesela doniesie.

Dnia 2 m. r. b. w *Białkowie* wszczęła się między psem a kotem, o kawałek na drodze leżącego mięsa, zacięta bitwa. Obydwaj więc z nieustraszonym walczyli umysłem; zapach mięsa wzbudzał męstwo, a apetyt — zazdrość wzajemną; długo, mężnie się ścierali: długo los nierozstrzygnięty strachem przejmował widzów; aż

nareszcie kot, wydrapawszy ostremi pazury oczy, już zmęczonemu walką i osłabionemu licznemi ranami Szpicowi, dwakroć jeszcze odepchnięty, dusi go... a gdy wszyscy zdziwieni ubolewają nad losem biednego psiny, zwycięzca kawał mięsa w tryumfie podnosi; niedługo jednak, ciężkimi okryty bliznami, mdleje, pada, przewraca się i... zdycha.

Dnia 31 (sierpnia) w Rętwinach wilki zjadły dwanaście owiec. Ktoby mógł ująć herzta, niech go dostawi Gubernatorowi ziemi Rętwińskiej, a otrzyma w nagrodzie połowę jednej z owiec dopiero wspomnianych.

Wolno posłać
Cenzor
L. D.

Czytając te zredagowane przez 14-letniego Chopina *Kuryery Szafarskie*, podziwia się w nich humor przyszłego twórcy smętnych *Nokturnów*, jego zmysł obserwacyjny, jego styl plastyczny, pozwalający czytelnikowi *widzieć* wszystkie opisywane sceny, a nadewszystko jego kąt widzenia humorystyczny, sprawiający, że wszystko tu, opisywane niby poważnie i objektywnie, jednak wychodzi karykaturalnie, niesłychanie komicznie. Szczególniej doskonale podpatrzonemi są wszystkie sceny z życia zwierzęcego, godne, jeżeli nie Kiplinga, to Kaulbachowskich ilustracyj do *Reinecke Lisa*... Nie gorsi są ludzie, których indywidualność zawsze jest wybornie z komicznej strony podchwycona. Jednem słowem, zawarte w tych czterech «Kuryerkach» Chopinowskich sceny z życia wiejskiego, są doskonałemi obrazkami rodzajowemi, świadczącemi, iż gdyby 14-letni redaktor *Kuryera Szafarskiego* wziął się zczasem do pióra, mógłby był zostać znakomitym pisarzem; miał wszelkie dane po temu.

Z PAMIĘTNIKÓW EUSTACHEGO MARYLSKIEGO

Przyjaciel Fryderyka hr. Skarbka, z którym odbył dłuższą podróż po Europie, i Kazimierza Brodzińskiego, którego często gościł u siebie w Książenicach i któremu po śmierci piękny pomnik dłóta Oleszczyńskiego w warszawskim kościele pp. Wizytek postawił, Eustachy Marylski, jako autor «Wspomnień zgonu zasłużonych Polaków», oraz «Pomników i mogił Polaków na cmentarzach zagranicznych» dobrze się zasłużył piśmiennictwu ojczystemu. Zamiłowany w książkach, pracując całe życie na roli i tylko w wolnych od zajęć ziemiańskich chwilach oddający się pracy literackiej, zostawił po sobie, prócz pięknej bibljoteki, bardzo zajmujące pamiętniki, a właściwie zbiór luźnych notatek biograficznych. Lubo nie zdążył ich opracować i w jedną całość powiązać, jednakże, jako obejmujące okres czasu pomiędzy rokiem 1806 a schyłkiem ubiegłego stulecia, zawierają one mnóstwo zajmujących szczegółów, godnych ogłoszenia. Rękopis pamiętników tych znajduje się dziś w posiadaniu syna autora, p. Antoniego Marylskiego z Pęcic.

Oto niektóre wyjątki, odnoszące się do liceum warszawskiego z przed r. 1830.

Ojciec mój odwiózł mnie do Warszawy. Miał zamiar umieścić mnie na Żoliborzu u księży pijarów, ale gdy tam miejsca nie było, oddany zostałem do liceum

warszawskiego. Po zdaniu egzaminu zapisany byłem w poczet uczniów klasy IV i umieszczony na pensji u Mikołaja Chopina, profesora literatury francuskiej.

Mieszkaliśmy na II piętrze w oficynie na prawo obok liceum, które mieściło się na dole w gmachu, zwanym koszarami kadeckiemi, gdzie dziś bibljoteka publiczna. W tej samej oficynie mieszkał na I piętrze Samuel Bogumił Linde, rektor liceum, i ks. Wojciech Szwejkowski, rektor uniwersytetu warszawskiego. Na dole mieszkali profesorowie uniwersytetu: Kolberg, Kazimierz Brodziński i wielu innych.

Nie mogę bez wdzięczności wspomnieć o tych zacnych ludziach, jakimi byli Mikołajostwo Chopinowie. Rodzice jedynie mogą być z równą troskliwością dla dzieci swoich. Było nas tylko sześciu zawsze umieszczonych w dwóch pokojach: z trzema sypiał M. Chopin, z drugimi trzema guwerner. Wraz ze mną byli na pensji u Chopina: Jan Białobłocki z płockiego, który w kilka lat po ukończeniu szkół zmarł; Jan del Campo Scipio, dzisiaj kanonik krakowski; Tytus Wojciechowski, zamieszkały dziś w lubelskim; Karol Weltz, brat przyrodni Tytusa Wojciechowskiego; Michał Lisowski, obywatel w radomskiem dziś zamieszkały, i Wodziński, który przyjechawszy na wakacje, rozmyślnie zastrzelił się. Chopin miał tabakierkę srebrną, wyobrażającą lewka; tę zostawiał na biurku. My przez zabawę, raniej od niego wstając, albo późno w nocy, zażywaliśmy tabakę. Jeżeli uczniowie jego klasy hałasowali, stukał tym lewkiem, a my się uciszali. Nie wolno było nikomu (mieszkającemu na stancji u Chopina) wychodzić na ulicę samemu. Siadaliśmy razem do stołu z państwem Chopin i dziećmi ich, t. j. Ludwiką i Izabellą, Emilją i Fryderykiem, którego imię głośne stało się w całym świecie artystycznym.

Wszystkie te córki M. Chopina starannie były wychowane. Ludwika, najstarsza, wydała później kilka pożytecznych książek. Wyszła potem zamąż za Józefa

Jędrzejewicza, który był wraz ze mną uczniem liceum. Druga córka M. Chopina, Izabella, jest żoną Bardzińskiego, poprzednio profesora, dziś dyrektora żeglugi parowej na Wiśle. Trzecia, Emilja, która w 16 roku życia zmarła, pisała wiersze drukiem ogłoszone. Piękne wspomnienie o jej zgonie ogłosiły pisma publiczne.

Fryderyk Chopin, skoro przybyłem na pensję, był małym chłopczyną wątłego zdrowia. Okazywał wielką zdolność do muzyki. Uczył go Żywny, Czech, wysokiego wzrostu, nosa ogromnego; na głowie miał żółtą peruką, która nas bawiła. Był to starzec 76-letni. Opowiadał nam o rewolucji Kościuszki, o królu Poniatowskim. Przywiązał się bardzo do rodziny Chopinów, podziwiał talent swojego małego ucznia. Oglądaliśmy na nim starożytne rozmaitego koloru aksamitne kamizelki, które on, powiadał, że nabywszy na licytacji po królu Poniatowskim kilka par, jak nazywał, pluderków, kazał z nich sobie te kamizelki porobić. Dawał on córkom Chopina i uczniom u niego stojącym lekcje na fortepjanie i najczęściej tam jadał. Odbywszy lekcje na mieście, powracał do nas. Często wieczór grywał z Chopinem w karty. O zmroku, mając wolne chwile od nauk, opowiadaliśmy wypadki z historji polskiej, jak śmierć króla Warneńczyka, Żółkiewskiego, staczane bitwy przez wodzów naszych, i to wszystko młody Chopin wygrywał na fortepjanie. Nieraz popłakaliśmy się przy tej muzyce, a Żywny zachwycał się jego grą. Wkrótce imię Fryderyka młodego stało się głośne w Warszawie. To też konie zajeżdżały i zabierały go na wieczory, gdzie on grywał swoje improwizacje. Co niedziela zajeżdżała kareta W. Ks. Konstantego po niego i tam już cały dzień bawił w Belwederze z młodym Pawłem, synem Cesarzewicza.

Pobyt mój w liceum pozostawił mi najmilsze wspomnienia, zwłaszcza, że młodzież była prowadzona nie tak surowo, jak w Płocku. Z początku dziwnem mi się wydawało, że rektor Linde, w obejściu łagodny, nie

przechadza się jak rektor Przybylski w Płocku, po korytarzach, ani bije młodzieży. My, którzyśmy mieszkali u Chopina, spotykaliśmy go często w tak zw. Ogrodzie botanicznym, będącym zaraz za liceum. Tam chodziliśmy lekcji się uczyć, lub czytać książki, które nam, za poręczeniem profesorów, dawano z bibljoteki publicznej. Pamiętam raz — a byłem uczniem klasy VI — niespodziewanie zastał mię czytającego świeżo wydane dziełko Szopowicza p. t. *Wykład filozofji Kanta*. Zaczął rektor zajmującą ze mną rozmowę o Kancie, a przekonawszy się, żem rozumiał treść czytanej książki, ucałował mnie. Odtąd często ze mną rozmawiał... Zastępował on profesorów, którzy dla słabości zdrowia nie mogli przybyć na lekcję. Rozbierał najczęściej mowy Cycerona... Cóż to za zajmujący był wykład! Jakież bogactwo wiadomości rozwijał wtedy przed nami!... Tłumaczył się płynnie dobrą polszczyzną, choć wymawianie wielu słów zdradzało człowieka, który wychowanie odebrał w szkołach niemieckich. Czasem trafiło się, że przyszedł zastępować profesora literatury. Odczytywaliśmy nasze wypracowania, on zaś zwracał uwagę na wyrażenia nie polskie, na związek myśli. Zawsze w takich razach czuliśmy żal, iż tak prędko godzina się skończyła. Widząc to, skoro nie dokończył jakiego wykładu, wzywał nas w dzień rekreacji do klasy, i tam parę godzin miał prelekcję. Po jego wykładzie, jakże niedostatecznemi wydawały się nam wykłady innych profesorów!

Szczęściem dla mnie było, że liceum umieszczono obok uniwersytetu, dzięki czemu pozostawaliśmy w ciągłej styczności z akademikami. Nieraz wchodziliśmy na ich prelekcje, a na wykładzie Osińskiego bywaliśmy bardzo często. Stąd znajomości z wielu uczniami uniwersytetu.

Do pamiętnych obchodów zapisać winieniem żałobne nabożeństwo, jakie uczniowie liceum w dn. 16 maja 1820 r. ze składek odprawili za duszę ś. p. Aloj-

zego Felińskiego w kościele panien Wizytek. Na środku kościoła wzniesiono pomnik z drzewa w kształcie nagrobku, pomalowany na kolor marmuru. Na nim napis: «Alojzemu Felińskiemu uczniowie warszawskiego liceum». U góry krzyż, pod nim lira i wieniec. Po odbytem nabożeństwie stanął na gradusach pomnika Ludwik Przesmycki, uczeń liceum, i miał mowę na pochwałę Felińskiego.

Zakończenie nauk szkolnych corocznie odbywało się z wielką uroczystością. Zwykle sam Stanisław Potocki i Juljan Ursyn Niemcewicz, Staszic lub Koźmian znajdowali się. Potocki przemawiał sam do młodzieży, Niemcewicz zadawał pytania z geografji dawnej Polski. Niezmiernie go cieszyło, iż z nią obeznali się uczniowie. Wiedzieliśmy o tem i dlatego dobrze przygotowywaliśmy się na jego pytania. Jeden zwykle z uczniów kończących szkoły, żegnał rektora i profesorów. Wszyscy słuchali z rozrzewnieniem tych mów. Zwykle profesor literatury polskiej przeznaczał kilku uczniów do napisania takiego pożegnania i z tych prac wybierał tę, którą osądził za najlepszą. I mnie spotkał ten zaszczyt... Niemcewicz dał oklaski, a St. Potocki odezwał się, że rzecz dobrze napisana, i dziękował profesorowi literatury Kuligowskiemu. Wszyscy zadowoleni opuszczali popis. Było to wielką zachętą.

Stanisław Potocki opuścił ster oświecenia w roku 1820, a miejsce jego zajął Stanisław Grabowski. I ten znajdował się na publicznych popisach w liceum, także przemawiał do uczniów, ale, choć niezmiernie ugrzeczniony, już nie wzbudzał tej czci, jaką sobie był pozyskał Potocki. Śmierć tego zacnego męża powszechną obudziła żałobę, a żal w nas wielki. Z radością też dowiedzieliśmy się, że nam wolno będzie dać publiczny dowód wdzięczności przez zasadzenie drzew w Służewie. W d. 11 grudnia 1823 r. udaliśmy się pieszo zrana uczniowie wyższych klas, piątej i szóstej, wraz z rektorem Lindem i profesorami do Służewa. Chociaż wiatr był

przejmujący i śnieg padał, ochoczo tę wycieczkę odbywaliśmy. Przybywszy do Służewa, zastaliśmy już drzewa nagromadzone. Rozdano nam szpadle, wsadziliśmy w przygotowane doły mnóstwo drzewek, które dziś przedstawiają widok lasu zwartego. Miał mowę profesor religji, potem uczeń Szymon Kassjanowicz, imieniem uczniów klasy szóstej, przemawiał wierszem. Podano nam książkę: w niej rektor Linde, profesorowie i wszyscy uczniowie zapisali się.

Wiersz Kassjanowicza napisany przy zasadzaniu drzewek przez uczniów liceum warszawskiego dn. 11 grudnia 1823 r. brzmi, jak następuje:

Wzrastajcie nasze drzewka, wzrastajcie w tym gaju.
Bądźcie drogą pamiątką dla nas i dla kraju.
Wzrastajcie. Tu was nasze zasadziły dłonie,
Krzewcie się! Upiększajcie to lube ustronie.
Tu was odwiedzać będą Polacy z rozkoszą,
Tu oni wasze listki swemi łzami zroszą...
Uczci ten gaik święty nasz prawnuk daleki,
W nim pamięć Potockiego będzie żyć na wieki.

W programie liceum warszawskiego za rok 1823 jest Garczyńskiego opis życia zamieszczony wraz z innymi, którzy się do egzaminu podali w celu otrzymania świadectw dojrzałości. Z tego pokazuje się, że nasz Stefan Garczyński urodził się w roku 1805 we wsi Kosmowa w W. Księstwie Poznańskiem; w roku 1820 do liceum warszawskiego przyjęty został do klasy trzeciej. Uczył się bardzo dobrze i w ciągu tego czasu trzy nagrody otrzymał. Razem od klasy czwartej byliśmy, a w klasie szóstej przy sobie siedzieliśmy. Opuściwszy Warszawę, pisywał do mnie listy. Kochaliśmy go wszyscy. Pięknej był powierzchowności; młodzieniec rumiany, nigdy nie zapowiadał suchot, na które skończył. Szczególniej celował w matematyce. Nie zapowiadał nigdy żadnego talentu do poezji. Pamiętam, że kiedy całej klasie szóstej zadał ówczesny profesor literatury, Kulikowski, wiersz p. t. *Żal zbrodniarza*, Garczyń-

skiemu najniefortunniej powiodło się i czytanie jego wywołało śmiech powszechny. Nie widziałem go, jak w roku 1831, kiedy przybył do Warszawy.

Za mojej bytności w szóstej klasie wykładali następujący profesorowie. Religję — ks. Józef Dobrowolski, który zarazem był prefektem. Języki łaciński i grecki — Wacław Aleksander Maciejowski. Literaturę polską — Seweryn Kulikowski; był on księdzem, ale nigdy mszy św. nie odprawiał i przybył do nas z Podola; skoro Stanisław Grabowski został ministrem oświecenia, oddalił się z liceum. Literaturę francuską — Mikołaj Chopin. Matematykę — Władysław Janicki. Literaturę niemiecką — Jan Szubert. Fizykę — Matuszewski. Historję naturalną — Antoni Pawłowicz. Historję powszechną — Ludwik Koncewicz, nielubiany od uczniów dla swojej rubaszności, a nadewszystko, iż z jego powodu zdolny uczeń klasy piątej, Jankowski, został oddany do wojska...

Koncewicz w czasie lekcji powiedział mu niegrzeczność. Cała klasa zaczęła gwizdać i tupać nogami. Jankowski dobył scyzoryka... Koncewicz udał się do rektora Lindego na skargę... Niespodzianie zwołano wszystkie klasy do kaplicy liceum, która była w środku Pałacu Kazimierzowskiego, a po bokach klasy. Zajechał generał Rożniecki... i wtenczas otwarto drzwi od klasy. Ogłoszono wyrok Jankowskiemu, iż jest skazany na chłostę, którą wykonano wobec generała i następnie ogolono mu głowę... Scena ta na nas zrobiła bardzo przykre wrażenie.

Odtąd profesor Koncewicz znienawidzony od uczniów nie śmiał oczu podnieść.

MŁODZIEŃCZY «IDEAŁ» CHOPINA

(Rzecz odczytana d. 25 marca 1899 r. na t. zw. «kawie czarnej» artystyczno-literackiej w sali Warszawskiego Ratusza).

«Może na moje nieszczęście — pisał 18-letni «Szopenek» do jednego ze swych przyjaciół — ale mam ja już mój ideał, któremu wiernie, nie mówiąc z nim, już pół roku służę, który mi się śni po nocach, na którego pamiątkę skomponowałem *Adagio* do mojego *Koncertu* [1]) i który mi inspirował tego *Walca* [2]) dziś rano, co ci posyłam». Ideałem tym była niejaka panna Konstancja Gładkowska.

Urodzona d. 10 czerwca 1810 roku, a więc o trzy miesiące tylko młodsza od swego genjalnego wielbiciela, przyszła na świat w Warszawie, gdzie ojciec jej był burgrabią w Zamku. W roku 1829, gdy stała się «ideałem» młodziutkiego Ariela fortepjanu, była uczenicą warszawskiego konserwatorjum [3]), w którem, pod kierunkiem Solivy kształciła się w śpiewie.

W gmachu tegoż konserwatorjum (mieszczącego się wówczas na rogu Krakowskiego Przedmieścia i Placu Zamkowego) nastąpiło jej pierwsze spotkanie z Fryderykiem. Było to na dorocznym popisie. Cho-

---

[1]) F-moll.
[2]) Des-dur, op. 70, Nr 3.
[3]) Zob. o ówczesnem Konserwatorjum Warszawskiem zajmujący artykuł Al. Kraushara w *Tygodniku Polskim*, Nr 14, dnia 8 kwietnia 1899 r.

pin bywał na tych popisach jako «najlepszy w całem mieście fortepjanista», jako jeden z przedstawicieli miejscowego świata muzykalnego, w którym, choć najmłodszy wiekiem, zdobył już sobie jedno z najpoczesniejszych miejsc. Konstancja wystąpiła tym razem jako najcelniejsza uczenica Solivy. Przyszły twórca *Nokturnów* był niezmiernie wrażliwy na śpiew, zwłaszcza na śpiew kobiecy, a że panna Gładkowska obdarzona pięknym mezzo-sopranem nietylko śpiewała bardzo ładnie, ale nadto była jeszcze śliczną jasnowłosą dziewicą o szafirowych oczach, typowem dziewczęciem polskiem, więc na popisie tym oczarowawszy całe audytorjum, rzuciła urok i na Chopina również... Od tej chwili począwszy stał się «Pan Frycek» (jak go nazywano) podobnym do szekspirowskiego Romea, z tą różnicą jedynie, że młody Montecchi odrazu wyznał swą miłość, gdy on nie mógł się zdobyć na tyle nawet, iżby się zbliżyć do swej Giuljetty, żeby przemówić do niej. Kochał się w niej, marzył o niej, korzystał z każdej okazji, gdy ją mógł widzieć, spotkać na ulicy lub w kościele, ale trzymał się zdaleka, i kryjąc się ze swem uczuciem, nie miał dość odwagi i śmiałości, by z Konstancją poznać się osobiście.

I tak upłynął szereg miesięcy, rok blisko. Gdy się poznali ostatecznie, niebawem nastąpiło zbliżenie, zawiązała się przyjaźń, zaczął się klecić romans... Inteligentna i wrażliwa, z usposobieniem artystycznem, nadzwyczaj miła i pełna wdzięku w obejściu, Konstancja posiadała wszelkie dane po temu, by nie tracić na bliższem poznaniu, lecz przeciwnie, zyskiwać. Tak też stało się i obecnie: młody artysta, w miarę, jak coraz więcej przestawał z tem «czułem stworzeniem» (jak w jednym z listów nazywa Konstancję), coraz bardziej utwierdzał się w swym niewyznanym afekcie ku niemu. Nadzwyczaj muzykalna z natury, rozumiała i odczuwała go doskonale, co oczywiście nie pozostawało bez wpływu na jego miękkie serce... Jakoż chwile, które spędzali razem

bądź w konserwatorjum (w którem mieszkała Konstancja), bądź w Teatrze Narodowym na operach, bądź w resursie na koncertach, oboje zaliczali do najprzyjemniejszych. Często ona śpiewała przy jego akompanjamencie (a nikt tak nie umiał akompanjować do śpiewu, jak «pan Frycek»!), lub on przegrywał jej swoje najświeższe kompozycje, a choć bywając w wielkim świecie, poprostu rozrywany po salonach Warszawy, miał niesłychane powodzenie u dam z najwyższych sfer towarzyskich, to jednak na niczyich względach i pochwałach nie zależało mu tyle, co na dowodach sympatji i uznania ze strony tej skromnej córki burgrabiego! W niej widział swój «ideał», ona była mu natchnieniem, Muzą.

Był to czas właśnie, gdy panna Gładkowska po skończeniu konserwatorjum przygotowywała się do pierwszego publicznego wystąpienia na scenie Teatru Narodowego (którego gmach zajmował wtedy środek Placu Krasińskich). Operą, którą sobie za poradą Solivy — a może i Chopina — obrała na pierwszy debjut, była *Agnes* Paëra. Nazajutrz po tym debjucie, który się powiódł doskonale, pisał «zadowolony» Chopin do przyjaciela: «Lepiej jest ona na scenie, niż w sali. Nie mówię o grze tragicznej, wybornej, bo niema co powiedzieć. Jak frazuje, tobyś się rozkoszował; cieniuje przecudnie, a chociaż z początku głos jej się trząsł ze wzruszenia, jednak później bardzo śmiało śpiewała... Na końcu przywołano ją i rzęsistemi okryto oklaskami».

Od tej chwili zaangażowana na scenę, Konstancja została śpiewaczką. Występowała z powodzeniem, do którego obok pięknego śpiewu, w niemałym stopniu także przyczyniała się i jej niezwykła uroda. Szczególniej podobała się oficerom z pierwszych rzędów krzeseł... Znalazło się nawet kilku, co wtargnąwszy za kulisy, czynili możliwe wysiłki, by sobie zjednać uroczą śpiewaczkę, lecz ona «drwiła» z ich zalotów, bo prócz

nich był tam jeszcze i Chopin...[1]). Wprawdzie jej nie wyznał swojej miłości, lecz mimo to domyślała się trochę «największego upału» w jego sercu i dlatego unikała wszystkiego, coby go mogło zmartwić... Czy go kochała? Z tego nie zdawała sobie dokładnie sprawy, zdaje się jednak, że na dnie tej szczerej sympatji, jaką żywiła dla niego, kryło się uczucie mickiewiczowskiej Zosi, gdy mówi do Tadeusza: «Jużcić, jeżeli kocham, to już chyba pana». Bądź co bądź Chopinowi przy każdem spotkaniu z nią, na każde spojrzenie jej żywiej biło serce... Przykrym dysonansem, który na tle podobnych «chwil jakiegoś lubego odrętwienia»[2]), coraz bardziej zamącał harmonję tych romansowych duetów, była myśl o rozstaniu, które im niebawem miało położyć koniec.

Termin wyjazdu Chopina zagranicę w celu dalszego kształcenia się w muzyce, zbliżał się z dniem każdym... Na samą myśl o tem, myśl, która, jak złowrogi miecz Damoklesa wisiała nad ich głowami, Fryderyk zapadał w coraz większe spleeny, a i Konstancja nie mogła sobie wyobrazić tej chwili rozłączenia się... może na zawsze... Często mówili o tem, a ile razy poruszyli tę bolesną kwestję, natychmiast wesołość uciekała od nich, marszczyła się gładka powierzchnia duszy. Ale jak tu nie mówić o rzeczy, która im wciąż stała przed oczyma! «Co to jest, gdy serce obałamucone! Nie zawsze człowiek szczęśliwy; może tylko kilka chwil w życiu przeznaczonych mu jest (kosztować szczęścia), więc

[1]) Tarnowski, *Chopin i Grottger*, str. 20—21; «wtenczas, kiedy tylko kilku (oficerów) tobie najgorącej podobać się chciało, a tyś z nich drwiła, bom ja tam był...» (Wyjątek z dziennika Chopina).

[2]) «Uderzony jednem niespodzianem ideału mego spojrzeniem w kościele (u Bernardynów), właśnie w chwili jakiegoś lubego odrętwienia, natychmiast wybiegłem na ulicę i z kwadrans nie wiedziałem, co się ze mną stało. Taki czasem warjat się ze mnie robi, aż strach!» (Z listu do T. Wojciechowskiego).

czemuż odrywać się jeszcze od tych złudzeń, które i tak długo trwać nie mogą... Już mię szały napadają mocniejsze, niż zwykle. Jeszcze siedzę, (bo) nie mam dosyć sił do wybrania się na wyjazd. Myślę, że opuszczam Warszawę poto, żebym nigdy już nie wrócił do domu»... Dręczony takiem przeczuciem, przeczuwając nadto, iż porzuciwszy «wszystkie swoje skarby», skazany będzie «na wieczne wzdychania», nie mógł sobie miejsca znaleźć nigdzie, a w sercu czuł coraz większy smutek. «Wychodzę z domu, idę na ulicę, tęsknię i wracam do domu?... Po co? po to, żeby znowu tęsknić». Szczególniej lękał się bolesnej chwili pożegnania z Konstancją, pożegnania, o którem wiedział zgóry, ile ich będzie kosztowało obojga. Dlatego myślał chwilami, czyby nie było najlepiej wyjechać ukradkiem! «Mam szczerą chęć po cichu, nie mówiąc nic nikomu, wyjechać od soboty za tydzień bez pardonu, mimo lamentów, płaczu, narzekania i padania mi do nóg. Nuty w tłumok, wstążeczka na sercu, dusza na ramieniu i w dyliżans».

Zanim wyjechał jednak, dał jeszcze d. 11 października «koncert pożegnalny» w teatrze, koncert, na którym także śpiewała i panna Gładkowska. Powodzenie było ogromne, a Konstancja — którą on sam pod rękę wprowadzał na scenę — śpiewała piękniej, niż kiedykolwiek. «Biało, z różami na głowie do twarzy prześlicznie ubranej, odśpiewała — przy akompanjamencie orkiestry pod dyrekcją Solivy — *Cavatinę z La donna del lago* z recitativem tak, jak (oprócz arji w *Agnes*) nic jeszcze nie śpiewała. Znasz to *O, quante lagrime per te versai*... Powiedziała *tutto detesto* aż do *u* dolnego tak, że Zieliński utrzymywał, że to jedno *u* tysiąc dukatów warte».

We dwa tygodnie po tym koncercie wypadło Fryderykowi pożegnać się z ukochaną, tym razem już naprawdę. Jaka scena rozegrała się między nimi w tym dniu pamiętnym — dokumenty milczą. Pew-

nem jest tylko to, że nim się rozstali, zamienili pierścionki [1]).

Dnia 2 listopada 1830 roku wyjechał Chopin z Warszawy. Po upływie dwóch miesięcy, w drugie święto Bożego Narodzenia, pisząc z Wiednia do swego przyjaciela Matuszyńskiego, zaczął swój list od następujących słów: «Przeszłego roku o tym czasie byłem u Bernardynów (z Konstancją). Dzisiaj w szlafroku sam jeden siedzę, pierścionek gryzę i piszę». Już to wogóle od chwili, gdy się znalazł za rogatkami warszawskiemi, co moment przypatrywał się temu pierścionkowi, okrywał go pocałunkami, a myśląc o tej, od której dostał tę wymowną pamiątkę, był jak ów bohater z poematu Słowackiego *W Szwajcarji*, który «usychał z żalu, omdlewał z tęsknoty». Gdziekolwiek się obrócił, nigdzie o niej zapomnieć nie mógł, wszystko zaś, co mu przypominało jej wdzięczną postać, miało dlań podwójny urok, tak dalece, że np. bywając w różnych polskich domach w Wiedniu, najchętniej odwiedzał panią Bajerową, dlatego, że i jej także było na imię Konstancja, że «w domu tej zacnej Polki» wszystko było znaczone jej imieniem, począwszy od nut, a skończywszy na chustkach do nosa, i że tem samem wszystko mu tutaj «przez reminiscencję» przypominało piękną burgrabiankę... Ale Chopin nie potrzebował aż takich dotykalnych znaków przypomnienia, bo i bez tego myślał o niej prawie ciągle, a gdy pisał do Matuszyńskiego, wtajemniczonego w jego sercowe dzieje, to najwięcej miejsca zajmowały w tych listach «banialuki» o Konstancji. «Z nikim poufałości, ze wszystkimi grzecznie obchodzić się muszę. Mam ludzi, co mię niby lubią, co mię malują, mizdżą się, przy-

[1]) Dowodów na to nie brak. O pierścionku, ofiarowanym Chopinowi przez Konstancję, znajdują się w jego listach do Matuszyńskiego kilkakrotne wzmianki. O pierścionku zaś, który Chopin ofiarował Konstancji, posiadam wiadomości od wnuka Konstancji p. St. Karpińskiego. Będzie o nich mowa później.

milają. Cóż mi z tego, kiedy spokoju nie mam? Chyba, jak sobie wszystkie wasze wydobędę listy, otworzę widok króla Zygmunta (i Zamku, gdzie mieszkali rodzice Konstancji), na pierścionek spojrzę... Uściskaj ode mnie wszystkich moich kolegów. Daj buzi! Ja ciebie chyba razem z życiem, z rodzicami, chyba razem z nią kochać przestanę. Mój drogi, pisz do mnie, nawet pokaż jej ten list, jeżeli ci się zdaje... Jeżeli cię tak W... szczerze kocha, jak ja, to Konst... Nie mogę nawet nazwiska napisać; ręka moja niegodna. Ach, włosy sobie wyrywam, kiedy wspomnę, iż mogą o mnie zapomnieć!... Ze mnie dziś *Otello!*... Mój portret, o którym ty i ja tylko mamy wiedzieć, podobniuteńki. Jeżelibyś myślał, że choć trochę przyjemności zrobi (Konstancji), przez Schucha ci go przyślę». Do listu tego dołączył Chopin jeszcze «bilecik» dla panny Gładkowskiej, który to liścik miał jej Matuszyński wręczyć osobiście... W tydzień później, nie otrzymawszy żadnej od przyjaciela swego odpowiedzi w tej kwestji, pisał do niego Chopin, widocznie zaniepokojony tem milczeniem z jego strony, co następuje: «Najdroższa istoto! Masz, coś chciał! Odebrałeś list? Oddałeś?... Żałuję dziś mocno tego, com zrobił. Rzuciłem promyk nadziei tam, gdzie tylko same ciemności i rozpacz widzę. Może ona zadrwi, może zażartuje? Może... Listu od ciebie nie mam! Rodzicom powiedz, żem wesół, że mi niczego nie brak, że się bawię paradnie, że nigdy sam nie jestem. Jej to samo powiedz, jeżeli będzie drwiła! Jeżeli zaś nie, to jej powiedz, żeby była spokojną, że się wszędzie nudzę. Pisz jak najwięcej. Piszesz, że wychodzisz z pułkiem. Jakże więc oddasz bilecik? Nie przesyłaj. Ostrożnie! Może rodzice... Możeby źle sądzono!»

Upłynęło pół roku. Artysta po 8-miesięcznym pobycie nad Dunajem, przeniósł się pod koniec sierpnia do Stuttgartu, ale i tam poszło za nim rzewne wspomnienie Konstancji. Skołatany i rozstrojony ówczesnemi wypadkami politycznemi, o których się dowiadywał

z dzienników, a jednocześnie pozbawiony wszelkich wiadomości z Warszawy, niespokojny o swoich najbliższych i... o nią, nie wiedząc, co się z nimi dzieje, czy zdrowi, czy żywi, dręczony najsroższą niepewnością, ile razy z tych szarpiących uczuć spowiadał się w swym dzienniku, zawsze mu obok postaci rodziców, sióstr i najserdeczniejszych przyjaciół i jej ukochane widmo stawało się przed załzawionemi oczyma. Wciąż myślał o niej, tęsknił za nią, niepokoił się o nią. Na bezbrzeżny smutek, tchnący z napisanej teraz właśnie żałosnej *Etiudy C-moll*, złożyła się w znacznej części także i myśl o tem «czułem stworzeniu», od którego pierścionek nosił na palcu. «Co się z nią dzieje? Gdzie jest? Biedna, może w ręku moskiewskiem. Moskal ją dusi, morduje, zabija! Ach! Życie moje, ja tu sam! Chodź do mnie; otrę łzy twoje, zagoję rany teraźniejszości, przypominając przeszłość. Masz matkę? i taką złą... a ja mam taką dobrą... A może już wcale matki nie mam?» Dręczony tak rozpaczliwemi przywidzeniami, przyczem nieustannie troszczył się o swój błękitnooki «ideał», miewał i takie czarne chwile, że wątpiąc o wszystkiem, zaczynał wątpić i o stałości Konstancji. «Czy ona mnie kochała, czy tylko udawała? — to sęk do odgadnienia. Tak, nie tak, tak, nie tak, nie tak, palec w palec! Kocha mnie? Kocha mnie pewno. Niech robi, co chce!»

W tak ponurym nastroju znalazł się Chopin w końcu września na paryskim bruku. Choć wpadł tu odrazu w wir życia artystycznego i muzycznego, a niebawem i emigracyjnego polskiego, choć go z początku oszałamiała atmosfera nadsekwańskiej stolicy i choć do smutku i melancholji — zdawało się na pozór — nie miał najmniejszych przyczyn, to jednak nie mógł się opędzić napadom tęsknoty i żałości. Między innemi trapiło go to, że od niejakiego czasu absolutnie był pozbawiony wiadomości o Konstancji. Zaczęło mu to dawać do myślenia, a tem samem przyprawiało o niepokój. W tem uczuciu pisał raz do Wojciechowskiego. «Ach,

jakżebym chciał ciebie mieć przy sobie! Nie uwierzysz, jak mi smutno, że nie mam komu się wyjęzyczyć. Wiesz, jak łatwo zabiorę znajomość, wiesz, jak lubię towarzystwo ludzkie, więc też takich znajomości mam po uszy, ale z nikim, z nikim westchnąć nie mogę! Jestem zawsze, co się tyczy uczuć, w *synkopach*. Wesołym powierzchownie, szczególniej gdy się znajduję pomiędzy swoimi, ale wewnątrz coś mię morduje. Jakieś przeczucia niedobre, niepokój, złe sny, albo bezsenność, tęsknota, obojętność na wszystko, chęć do życia, to znów chęć śmierci».

Jeżeli owe niedobre przeczucia tyczyły się Konstancji, to sprawdziły się prędzej znacznie, aniżeli biedny artysta nawet przypuszczał. Bo zaliż mógł podejrzewać, gdy dnia 25 grudnia 1831 r. pisał swój list do przyjaciela, że w tej chwili Konstancja już za niecałe dwa tygodnie miała stanąć na ślubnym kobiercu. Że tak było, niestety, o tem fatalna wieść miała nań niczem piorun z jasnego nieba spaść lada dzień.

Rzecz miała się tak. W tym samym czasie mniej więcej, gdy Chopin stanął w Paryżu, przyjechał do Warszawy pewien młody człowiek, który, poznawszy pannę Gładkowską, zachwycony jej urodą i przymiotami duszy, niebawem poprosił o jej rękę. Ponieważ wszystko przemawiało za nim, więc został przyjęty. Był nim 28-letni Józef Grabowski, syn powszechnie znanej i szanowanej rodziny Grabowskich. Przyjechał z Petersburga, gdzie był urzędował w Sekretarjacie Stanu Królestwa Polskiego. Jako rodzony brat Jana Grabowskiego, znanego kupca, i Edwarda Grabowskiego, głośnego mecenasa (zmarłego niedawno), był bardzo dobrą partją, nie pod względem materjalnym wprawdzie, gdyż wielkiego majątku nie miał, ale zato pod wszelkimi innemi. Inteligentny, wykształcony, stateczny, młody, a przytem bądź co bądź mogący się nazwać zamożnym, gdy się zakochał w pięknej śpie-

waczce, umiał sobie zdobyć jej względy, tak, iż zdecydowała się zostać jego żoną.

A Chopin? Na niego liczyć nie mogła. Wiedziała, że wyjeżdżając zagranicę, nie wyjeżdżał na krótko, a co ważniejsze, okoliczności składały się w taki sposób, że wcale nie dało się ręczyć za to, czy Fryderyk wogóle powróci do kraju... Powtóre, choć miała dlań wiele sympatji, to jednak był on za młody dla niej; mając lat 20, trudno, aby myślał o małżeństwie. Lubo genjalny jako muzyk, prawie był dzieckiem jeszcze, a jeśli chodzi o wygląd zewnętrzny, to stanowczo wyglądał na chłopaczka, który ledwo dzieckiem być przestał. Zdecydowawszy się zostać artystą, po to wyjechał zagranicę, by się kształcić w kierunku muzycznym, a nikt nie wątpił, że te studja potrwają lat parę a może i dłużej. Co się tyczy jego miłości, to Konstancja, jakkolwiek się jej domyślała, nigdy nie przypuszczała wszakże, by to zakochanie się mogło być tak wielkiem, a powtóre, choćby nawet było jak najgorętszem, to było to uczucie studenckie, którego panna w jej wieku nie mogła brać na serjo. Ona mając lat 20, była zupełnie dojrzałą, on zaś, będąc jej rówieśnikiem, nie mógł sobie do nazwy człowieka dojrzałego rościć pretensji. Niepodobna wymagać zresztą, iżby znalazłszy się w jej położeniu, panna chciała czekać na człowieka, z którym nie była związaną żadnem słowem, a który przy wrażliwości swego artystycznego i trzpiotowatego usposobienia bardzo łatwo mógł zapomnieć o niej. A może nawet już zapomniał! W Paryżu miał aż nadto sposobności po temu.

Wszystko to razem wzięte i rozważone sprawiło, że panna Gładkowska z zupełnie czystem sumieniem i nie robiąc sobie żadnych skrupułów z powodu Chopina, została dnia 31 stycznia 1832 roku panią Józefową Grabowską...

Opuszczony Chopin, gdy mu o tym ślubie napisano do Paryża, nie przyjął wieści o nim obojętnie. I został mu na dnie serca pewien osad rozgoryczenia,

które odtąd, ile razy mówił o kobietach, prawie zawsze dawało się zauważyć w jego słowach. Rozumiał wprawdzie, że okoliczności aż nadto usprawiedliwiały postępek Konstancji, że nie można się jej było dziwić ani poczytać za złe, jeśli w takich warunkach nie wahała się zostać panią Grabowską, lecz mimo to miał żal do niej, że «próżno wierny był i stały». Upłynęło lat kilka, a żal ten, pomimo wszystkiego, co zaszło w tym okresie życia Chopina, odzywał się ciągle. Gdy raz na przyjęciu u hrabiny Collin-Maillard zagadnął go Albert Grzymała w kwestji jego «ran sercowych», o których wiedział cośkolwiek, miał mu podobno Chopin — w przeddzień poznania się z p. Sand — odpowiedzieć w te słowa: «Serce moje niezawodnie wyschło dzisiaj do głębi, ale był czas, że pełne ono było po brzegi skarbów uczucia. O, i ja kochałem, i jak kochałem! A choć nieraz opowiadałem ci o tem, dziś jeszcze, kiedy pomyślę jak mój anioł pokoju wyglądał, na jakie męki skazało mnie moje z nim rozstanie, kiedy przypomnę, z jakiem drżeniem rozkosznem i strasznem zarazem odbierałem listy Matuszyńskiego, w których mi o niem donosił, to staje mi przed oczyma obraz szczęścia, jakie już dawno minęło i jakie nigdy nie wróci. Niestety i ten anioł, była to tylko zwykła Konstancja, zwykła kobieta, i ona także o towarzyszu lat młodości zapomniała i ona oddała rękę innemu. Winić jej jednak nie śmiem. Nie wszystkim sercom dała natura taką jak mnie wytrwałość i stałość, i są ludzie, dla których potrzeba ciągle mieć przed oczyma przedmiot ukochany, aby miłość dla niego zachować. Czy wszystkie kobiety takie, rozstrzygać nie chcę, alem już nie ciekawy i w sercu mojem nie masz dla nich miejsca. Prawdziwie kocha się raz w życiu» [1]).

Tymczasem młodzi państwo Józefowie Grabowscy po roku spędzonym w Warszawie, przenieśli się na

---

[1]) Zob. Aër (Adam Rzążewski), *Opowiadania i studja.* Poznań, 1885. *Konstrasty. Ustęp z życia Chopina,* str. 69.

wieś, do nabytego umyślnie w tym celu Raducza pod Rawą w Piotrkowskiem. Tutaj wśród ciszy wiejskiej żyli szczęśliwi w najlepszej harmonji, ciesząc się dziećmi, których im Bóg dał pięcioro [1]). Życie im płynęło spokojnie i bezkłopotliwie: on był wzorowym obywatelem ziemskim, ona zaś, z pięknej śpiewaczki, tak gorąco oklaskiwanej przez publiczność warszawską, a zwłaszcza przez młodych melomanów, przedzierzgnęła się w doskonałą gosposię, całą duszą oddaną domowi, mężowi i dzieciom. Za sceną, którą była opuściła zaraz po zamążpójściu, zdaje się nie tęskniła, co nie znaczy wcale, ażeby w dalszym ciągu, w chwilach wolnych od zajęć obowiązkowych, nie uprawiała muzyki i śpiewu. Utwory Chopina, którego sławą już rozbrzmiewała cała Europa, miały w niej gorącą zwolenniczkę. Pozatem bardzo wiele czytała. Wogóle dwór w Raduczu odznaczał się poziomem umysłowym, jaki się spotyka nie wszędzie po wsiach.

Tak przeszło lat kilkanaście. W roku 1845 spadło na dom Józefa Grabowskiego wielkie nieszczęście: pani Konstancja ociemniała. Stało się w następujących okolicznościach: «Czytała noc całą *Żyda wiecznego tułacza*, w owe czasy bardzo poczytną książkę. Nazajutrz doznała szalonego bólu oczu, a już w pół roku potem zaniewidziała [2]). «Naprożno obwoził ją gorąco przywiązany mąż po sławnych okulistach europejskich: do końca nie odzyskała wzroku» [3]). Mimo to — pisze o niej spokrewniony z nią przez żonę twórca *Goplany* — los swój znosiła z rzadką rezygnacją, w uczuciach religijnych czerpiąc niespożytą moc ducha. Zajęta domem, wychowaniem dzieci, pomocna mężowi we wszystkich sprawach życiowych, rozumna, dowcipna, wesoła, otoczona była uwielbieniem rodziny i okolicy... [1]). Od chwili, gdy ją Bóg dotknął tak strasznem kalectwem, stała się wielce pobożną, książka bowiem, która ją przyprawiła o ślepotę była na indeksie [2]).

W r. 1878 umarł Józef Grabowski, poczem Raducz został sprzedany (za 40.000 rubli), a pani Konstancja przeniosła się do Skierniewic, gdzie też odtąd zamieszkała na stałe. O tym końcowym okresie jej życia pisze Wł. Żeleński: «W ostatnich latach wdowiego osamotnienia, po stracie dwóch córek, zatęskniła do muzyki i do fortepjanu. Najbliżsi opowiadali, iż często siadała do ulubionego instrumentu, improwizowała lub przypominała sobie dawne melodje. Starość jej otaczał urok poezji. Po życiu pełnem trosk, mimo kalectwa, wracała pogodną duszą do wspomnień młodości i do muzyki»... Niezależnie od tego rządziła domem, prowadziła gospodarstwo. Ciężkie, kilkadziesiąt lat trwające kalectwo nie zdołało osłabić jej energji, życia, łagodności i zadziwiającej inteligencji. Literatura, sztuka, polityka interesowały ją aż do ostatnich chwil. Wspomnienie Chopina sprawiało jej zawsze niewysłowioną przyjemność. Wielce lubiła opowiadać o nim (co za szkoda, że nikt opowiadań tych nie spisał!), a gdy wyszła książka Karasowskiego, kazała sobie po kilka a nawet kilkanaście razy odczytywać różne z niej ustępy, zwłaszcza listy do Wojciechowskiego i Matuszyńskiego, w których tyle jest mowy o «ideale». Pierścionek od Chopina, starannie przechowywany w toalecie, pokazywała chętnie: była to staroświecka z cienkiego druciku obrączka

---

[2]) Z tych żyje tylko jeden syn, Stanisław Grabowski, sędzia gminny w Kaliszu. Starsza córka wyszła za Karpińskiego. Od syna jej, p. Stanisława Karpińskiego, mam podane wiadomości o Konstancji.

[1]) Na podstawie listu synowej p. Konstancji, pisanego do p. Stanisława Karpińskiego.

[2]) Z artykułu Wł. Żeleńskiego z powodu książki Niecksa o Chopinie. Bibl. Warsz. 1891, II, 472.

[1]) Zob. tamże.

[2]) Z listu p. Stanisława Karpińskiego do mnie. P. St. Karpiński mieszka w Petersburgu, gdzie pracuje przy tamtejszym oddziale Banku Handlowego warszawskiego.

z oczkiem brylantowem w srebro oprawnem. Gdy ją raz zapytała synowa, czy nie żałuje, że nie została żoną Chopina? «Ani chwili, odrzekła, gdyż w kalectwie, jakie mnie w życiu spotkało, może Chopin nie okazałby się tak dobrym mężem, jak mój, gdyż był nerwowy, fantasta, słabowity». W każdym razie, gdy jej po raz pierwszy czytano książkę Karasowskiego, była zdziwiona niepomału, nie przypuszczała bowiem, jak mówiła, iż Chopin aż do tego stopnia pałał ku niej miłością [1]).

Dnia 20 grudnia 1889 roku, w równych lat 40 po śmierci tego, który jej swem uczuciem zapewnił nieśmiertelność, Konstancja rozstała się z tym światem. Umarła w Skierniewicach. Pochowana w Babsku, parafji wsi Raducz, obok męża [2]).

[1]) Na podstawie listu p. St. Karpińskiego.
[2]) Na podstawie listu p. St. Karpińskiego.

MARJA Z WODZIŃSKICH ORPISZEWSKA

W jednym z *Kurjerów* wyczytałem kilka dni temu następującą wiadomość: «Dochodzi nas wieść o zgonie ś. p. Marji z Wodzińskich, z pierwszego małżeństwa Józefowej hr. Skarbkowej, z drugiego Władysławowej Orpiszewskiej. Sędziwa matrona zakończyła żywot w majątku Kłóbka pod Kowlem, w domu swej siostrzenicy, pani Marji z Kościelskich Orpiszewskiej». Ta sucha wzmianka dziennikarska nie może nie wtrącić w zadumę, jeśli się zważy, że ta ś. p. Władysławowa Orpiszewska przeżyła nietylko swych mężów (z których z pierwszym nie była szczęśliwą w pożyciu), ale i dwóch ludzi, którzy kochając się w niej, kiedy była młodą dziewczyną, tem samem zapewnili jej nieśmiertelność.

Nie ulega bowiem wątpliwości, iż dopóki stanie języka polskiego, dopóki ludzi będzie zachwycała poezja Słowackiego, dopóki świat będzie rozmarzała muzyka Chopina, dopóty nie zaginie pamięć o Marji Wodzińskiej, która Słowackiego — wbrew wywodom p. Zagórskiego — natchnęła do napisania poematu *W Szwajcarji* i paru rzewnych erotyków, jak *Rozłączenie*, *Stokrótki* etc., a Chopina pobudziła do skomponowania smętnego walca *F-moll*.

Z Chopinem znali się od dziecka. Jako syn Mikołaja Chopina, u którego trzej bracia Marji, uczęszczający do szkół w Warszawie, mieszkali na stancji, «mały Szopenek», którego poufale nazywano «Fryckiem», bar-

dzo często bywał w warszawskim domu Wodzińskich. Tam też na tle pięknego apartamentu z oknami na Saski Ogród od strony Żelaznej Bramy zaczął się kleci romans pomiędzy «Fryckiem» a «Marynią». Ponieważ byli jakby stworzeni dla siebie — bo tak przynajmniej zdawało się im obojgu na razie — więc Frycek lgnął do Maryni, a Marynia upodobała sobie Frycka. Jeśli się doda do tego, że ten genjalny muzyk *in spe*, który już teraz wszystkich grą swoją na fortepjanie zachwycał, był ślicznym chłopcem, a Marynia miała nietylko czarne oczy, nadzwyczaj piękne, ale była nadto i duszą artystyczną, także wyjątkowo uzdolnioną do muzyki, to nie wyda się dziwnem, że tych dwoje «dzieciaków» zaczęło się kochać wzajemnie...

Tak trwało lat kilka. Po ich upływie, Chopin, już jako młodzieniec i «najlepszy w całem mieście fortepianista», wpadł w wir życia literacko-artystyczno-teatralnego Warszawy, za czem poszło, że o ile zawsze z rozrzewnieniem wspominał chwile spędzone z «panną Marynią, z którą się to w Pszennego domu za dawnych czasów po pokojach goniło», o tyle nierównie więcej, aniżeli o Maryni, myślał o młodej i pięknej śpiewaczce, pannie Konstancji Gładkowskiej.

Później opuścił Warszawę, a w r. 1832 zamieszkał w Paryżu, gdzie osiadł stale. Tymczasem rodzina Wodzińskich, wyrzucona burzą roku 1831, znalazła się także zagranicą, a w r. 1832 zamieszkała w Genewie, w pięknej willi przy ulicy Beauregard, nad samem jeziorem.

Willa ta, położona w ślicznym ogrodzie, na uboczu wzgórza, zwracała na siebie uwagę przez to szczególniej, że w pewnych godzinach słychać było przez jej otwarte okna melancholijne dźwięki chopinowskich *Mazurków* i *Nokturnów*, oddawanych z prawdziwą maestrią. To panna Wodzińska grała na fortepianie.

Była to już panna blisko 16-letnia. Wysoka, peł-

nej tuszy, (kto wie nawet, czy nie za tęga trochę, jak na przyszłą wymarzoną heroinę poematu *W Szwajcarji*), niepospolicie rozwinięta, nietylko umysłowo, ale i fizycznie, brunetka, o matowej cerze Włoszki (w żyłach jej, oprócz polskiej, płynęła i włoska krew), o prześlicznych czarnych oczach, odbijających «wszystkie wzruszenia i tajemnice duszy», o rysach twarzy wydatnych, niezupełnie regularnych — zwłaszcza nos był trochę za duży — posiadała «coś niewypowiedzianie uprzejmego» w całem ułożeniu, coś, co się zwykle mianem wdzięku niewieściego określa.

Ci, co ją znali, wyrażają się zgodnie, że piękną nie będąc nigdy, zdawała się więcej niż piękną, bo całą jej postać otaczał jakiś niepojęty czar. Że zaś posiadała «mnóstwo talentów», że wychowana starannie uprawiała ze znacznem powodzeniem prawie wszystkie sztuki piękne, poczynając od muzyki i śpiewu, a kończąc na malarstwie, do którego miała bardzo sympatyczny talencik, zwłaszcza w zakresie portretu i krajobrazu, więc dziwić się nie można, że się podobała mężczyznom, że ją za przykładem księcia Ludwika Napoleona, który także należał do jej admiratorów, nazywali pochlebnie *la brune fille d'Euterpe*.

Choć niby «nie myślała wtenczas o miłości», ale o nauce, i choć się sama jeszcze nie miała za dorosłą pannę, to przecież takich, co się w niej kochali, nie brakło już i wtedy w Genewie. Dość powiedzieć, że młody hrabia de Montigny, bywając w willi przy ulicy Beauregard, tak się zakochał w *Mademoiselle Marie*, że się o nią w ciągu roku 1833 i 1834 dwukrotnie oświadczył. Nadto — o ile wiemy — kochał się w niej jeszcze w tym czasie młody Darowski, z którym ją nawet przyjaciółka jej, panna Wanda Ossolińska, koniecznie chciała wyswatać. Młody książę Ludwik Napoleon był *in diesem Bunde der dritte*.

Czwartym był Chopin. Mieszkając w Paryżu, gdzie żył blisko ze starszym bratem Marji, Antonim,

i on także zaczął na sobie doświadczać prawdy francuskiego przysłowia: *on revient toujours à ses premiers amours*. Przestawszy się zajmować panną Gładkowską, która w tym czasie właśnie wyszła zamąż, za Józefa Grabowskiego, zaczął tęsknić za temi czarnemi oczętami, które go tak rozmarzały w Warszawie. Miłość dla «panny Maryni», choć zdawało się już, że wygasła zupełnie, powoli zaczęła się budzić na nowo, a wzrastająca sława, jako kompozytora, tudzież serdeczny stosunek z Antonim Wodzińskim, (który w końcu roku 1833 przeniósł się do Genewy), zaczęły nasuwać myśli o małżeństwie. Rozrywany po paryskich salonach, psuty przez kobiety z wielkiego świata, wyobrażał sobie «Frycek», że gdyby się zaczął starać o «pannę Marynię», możeby mu się dostać ją udało... W tem błogiem przeświadczeniu zaczął korespondować z matką i braćmi Marji, zwłaszcza z Feliksem. Oczywiście o «pannie Maryni» nie zaniedbywał w listach tych wspominać jak najczęściej, bądź zasyłając ukłony dla niej, bądź wyrażając swoje opinje o jej kompozycjach fortepianowych. Bo doszło już do tego, że *la brune fille d'Euterpe* nietylko zaczęła wchodzić w ślady swego wielbiciela z lat dziecinnych, komponując różne sentymentalne walce *à la* Chopin i nokturny *à la* Field, ale zaczęła je Chopinowi posyłać do Paryża, ażeby o nich wyraził swoje zdanie. Oczywiście, że to zdanie zawsze wypadało pochlebnie. «Twoja siostra — pisał np. Chopin do Feliksa Wodzińskiego dnia 16 lipca 1834 roku — była tyle grzeczną, że mi swoją kompozycję przysłała. Ucieszyło mię to niewymownie i zaraz tego samego wieczoru improwizowałem w jednym z tutejszych salonów na ładniuchny temat owej Maryni, z którą się to w Pszennego domu po pokojach goniło!... A dziś! *Je prends la liberté d'envoyer à mon estimable collègue M-lle Marie une petite valse que je viens de publier*. Oby setną cząstkę przyjemności tej zrobił, jakiej ja doznałem odebrawszy warjacje... Kochanego Antka uściskaj, Kazia uduś z tendressów, jeżeli potrafisz, a co pannie Marji, to ukłoń się bardzo elegancko z uszanowaniem, zadziw się, i powiedz sobie po cichu: «Mój Boże! jak to urosło!...»

Tymczasem zdążył się w «pannie Marjannie» zakochać Słowacki, który mieszkając w Genewie, także zaczął bywać u państwa Wodzińskich, a po niejakim czasie, po romantycznej wycieczce w Alpy Berneńskie, wspólnie z całą rodziną Wodzińskich odbytej [1]), zaczął myśleć o tem samem, o czem jednocześnie w Paryżu myślał Chopin: czyby mu się nie udało ożenić z panną Marjanną. W tej nadziei pisał raz do matki, że jeśli nie wróci do kraju, «to znajdzie sobie zagranicą ładną, dobrą, może nawet bogatą żonę», będzie miał synów, córki... Innym razem, kiedy już zdążył być z Wodzińskimi na «prawie familijnej» stopie, kiedy sprawił nawet, że się Wodzińscy za jego poradą wprowadzili do tego samego pensjonatu, w którym on mieszkał od lat paru, zwierzał się matce, że «chciałby na rzece żywota znaleść jaki biały kwiat, obwinąć się koło niego i zasnąć». «To bardzo mistyczne i ciemne, matko moja. Lilja wodna niech się tobie zamieni w jaką miłą, spokojną i cichą dzieweczkę, a zrozumiesz moje żądanie». I zaczął roić o szczęściu, któreby go spotkało, gdyby serce tej «czarnobrewej panienki» zabiło dla niego sil-

[1]) Pod wrażeniem tej wycieczki napisał później Słowacki wiersz w albumie Marji W., którego początek brzmiał, jak następuje:

Byli tam, kędy śnieżnych gór błyszczą korony,
Gdzie w łąkach biją smutnie trzód zbłąkanych dzwony,
Gdzie się nad wodospadem jasna tęcza pali...
Tam byli kiedyś razem i tam się rozstali.
i t. d., i t. d.

Od tego samego obrazu zaczyna się strofa VIII poematu *W Szwajcarji:*

Pójdziemy razem na śniegu korony,
Pójdziemy razem nad sosnowe bory,
Pójdziemy razem, gdzie trzód jęczą dzwony,
Gdzie się w tęczowe ubiera kolory i t. d.

niej. Zapomniał o przepaści majątkowej i socjalnej, jaka go dzieliła od Marji, i zaczął jej dawać do zrozumienia, że ją kocha. A ona? Ona słuchała jego wynurzeń, ale udawała, że się nie domyśla jego ukrytych zamiarów, z którymi on zdradzić się otwarcie nie śmiał... Nawet go kokietowała chwilami, a w swoich rozmowach z nim «o rzeczach anielskich», (rozmowach, które prowadzili w ogródku, rwąc stokrotki, lub spacerując nad brzegiem jeziora), dostrajała się do jego sentymentalnego tonu, tak, iż zdawało mu się niekiedy, że i ona «także zapłynęła trochę w kraj ideału». Doszło do tego, że zaczęli rozmawiać o przyszłości, a kiedy poeta oświadczył raz, że najprawdopodobniej skończy na wstąpieniu do klasztoru, ona również zaczęła marzyć o żywocie pustelniczym. Ale poeta nie wierzył jej zapewnieniom, dowodząc, że znajdzie się niebawem «jaki pan Podkomorzyc, dobrze opatrzony w szlachecką układność, talenta, wąsy, podkówki i ostrogi, który jej z łatwością domek pustelniczy wybije z głowy». Że onby pragnął być tym Podkomorzycem, tego się panna powinna była domyśleć... [1]).

[1]) W liście z d. 2 kwietnia 1838 r. (a w tym czasie właśnie powstał poemat *W Szwajcarji*) pisał Słowacki do matki: «Mówią, że się Szopen z Marją W., a niegdyś moją Marją, ożenił. Może poszła za niego trochę z przyjaźni dla mnie, bo mówią ludzie, że Chopin do mnie, jak dwie krople wody podobny. Jak to sentymentalnie pójść za człowieka, podobnego temu, którego się pierwszą miłością kochało...» Jak dalece Słowacki myślał w tym czasie (kiedy pisał poemat *W Szwajcarji*) o Marji Wodzińskiej dowodzi inny ustęp tegoż listu, gdzie poeta pisze: «Znajduję jakiś mistyczny sposób połączenia się z wami i przychodzi mi na myśl wiersz jeden z jakiejś mojej poezji: *Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku i nosi ciągłe wieści...*» Jest to wiersz z *Rozłączenia* napisanego w Veytoux do Marji W. Wkrótce potem pisał Słowacki pod wrażeniem otrzymanych wiadomości z Genewy: «Więc już wróciwszy do Genewy, zamiast przywitać się z drzewami ogrodu, gdziem sobie przez trzy lata marzył, zamiast odpocząć w pokoiku, gdziem przywykł był leżeć spokojnie, zamiast tej melancholji, jakąby mię przenikał widok miejsc, gdziem latał po murawach z młodziutką Marją, co mię kochała krótko ale mocno, jak zazwyczaj młode polskie dziewczęta kochają, zamiast tego wszystkiego, znajdę dom w mieście czarnem i posępnem... O, nie wrócę do Genewy!»

W jakiś czas potem, w lipcu r. 1835, przyjechał do Genewy ojciec Marji, ażeby wkrótce «p o r w a ć stąd całą rodzinę», gdyż mogli już wracać do Służewa. Jeżeli się Słowackiemu zdawało, że z chwilą przyjazdu pana Wodzińskiego może zajść jakaś zmiana na jego korzyść, to i pod tym względem doznał bolesnego zawodu... Widząc, że nic prócz zgryzoty i upokorzenia nie zyska, że sięgnął za wysoko, pożegnał się z Marją, (a nie omieszkał przy tem pożegnaniu położyć nacisku na «żal i tęsknotę», z jakiemi się z nią żegnał) i zanim Wodzińscy zdążyli wyjechać z Genewy, przeniósł się do Veytoux, gdzie pod wpływem tęsknoty za «czarnobrewą panienką» napisał swe przerzewne *Rozłączenie*...

Rozłączeni, lecz jedno o drugiem pamięta,
Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku
I nosi ciągłe wieści: wiem, kiedy w ogródku,
Wiem, kiedy płaczesz, w cichej komnacie zamknięta.

Wiem, o jakiej godzinie wraca bólu fala,
Wiem, jaka ci rozmowa ludzi łzę wyciska:
Tyś mi widna, jak gwiazda, co się tam zapala
I łzę różową leje i skrą siną błyska.

A choć mi teraz ciebie oczyma nie dostać,
Znając twój dom i drzewa ogrodu i kwiaty,
Wiem, gdzie malować myślą twe oczy i postać,
Między jakiemi drzewy szukać białej szaty.

I nie mógł zapomnieć tych niedawnych dni szczęścia, które zawdzięczał tej «czarnobrewej Euterpie», i błądził po skałach, z głębokiem rozrzewnieniem wspominając ostatnie miesiące swego życia, podczas których był tak blisko Marji, podczas których mieszkali pod jednym dachem, zasiadali do jednego stołu, razem by-

wali na spacerach, w teatrze, na koncertach, razem pływali czółnem po jeziorze, razem rwali stokrotki.

Gdy nas różowa poróżniała sprzeczka,
A zgody ciągłe zabraniały świadki,
Pamiętasz, luba, jak te białe kwiatki,
Jeden mówił n i e, a drugi — t r o s z e c z k a.

Dzisiaj samotny, dzisiaj bez nadziei,
Błądząc po skałach — wszystkie moje smutki
Zbiegły się razem do białej stokrótki,
Co była siostrą stokrótek w alei.

Rwałem ją: listki leciały w błękicie
Aż na jezioro ze skały, gdziem siedział;
I wiesz, co listek ostatni powiedział?

Nie przypuszczał poeta, że gdyby mu ten listek powiedział prawdę, to wypadłaby ona nie na jego korzyść, ale na korzyść Chopina. Państwo Wodzińscy bowiem, po wyjeździe z Genewy, którą opuścili w końcu sierpnia, udali się do Drezna, dokąd także, z namowy «Antka» Wodzińskiego, przyjechał Chopin, z wyraźnym zamiarem starania się o rękę Marji. Był już tak sławny, że mógł, jak mu się zdawało, sięgnąć tak wysoko. Jakoż wszystko szło jak najlepiej: Wodzińscy byli mu radzi, a panna okazywała wcale niedwuznacznie, że go kocha. Widywali się ciągle, a gdziekolwiek bywano, bywano razem. Ponieważ panna miała lat 19, Chopin zaś 26, nie dziw więc, że ich zaczęto brać za narzeczonych. Pierwszy Chopin dał się uwieść tym złudnym pozorom. Przekonany, że ma wszelkie szanse, był w brylantowym humorze, a jeśli się zdarzyło, że zasiadł do fortepianu, improwizował tak pięknie, jak nigdy przedtem. Jakoż był w siódmem niebie! Widział, że mu panna sprzyja, że na jego miłość zaczyna odpowiadać wzajemnością, a przytem nie mógł nie zwrócić uwagi i na to, że pani Wodzińska, widząc, co się święci, nic nie miała przeciwko jego częstym *tête à tête* z Marynią. Mimo to nie miał dość śmiałości, by się oświadczyć, tak, iż gdy wreszcie nadszedł dzień

rozstania, dzień, w którym mu wypadło opuścić Drezno, i kiedy już dyliżans czekał przed domem, zdobył się na tyle tylko, że swe uczucia wyraził muzyką, mianowicie zapomocą tęsknego, świeżo skomponowanego *Walca F-moll*, walca, który Marja przezwała zczasem *Les adieus*, a którego egzemplarz, specjalnie *Pour M-elle Marie* ładnie przepisany, ofiarował jej na pamiątkę... Marynia zrozumiała, co znaczył i mówił ten melancholiczny walczyk, zwłaszcza, gdy go jej Chopin, już na wsiadanem, przegrał na fortepianie. Wywdzięczając mu się za to, podeszła do stołu, na którym stał bukiet róż, zerwała jedną i dała ją Fryderykowi...

W rok później znaleźli się Wodzińscy w Marjenbadzie. Powiadomiony o tem, Chopin zjechał tam również, z zamiarem, by ponowić starania o rękę Marji. Jakoż stał się nieodstępnym towarzyszem Wodzińskich: wszędzie bywano razem, a co się tycze panny Maryni, ta nietylko robiła wrażenie zakochanej w swoim *carissimo maestro*, z którym muzykowała całemi godzinami i wieczorami, ale nawet wyrysowała jego portret, nadzwyczaj udatny. Tak przeszło kilka tygodni, nad wszelki wyraz pomyślnych dla młodego artysty... W końcu sierpnia udano się wspólnie do Drezna, gdzie po upływie miesiąca, w przeddzień swego wyjazdu do Paryża, o szarej godzinie, Chopin oświadczył się Marji i został przyjęty... W Paryżu przez cały rok otrzymywał listy ze Służewa, bądź od pani Wodzińskiej, bądź od Marji (która najczęściej dopisywała się w listach matki), aż w końcu — w lipcu mniej więcej — dano mu znać, żeby się przestał uważać za związanego słowem. To sprawiło, że Chopin, zrozpaczony, rzucił się niebawem w objęcia pani Sand...

Tymczasem Marja, ulegając woli ojca, zamiast zostać żoną «grajka» (jak podobno Wincenty Wodziński nazwał Chopina, kiedy się dowiedział o jego zamiarach względem Marji) wyszła w r. 1840 za hrabiego Józefa Skarbka, człowieka przeżytego i zniedołężnia-

łego, za którym nie przemawiało nic prócz majątku i nazwiska. Małżeństwo to, bardzo nieszczęśliwe, zakończyło się rozwodem, po którego uzyskaniu wyszła Marja w r. 1848 za Władysława Orpiszewskiego. Tym razem kochała swego męża...

A Słowacki? On, kiedy Chopin starał się o Marję, podróżował po Wschodzie, a gdziekolwiek był, czy to w Grecji, czy w Egipcie wszędzie myślał o «swej czarnobrewej panience». Na wydmach Nilu «stawał blady i kreślił jej rysy, i imię pisał na piasku wilgotnym». Ale któregoś dnia [1])

[1]) Na wydmach Nilu napisał Słowacki wiersz do Marji W. zatytułowany *Z Nilu*. Oto początek tego wiersza:

Kiedy smutny nad Tella siedziałem jeziorem
Ty przyleciałaś do mnie, z dalekiej krainy,
Jak przywabiony gołąb białością smutnego
Ptaka na pustym domie... I długo nas ludzie
Widzieli nad jeziorem dumających razem,
Nie wiedząc, żeśmy w toniach błękitnych szukali
Gwiazdeczki szczęścia, bardzo dawno utraconej.
Ne wiem, czyś ją znalazła bezemnie, czy jeszcze
Smutną pod płaczącemi wierzbami zastaje
Biały księżyc... O moja miła siostro duszy, i t. d.

W rok potem, we Florencji, pod wpływem tego samego uczucia tęsknoty za Marją W., pisząc swój poemat *W Szwajcarji*, jednej scenie tego poematu, mianowicie szóstej, dał Słowacki za tło tę samą kaplicę Tella, na której progu przed czterema laty siedział «smutny» z Marją W.

Pod ścianą ze skał i pod wieńcem borów,
Stoi cichości pełna i kolorów,
Tella kaplica. Jest próg tam na fali,
Gdzieśmy raz pierwszy przez usta zeznali,
Że się już dawno sercami kochamy.

W tymże poemacie *W Szwajcarji* jest strofa, w której poeta powiada między innemi:

I staję blady, i kreślę jej rysy,
I imię piszę na piasku wilgotnym.

To samo czynił sam Słowacki — na rok przed napisaniem poematu *W Szwajcarji* — na wydmach Nilu (gdzie napisał ów wiersz do Marji W.). Dowód na to znajduje się w jego raptularzu (ogłosz. w *Bibl. Warsz.*), gdzie pod datą d. 7 listopada, podczas swej podróży Nilem, notuje poeta: «Polowanie na piasku nad brzegiem rzeki — południe — skwar pustyni — piszę imię swoje na piasku i drugie inne». Że tem «drugiem innem» imieniem, które Słowacki napisał — laską — na piasku obok swojego imienia, było imię Marji W. o tem (wobec wiersza *Z Nilu* do Marji W.) niepodobna wątpić.

na piramidzie
Odebrał list, tfu! że zamąż idzie.

Mimo to nie mógł zapomnieć o niej. Na śniegach Libanu, nad smętnemi wodami jeziora Genezaretańskiego, myślał o tej młodziutkiej Marji, z którą niegdyś chodził po szwajcarskich górach, którą o zachodzącem słońcu widywał «od Alp na śniegach różowych różową», z którą razem dumał na progu kaplicy Tella... Potem osiadł we Florencji, ale i tam, gdziekolwiek się obrócił, wszędzie go ścigało wspomnienie Marji. Oto dowód. Któregoś dnia pojechał w towarzystwie rodziny Józefa i Hermana Potockich do Vallombrosy. Oto, jak ją opisał matce: «Podróż ta melacholiczne na mnie zrobiła wrażenie, gdyż przypomniała mi moją wędrówkę po Szwajcarji: coś było bowiem w gwarze tej licznej familji, przypominającego mi rodzinę Wodzińskich, ale mojej młodej panienki czarnobrewej brakowało...» Z tego uczucia narodził się poemat *W Szwajcarji*, napisany wkrótce potem w stolicy Toskanji [1]).

W tej samej Florencji, w której ją unieśmiertelnił Słowacki, w kilkanaście lat potem, osiadła na stałe Marja, już jako Marja Orpiszewska. Mieszkała tu razem z mężem, przez długie lata, a zawsze z największem upodobniem grywała utwory Chopina, którego do śmierci wspominała z rozrzewnieniem. Za to o Słowackim zawsze się wyrażała z przekąsem... Po śmierci męża, zmarłego przed kilkunastu laty, wróciła do kraju.

[1]) Należy szczególny nacisk położyć na to, że bohaterka poematu *W Szwajcarji* ma na imię Marja. Dowodzi tego niezbicie strofa VII, gdzie bohater poematu, wyraźnie powiada o swej ukochanej, kiedy się z nią znalazł w grocie:

Ja wtenczas modlić się zacząłem do niej:
Ave Maria!

Por. z tem artykuł p. Wł. Zagórskiego p. t. *Nie Marja W.*, niedawno wydrukowany w *Kurjerze Warszawskim*.

SŁOWACKI W WARSZAWIE

Jak w życiu każdego człowieka, tak i w życiu Słowackiego, gdy przez dwa lata mieszkał w Warszawie, poezja nieustannie szła w parze z prozą. Przybywszy tu z Krzemieńca d. 17 lutego 1829 roku, jako młodziutki bo 19-letni romantyk, miał głowę przepełnioną poezją, roił o sławie «polskiego Byrona», zazdrościł laurów Mickiewiczowi, przyznawał się otwarcie, iż o nic tak gorąco nie modlił się do Boga, jak o «poetyczne życie», a tymczasem już sam cel, który go z Wołynia sprowadził do stolicy Królestwa Kongresowego, był bardzo prozaiczny i nie byroński. Chodziło o to, iżby tu, stosownie do życzenia matki, robił karjerę cywilną w jednem z biur rządowych warszawskich, czyli, żeby abstrahując od swego talentu i aspiracyj literackich, został kancelistą, on, byronista! Ale, chcąc nie chcąc, musiał pogodzić się z losem, bo taka to już dola poety, że poetyczne względy najczęściej muszą ustąpić praktycznym.

Zaopatrzony w listy polecające Jana Śniadeckiego do księcia Adama Czartoryskiego i innych wybitnych osobistości, podał Słowacki dnia 25 marca prośbę do ministra skarbu, księcia Lubeckiego o przyjęcie go do «biura sekretarjatu» w Komisji Skarbu (w istniejącym dotychczas kolumnowym gmachu przy ulicy Rymarskiej), a już we dwa dni później — dzięki protekcji księcia Adama Czartoryskiego — zapadła rezolucja «pozwalająca p. Słowackiemu bezpłatnej aplikacji w komisji, w biurze sekretarjatu jeneralnego, z tem zastrzeżeniem, iż stosownie do istniejących przepisów, dopiero po dwóch latach aplikacji wolno mu będzie starać się o posadę etatową». Tym sposobem został przyszły autor *Króla Ducha*... bezpłatnym aplikantem!...

«Wszedłem do biura (pisał zczasem w swym pamiętniku), zająłem się nudną finansową pracą i przy zielonym stoliku Komisji Skarbu większą część dnia przepędzałem. Pamiętam, że mię wtenczas jakaś rozpacz ogarniała, i zdawało mi się, iż jestem skazany aż do śmierci w tem biurze pracować». Milczący i cichy odrabiał mechanicznie co mu do odrobienia dawano, o 3-ej wychodził z biura, aby tu nazajutrz stawić się znów o 10-tej, i tak dzień po dniu. «Miniewski, sekretarz, odróżnił mię zaraz od moich towarzyszy; okazywał mi wielką przychylność i dawał uczuć, że mnie za zdolniejszego uważał. Interesowałem go może cichym smutkiem, z jakim przez całe godziny milczący przy mojej pracy siedziałem». W ten sposób upłynęły mu dwa miesiące. Coraz smutniejszy, czuł, jak powiada «potrzebę samotności», a że mieszkając razem ze swym kolegą z biura, młodym Hrehorowiczem, samotności tej miał w domu niewiele, więc choć nie mógł się skarżyć na towarzystwo «poczciwego Tadeula», mimo to wyprowadził się od niego, wynająwszy sobie mieszkanko w pałacu Paca przy ulicy Miodowej nr. 493. «Tu już byłem zupełnie sam, nie miałem żadnych znajomości». Umeblowawszy sobie jako tako swe nowe mieszkanie, zabrał się — w godzinach pozasłużbowych — do pracy literackiej, a owocem tych jego «pierwszych zapałów poetyckich» był zbiorek elegij, melodyj, dumań, sonetów, urywków i rozmaitych drobnych wierszy (które z czasem zaginęły wszystkie).

Ale nie upłynęło pół roku, a znowu przeprowadził się gdzie indziej, tym razem na ulicę Elektoralną nr. 755, do domu, który w niezmienionej postaci przetrwał aż po dziś dzień.

W tem to mieszkanku w czasie «długich zimowych

wieczorów», które lubił bardzo, napisał Słowacki — w lutym 1830 roku — swojego *Mnicha*, a jednocześnie przygotowywał do druku *Hugona*, który miał wyjść w *Meliteli* Odyńca.

Noworocznik ten wydany «na poratowanie Odyńca w pieniężnych jego interesach», wyszedł w kwietniu r. 1830, a wydrukowany w nim *Hugo* — pierwszy drukowany utwór Słowackiego — pomieszczony był bezimiennie.

Niebawem ukazały się w czasopismach warszawskich krytyki *Meliteli*, które przez Słowackiego z pewnością przeoczone nie były... Niestety, nie wszystkie o jego *Hugonie* wyraziły się entuzjastycznie. Recenzent np. *Gazety korespondenta warszawskiego* takie o poemacie tym wyrzekł zdanie:

«Mickiewicz naśladowany w balladach i sonetach znalazł już naśladowców i w *Wallenrodzie* i nieoddzielną cechę naśladownictwa — niedołężność. Ciekawa rzecz, kiedy romantycy przestaną naśladować, i co gorsza, naśladować jedni drugich? O innych poezjach w *Meliteli* nie wspominamy. Dlaczego? Czytelnik łatwo się domyśli... Wydawca zgrzeszywszy ich umieszczeniem, chciał przynajmniej oszczędzić smutku ich autorom i przy większej części złych poezji nie podpisał imion pisarzy...»

Na szczęście, krytyk poważnego *Pamiętnika umiejętności moralnych i literatury* był innego zdania o młodzieńczym poemacie Słowackiego. Oto jego opinja:

«Autor *Hugona*, powieści krzyżackiej, chociaż się nie nazwał, może być pewny, że o nazwisko jego dopytywać się będzie publiczność i wyglądać więcej płodów jego pióra».

W chwili, kiedy się ukazały te dwie tak sprzeczne z sobą krytyki *Hugona*, autor jego, przeniesiony z biura sekretarjatu jeneralnego «dla dalszego usposobienia» na aplikację do dyrekcji kontroli w sekcji wypłat, uzyskał właśnie urlop miesięczny, pozwalający mu czas

jakiś spędzić w gronie najbliższej rodziny... Miała to być ostatnia jego bytność w Krzemieńcu...

W lipcu był już zpowrotem w Warszawie, a pierwszem jego dziełem, które tu w swojem mieszkaniu przy ulicy Elektornej napisał, był *Jan Bielecki*. We wrześniu zaczął pisać *Marję Stuart*. Ukończywszy ją — jak to sam zanotował dla informacji swych przyszłych biografów — w dniu 18-ym października, napisał jeszcze *Araba*, poczem, po upływie niecałego miesiąca, zapisał w swym raptularzu, co następuje: «Oddałem do cenzury, a wkrótce oddam do druku moje wiersze: *Marję Stuart* tragedję, *Jana Bieleckiego* powieść, *Hugona*, *Mnicha* i *Araba*. Jakiż będzie mój zawód literacki?»

Tymczasem nadszedł listopad, a z jego końcem zaszły wypadki, które i autora *Mindowego* wytrąciły z jego dotychczasowej olimpijskiej równowagi. Wprawdzie, mimo wszystko, co się działo dokoła niego w Warszawie, zaczął pisać powieść poetyczną o hetmanie *Żmii*, ale mu nie szło... Jednocześnie wyszły z pod jego pióra *Hymn do Bogarodzicy* i zamaszysty *Kulig*. W styczniu r. 1831, ponieważ w biurze Komisji Skarbu żadnych dla niego nie było widoków, zdecydował się pójść inną drogą. Jakoż dnia 10-go stycznia referent sekcji wypłat, Krasuski, złożył raport dyrektorowi jeneralnemu, referendarzowi Ostrowskiemu, iż «p. Juljusz Słowacki oświadczył mu w dniu wczorajszym, iż odebrał inne przeznaczenie i że dlatego opuścić sekcję zamierzył. Z poruczonych mu do załatwienia czynności nie odrobił jedynie 5-ciu numerów, które oddano do odrobienia p. Skolimowskiemu. Wkrótce po wystąpieniu swojem z biura otrzymał Słowacki list z Krzemieńca od matki, a wraz z nim weksel na Drezno, co równało się zachęcie do wyjazdu z Warszawy.

Jakoż opuścił ją w dniu 8-ym marca, a gdy nazajutrz przejeżdżał granicę, miał smutne przeczucie, iż «śliczny kraj opuszcza i może do niego nigdy nie będzie mógł powrócić». Przeczucie to sprawdziło się...

NOWE SZCZEGÓŁY O MARJI WODZIŃSKIEJ

Pani Józefa z Wodzińskich Kościelska, matka Józefa Kościelskiego z Miłosławia, a siostra rodzona unieśmiertelnionej przez Słowackiego i Chopina ś. p. Marji Orpiszewskiej, mieszka stale w Warszawie, a jest dziś bodaj czy nie jedyną osobą, dla której i Słowacki i Chopin nie są historją, lecz osobistem wspomnieniem. Znała ich obu, i to w najciekawszej epoce ich życia, bo w czasach, gdy obaj byli pod urokiem czarnobrewej «panny Maryni», gdy dusze ich, pod wpływem tego uroku, wzbierały od najsłodszych marzeń i rojeń, marzeń, które Chopina natchnęły do napisania melancholijnego «Walca» *F-mol*, Słowackiemu zaś podyktowały poemat «W Szwajcarji» i kilka niezrównanych liryków, jak «Rozłączenie» i «Stokrotki», nie mówiąc już o kilku cierpkich wierszach w «Beniowskim». Czasy te, jakkolwiek upłynęło odtąd pół wieku z sutym okładem, pamięta pani Kościelska doskonale: raz dlatego, że jej pamięć aż po dzień dzisiejszy dopisuje wybornie, a powtóre, że takich rzeczy nie zapomina się nigdy.

Niedawno będąc u pani Kościelskiej, długo z nią rozmawiałem o Słowackim i Fryd. Chopinie w stosunku do jej starszej siostry (której kilka fotografij już w sędziwym wieku mogłem przy sposobności obejrzeć), a że rozmowa ta pozwoliła mi niejeden epizod ujrzeć w całkiem odmiennem świetle, niż to, w jakiem je nam ukazywały inne, rzekomo wiarogodne źródła, więc poprosiłem mej dostojnej narratorki, by mi treść tej rozmowy pozwoliła spisać i ogłosić drukiem. Nie sprzeciwiała się temu...

Ponieważ znajomość rodziny Wodzińskich z Chopinem datuje się od czasów jeszcze warszawskich, gdy młodzi Wodzińscy uczęszczali do liceum w pałacu Kazimierowskim, więc przedewszystkiem zależało mi na dowiedzeniu się, gdzie wtedy mieszkali Chopinowie, u których przecież, jak wiadomo, młodzi Wodzińscy stali na stancji. Kwestja ta, jakkolwiek drugorzędnego znaczenia, przez nikogo dotychczas wyjaśnioną nie była: że po roku 1831-ym, już po wyjeździe Chopina z Warszawy, rodzice jego mieszkali i mieli pensjonat w pałacu ordynacji hr. Krasińskich na Krakowskiem Przedmieściu, w lewej od korpusu oficynie na 2-em piętrze od frontu, o tem nietylko wiemy, ale posiadamy nawet na to dowód w rysunku Wilhelma Kolberga, przedstawiającym salon Chopinów z tej epoki; gdzie jednak mieszkali państwo Chopinowie przed wyjazdem ich genjalnego jedynaka zagranicę, a więc gdzie mieszkał Fryderyk Chopin ze swego pobytu w Warszawie, gdy komponował swe fortepianowe «Koncerty», gdy pisał «Fantazję z tematów polskich» i «Warjacje» op. 2, o tem tradycja zaginęła całkowicie: na to pytanie nie umiał nikt dać zadawalającej odpowiedzi. Zagadnięta w tej kwestji pani Kościelska, wyjaśniła ją odrazu.

— W czasach, gdyśmy się widywali z Chopinem w Warszawie, a więc jeszcze przed rokiem 1830-ym, rodzice jego zajmowali mieszkanie na 1-em piętrze, na Krakowskiem Przedmieściu, w jednem ze skrzydeł pałacu Kazimierowskiego. O ile sobie przypominam, było to w prawem skrzydle. Tam też znajdował się pensjonat Mikołaja Chopina, pensjonat duży, w którym zawsze mieszkała bardzo znaczna liczba uczniów.

— Znaczy się, iż tam mieszkali i bracia pani, przez czas, gdy uczęszczali do Liceum?

— Bracia moi byli pensjonarzami u Mikołaja Chopina tylko przez rok jeden, mianowicie w ciągu

pierwszego roku chodzenia do szkół, gdy matka moja nie urządziła się była jeszcze w Warszawie na stałe. Później mieszkali z nami razem, u matki, co nie przeszkadzało, że raz zawiązany stosunek z Chopinami, stosunek serdeczny i zażyły nadzwyczaj, trwał w dalszym ciągu. Najczęściej bywało tak, iż jednej niedzieli myśmy spędzali wieczór u nich, zaś w drugą niedzielę oni przychodzili do nas... Dom Chopinów był nadzwyczaj miły, szczególniej miłą była matka Chopina, pełna nadzwyczajnego wdzięku i słodyczy, co również przekazała w spuściźnie swemu jedynakowi. Po niej też zdaje się, odziedziczył talent do muzyki... Wogóle dom Chopinów, w czasach, kiedy tam zaczęłam bywać z braćmi i siostrą, odznaczał się wielką muzykalnością, prócz Fryderyka bowiem, który już wtedy był mistrzem w grze na fortepianie, starsza siostra jego, Ludwika, późniejsza pani Jędrzejowiczowa, prześlicznie grała na tym instrumencie...

— Skoro mowa o atmosferze w domu Chopinów, to radbym także wiedzieć, jak się atmosfera ta przedstawiała pod względem polskim?

— Był to dom czysto polski, dzięki pani Chopin, Krzyżanowskiej z domu. Mikołaj Chopin, choć był Francuzem, jednak po polsku mówił bardzo poprawnie, nadzwyczaj gramatycznie, choć naturalnie z akcentem francuskim, którego nie zatracił nigdy. Dzieci mówiły w domu po polsku, a jeżeli Mikołaj Chopin rozmawiał z pensjonarzami po francusku, to dlatego, iż mieszkali u niego głównie w celu przyswojenia sobie języka francuskiego. Poza tem dom był polski zupełnie i nikomu się nie śniło uważać Fryderyka lub jego siostry za przynależących raczej do francuskiej, niż polskiej narodowości. Kwestja ta w domu Chopinów nie istniała zupełnie. Prócz nazwiska, nie miały w sobie dzieci Mikołaja Chopina nic francuskiego, a co się tyczy Fryderyka, to było to w każdym calu polskie dziecko... Nie można mu było większej sprawić przykrości, jak kwe-

stjonując jego prawa do tytułu Polaka, a z powodu swego francuskiego nazwiska bolał często, iż dawało ono wielu osobom — zwłaszcza cudzoziemcom — powód do uważania go za Francuza.

— W ogłoszonych przez p. Mieczysława Karłowicza listach rodziny Wodzińskich do Chopina [1]), siostra pani dobr. nazywa go bądź *mio carissimo maestro*, bądź też sama się podpisuje jako jego *plus mauvaise élève et amie d'enfance*, co upoważnia do domysłu, że brała od niego lekcje muzyki. Czy rzecz miała się tak istotnie? i czy te pierwsze lekcje odnieść należy do epoki warszawskiej z przed roku 1830-go?

— Systematycznie siostra moja lekcji od Chopina nie brała nigdy. Pierwszym jej nauczycielem muzyki była nasza matka, co jednak nie wykluczało, iż Marja, gdy już w grze uczyniła niejakie postępy, zasięgała nieraz rad i wskazówek Chopina. W epoce jednak, gdyśmy się z Chopinem widywali w Warszawie, siostra moja była zbyt jeszcze wielkiem dzieckiem, by na serjo myśleć o muzyce i zajmować się nią poważnie. Nie miała ona wtedy nawet lat dziesięciu — ja miałam ośm — wobec czego, gdyśmy z matką i braćmi bywali u Chopinów, myśleliśmy przedewszystkiem o zabawie. To, iż mały «Frycek» już wtedy uchodził za najlepszego w Warszawie fortepianistę, mniej mu nadawało uroku w naszych oczach, niż to, że żaden z chłopców nie był tak skorym do zabawy, do figlów ,jak on.

Nieraz, pamiętam, bywało tak, że inni chłopcy nie mieli ochoty bawić się z nami, on jednak potrafił zawsze wszystkich rozruszać, on zawsze przychylał się do naszych próśb, a gdyśmy się bawili w gry towarzyskie: w lisa, w ciuciubabkę etc., on bywał duszą zabawy, biegał, dokazywał, udawał różnych znajomych, w czem celował, rysował karykatury, słowem, starał się nas

[1]) Księga pamiątkowa na uczczenie setnej rocznicy urodzin Ad. Mickiewicza, t. I, str. 93—108.

zabawić, jak mógł. Jakoż nie nudziliśmy się nigdy. Zdarzało się również, iż zasiadał do fortepianu, ale ponieważ byłyśmy zbyt dziecinne, by odczuć piękną muzykę, więc albo figlował przy fortepianie, albo nam przygrywał do tańca walce, polki, galopady, mazurki. Wogóle przewyższał wszystkich swych rówieśników nietylko wesołością, ale i wdziękiem. To też, zarówno matka nasza, jak my, lubiłyśmy go bardzo. Poprostu, nie można go było nie lubić.

— Czy prawdą jest, że Chopin już w tych czasach czuł dla «panny Maryni» coś więcej, prócz przyjaźni, że mu już wtedy serce żywiej biło na jej widok, i że później, w roku 1835-ym, gdy się w niej zakochał, była to tylko recydywa uczucia, które początkiem swym sięgało jeszcze czasów Liceum? We francuskiej książce Wodzińskiego «Les trois romans de Fédéric Chopin», rzecz ta przedstawiona jest w ten sposób.

— Zdaje mi się, że jest w tem dużo przesady i chęci upiększenia rzeczywistości. Za czasów warszawskich siostra moja była jeszcze dzieckiem. Urodzona w r. 1819-ym, w chwili wyjazdu Chopina z Warszawy w r. 1830-ym miała zaledwie lat 10, a więc nie była jeszcze nawet podlotkiem. Trudno przypuścić, by wobec tego mogła być mowa o jakiemkolwiek głębszem uczuciu bądź z jednej, bądź z drugiej strony. Lubili się i tyle... Co pewna, to, że Chopin, zarówno w pierwszym roku, gdy bracia moi mieszkali na stancji u jego rodziców, jak i później, częstym bywał gościem w naszym domu, i że gdy przychodził, zawsze był przez nas witany bardzo mile, bo nikt z nami tak nie umiał się bawić, jak on.

— A jakże bywało w Służewie, dokąd — jak wiemy ze wspomnianej książki francuskiej — Chopin jeździł zwykle na wakacje?

— W całej tej legendzie niema słowa prawdy: Chopin nigdy w Służewie nie był. Przed rokiem 1830-ym nigdyśmy tam nie mieszkali, choćby dlatego,

że mieszkać tam nie było gdzie. Stary zamek znajdował się w ruinie, i na to, by móc w nim założyć siedzibę, należałoby go przedtem gruntownie odrestaurować zewnątrz i wewnątrz, co też istotnie w czasie naszego pobytu w Genewie uskuteczniono. Przed rokiem 1830-ym bywał raz po raz w Służewie tylko nasz ojciec, o ile go tam powoływały sprawy gospodarskie. My z matką, przed przeniesieniem się do Warszawy, mieszkaliśmy w Sułkowie, który to majątek pod Brześciem Kujawskim położony, także należał do mego ojca. Prócz Sułkowa i Służewa należał do niego jeszcze śliczny majątek Włoszyce.

— Gdzież w takim razie spędzano wakacje?

— Na lato jeździliśmy zawsze, przez cały czas mieszkania w Warszawie, do Sułkowa.

— A Chopin tam nie jeździł nigdy?

— Nie.

— Wobec tego nasuwa się kwestja, gdzie spędzał zwykle lato przed rokiem 1824-ym, nim zaczął bywać w Szafarni, w Poturzynie, w Strzyżewie. Dotychczas utrzymywało się stale, jako fakt, iż zwykle na wakacje, a oprócz tego jeszcze kilka razy do roku w różne święta jeździł z braćmi pani dobr. do Służewa.

— O ile wiem, to najczęściej spędzał wakacje w Żelazowej Woli. Miał tam, prócz Skarbków, jeszcze jakichś swoich krewnych, u których mieszkał z całą rodziną. Pamiętam, że i my raz byliśmy w Żelazowej Woli dla odwiedzenia tam Chopinów. Ale byłam wtedy dzieckiem i nic już sobie z tych odwiedzin nie przypominam.

— W każdym razie i to już obala całkiem wszystkie nasze dotychczasowe poglądy na ten okres w życiu Chopina. Fakt, że Chopin nigdy nie był w Służewie, jest niespodzianką, która szczególnie dla jednego z ostatnich biografów Chopnia okaże się prawdziwym piorunem z jasnego nieba. Wszyscy, co do tej pory pisali o Chopinie, a zwłaszcza ci, którzy w swych do-

ciekaniach opierali się na książce hr. Antoniego Wodzińskiego «Les trois romans de Frédéric Chopin», przyjmowali częste pobyty Chopina w Służewie za fakt niezbity i najmniejszej wogóle nie podlegający wątpliwości, tak dalece, iż brali go niekiedy za punkt wyjścia w uzasadnieniu swych — często bardzo daleko idących — twierdzeń. Niedalej, jak parę miesięcy temu, czytałem w lutowym zeszycie «Przeglądu Polskiego» kilka nowych «kart z życia Chopina», pióra Adolfa Strzeleckiego, który o pobytach w Służewie i o wpływie ich na całą twórczość i rozwój duchowy artysty napisał *całych dziesięć bitych stron druku*, twierdząc, że przedewszystkiem poznanie Chopina z Marją Wodzińską nastąpiło prawdopodobnie w Służewie, «gdzie Chopin wraz z braćmi Marji, a kolegami swymi i przyjaciółmi, *spędził wakacje 1825-go roku*». Następnie powiada p. Strzelecki, że chwile spędzane przez Chopina w Służewie — a «przyjeżdżał tam co roku na dni kilka czy kilkanaście» — nietylko wywarły psychiczny wpływ na niego samego, ale nadto wycisnęły najsilniejsze piętno na jego twórczości. W Służewie — zdaniem p. Strzeleckiego — zaczął się kochać w Marji, która tutaj, w Służewie, zaczęła od niego brać lekcje gry fortepianowej («lekcje, *zaczęte w Służewie*, trwały dalej» w Warszawie); w Służewie, zdaniem p. Strzeleckiego, takie czyniki, jak staropolska tradycja, «działały na romantyczne usposobienie Chopina, przenosiły go w dawno i bezpowrotnie minione czasy i epoki [1]);

[1]) «W chwilach samotnego marzenia zaludniał on cały zamek (Służewski) innymi ludźmi, ożywiał marsowe postacie, patrzące nań ze starych portretów rodzinnych (Wodzińskich) i wówczas po wspaniałych salach zamku snuli się — niewidzialni dla innych oczu — pełni majestatu duchowni, imponujący i okazali statyści i senatorowie, zakuci w skrzydlatą zbroję rycerze, a w tym barwnym tłumie przesuwały się kobiece postacie, pełne uroku i młodzieńczej krasy, albo wspaniałej i niezrównanej *grandezzy*, właściwej polskim matronom. W tych obrazach młodzieńczej fantazji

w Służewie, zdaniem p. Strzeleckiego, «Chopin z gorączkową ciekawością gonił wszystkie sposobności słyszenia ludowej muzyki [1]); Służewo, zdaniem p. Strzeleckiego, «dostarcza jednego z mnóstwa dowodów na to», że «genjalny ten duch nietylko podchwycił i na zawsze przechował w pamięci wszystkie jej odcienie i najdrobniejsze nawet charakterystyczne rysy, ale zużytkował wprost zasłyszane motywy i jak oszlifowane przecudnie brylanty wtykał w złocistą, z niedoścignionym artyzmem wykutą osnowę swych dzieł». Tymczasem okazuje się, że Chopin... nigdy w Służewie nie był! I wierzyć tu intuicji historyków!

Opierając się na «dokumentach», niby to niezachwianej autentyczności (jak np. w tym razie), tworzą oni najsubtelniejsze sylogizmy, i wówczas, gdy im się zdaje, że lepiej znają dany fakt, niż go znali współcześni, zdarza się niekiedy, jak np. w danym wypadku, że odtworzony na podstawie erudycji i inteligencji obraz

był iście Veroneza koloryt, była potęga i siła Matejki obrazów! Były to wizje podobne tym, które w dziesiątki lat później powstawać znów miały w wyobraźni artysty, lecz w jakże innych warunkach, w jakże innem usposobieniu ducha, po jakich przejściach moralnych!» Najpierw jednak ukazywały się te wizje Chopinowi — w Służewie!

[1]) «Pod karczmą (w Służewie) podsłuchiwał tony basetli i skrzypiec «rzempolących» kujawiaki, oberki, «fyrtańce», «szorce» i jak się tam one nazywają. Wędrując po polach i błoniach (Służewa) chwytał melodje «piszczałek» pastuszych, to «długie, przeciągłe i tęskne, to znów urywane, krótkie, szorstkie, niemal dzikie», jak mówi Kolberg; przy żniwach (w Służewie) i wieczorami, gdy żeńcy po całodziennej pracy wracali do domów, notował w swej pamięci nuty ich «śpiewanek», a podczas dożynek chłonął w siebie prastare, odwieczne, obrzędowe pieśni. Wszystko to stawało się dlań kanwą, na której snuł «swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty», materjałem surowym, któremu nadawał artystyczne kształty i treść głęboką własnej duszy. Że tak było, tego dowodem — między wielu innemi — powstała około r. 1828-go *Fantazja polska* op. 12, w której jeden z motywów wzięty jest z «kujawiaka» powszechnego w Służewie...»

tak się ma do prawdziwego zdarzenia, jak upiększone *ad usum Delphini* kłamstwo do prawdy, jak marzenie do rzeczywistości; wszystko to bowiem, tak przekonywujące i logiczne... na papierze, gdyby mogło być skontrolowane przez współczesnych, którzy byli *magna pars* opisywanych przez historyka wypadków, niejednokrotnie dałoby się porównać do tej herbaty, którą my pijemy w Europie, a której Chińczycy nie poznają. Wprawdzie *tout comprendre c'est tout pardonner*, na usprawiedliwienie zaś p. Strzeleckiego trzeba przyznać, że nietyle on tu zawinił, ile autor książki «Les trois romans de Frédéric Chopin», książka ta bowiem, jako napisana przez synowca Marji Wodzińskiej, stała się ewangelją dla wszystkich piszących o Chopinie; wszyscy byli przekonani, iż lepiej od niego nie mógł być nikt poinformowany, zwłaszcza tam, gdzie chodziło o stosunek Chopina do Marji Wodzińskiej, z której ust — jak to niejednokrotnie zaznaczył — czerpał swe informacje. Wobec tego nie wierzyć mu było trudno, bo któż mógł przypuszczać, że w takiej książce można się spotkać z poetyczną *Dichtung*, podaną czytelnikom jako *Wahrheit*.

— Gdy się ukazała książka «Les trois romans de Frédéric Chopin», zwracałem uwagę jej autorowi, że wszystko, co w niej o Służewie podane jest za fakt, rozmija się z prawdą, a z tego powodu potworzy się mnóstwo nowych błędów, czemu należy zapobiec. Odpowiedziano mi na to, że książka ta pisana jest dla Francuzów i że z tego względu to małe upiększenie rzeczywistości nie jest karygodnem [1]).

— Trudno zgodzić się na to twierdzenie, zwłaszcza, gdy się zważy, że książka p. Wodzińskiego, po-

[1]) A jednakże i w swych feljetonach o Marji Wodzińskiej, drukowanych przed laty w «Słowie» i «Kuryerze Warszawskim», opisywał autor pomienionej książki francuskiej — pobyty Chopina w Służewie, choć feljetony te, już nie dla Francuzów, lecz dla Polaków były przeznaczone.

mimo swej powieściowej formy, pisana jest w taki sposób, że ją należy zaliczać do kategorji monografji historycznych... Ta okoliczność sprawiła, iż wszyscy, co odtąd pisali o Chopinie, począwszy od Niechsa, a skończywszy na p. Strzeleckim, gdy im przyszło pisać o Chopinie i Marji Wodzińskiej, opierali się na książce hr. Wodzińskiego, jak na dokumencie, a nikomu przez myśl nie przyszło, iż w tym dokumencie mogą być opowiedziane fakty, które w rzeczywistości nigdy nie miały miejsca. Wierzono zaś hr. Wodzińskiemu tembardziej, że jako bliski krewny Marji Wodzińskiej, z której ust czerpał swe wiadomości (na co się w książce swej niejednokrotnie powołuje) mógł być poinformowany, jak nikt inny. Pamiętam, że gdy przed kilku laty wyszła jego książka o trzech romansach Chopina, Stanisław Tarnowski napisał w «Przeglądzie polskim» entuzjastyczną o niej krytykę, wyrażając radość, że nareszcie wiemy prawdę o roli Marji Wodzińskiej w życiu Słowackiego i Chopina, prawdę, która rozwiewa mnóstwo legend w tej kwestji, a która, jako podana przez członka rodziny Wodzińskich, a więc pochodząca z najlepszego źródła, przez nikogo kwestjonowaną być nie może. A jednak okazuje się, że i w takich prawdach lęgnie się czasami robak zmyślenia... Wracając jednak do przerwanej materji, mianowicie do pobytu Wodzińskich przed rokiem 1830-ym w Warszawie, nieobojętnem byłoby wiedzieć, gdzie mieszkali wtedy, gdy Chopin w domu pani Wodzińskiej tak częstym bywał gościem? Mianowicie pragnąłbym wiedzieć także, co znaczy wyrażenie w jednym z listów Chopina, który pisząc z Paryża d. 18 lipca 1834 r. do Feliksa Wodzińskiego i wspominając o nadesłanym mu z Genewy przez Marję temacie muzycznym jej kompozycyji, nie bez rozrzewnienia pisze o «owej pannie Maryni, z którą się to w *Pszennego domu* za dawnych czasów po pokojach gonił». O jakim to «domu Pszennego» jest tutaj mowa?

— Ma tu Chopin na myśli ów dom Pszennego,

w którym mieszkaliśmy w Warszawie. Nie przypominam już dziś sobie, gdzie dom ten się znajdował. Zdaje mi się jednak, iż było to na ulicy Miodowej, w pobliżu pałacu Tepera... Ale nie umiem powiedzieć panu tego napewno. Wogóle przez czas pobytu naszego w Warszawie przeprowadzaliśmy się kilka razy, w domu Pszennego mieszkaliśmy jednak najdłużej. Ostatnie nasze mieszkanie przed rokiem 1830-ym, w którem zastała nas rewolucja listopadowa, znajdowało się za Żelazną Bramą, na pierwszem piętrze domu, który, gdy się wchodzi z Saskiego ogrodu, stoi z brzegu po lewej stronie. Tam bywał u nas Chopin na krótko przed swym wyjazdem z kraju.

— Czy stosunek Chopina do Wodzińskich trwał aż do jego wyjazdu zagranicę, t. j. do roku 1830-go, czy też ostygł trochę na parę lat przedtem?

— Aż do samego końca zawsze był nadzwyczaj serdecznym. Z braćmi moimi, szczególniej z Antonim, łączyła Chopina najserdeczniejsza przyjaźń. Toż samo z Feliksem, którego kochał nadzwyczaj. Wogóle stosunek nasz do rodziny Chopina i jego samego coraz bardziej zacieśniał się z każdym rokiem, tak, iż w r. 1830-m był serdeczniejszym jeszcze, niż lat poprzednich. O tem, żeby ostygał, nigdy nie było mowy.

— Rzuca to ciekawe światło na stosunek w tych czasach Chopina do Konstancji Gładkowskiej, w której się kochał przecież, w ciągu dwuletniego okresu przed opuszczeniem Warszawy.

— Niceśmy nigdy o niej nie słyszeli, przynajmniej nie przypominam sobie, by o niej kiedy była mowa.

— Przed wyjazdem z Warszawy dał Chopin w Teatrze Narodowym koncert pożegnalny. Czy byli państwo na tym koncercie?

— Czy ja na nim byłam, tego już sobie dziś doprawdy nie przypominam, wiem jednak, iż matka moja ze starszemi dziećmi nie omieszkała pójść na ten koncert «Frycka».

— Czy po wyjeździe z Warszawy udała się matka pani wprost do Genewy?

— Gdy wybuchła rewolucja, ojciec mój, który od czasu do czasu przyjeżdżał do nas, właśnie był w Warszawie. Wobec wypadków, które się zaczęły rozgrywać na bruku warszawskim, zabrał nas wszystkich na wieś, do Sułkowa. Nie pojechali tylko Antoni i Feliks, którzy zaciągnęli się do wojska. Po kilku miesiącach pobytu w Sułkowie, wyjechaliśmy do Berlina, gdzie nas doszła wiadomość o zdobyciu Warszawy... Z Berlina udaliśmy się do Drezna, skąd, po kilku miesiącach pobytu, udaliśmy się do Genewy.

— I tam zbliżył się do rodziny państwa Słowacki. Czy nie mogłaby mi pani dobr. powiedzieć, w jakich okolicznościach nastąpiło to zbliżenie?

— Stało się to w sposób bardzo zwykły. Poznawszy się z braćmi moimi, gdyż wszyscy młodzi bawiący wtedy w Genewie Polacy znali się między sobą, został przez nich wprowadzony do domu mojej matki. W ten sam sposób zaczął u nas bywać i Ludwik Napoleon, który wówczas mieszkał w Genewie na wygnaniu z matką swoją Hortensją, i młodzi Miączyńscy i Gruszecki, i wielu innych.

— Czy bracia pani dobr., mieszkając w Genewie, chodzili na tamtejszy uniwersytet?

— Nie, starszy, Antoni, mieszkał z nami, młodszy zaś był na pensji niejakiego pana Humberta.

— A gdzie znajdowało się mieszkanie państwa przed wprowadzeniem się do pensjonatu pani Pattey w Paquis? Czy naprawdę była to *une ville dont les jardins descendaient en terrasses jusqu'au lac bleu*... Z tego samego źródła, które nam je tak opisuje, dowiadujemy się, że willa ta stała przy ulicy Beauregard...

— O tym naszym pobycie w Genewie istnieje mnóstwo legend, w których najmniej można się doszukać prawdy. Co się tyczy naszego pierwszego mieszkania w Genewie, tego, w którem przez pierwszych

parę lat bywał u nas Słowacki, to znajdowało się ono przy *Place St. Antoine*. Na placu tym stało kilka pałacyków prywatnych oraz duży dom państwa Claparède. W tym to domu, który był zwykłym domem, a nie żadną willą, zajmowała matka moja całe pierwsze piętro. Był to bardzo oryginalny dom: zbudowany na stoku góry, w przecięciu miał kształt zbliżony do trójkąta, tak, iż zajmowane przez nas pokoje, choć znajdowały się na poziomie pierwszego piętra od strony *Place St. Antoine*, nie wszystkie znajdowały się na jednej wysokości od fundamentów: i tak np. pokoje braci moich dosięgały drugiego piętra, pokój zaś jadalny był aż na... 6-em. Gdyśmy mieszkali w pensojnacie pani Pattey, jeziora z okien naszych nie było widać (jak to niejednokrotnie pisano), Paquis bowiem leży od jeziora dość daleko.

— Skoro mowa o Paquis, gdzie państwo przez czas jakiś mieszkali pod jednym dachem ze Słowackim, to może pani dobr. wytłumaczy z łaski swojej, czem się to dzieje, że Marja tak zawsze niekorzystnie wyrażała się o Słowackim, że wtedy, gdy on unieśmiertelnił ją w swym poemacie «W Szwajcarji», ona do końca życia nie mogła dlań znaleźć jednego cieplejszego wyrazu, a nawet nie zawahała się nazwać go poprostu «troszkę śmiesznym» w stosunku do swych genewskich znajomych... Skąd to jej uprzedzenie, tak dziś dla wielbicieli Słowackiego przykre, a dla jego biografów... niedogodne i kłopotliwe?

— Tłumaczy się ono, zdaje mi się, usposobieniem Słowackiego. Dziki, kapryśny, nerwowy, nierówny, pozujący, zarozumiały, złośliwy, często zgryźliwy, nie był to wogóle charakter, coby umiał pociągnąć innych ku sobie. Miewał wprawdzie i on chwile wesołości i pustoty, w których okazywał się z dobrej strony, lecz chwile takie zdarzały mu się rzadko. W okresie, gdyśmy przez czas jakiś mieszkali razem u pani Pattey, zżył się z nami i stosunek wywiązał się bardzo serdeczny. Szczególnie dobrze był ze mną, do czego w części przyczyniła się okoliczność, że nas związała... tajemnica. Rzecz miała się tak. Któregoś popołudnia — a było to już w Paquis — zebrało się u nas kilka osób. Między innemi przyszedł także Słowacki. Ponieważ dzień był prześliczny, więc towarzystwo całe siedziało w ogrodzie na ławce, która — szczegół to ważny — stała w ten sposób pod ścianą domu, że siedząc na niej, było się plecami odwróconym do okien i otwartych drzwi salonu, z którego wprost wychodziło się do ogrodu. Dodać winnam, że zajmowane przez nas mieszkanie posiadało dwa sąsiadujące z sobą saloniki, jeden wspólny, i jeden mojej matki, w którym stał fortepian. Każdy z saloników tych, prócz drzwi, któremi się łączyły z sobą, posiadał oszklone drzwi od ogrodu, przez które ze dworu widziało się wszystko, co się działo wewnątrz. Otóż była chwila, że siostra moja grała na fortepianie, towarzystwo zaś całe, siedząc przed domem, słuchało w milczeniu. Pomiędzy słuchającymi nie brakło i Słowackiego. Ja tymczasem, jako zbyt młoda jeszcze, by się znać na muzyce, nie mogąc ustać spokojnie, bawiłam się skakaniem przez sznur. Ponieważ fortepian stał vis à vis drzwi oszklonych, więc zwrócona do nich twarzą widziałam doskonale Marynię, jak grała. Słowacki, zasłuchany, widocznie był pod wrażeniem muzyki. Nagle widzę, że przechodzi koło pań, obchodzi dookoła róg domu i zmierza ku otwartym drzwiom owego drugiego saloniku, dostaje się tamtędy do pokoju mej matki, zbliża się na palcach do grającej, a tak ją zachodzi z tyłu, że go w pierwszej chwili dojrzeć nie mogła. Klęka przed nią, całuje rąbek sukni, poczem, wstawszy, zmierza ku oszklonym drzwiom, przez którem go wciąż obserwowała, i łączy się z nami, stając znów na swem dawnem miejscu. Nikt prócz mnie nie widział tej niemej, a tak wymownej sceny, rozegrała się bowiem poza plecami całego towarzystwa. Nawet Marynia nie widziała, co się stało; widziała tylko przechodzącego

przez pokój i zmierzającego ku drzwiom poetę... Chcąc dać do zrozumienia Słowackiemu, że ten sentymentalny hołd z jego strony nie uszedł mej baczności, że wszystko widziałam doskonale, rzuciłam sznur, i naśladując poetę, minęłam siedzące na ławce damy, obeszłam róg domu i wszedłszy owemi drugiemi drzwiami przez salonik wspólny, do saloniku matki, gdzie Marynia wciąż jeszcze grała w dalszym ciągu, podeszłam do niej, przyklękłam, podniosłam do ust rąbek jej sukni, co uczyniwszy, temi samemi drzwiami, co przed chwilą Słowacki, weszłam do ogrodu na dawne miejsce i znów zaczęłam skakać przez sznur. Podobnie jak i przy pierwszej scenie, nikt z obecnych nie zauważył, co się stało! Jedyny wyjątek stanowił pod tym względem Słowacki, który wodząc za mną oczyma, widział wszystko, com uczyniła, a zrozumiawszy moją, przyznaję, iż złośliwą trochę, intencję, pobladł i zmieszał się... Wprawdzie, gdy Marynia wstała od fortepianu, nic ze mną o całej tej sprawie nie mówił (choć niejednem błagalnem spojrzeniem zdawał się mnie zaklinać o dyskrecję), ale miałam go od tej chwili w ręku. On zdawał sobie z tego sprawę, a że pragnął, by to zostało w tajemnicy pomiędzy nami, więc był poprostu, jak to mówią, *na łapkach* wobec mnie. Do jakiego stopnia liczył się odtąd ze mną, o tem najlepiej świadczy chociażby następujący fakt. Mieszkała wtedy w Genewie znajoma nasza, pani Ossolińska, Chodkiewiczówna z domu. Z córką jej Wandą, późniejszą panią Tomaszową Potocką, bardzo się przyjaźniłam, a wśród rozmaitych zabaw, któremiśmy sobie w wolnych od lekcyj chwilach czas skracały, wpadłyśmy na pomysł, aby pisywać do siebie listy, w listach tych zaś, nadzwyczaj obszernych, tak, że były to właściwie wypracowania, pisać o wszystkiem, co się robiło, myślało, czytało, z kim się widziało etc., etc. Notabene pisywałyśmy te listy pod innemi imionami i nazwiskami, niby to jak dwie dawne koleżanki, z których jedna mieszkała na wsi, druga zaś w mieście.

Matki nasze, z których wiedzą uprawiałyśmy tę zabawę, bardzo korespondencję podobną, jako doskonałe ćwiczenia stylistyczne, pochwalały. Była to doskonała nauka obserwacji i zastanawiania się nad bieżącemi wypadkami, a przytem sposobność do wypowiadania swych opinij o różnych wspólnych znajomych, o ich stronach charakterystycznych, niekiedy komicznych etc. Listy te za każdem widzeniem wymieniałyśmy z sobą wzajemnie, poczem odpisywało się na nie... Otóż zdarzyło się raz, że Słowacki, który wiedział o tej naszej korespondecji, złapał jeden z takich listów Wandy i chciał go koniecznie przeczytać. Ja nie chciałam mu na to żadną miarą pozwolić, on zaś upierał się przy swojem i ani myślał ustąpić. Gdym się zbliżała do niego, by mu list z rąk wyrwać, uciekał z pokoju do pokoju, aż wkońcu wybiegł z nim do ogrodu, gdzie właśnie znajdowali się moi bracia... Widząc nas tak uganiających się za sobą, gdy się dowiedzieli o co chodzi, wcale nie doradzali Słowackiemu, by kapitulował, owszem, zachęcali go naprzekór mnie, by list uważnie od początku do końca przeczytał. Jeżeli tego nie uczynił jeszcze, to jedynie dlatego, że wciąż musiał uciekać przedemną. Wkońcu, spostrzegłszy opartą o dach domu drabinę, wzlazł na nią i usiadłszy na jednym z górnych szczebli, zabierał się już do czytania listu... Ja stałam na dole pod drabiną, a widząc, że gotów na swojem postawić, byłam w rozpaczy. Wtem przypomniała mi się nasza tajemnica. Tonący brzytwy się chwyta: i ja tedy, wiedząc, co jest słabą stroną mego przeciwnika, rzekłam doń, dając mu do zrozumienia, o czem myślę: «Dobrze, niech pan przeczyta, ale ja powiem o wszystkiem...» Usłyszawszy to Słowacki, słowa nie odpowiedział, tylko w jednej chwili, jakby ściągnięty jakąś magnetyczną siłą, zszedł z drabiny i oddał mi list Wandy.

Braci moich, będących świadkami całej tej sceny, zdziwiło niezmiernie, że poeta tak nagle ustąpił, i ogromnie byli zaintrygowani, coby to być mogło,

o czem Słowacki nie chciał, iżbym powiedziała, a w co, jak się okazało, byłam wtajemniczoną... Oczywiście, iż dopiąwszy celu, nie zdradziłam tajemnicy, choć mię nieraz indagowano w tej kwestji... Opowiedziałam o niej znacznie później dopiero... Tymczasem, w Genewie, dopóki byliśmy razem ze Słowackim, ogromnie starał się o to, by mi się przypodobać, bym zawsze była jaknajlepszego o nim mniemania. Mały przykład. Pani Pattey, u której mieszkaliśmy, miała prócz Eglantyny, tak dobrze panu z życia Słowackiego znanej, jeszcze drugą córkę, zamężną, panią Favard, jeżeli mię pamięć nie zawodzi. Bywała ona w Paquis częstym gościem, a przychodziła najczęściej ze swą córeczką, z którą jako o dwa lata młodszą ode mnie, bardzo się przy tej sposobności zaprzyjaźniłam. Słowacki ogromnie ją kochał i zawsze nazywał *ma petite femme*. Otóż zdarzyło się raz, że przyszedł z nią do mej matki, by ją zaprezentować jako swoją *petite femme*. Byłam właśnie przy tem, a słysząc poetę, jak matce mej przedstawiał swoją żonę, zauważyłam, przekomarzając mu się: *Mais comment donc, vous la nommez votre petite femme et vous n'avez pas même des bonbons pour elle?* Nic na to nie odrzekł Słowacki (a było to już po owej naszej tajemnicy), lecz pomimo upału zaraz poszedł do Genewy, dokąd z Paquis było dość daleko, i to drogą wystawioną o tej porze na największą spiekotę słoneczną, i wrócił z pudłem cukierków...

— Wspomniała pani dobr. o Eglantynie Pattey. Jakie pozostawiła ona wspomnienie w umyśle pani dobr.?

— Była to osoba niebardzo młoda; przypuszczam, iż starsza od Słowackiego, ale bardzo ładna. Siostra moja zrobiła jej udatny wielce potret... Zdaje się, że cały ów dramat, o którym pisze Słowacki w listach do matki, miał główne swe źródło w bujnej imaginacji poety. Czy Eglantyna płonęła uczuciem zazdrości z powodu, że Słowacki garnął się do mej siostry? Przedewszystkiem nikt z nas tego się nie domyślał, żeby się Słowacki kochał w mojej siostrze, co zaś do Eglantyny, to łączyła ją z siostrą mą najserdeczniejsza przyjaźń, przyjaźń, która się wcale nie skończyła z naszym wyjazdem z Genewy. Korespondowała ona z nami jeszcze przez lat szereg, zarówno, gdyśmy mieszkali w Dreźnie, jak potem, gdyśmy już osiedli w Służewie.

— Czy po r. 1835-ym, po wyjeździe z Genewy, spotkali się państwo kiedy jeszcze ze Słowackim?

— Nigdy.

— A gdy wyszedł poemat *W Szwajcarji*, jakie zrobił wrażenie na Marji?

— Mówiono nam wprawdzie, iż odbiły się w nim wspomnienia genewskie poety i jego miłości ku Marji, ale wiadomość ta wywołała w nas niemałe zdziwienie, bo w Genewie nie domyślaliśmy się wcale podobnego uczucia ze strony poety...

W czerwcu r. 1835 przyjechał do Genewy mąż pani Wodzińskiej, by ją wraz z całą rodziną zabrać stąd do kraju. Wyjechano w sierpniu (szeroko o tem wszystkiem pisze Słowacki w jednym ze swych listów do matki), lecz zamiast jechać wprost na Kujawy, co w danej chwili jeszcze nie było nawet możebnem, zatrzymano się po drodze na czas dłuższy w Dreźnie...

— Czy istotnie mieszkali państwo w domu Macieja Wodzińskiego, jak to opisuje autor *Les trois romans de Frédéric Chopin*?

— Jakkolwiek stryj nasz (jego to właśnie portret wisi tu na ścianie) mieszkał wtedy w Dreźnie, to jednak nie mieszkaliśmy u niego, lecz osobno. Ponieważ ówczesny nasz pobyt nad Elbą przeciągnął się znacznie dłużej, niż na to zanosiło się pierwotnie, bo całe półtora roku, więc zajmowaliśmy w ciągu tego czasu kilka lokali. Najprzód mieszkaliśmy w Rampische Strasse, przy Frauenkirche, potem zajmowaliśmy lokal za Schlossstrasse. Mieszkaliśmy także przez czas jakiś w jednym z domów Starego Rynku (Altmarkt). Ostatnie nasze

mieszkanie, to, w którem mieszkaliśmy najdłużej, znajdowało się na Placu Teatralnym, tuż nad Elbą, w najbliższem sąsiedztwie kościoła katolickiego. Był to niewielki dom dwupiętrowy, należący do sławnego wtedy w Dreźnie malarza, Vogel von Vogelstein. Bardzo to był miły staruszek. Arcydziełem jego jest znajdujący się obecnie w galerji drezdeńskiej obraz, przedstawiający dwoje dzieci nad książką z obrazkami... Otóż on zajmował drugie piętro swego domu, nam zaś odnajął całe pierwsze piętro. W tem mieszkaniu bywał u nas w r. 1836 Chopin.

— A w r. 1835, gdy Chopin zjechał się z państwem po swym pobycie z rodzicami w Karlsbadzie?

— Nieprawdą jest, jak to utrzymywali dotychczas niektórzy biografowie Chopina, jakoby spotkanie się jego z nami w Dreźnie w r. 1835 zgóry było uplanowane. Stało się to jedynie dzięki szczęśliwemu przypadkowi.

— Jakto, więc Chopin nie poto obrał drogę z Karlsbadu na Drezno, by tam spotkać się z rodziną Wodzińskich?

— Wszystko to są legendy, w których tyle tylko jest prawdy, żeśmy się w r. 1835 z Chopinem w Dreźnie spotkali. Znajdując się od miesiąca już blisko w stolicy Saksonji, niceśmy o przyjeździe tu Chopina, a raczej o jego przejeździe tędy z Karlsbadu do Lipska nie wiedzieli. Nie wiedzieliśmy nawet, że wogóle w tych czasach nie było go w Paryżu. Raptem, któregoś dnia wpada do domu brat mój, Feliks, i powiada, że spotkał się na ulicy z Chopinem. Obaj (mówił) zdziwili się niezmiernie, bo żaden nie spodziewał się tego spotkania. Na zapytanie Chopina, co tu porabia? Skąd się tu wziął wogóle? — odpowiedział mój brat: «Jesteśmy tu wszyscy, cała rodzina, wracamy z Genewy». Naturalnie, iż zaraz się umówili, że Chopin tego samego jeszcze dnia przyjdzie do nas. Jakoż obiecał przyjść wieczorem. Uprzedzeni o tem, zaraz zaprosiliśmy kilka osób

znajomych (mieszkało wtedy w Dreźnie wielu Polaków), tak, iż gdy się zjawił, zastał prócz nas jeszcze całe grono ziomków, pragnących go zobaczyć i usłyszeć... No, i usłyszeliśmy go, bo grał prawie przez cały wieczór. Odtąd widywał się z nami ciągle, od rana do wieczora przebywając z nami. Przypomniały nam się dawne czasy warszawskie, zwłaszcza, że Chopin, choć już sławny w świecie całym kompozytor i fortepianista, taki sam skory był do figlów i zabawy, jak dawniej. Naturalnie, że poza tem sporo czasu spędzał przy fortepianie, takich bowiem, co go prosili, aby grał, nie brakło nigdy. A jak grał! Pomimo, że wyglądał bardzo mizernie, gra jego odznaczała się niesłychaną świetnością, a gdzie było potrzeba, nawet i tytaniczną siłą. Ze wszystkich pianistów, których słyszałam później, niczyja gra nie przypominała mi tak gry Chopina, jak gra Paderewskiego. Słyszałam go parę lat temu w Berlinie. Niezwykle miłego i rozrzewniającego uczucia doznałam na tym koncercie, bo przymknąwszy oczy, miałam zupełne wrażenie, jakby to grał sam Chopin!... Wtedy, w Dreźnie, na Rampischestrasse, poza chwilami, które spędzał przy fortepianie, opowiadał nam też niemało o Paryżu, o tamtejszem życiu artystycznem, o różnych sławnych muzykach, poetach i malarzach, z którymi go łączyły stosunki przyjaźni, tudzież o różnych zaszczytnych wyróżnieniach, jakie go nad Sekwaną spotkały.

Najzabawniejszym był, gdy opowiadał o Liszcie, Kalkbrennerze, Pixisie, których sposób grania i zachowania się podczas gry arcykomicznie naśladował... Tak upłynęło kilka dni, może tydzień. Zbliżała się chwila rozstania, gdyż Chopin śpieszył do Paryża, a miał jeszcze być przedtem w Lipsku u Schumanna i Mendelsohna. W dzień wyjazdu, który nastąpił o 12-ej w południe, ofiarował siostrze mej świeżo skomponowanego dla niej *Walca F-moll*, którego nam jeszcze zagrał, nim wsiadł do dyliżansu. W walcu tym, zrazu namiętnym

i rzewnym, trzecia część napisana jest w ten sposób, że dwanaście razy powtarzająca się nuta *Des* w pierwszej ręce, przypomina miarowe dźwięki zegaru na *Frauenkirche*, wybijającego godzinę dwunastą, środkowy zaś ustęp z rytmicznem crescendo, przechodzącem wkońcu w *appasionato* naśladuje złowrogi turkot zajeżdżającego przed dom powozu. W wydanych przez Fontanę *Dziełach pośmiertnych* Chopina nie wydrukowano walca tego tak, jak był napisany przez Chopina, lecz dodano jeszcze powtórzenie kilkunastu taktów, których niema w autografie i które są też zupełnie zbyteczne, zważywszy, że Chopin temi dwunastoma nutami *Des* chciał dać przypomnienie dwunastej godziny, o której żegnał się z Marją. Tymczasem 16 razy powtarzające się *Des* niema sensu jak w danym wypadku, skoro niema 16-ej godziny.

— A co się stało z autografem tego walca? Facsimile jego znajdujemy w książce Szulca, oraz w dziele Niecksa, lecz o losie oryginału nic na razie nie wiemy.

— Znajduje się on obecnie w posiadaniu mojej córki, Orpiszewskiej.

— A czy nie wie pani dobr. gdzie się znajdują oryginały listów Chopina do rodziny Wodzińskich, które znamy z dzieła Szulca?

— Posiada je obecnie w zbiorach swych syn mój, Józef, w Miłosławiu. O ile wiem, jest listów tych tylko trzy wszystkiego.

— Jeden do Feliksa Wodzińskiego, jeden do Antoniego i jeden do pani Wodzińskiej. Dwa ostatnie, pisane w ciągu roku 1837-go, a więc już po drugiem spotkaniu się Chopina z Wodzińskimi w Marjenbadzie i w Dreźnie. Co się tyczy tego spotkania, to nie było już ono, jak poprzednie, przypadkowe.

— Nie, tym razem przyjechał Chopin do Marjenbadu umyślnie dla zobaczenia się z nami, a że zjechaliśmy się prawie równocześnie, więc spędziliśmy razem miesiąc blisko. Wtedy to namalowała siostra moja

portret Chopina, który aż po dziś dzień należy do jego najlepszych i najpodobniejszych wizerunków. Oryginalny portret ten, do którego jej Chopin pozował w Marjenbadzie, malowany był akwarelą. Obecnie posiada ją moja córka. Z tej akwareli dopiero, już w Dreźnie, zrobiła siostra ma ów litografowany portret, którego produkcję dał między innemi Szulc w swojej książce. Nie od rzeczy będzie napomknąć, że portret ten rysowała Marja sama na kamieniu litograficznym.

Tu pokazano mi album z różnemi rysunkami i portretami, pomiędzy któremi znajduje się i ślicznie zachowany egzemplarz tej litografji...

Jeżeli panu zależy na odfotografowaniu oryginału tej akwarelli, mogę się o nią dla pana postarać... Ma ona bowiem podwójne znaczenie: raz dlatego, że jest portretem Chopina, malowanym z natury, a powtóre, że choć mogą w nim być jakieś drobne rysunkowe usterki, to jednak jest na nim Chopin nadzwyczaj podobny, taki zupełnie, jakim był wtedy w roku 1836-ym, w Marjenbadzie [1]).

---

[1]) Album to, dzięki uprzejmości pani Kościelskiej, mam, pisząc słowa niniejsze, przed oczyma. W pięknej skórzanej oprawie,, zawiera ono, obok różnych widoków, scen rodzajowych, etc., cały szereg portretów rodziny Wodzińskich i zbliżonych do niej osobistości, rysowanych przez Marję Wodzińską, głównie w okresie czasu pomiędzy rokiem 1835 i 1836. I tak znajdujemy tu dwa ołówkowe wizerunki Teresy z Wodzińskich (matki), jeden z r. 1836 i drugi z r. 1844, portret Wincentego Wodzińskiego (ojca Marji), portrety Antoniego, Feliksa i Kazimierza Wodzińskich, ich sióstr, Teresy i Józefy, oraz cały szereg portretów osób, bliskich rodziny Wodzińskich, więc Józefa Płonczyńskiego, doktora Paris, Julji z Górskich Antoniowej Wodzińskiej, panny Jenny Wagner (Angielki, guwernantki panien Wodzińskich, nadzwyczaj urodziwej), panny Leonji Nakwaskiej (późniejszej pani Rastawieckiej), cudownie pięknej, panny Idy Giraud, księdza kanonika Sobeskiego, panny Ottawji Wagner, Ludwisia Orpiszewskiego (syna Marji z drugiego małżeństwa), Ludwika Orpiszewskiego (z Krzewia), księcia Ludwika Napoleona z czasów genewskich, oraz najpięk-

— A czy nie posiada pani dobr. portretu Marji z tej epoki? Byłoby to znakomite *pendant* do będącego w mowie wizerunku Chopina. Jedyny portret Marji z lat młodych, panieńskich, jaki mi się widzieć zdarzyło, jest ten, który p. Mordasewicz «odtworzył według jej własnego szkicu rysunkowego», a który p. Méyet dołączył do wydania swych «Listów Juljusza Słowackiego...» Poza tem znane są tylko fotografje Marji, już jako pani Orpiszewskiej, z epoki, gdy miała jakieś lat sześćdziesiąt...

— Córka moja, Orpiszewska, posiada bardzo ładny portret Marji z czasów panieńskich, mianowicie z roku 1840-go, z czasów, gdy była narzeczoną Skarbka. Przyjechałyśmy wtedy dla robienia wyprawy do Warszawy i wtedy to znany miniaturzysta Marszałkiewicz, zrobił akwarelowy portret Marji, bardzo podobny. Je-

---

niejszy ze wszystkich, akwarelowy portret Chopina. Przybrany w czarny tużurek z szerokiemi wyłogami, w czarnym krawacie-halsztuku i białej kamizelce, artysta siedzi na fotelu z rękami założonemi. Portret ten, nadzwyczaj wykończony i ogromnie subtelny pod względem kolorytu i traktowania szczegółów, równa się najdoskonalszej minjaturze (wielkości zwykłej gabinetowej fotografji). Przedstawia się na nim Chopin *en trois quarts*, z długiemi à l'artiste, ciemnoblond, przedzielonemi z lewego boku włosami, z delikatnemi faworytami, z dość silnie zarysowanemi brwiami tego samego kasztanowego koloru, co czupryna, z oczami żywemi ciemno-piwnemi, prawie czarnemi, pełnemi wyrazu, z nosem regularnym, rasowym, o delikatnych nozdrzach, dużym, a bardziej jeszcze uwydatniającym się przez brak wszelkiego zarostu nad bardzo kształtnemi ustami. Cała twarz, o prześlicznem czole, delikatna, o płaskich, niemal że zapadniętych policzkach, o delikatnej, nieco śniadej cerze, bez najlżejszych rumieńców, pełna jakiejś przedziwnej słodyczy i łagodności w wyrazie, czyni niezmiernie ujmujące wrażenie. Ta twarz jednak wskazuje, iż jest to człowiek wątły nadzwyczaj, z organizmem, trawionym zarodem choroby piersiowej. Widoczny pietyzm, z jakim tu Marja Wodzińska odtworzyła rysy Chopina, jest wymownym dowodem jej... kultu dla swego *carissimo maëstro*.

dyne, co mu można zarzucić, to że na nim siostra posiada zbyt silne rumieńce. W rzeczywistości bowiem miała ona cerę bladawą, matową.

— Wracając do pobytu Chopina w roku 1836-ym w Marjenbadzie, to w «Noworoczniku illustrowanym» za rok 1861-ym znajduje się skreślone przez Eleonorę Ziemięcką wspomnienie Chopina, opisujące właśnie pobyt jego u wód Marjenbadzkich. Czy nie może mi pani dobr. udzielić jakiej informacji w tej kwestji?

— Owszem. Eleonora Ziemięcka bywała u nas wtedy w Marjenbadzie bardzo często. Przyjechała ona do Marjenbadu razem z matką, jeszcze jako panna Płonczyńska. Jeden z Płonczyńskich, mianowicie jej stryj, miał za żonę moją ciotkę, Wodzińską z domu. Przez nią znaliśmy się... Przyjechawszy do Marjenbadu, przypomniała się mojej matce i odtąd trzymaliśmy się razem. Wogóle wszyscy bawiący wtedy w Marjenbadzie Polacy — a zjechało się ich tego roku bardzo wielu — stanowili jedno trzymające się z sobą koło. Chopin obracał się wyłącznie w tem kole, choćby dlatego tylko, że nie rozstawał się prawie z nami...

— Naturalnie, że i od fortepianu nie stronił?

— Grywał bardzo dużo, bo kto tylko do nas przyszedł, zaraz go prosił o zagranie czegoś. Z pomiędzy świeżo wydanych wtedy kompozycyj, które nam zwykle zaraz po ich wyjściu przysyłał z Paryża, grywał wtedy kilka etiud z drugiej serji...

— Opus 25.

— Szczególniej dwie pierwsze, z których pierwsza, As-dur, wyrażająca uczucie jakiejś dziwnej niepewności, była — jak mówił — portretem muzycznym brata mego, Antosia, druga zaś, F-moll, malowała tonami charakter Maryni.

— Nadzwyczaj ciekawa wiadomość. Żeby to tak do każdej kompozycji Chopina można mieć taki komentarz! Czy prócz powyższych niema jeszcze pani

dobr. jakiego charakterystycznego wspomnienia o Chopinie z czasów tego pobytu w Marjenbadzie?

— Wrażenie, jakie robił wtedy, a które mi do dziś dnia pozostało w pamięci, daje się sformułować w krótkich słowach: oto, że był to prawdziwy genjusz, i to genjusz wszechstronny, który do czegokolwiek się wziął, wszystko robił doskonale. Jestem przekonana, że gdyby się był poświęcił jakiej innej sztuce, np. malarstwu, również i w tej dziedzinie tworzyłby rzeczy genjalne. Gdyby się poświęcił poezji, z pewnością zostałby znakomitym poetą. Jego wiersze, zarówno jak i rysunki lub akwarele, rzucane na papier od niechcenia, w chwilach dobrego humoru, były arcyzabawne. Pamiętam, że za bytności w Marjenbadzie, pisał raz u nas list do przyjaciela swego w Paryżu, doktora Matuszyńskiego, z którym mieszkał razem, list w sprawie urządzenia nowego mieszkania, gdyż w tym czasie właśnie przeprowadzał się i, powróciwszy do Paryża, chciał już nowy swój apartament zastać umeblowanym; pisał więc do Matuszyńskiego, który się zajmował przeprowadzką, jak ma wszystko urządzić, gdzie co postawić etc., etc. Cały ten list, choć w tak prozaicznej sprawie, napisał wierszem, a pisał go w ten sposób, że przed napisaniem każdego wiersza wpierw mówił go nam głośno, że zaś prawie każde słowo w tym liście było humorystycznym konceptem, więc wszyscyśmy pokładali się od śmiechu... Nie było to naturalnie żadne literackie arcydzieło, ale wyobrażam sobie, jak się musiał śmiać przyjaciel Chopina, gdy list ten odebrał. Wogóle dobry humor towarzyszył mu w Marjenbadzie stale. Tak też bywało i gdzieindziej, o ile tylko znajdował się w gronie dobrych przyjaciół... Przyjaciół zaś miał wielu, zwłaszcza wśród emigracji i w świecie muzycznym paryskim. Był tak miły, że wszyscy kochali się w nim i nie kryli ze swem uwielbieniem dla jego genjuszu. Nawet Liszt, choć był okrzyczany za króla fortepianistów, przyznawał przy każdej sposobności,

że nie jest godzien Chopinowi rozwiązać rzemyków u obuwia... Sama go nieraz słyszałam, jak mówił: *Je ne suis pas digne de lui dénouer les cordons de ses souliers...*

Z Marjenbadu, gdzie spędzono miesiąc blisko, udał się Chopin z całą rodziną Wodzińskich do Drezna, gdzie spędził z nimi jeszcze kilka dni wspólnie, od rana do wieczora przesiadując w ich mieszkaniu na Theaterplatz...

— W ogłoszonych przez p. Karłowicza listach rodziny Wodzińskich do Chopina znajdują się wzmianki o różnych wspólnych znajomych, o których dziś może udzielić informacyj tylko pani dobr. Tak np. w liście z Drezna z d. 5-go lutego 1836-go pisze matka pani dobr., co następuje: «Kiedy też możemy cię widzieć? Żebyś też choć ze dwa słowa napisał i powiedział, czy to prawda, że tu tego lata być masz; bo nam tu Clara Wieck (a bardziej) Chevalier Kuntzel to powiedzieli i zapewniają, również Kuntzelek powiedział, żeś płakał, słysząc P. Wieck w Lipsku». Cóż to za jeden był ten Chevalier Kuntzel?

— Tym żartobliwie przezwanym «chevalier Kuntzel» był stary, niepraktykujący już lekarz z Warszawy, Polak, sympatyczny człowiek. Należał on do kółka polskiego, z którem żyliśmy w Dreźnie.

— W innym liście, datowanym jeszcze z Drezna dnia 2-go października r. 1863-go, pisze matka pani do Chopina: «A propos: Kuntzel wrócił (z Paryża?); dąsa się, żeś u Kasklów nie był i na mnie się o ciebie wiele osób krzywi; i kredyt przez ciebie stracę... Źli na mnie za ciebie i tyle tylko Kaskel powiedział mi: «*j'ai donné l'ordre*». Cóż to była za rodzina Kasklów?

— Kaskel był to bogaty bankier w Dreźnie, spokrewniony z warszawską rodziną Fraenklów. Młody Kaskel bowiem miał za żonę Frenklównę, która, jako Warszawianka, mówiła po polsku. Córka Kaskla, cudnie piękna Zofja, nadzwyczaj muzykalna, ślicznie grała

na fortepianie. Zaprzyjaźniona z moją starszą siostrą, bardzo dużo grywała z nią na cztery ręce. Był to wogóle dom ogromnie muzykalny. Przyjmowali bardzo dużo, urządzali u siebie koncerta, z nami zaś, przez cały czas naszego pobytu w Dreźnie, przyjaźnili się bardzo. Oczywiście, że gdy do Drezna przyjechał Chopin, odrazu przez nas wszedł w stosunek z domem Kasklów. Nieraz też grał u nich. Panna Kaskel, która także komponowała, dedykowała mu nawet w dowód uwielbienia jedną ze swych kompozycji... Zczasem wyszła za niejakiego Bandischera...

— Dnia 25-go stycznia r. 1837-go, już ze Służewa, pisała pani Wodzińska do Chopina: «Pani Glińska ciągle w Dreźnie. Józia również oczekuje mnie tam, a tu niewiem, kiedy ja się wybrać zdołam». Wynika z tego, że w r. 1837-ym cała rodzina wróciła już do Służewa... prócz pani. Jakie były tego powody? Pragnąłbym też wiedzieć cokolwiek o wspomnianej tu pani Glińskiej, która jednak musiała stać w jakimś związku z Chopinem, skoro mu matka pani donosiła o niej.

— Gdy matka moja wraz z całą rodziną wróciła do kraju, do Służewa, ja zostałam jeszcze z guwernantką w Dreznie dla dokończenia rozpoczętej tam edukacji. Dopiero po dwóch latach w r. 1839-go przyjechała matka moja do Drezna i zabrała mnie z sobą do Służewa... Co zaś do wspomnianej tu pani Glińskiej, była to wielka przyjaciółka od dziecka mojej matki. Miała ona koło Sułkowa majątek ziemski Boniewo, a jako sąsiadka i przyjaciółka, bardzo często bywała u nas. W latach 1835-ym i 1836-ym mieszkała ona także w Dreźnie dla edukacji córki. Była też w r. 1836-ym w Marjenbadzie, gdzie nas z nią codzienny łączył stosunek. Chopin znał ją doskonale i bardzo lubił. Bywał u niej zawsze razem z nami.

— W tymże samym liście czytamy dalej: «Izalka Plater prosiła mnie, aby pisać do ciebie, polecając ci Byczkowskiego (malarza), a wiesz, że ja ją tak kocham, że nie wiem, czyli jest wielka różnica między nią i Marją». Otóż czy nie mogłaby mi pani udzielić jakich wiadomości o tej Izalce Plater?

— Izalja Platerówna, córka Michała Zyberg-Platera, bawiła w Dreźnie z ojcem swym, wdowcem, i trzema braćmi, przez cały czas, gdyśmy tam mieszkali. Była to śliczna panna. Bardzo się przyjaźniła z moją siostrą. Widywaliśmy się prawie codzień, co wogóle powiedzieć można o całej ówczesnej kolonji polskiej nad Elbą: wszyscy żyli z sobą w najzażylszych stosunkach przyjaźni. Chopin bywał z nami u Platerów, oni zaś widywali go u nas. Izalka Plater wyszła zczasem zamąż za pana Ropp, Kurlandczyka.

— W liście z dnia 25-go stycznia 1837-go, pisanym już ze Służewa, donosi pani Wodzińska Chopinowi: «Młodzież, to jest mój mąż, Feliksowie i Kazio, jeżdżą i hulają, bo proszę wierzyć, że i w tej okolicy są bale, koncerta i teatra». Feliksowie, to znaczy, iż brat pani, Feliks, musiał się ożenić w tych czasach. Czy wolno wiedzieć, z kim?

— Był on już wtedy żonaty z panną Wolicką, córką Konstantego Wolickiego, tak zwanego «Słonego» Wolickiego, gdyż miał w zarządzie Ciechocinek.

— A jakżeż właściwie przedstawia się niewyjaśniona dotąd należycie kwestja owego niedoszłego małżeństwa Chopina z Marją? Antoni Wodziński pisze w swojej francuskiej książce, że Chopin oświadczył się w Marjenbadzie, i odrazu spotkał się z odmową ze strony Marji, która mu miała powiedzieć jakoby, że nie potrafiłaby postąpić wbrew woli rodziców, a rodzice stanowczo są związkowi temu przeciwni. Z listów jednak matki pani, pisanych w ciągu roku 1836 i 1837 do Chopina, a ogłoszonych świeżo przez p. Mieczysława Karłowicza, wynika co innego, mianowicie, iż Chopin oświadczył się Marji «o szarej godzinie» w Dreźnie, w wilję swego wyjazdu do Paryża, i że zarówno od panny, jak i od jej matki otrzymał odpowiedź przy-

chylną, tak, że odjeżdżał «po słowie» z Marją, jako jej narzeczony.

— Czytałam te listy, a że o ich autentyczności wątpić niepodobna, więc okazuje się, że Chopin istotnie wyjechał z Drezna, jako narzeczony mej siostry. Stało się to jednak w tajemnicy przed resztą rodzeństwa, tak, że prócz wtajemniczonych, matki mej, siostry i Chopina, nikt w całym domu o tem nie wiedział.

— Czy prawdą jest, że wszystko rozbiło się o opór ze strony ojca panny, że ojciec — jak to wszyscy biografowie Chopina zgodnym chórem powtarzają za Karasowskim — nie chciał słyszeć o tem, by jego córka, hrabianka Wodzińska, miała zostać żoną... grajka, jak podobno miał nazwać Chopina, że jako «dumny magnat», nie wolny od różnych *préjugés aristocratiques*, poprostu nie uważał Chopina za godnego męża dla swej córki?

— Wcale tak nie było. Jest to legenda, tem się różniąca od innych legend, iż w niej niema ani cząstki prawdy. Przedewszystkiem siostra moja wcale nie była hrabianką, gdyż ród nasz nie jest hrabiowski. Następnie ojciec bardzo lubił Chopina i w zasadzie wcale nie byłby przeciwnym jego ożenieniu się z Marynią. Jeżeli sprzeciwiał się temu, to między innemi z powodu stanu zdrowia Fryderyka, które już wtedy najpoważniejsze budziło obawy. Słabowity i bardzo delikatny z natury, był on ciągle nadzwyczaj mizerny, a patrząc nań, nieraz miało się wrażenie, że jest to chory suchotnik, którego dni są policzone. Wogóle blady, stawał się jeszcze bledszym, gdy grał, a jeśli w zwykłych warunkach był nerwowy nad wszelki wyraz, to przy fortepianie, wobec podniecenia nerwowego, w jakie go zawsze wprawiała muzyka, poprostu zmieniał się na twarzy tak, jak człowiek, który lada chwila ma zemdleć... Gdy wstawał od fortepianu, zawsze był tak wyczerpany i zdenerwowany, iż nie wiedział poprostu, co się z nim dzieje; na wszystkie komplementy i wyrazy zachwytu,

któremi mu dziękowano, nie odpowiadał ani słowa, bo nie mógł słowa przemówić. Na to, aby się uspokoić i wrócić do równowagi, potrzebował dłuższego czasu. Wtedy dopiero musiałam mu opowiadać, co różni mówili o jego grze, bo zawsze mię o to prosił, bym słuchała, co ludzie mówią, i bym mu następnie powtarzała ich rozmaite opinje. Bo obojętnym na to nie był... Ale prócz względów na jego zdrowie, które tak wiele pozostawiało do życzenia, był jeszcze inny wzgląd, którym się powodował nasz ojciec, gdy mu wypadło stanowić o losie Chopina i Marji: oto, wychodząc za Chopina, Marja musiałaby mieszkać stale w Paryżu, co nie dogadzało moim rodzicom, ani ojcu, ani matce, nie wiedzieli bowiem, czyby w takich warunkach mogli widywać się z córką. Czasy były inne, niż dzisiaj, i jeździć do Paryża nie należało do rzeczy łatwych; ojciec zaś wogóle znajdował się w tem położeniu, że nie miał pewności, czybyśmy mogli widywać się z Marynią, gdyby zamieszkała w Paryżu. Nieraz była o tem mowa w domu i pamiętam doskonale, jak ojciec utrzymywał, że gdyby Marynia wyszła zamąż do Francji, to tak, jakby ją stracił. Ogromnie przywiązany do dzieci, ojciec mój z myślą tą pogodzić się nie mógł...

— Biografowie jednak Chopina, idąc w tym razie za Karasowskim, utrzymują, że zamiarem Fryderyka było po ożenieniu się z Marją osiąść w kraju, na wsi, i w ciszy wiejskiej poświęcać się pracy kompozytorskiej. Że Chopin w r. 1837-ym w maju lub czerwcu wybierał się do kraju, by tam zobaczyć się z Marją, tego nawet dowodzą ogłoszone przez p. Karłowicza listy jej do niego. Oto np. co czytamy w przypisku do listu, wysłanego z Drezna dnia 3 października r. 1836 (a więc w miesiąc mniej więcej po wyjeździe stąd Chopina). «Teraz jak najśpieszniej jedziemy do Warszawy. *Combien je me réjouis de voir toute Votre famille et l'année prochane Vous... Adieu, jusqu'à Mai ou Juin ou plus tard*». Wynika z tego najwyraźniej, że w połowie

r. 1837-go Chopin obiecywał sobie spotkać się ze swą narzeczoną...

— Spotkanie to mogłoby nastąpić tylko w Dreźnie, gdzie ja jeszcze pozostawałam i dokąd matka moja w tym czasie mogła mieć zamiar wybrać się z Marją. O tem, aby Chopin nosił się z myślą powrotu do kraju, nigdy nie było mowy. Nigdy się zpowrotem do kraju nie wybierał, gdyż powrócić nie mógł... Stąd rozpacz jego matki, że go mieć przy sobie nie może. Nieraz ją słyszałam ubolewającą z tego powodu. Na to, żeby się mogli rodzice z nim spotkać, sami musieli wyjechać zagranicę, jak to np. uczynili w r. 1835-ym, wybierając się do Karlsbadu.

— W tychże listach rodziny Wodzińskich do Chopina, znajduje się kilka wyrażeń, które również stoją w pewnej sprzeczności z relacjami we wspomnianej już książce *Les trois romans de Frédéric Chopin*. Czytając ją, po przeczytaniu rozdziału o rodzinie Wodzińskich, nabiera się przekonania, iż ojciec Marji, który posiadał *des domaines d'une superficie de plus de vingt milles hectares*, był magnatem prawdziwym, nietylko jako *bene natus*, lecz i jako *possessionatus*. Do tego samego wniosku upoważniają wiadomości o personelu różnych metrów i guwernantek, towarzyszących rodzinie Wodzińskich przez cały czas kilkoletniego pobytu ich zagranicą. Na wożenie z sobą takiego dworu mogła pozwalać tylko prawdziwie wielkopańska fortuna. Że o fortunie tej nie wyrażano się źle w okolicy, dowodzi także zdanie znajdujące się w jednym z listów p. Wodzińskiej do Chopina, mianowicie następujące: «Teraz nic mu (przebywającemu w Paryżu Antoniemu Wodzińskiemu, najstarszemu z braci Marji) posłać nie mogę, bo (jak Kazio mówi), że ojciec najbogatszy w całej prowincji musi żyć stosownie do tego; dobrze to jest, ale podług mnie źle dać z głodu umrzeć dlatego dziecku. Skoro przybędę do Warszawy, to na twoje ręce przyszlę dla Antosia, co będę mogła...» Są

to wyrażenia, które wcale nie licują z zamożnością «ojca najbogatszego w całej prowincji». A że tak było nietylko w Dreźnie, ale i po powrocie do domu, pozwala się domyślać list ze Służewa, d. 25 stycznia 1836 r. datowany, gdzie pani Wodzińska tak między innemi pisze do Chopina: «O fortepianie pisząc, nie napisałeś, ile ci przesłać, a to tutaj wcześniej wiedzieć trzeba, aby na to uzbierać». Te i tym podobne napomknienia dały do myślenia p. Mieczysławowi Karłowiczowi, za czem poszło, że w swych cennych objaśnieniach do korespondencji między Wodzińskimi a Chopinem postawił w jednem miejscu kwestję w ten sposób: «Nasuwa się także pytanie, jakie były warunki materjalne Wodzińskich? Zdaje mi się, że jeśliby były bardzo dobre, to pan Wodziński mógłby być zupełnie spokojny o losy córki, zamężnej z najbiedniejszym nawet muzykiem, naturalnie, jeśli na chwilę zapomnimy o t. zw. przepaści w stanowiskach społecznych Chopina i jego narzeczonej. Stosunek jednak na pozór przedstawia się odmiennie. Warunki finansowe wcale nie świetne być musiały, jak na to wskazują wzmianki w listach pani Wodzińskiej... To, że Wodzińscy posiadali własność ziemską o 400.000 hektarach (jak powiada hr. Wodziński), nie jest żadnym przeciwko temu dowodem. Z drugiej zaś strony, chociaż dzisiejszą miarą nie możemy mierzyć stanowiska finansowego artysty z pierwszej połowy tego wieku, to jednak nazwisko Chopina, jako rozgłośnego już wówczas fortepianisty i kompozytora, mogło dawać pewną rękojmię do najzupełniej zapewnionego bytu (samemi lekcjami zarabiał Chopin po sto franków dziennie, a prócz tego przynosiły mu kompozycje po kilka tysięcy franków rocznie). Inaczej się jednak zapewne zapatrywał na to ojciec Marji, a na to postanowienie jego wpłynąć musiała chęć wydania córki za człowieka nietylko równego jej urodzeniem, ale też i bogatego». Czy nie mogłaby mi pani w tej kwestji udzielić kilku słów wyjaśnienia? Bo choć

w przytoczonych tu słowach nie brak przenikliwości, to przecież z drugiej strony, jeśli się zważy cały tabor służby, guwernantek, metrów etc., którzy wraz z rodziną państwa podróżowali zagranicą, to świadczy to znów o dużej zamożności domu i bynajmniej nie upoważnia do hypotezy o nieszczęśliwym stanie finansów. Jak się miała rzecz naprawdę?

— Dom nasz zawsze był dostatni i, o ile wiem, nigdy na nic nie brakło. Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że inne wtedy miano wymagania, żyło się wogóle skromniej, niż dzisiaj. Żeby położenie materjalne w tych czasach mogło być gorsze, niż lat poprzednich, nie przypuszczam. Ojciec, jak dawniej, był właścicielem trzech ślicznych, wzorowo zagospodarowanych majątków, Służewa, Włoszyc i Sułkowa, które przynosiły znaczne dochody, najlepszy dowód, że każdemu z synów mógł dać śliczny majątek. To też niedostatek nigdy nie dał się nam uczuć. Że zaś Antoś czasami cierpiał biedę w Paryżu, to działo się to z własnej jego winy, dzięki usposobieniu, które mu nigdy nie pozwalało związać końca z końcem. Wiem, że mu ciągle posyłano zasiłki pieniężne, ale nie umiał się rządzić i zawsze był bez grosza. Nadzwyczaj dobry i poczciwy z natury, natura marząca, zupełnie pozbawiona zmysłu praktycznego, natomiast zbyt delikatny, by móc czegoś odmówić komuś, wszystkiem, co miał, dzielił się ze swymi przyjaciółmi, którzy go wciąż wyzyskiwali, i to tak długo, dopóki się tylko dało, dopóki im nie dał ostatniego grosza. To było powodem, że choć rodzice pamiętali o nim, jednak nigdy mu to nie wystarczało. Ojciec kochał go bardzo, ale uważał, że tyle posyłać nie może, aby to starczyło dla wszystkich przyjaciół Antosia, którzy wcale nie myśleli zresztą o tem, aby sami zarobili trochę... Ostatecznie ratowali się tem, że wstępowali do legji zagranicznej i za marny żołd narażali swe życie w Hiszpanji, gdzie i Antoś był ranionym w r. 1837.

— Jednem słowem względy materjalne nie grały w niedoszłem małżeństwie Chopina z Marją żadnej roli?

— Żadnej bezwarunkowo.

— Wkońcu jednak, niezależnie od wszystkiego, nastąpiło zerwanie. Czy nie mogłaby mi pani dobr. powiedzieć, w jaki to się stało sposób?

— O ile wiem, to zerwanie to przyszło samo przez się, gdyż wkrótce po naszym powrocie do Służewa zaczęły nas dochodzić wieści o Chopinie i... pani Sand, wobec czego naturalnie kwestja jego ożenku z Marynią upadała sama przez się...

Tak, niestety, dziś już wiemy napewno, że zbliżenie się Chopina z autorką *Lelji* nastąpiło jeszcze w r. 1836-ym, okoliczność, która ogromnie zmienia postać rzeczy.

— Bardzobym też pragnął wiedzieć, jak podobny epilog owej «szarej godziny», odbił na usposobieniu Marji? Czy łatwo pogodziła się z losem?

— Przypuszczam, że wcale nie trudno, zwłaszcza, wobec dolatujących wieści o pani Sand. Co do Skarbka, to wychodząc za niego, wcale tego nie czyniła przymuszona, gdyż nikt na nią nie wywierał nacisku pod tym względem; przeciwnie, wychodziła z własnej woli, z zupełnie szczerego przywiązania. «Skarbeczek» był ulubieńcem w naszej rodzinie, na to zaś, aby sobie zjednać wzajemność panny, posiadał wszystkie warunki. Prawie wszyscy biografowie Chopina, pisząc o Skarbku, podkreślali jego... wiek podeszły. Otóż jest to nieprawda: Józef Skarbek, kiedy się żenił z Marynią, wcale starym nie był; przeciwnie, był młody.

— We wspomnieniu pośmiertnem o Marji Orpiszewskiej, drukowanem w «Kraju», a najwidoczniej zredagowanem przez kogoś bliskiego z rodziny, podano, że wyszła za mąż za hrabiego Józefa Skarbka w roku 1840-ym. Tymczasem autor książki *Les trois romans de Fr. Chopin*, pisze, że nastąpiło to już w r. 1837-ym, pisząc bowiem o rozstaniu się Chopina z Marją w sierp-

niu r. 1836-go, opowiada zaraz w następnym wierszu: *Un an après Marie épousa le comte Skarbek* i t. d. Otóż jedna z tych relacji musi być fałszywą?

— Zgodna z prawdą jest ta, którą podano w «Kraju», ślub bowiem Marji ze Skarbkiem odbył się w lipcu roku 1840-go.

— Prawdą jednak jest, że małżeństwo to nie było szczęśliwe, skoro się zakończyło rozwodem. Jakie były tego przyczyny?

— Głównie ta, że nie mieli dzieci. To był główny powód do rozwodu. Po rozwiedzeniu się z moją siostrą, Skarbek ożenił się z panną Popławską...

— Bardzobym też rad wiedzieć, czy rodzice Chopina wiedzieli coś o tej całej kwestji *szarej godziny* pomiędzy Fryderykiem a Marją?

— Prawdopodobnie nie wiedzieli, bo nikt o tem nie wiedział, prócz matki mej, Maryni i Chopina. Najlepszy dowód, że i ja nic nie wiedziałam, iż było związanie słowem. Dowiedziałam się o tem po raz pierwszy z ogłoszonych przez pana Karłowicza listów. W każdym razie jedno pozostanie faktem, najmniejszej wątpliwości nieulegającym, że niedojście do skutku projektowanego *chwilowo* małżeństwa Chopina z Marją nie wywarło zgoła żadnego wpływu na stosunek naszej rodziny do rodzeństwa Chopina. Ile razy zdarzyło się nam być w Warszawie, zawsze bywaliśmy u Chopinów, zawsze nasz stosunek z nimi był nadzwyczaj serdeczny. Pamiętam, że gdy już Marynia była zaręczona ze Skarbkiem i zjechałyśmy z matką do Warszawy w celu kupowania wyprawy, zarówno u starych Chopinów, jak i u Ludki Jędrzejowiczowej, bywaliśmy bardzo często. Z tą ostatnią Marynię łączyła nadzwyczaj serdeczna przyjaźń; gdy już została panią Skarbkową, na stosunek jej do Ludki i do rodziców Fryderyka nie wywarło to najmniejszej zmiany: ile razy była w Warszawie, zawsze ich odwiedzała.

— Pragnąłbym też wiedzieć cośkolwiek o dalszych losach rodziny Marji, o jej rodzicach, o braciach, o jej najmłodszej siostrze, owej Tereni, którą Chopin tak lubił. Szczególniej chodzi mi o dalsze koleje Antosia Wodzińskiego. Jak się pokierowały jego losy, odkąd wrócił z Hiszpanji, gdzie był ranny w bitwie?

— Terenia wyszła za mąż za kuzyna swego Wodzińskiego, ojciec zaś dał im Służewo. Dziś należy ono do ich dzieci, u których, jako u kuzynów swoich, mieszka Antoni Wodziński, ten, co pisze po francusku. Jest on synem Feliksa Wodzińskiego. Co się tyczy brata mego, Antoniego Wodzińskiego, to kupił mu ojciec majątek pod Toruniem. Tam osiadłszy, ożenił się z panną Julją Górską. Poznał się z nią w Dreźnie. Była ona już wtedy zamężną za doktorem Maurycym Wolffem. Poznawszy brata mego, zdecydowała się na rozwód z mężem, a rozwiódłszy się została moją bratową... Ślub odbył się w Dreźnie. Była to klasycznie piękna kobieta... Majątek brata mego znajdował się na samej granicy prusko-rosyjskiej, a ponieważ brat mój nie mógł powrócić do Królestwa, więc myśmy zawsze jeździli do niego, Służewo bowiem leży nad samą granicą, tak, iż nie mieliśmy dalekiej drogi. Pamiętam, że widywaliśmy się zawsze w jednym domku w lesie po pruskiej stronie. Umarł brat mój w r. 1859-ym na anewryzm.

— A Marja?

— Rozwiódłszy się ze swym pierwszym mężem, wyszła za Władysława Orpiszewskiego, który trzymał w dzierżawie jeden z majątków Skarbka w Kujawskiem. Małżeństwo to było szczęśliwe.

— Czy mieli dzieci?

— Mieli jednego synka. Niestety, stracili go wkrótkim czasie. Po jego śmierci, Orpiszewski rozchorował się, tak, iż z porady lekarzy musiał dla ratowania zdrowia udać się do Włoch. Pojechał z żoną. Mieszkali przez czas jakiś we Florencji i tam siostra ma została wdową... Wróciwszy do kraju, osiadła u córki mej, na wsi,

w Klubce. Córka moja wyszła za Orpiszewskiego. Marja, jako swą siostrzenicę, kochała ją zawsze, co również i o jej przyszłym mężu powiedzieć mogła. Jakoż połączyła ich z sobą, a po powrocie z Florencji wszystko, co miała, przewiozła do nich, i uczyniła ich swymi spadkobiercami. U nich też, w Klubce, przed paru laty, umarła. O Chopinie, do końca życia, zawsze mówiła z rozrzewnieniem.

Warszawa, d. 24-go marca 1900 r.

CHOPINIANA W ZBIORACH ALEKSANDRA POLIŃSKIEGO

Znany powszechnie sprawozdawca muzyczny *Kurjera Warszawskiego*, p. Aleksander Poliński, jest szczęśliwym posiadaczem największego u nas zbioru dzieł drukowanych i rękopiśmiennych, będących nieoszacowanym materjałem do historji muzyki w Polsce. Gabinet jego, pełen książek i portretów wszystkich wielkich muzyków, a szczególniej muzyków polskich, od Gomułki do Żeleńskiego, jest kolekcją jedyną w swoim rodzaju kolekcją, która w znacznej części złożona z unikatów i autografów, gdyby, broń Boże, uległa zniszczeniu, wówczas napisanie *Historji muzyki w Polsce* (nad którem to dziełem p. Poliński pracuje już od lat wielu) stałoby się niepodobieństwem.

Nie brak w niej także i pierwszorzędnej wartości dokumentów, odnoszących się do Chopina. W tej liczbie wymienić przedewszystkiem należy szereg autografów Mistrza, mianowicie 1) rękopis jednego z jego *Polonezów*, napisanego w zaraniu twórczości Ariela fortepianu, a który, pisany jeszcze ręką Żywnego, nosi taki tytuł *Polonoise pour le pianoforte, composé par Frederyk Chopin, agé de 8 ans*, 2) kilka listów jego (niedrukowanych) do różnych osób, następnie 3) listy różnych spółczesnych Chopinowi muzyków, zawierające charakterystyczne wielce o nim wzmianki, 4) spółczesne pisma zagraniczne i polskie z artykułami o Chopinie, 5) dziennik Karola Kurpińskiego z czasów pobytu Cho-

pina w Warszawie, 6) dziennik i pamiętnik z podróży po Niemczech i Francji w r. 1836 i 1837 odbytej przez Józefa Brzozowskiego, 7) komplet dzieł polskich, niemieckich, francuskich, angielskich i rosyjskich, traktujących o naszym genjalnym Rafaelu fortepianu, 8) tom poezyj łacińskich Wergiljusza, ofiarowany niegdyś przez Chopina korepetytorowi swemu Żochowskiemu z dedykacją na pierwszej stronie: «Feliksowi Żochowskiemu F. F. Chopin» i 9) dwa *Mazurki* Chopina, b-dur i g-dur, z r. 1825, litografowane przez grono wielbicieli 15-letniego «Szopenka», a własnoręcznie przezeń w niektórych miejscach na egzemplarzu tym poprawione.

Z pomiędzy własnoręcznych listów Chopina, znajdujących się w zbiorach Al. Polińskiego, tylko dwa — o ile wiem — były drukowane, mianowicie list z Wiednia pisany w pierwsze święto Bożego Narodzenia 1830 r. do przebywającego wówczas w Warszawie Jana Matuszyńskiego (jeden z najpiękniejszych listów Chopina), oraz list do rektora Józefa Elsnera, pisany również z Wiednia d. 26 stycznia 1831 roku. Oba te listy, ogłoszone pierwotnie w *Ruchu muzycznym* Sikorskiego, znajdują się przedrukowane w książce Karasowskiego, ale niestety, autor pierwszej obszerniejszej monografji o Chopinie wcale się o to nie starał, by cytowane przez siebie listy przytaczać w ich autentycznem brzmieniu, lecz podobnie, jak to uczynił z listami Chopina do Fontany (zob. mój artykuł *Chopin i Fontana* w sierpniowym zeszycie *Bibljoteki warszawskiej* z roku 1898, zmieniał je, skracał, poprawiał stylowo, przyozdabiał własnemi dodatkami, i t. d., i t. d. Z tego względu należałoby je może raz jeszcze przedrukować na tem miejscu, ażeby nareszcie dostarczyć czytelnikowi możności zapoznania się z niemi w tej formie, w jakiej wyszły z pod pióra Chopina, ale są one rozmiarami tak obszerne, że taki poprawny ich przedruk byłby dla pisma, jak *Echo muzyczne*, zbyt wielkim zbytkiem...

Co innego, gdy chodzi o nigdzie niedrukowane dotąd listy Chopina, których w zbiorach Al. Polińskiego znajduje się kilka.

Pierwszy z nich, najwcześniejszy pod względem daty, pisany jest z miejscowości kąpielowej na Śląsku pruskim, Reinerz, gdzie Chopin w roku 1826 bawił przez lato z matką i siostrami na kuracji. List ten pisany jest po francusku, a to dlatego, iż rektor Józef Elsner, do którego był adresowany, niedość biegle władał jeszcze podówczas językiem polskim, Chopin zaś po niemiecku pisać nie umiał...

Reinertz de 29 Aout (1826).

Monsieur!

Depuis le moment de notre arrivée à Reinertz, je me prometais le plaisir de Vous écrire, mais comme mon temps est entièrement pris par la cure, il m'etait impossible de le faire jusqu'à present, et ce n'est qu'aujourd'hui que je puis me derober un moment et consacrer au plaisir de m'entretenir avec Vous, et Vous rendre en même temps compte de ce que j'ai fait avec les commissions que Vous avez bien voulu me donner. J'ai tâché de m'en acquiter de mon mieux, j'ai rendu la lettre adressée à Mr Latzel, elle l'a bien rejoui; quand à Mr Schnabel, et Mr Berner, ils ne receveront Vos lettres qu'à mon retour par Breslau. Votre bonté et le vif interèt que Vous m'avez porté, me font croire qu'il ne Vous sera point indifferent si je Vous dis quel est l'état de ma santé. L'air frais et le petit lait que je prends bien soigneusement, m'ont tellement remis, que je suis tout à fait autre que je l'étais à Varsovie. Les vues magnifiques qu'offre la belle Silesie, m'enchentent et me charment, cependant il me manque quelque chose, que toutes le beautés de Reinertz ne peuvent pas me recompenser, c'est un bon instrument.

Imaginez Vous, Monsieur, qu'il n'y a pas un seul

bon Piano, et tout ce que j'y ai vu, ce sont des instruments qui me font plus de peine que de plaisir; heureusement ce martyr ne durera plus longtemps, l'époque de nos adieux à Reinertz s'approche, et le 11 du mois prochain nous comptons nous mettre en route. Cependant, avant que j'aie le plaisir de Vous voir, permettez, Monsieur, de Vous assurer de ma parfaite estime

F. F. Chopin.

Maman Vous présente son respect.

Veuillez aussi me rappeler au souvenir de M-me votre Epouse.

Na odwrotnej stronie:

à Monsieur
Monsieur Elsner
par bonté. *à Varsovie.*

Słynny list Elsnera, w którym autor *Łokietka* zachęca Chopina do pisania opery, również znajduje się w zbiorach Al. Polińskiego, a z porównania tekstu oryginału z tekstem podanym w książce Karasowskiego okazuje się znowu, że autor *Życia Mozarta* i tym razem trzymał się tej samej metody, co przy cytowaniu rzekomo dosłownem listów Chopina...

Los ten spotkałby niezawodnie i następujący — niedrukowany dotychczas — list Chopina do Elsnera, na szczęście jednak pozostał on nieznany Karasowskiemu. Powód do napisania tego listu dała okoliczność, że Elsner zwrócił się do Chopina w sprawie napisanego przez siebie oratorjum, które pragnął wydać u Schlesingera: otóż, ponieważ Chopin był bardzo dobrze ze Schlesingerem, więc chodziło o to, by w kwestji tej nowej kompozycji kościelnej swego mistrza pośredniczyć zechciał. Chopin podjął się tej powierzonej mu misji, ale zamierzonego rezultatu nie osiągnął: Schlesinger, jakkolwiek nie wątpił o pierwszorzędnych zaletach poleconego sobie utworu, na wydanie go zdecydować się nie mógł, motywy zaś, któremi się powodował, dając Chopinowi odmowną odpowiedź, wyłuszczył w liście do niego, a list ten, nacechowany szczerością, w zupełności usprawiedliwiał odmowę paryskiego wydawcy. Brzmiał on, jak następuje:

Paris le 20 Juillet 1840.

Mon cher Chopin!

Je vous remercie infiniment de l'offre aimable que vous me faitez à publier un Oratoire de M. Elsner, votre Maitre, qui est sans doute un chef-d'oeuvre, mais vous connaissez les français et vous savez qu'ils n'achetent pas ce genre de musique. J'ai fait venir 6 exemplaires de l'oratorie de Paulus de Mendelssohn et ils se reposent dans mes casiers. Faites donc, quand vous écrivez à M. Elsner mes rèmerciments les plus empressés et dites lui combien j'ai du regret à ne pouvoir accepter son offre tout aimable. Adieu cher ami, portez vous bien et croyez moi Votre tout devoué

Maurice Schlesinger.

Na odwrotnej stronie: *Monsieur Chopin, 5, rue Tronchet.*

Ponieważ list Schlesingera zajmował tylko połowę pierwszej strony, a trzy następne pozostawiał czyste, więc Chopin, by dać Elsnerowi dowód, iż sprawą jego zajął się gorliwie, odpisał mu na tym samym arkusiku papieru. List ten, dotąd niedrukowany, niezmiernie jest dla Chopina charakterystyczny.

Paryż, 24 Juilliet 1840.

Najukochańszy panie Elsner. Posyłam panu parę słów Schlesingera. Nie będę filozoficznych uwag robił nad żydostwem, ale muszę go obronić trochę, bo istotnie wielkie dzieła takie, jak np. pańskie oratorjum,

dużo nakładu kosztują i niekupowane, bo prócz konserwatorjum żadne inne *etablissement* nie egzekwuje podobnych rzeczy. A konserwatorjum żyje dawnemi symfonjami, które umie na pamięć — i szczęście dla publiczności, jeżeli czasem Haendla albo Bacha urywek da słyszeć. Haendla dopiero drugi rok jak zaczynają gustować, i to tylko cytacje, nie całe dzieła. I tak przeszłej zimy chór Judy Machabeusza kilka razy egzekwowano, także chór już nie wiem który Bacha, ale jak jestem tutaj, prócz Jezusa na Górze Oliwnej Beethovena, com tylko raz cały słyszał, nie dawano nic wielkiego długiego. Próbują na próbach w Konserwatorjum wiele nowości, ale panuje tutaj duch, który prócz nieboszczyków nie bardzo lubi egzekwować wielkie dzieła: dlatego ani Mendelsohna, ani Schneidra, ani Spohra, ani Neukoma, ani Pana nie zaraz usłyszymy, i żeby Cherubini nie był na czele, toby i jego nie grano. Konserwatorjum daje ton muzyki wielkiej, więc wydawca nie może rachować, jak tylko na to, co mu Konserwatorjum przyniesie. A Konserwatorjum ma swoich kopistów. Jakże żałuję, żem nie słyszał w Petersburgu tego Pańskiego utworu, który, przekonany jestem, wyższy nad wszystko w tym rodzaju pisane stoi. Niewątpliwie, że w Niemczech drukować go Pan każesz i przekonany jestem, że jeszcze gdzie w Kolonji, w Moguncji, w Düsseldorfie albo w Lipsku, gdzie co rok muzykalne festyny i tylko podobnym utworom poświęcone dają, że gdzieś nad Renem usłyszę wkrótce pańskie arcydzieło. Kraj także, w którym często takie oratorja dają i który tylko dla takich dzieł słusznie ma szacunek, gdzie tysiąc śpiewaków łatwo zebrać ku temu celowi, gdzie Neukomm i Mendelssohn więcej znani jak Adam albo Halevy — Anglja pewno także chwyci się pańskiego dzieła i może kiedy w Birmingham w owej sali umyślnie na takie rzeczy zbudowanej, gdzie kilka lat temu Neukom kazał najogromniejsze postawić organy — może się tam kiedy jeszcze zejdziemy i będę mógł obok

pana admirować i rozpływać się nad tem, co mnie dziś unosi na sam domysł. Czekam parę słów od Pana i ściskam Go najserdeczniej, najserdeczniej

Chopin.

Pani Elsner moje uszanowanie. P. Nideckiej. Orłowski w Rouen, ale żeby tutaj był, toby się musiał dopisać. Ile razy wspominaliśmy Pana *à propos* właśnie Konserwatorjum. Ile razy chcielibyśmy byli słyszeć przez tę masę skrzypków najbieglejszych Pańskie ofertorjum *Józefa* (jeżeli się nie mylę), co to skrzypce wciąż przelatują po najbogatszej harmonji! Jeżeli Pan to kazałeś drukować, przyślij mi proszę, Habenekowi je zaniosę i nie wątpię, że go spróbować każe, bo krótkie i awantażowne. Napisz mi Pan parę słów, proszę, proszę, proszę.

Na odwrotnej stronie: *Monsieur J. Elsner.*

Przez cały czas pobytu swego w Paryżu pozostawał Chopin zawsze z Elsnerem w listownych stosunkach. Nie znaczy to, żeby do twórcy *Łokietka* pisywał zbyt często (pisanie listów wogóle było dla niego męką), ale bądź co bądź raz po raz dawał mu znak życia o sobie. Oto np. list jego, datowany d. 8 listopada 1842 r. (również ze zbiorów Al. Polińskiego poczerpnięty):

Paryż, 8 novembra 1842.

Kochany, zawsze kochany panie Elsner. Nie uwierzysz, ile mi każda literka kartki Twej przyjemności robi. Dziękuję Ci ślicznie za muzykę przysłaną przez Turczynowiczów. Im się tutaj powiodło, wielce się podobali. Powinni być szczęśliwi z tego, i pan Damse także, któremu nie odpisuję, ale proszę Pana, żebyś mu był łaskaw powiedział, ile jego dzieci (jak je nazywa) tutaj efektu narobiły.

Ściskam Pana serdecznie, kocham zawsze jak syn, jak stary syn, jak stary syn, jak stary przyjaciel

Chopin.

Pani Elsner moje uszanowanie.
Wszystkim, co pana otaczają, ukłony.

Najpóźniejszym pod względem daty z pomiędzy autografów Chopina, w posiadaniu Al. Polińskiego znajdujących się, jest niewielka karteczka z roku 1848, na której przebywający wtedy nad Tamizą twórca *Mazurków* skreślił ołówkiem J. Krzyżanowskiemu na pamiątkę tych kilka słów:

«Niech ci Pan Bóg dopomaga w twojej pracy.

Chopin.

Londyn, 6 lipca 1848».

Śród mnóstwa pierwszorzędnej wagi rękopisów do historji opery u nas, jak np. kompletny manuskrypt pierwszej opery polskiej, którą, jak wiadomo, była *Nędza uszczęśliwiona* Kamińskiego, posiada p. Poliński także i arcyciekawy *Dziennik prywatny niektórych czynności teatralnych, a szczególniej operowych od 1 lipca 1827 do końca 1830 roku*, pisany dzień po dniu przez Karola Kurpińskiego, ówczesnego dyrektora opery w warszawskim «Teatrze Narodowym» na Krasińskim placu. Dziennik ten, własną ręką twórcy *Cecylji Piaseczyńskiej* drobniutkiemi literami zapisany, niezmiernie jest znamiennym dla swego autora, a do historji muzyki w Polsce przynosi ogromnie wiele arcyciekawego materjału. Można się z niego dowiedzieć, nietylko co którego dnia od samego rana aż do wieczora robiono i mówiono w zakulisowych sferach w gmachu «Teatru Narodowego», ale znajduje się w nim nawet zapisane, jaka każdego dnia o różnych porach była w Warszawie pogoda. Nie jest że to szczyt skrupulatności? Oczywiście, że wobec tego nie mogło się w dzienniku tym obyć bez wzmianek o Chopinie.

Nie jest ich wiele, ale zato te, które są, niemało rzucają światła na stosunek Kurpińskiego do Chopina, stosunek, który wogóle był bardzo chłodny. Czemu? Chcąc dać odpowiedź na to pytanie, wystarcza wymienić tylko dwa główne powody, które sprawiły, że Kurpiński, choć przyznawał Chopinowi wyjątkowe zdolności, trzymał się od niego zdaleka, czując w głębi duszy tajony żal do niego. Przedewszystkiem Chopin wybrał za mistrza swego Elsnera, ten zaś, w stosunku do Kurpińskiego, był na tle ówczesnej atmosfery muzycznej warszawskiej «przeciwnym bogiem», t. j. najniebezpieczniejszym współzawodnikiem autora *Zamku na Czorsztynie*. To był pierwszy powód, zasadniczy, a wystarczający, by Kurpińskiego cechował znaczny chłód odnośnie do Chopina. Drugi był ten, że Chopin, kiedy dawał koncert w «Teatrze Narodowym», nie prosił Kurpińskiego o dyrygowanie orkiestrą, lecz Solivę, który także podobnie jak i Chopin należał do elsnerowskiej koterji. Tymczasem Kurpiński należał i stał na czele innej grupy. Jednem słowem, jeśli stosunek Chopina do Kurpińskiego zawsze był chłodnym, to główną tego przyczyną były względy koteryjne, które wszędzie w życiu artystycznem grają tak ważną rolę, u nas zaś większą jeszcze, niż gdziekolwiek.

Mimo to uprzedzenie potrafił Kurpiński wznieść się na stanowisko bezstronne, gdy chodziło o oddanie Chopinowi, co mu się jako genjalnemu kompozytorowi należało. W *Dzienniku* swym, gdy mu wypadło wzmiankować o Chopinie, czynił to nieco oschle i zbyt zwięźle, ale mimo wszystko pisał to, co mu sumienie dyktowało.

Oto np. co zapisał pod datą d. 17 marca 1830 roku:

«Środa. Z rana stopni 2. W południe 7. Pogoda. Wiatr niestały, północno-zachodni. Z rana była próba z koncertu fortepianowego p. Chopin. Wieczorem liczna

publiczność (bo nawet zapełniła miejsca orkiestry) z wielkiemi oklaskami przyjmowała kompozycje i grę młodego artysty. Sam instrument nie był dogodny dla tak obszernego miejsca».

W kilka dni później odbył się drugi koncert Chopina, znowu w sali «Teatru Narodowego». Kurpiński zapisał w dzienniku swym dnia tego co następuje:

«Dnia 22 marca. Poniedziałek. Z rana ciepła stopni 0. W południe 6. Pogoda. Wiatr zachodnio-północny. Kra płynie. Z rana robiliśmy próbę sceniczną z opery «Hrabia Ory». Po niej mieliśmy próbę z koncertu pana Chopin. Wieczorem wykonanie wszystkich sztuk zadowoliło publiczność, zwłaszcza jego kompozycji *koncert* i *rondo* na tema góralskie».

Były to czasy, gdzie Chopin kochał się w pannie Konstancji, która, kształcąc się w konserwatorjum pod kierunkiem Solivy na śpiewaczkę, w dniu 10 sierpnia 1830 r. debiutowała na scenie «Teatru Narodowego». Kurpiński tak w swym dzienniku zdał sprawę z jej pierwszego wystąpienia: «Śpiew panny Gładkowskiej ma w sobie wiele zalety: wrodzone czucie, połączone z wprawą, okazało się w wielu miejscach bardzo szczęśliwie. Jej gra w tak wielkiej roli, jak na pierwsze wystąpienie, wcale jest dobra. Serdecznie tylko żałować należy, że ta panna straciła świeżość brzmienia swojego głosu, pierwotną świeżość swojego wieku, i że ją w tak niewdzięcznej wystawiono operze. Co do głosu, jest jeszcze sposób poprawienia onego i jeżeli na ten trafią, panna Gładkowska niezawodnie znakomitą będzie śpiewaczką. Dyrygował p. Soliva. Niemałe zgromadzenie».

Inaczej o tym pierwszym występie swego «ideału» pisał Chopin w liście z d. 21 marca do Tytusa Woyciechowskiego: «Najprzód zajęła mnie mocno *Agnese*, opera Paëra, bo w niej wystąpiła po raz pierwszy Gładkowska. Lepiej jest ona na scenie, jak w sali. Nie mówię o grze tragicznej wybornej, bo niema co powiedzieć; co się zaś śpiewu tyczy, żeby nie te *fis* i *g* u góry,

nie trzebaby nam w tym rodzaju nic lepszego. Jak frazuje, tobyś się rozkoszował. Cieniuje głosem przecudnie, a chociaż z początku głos jej się trząsł ze wzruszenia, jednak później bardzo śmiało śpiewała... Od dziś za tydzień panna Wołkow wystąpi w roli Fiorilli w *Turku we Włoszech* Rossiniego. Śpiewaczka ta lepiej się zapewne spodoba publiczności». O tym debjucie panny Wołkow, koleżanki «ideału» Chopina z konserwatorjum, pisał Kurpiński w dzienniku swym pod datą 28 sierpnia w te słowa: «Występ panny Wołkow w operze *Turek we Włoszech*». Dobra metoda, dobra i gra. Osoba przyjemna, ale... głos nadwerężony, jakby Rostkowskiej, ale bardzo ucywilizowany. Panna Gładkowska znakomicie przewyższa pannę Wołkow, jako śpiewaczka, ta zaś jest piękniejsza i dlatego może większe zrobi szczęście. Teatr prawie napełniony, bardzo klaskano. Był i wielki książę Konstanty. Dyrygował p. Soliva. Tempa wolne za powolne, a prędkie za prędkie».

Z nadejściem października zbliżał się termin wyjazdu Chopina zagranicę. Zanim wyjechał jednak, dał koncert pożegnalny w «Teatrze Narodowym», w dniu 11 października. Z powodu koncertu tego zapisał Kurpiński w dzienniku swym, co następuje:

«Dnia 9 października. Sobota. Z rana ciepła stopni 4. W południe 9. Chmury. Deszcz. Wiatr północno-zachodni. Uczyliśmy się 2-ch aktów *Niemej z Portici*. Grano *Karola XII pod Benderem*. Mało. P. Chopin przepraszał mię, że mu się p. Soliva oświadczył, iż będzie dyrygował jego koncertem: i owszem, będę sobie spokojnie słuchał».

«Dnia 11 października. Z rana stopni 2. W południe 6. Chmurno. Czasem słońce. Wiatr północno-zachodni. Na scenie była próba orkiestrowa z koncertu p. Chopin, a w garderobie próbowaliśmy dla panny Salmonowicz *Damę białą*. Wieczorem koncert złożony z pięknych szczegółów pięknie był wykonany: mianowicie podobała się nowa kompozycja 2-go *koncertu*

pana Chopin i uwertura Rossiniego z opery *Wilhelm Tell*. Niezupełnie wszystkie miejsca zabrano».

Nierównie ciekawszym manuskryptem, niż ten *Dziennik* Kurpińskiego, jest dziennik Józefa Brzowskiego, znanego kompozytora i inspektora warszawskiego instytutu muzycznego, dziennik pisany w czasie podróży po Niemczech i Francji, odbytej w końcu roku 1836 i pierwszej połowie 1837. Na podstawie dziennika tego opracował później Brzowski dwutomowe *Wrażenia artystyczne z podróży po Niemczech i Francji*, które, już gotowe do druku, aż dotąd pozostały rękopisem. Oba manuskrypty, i owego dziennika, i owych *Wrażeń*, posiada w zbiorach swych Al. Poliński.

Przybywszy w końcu listopada 1836 roku do Paryża, zbliżył się tu Brzowski do znajomego sobie jeszcze z Warszawy Fryderyka Chopina, a że przez cały czas swego pół roku przeszło trwającego pobytu nad Sekwaną, widywał się ze sławnym już wtedy twórcą *Mazurków* bardzo często, wszystko więc, co w tych «wrażeniach artystycznych» odnosi się do Chopina i jego najbliższych przyjaciół, budzi najwyższy interes, a tem samem w zupełności zasługuje na to, by wreszcie po raz pierwszy zostało ogłoszone drukiem. Jako charakterystyczne przyczynki do życiorysu mistrza, są to rzeczy pierwszorzędnej wartości.

Oto np. opis pierwszej wizyty Brzowskiego u Chopina:

«Następny ranek (d. 4 grudnia) poświęciłem odwiedzinom Chopina.

Przy ulicy Mont Blanc, czyli Rue de la Chaussée d'Antin pod numerem 38, w nader czystym i okazałym domu, mieszkał wówczas ten znakomity artysta-kompozytor, prawdziwy przetwórca-Kopernik fortepianu, poeta-śpiewak uczuć, i zaszczytna cząstka chluby kraju naszego.

Kiedym przybył i lekko dzwonek poruszyłem, natychmiast wybiegł lokaj, zdawający mi się być zrazu

francuzem; spytany atoli o pana, zabawną odpowiedzią przekonał, iż nim wcale nie był: zgrubiale bowiem wydeklamował niby po francusku: *Mosieu café, Mosieu leçon*, com zrozumiał, iż Chopin pije kawę i ma lekcję. Życzyłem tedy zatrzymać się i poczekać na ukończenie dwóch tych jego zatrudnień, ale Chopin, posłyszawszy czyjeś przybycie, przerwał zajęcie, wyszedł, spojrzał i poznał mnie natychmiast. Podziw i uciecha na przemian obu nas ogarniały... Nie dał mi się oddalić i wręcz powiódł do salonu, ponieważ lekcję właśnie już był ukończył, a śniadanie codopiero przyniesiono.

— Pójdź, zawołał, obaczysz ładną hrabiankę, uczennicę moją.

Rzeczywiście znalazłem ją bardzo piękną: tylko co wstała od fortepianu, zbliżyła się do swej guwernantki, opodal siedzącej, i niebawem obie zabrały się do wyjścia.

Po ich oddaleniu wręczyłem Chopinowi listy od rodziny i medal Mozarta od artysty Tajchmana. Razem piliśmy kawę, gawędka była ożywioną, wtem nadszedł przyjaciel jego, Franchomme, wiolonczelista, później i kilku znajomych. W gronie tak zebranych gości dobry humor wirtuoza na moją pociechę sprawił, iż z łatwością i uprzejmością zabrał się do fortepianu. Miał grać... miałem go usłyszeć!.. Znałem dawniej jego talent, ależ jak rozwinąć się musiał (pomyślałem), gdy blaskiem europejskiej sławy zajaśniał!..

Grał nam naprzód kilka nowych *Etiud*.

Wzniosłość myśli wirtuoza, głębokość uczuć, urok wrażeń i wymowa szczytnie poetyczna, mieszały mi mózg zaiste: szczególniej *Etiudą z cis-moll*, gdzie lewa ręka trybem wiolonczeli cudnie melodją prowadziła, skłócił wszystkie uczucia, jakie mieszkały we mnie, a boską ekspressją ścisnął je tak silnie, iż rzewną łzę musiało oko moje otoczyć... Chopin był dnia tego szczególniej dla nas szczodrze usposobionym: grał nieskończenie, to mazurki, to ballady, znów scherza, nokturny,

a wszystko to utrzymywało nas w lubym zachwycie... Przy jego cudownym fortepianie czas dwóch godzin ubiegł z szybkością minuty. Słuch mój, ścigając każdą najdrobniejszą nutę, najsubtelniejszy odcień ekspressji, starał się pojmować ową poezję, a wzrok mimowolnie zatapiał się w jego obliczu, które było zbyt wiernem zwierciadłem uczuć, jakie na instrument swój wylewał. Trudno uwierzyć, jak silnie w jego twarzy odbijała się myśl wieszcza: pobladły, z wyiskrzonym wzrokiem, nie pamiętny o sobie, rzekłbyś iż marzył w śnie magnetycznym: czułeś, iż pracował, ale pracował tylko duch; ręce były jedynie środkiem do objawienia tej pracy; wszystko zaś, coś słyszał i w obliczu jego wyczytał, tak było przenikającem, tak unoszącem, iż podziwiać musiałeś wymowę, do jakiej on kompozycję swoją i grę posunął.

...Gdyśmy wszyscy ochłonęli z silnych wrażeń, w poufnej rozmowie zeszła reszta czasu.

Chopin, jak z jednej strony w grze swojej i tworach wylewał ocean uczuć i głębokości pomysłów, tak z drugiej, w towarzyskiem obcowaniu, jowialnym humorem i niesłychanym jaśniał dowcipem. Całą jego intelektualność i wyższe ukształcenie, którego nabył w salonach paryskich i w znoszeniu się ze światem literackim, mile krasił zasób subtelnego dowcipkowania, a nadewszystko zadziwiał niezrównanym darem przedstawiania drugich. Wyznać wprawdzie należy, iż dar takowy, jeżeli w złośliwym sposobie i celu używanym bywa na wyśmianie (t. j. ośmieszenie) i poniżenie drugich, nie może być do darów szlachetnych liczonym; przecież w Chopinie objawiał się on w sposób nader przyjemny i pożądany nawet, bo bynajmniej nie zniżający się do nieszlachetnej złośliwości. Nikt nie czuł się pokrzywdzonym, gdy go Chopin udawał, podobnie, jak sławni ludzie, mianowicie artyści, mieli sobie za szaszczyt być przedmiotem pracy pełnej talentu ręki

Dantana, pomimo, że ten wszelkie wizerunki w przesadzie karykaturalnej przedstawiał.

Tak zajmujący poranek przeciągnął się do godziny pierwszej...

...Kartka Chopina, którą zastałem w mem mieszkaniu (zawierała słowa następujące): «Dziś mam parę osób u siebie, między innemi: pani Sand, przytem Liszt gra, Nourrit śpiewa. Jeśli to może być przyjemnem panu Brzowskiemu, czekam go wieczorem». Chętnie bardzo pospieszyłem na to zgromadzenie, wielce dla mnie zajmujące, bo złożone po większej części z osób świetnie błyszczących w literaturze i sztuce. I tak byli tam: Markiz Custine, Eugenjusz Sue, Liszt, Schoelcher, Nourrit, Pixis, Berryer, Włodzimierz i Bernard Potoccy, Albert Grzymała, doktór Jan Matuszyński.

Pomiędzy nimi znajdowały się tylko dwie damy, pani George Sand i hrabina d'Agoult (znana w piśmiennictwie pod pseudonimem Daniela Sterna). Obiedwie, lubo zbliżone sympatją do siebie, jednak uderzały różnicą powierzchowności... Hrabina, blondynka żywa, zalotna, humorem i lekkiem obejściem, ubiorem wykwintnego smaku, była wyrazem typu nadobnej paryżanki wyższego społeczeństwa. George Sand przeciwnie, brunetka, poważna i zimna, jakby nie francuska, rysów twarzy foremnych, spokojnej albo raczej martwej fizjognomji, w której można było rozum, myśl i dumę wyczytać, strój miała fantastyczny, widocznie okazujący chęć odznaczania się. Białą jej suknię przepasywała szeroka karmazynowa szarfa; biały kaftanik dziwnego kroju miał wyłogi i guziki również karmazynowe. Czarne jej włosy, na wpół głowy rozdzielone, w lokach po obu stronach twarzy spadały, a nad czołem złocistą przepaską objęte były.

Typy mężczyzn również się od siebie odróżniały. I tak Liszt był dość wysoki, szczupły, a bladawą twarz jego, genjalnością napiętnowaną, otaczały gęste, długie, blond, równo ucięte włosy. Ruchy miał śmiałe, pełne

życia, z ust pryskał mu dowcip żartobliwy, a w całem obejściu było coś dziwacznego. Berryer, sławny adwokat i biegły mówca legitymistowski, w wieku dobrze średnim, pełnawej tuszy, twarzy okazałej, cery czerwonej, mocno łysy (tylko poniżej tyłu i boków głowy zachowały się szczątki czarnych włosów). Biała chustka, wąsko obejmowała mu szyję; frak miał pod górę zapięty; w spokojnem obliczu malowała się pewność i rozum. Markiz Custine, wysoki w lata dużo ubiegły, (tworzył) typ magnata legitymisty. Powierzchowność Nourrita łagodnym jaśniała blaskiem; obok godności w postawie wyrażał wzniosłość talentu swego i wykształcenie. W Pixisie wszystko zbyt przypominało, iż był niemiecko-wiedeńskim artystą, a krzywe usta nadawały dziwny charakter jego twarzy. Eugenjusz Sue, wysoki, szczupły, blady, był typem ludzi salonowych i ówczesnych literatów młodej Francji.

Towarzystwo, zapełniające salon Chopina, jakkolwiek z różnorodnych złożone cząstek, tworzyło jednak jak gdyby koleżeńskie grono, niczem rodzinę, zgodą tchnącą i węzłem wzajemnych dobrych życzeń złączoną. Nikt nie był przedmiotem ciekawości drugich, bo wszyscy się znali, a Chopina, gospodarza-artystę, jednaką czcią wielbili i jak jednem wspólnem sercem aż do zapału kochali.

Wnet poformowały się grupy i rozmowa stała się nader ożywioną. Podtrzymywał ją najwięcej Liszt: jego inteligencja, bystrość, dowcip, humor żartobliwy, nakoniec dziwaczność sprawiały, że wszczynano najchętniej z nim rozprawy, z których najczęściej zwycięsko wychodził. Chopin tylko, zajmując się wszystkimi z godnością i uprzejmością gospodarza, był dla Liszta ognistym mieczem: ile razy nasz kompozytor-poeta zmierzył do zapamiętałego fantasty fortepianu, pocisk był skuteczny, wszyscy zadowoleni, a upokorzony artysta, nie mogąc silnego stawić odparcia, jedynie zartobliwie rzuconym po dwakroć wyrazem: «Mazurka,

Mazurka!» jak zwykł Chopina przezywać), usiłował pokryć zadaną sobie klęskę...

Co się tyczy dam, tych typy sprzecznością uderzały, bo kiedy hrabina d'Agoult figlarną, dowcipną i przynęcającą rozmową zajmowała obecnych, a słodki uśmiech rozjaśniał jej twarz otoczoną długiemi blond puklami *à l'Anglaise:* George Sand, nieporuszona, zajmowała miejsce na rzuconej w ukos kanapce przed kominkiem, a wypuszczając lekko kłęby dymu z cygara, skąpo i uroczyście odpowiadała na kwestje przysiadających się do niej mężczyzn.

Ale wkońcu za długie mi się już zdały owe pogadanki, spory, dowcipy i starcia ludzi, świecących na ówczesnym horyzoncie Paryża, bo pragnąłem żywo poznać niektórych z głównej ich barwy, z barwy artyzmu: mianowicie Liszta, którego dotąd nie słyszałem. Zatem prawie z mojego poduszczenia zaprosił go Chopin do odegrania na cztery ręce *Sonaty* Moschelesa.

Zasiedli do fortepianu: Liszt przy prymie, Chopin przy sekundzie. Oczekiwanie moje równało się naprawdę stanowi gorączki, a kiedy już grali, nieznana mi dotąd Liszta biegłość, porywczość frazowania i dziwny dar nadania życia kompozycji i instrumentowi, tamowały mi oddech. Pixis, odwracający im karty podzielał widać moje wrażenie, bo oglądał się na mnie co chwila z podziwem. Reszta towarzystwa, świadoma wielkości talentów dwóch tych pianistów, na spokojnem się ograniczała słuchaniu, obdarzywszy ich po ukończeniu oznaką rzetelnej czci i uwielbienia.

Po *Sonacie* przyjmował Chopin gości podanemi po dwakroć lodami; następnie przygotowano herbatę, której przyrządzeniem zajęła się hrabina, mile prowadząc z drugiemi dalszą swoją rozmowę. George Sand, przykuta do swojej kanapki, nie rozłączała się z cygarem. Spojrzenia zwracała często na osobę do niej przemawiającą, a jeszcze częściej na figlarnie migający się płomień w kominku...

Gdy się skończyła herbata, nieporównany Nourrit, w części dla przyjaciela gospodarza, w części dla zebranego grona, zaczął śpiewać. Wykonał, przy towarzyszeniu Liszta na fortepianie kilka utworów Schuberta, do których był wielce zapalony: śpiewał między innemi *Erlkönig* i *La jeune religieuse* z niewymownym efektem...

Pragnąłem bardzo usłyszeć wkońcu samego Liszta, lecz wirtuoz odmówił tego stanowczo i... wszczął dysputę filozoficzną z Bernardem Potockim, która końca nie miała... Dysputujący zapalili się niesłychanie, a chociaż do ich rozmowy mieszali się i inni, widziałem, że po większej części nudziła obecnych... Chopin mocno się niecierpliwił, złoty humor pani d'Agoult utracił na blasku, George Sand więcej pobladła i bardziej zasępiła wzrok swój milczący, Pixisowi od niezadowolenia mocniej się usta wykrzywiły, aż wreszcie późna pora przerwała dysputę, rozwiewając moją nadzieję usłyszenia Liszta, płosząc towarzystwo. Wszyscy zabrali się do żegnania gospodarza...

* * *

Towarzystwo, które zastałem (na balu u hrabiny Mostowskiej) było wyłącznie polskie, a złożone po większej części z osób, znanych mi w Warszawie. Z cudzoziemców były może dwie lub trzy soby, między innemi sławny w domowej wojnie hiszpańskiej generał Cordova... Cały wieczór tańczono, a najczęściej wznawianym tańcem był mazur. Jego to brzmienie, pełne szczerej wesołości, przenosiło mnie myślą w rodzinne ustronia; pewnie i wszystkim sprawiał to złudzenie, bo wszystko ochoczo rzucało się w grono tańczących, a wódz hiszpański musiał w nim zasmakować, gdyż hasał porządnie. Wieczór ten miał postać więcej familijną, niż ostentacyjną, nie było orkiestry, fortepian ją zastępował, a między chętnymi towarzyszenia był Chopin, który grał walca własnej kompozycji. Proszono potem i mnie, bym poszedł za jego przykładem...

Pierwszy koncert Liszta miał miejsce w sali Erarda. Liszt cudów dokazywał: najpierw w odegraniu Tria Beethovena *b-dur* z Urhanem i Battą, potem w swojej fantazji z *Żydówki* Halevego, dalej w Sonacie Beethovena z Urhanem, nakoniec w Etiudach 11-tej i 12-tej Chopina, w czem przeszedł moje wyobrażenie o możności wykonania onych... Lecz cóż zrobiło nie do opisania przyjemną niespodziankę, nadając wieczorowi muzycznemu artystycznie koleżeńską barwę, to własnowolne wystąpienie Nourrit'a, który, gdy się ukazał, kilkakrotnie wznawianym oklaskiem powitany został. Stanął przy fortepianie i przy towarzyszeniu Liszta odśpiewał kilka melodyj Schuberta.

Drugą niespodzianką było nagłe zjawienie się Thalberga. Współzawodnik Liszta, lubo rok pierwej znajdował się w tej stolicy i ze świetnym skutkiem odbył swoje koncerta, nie trafił podówczas na pobyt Liszta i nie znał go dotąd osobiście: koncert obecny dał mu dopiero poznać potężnego rywala. Gdy wszedł do salonu, właśnie Liszt grał fantazję z *Żydówki*, a grał z takim ogniem, z takiem natchnieniem, jak gdyby przeczuwał, iż Thalberg jest jego słuchaczem. Thalberg stanął na boku, nie sądząc, że będzie dostrzeżonym. Ale talent jest świecącą gwiazdą, której trudno nie dostrzec na firmamencie; to też, gdy go ujrzano, cała publiczność została zelektryzowaną: oczarowany słuch nie odrywał się wprawdzie od gry Liszta, bo ta go silnie do siebie przykuwała, ale wzrok wszystkich zwrócił się na Thalberga, śledząc jego wrażenie...

W zdaniu o Liszcie wyraził się wówczas Thalberg, iż gdyby posiadał dziesiątą część tego talentu, który wykazał, już by był znakomitym i wielkim.

Jednoczesny pobyt w Paryżu dwóch tych fortepianistów zakrawał na współzawodniczą walkę, tem zaciętszą, że Liszt, czując w sobie wysoką genjalność,

a wielką żywością od natury obdarzony, zbyt silnie uczuł zeszłoroczne triumfy Thalberga. Gdyby miał mniej miłości własnej, albo, znając swoją wyższość, chciał walczyć prostą i szlachetną bronią, jednem wystąpieniem przed czcicielami Thalberga przygasiłby pochodnię jego sławy.

Ale danie koncertu nie było mu dostateczną odsieczą i poprzedził go artykułem umieszczonym w dzienniku literackim, w którym bez względu wyszydził i potępił kompozycje Thalberga i najzuchwalej powstał przeciw wyższemu społeczeństwu, odmawiając mu znawstwa, dobrego smaku i niemal rozumu. Czynem tym ściągnął na siebie niechęć koterji, które odpowiedziały mu tłumnem zebraniem na koncercie Thalberga w sali konserwatorjum i przyjęciem go z zapałem nie do opisania... Thalbreg grał trzy swoje dzieła: fantazję z tematów angielskich, fantazję op. 22 i nowy naówczas *Caprice* z melodji *Mojżesza*. Liszt przybył na koncert, a pragnąc zwrócić na siebie uwagę powszechną, ukazał się dopiero po zaczęciu i w czasie wykonywanej przez Thalberga fantazji: przeciskał się przez zgromadzoną publiczność, zmierzając do swego krzesła. Widziano, jak usiadł obok Riesa i podczas gry koncertanta śmieszkami zatrudniał sąsiada, gdy tymczasem wszyscy potępieni jego artykułem mścili się wydaniem licznych oklasków... Co do mnie, który sprawy Liszta i Thalberga nie brałem do serca, powiedzieć mogę bezstronnie, iż wiele w mojem przekonaniu Thalberg utracił, żem Liszta pierw usłyszał: wszystek zasób znamienności gry Thalberga za słabe wrażenie na mnie uczynił po potężnem owładnięciu ducha mego przez ogrom mechanizmu, dramatyczną siłę i moc wymowy talentu Liszta...

Gdy tak świetny skutek koncert Thalberga uwieńczył, a niechęć do Liszta zbyt widoczna była, mniemanoby w takiem położeniu rzeczy, że Liszt nie odezwie się z koncertem, a gdyby go dał, to zyskawszy nieprzyjaciół, doświadczy pustek w salonie. Co innego jednak się okazało i koncert następny (Liszta) natłoczony był słuchaczami tak, iż sala Erarda zdawała się nie być w stanie ich pomieścić... Trzeci koncert prawie przewyższał poprzednie mnogością zebrania: publiczność zaległa nawet estradę, na której widziano osoby z koterji Liszta, jako to: księżnę Belgiojoso, hrabinę d'Agoult, deputowanego Berryer, itd. Część pierwszą zakończył Liszt swoją nową fantazją z *Hugonotów*, której kompozycja i egzekucja, wyobrażenie przechodząca, tak mnie, jak i całą publiczność do nadzwyczajnych uniesień doprowadziła. Część drugą rozpoczął Liszt pierwszem Allegrem i Menuetem z *Septetu* Hummla, czem równie zachwycił... Po miłym numerze panny Beruccat, Taccani dała słyszeć arję Normy (Casta diva), poczem Liszt grał dwie *Etiudy* Chopina, *as-dur* i *f-moll*.

Być może, iż jako świadomy okoliczności, uprzedzenie mną powodowało, przyznając dzielnemu wykonaniu dorywczość, albowiem Liszt grał je z rękopisu, który na dwie godziny przed koncertem jeszcze znajdował się u mnie. Niedoświadczona dotąd zaiste biegłość wirtuoza, gdy się odważa i w stanie jest przed publicznością odczytywać manuskrypta ze skutkiem mistrzowskiego wykonania.

Wkońcu, według obwieszczenia, oczekiwano walca na 4 ręce kompozycji Liszta, w którym miał mieć udział i Chopin, lecz ten ostatni zasłabł był od dni kilku i w dzień koncertu nie opuszczał łóżka. Liszt więc został zmuszony przemówić do publiczności, przepraszając ją i wyłuszczając powód zawodu; a gdy słuchacze generalnym chórem objawili życzenie, aby Liszt sam odegrał powyższego walca, wirtuoz bez wahania zadosyć odpowiedział żądaniu.

W krótkim czasie, po odbyciu koncertów Liszta i Thalberga, księżna Belgiojoso urządziła w swoich salonach koncert prywatny, na wsparcie wychodźców

włoskich. Najznakomitsze talenty stolicy były na cel ten zaproszone, a księżna, chcąc zniszczyć niechęć, wynikłą między dwoma znakomitymi artystami, zapraszając Chopina, wezwała Liszta i Thalberga, aby powzięli udział w dobroczynnem zadaniu. Nie można było odmawiać i każdy z tych wielkich artystów dał się słyszeć na pomienionym koncercie... Zbliżenie to zatarło niesnaski: Liszt jak był prędki do spełnienia niewłaściwego kroku, tak też prędko podał rękę zgody Thalbergowi, a pragnąc by co zaszło, rzucił w niepamięć, postanowił dać wieczór u siebie na cześć Thalberga. Ten przyjął zaprosiny... Liszt cieszył się nazajutrz świetnem zebraniem, ale Thalberga już rano dnia tego nie było w Paryżu... Wypadek ten wykazujący nieposkromioną urazę Thalberga, pobudką był dla Chopina, mającego dziwną władzę moralną nad Lisztem, iż wystąpił przed nim z wyrzutami: «dlaczego było z tak mocną występować obrazą i uniżać się potem przed obrażonym». Liszt z pokorą i uznaniem winy przyjął jego wyrzuty...

* * *

Trzej dopiero pianiści, Chopin, Liszt i Thalberg, dźwignęli fortepian do właściwej mu mocy, różniąc się każdy z nich kolorytem i charakterem gry, oraz kompozycji, i tak: Chopin, pełen bogactwa sztuki twórczej, pełen wzniosłej poezji, czerpie z fortepianu wszystko, co tylko tenże posiada korzystnego na oddanie potęgi uczuć, głębi myślenia i rzewnej sielankowości; Liszt wyzywa fortepian z całym jego ogromem harmonij orkiestrowej na kolosalne efekta różnorodnych namiętności; a Thalberg, łącząc potrosze obiedwie te barwy, zachwyca wykwintem elegancji i przystępniejszym się być zdaje od dwóch poprzednich. Wszyscy zaś trzej uczynili swój instrument samoistnym. Nie jest już

ogromna budowa jego w sprzeczności z owocem, który wydaje, a w zamian szukania pomocy w akompanjamencie, sam, choćby najsilniejszą orkiestrę zastępuje.

* * *

Ostateczny stopień dotychczasowego postępu fortepianowego... znalazłem w Liszcie: wirtuoz ten jest tem dla fortepianu, czem Paganini dla skrzypiec. Wielu nie pojmując stanowiska Liszta, a rażeni blaskiem jego sławy, której wytłumaczyć sobie nie umieją, czynią mu zarzut, iż nie obdarza nas w dziełach swoich własnemi melodjami, a przynajmniej rzadko, i stąd odmawiają mu zasług kompozytora. Jest w tem nieco prawdy, i ubolewać nad nią wypada: ale chciejmy wnijść w jego położenie: on jest wirtuozem, zatem jego sferą wykazanie potęgi swego instrumentu przedstawienie talentu jako wykonawcy... Wielkość Chopina nie w tem tylko zamieszkuje, że własną myśl nam daje: genjusz jego spoczywał w iskrze świętego ognia, którą każda jego kompozycja jest przejętą, a Opatrzność, skąpo iskry te ludziom w darze udzielając, Liszta nią obdarzyła.

* * *

Znajdując się raz u Chopina, nadmieniłem mu, że dotąd nie słyszałem Kalkbrennera. «Zaraz go usłyszysz», odrzekł i począł grać na fortepianie à la Kalkbrenner. Mogłem bezpiecznie wierzyć w dokładność kopji, bo Chopin wybornym był w tym względzie, a ja, pojmując dzieła Kalkbrennera i epokę jego oceniając, powziąłem przekonanie, iż oryginał takim być musi. Wszelako Chopin obiecał mi dać sposobność słyszenia tego pianisty w następną niedzielę na poranku muzycznym u znakomitego amatora, pana Fremont, gdzie między innymi artystami i Kalkbrenner uczęszczał.

Wypadło, iż w ten dzień miałem się zejść z Lisztem w sali Erarda, celem przedstawienia mu niektórych moich utworów. Na owe artystowskie rendezvous towarzyszył mi Edward Wolff. Niebawem też i Liszt nadszedł. Natychmiast życzył sobie przejrzeć moje manuskrypty. Przedstawiłem mu *allegro* z koncertu i cztery fantazyjne *Mazurki*. Począł odczytywać, a ja przekonany będąc, iż mu rzeczy te bynajmniej znanemi nie były, zdumiałem się nad łatwością, z jaką odrazu wygrywał najzawilsze rzeczy, od ręki niedbale pisane... Gdy grał, genialnie w jednej chwili odgadywał prawdę ducha przedmiotu, wymowną ekspresją uwydatniał tendencję utworu, popędem dramatycznej energji wlewał weń iskrzące życie... Kiedy czas tak schodził, zbliżała się godzina pójścia na poranek muzyczny do pana Fremont. Oświadczyłem Lisztowi, iż dłużej bawić nie mogę, wymieniając powód konieczności opuszczenia sali Erarda. Ten oznajmił mi na to, iż pragnie także udać się do pana Fremont, a mając wprzódy jeszcze coś do załatwienia, prosi, abym z Chopinem oczekiwał jego przyjścia.

Chopin znał jego fantazyjne wybryki, dlatego źle przyjął zaimprowizowane narzucenie się, przytaczając, iż Liszt, jako zepsute dziecko społeczeństwa, nieraz mu już podobną psotę wyrządził i w kłopot wprowadził, tak, iż gdy nie zastał go w domu, spytał, gdzie poszedł, a dowiedziawszy się, że jest w prywatnym domu na obiad zaproszony, z zupełną naiwnością naszedł też dom mu nieznany i tam pozostał z nim na obiedzie... Pomimo nieukontentowania, oczekiwał go jednak, a gdy nadszedł, poszliśmy razem.

Dom pana Fremont uchodził za bardzo miły i gościnny. Sam gospodarz, niegdyś prefekt za Cesarstwa, niezmiernie światły człowiek, był miłośnikiem literatury i niemniej lubownikiem muzyki. Chopin przedstawił mnie, jako artystę, przybyłego z jego rodzinnego miasta. Pan Fremont zaprosił nas do dużego w podłużnym kształcie salonu, będącego bibljoteką, gdzie właśnie miał się poranny koncert niebawem rozpocząć. Przestrzeń bibljoteki zajmowały ławki, a w końcu sali stał fortepian Erarda. Zgromadzenie było bardzo liczne. Przyległe pokoje również zajmowali słuchacze. W liczbie obecnych szukałem Kalkbrennera, o którego mi głównie chodziło; tymczasem dowiedziałem się, że go niema, że z powodu słabości wcale nie będzie. Tu wyjaśniło się natrętne z pozoru przybycie Liszta: okazało się bowiem, że pan Fremont w miejsce Kalkbrennera zaprosił — Liszta.

Koncert rozpoczął się bardzo pięknem solem na skrzypcach, wykonanem przez pana Alard. Artysta ten więcej mi sprawił miłego wrażenia, niż Massard: wprawdzie nie rozrzucał tak hojnie flażelotami, jak tamten, ale wrodzonem zalecając się uczuciem, zachwycającą śpiewnością i przedziwną szkołą paryską, rozsiewał grą swoją wonne kwiaty w około...

Z wielkiem oczekiwaniem patrzano potem, jak się Liszt zbliżał do fortepianu... Gdy wzniósł ręce, by owładnąć szczytnym pod jego palcami instrumentem, Chopin usiadł w pobliżu, a następnie słuchał swej *Etiudy C-moll*, która pod lewą ręką Liszta równała się nawałnicy, w czasie gdy prawa najdobitniej wyrażała boleść i rozpacz... Twarz Liszta zaszła ognistym płomieniem zapału, a oblicze Chopina pobladło wobec takiej potęgi wykonania. Talent Liszta sprzysiągł się tym razem najmocniejsze sprawić wrażenie, dał bowiem najwymowniejsze słyszeć nam utwory. Po *Etiudzie* Chopina grał swoją ulubioną *Sonatę As-Dur* Beethovena.

Pojęcie dzieła tego przez Liszta zaiste wszystko przechodziło: Andante z warjacjami odegrał z potęgą poezji uczuć, wskróś przenikającą. Nie do uwierzenia, jak pod dotknięciem każdego klawisza nabierała u niego nuta rozciągłości rzewnego śpiewu. Szerokość frazowania posunął do tego stopnia, że badawczo słu-

chający go Chopin uznał wykonanie za zbyt nawet powolne. Tem Andantem Beethovena, pełnem tęsknych a razem jakby ukajających nadmiar boleści wrażeń, dał luby spoczynek wezbranym wstrząśnieniem uczuć, jakie obudziła *Etiuda* Chopina. Gdy ostatnie tony beethovenowskie tak przyciszył i gubił w czarującem *rallentando*, iż nakoniec utonęły w słuchu, jak krople rzucone do morza, ocknęła się uśpiona wyobraźnia słuchaczów, i on sam ocknął się jakby z letargicznego snu, kiedy uderzył w złowrogi dla Hugonotów dzwon, rozpoczynający dzielną jego fantazję z tej opery...

* * *

Pożegnawszy zadowolonego pana Fremont, przy rozstawaniu się, gdy każdy inną miał drogę przed sobą, Liszt, jako mocno grą rozgrzany, obawiał się wracać w lekkim ubiorze, tak, iż musiałem mu pożyczyć mego płaszcza. Przez swoją naiwną niedbałość i roztargnienie chodził w nim cały tydzień, a po tygodniu, gdym płaszcza zapotrzebował dla siebie, oświadczył, że zapomniał, gdzie go zostawił. Ostatecznie musiałem na przypomnienie i odzyskanie czekać jeszcze dni kilka.

Wkrótce potem zamierzył Liszt opuścić Paryż i udać się do Włoch. W liczbie znajdujących się w jego mieszkaniu, a przybyłych na pożegnanie, byłem i ja... Kiedy został sam na sam ze mną i przeglądał swoje papiery, dał mi na pamiątkę egzemplarz swej fantazji z *Żydówki*, dołączywszy *Fac simile*, i uczęstował dowcipnym paszkwilem na Thalberga. Były to *Warjacje* na temat nianiek wiedeńskich, ułożone z samych pasażów z różnych kompozycyj Thalberga wyjętych. Przybrawszy charakter względności, prosił, by nie pokazywać tego nikomu.

* * *

Gdy się zbliżał czas wyjazdu mego z Francji, Chopin oświadczył mi, że pragnąłby mnie jeszcze zawieźć do Saint Gratien, posiadłości Markiza de Custine, abym powziął wyobrażenie o wiejskich siedzibach magnatów francuskich, a nadto usłyszał tam Duprez'a z żoną, w salonie zdobnym najpierwszem towarzystwem Paryża. Przytem zwiedziliśmy Montmorency i Enghien, jego przeszłoroczne letnie mieszkanie.

...Chopin nie był jeszcze gotów. Oczekując ukończenia jego toalety, z przyjemnością przeglądałem partycję symfonji Beethovena. Chopin, ubrawszy się, prosił mię, abym się zatrzymał i zapełnił ten czas rozrywką przy jego plejelowskim fortepianie, gdyż on musiał na chwilę odejść dla widzenia się z panem Albrecht, sekretarzem legacji saskiej. Wrócił wkrótce, zabraliśmy się i wsiedli do kabrjoletu, który na nas czekał. Droga nasza była na rogatkę Clichy. Jadąc ulicą tegoż nazwiska, przesunęliśmy się mimo ogrodu Tivoli i dostrzegliśmy w przejeździe, ile był pięknie urządzony na wznowione jego w tym dniu otwarcie. Widzieć się w nim dały przygotowania do ogni sztucznych, do świetnej iluminacji, do puszczenia balonów, gry rozmaite, ćwiczenia gimnastyczne, bufety i t. p. Uradziliśmy pomnożyć sobą liczbę tamże biesiadujących, jeżeli powrót z St. Gratien nie będzie opóźnionym.

Minąwszy rogatkę, kabrjolet przerzynał bitą drogę, a znajdując się w otwartem polu, oddech nasz uczuł czyste i urocze powietrze... Droga między drzewy, przypominając nam okolice Warszawy, wywoływała jej wspomnienia, które stokroć więcej Chopinowi, niż mnie sprawiały uroku, bo mu odleglejsze w przedoczu stawały obrazy... Wkrótce ukazały się nam błyszczące zdala wieże kościoła w St. Denis...

Przybyliśmy nakoniec do St. Gratien. Mieliśmy zamiar przedstawić się Markizowi, potem ruszyć przez Enghien do Montmorency, stamtąd wrócić do Enghien na obiad, a wieczór spędzić w St. Gratien, w kole ze-

branego tam towarzystwa. Jak tylko weszliśmy do ogrodu, znaleźliśmy się blisko pałacu. Na spotkanie szedł ku nam jeden z przyjaciół-ulubieńców Markiza, anglik, któremu po serdecznem przywitaniu Chopin przedstawić mnie nie omieszkał. Ruszyliśmy razem ku pałacowi: podwoje świetnego apartamentu na rozcież były otwarte. Na wstępie spotkaliśmy damę, która z wylaniem najtkliwszych uczuć przywitała się z Chopinem. Wkrótce nadszedł Markiz, a gdy mnie Chopin przedstawił, okazało się, iż mnie pamiętał z jego wieczoru. Dama, którą widziałem, była wielkich wpływów za Karola X... Wpadł potem z niedwuznaczną wesołością drugi protegé Markiza, rodak nasz, Ignacy Górowski.

On, wraz z anglikiem, miał nam pokazać apartamenty. Główny salon, z którego widok i wyjście na ogród, zalecał się więcej szlachetną skromnością... Ściany zdobiły na białem tle rzucone kwiaty, a złote listwy obrębiały je dokoła. Meble i opony przy oknach w tymże samym rodzaju. Zamiast obrazów, z dwóch stron tylko ogromne zwierciadła w pysznych ramach wisiały. Pod jednem z białego marmuru kominek, a na nim i w kilku innych miejscach prawdziwe orjentalne wznosiły się wazony. Mnóstwo miękich sof i fotelów stało pod ścianami, lub fantastycznie rozrzucone tu i ówdzie, zapełniały próżnię. Nakoniec ponętna kanapka w skos kominka ku środkowi wysunięta i wyborne plejelowskie piano dopełniały umeblowania. Co szczególniej godnem było widzenia, to przyległy salonowi gabinet turecki... Zwiedziwszy wszystkie zakąty, poszliśmy z Anglikiem i Ignacym do ogrodu...

Gdy nam już wszystko pokazano, co warte było widzenia (stajnie, wozownie, obory, chlewy etc. etc.), objawiliśmy z Chopinem dalszy ciąg naszego planu. Górowski, słysząc o obiedzie w Enghien, oświadczył życzenie obiadowania z nami, naznaczyliśmy zatem godzinę 6-tą na spólne zejście i, wsiadłszy nakoniec do kabrjoletu, ruszyliśmy do Montmorency.

Jadąc przez Enghien, wskazał mi Chopin miejsce, gdzieśmy obiadować zamierzali, poczem zwrócił moją uwagę na szerokie jezioro, a nad brzegiem jego pałacyk, w którym zeszłego roku przemieszkiwał. Dostrzegłem w jego obliczu przejęcie się miłemi wspomnieniami: pewnie była to szczęśliwa w jego życiu epoka. Jadąc dalej, oglądaliśmy malownicze widoki, już bardzo oddalonego Paryża, St.-Denis i St. Gratien, które przybyły na tarczy naszej panoramy.

Przy wielce miłej rozmowie dojechaliśmy do Montmorency, a że miejscowość ta jest dla wielu celem przyjemnej przechadzki, więc spotykało się wciąż to konno to pieszo sporo osób, w tej liczbie i sławnego z bogactw anglika Hute-Boll... Nakoniec wjechaliśmy na rynek miasteczka Montmorency. To nie zdawało się być odpowiednie pięknemu i szumnemu nazwisku, bo jeżeli różniło się czem od naszych miasteczek, to jedynie tem, iż w miejsce drewnianych chałup kamienne i gliniane wznosiły się domostwa. Rzeczywistą wziętość ustroniu temu nadawał obszerny i piękny park, cudne wokoło widoki i historyczna wartość miejscowości. W środku rynku stało nakształt szopy wielkie na podmurowaniu poddasze, pełne osłów i koni, przygotowanych do jazdy w parku dla płci obojej.

Ruch był duży, bo niedziela, a my weszliśmy do jednej z oberży i za radą Chopina kazaliśmy sobie dać mleka, masła świeżego i chleba. Wiejskie to śniadanie nadzwyczaj nam smakowało, a że Chopin lubownik mleka, ja zaś znalazłem je dobrem, więc sielankowa biesiada powtórzyła się drugiem daniem. Po mleku, maśle i chlebie, zadecydował Fryderyk, by wsiąść na osły, ruszyć w las Montmorency i zwiedzić tak zwany *l'Ermitage*, miejsce wsławione niegdyś pobytem Russa i Gretrego. Gdyśmy się ku temu zabierali, kobiety, dostarczające osłów, przechadzając się wedle oberży, poznały Chopina przez okno. Nie znały go zapewne, jako dyletantki, ceniące w nim genjalność, ale znały jako

nie pierwszy raz od nich wynajmującego poczciwe zwierzę. Wyszliśmy wnet z oberży na przestrzeń hipodromu i kazaliśmy podać dwa okulbaczone bucefały. Ta okoliczność, przyznam się, niemało mnie kłopotała, gdyż niewprawny jeździec ze mnie: czułem, żem się mógł wystawić na jakową hecę; cofnąć się jednak nie było można.

Chopin wsiadł na osła, ja na swego, i w drogę. Obu nam, bynajmniej nie przypominającym Don Kiszota i Szanszo Panszę, towarzyszyło dwoje dziewcząt pieszo, dwie siostry; jedna bardzo młoda, druga zupełnie dojrzała; obie wykomenderowane dla bezpieczeństwa osłów, nieodstępnemi nam były. Młodsza szła przy moim ośle, starszą zaś, uważałem, mocno był Chopin zajęty, bezwątpnienia w sposób poetyczny jedynie, gdyż wspomnienia to poezja, a jak mówił, znał ją od przeszłorocznego pobytu w Enghien... W takiej to grupie przechadzaliśmy się po lesie. Majowa zieloność drzew, borowa woń powietrza, otwarte widoki między drzewy i wąwozy, wszystko wzniecało uczucie zadowolenia. Dozorczynie osłów nie przykrzyły sobie pielgrzymki, osobliwie ta, co Chopina miała na ręce, gdyż mój pełen natchnień poeta-kompozytor, dowcipkując z dziewczyną, ciął kalembury, jak Audry, a ona mu w pogadance, z przytomnością i finesem panny Dejazet placu dotrzymywała. Co do mnie, lubo się odzywałem do mojej, rozpatrywanie się jednak w pięknych położeniach parku, czyniło mnie roztargnionym, zwłaszcza to, iż cały byłem moim osłem zajęty.

Powabne ustronie bogate w widoki, jazda na osłach z Fryderykiem, przytem pogoda sprzyjająca ekskursji, wszystko to było dla mnie urokiem niezwyczajnym; trzeba tylko było do uświetnienia wyprawy doczekać się sceny, której się obawiałem, a która właśnie w całym swym blasku nastąpiła, gdyśmy wracali z głębi zwierzyńca. Utrzymują filozofowie i moraliści, że przyznanie się do wszelakiej prawdy celuje szlachetny charakter; wyznaję tedy z moralną rezygnacją, że tą sceną było moje komiczne spadnięcie z osła. Prawda, iż mogłem się spodziewać tej niedoli, nie będąc oddawna przywykłym do utrzymania równowagi, jaką zachować należy, siedząc na koniu lub ośle, gdy zwierzę chimeruje, ale zbierałem dotychczas wszelką przytomność i dowcip, by się nie skompromitować. Przecież wybuchła kompromitacja, a to w ten sposób: była chwila, żem był mocno zajęty rozmową z moją towarzyszką, a uwaga rozdwojona, bom przysłuchiwał się zabawnej gawędce drugiej pary. Mój osioł, prosto idąc ku drzewu nie ominął go, lecz łbem w nim utknąwszy, stanął; dziewczyna, nie czekając, aż sam go skieruję, nagle szarpnęła lejcami, chcąc go na bok odwrócić, ja niespodziewanym a nagłym ruchem osła w równowadze skłócony, waham się, ratuję, szukam ekwilibrjum, coraz bardziej przechylam się na tę i na ową stronę, nareszcie rozbujany na jego grzbiecie, nie mogę się oprzeć własnemu ciężarowi i spadam... Czuję, żem na ziemi, słyszę poza sobą umierającego od śmiechu Chopina, dziewczyna ani myśli mnie ratować lub przepraszać, a mój osioł prościuteńko w nogi. Podniosłem się, trzymając batog w ręku, lecz osioł już daleko, jak bieży, tak bieży, oczywiście drogą ku domowi. Nie było innego sposobu, jak biec za nim i błagać okrutnego losu, aby go kto na drodze zatrzymał. Tak się też stało. Osioł przybiegł na miejsce, gdzie idące za przemysłem kobiety przechowywały wodę dla przejeżdżających. Przybiegłem i złapałem łotra swobodnie nurzającego łeb w wiadrze. Kobiety i inni obecni, zrozumieli co się święci (wniosłem to z ich lekkiego uśmiechu), a ja byłem skazany znowu wleźć na grzbiet mojego niewdzięcznika!

Wtem nadjechał Chopin z dziewczętami, ruszyliśmy więc w bok drogi dla zwiedzenia l'Ermitage'u. Tam przybywszy, zsiedliśmy ze swawolników, a sami weszli do małego osztachetkowanego dziedzińczyku.

Zaraz ukazało się parę kobiet, które wykomenderowały małą dziewczynę, aby nam wskazała tyle wsławione miejsce. Naprzód weszliśmy do małego pokoiku, pamiętnego tem, że Rousseau zwykł w nim pracować. Na środku stał zachowany stoliczek, na którym pisał swoją *Nową Heloizę*. Przy ścianie znajdował się stary mocno popsuty fortepianik, pamiątka Gretrego, przy której ów znakomity w swojej epoce kompozytor tworzył swe dzieła. Kilka wierszyków i biustów tych dwóch wielkich ludzi, ozdabiało gabinet... Z pokoiku tego było wyjście do małego ogródka, w nim zaś wznosiły się również pomniki Russa i Gretrego, t. j. ich popiersia. Widok z ogrodu na okolicę bardzo ładny.

...Tymczasem dalsza droga powoływała nas znowu wsiąść na wierzchowców. Już byliśmy na osłach i dziewczęta za nami, gdy deszcz zaczął padać; pocieszaliśmy się jednak, iż spotykaliśmy na drodze ku miastu liczne partje, złożone z kobiet i mężczyzn, na koniach i osłach, również temu losowi popadłe. Pędziliśmy dzielnie, deszcz nas popędzał: Chopin naprzód, ja za nim: i kłusowałem i galopowałem, jak wypadło, często idąc za wolą osła, częścią i zmuszając go batogiem, byle nie zostać sam.

Stanęliśmy wreszcie na rynku, wjechaliśmy pod szopę, gdzie zgromadzone konie i osły, a zsiadłszy ze swawolników, udaliśmy się do oberży, gdzieśmy z rana mleko zapijali, i kazaliśmy kabrjoletowi zajechać... Umówiony termin kazał śpieszyć się do Enghien, więc pożegnawszy uprzejmie nasze przewodniczki, wsiedliśmy w kabrjolet, udając się tam, gdzie nas oczekiwał obiad z przyjacielem Ignacym. Popadujący deszcz orzeźwił powietrze, zwiastując prześliczny wieczór. Te same pyszne widoki, które, gdyśmy jechali do Montmorency, objawiały nam się z tyłu, teraz mieliśmy przed sobą. Byliśmy obydwaj zadowoleni z wyprawy, a śród śmiechu z mojego oślego przypadku, wszczęła się

pogawędka o obiedzie: Chopin utrzymywał, iż Ignacy niezawodnie pomyśli o szampanie.

...Gdyśmy stanęli przed restauracją, wysiadając z kabrjoletu, dostrzegłem przez okno kieliszek od szampańskiego wina, dumnie się wznoszący na powierzchni nakrytego stołu: sprawdziła się więc przepowiednia Chopina...

Już było dobrze po 6-ej, a Gurowskiego nie było widać. Nie wiedzieliśmy, jak czas zapełnić, na szczęście, ujrzeliśmy, iż stał przy ścianie fortepian. Stał wprawdzie, ale zamknięty: śpieszę więc do gospodyni po klucz, lecz ta zręcznie wymawia się, snać z bojaźni, by Chopin nie popsuł instrumentu!... Wtem zajechał z turkotem powóz. Wyjrzeliśmy oknem, aż pan Ignacy na koźle pompatycznie oparty z samsonową siłą wstrzymywał dwa spienione rumaki. W powozie siedział Francuz, z postaci fashionable, krewny Markiza i, równie jak on, legitymista. Zeskoczył zaraz, jeden z kozła, drugi z kocza, i hyżo do nas przybiegli. Kazali podawać... hasło, które nam dwom bardzo było na rękę. Lecz Ignacy wysforował się z propozycją, abym wsiadł z Francuzem do powozu, a on na swój kozioł, i zanim podadzą zupę, pojechał na krótką chwilę do pałacyku, położonego nad jeziorem dla obaczenia się z wyżej wspomnianym Anglikiem Hute Boll, tamże zamieszkałym. Stało się, jak życzył, pojechaliśmy nad owo jezioro. Ignacy wysiadł, a nam dał konie do trzymania. Długośmy na trzpiota czekali, bo Anglik pod ten czas, z żoną i kilkoma innymi, żeglując po jeziorze, potrzebował czasu, by przybić do brzegu dla rozmówienia się z Gurowskim. Myślałem, iż się na tem skończy, lecz nie: Ignacemu takoż zachciało się zrobić kurs po jeziorze, puścił się z Anglikiem, a my z Francuzem, na serjo zniecierpliwieni, oburzaliśmy się tymczasem...

Za upragnionym nakoniec powrotem nic już nam nie stanęło w drodze ku wygodnemu rozgoszczeniu się przy stole. Jedzenia było mnóstwo i w wykwintnym

rodzaju, wina zaś zbyt wiele. Przyznam się, że po strudzeniu i przygodach w Montmorency miałem olbrzymi apetyt, a przecież wystarczyć wszystkiemu nie mogłem. Bordeaux piłem mało i to nawpół z wodą z początku, ale szampana dużo... Co mi także przyjemną sprawiło niespodziankę, to butelka Rüdesheimera... Tak używając bachanalji w dobranym kwartecie, na swobodnem odosobnieniu, dalekiem od wrzasku stolicy, w ustroniu malowniczem, mając przed oknem jezioro — mieszkanie Ondyn — a za progiem drzwi usłużne córy gosposi, do tego w perspektywie okazały wieczór, łatwo odgadnąć, że byliśmy ożywieni humorem. Gawędka w swym ogniu szła przyspieszalnym ruchem, w miarę, jak kieliszki wypróżniane były... Lecz wielki już był czas ruszyć do St. Gratien.

Po dobrym obiedzie, jakże miło rozeprzeć się w wygodnym pojeździe! Użyliśmy też przejażdżki, co się nazywa, bo Ignacy, zaczmyrzywszy sobie głowę, cudów na swym koźle dokazywał. Całą ogromną drogę od Enghien do St. Gratien przebyliśmy cwałem, prawie w parę minut. Ludzie stawali po drodze, tyle dziwnym był pęd naszego ekwipażu. Pędem błyskawicy stanąwszy w St. Gratien, udaliśmy się zaraz na pierwsze piętro do przeznaczonego dla nas pokoju, dla uskutecznienia przeglądu tualety...

Markiz uważał przybycie nasze za spóźnione: po dwakroć przysyłał dowiadywać się, czyśmy już gotowi... Zeszliśmy wreszcie do salonu, gdzie już zastaliśmy towarzystwo zupełnie zebrane. Nie było wiele osób, ale za to, jak mówią la crême de la societé parisienne. Osoby, które mnie szczególnie zajęły, były: księżna N., pani Zofja Gay, owa dama, którąśmy zrana zastali, i pani Merlin, z domu Santa Cruz, kobieta nadzwyczaj miła, przodkująca wyższemu towarzystwu paryskiemu. Dalej: Berlioz z żoną, Duprez, także z żoną, wicehrabia d'Arlincourt autor «Samotnika», i jakiś stary literat; na koniec Anglik domowy, jakiś zaproszony do towa-

rzyszenia na fortepianie Dupremu, i nas czterech. Oczekiwano państwa Wiktorów Hugo, ale nie przybyli. Uradowało się towarzystwo, gdy ujrzało Chopina. Po czci, którą mu po serdecznem powitaniu oddawano, widziałem, iż był ich bożyszczem, był zepsutem dzieckiem; w nim zaś odkryłem talent zjednywania dla siebie uwielbień i dostrzegłem umiejętność zręcznego odpowiadania uczuciom. Wieczór ten miał być muzykalnym, a Chopin, jak to się widzieć dało, pierwszą jego sprężyną. Wszystkich też oczy, tak gości, jak i gospodarza, na niego były zwórcone, dlatego zarówno on jak i my z nim, lubo mniej na siebie zwracający uwagi, kłopotaliśmy się, pamiętni na odbyty kawalerski obiad, czy z oblicza naszego lub ruchu nie wyczyta arystokracja z St. Gratien śladów porządnej dozy wychylonego Bordeaux, Rüdesheimera i szampana... Ale na szczęście, prócz Francuza, który miał minę podchmielonego, my trzej zdołaliśmy najmniejszej nie dać w tej mierze poszlaki.

Po pierwszych przywitaniach i niejakich rozmowach zbliżył się Markiz do Duprego i jego żony, z prośbą, by rozpoczęli koncert. Stanęli przy fortepianie i odśpiewali duet, z wielką mocą i stylem. Była to kompozycja Donizettiego z Parisiny. Potem śpiewał Duprez z panią Merlin duet Bellini'ego. Po nich pani Duprez wykonała Arję. Tenorzysta - bohater wielkiej opery francuskiej wykonaniem utworów włoskich przekonywał o kształceniu się w szkole rozkosznego półwyspu, a pani Merlin okazała w tak wysokim stopniu talent śpiewania, że można ją było wziąć za artystkę.

Po wokaljach zaprosił Markiz Chopina. Nie potrzebuję wznawiać określenia wrażeń, któremi on sycił słuchaczy. Grał zaś nową swą podówczas *Etiudę As-dur*, początek drugiej Ballady i *Etiudę F-mol.* W powszechnem zachwyceniu rozsiadłe po różnych kątach salonu towarzystwo jednomyślnie zażądało słyszeć *Mazurka*. Natychmiast uczęstował ich Chopin

jedną ze swych narodowo-sielskich poezyj, potem zaś, jakby wieszcz natchniony, zabrzmiał jakąś pieśnią wojenną. Była to improwizacja. Cudna tej pieśni melodja i ognisty odcień, z jakim ją wykonał, zelektryzował legitymistyczne dusze, zasypiające nieledwie pod brzemieniem tęsknych uczuć, które *Mazurek* opiewał. Gdy skończył i wstał od fortepianu, wszystko podniosło się z miejsc i okoliło triumfującego wirtuoza; a ponieważ wszystko musiało w ich wyznaniu legitymistycznem mieć swoje pochodzenie, więc skwapliwie się dopytywali, coby to była za pieśń? Chopin świadomy ich ducha, wręcz zaimprowizował i zapewnił, że to dawna pieśń pułku ułanów... Damy, które go otaczały, żarliwie nalegały, aby ją ułożył na głosy, i oświadczyły chęć śpiewania w chórze. Chopin przyrzekł im to najsolenniej, a obróciwszy się do mnie, rzekł: «Jutro już o tem zapomną». W tem znalezieniu się Chopina widoczną była dokładna znajomość salonowego życia społeczeństw paryskich.

Po tej scenie przeniosło się niebawem zgromadzenie do jadalnego pokoju, by uczynić też coś i dla żołądka. Wieczerza była sutą, a dobry apetyt ogółu, jeszcze jawniej, niż w salonie, amalgamizował zrównanie stanów składających towarzystwo.

Po kolacji kilka osób opuściło wieczór, ci zaś, co pozostali, błagali panią Merlin, aby dała słyszeć tyle czarujące narodowe hiszpańskie śpiewy. Dama ta, pełna powabu, obok odznaczającej się powagi, uprzejmie i z łatwością przystąpiła do ich wykonania, prosząc Chopina, aby jej akompanjował z pamięci. W rzeczy samej, melodje, które dała słyszeć, posiadały zachwycające piętno piosenek hiszpańskich, a wykonanie przez nią... czarowało nas wszystkich, i sama w coraz większy zapał wpadała. Rozogniona Kreolka, w zapędzie rodzimego uczucia, zapomniała nawet zimnych odcieni salonowych. Podano jej kastaniety, a tak klekocząc zakończała każdą zwrotkę gestem, jakiemi się lubieżne tańce hiszpańskie odznaczają...

Gdy pienia hiszpańskie zamilkły, głośne nie ze zmyślnego uniesienia wynikłe oklaski okryły zwycięską panią Merlin, wszystko rzuciło się do niej z hołdem uwielbienia... Lecz nie tu koniec. Markiz z udziałem zebranych gości prosił Chopina, by odpowiedział na temata hiszpańskie, nie przebrzmiałe jeszcze w słuchu. Cudowna improwizacja genjalnego artysty była tedy ostatniem ogniwem tej kosztownej z muzycznych talentów misternie pospajanej kolji.

Było już po północy, gdy ostatni chopinowy ton mistycznie trącony zamarł w powietrzu. Zabrano się do odjazdu. Pani Merlin, pani Gay i pan d'Arlincourt, wsiedli do powozu, i odjechali, za nimi drudzy, a co do nas, to Markiz domagał się usilnie, abyśmy dla spóźnionej pory na nocleg pozostali. Lecz Chopin nie przyjął zaproszenia, tłumacząc się lekcją, która go nazajutrz rano do miasta powoływała, pożegnaliśmy się zatem z gospodarzem, Anglikiem i Ignacym, i opuściliśmy St. Gratien...

Powrót do Paryża mieliśmy nader miły. Po deszczu powietrze było woniejące, noc cicha, gwiazdy jak w Hugonotach, nie zimno, słowem, rajska przejażdżka. Wjechaliśmy w miasto, do Tivoli zapóźno, Paryż jak wymarły. Chopin wysiadł do siebie przy ulicy Mont Blanc, a ja tymże kabrjoletem przez bulwary na Lepelletier...

* * *

Obydwóch dni przed moim wyjazdem miałem przyjemność obiadować z Chopinem. Pierwszego dnia z tych, około południa, odwiedziłem go z przyjacielem Münchheimerem. Zastaliśmy wirtuoza przy lekcji, udzielanej młodemu niemcowi, Gutmannowi, najlepszemu swemu, według jego mniemania, uczniowi.

Gdyśmy przybyli, a po chwili i Edward Wolff nadszedł, popisywał się Chopin ze swoim uczniem przed nami i kazał mu grać kilka swoich *Etiud*, dalej *Fantazję* Hummla, oraz parę rzeczy Liszta, jako to: Fantazję z Żydówki, i z arji Paciniego. Wszystko wykonane było z wielką biegłością, a w tej przedstawiał się dobrze przez Chopina uporządkowany mechanizm, lecz ani jednego promyka z iskry genjuszu Mentora nie mogliśmy dostrzec... Po Gutmanna popisie zaprosił nas Chopin na obiad na godzinę 6-tą, wszakże nimeśmy się oddalili, raczył nas karmić swoim talentem, grał ciągle rozmaite swe dzieła.

...Gdy godzina 6-ta nadeszła, stawiliśmy się powtórnie u Chopina: ten zabrał nas do kawiarni narożnej bulwarów i ulicy Montmartre i tam to w antresolowym apartamencie zasiedliśmy do obiadu. Przy gawędce, winie i dobrem jedzeniu, zszedł nam czas mile. Po obiedzie zabrał nas Chopin do siebie i do północy, trwając w dobrym humorze, to wygrywał nam na fortepianie, to nie szczędząc wrodzonego dowcipu, różne swoje farsy do gawęd wprowadzał. Miał jechać gdzieś na wieczór, lecz gdzież tam: nadszedł hałaśliwy Ignacy (Gurowski), gawędy przybrały znaczniejszy charakter, a śród rozpraw, rozpoczęła się sprzeczka między nim a nami o Londyn i Paryż, co trwało więcej niż półtorej godziny. Druga już była po północy, kiedy Ignacy, skutkiem zamierzonego planu, wziął Chopina do kabrjoletu, ja zaś z Wolffem i Münchheimerem, udaliśmy się do domu.

...Kiedy zegary godzinę 6-tą wskazywały, ja, Chopin i jeden z jego przyjaciół (Matuszyński) przybyliśmy na ulicę Montorgueuil, sławną z nieprzeliczonej liczby jadalń, oraz z najświetniejszych w stolicy składów ryb. Tam znajdowała się oddawna słynna restauracja pierwszego rzędu pod nazwą *Rocher de Cancal*... Na wstępie jak zwykle ukazało się nam parę egzemplarzy płci pięknej, siedzącej za strojnym bufetem na wyniosłych fotelach, ale nietylko tu gastronomiczne ponęty zatrzymują smakoszów: wchodzi się na piętro, a na schodach tuż z tej sali na górę wiodących, spotyka się paczka garsonów, z których najbliżej stojący, uważając, ile razem osób składają ci, co przybywają, głośno drugim oznajmiają, by dla takowej liczby stosowny gabinet otworzono. Mieliśmy zatem gabinet na trzech. W nim nader wygodnie mogliśmy się rozgościć. Na stole wpośrodku stojącym leżała książka ze spisem potraw, ćwiartka czystego papieru, atrament i pióro. Powabne, jednotomikowe, ale zupełne dziełko, bo zawierające wszystko, co tylko Paryż dla smakoszów najwykwintniejszego dostarczyć może, stało się natychmiast pastwą naszego przeglądu i przedmiotem narad. Z tem wszystkiem dało się uchwałę absolutnemu rozporządzeniu Chopina. Ten wypisał, czem miano nam usłużyć, a oczekujący zlecenia garson wnet otrzymał rozporządzenie piśmienne. Wkrótce usłużono... Zaczęliśmy od ostryg — wyborne! Następująca zupa, *purée de gibier*, wyśmienita! Zkolei podano *Matlota*. Danie to, wyrównywające samej ambrozji, doskonałem sporządzeniem i wykwintnym smakiem zdawało się z całą dumą chcieć nam przypomnieć, iż w *Rocher de Cancal* obiadujemy. Zastawiono potem szparagi — nie do wychwalenia. Później inne przysmaki, a przedziwny szampan szumnie wszystkiemu towarzyszył.

Z cygarami w ustach udaliśmy się do Tortoniego na kawę. Tam rozmawiając o artystycznych w ciągu mego pobytu zdarzeniach, gdy przyszło do kwestji mego odjazdu, nie chciał Chopin przyjąć ostatniego pożegnania i umówiliśmy się widzieć nazajutrz.

...Przybywszy do Fryderyka, zastałem go, jak już nieraz, przy dawaniu lekcji. Chciałem tylko jednej chwili od niego, ale mnie na dłużej zatrzymał. Dał mi zlecenie do rodziców swoich i rodziny, przytem zobowiązał o ukłony niektórym artystycznym znakomitościom w Warszawie... Miałem się oddalić, lecz zabrał

mnie w kabrjolet, w ostatniej godzinie jedną jeszcze znajomością zrobić mi chcąc niespodziankę. Zawiózł mnie do pracowni pierwszego w Paryżu malarza morskich wyłącznie widoków, pana Gudin. Niepomału uderzony byłem talentem tego artysty, jakoteż godnością i uprzejmością jego osoby. Pan Gudin nagromadzonemi w swojem atelier dziełami porywał za pierwszem na nie wejrzeniem, a ucywilizowanie miłem obejściem słodko uspokajał podniecone wrażenie duszy. Oprowadzając wzrok nasz po pięknych swych pracach, głównie zatrzymał go na ostatniej co dopiero ukończonej robocie, zamówionej przez hr. Demidowa. Dzieło to dwa razy było robione, a każde z niejaką odmianą w pomyśle. Dopytywał się o zdanie... Po ścisłym rozbiorze przyznaliśmy pierwszeństwo jednemu, jako posiadającemu więcej mocy w pomyśle i efektu. Obraz przedstawiał chwilę po burzy na morzu; nie ukazywało się nic więcej, jak tylko jedna ofiara z rozbitego okrętu. Śród łona bałwanów morskich płynął człowiek utrzymujący się jedynie na kawałku zdruzgotanego masztu: był sam jeden, jakby oderwany od wszystkiego, co się światem i życiem zowie, w walce ze śmiercią, wątle zawieszony nad bezdenną otchłanią grobu; tylko mu czarna noc dotrzymywała placu, i daleki księżyc obojętnie przyświecał... Silnego efektu dzieło zatrzymywało nas dość długo przy sobie; pozostalibyśmy dłużej, ale tym razem byłem niewolnikiem czasu. Opuściliśmy więc pracownię pana Gudin... Ostatniem widmem, co go fala czasu porywczym prądem do nielitościwej gnała topieli, było ostanie widzenie się z Fryderykiem, ostatnia zamiana wyrazów życzeń i przyjaźni, i ostatnie z nim pożegnanie».

RAFAEL I FORNARINA W ŻYCIU JULJUSZA SŁOWACKIEGO

Dwa są rodzaje genjuszów artystycznych: prometejski Tytanów, do którego należą tacy naprzykład, jak Eschylos, Dante, Michał Anioł, Beethoven, Corneille, Mickiewicz, Matejko; i niższy cokolwiek, jako potęga, ale wyższy niezaprzeczenie, jako wdzięk, jako poezja, rodzaj — jeżeli się tak wyrazić wolno — bardziej miękki i niewieści, do którego należą takie duchy twórcze, jak Sofokles, Petrarka, Rafael, Racine, Mozart, Chopin, Słowacki, Grottger. Rodzaje te dopełniają się wzajemnie [1]), a zdarzało się niejednokrotnie, że przedstawiciele ich często żyli w jednym i tym samym czasie, lub w odstępach czasu bardzo niewielkich: dość wymienić Eschylosa i Sofoklesa, Dantego i Petrarkę, Michała Anioła i Rafaela, Corneille'a i Racine'a, Beethovena i Mozarta, Mickiewicza i Słowackiego, Matejkę i Grottgera. Cechą wspólną, charakteryzującą i jednych i drugich, jest jakiś instynktowy pociąg, który genjusze-Tytani żywią dla genjuszów-Tytanów, co żyli przed

[1]) Homer i Szekspir są połączeniem tych dwóch gatunków artystycznych. Homer, jako autor *Iliady*, należy do pierwszej kategorji, do tej, co Buonarotti, Dante i inni, a jako autor *Odyssei*, do drugiej, do tej, co Sofokles, Mozart i inni. To samo Szekspir, który, jako autor *Makbeta, Króla Lira, Otella, Ryszarda III* należy do kategorji genjuszów-Tytanów, a jako autor komedyj i takich tragedyj, jak *Romeo i Julja* (a do pewnego stopnia i autor *Hamleta*), do kategorji artystycznych Arielów.

nimi, a tworzyli choćby w zakresie innej sztuki, i który nawzajem, genjusze-Ariele żywią dla swych poprzedników artystycznych, duchowo należących do tej samej kategorji. Znaną jest sympatja Michała Anioła dla Dantego, Chopina dla Mozarta, Grottgera dla Rafaela. W parze z tą sympatją idzie najczęściej pewien brak zrozumienia ze strony Arielów względem Tytanów, oraz pewne lekceważenie, a przynajmniej *bagatelizowanie* ze strony Tytanów w stosunku do Arielów. Za przykład może posłużyć Chopin, który, uwielbiając Mozarta, nie odczuwał wspaniałości — i wyższości nad Mozartowską — muzyki Beethovena; albo Grottger, który, mając kult dla Rafaela, nie rozumiał, na czem polega prawdziwa wielkość — i wyższość nad twórcą *Szkoły Ateńskiej* — Michała Anioła. Za przykład natomiast, jak Tytani nie potrafili ocenić należycie Arielów, jak często byli poprostu niesprawiedliwymi dla nich, mogą posłużyć Michał Anioł i Beethoven: pierwszy, gdy Rafaelowi przyznawał jedynie pracowitość i sumienność; drugi, gdy Mozartowi nie mógł darować *Don Juana*.

I.

Słowacki, jako należący do rodziny artystycznych Arielów, nie mógł tem samem mieć szczególnej słabości do Michała Anioła. Że jej nie miał, dowodem wszystko, co napisał w swojem życiu, począwszy od poematów, a skończywszy na listach: nigdzie — o ile wiem — niema tam choćby najdrobniejszej wzmianki o Buonarottim [1]). Kiedy był w Rzymie, w r. 1836, nie zrobiły na nim silniejszego wrażenia ani *Mojżesz* w kościele

[1]) Raz tylko jeden wspomina Słowacki o twórcy *Mojżesza* w swojej krytyce Krasińskiego *Nocy letniej*, w której pisze: «Ten wielki poeta (Krasiński), w którym dotychczas więcej było ducha, niż ciało zmieścić mogło, teraz odbywa wielką walkę — *pasuje się z marmurem, jak Michał Anioł*; już utwory zrobił prawie zupełnie doskonałymi, a jednak jeszcze mu zarzucić można, że większe robi serca posągom, niż cały rozmiar ludzkich piersi wymaga». Ustęp ten może zarazem służyć za dowód, jak Słowacki nie rozumiał Michała Anioła.

św. Piotra *in vinculis*, ani sklepienie kaplicy Sykstyńskiej, nie mówiąc już o *Sądzie ostatecznym*. Przynajmniej nie wspomina o nich nigdzie, choć wspomniałby zpewnością, gdyby go zachwyciły. Kiedy był we Florencji, w. r. 1838, gdzie miał możność podziwiania takiego arcydzieła, jak *Lorenzo il Pensieroso* na grobowcu Medyceuszów, może największego arcytworu, nietylko Michała Anioła, lecz całej nowożytnej rzeźby wogóle, nie wspomniał ani razu o Buonarottim, jakby nic o nim nie wiedział zgoła. Bywając w kościele *Sante Croce*, gdzie nieopodal grobowca Dantego znajduje się grobowiec Michała Anioła, długo wystawał przed grobem platonicznego kochanka Beatrix Portinari, a zapominał, że w tym samym kościele, o kilka kroków dalej, spoczywa drugi, niemniej wielki Florentczyk, który wspanialsze jeszcze, aniżeli sonety Dantego do Beatrice, pisał sonety do Wiktorji Colonna. Na to wszystko pozostawał Słowacki mniej lub więcej obojętny. Nie pociągał go Michał Anioł.

Zato uwielbiał Rafaela. Co szczególniejsza, że go uwielbiał od dziecka. Jeszcze nie miał lat 10, a już żywił kult dla kochanka Fornariny. Człowiekiem, który się głównie do rozbudzenia w nim kultu tego przyczynił, był wuj jego, Teofil Januszewski, rodzony brat pani Becu, w wolnych chwilach malarz-amator, który przez cały czas dzieciństwa Słowackiego, mieszkając w Wilnie, miał tam swoją pracownię, «malarnię», jak ją nazywa Słowacki. W tej to malarni lubił Słowacki przesiadywać ze szczególnem upodobaniem. Widocznie, że od dziecka czuł jakiś nieprzezwyciężony pociąg do życia artystycznego... Atmosfera pracowni malarskiej, przesiąkła zapachem farb olejnych, pozaczynane obrazy

na stalugach, możność śledzenia ewolucji pomysłów artystycznych, od pierwszego szkicu aż do chwili, kiedy obraz, oprawny w złocone ramy, zostaje wyniesiony z pracowni: wszystko to, o ile trafi na temperament w tym stopniu wrażliwy, jak Słowackiego, musi dlań posiadać niewysłowiony urok, musi w nim rozbudzić już kiełkujące aspiracje artystyczne, uświadamiając jego właściwe przeznaczenie, z dniem każdym coraz bardziej rozwijając przekonanie, że i on w tym przybytku sztuki i piękna nie jest intruzem, że i on stanie się kiedyś tej sztuki powołanym kapłanem, czy to na polu malarstwa, czy na jakiemkolwiek innem. Bądź co bądź, zwykłym zjadaczem chleba nie będzie, czuje bowiem, iż ma w sobie duszę artystyczną i poetyczną, nie na miarę krawca, lecz Fidjasza.

Fidjasza lub Rafaela, o którym mu wuj, jako szczególny wielbiciel genjuszu Sanzia, opowiadał nad wszelki wyraz zajmujące historje. Mały Julek słuchał z gorączkowem zainteresowaniem, bo jakkolwiek liczył sobie dopiero lat dziesięć, już się na tych rzeczach rozumiał, już się zapalał do piękności obrazów twórcy *Sykstyńskiej Madonny*... Jak w ósmym roku życia zapalał się do poetycznych piękności *Iljady*, do bohaterstwa i dzielności wielkich Greków i Rzymian, o których czytał w *Żywotach* Plutarcha, jak był dość inteligentny na to, ażeby, nie mając lat 10 skończonych, rozumieć maksymy moralne Rochefoucaulda, podobnie i teraz, przesiadując w «malarni» wuja, zapalał się do poetyczności obrazów i życia nieśmiertelnego mistrza z Urbino (którego główniejsze dzieła pewno mu «Fil» pokazywał w litografowanych lub rytych na miedzi reprodukcjach). Wogóle, pod względem przedwczesności rozwoju władz umysłowych, było to dziecko fenomenalne; ów zaś «płomień gorączkowy, przedwcześnie zapalony» w jego czarnych oczach, które się wydawały o tyle większe, że odbite od delikatnej niesłychanie, bladej cery, gorzał wtedy najsilniej, gdy dziecko przebywało

«w ciemnej malarni wileńskiej» swego wuja, kiedy pod wpływem jego opowiadań o Rafaelu, «czuło jakiś niewymówiony zapach dawnego artystycznego życia włoskiego», życia, na którego wzór pragnęło — już teraz — urobić swoje. Tymczasem patrzyło na swego wuja, jak z paletą w ręku, malował, jak się raz po raz oddalał od obrazu, ażeby mu się przyjrzeć z pewnej odległości; i to przebywanie «w tym małym pokoiku», źle oświetlonym, do tego stopnia rozmarzało przyszłego poetę i «nastręczało mu tyle snów o Rafaelu», że za największe zaczął sobie uważać szczęście — co zresztą i Teofil Januszewski mógł powiedzieć o sobie — gdyby mógł kiedy pojechać do Włoch, zwłaszcza do Rzymu, i te obrazy Rafaela, które teraz w Wilnie poznawał ze sztychów lub kopij, móc oglądać w oryginale [1]).

Zanim się temu marzeniu jego i «Fila» — jak nazywał swego wuja — stało zadość, upłynęło blisko lat dwadzieścia. Okoliczności złożyły się tak szczęśliwie, że i teraz mogli prowadzić wspólne rozmowy o Rafaelu, z tą różnicą jedynie, że wtedy, w Wilnie, Fil był kawalerem, młodzieńcem jeszcze, zakochanym w młodziutkiej Hersylce Becu [2]), kiedy obecnie ta sama Hersylka była już od lat 10 jego żoną. Tylko Słowacki, pomimo, że już dobiegał trzydziestki, jeszcze nie znalazł sobie towarzyszki na drogę życia, choć zazdrościł tego Teofilowi.

Jedyne, co go pod tym względem pocieszać mogło, to myśl, że i Rafael umarł w stanie bezżennym, a nie przeszkadzało mu to malować wspaniałych obrazów, budzących zachwyt nawet po upływie dwóch stuleci przeszło...

---

[1]) *Bibl. Warsz.*, 1877, II, 170—173. List nieznany J. Słowackiego (do matki).

[2]) A. E. Odyniec, *Wspomnienia z przeszłości*, str. 175. «Pierwszy (Teofil Januszewski) mieszkał osobno, w mieście, jako amator poświęcał się malarstwu, i był zakochany w pannie Hersylji»...

Ten wyraz «zachwyt» najlepiej określa wrażenie, jakie na Słowackim uczyniły malowidła genjalnego ucznia Perugina. Tu jednak podkreślić należy, że z początku, kiedy Rafaela zobaczył po raz pierwszy, doznał lekkiego rozczarowania: poprostu wyobrażał sobie więcej. Ale wrażenie to, jeszcze datujące się z Paryża, z r. 1831, gdzie się z niektóremi dziełami Rafaela poznał w galerji Louvre'u, nie trwało długo. W pierwszej chwili, kiedy, stanąwszy przed jakimś obrazem, bardzo naiwnym pod względem techniki, wyczytał podpisane pod nim nazwisko Rafaela, nie mógł wyjść z podziwienia. Jakto? Więc to jest Rafael? To malowanie przypominające bazgroty dziecka, ma być ostatniem słowem sztuki malarskiej?... I nie mógł zrozumieć, co ludzie widzieli w tem nadzwyczajnego! Ale zrozumiał w końcu! Przekonał się bowiem, że pod pozorami tej naiwności ukrywa się wspaniały rysunek, ogromna prostota, ogromny wdzięk, ogromna poezja! I pomyślał sobie, «iż tak często, nie znającym się na głębi poezji Szekspira, wydaje on się dzieckiem albo warjatem, wtenczas, kiedy każda jego scena odkrywa niesłychaną znajomość serca ludzkiego i napiętnowana jest wielkością poetycką genjuszu». Z podobnem przekonaniem o nieśmiertelnym twórcy *Szkoły Ateńskiej* przyjechał Słowacki do wiecznego miasta, nie dziw więc, że gdy tu zobaczył najgłówniejsze dzieła Sanzia, np. jego watykańskie *loggi*'e, nie umiał — narazie — znaleźć odpowiednich słów na wypowiedzenie swego zachwytu. Znalazł je dopiero po upływie lat szeregu, gdy pisał *Beniowskiego*, a mianowicie jego część drugą, pośmiertną, w której, w jednej dygresji, poświęconej wspomnieniom z czasów pobytu we Włoszech, w dwóch oktawach zdał sprawę z wrażenia, jakie na nim uczyniły

te sufity, gdzie nad ludzką głową
Wisi w tęczowych blaskach dzieło Boże,
A taką sztuką odświeżone nową,
Tak nieśmiertelną, że umrzeć nie może,

Lecz, o Jehowie będąc, jest Jehową:
Iskierką jego treści dotykalną,
Ludzkim filarem wspartą — i widzialną!

I kiedym w górę spojrzał

to przestrachem
Zdjęty, myślałem, że w braku sufitów
Niebiosa wiszą otwarte nad gmachem
I że kolumny są bez żadnych szczytów!
I chciałem myśli tytańskiej zamachem
Zbić to zwierciadło czynów i błękitów,
Gdzie powtórzone, wisi boskie dzieło!
I trwa...

Ten to «cudownie malowany gips» (freski Rafaela) miał — w przekonaniu Słowackiego — na myśli św. Jan, kiedy, mówiąc o kartach ksiąg w Apokalipsie, mówił, że będą *zwinięte*,

Gdy trąby zagrzmią, fale wstaną wzdęte,
A Bóg światowi powie: «W gruzy syp się!»
A grobom powie: «Stójcie odemknięte!»
A tym sufitom: «Skrzydłami się nieście
W niebo, bo z myśli i z nieba jesteście!»

Zwiedzając kościoły i stare pałace rzymskie, kędy «przy obrazach Rafaela i gzymsach złoconych powój gruzów się rozplata», i Słowacki, i wuj jego, i Hersylka, coraz bardziej utwierdzali się w raz powziętym kulcie dla mistrza w Urbino, za czem poszło, że tyle, co o nim, nie mówili o żadnym z malarzów. Były to prawdziwe renesansowe *Causeries romaines*, którym za tło służył niejednokrotnie Watykan ze swemi nieśmiertelnemi *camera*'mi i *loggi*'ami.

Słowackiemu jednak, choć zachwycał się i takiemi arcydziełami, jak *Dysputa* lub *Parnas*, najbardziej podobał się Rafael z czasów swojej pierwszej maniery, z czasów pierwszych Madonn i *Świętych rodzin* w rodzaju Perugina, z czasów, jednem słowem, gdy twórca *Widzenia Ezechiela* jeszcze nie był sobą, lecz Rafaelem-

prerafaelitą. Jest to szczegół pierwszorzędnej wagi, ze względu, iż to smakowanie Słowackiego w «Rafaelu pierwszej manjery» przypada na rok 1836, a więc na całych lat 40 przed narodzeniem się teorji o naiwności w malarstwie, znanej pod nazwą prerafaelizmu, na całych lat 40 przed Dantem Gabrielem Rosettim i angielskimi prerafaelitami. Świadczy to, jak subtelną naturą artystyczną był Słowacki, jak rozumiał i odczuwał to, co się dopiero z czasem narodzić miało, jak znacznie — i pod tym względem nawet — wyprzedził swoją epokę. Jak w jego dramatach, w takim *Horsztyńskim* naprzykład, nie brak scen, pisanych i pojętych całkiem modernistycznie, tak, jak dziś piszą Maeterlinck i Przybyszewski (i ich naśladowcy); jak cały szereg wierszy Słowackiego z epoki towianizmu przypomina — i przewyższa dzisiejszych dekadentów francuskich, Mallarmé, Verlaine, Rimbaud, że o reszcie zamilczę; tak i w r. 1836, w Rzymie, mógł Słowacki, jako taki entuzjasta dla obrazów «Rafaela pierwszej maniery», śmiało nazwać się jednym z twórców kultu prerafaelizmu w sztuce, jednym z prekursorów Ruskina.

Odbiciem tego niekłamanego zachwytu, doznawanego na widok płócien Rafaela, jest pewien ustęp w recenzji o poezjach Bohdana Zaleskiego, napisanej przez Słowackiego w r. 1841. «Z całego poematu — czytamy tam o *Przenajświętszej rodzinie* — widać, że autor chciał zachwycić prostoty, która ze szkoły malarskiej katolickiej (i protestanckiej) wypływa. Pierwsza — piękna — może być wyprowadzona z watykańskiego obrazu Rafaela pierwszej maniery, gdzie z grobu Najśw. M. Panny wykwita siedm lilji, a wkoło stoją anieli, bardzo prosto odrysowani, ale cudownie pięknie. Kto pierwszy raz spojrzy, myśli, że to jakieś dziecko malowało, tak wszystko jest proste i niesztuczne: murawa pociągnięta blado-zielonym kolorem, bez perspektywy prawie; dno niebios blade, jednostajne jak turkus. Ale kto się w twarze aniołów wpatrzy, powoli, powoli przestaje oddychać zachwycony pięknością wyrazu i *małą, a jednak dziwną* rozmaitością uczucia. Teraz Niemiec, Overbeck, naśladując manierę Rafaela, trawy rysuje grynszpanowym, bladym kolorem, niebo zaciąga błękitem, aniołów robi podobnych do woskowych figurek i, taki blado-dziecinny postawiwszy obraz, sądzi, że dosięgnął najwyższego szczytu malarstwa...»

Zdaje się, że i Teofil Januszewski był tego samego, co Słowacki, zdania o Rafaelu. Nie mogli się tylko zgodzić co do *Transfiguracji*, którą kochanek Fornariny, umierając, kazał sobie nad trumną powiesić, gdy ciało jego będzie wystawione na widok publiczny — dowód, jak wysoko obraz ten cenił. Teofil nie lubił tego *Niedokończonego poematu* przedwcześnie zgasłego genjuszu... Słowacki, przeciwnie uwielbiał go.

II.

Tak było w Rzymie, gdzie poeta, mieszkając trzy miesiące przeszło, najwięcej miał sposobności podziwiania Rafaelowskich arcydzieł. Ale i po wyjeździe z wiecznego miasta nie przestały mu okoliczności życiowe mnóstwa «snów o Rafaelu nastręczać». Gdy po powrocie ze Wschodu osiadł we Florencji, która, w wyższym jeszcze stopniu, aniżeli Rzym, przywodzi na myśl owo «dawne artystyczne życie włoskie», o którem w dzieciństwie tyle się «w ciemnej malarni wileńskiej» wuja swego nasłuchał, wyobraźnia jego z natury rzeczy raz po raz zapładniała się obrazami i scenami z owego bujnego i pełnego poezji «dawnego artystycznego życia włoskiego», florenckiego zwłaszcza.

A na czemże zasadzało się ono, to dawne artystyczne życie włoskie, jeśli nie na hołdowaniu sztuce i miłości! Począwszy od Rafaela, który niemniej namiętnie, jak sztukę, kochał piękną Fornarinę, a skończywszy na równie słynnym, jak wyuzdanym Aretinie,

wszyscy sławili miłość i rozkosz. Z jedynym wyjątkiem stetryczałego Michała Anioła, który swą Wiktorję Colonna kochał miłością platoniczną, reszta była daleką od wyznawania anemicznej teorji Platona. Przeciwnie, wszyscy żyli według zasad Epikura, pomni na Horacjuszowskie *Carpe diem*. Całe «dawne artystyczne życie włoskie» dało się streścić w tych słowach.

Wiedział o tem Słowacki i dlatego, przyjechawszy do Florencji, słynnej ze swoich pięknych kobiet, mimowoli myślał więcej, niż kiedykolwiek, o rodzaju życia, jakie prowadził, a które, porównane z «dawnem artystycznem życiem wołskiem», z życiem Rafaela np., za bardzo było nacechowane platonizmem. Nawet w Rzymie, gdzie z taką łatwością mógłby sobie wynaleźć jaką Fornarinę, «czystsze życie wiódł, niż inni, znajdując w tem *jakąś dumną pociechę dla duszy*».

Od chwili jednak, gdy przyjechał nad Arno, gdy zobaczył cudowne Florentynki, o których już Dante powiada, że «chodzą po Florencji, szyję i piersi pokazując nagie», zaczęło go *das Ewig-Weibliche* pociągać coraz bardziej. Najprzód zakochał się w Wenerze Medycejskiej, ale ta pigmaljonowa miłość dla posągu, jakkolwiek artystyczna, potrafiłaby Rafaela i jego wesołą drużynę przyprawić o dobry humor: nie zrozumieliby poprostu, jak można się zakochać w kobiecie z marmuru. Jeżeli się kochać, to w kobiecie żywej, z ciała i krwi; wszystko jedno, z jakiej sfery pochodzi, czy jest córką patrycjusza, czy piekarza, byle była piękną, namiętną, rozkochaną. Fornarina nie była patrycjuszką, a jednak stała się najukochańszą kochanką Rafaela!...

Myśl ta nie dawała spokoju Słowackiemu, aż wkońcu i on znalazł swoją Fornarinę.

Była nią «prosta dziewczyna» z ludu, za którą przemawiało jedno tylko: nadzwyczajna piękność. Słowackiemu wydała się odrazu podobną do Fornariny, uważał jednak, że była jeszcze «piękniejszą od tej, którą malował Rafael». Jakoż, zapoznawszy się z nią

bliżej, poprostu oszalał dla niej, tak, że w jednej chwili z dawnego roztropnego młodzieńca, który się «rozważnie prowadził i wszelkich niebezpieczeństw ze strony kobiet *z dziwną zręcznością* unikał», stał się, jakby za dotknięciem jakiejś różdżki Afrodyty, «młodym chłopcem *szalonym*», który, «*pomimo przestróg rozumu*, zakochał się z całą pasją serca swego», przekonany ostatecznie, że tylko taka miłość, takie upojenie zmysłów, jest coś warte naprawdę, i że taka Fornarina, chociażby była prostą dziewczyną, jeżeli kocha i oddaje się z prawdziwej miłości, może dać więcej niezaprzeczalnego szczęścia, aniżeli wszystkie idealne i platoniczne miłości, które «jak próchno świecą», razem wzięte. Byle kochała, naturalnie, i byle była piękną!... Jego Fornarina florencka, piękna, jak grzech, była nietylko prześliczną dziewczyną, ale nadto posiadała taką typową urodę Włoszki, że «zupełnie odpowiadała pięknym okolicom włoskim». Oczy jej, szafirowe przy świetle wieczornem, stawały się we dnie, przy słońcu, czarnemi, «jak kamienie w powieściach wschodnich». Kształtna, wysmukła, z piersiami jawnemi — jakby się o nich wyraził Jan Kochanowski — posiadała coś czystego w sobie, co ją — w oczach rozmarzonego poety — czyniło podobną do «Nimfy mitologicznej», a co go przykuwało do niej, pociągało jak magnes, przyprawiało o «szał». Zwłaszcza, że, kiedy on szalał bez opamiętania, ona chwilami wydawała mu się «nieco zimna z charakteru», co go rozpłomieniało tembardziej. Zupełnie «wyszedł z normalnej kolei». Dawno — a może nigdy w życiu — nie czuł się tak opętany miłością. Dotychczas bywał niekiedy, jak Anhelli, «opętany przez anioła», teraz był opętany przez kobietę rzeczywistą, o pięknem ciele i krwi południowej. Poprostu nie poznawał się w tych «ekscentrycznych chwilach». Nie przypuszczał bowiem, że był zdolny do takiej «burzy serca». Stanowczo była to najgwałtowniejsza burza, przez jaką przechodził kiedykolwiek, burza, którą miotany i rozkołysany, czuł

się szczęśliwy, jak nigdy, a podczas której, jak Rafael, upojony pocałunkami i pieszczotami Fornariny, z lubością wspominał:

Quanto fu dolce el giogo e la catena
De suoi candidi braci al col mio volti...

Pod wpływem tego Rafaelowskiego rozigrania zmysłów, zapomniał, iż ten romans jego, to ostatecznie «rzecz pospolita bardzo», a że miał wyobraźnię bujną, jak mało kto, która najpospolitszą rzeczywistość umiała przystroić w najczarowniejsze girlandy najbardziej rozmarzającej poezji, więc począł to «swoje bóstwo» florenckie osnuwać w coraz idealniejsze szaty... Co ważniejsza, to, że chwilowo zaprzestał myśleć o wyjeździe z Florencji, choć tyle ostatnimi czasy przemyśliwał o powrocie do Paryża... Kto wie, myślał sobie, czy ta Florentynka nie jest ostatnią różą na wątłej łodydze jego «wdowiego życia»? Pocóż więc, mogąc jeszcze długo upajać się odurzającym zapachem tej przewonnej róży, zrywać ją zbyt prędko? Niech kwitnie!... A Paryż? Paryż nie ucieknie. Tak rozumując, choć od trzech miesięcy wybierał się w podróż, bo miał dość ważne interesy, które go przywoływały nad Sekwanę, siedział nad Arnem, przy swojej Fornarinie, i ostatecznie «wybrać się nie mógł». Strasznie mu się nie chciało odjeżdżać od tej dziewczyny...

Ale wszystko, niestety, musi mieć swój koniec, wszystko, nie wykluczając i miłości. Jeżeli kobieta-kochanka zadawalnia tylko zmysły, jeżeli jest tylko piękną, to choćby nawet była «piękniejszą od tej, którą malował Rafael», (a taką była w oczach poety jego florencka kochanka), przesyt musi nastąpić prędzej, czy później. Co innego, jeśli pod powłoką ciała Fryny mieszka dusza Aspazji. Zdaje się jednak, iż za Fornariną Słowackiego, jak za Fornariną Rafaela, przemawiała

tylko piękność zewnętrzna. Ostatecznie była to «prosta dziewczyna».

Stąd poszło, że i Słowacki, po upływie trzech miodowych miesięcy, powoli zaczął ostygać w swoim zapale, a równocześnie zaczął się bać tego zakochania się swego w prostej dziewczynie, zaczął się lękać, ażeby go ono «nie pozbawiło mocy charakteru i panowania nad sobą» i żeby go wkońcu «do jakich szaleństw» nie przywiodło. Obawa podobna, to był początek końca. Doszło do tego, że poeta zaczynał się czuć zmęczonym tą romansową idyllą *à la Rafael*, poczem przyszła kolej i na to, że go ta *bonne fortune* coraz bardziej zaczęła «napełniać czczością»: uważał, iż należałoby pomyśleć o zręcznem wycofaniu się z tego zaczarowanego koła miłości... Już miał dosyć pieszczot swej Fornariny!... Niestety, wszystko rozbijało się o to, że Fornarina inaczej zdawała się na sprawę tę zapatrywać: poprostu ani myślała o zerwaniu, o rozłączeniu się. Po co? A bo to im było źle z sobą?...

W takiem usposobieniu, któregoś wtorku, jednego z pierwszych dni lipca, wynajął Słowacki — by sprawić przyjemność swej Fornarine — jednokonny *tilbury* i pojechali na spacer. Dokąd? Do *Pratolino*. Jest to ogród angielski, położony trochę za miastem, a mniej uczęszczany w dnie powszednie, zwłaszcza w porze południowej. Dzień był prześliczny, upalny; słońce świeciło i dopiekało; w powietrzu panowała cisza. Słowacki był w doskonałym humorze, Fornarina także. Bawiła ich ta przejażdżka we dwoje. W południe wysiedli z powoziku (który pewno zostawili w jakim zajeździe, gdzie się prawdopodobnie i posilili także), poczem pieszo udali się na spacer do parku. Ponieważ park był pusty o tej porze, więc «niczem niestrwożeni, sami», mogli być swobodni, nieskrępowani, biegać po murawach, gonić się, chować jedno przed drugiem, zrywać róże, odpoczywać w cieniu i chłodzie grot, w których mruczały strumienie — jak w poemacie *W Szwajcarji* —

słowem, używać pięknego dnia *ganz nach freier Lust*, jakby powiedział Goethe, i doznawać czarującego złudzenia, że są «nowym Numą z Egerją». W ten sposób upłynął im cały dzień, wesoło, pogodnie i płocho, jak sobie tylko życzyć można. Niczem marzenie! Poeta zapomniał o «czczości», która mu się dawała uczuć jeszcze wczoraj, i znowu była mu ta Fornarina «miłą», jak dawniej.

Epilog jednak, którym się miał zakończyć ten spacer, wypadł mniej szczęśliwie. Gdyby nie szczęście w nieszczęściu, mogła przygoda, która im się przytrafiła, skończyć się o wiele gorzej. Stało się tak. Kiedy wracali z *Pratolino*, oboje weseli i rozbawieni, szczęśliwi i zakochani, Słowacki, powożąc, zajęty rozmową z siedzącą przy nim Fornariną, zagadał się, zapomniał o lejcach, które należało trzymać krócej: dość, że koń, poczuwszy, iż nie jest trzymany silną ręką, wziął na kieł i poniósł. Widząc, że go nie zdoła powstrzymać w biegu, poeta, nie namyślając się długo, skręcił gwałtownie, tak, żeby wywrócić, ale wywrócił tak szczęśliwie, że wolancik przełamał się na pół, koń z przedniemi kołami uciekł (ale go złapano zaraz), a oni znaleźli się na ziemi, na trawie. Egerja upadła na Numę, lecz tyle było i katastrofy; przekonali się bowiem, kiedy powstali z ziemi, że oboje są zdrowi i cali, że im się nic nie stało; nawet siniaków uniknęli. Najgorzej na tej katastrofie wyszedł koń, który się pokrwawił, oraz kabrjolet, za którego naprawienie musiał Słowacki zapłacić kilka skudów. Zresztą nie wpłynęło to nieprzewidziane *intermezzo* na pogorszenie humoru kochanków: tyle tylko, że musieli — jak niepyszni — wracać pieszo. Swoją drogą wracali weseli i podochoceni; Słowacki dowcipkował, Fornarina się śmiała; poeta dowodził, że «można w Azji i Afryce wojażować bez żadnego niebezpieczeństwa, a na drodze do *Pratolino* spotkać się z królową ostatecznych przestrachów, jak mówi Pismo święte»; a Fornarina pocieszała go, że choć nieszczęśliwy do

koni, przecież nie zginie od nich (prędzej od kobiet). Tak żartując i śmiejąc się, powrócili do domu...

Słowackiemu jednak, który był zawsze przesądny trochę, dał wypadek ten, jakkolwiek błahy sam przez się, niemało do myślenia. Kto wie (myślał sobie), czy to nie była symboliczna przestroga ze strony Opatrzności? Czy nie znaczyło to, że należy zaprzestać tych przejażdżek z Fornariną, jeśli się chce uniknąć nieszczęścia. Skończyło się na tem, że zaczął «widzieć przestrogę w tem zdarzeniu». Niedawno, niedalej, jak kilka dni przed tym spacerem, kiedy się wahał, czyby temu romansowi nie położyć końca, powiedział sobie, po dłuższym namyśle: «Niech się stanie, jak się Bogu podoba». Widocznie, że się Panu Bogu nie podobało to jego «zakochanie się w prostej dziewczynie», skoro go przestrzegł tym wypadkiem z koniem. Być może, że inny na miejscu Słowackiego nie uważałby na taką przestrogę; ale Słowacki uważał i «opuścił» swą Fornarinę. Obawiał się, żeby nie skończyć, jak Rafael... Pragnąc jednak, ażeby stanowczo ujść pokusie, ażeby już nie powrócić do swej Florentynki, ażeby nie zatęsknić przypadkiem do tych «dni ognistych różowego koloru», jakie miał do zawdzięczenia Fornarinie, i po pewnym czasie nie wrócić do niej, postanowił nie zwlekać ze swym wyjazdem do Paryża. Tym sposobem (rozumował) uniknie recydywy, która w miłości jest niebezpieczniejszą o wiele, aniżeli w jakiejkolwiek innej chorobie.

Bądź co bądź, wyjeżdżając z Florencji, mógł powiedzieć o sobie:

— I ja też miałem Fornarinę moją!

ODKRYCIE CZY APOKRYF?

Na początku roku bieżącego, w wydawanej w Sztutgardzie pod redakcją p. Oswalda Kühna *Neue Musik-Zeitung*, w numerze z d. 8-go stycznia, ukazały się na pierwszej stronie nieznane dotychczas «Kartki z dziennika Fryderyka Chopina». Całkowity tytuł tego po raz pierwszy ogłoszonego dokumentu brzmiał, jak następuje: *Frédéric Chopins Tagebuchblätter. Autorisierte Uebersetzung von H. Wiesenthal. Eingeleitet und mit Anmerkungen versehen von Adolf Chybinski (München).*

Pracując nad monografją o Chopinie, z wielkiem zainteresowaniem przystąpiłem do zapoznania się z tem pierwszorzędnem odkryciem, jakkolwiek muszę przyznać, że nie mogłem się nie uśmiechnąć mimowoli, przeczytawszy w tytule, że mam przed sobą *Autorisierte Uebersetzung*. Tego na razie nie mogłem zrozumieć, gdyż autoryzowany przekład Chopina, dokonany z upoważnienia autora (bo tak należy rozumieć wyrażenie *Autorisierte Uebersetzung*), musiałby być robiony w porozumieniu z Chopinem, co jakoś nie wydaje się prawdopodobnem... Lecz mniejsza o ten niewinny *lapsus* w tytule. Rzecz taka może przytrafić się każdemu. *Das kommt in den besten Familien vor*, jak w swym języku powiadają ci, dla których to autoryzowane tłumaczenie «kartek z dziennika Chopina» było przedewszystkiem przeznaczone.

Chodzi o to, żeby sam «dziennik» nie zawiódł oczekiwań, żeby się okazał godnym tych «kartek z dziennika», które Chopin w roku 1831 na wiadomość o wzięciu Warszawy pisał podczas pobytu swego w tymże Sztutgardzie, gdzie teraz ogłoszono te nowe kartki z jego pamiętników, a które w roku 1871 ogłosił po raz pierwszy z autografu (będącego wtedy w posiadaniu księżny Marceliny Czartoryskiej) prof. Stanisław Tarnowski. Otóż po przeczytaniu tych chopinowskich *Tagebuchblätter*, pisanych między rokiem 1837 a 1848, pierwszem uczuciem, którego doznałem, było przykre uczucie zawodu. Spodziewałem się czegoś więcej. Myślałem, że dziennik Chopina, kreślony pod wrażeniem tak przełomowych zdarzeń w jego życiu, jak poznanie się z panią Sand, a potem zerwanie z nią, jak pobyt na Majorce albo w Szkocji, iż dziennik z tego czasu, wobec wyjątkowego talentu pisarskiego Chopina, będzie bardziej zajmujący, świetniejszy. Tymczasem te kartki, które przynosi «autoryzowane tłumaczenie» p. H. Wiesenthal [1]), są naogół nic nie znaczące, a przytem blade jakieś, nikłe, chciałoby się powiedzieć: banalne. Słowem, wcale nie takie, jakichby się można spodziewać po Chopinie.

Coprawda, muszę wyznać otwarcie, że po Chopinie, ja osobiście, spodziewałem się... jeszcze mniej. Znając jego usposobienie, jego lenistwo do pisania, zwłaszcza do pisania listów, jak wogóle do pisania o sobie, byłem zdziwiony niemało, kiedym się dowiedział, iż znalazł się — i to w Niemczech — nieznany pamiętnik Chopina, i to z lat 1837—1848. Bo że 20-letni Chopin pisał dziennik w r. 1831, to się da wytłumaczyć wyjątkowym nastrojem chwili. Albowiem była to istotnie «chwila osobliwa». Powtóre, myślałem sobie, gdyby

[1]) W ostatniej chwili dowiaduję się, iż H. Wiesenthal jest kobietą, ale ponieważ nie wiem, czy nią jest pani Wiesenthalowa czy też panna Wiesenthalówna, więc dlatego nie odmieniam jej czcigodnego nazwiska, lecz piszę wszędzie p. H. Wiesenthal.

x) Sydow: Helene

istniał taki dalszy ciąg dziennika Chopina, toby coś o nim wiedziano w rodzinie artysty, wiedziałyby panie Ciechomskie, wiedziałby p. Jędrzejewicz. Może wiedzieliby i inni... Okazało się jednak, że podobne przypuszczenia nie miały racji, gdyż, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, nieznany u nas nikomu *journal intime* Chopina znalazł się w Niemczech i dzięki p. H. Wiesenthal poznaliśmy go, nie w polskim oryginale wprawdzie, ale na razie tylko w niemieckiem, coprawda «autoryzowanem» tłumaczeniu. Jeden dowód więcej, iż życie przynosi same niespodzianki, a *spiritus flat ubi vult.*

Bądź co bądź, zaprzeczyć się nie da, na co p. Chybiński w swym doskonałym wstępie objaśniającym zwrócił należytą uwagę, że ogłoszone kartki przynosiły sporo rzeczy nowych, nieznanych dotychczasowym biografom Chopina, a prostowały niektóre mylne daty, lub ustalały niektóre wątpliwe. Tak np. dowiedzieliśmy się z nich, że panna Stirling miała... duży nos, iż znała się z Chopinem już w r. 1837-ym, że ją Chopin nazywał Rebeką (co pozwala się domyślać, że duży nos czynił pannę Stirling podobną do żydówki), że w r. 1838 «Rebeka» towarzyszyła Chopinowi na Majorkę... Ale też na tem koniec. Wszystko inne, co przynoszą te świeżo ogłoszone kartki z dziennika Chopina, jest znane, choćby z książki Karasowskiego.

Jakoż, nie przywiązując zbytniej wagi do tych, dość błahych i bladych «kartek z dziennika Chopina», przekonany, że nie na wiele mi się przydadzą przy pisaniu drugiego tomu mojej książki o Chopinie, schowałem je do szuflady, ażeby je stamtąd wydobyć w stosownej chwili.

Było to mniej więcej w końcu stycznia r. b.

Przed kilku tygodniami wpadł mi do ręki Nr. 237 warszawskiej *Nowej Gazety* z d. 22-go września, z feljetonem, zatytułowanym: *Nieznany pamiętnik Chopina.* W feljetonie tym, podpisanym literą *Ł.*, wyczytałem następującą wiadomość: «Pan Gaston Knosp ogłasza w *Guide musical* świeżo zdobyte ważne przyczynki do życia Chopina w postaci urywków z pamiętnika, pisanych w czasie od 6-go października 1837-go r. do czerwca 1848 r.... Subtelna chorobliwa dusza artysty odsłania się cała w tych poetycznych zwierzeniach, które brzmią prawie jak romans i zawierają ważne daty chronologiczne w stosunku jego do pani George Sand, którą nazywa Aurorą, i do szkotki, Jane Stirling, która się u niego nazywa Rebeką». Zkolei następował szereg wyjątków z tego «nieznanego pamiętnika Chopina», z których poznałem jednak, iż tu chodzi o ten sam pamiętnik, czy dziennik, którego wyjątki znałem już z «autoryzowanego» tłumaczenia p. H. Wiesenthal. Nie był to już więc dla wszystkich zupełnie «nieznany» pamiętnik, w każdym razie był nieznany dla autora feljetonu, pana Ł., dla którego również nieznanym szczegółem zdawał się być fakt, że właściwem nazwiskiem pani Sand było *Aurora* Dudevant. Nic dziwnego tedy, że ją Chopin w swym dzienniku nazywa Aurorą.

Jeszczem nie ochłonął z wrażenia po przeczytaniu feljetonu p. Ł., gdy mi nadesłano Nr. 13 *Życia ilustrowanego* — z artykułem na str. 103, zatytułowanym: *Z dziennika Fryderyka Chopina.* Oto jego początek: «Gaston Knosp ogłasza w *Guide musical* wyjątki z dziennika Fryderyka Chopina — od 6-go października 1837-go do czerwca 1848-go r., stanowiące ciekawy przyczynek do żywota mistrza. Są to melancholijne dźwięki duszy tkliwej i serca rozkochanego, poetyczne marzenia i wyznania miłości, rzucające światło na stosunek wielkiego artysty do pani George Sand, zwanej w pamiętniku Aurorą, i szkotki, pani Jane Stirling, nazwanej Rebeką» [1]).

Zaciekawiony temi dwoma artykułami, z których

---

[1]) Artykuł ten przedrukowała w całości krakowska *Nowa Reforma* z d. 28-go września.

pierwszy zdawał się być rodzonym ojcem drugiego, sprowadziłem sobie czemprędzej tak rozsławiony numer paryskiego *Guide musical* z ogłoszonym w nim przez p. Gastona Knospa «nieznanym pamiętnikiem Chopina». Wydrukowany na pierwszem miejscu p. t.: *Le Journal de Chopin*, a poprzedzony dość obszernym wstępem p. Knospa, jest to dosłowny (nie wiem, «autoryzowany», czy nie) przekład ogłoszonego w styczniu «autoryzowanego» tłumaczenia p. H. Wiesenthal. Ponadto ogłoszony przez p. Knospa *Journal de Chopin* nic nie przynosi. Nie ulega wątpliwości, że p. Knosp nie miał pod ręką oryginalnego tekstu dziennika Chopina (choć nadmienia wyraźnie, że dziennik ten pisany jest w oryginale po polsku), lecz tłumaczył z niemieckiego, coprawda «autoryzowanego» przekładu z *Neue Musik-Zeitung*, w czem poszedł nawet tak daleko, że przyswoił sobie także niektóre spostrzeżenia z przedmowy p. Chybińskiego, o czem jednak nie napomyka ani słówkiem: ani wtedy, gdy chodzi o kartki z dziennika Chopina, ani wówczas, gdy się zapożycza u P. Chybińskiego; a że się świadomie zapożycza u niego, nie trudno dowieść, porównawszy choćby kilkanaście wierszy z jego wstępu ze wstępem p. Chybińskiego.

P. Chybiński pisze w 9-tym wierszu swego wstępu:

«Besonders wichtig ist dieses Tagebuch für das Kapitel: *Die Frauen im Leben Chopins*».

Tego samego zdania jest i p. Knosp, który twierdzi w 8-ym wierszu swej przedmowy:

«Le Journal en question est surtout intéressant à cause du châpitre des *femmes dans la vie de Chopin*».

Podobieństw takich, równie dziwnych, jak uderzających, dałoby się wykazać więcej, a że wstęp p. Chybińskiego wydrukowano w styczniu 1907 r. (więc napisany był pewno jeszcze w r. 1906), przedmowa zaś p. Knospa ukazała się dopiero we wrześniu, więc z pewnością nie p. Chybiński zapożyczył się u swego kolegi

z *Guide Musical*, ale rzecz miała się przeciwnie. Dlatego uważam, że obowiązkiem p. Knospa, obowiązkiem nakazanym przez samą przyzwoitość, było bezwarunkowo, ażeby, ogłaszając w *Guide Musical* przetłumaczone przez siebie *feuilles d'un journal autographe de Chopin*, zaznaczył wyraźnie, że choć pomienione *feuilles* w autografie są *redigés en langue polonaise*, on jednak tłumaczył je nie z oryginału, lecz tylko z «autoryzowanego» przekładu niemieckiego p. H. Wiesenthal, ogłoszonego w *Neue Musik-Zeitung*, i że w swojej przedmowie korzystał z niektórych spostrzeżeń ze wstępu p. Chybińskiego. Tego wszystkiego p. Knosp nie zrobił, co mu się, mojem zdaniem, nie chwali, bo poco się stroić w cudze pióra, kiedy taka mistyfikacja bywa jeszcze przez niektórych nazywana brzydko... plagjatem.

Tyle powiedziawszy o p. H. Wiesenthal z *Neue Musik-Zeitung* i o p. G. Knospie z *Guide Musical*, czas już zająć się wkońcu samym Chopinem, t. j. rozejrzeć się nieco uważniej w tych «nieznanych» dotychczasowym biografom kartkach z jego dziennika. Słusznie im się to należy: raz dlatego, że nic o nich nie wiedziano wśród ziomków i wielbicieli genjuszu Chopina, a powtóre, że — jak to już stwierdzono u nas i zagranicą — są to «ważne przyczynki do życia Chopina», zawierające «ważne daty chronologiczne w stosunku jego do pani Sand, którą nazywa Aurorą».

Ponieważ kartki te «stanowią ciekawy przyczynek do żywota mistrza», więc rozważmy je pokolei, zaczynając od pierwszej. Nawiasem mówiąc, wszystkie te kartki, bez wyjątku, są systematycznie datowane z zaznaczeniem miejscowości, skąd pochodzą, czem się zasadniczo różnią od dziennika z r. 1831, gdzie Chopin rzucał tylko bezładnie cisnące mu się do głowy myśli, ani razu nie zapisując, kiedy i gdzie miotały nim dane uczucia. Ta iście niemiecka systematyczność, z jaką prowadzony jest ten świeżo odnaleziony dziennik,

świadczy wymownie, że z wiekiem Chopin widocznie nabrał zamiłowania do porządku, którym się dawniej nie odznaczał. Nic też o tem nie wiedział żaden z jego biografów, ani Liszt, który przecież Chopina doskonale znał osobiście, ani Niecks, który zwłaszcza o tej epoce, z lat 1837—1848, wcale niezłe ma informacje. Jest to pierwsza rzecz nowa, którą przynoszą te kartki, rzeczywiście «ważna», albowiem odsłaniająca nieznany rys charakteru Chopina, którego dotychczas nie domyślano się w nim wcale.

Pierwsza z tych *Tagebuchblätter* oznaczona jest, jako napisana w Paryżu d. 6-go października 1837 roku. Oto jej treść: Chopin siedzi w domu. Na dworze deszcz. Chopin nudzi się, przyczem słyszy nietylko monotonne bicie zegaru, ale i bicie własnego serca. Myśli nie bez zniecierpliwienia o pannie Stirling, którą nazywa Rebeką, która go nudzi swoją miłością, ale która mu za to przysłała bukiet ulubionych przez niego fijołków. «Deszcz, nic tylko deszcz przez cały dzień (pierwsze są słowa dziennika). Nikt do mnie nie przyszedł. Nic nie ożywia mej duszy, nic nie przerywa jednostajnego trapp, trapp, trapp bicia mego serca». Melodja monotonna deszczu październikowego ogarnia samotnika, który w obliczu kilku fijołków przed nim leżących snuje marzenia o swych dawnych kochankach. Tak streściwszy środkowy ustęp tej pierwszej zapiski, p. Ł. z *Nowej gazety*, w ten sposób tłumacząc (z francuskiego) kilka ostatnich wierszy: «Pierś mi się rozrywa, a jednak życie stworzone jest do uciech i miłości. Miłość, słodka jak sen, słodka jak muzyka, smutna, rozkoszna miłość! Ach, gdybym tylko nie był tak tem wszystkiem zmęczony! Bicie zegara łączy się z biciem serca mego. Jakże wolno noc się posuwa!»

Lecz najważniejsze jest zdanie ostatnie, pisane z myślą o niedawnem zerwaniu z Marją Wodzińską: «Nie chcę dłużej dźwigać tego ciężaru. Chcę odpocząć, odpocząć przy sercu kobiecem!»

Po przeczytaniu tej pierwszej «kartki z dziennika Chopina» ma się wrażenie, iż się słucha jakiejś melodji... dobrze znanej. Jej deszczowy nastrój mimowoli każe myśleć o t. zw. «deszczowem» *Preludjum Des-dur;* podobnie, jak czytając o uderzeniach zegaru, wybijającego: «raz — dwa — trzy — dziewięć — dziesięć» (co pozwala się domyślać, iż pisał to Chopin o godz. 10-tej wieczorem), trudno nie pomyśleć o 17-em *Preludjum As-dur,* w którem tak wyraźnie słychać jedenaście uderzeń zegaru, dzięki czemu nazywa się je też powszechnie «preludjum z jedenastą godziną». Wprawdzie w danym razie zegar bije godzinę dziesiątą, nie jedenastą, ale mimo to myśli się o tem preludjum. Inaczej ma się rzecz ze złośliwą wzmianką o pannie Stirling, którą tu nazywa się Rebeką, a o której «jastrzębim nosie» Chopin rozpisuje się obszerniej. Zapisuje przytem, iż irytuje go jej uwielbienie dla niego, że ma już dosyć i jej fijołków, i jej nosa! Czytając to, mimowoli myśli się o jednym z późniejszych listów Chopina, w którym skarżąc się na zbytnią troskliwość panny Stirling (której jednak nie nazywa Rebeką) i jej siostry, pani Erskine, pisze do Grzymały: «Moje szkotki pokoju mi nie dają... One mnie kiedy przez dobroć zaduszą, a ja im tego przez grzeczność nie odmówię». Lecz co najbardziej uderza przy czytaniu tej deszczowej kartki, to, że podobnie deszczową kartkę znajdujemy pod rokiem 1837 — i bezpośrednio przed opisem sceny poznania się Chopina z panią Sand — w książce Karasowskiego, gdzie na str. 73 tomu II czytamy, co następuje: «Podczas jednego dnia dżdżystego Chopin znajdował się w stanie silnego rozdrażnienia nerwów, będącego skutkiem zbyt wilgotnej temperatury, której nigdy nie znosił. Nikt ze znajomych nie odwiedził go przez cały dzień, żadna książka rozerwać go nie mogła, ani jedna myśl muzykalnie szczęśliwa nie przyszła mu do głowy». Ponieważ wiemy napewno, że Karasowski nie znał tych «kartek z dziennika Chopina», które poznaliśmy dzięki

«autoryzowanemu» tłumaczeniu p. H. Wiesenthal, więc dziwne to podobieństwo musi zastanowić...

Niemniej zastanawiającą jest druga kartka, pisana w cztery dni później, w Paryżu d. 10 października 1837 r. Czytając ją, doznaje się niewymownie przykrego wrażenia, iż się ma... umysł pomieszany! Albowiem, wczytując się w nią uważnie, dochodzi się do zupełnie warjackiego wniosku, godnego figurować w *Le Horla* Maupassanta, iż Chopin w r. 1837 znał już książkę Karasowskiego z r. 1884!!!...

Oto bowiem, co w r. 1884 pisze Karasowski:

Nareszcie, kiedy wybiła godzina dziesiąta (przypomina się tu raz jeszcze dziesiąta godzina z poprzedniej kartki), przypomniał sobie salon hrabiny C., w tym dniu bowiem zwykła była przyjmować towarzystwo, składające się zwykle z osób odznaczających się pięknością, rozumem lub artystycznemi zasługami. Kiedy szedł po schodach pokrytych dywanami, zdawało mu się, jak gdyby cień jakiś postępował za nim; woń fiołków, ulubionych mu kwiatów, rozchodziła się w powietrzu. I takiego naraz doznał uczucia, jak gdyby go miało coś niezwykłego, coś nadzwyczajnego spotkać... Powitawszy panią domu, kiedy się obejrzał po salonie, ujrzał obok znajomych, kilka zupełnie obcych osób... Kiedy salon począł się już wyludniać, a konwersacja poufna coraz szczuplejszemi węzły ścieśniała kółka pozostałych bliższych przyjaciół domu, wtedy Chopin zasiadł do fortepianu, poczuł bowiem w sobie znienacka chęć do improwizowania. Słuchacze oddech w sobie wstrzymali. Zatopiony w poetycznych obrazach, przedstawiających się oczom duszy jego, Chopin wyrażał je potokami czarownej muzyki, okres po okresie szybko po sobie następującemi. Nagle spojrzawszy przed siebie, ujrzał wspartą na końcu fortepianu kobietę, nieruchomie, niby kamienny posąg, naprzeciwko stojącą. Czarne jej, płonące żarem oczy, przy oliwkowej prawie cerze twarzy, zdawały się go nawskroś przenikać. Chopin uczuł, że pod wpływem jej fascynacyjnego wzroku, oblicze jego się zarumieniło: ona uśmiechnęła się nieznacznie. A kiedy powstał z krzesła i schronił się dla odpoczynku poza grupą kwiatów kameljowych, posłyszał szelest jedwabnej sukni, wydającej woń fiołkową, i ujrzał tuż przy sobie ową damę, która go tak wzrokiem przy fortepianie przeszywała, wspartą na ramieniu Liszta. Gdy ją tenże mu przedstawił (dziwna, iż nie jego jej przedstawił, jakby się tego po dobrze wychowanym Liszcie należało spodziewać), poczęła głosem dźwięcznym mówić o jego grze, o treści służącej za tło do improwizacji. Chopin słuchał słów jej pochlebnych z pewnym rodzajem niezwykłego wzruszenia; jakaś duchowa siła i nieopisana poetyczność wyrażeń, płynących niby potok z ust tej kobiety, przekonywały go, że potrafiła odgadnąć i zrozumieć jego muzykalnego natchnienia intencje, jak nikt jeszcze dotychczas. Była to George Sand. «Poznałem wielką znakomitość, panią Sand, ale twarz jej niesympatyczna nie podobała mi się; jest w niej coś odpychającego». Tak pisał w kilka dni później do rodziców...

Oto zaś, co w r. 1837 pisze w swym «dzienniku» Chopin:

Była to doskonała myśl. Zdjąłem szkaradny szlafrok i nuda zaraz zniknęła. Pachnąca kąpiel, cienka jedwabna bielizna i balowy strój nastąpiły potem. Żwawo poczęła krew krążyć w żyłach, ciche melodje brzęczały mi w uszach, wdychałem słodką woń fiołków. Prześladował mnie ten zapach, gdym mijał mokre ulice, gdym wchodził po wysłanych dywanami schodach do salonu hrabiny Czosnowskiej. Dusza moja była zadowolona. Cień jakiś skrzyżował się ze mną po drodze. Obejrzałem się przestraszony. Nie, nie było to nic innego, tylko stojąca przy ścianie statua Wenery. Dobry mój anioł prowadził mię dalej. Trzy razy widziałem ją od tego czasu. A tak mi jest, jakby to był dopiero jeden dzień. Gdym grał, wpatrywała mi się głęboko

w oczy. Była to muzyka rusałek, zalotna i słodka, trochę smutna. Baśń o Dunaju (skąd Chopinowi przyszła ochota improwizować baśń o... Dunaju, także zrozumieć trudno). Serce moje tańczyło z niemi w ojczyźnie. Oczy jej głęboko wpatrywały się w moje. Ciemne oczy, szczególne oczy. Co z nich mówiło? Wsparła się na fortepianie i pełne żaru jej spojrzenia trafiały we mnie. Dusza moja znalazła przystań. Dziwne te oczy uśmiechały się. Twarz była męska, rysy grube, prawie pospolite, ale te szczególne, ponure oczy! Zwracałem się w ich stronę, cofnąłem się przecież onieśmielony. Oddaliła się. Później mówiliśmy jeszcze z sobą o rzeczach ogólnych. Liszt, widząc mnie siedzącego samotnie, przyprowadził ją ku mnie. Wkoło nas były kwiaty. Serce moje zajęło się. Chwaliła moją grę. Zrozumiała mnie. Ale ta surowa, smutna, brzydka twarz! Widziałem ją jeszcze dwa razy od tego czasu. (Dopiero co pisał, że widział ją trzy razy od tego czasu). Raz w jej salonie, w otoczeniu wysokiej francuskiej arystokracji, drugi raz — samą. Ona mnie kocha. Aurora! Co za miłe imię. Noc się kończy. Dnieje.

Nikt nie zaprzeczy chyba, iż podobieństwa są uderzające, że wszystko mniej więcej, co jest u Karasowskiego (wzięte z pseudo-poetycznej książki L. Enault), znajduje się i w tej zapisce Chopina. Dziwne to podobieństwo, tem dziwniejsze, iż Karasowski napewno nie wiedział o istnieniu tego «nieznanego pamiętnika Chopina». Ale dowodzi to, że *les beaux esprits se rencontrent* nawet po upływie lat czterdziestu siedmiu, jeżeli chodzi o *bel esprit* Karasowskiego, lub przed ich upływem, jeżeli chodzi o *bel esprit* Chopina. Niemniej zaprzeczyć niepodobna, iż kartka ta przynosi niejeden «ważny przyczynek do życia Chopina», pierwsze zaś między niemi miejsce należy się bezwarunkowo wiadomości, nowej zupełnie, iż Chopin w mieszkaniu swem posiadał już wtedy łazienkę, co na owe czasy przy braku wodociągów stanowczo było czemś nadzwyczajnem. Prócz tego, wczytując się w tę chopinowską relację z wrażeń doznanych dnia 6-go października (bo z zapiski tej wynika, iż na ów raut do hrabiny Czosnowskiej poszedł Chopin o godz. 10-ej wieczorem, po owym dżdżystym dniu 6-go października), a spisanych dnia 10-go października (w ciągu tych trzech dni raz był na raucie u pani Sand, drugi raz widział się z nią samą), jest się uderzonym następującemi spostrzeżeniami:

1) Sposób, w jaki tu Chopin spisuje swoje wrażenia, w jaki spowiada się ze swoich uczuć, całkiem nie jest podobny do sposobu, w jaki to czynił w r. 1831, w dzienniku pisanym w Wiedniu i Sztutgardzie.

2) Jest się zdziwionym, iż Chopin o pięknej pani Laurze Czosnowskiej, pisze tak ostentacyjnie, jako o «hrabinie Czosnowskiej». W listach do rodziny nie nazywa on jej nigdy inaczej, tylko «Lorką», bez żadnych tytułów.

3) Przekonywamy się, że jednak nie zawsze *les beaux esprits se rencontrent*, bo kiedy Karasowski przez hrabinę C. miał na myśli hrabinę de Custine (o której jest istotnie legenda, błędna nawiasem mówiąc, iż w jej domu nastąpiło poznanie Chopina z panią Sand), to Chopin wymienia wyraźnie hrabinę Czosnowską, co pozostaje w rażącej niezgodzie z relacją Karasowskiego. Snać w tym razie *bel esprit* nie dopisał zasłużonemu biografowi mistrza!

4) Niemniej jest dziwnem, że Chopin notuje w swym dzienniku takie błahe szczegóły bez znaczenia, jak, że przed pójściem na raut do hrabiny Czosnowskiej naprzód wziął kąpiel (i to perfumowaną!), potem zmienił bieliznę (na cienką jedwabną, *feine seidenartige Wäsche*, jak czytamy w «autoryzowanym» przekładzie p. H. Wiesenthal), wreszcie ubrał się we frak, przyczem pozwala się domyślać, iż nie zapomniał i o białym krawacie. Czytając to, ma się wrażenie, że gdyby tak pisał w swym dzienniku Thalberg, jeszczeby to było

dziwne, ale Chopin? Nie chce się wierzyć, żeby on mógł wdawać się w takie drobiazgi. Że był elegantem, wszyscy wiemy; że lubił być czystym, a więc nie czuł wstrętu do kąpieli, tego także byliśmy pewni; ale żeby o tem wszystkiem rozpisywał się w swym pamiętniku, tego nie spodziewaliśmy po nim. Jakoż nie zgadza się to z jego wykwintną naturą, w której z pewnością nie było nic filisterskiego! Tymczasem to jest jakieś filisterskie!

5) Niemniej filisterskiem jest to, że Chopin, pisząc o swem drugiem widzeniu się z panią Sand na raucie u niej, pisze iż ją tam widział «w otoczeniu wysokiej francuskiej arystokracji», *umgeben von der hohen französischen Aristocratie*. Wygląda to tak, jakby to Chopinowi imponowało, jakby to dla niego było czemś nadzwyczajnem, i dlatego z takiem namaszczeniem zapisuje ten fakt w swym dzienniku. Wierzyć się nie chce, żeby to mógł napisać Chopin, on, który od dziecka stale obracał się w najwyższych sferach towarzyskich, dla którego arystokracja była otoczeniem zwykłem, zarówno w Warszawie, jak teraz w Paryżu. Dlatego można być pewnym, że Chopin, pisząc o swojej pierwszej wizycie u pani Sand, prędzej zwróciłby uwagę na jakiś znamienny szczegół umeblowania w jej salonie, aniżeli na to, że ją widział «w otoczeniu wysokiej francuskiej arystokracji».

Po tem jednem zastrzeżeniu, dotyczącem arystokracji, przychodzi kolej na inne, mianowicie: czy wogóle jest możliwe, aby «wysoka francuska arystokracja» bywała u pani Sand? Wiadomo przecież, jakie było stanowisko słynnej autorki *Consuela*. Jej przekonania skrajne, ultrademokratyczne i socjalistyczne, były tego rodzaju, że już to samo wystarczało, żeby «wysoka francuska arystokracja» trzymała się od niej zdaleka. A jej sposób prowadzenia się, jej apostołowanie wolnej miłości, którą z takim rozgłosem stosowała w praktyce, to również nie było warunkiem, któryby jej umożliwiał stosunki z arystokracją. Wprawdzie wielkie damy z «wysokiej arystokracji», z francuskiej zarówno, jak z polskiej, bardzo często nie prowadziły się lepiej od pani Sand (o czem Chopin wiedział najlepiej), ale one zachowywały pozory, a ona nie, co wystarczało, żeby autorka *Lelji*, pomimo swej światowej sławy literackiej, nie była dopuszczana do «wysokiej francuskiej arystokracji». Jakoż jest faktem niezaprzeczonym, że w paryskim salonie pani Sand «wysoka francuska arystokracja» (z jedynym wyjątkiem hrabiny d'Agoult, kochanki Liszta) nie bywała, z czego wypada nieodbicie, że Chopin, będąc pierwszy raz w «salonie» pani Sand, bezwarunkowo nie mógł jej podziwiać «w otoczeniu wysokiej francuskiej arystokracji». Jedyną arystokracją, która z panią Sand żyła w bliskich stosunkach, była arystokracja ducha, ta zaś, jak wiadomo, biegunowo się różni od prawdziwej arystokracji.

Jeszcze słówko o «salonie» pani Sand, na którego tle «w otoczeniu wysokiej francuskiej arystokracji» podziwiał Chopin d. 6-go października 1837 roku przyszłą autorkę *Lukrecji Floriani*. Czytając tę «kartkę z dziennika Chopina», jest się przekonanym, — co z pewnością też było przekonaniem p. M. Wiesental — iż pani Sand, podejmując w swym salonie «wysoką francuską arystokrację», zajmowała wspaniały apartament w Paryżu, boć trudno urządzać świetne przyjęcia z «wysoką francuską arystokracją», nie mając odpowiedniego mieszkania. Otóż pani Sand, o ile w tych czasach mieszkała w Paryżu zajmowała małe mieszkanko w *Hôtel de France* przy rue Lafitte: w r. 1836 był to *un logement meublé* Nr. 21 w antresoli (pewno dwa pokoiki), w roku zaś 1838 mieszkała «zadłużona» pani Sand *dans une mansarde*, a więc na poddaszu, przy tejże rue Lafitte Nr. 38, gdzie pewno zajmowała jeden pokój, skoro gdy chodziło o przyjmowanie przyjaciół, czyniła to w mieszkaniu swej przyjaciółki, pani Marliani, na rue Grande Batelière Nr. 7. Taki to był «salon» pani Sand, w którym między d. 6 a 10-ym

kwietnia 1837 roku «w otoczeniu wysokiej francuskiej arystokracji» miał się rozegrać jeden z pierwszych rozdziałów znajomości twórcy *Nokturnów* z autorką *Lelji*.

Wszystko to jednak są drobiazgi w porównaniu z faktem, nie ulegającym najmniejszej wątpliwości, że w d. 6 czy 10-ym października 1837 r. było absolutnem niepodobieństwem, ażeby Chopin mógł znajdować się pod jednym dachem z Lisztem i z panią Sand. Dzieją się różne rzeczy, o których się nie śniło filozofom (ani biografom Chopina), ale żeby w Paryżu d. 6-go października 1837 r. Liszt mógł w jakimkolwiek salonie podejść z panią Sand do siedzącego samotnie Chopina, to jest wykluczone zupełnie; tego Chopin bezwarunkowo nie mógł zapisać w swym dzienniku. Czemu? W dniu tym bowiem, jak wogóle w październiku 1837 roku, ani Liszta, ani pani Sand nie było w Paryżu! Liszt wtedy mieszkał (z panią d'Agoult) w Bellagio nad jeziorem Como, a pani Sand przebywała w Nohant, skąd od września r. 1837 aż do wiosny r. 1838 wcale się nie wydalała. Kto nie wierzy, niech przeczyta odpowiednie rozdziały w monografjach: L. Ramman *Franz Liszt als Künstler und Mensch* i Wladimir Karénine *George Sand, sa vie, ses oeuvres*.

Wogóle zrozumieć niepodobna, jakim sposobem mógł Chopin w dzienniku swym popełnić ten sam błąd, który dotychczas popełniali jego wszyscy biografowie (Niecksa nie wyłączając), mianowicie zapisać owo pierwsze spotkanie się z panią Sand w salonie hrabiny Czosnowskiej pod datą 10 października r. 1837, kiedy faktem jest (jak to wykażę na innem miejscu), że *poznanie* Chopina z panią Sand nastąpiło w r. 1836 na początku grudnia w mieszkaniu Liszta, *romans* zaś Chopina z panią Sand zaczął się dopiero w czerwcu r. 1838, wtedy, gdy pani Sand, zajęta pisaniem nowej powieści *travaillant comme un forçat à un nouveau roman*, mieszkała, jako Madame Dupin, *dans une mansarde de la rue Lafitte*. Przedtem, od jesieni do wiosny,

mieszkała w Nohant, zakochana w Mallefille'u. Ale to do rzeczy nie należy.

W każdym razie *der langen Rede kurzer Sinn* jest ten, iż druga z kolei «kartka z dziennika», zapisana 10-go października 1837 roku, nie mogła w tej formie i tego dnia wyjść z pod pióra Chopina. *Quod erat demonstrandum*.

Trzecia kartka, zapisana w Paryżu 5-go listopada 1838 r. (a więc blisko po roku od owego wieczoru «w salonie hrabiny Czosnowskiej») nie przynosi nic nowego. Za to jest bardzo krótka: niecałych siedem wierszy wszystkiego. Chopin skarży się, że jest chory, że ma ból w piersiach, że kaszle, że go pani Sand pielęgnuje dniem i nocą, że jej słodki oddech... chłodzi go itd. Dlaczego chłodzi? To już mógłby objaśnić tylko Chopin, skoro tak napisał w swym dzienniku. W każdym razie istotnie musiał być chory i wyczerpany, gdyż to, co zapisał tego dnia 5-go listopada, jest dziwnie blade i banalne, a przytem ckliwe. Czytając to, ma się wrażenie, że to kartka z jakiegoś niemieckiego *Töchter-album*, z dziennika jakiejś sentymetalnej pensjonarki niemieckiej lub z dziennika jakiej starej panny, nie z dziennika Chopina.

Czwarta kartka, datowana już z Majorki 16-go listopada 1838 r. nie przynosi tak dalece nic nowego, to zaś, co przynosi nieznanego dotychczas, mianowicie bytność na Majorce panny Stirling, «którą Chopin nazywa Rebeką», to wydaje mi się mocno problematycznem. Krótko mówiąc, nie wierzę, żeby panna Stirling w r. 1838 już się znała z Chopinem, a tem bardziej, aby za nim pojechała na Majorkę. Wiemy, iż Chopin, zdecydowawszy się na spędzenie zimy na Południu z panią Sand, kiedy wyjeżdżał z Paryża, wyjeżdżał w największej tajemnicy, nic nie mówiąc nikomu, dokąd jedzie i na jak długo. Wtajemniczeni byli tylko trzej jego najbliżsi przyjaciele: Fontana, Matuszyński i Grzymała. Żeby do nich należała i panna Stirling (której zresztą

jeszcze nie było wtedy w Paryżu), o tem niewiadomo nikomu. Chopin zaś, choć on powinien być najlepiej poinformowany, specjalnie w tym dzienniku, na każdym kroku popełnia rażące niedokładności, tak, iż na nim w tym razie — dziwna rzecz — absolutnie polegać nie można. Tak np. pod datą 16-go listopada pisze, że już mieszka w klasztorze, w którym kostnieje z zimna. Przez ten klasztor należy rozumieć stary, opuszczony klasztor w Valdemozie, w którym istotnie pani Sand zamieszkała z Chopinem, ale — jak to wiemy napewno — zamieszkała dopiero od d. 15-go grudnia 1838 r. Przedtem, bezpośrednio po przybyciu na Majorkę, mieszkano w jej stołecznem mieście Palmie, w Villa Son Vent, z której do poetycznego, ale wilgotnego klasztoru przeprowadzono się nieprędzej, jak d. 14 grudnia. Tym sposobem d. 16-go listopada nie mógł Chopin żadną miarą skarżyć się w swym «dzienniku» na zimno i brak światła w swej celi klasztornej, gdyż o tym czasie, w kilka dni po przybyciu na Majorkę, z pewnością nie wiedział jeszcze o istnieniu klasztoru w Valdemozie. Tyle w sprawie daty, która może obudzić najrozmaitsze podejrzenia... To zaś, co Chopin zapisuje pod tą fałszywą datą, jest zupełnie na wysokości poprzedniej kartki. Nie warto pisać dziennika, skoro się w nim tylko takie rzeczy ma do zapisania! Szczególna rzecz, jak w tej epoce Chopinowi, w tym dzienniku specjalnie, nie dopisywał jego talent pisarski, jak uczucia, których doznawał, były mierne i niegodne takiej niepospolitej indywidualności, jak twórca *Polonezów!* On, który w roku 1831 z Sztutgardzie, notując swe wrażenia i uczucia, zdobywał się na tak natchnione ustępy, że z nich niektórych Tarnowski nie wahał się porównać z Improwizacją Konrada z *Dziadów*, teraz w r. 1838, choć cudny kraj, w którym się znajdował, tyle dostarczał poetycznych wrażeń (jak o tem wymownie świadczy mistrzowski *Un hiver à Majorque* pani Sand), nie potrafił się zdobyć na więcej, jak na 11 wierszy «dziennika», i to wierszy, któreby nie zaimponowały nikomu, nawet gdyby były zwykłem wypracowaniem pensjonarki. Jest to tem dziwniejsze, że Chopin, właśnie w czasie pobytu na Majorce, dosięgnął prawie szczytów swego poetyckiego natchnienia (dość wymienić niezrównane *Preludja*), a nawet w listach stamtąd, jak np. do Fontany, okazał tyle werwy, tyle humoru, tyle trafności obserwacji, tyle plastyki i kolorytu w kreślonych od niechcenia opisach, że mógłby mu ich pozazdrościć sam Słowacki! Oto np. początek jego pierwszego listu, datowanego z Palmy: «Jestem w Palmie, między palmami, cedrami, kaktusami, oliwkami, pomarańczami, cytrynami, aloesami, figami, granatami itd., co tylko *Jardin des Plantes* ma z łaski swoich pieców. Niebo jak turkus, morze jak lazur, góry jak szmaragdy! W dzień słońce więc ciepło; wszyscy chodzą w letnich ubiorach. Podczas nocy słychać wszędzie gitary i śpiewy po całych godzinach. Balkony ogromne z winogronami nad głową, maurytańskie mury... Miasto, jak i wszystko, ku Afryce patrzy. Słowem cudne życie!» Jako pejzaż, jest to małe arcydzieło! Oto zaś, w jaki sposób Chopin opisuje swoje mieszkanie w klasztorze (w liście z d. 28-go grudnia): «Pomiędzy skałami a morzem, w opuszczonym ogromnym klasztorze, w jednej celi o drzwiach większych, niż bramy w Paryżu, możesz sobie mnie wystawić nieufryzowanego, bez białych rękawiczek, bladego jak zawsze. Cela ma formę trumny o wysokiem zakurzonem sklepieniu. Okno małe; przed oknem drzewa pomarańczowe, palmowe, cyprysowe. Naprzeciw okna, pod filigranową, maurytańskiego stylu rozetą, stoi moje łóżko. Obok stary kwadratowy klak do pisania, zaledwo mogący służyć do użytku; na nim lichtarz ołowiany (wielki tu zbytek) ze świeczką. Dzieła Bacha, moje bazgrały i niemoje szpargały (pani Sand), oto wszystko, co posiadam. Cisza: możnaby krzyczeć, nikt nie usłyszy. Słowem, piszę do ciebie z dziwnego miejsca». Jest to zupełnie

pierwszorzędne, jako opis, choć pisane bez pretensji. Co uderza również, kiedy się czyta chopinowskie listy z Majorki, to, że choć chory, i bardzo chwilami, nie tracił humoru, który w tych listach raz po raz wystrzelał rakietami najprzedniejszego dowcipu. Oto np. jak Chopin w liście z d. 3 grudnia pisał o swojej chorobie, zaraz po jej przesileniu: «Chorowałem przez te ostatnie dwa tygodnie, jak pies: zaziębiłem się mimo 18 stopni ciepła, kwitnących róż, pomarańczy, palm i fig. Trzech doktorów, z całej wyspy najsławniejszych, zwołano na konsultację. Jeden wąchał, com pluł, drugi stukał, skądem pluł, trzeci macał i słuchał, jakem pluł. Pierwszy mówił, że zdechnę, drugi, że zdycham, trzeci, żem już zdechł!» Trudno o świetniejszy *Galgen-humor!* Nic z tego wszystkiego w «dzienniku», w tych 11-tu wierszach z d. 16-go listopada. «Dwie nasze dusze są same na tej wyspie pośród morza. W nocy słyszę szum fal. Rebeka Stirling odwiedziła mnie. Przyniosła mi duże fijołki angielskie. Zapach ich odurza mię dniem i nocą w tych wilgotnych celach klasztornych. Klasztor jest zimny i ciemny, wiatr dostaje się przez wszystkie szpary, tak, że nocą drzwi skrzypią i jęczą. Zimno mi! Gdy kaszlę, czuję to w sercu. Kocham światło; szepcze mi ono słodkie melodje do ucha. Nie chcę umierać! Cień mnie prześladuje. Ale życie jest mocne. Fijołki Rebeki na moim grobie! Nie chcę umierać!» Oto wszystko, co Chopin w swym «dzienniku» zapisał na Majorce. Mało i nieszczególnie. Co za różnica między tonem jego listów, pełnych tężyzny, a tym mazgajowatym dziennikiem! Co za różnica stylu, tak błyskotliwego i mieniącego się wszystkiemi barwami w listach (choćby w zacytowanych urywkach), a tak nieudolnie urywanego w tych szczególnych zapiskach! Wierzyć się nie chce, aby jedno i drugie pisał ten sam człowiek; zwłaszcza się nie chce wierzyć, aby tak interesujący człowiek, jak Chopin, mógł być tak nieinteresującym

w swym pamiętniku. Na szczęście, nie zawsze był takim, jak o tem świadczy jego dziennik z r. 1831.

Piąta kartka jest już datowana z Paryża d. 14-go marca 1839. Czytając to, znowu się nie chce wierzyć własnym oczom. Biedny Chopin! Coś mu się musiało pomieszać w głowie! coś mu się popsuło w okolicach piątej klepki! Bo jakże go nie posądzać o coś w rodzaju *mente captus*, kiedy takie głupstwa popisał w swym «dzienniku». Zdaje mu się np., iż d. 14-go marca 1839 już jest z powrotem w Paryżu, i słyszy turkot powozów po bruku bulwarów itd. Kiedy jest stwierdzone najautentyczniejszemi dokumentami, jego własnemi listami przedewszystkiem, że d. 14-go marca jeszcze bawił w Marsylji, skąd dopiero d. 22-go maja wyjechał do Paryża. To też, czytając tę «kartkę z dziennika» z dnia 14-go marca, co krok jest się zbitym z pantałyku, nie wiedząc co myśleć o zdrowych zmysłach Chopina; pisze np. tego dnia, iż wczoraj, t. j. 13-go marca, widział się z Heinem, który się z nim założył, iż go jeszcze dziesięć lat przeżyje, choć także patrzy na księżą oborę. Tymczasem Heine d. 13-go marca 1839 r. siedział sobie najspokojniej w Paryżu, co absolutnie wyłącza możność, żeby dnia tego mógł się widzieć z Chopinem w Marsylji. W Marsylji zaś nie był w dniu tym napewno. Niemniejszym nonsensem jest twierdzenie Chopina, zapisane pod datą tegoż dnia 14-go marca, iż podczas bytności swej w Marsylji chciał odwiedzić Adolfa Nourrit, słynnego śpiewaka. Wiadomo przecież, iż Nourrit właśnie przed tygodniem d. 7-go marca odebrał sobie życie w Neapolu, iż ciało z jego zwłokami zostało przywiezione do Marsylji, gdzie też dnia 24-go kwietnia, jako w mieście, gdzie Nourrit w swoim czasie święcił największe ze swych triumfów, odbyło się nabożeństwo żałobne, podczas którego Chopin, jako przyjaciel zmarłego, grał na organach. Wszystko to oczywiście pozostaje w rażącej niezgodzie z tym «dziennikiem» Chopina, który d. 14-go marca pisze, iż jest

w Paryżu, ba! że już jest od kilkunastu dni, skoro notuje wkońcu, iż przyjechała pani Sand, której nie było *od tygodnia*. Przyzna każdy, iż są to zasadnicze sprzeczności, nie dające się pogodzić, co nie znaczy jednak, aby listy Chopina lub pani Sand, które bez żadnych zastrzeżeń ustalają daty, mogły być kwestjonowane co do swej autentyczności. A więc...

Dwie następne kartki są datowane z Nohant: pierwsza d. 11-go października 1839, druga 3-go maja 1847 r. Przedewszystkiem zastanawia ośmioletnia przerwa pomiędzy niemi, tem bardziej, że to, co wkońcu Chopin zapisuje po ośmiu latach, o ile nie odznacza się niczem nadzwyczajnem, o tyle zaczyna się wielce prozaicznem stwierdzeniem faktu, iż «musi mieć pieniądze». To samo jest *Leitmotivem* następnej kartki, datowanej z Nohant d. 1-go czerwca 1847, a której końcowy ustęp brzmi, jak następuje: «Pieniądze — muszę zacząć pracować. Walce, które publiczność lubi, za które płaci! Mazurki z rozdartego serca. Muszę pracować, trochę tylko, 20,000 franków mogą mnie uczynić wolnym. Chcę umierać wolnym!» W dziesięć dni później, już w Paryżu, d. 10-go czerwca 1847, pisze uszczęśliwiony Chopin w swym dzienniku: «Szczególne szczęście, które mi cięży! Mam już 20,000 franków, trzymam je w ręku! Oglądam je na wszystkie strony». Jakie to chopinowskie, prawda? «Dobroć Rebeki Stirling poratowała mię w mem utrapieniu. Ona nic nie chce, tylko dawać. Szczególna kobieta. Z twojem złotem sercem, z twoją żelazną głową, z twoją ołowianą nogą! Twoje franki ciążą mi w ręku. Nazywa mnie mistrzem!...» itd. Otóż okazuje się znowu, że tu Chopin pomieszał daty, że fakt, który się zdarzył w r. 1849, podczas ostatniej choroby artysty, w jego «dzienniku» (*notabene* niedokładnie opowiedziany, gdy chodzi o cyfrę) figuruje pod rokiem 1847! Z temi pieniędzmi, w których potrzebie znalazł się raz Chopin istotnie, miała się rzecz tak: Po powrocie z Anglji, kiedy Chopin już był tak chory, że

nie mógł dawać lekcyj, a więc zarabiać, i gdy wkońcu wydał wszystko, co mu przyniosły koncerty w Londynie i Szkocji, wytworzyła się sytuacja przykra dla niego niezmiernie, albowiem rzeczywiście był bez grosza. Łatwo się domyśleć, jak to denerwowało Chopina, jak na tem cierpiała jego ambicja. Poczciwy Franchomme, na którego głowie spoczywała finansowa strona egzystencji chorego, widząc pustki w szkatułce Fryderyka, nie znajdował innego sposobu położenia końca złemu, tylko naradzić się z przyjaciółmi artysty, zwłaszcza z jego bogatemi uczenicami i wielbicielkami: co czynić? Skończyło się na tem, iż po naradzie — w tajemnicy przed Chopinem — zwrócono się do panny Stirling, ta zaś nie zawiodła pokładanego w niej zaufania. Dowiedziawszy się, że ukochany mistrz znajduje się w tak kłopotliwem położeniu, natychmiast pośpieszyła z hojnym datkiem 25,000 franków. Chopin ociągał się z przyjęciem tak znacznej sumy, ale po chłodnej rozwadze, zniewolony smutnemi okolicznościami, z których narazie nie było innego wyjścia, zdecydował się na zatrzymanie połowy, mianowicie 12,000 franków. Było to mniej więcej w maju 1849 roku. Żeby już w czerwcu r. 1847 Chopin potrzebował przyjmować 20,000 franków od panny Stirling, o tem nie wiedzieliśmy. To jest jeden z tych nowych i «ważnych przyczynków do życia Chopina», które przynosi jego świeżo ogłoszony «dziennik» w «autoryzowanem» tłumaczeniu p. H. Wiesenthal.

Ale prócz tego pieniężnego szczegółu przynosi ten «nieznany pamiętnik» jeszcze jedną rzecz nową, bardzo przykrą, ba! wprost kompromitującą Chopina. Oto po uważnem przeczytaniu dwóch «kartek z dziennika» z Nohant z r. 1847, z d. 3-go maja i z 1-go czerwca, w których jest sentymentalnie omówione zerwanie z panią Sand, dochodzimy do wniosku, iż Chopin dlatego odrazu znajduje się bez pieniędzy, ponieważ nie może już liczyć na to, że je będzie dostawał od pani Sand!...

Nie wiedzieliśmy dotychczas, ani nikt przypuszczał coś podobnego, iż Chopin przyjmował pieniądze od swej kochanki, że w tak niezaszczytnej roli mieszkał z Aurorą. Nie da się zaprzeczyć, że jeśli wogóle ten dziennik przynosi «ważne przyczynki do życia Chopina», to ten przyczynek jest najważniejszy...

Pozostaje jeszcze tylko jedna kartka z tego szacownego dziennika, ostatnia, datowana ze Szkocji, z zamku Stirling (Stirling Schloss) d. 16-go czerwca 1848 roku. Przeczytawszy tę datę, zaraz się jest zdumionym, albowiem wiadomo skądinąd, przedewszystkiem z listów samego artysty, iż dnia 16 czerwca Chopin był jeszcze w Londynie, gdzie bawił i koncertował aż do pierwszych dni sierpnia. Dopiero wtedy pojechał do Szkocji, tak, że to, co znajduje się w tym jego świeżo odkrytym «dzienniku» pod datą 16-go czerwca, w rzeczywistości mogło się dziać nie prędzej, jak w połowie sierpnia. Nawiasem mówiąc, rodzinny zamek Stirlingów, który w dzienniku «w autoryzowanem» tłumaczeniu p. H. Wiesenthal nazywa się *Stirling Schloss*, nie jest znany pod tą nazwą, lecz nosi nazwę włości, które oddawna są w posiadaniu rodziny Stirlingów, i nazywa Keir. Należy zaznaczyć jeszcze, iż tym zamkiem w Szkocji, gdzie Chopin bawił kilka tygodni, po wyjeździe z Londynu, jak to jest przedstawione w «dzienniku», był zamek Colder House pod Edynburgiem, należący do lorda Torphichen, szwagra panny Stirling. W zamku Stirlingów, jak o tem świadczy list do Fontany (w książce Karasowskiego), pisany z «Keir, Pertshire», bawił Chopin późną jesienią 1848 r. we wrześniu i październiku. Nie rozumiem też, dlaczego w «dzienniku» Chopin nazywa służącego swego «Robertem», kiedy w listach nazywa go Danielem. Swoją drogą jest pewne podobieństwo między jego listami a dziennikiem. W dzienniku pisze Chopin (16-go czerwca 1848): «Wierny Robert wniósł mię jak dziecko na górę, rozebrał mnie i położył delikatnie w puszyste poduszki»,

a w liście do Grzymały (1-go października 1848) czytamy: «Potem odnosi mię po schodach mój poczciwy Daniel do sypialnego pokoju, który, jak wiesz, zawsze u nich na piętrze się znajduje, rozbiera, kładzie do łóżka...» Czego również dowiadujemy się z tego «nieznanego» dziennika, z zapiski z d. 16-go czerwca 1848 roku, iż Chopin, znajdując się poza Paryżem, korespondował z Heinem. Najlepszy dowód, że na kilka dni przed d. 16 czerwca 1848 r. otrzymał w Szkocji (choć był wtedy w Londynie) list od Heinego, który mu pisze, iż «jednak wygra zakład» (t. j. że o dziesięć lat przeżyje Chopina). Wprawdzie nie jest się zbudowanym subtelnością tego dowcipu, tak brutalnie pijącego do bliskiej śmierci Chopina (dowcipny Heine mógłby się zdobyć na bardziej miłosierny dowcip, o ile i ten zasługuje na nazwę dowcipu), ale skoro to Chopin zapisuje w swym «dzienniku», nie można mu nie wierzyć... W każdym razie jest się zdziwionym niepomału, że nic dotychczas nie wiedziało się o tej wysoce interesującej korespondencji Chopina z Heinem, o której istnieniu nikomu się nie śniło dotychczas, ani biografom Chopina, ani biografom Heinego. Kto wie jednak, czy w drogocennych zbiorach p. H. Wiesenthal, w których znalazł się ten «nieznany pamiętnik Chopina», nie znajdą się również i nieznane listy Chopina do Heinego i Heinego do Chopina. Zgóry się cieszymy na myśl o tem przewidywanem odkryciu! Zgóry też jesteśmy pewni, że będą to listy ciekawsze nierównie, niż ten świeżo odkryty sentymentalno-banalny «nieznany pamiętnik Chopina», tak w każdym calu niechopinowski, a który nawet, mówiąc poprostu, tak się ma do znanego dziennika Chopina z roku 1831, jak pięść do nosa!

A teraz żart na stronę. Skoro nas zapoznano z «nieznanym pamiętnikiem Chopina» w «autoryzowanem» tłumaczeniu niemieckiem p. H. Wiesenthal i w nieautoryzowanym przekładzie p. Gastona Knospa, to mamy prawo wymagać, ażeby ogłoszono również polski ory-

ginał tego pamiętnika, do czego musi być dołączona fotograficzna podobizna przynajmniej kilku kartek autografu, z objaśnieniem, gdzie się autograf ten znajduje, w czyjem jest posiadaniu i kiedy go można obejrzeć.

Jeżeli żądaniu temu, bardzo uzasadnionemu w danym wypadku, nie stanie się — i to w krótkim przeciągu czasu — zadość, w takim razie nie pozostanie nic innego, tylko ten «nieznany pamiętnik Chopina» uznać za apokryf.

ROZMOWA O CHOPINIE Z JEGO UCZENNICĄ

Przy ulicy Nowogrodzkiej w Warszawie mieszka p. Emilja z Borzęckich Hofmanowa, uczennica Chopina z czasów jego paryskich.

Córka majora Borzęckiego urodzona w roku 1832, w czasie przejazdu rodziców swych z kraju do Francji, — wzrastała w Paryżu, wśród tamtejszej atmosfery emigracyjnej, a edukację odebrała w «Hotelu Lambert», pod okiem księżnej Adamowej Czartoryskiej. Nad Sekwaną też, gdzie ją nazywano powszechnie «Czwartaczką», — wyszła za dra Aleksandra Hofmana, emigranta, który w r. 1830, świeżo ukończywszy medycynę na uniwersytecie berlińskim, wrócił do kraju i emigrował wraz z innymi do Paryża. Tutaj po niejakim czasie ożenił się z Francuzką; później zaś, owdowiawszy, poślubił pannę Borzęcką... Obecnie, po szeregu lat, spędzonych w Poznaniu, wdowa po ś. p. Al. Hofmanie przebywa wraz z córką swą stale w Warszawie.

Zagadnięta przezemnie o Chopina, streściła swe wspomnienia o nim w tych mniej więcej słowach:

— Przedewszystkiem nadmienić muszę, że tylko przez bardzo krótki czas byłam uczennicą Chopina. Wzięłam od niego zaledwie kilka lekcyj. Było to, o ile sobie przypominam, w końcu roku 1846, czy też na początku 1847 r. Chopin był już wtedy bardzo chory, tak, że przy lekcjach prawie wcale nie mówił, tylko, siedząc przy drugim fortepianie, przegrywał dany ustęp tak, jak

pragnął, żeby był wykonany. Co do mnie, to mieszkając w Hotelu Lambert, w założonym przez księżnę Adamową Czartoryską «Instytucie panien polskich», byłam właściwie uczennicą księżnej Marceliny Czartoryskiej, od której przez parę lat brałam lekcje dwa razy na tydzień. Bardzo lubiła ona mój rodzaj gry; mówiła, że mam talent, i dlatego chciała koniecznie, bym jeszcze wzięła kilka lekcyj u Chopina. Jakoż z jej polecenia dostąpiłam tego zaszczytu...

Jakim wydał mi się Chopin, jako nauczyciel?... Przedewszystkiem nudziło go strasznie dawanie lekcyj. Udzielał ich, ponieważ musiał zarabiać na życie, ale nie można powiedzieć, żeby to czynił z zamiłowania. Ponieważ było modą wśród dam i panien świata paryskiego, by się móc nazywać uczennicą Chopina, więc nie brakło pomiędzy jego uczennicami i takich, których muzykalność wiele pozostawiała do życzenia. Powiedzmy otwarcie: — takich uczennic miał najwięcej. Naprawdę muzykalne i utalentowane, jak Paulina Platerówna lub księżna Marcelina, należały do rzadkich wyjątków. Nie trzeba jednak wnioskować z tego, że, dając lekcje dla zarobku jedynie, wielką przywiązywał wagę do honorarjów. Całkiem przeciwnie. Daleki od zmaterjalizowania, o pieniądze nie dbał zupełnie, do tego stopnia, że wciąż musiano nalegać nań, by brał więcej, by nie zadawalniał się tem, co mu ofiarowywano. Tymczasem jemu było wszystko jedno, tak dalece, że nie cofnąłby się nawet przed uczeniem za darmo... To sprawiało, że choć zarabiał dużo, nadzwyczaj był skorym do rozdawania pieniędzy; że zaś pomiędzy emigrantami nigdy nie brakło takich, co potrzebowali, więc wyzyskiwano tę jego dobroć i hojność... Nie znaczy to jednak, by na siebie nie wydawał mało, — przeciwnie, obracając się prawie wyłącznie wśród najwyższych sfer towarzyskich, sam miał przyzwyczajenia wielkopańskie, a wykwintny z natury, kochał się w pięknych meblach, kosztownych dywanach, w różnych gracikach galanteryjnych i t. d. W mieszkaniu jego — a mieszkał wtedy przy *Square d'Orléans* — wszystko było miękkie, eleganckie, wyszukane, wszędzie dywany, kotary, tak dalece, iż nawet fortepiany były przykryte atłasowemi kapami, haftowanemi przez wielkie panie, a jego wielbicielki. Wogóle mieszkał, jak kobieta, prawie chciałoby się powiedzieć, jak kokota...

Pierwszy raz, pamiętam, widziałam Chopina, jako siedmioletnia dziewczynka, na jakiemś przyjęciu u Ludwików Platerów. Był tam Chopin razem z Lisztem, z którym się przyjaźnił, choć wiele dałoby się powiedzieć o szczerości tej przyjaźni... Charakterystycznem jest naprzykład, że gdy byli gdzieś razem, nie zdarzyło się nigdy, żeby obaj grali: jeśli grał Liszt, to nie grał Chopin, a jeśli grał Chopin, to nie było takiej siły, któraby skłoniła Liszta, aby zasiadł do fortepianu... Obaj unikali porównania, bo, choć się dopełniali wzajemnie, to jednak Liszt zaćmiewał Chopina brawurą i siłą, Chopin zaś Liszta niewysłowioną poezją...

Mieszkając w Hotelu Lambert, niejednokrotnie widywałam tam Chopina, gdy bywał u Czartoryskich. Księżna Adamowa miała jeden dzień w tygodniu, w którym jej apartamenty stały otworem dla gości. Bywały na tych przyjęciach po większej części osoby z wielkiego świata, zarówno z pośród polskiej, jak francuskiej i angielskiej arystokracji. Na przyjęciach tych bywały także i niektóre panienki z Zakładu panien, który się mieścił na górze. Mieszkanie księstwa znajdowało się na pierwszem piętrze. Prócz domowych, a więc księcia Adama, księżnej, ich dzieci, starej księżnej Sapieżyny (matki księżnej Adamowej, zajmującej parter Hotelu Lambert) oraz sędziwej siostry księcia Adama, księżnej Wirtemberskiej, chodzącej o dwóch kijach, widywałam na zebraniach tych księcia Orleańskiego (syna Ludwika-Filipa), Delfinę Potocką, księżnę Beauveau (siostrę Delfiny) oraz wiele wybitnych osobi-

stości ze świata emigracyjnego polskiego: eks-wojskowych, eks-posłów, literatów. Bywał na nich i Mickiewicz, choć ten przychodził już wtedy bardzo rzadko, bywał i Chopin, a bywając u księstwa, gdy się tu spotkał z Delfiną Potocką, patrzył w nią zawsze, jak w bóstwo, nie tając się ze swem uwielbieniem dla niej... Była ona wtedy nadzwyczaj jeszcze piękną, iście królewska postać. Z Czartoryskimi łączył ją stosunek *intime*, tak, iż bywała u nich nietylko w dni przyjęć, ale często i wieczorami, gdy księstwo byli widzialni tylko dla swych najlepszych przyjaciół. Należał do nich także i Chopin, który również wieczorami często «na herbatę» do księstwa przyjeżdżał. Był on już tak osłabiony, że go służący wnosił na schody. Mimo to, proszony, by zasiadł do fortepianu, nie odmawiał nigdy, a nawet grał mocno i energicznie. Słuchając go, nie czuło się, iż to gra człowiek wycieńczony fizycznie. Nigdy nie zapomnę pewnego wieczoru u starej księżny Sapieżyny, w jej apartamencie na dole. Prócz domowych i starej księżnej Wirtemberskiej, był Chopin i nas kilka panienek z zakładu. Ni stąd, ni zowąd przyszła ochota potańczyć, a że nie było nikogo, coby mógł zagrać do tańca, więc zasiadł do fortepianu Chopin. Grał cały wieczór, a młodzież hasała wesoło. Między innemi improwizował *Mazurka*, którego główny motyw jeszcze dziś sobie przypominam... Doskonale bawiliśmy się przy tej muzyce!

A propos tańca, w którym znajdowałam szaloną przyjemność — na jednym wieczorku u księstwa tyle tańczyłam, że nazajutrz książę Czartoryski sam przyszedł do nas na górę zapytać się, czym nie chora po wczorajszej zabawie. Drobny ten fakt najlepiej ilustruje dbałość, z jaką dla nas, wychowanic Hotelu Lambert, byli oboje księstwo.

Ale wracając do Chopina, to stosunek jego z Czartoryskimi nie poprzestawał na tem, iż bywał on tylko częstym i zawsze mile witanym gościem w Hotelu Lambert. Urządzał on raz po raz u siebie przyjęcia *en petit comité*, na które zapraszał swoich najserdeczniejszych przyjaciół, a na których bywali i księstwo z całą rodziną. Pamiętam jeden taki wieczór u Chopina... Byli księstwo Czartoryscy ze swym starszym synem, Władysławem, i córką, późniejszą panią Działyńską, była księżna Marcelina, której zawdzięczałam swą bytność w tem wybranem gronie; było jeszcze kilka dam z arystokracji, była pani Sand, która przez cały czas nie wypuszczała z ust... cygara; był Franchomme, wiolonczelista, przyjaciel Chopina, była i Delfina Potocka. Pamiętam jeszcze, że dla wszystkich dam przygotował Chopin — jak zawsze, pełen wyszukanej galanterji dla płci pięknej — bukiety z fijołków; przygotował ich jednak zamało, tak iż gdy weszła pani Delfina, która się opóźniła, zabrakło dla niej fijołków, wobec czego Chopin ze stojącego w salonie przepysznego krzewu kamelji urwał jedną i ofiarował ją pięknej hrabinie...

Gdy już nie brakło nikogo z zaproszonych, rozpoczęła się muzyka. Na początek Chopin z Franchomme'm odegrali znany swój duet na fortepian i wiolonczelę z *Roberta-Djabła*, potem grał sam Chopin, grał zaś tak cudnie, z taką nieziemską poezją, że, pamiętam, oczarowana tą boską muzyką, omało co nie zemdlałam... Nakoniec śpiewała Delfina Potocka; nie pamiętam już co, zdaje mi się jednak, że śpiewała także jakąś pieśń Chopina. Akompanjował jej Chopin...

Pytasz mię pan o stosunek Chopina do Delfiny Potockiej? To, co o tym stosunku w swojej charakterystyce pani Delfiny pisze St. Tarnowski, jest — według mego najgłębszego przekonania — najzupełniejszą prawdą: Chopin kochał się w niej przez szereg lat, dedykował jej kilka swych najpiękniejszych kompozycyj, w tej liczbie *Koncert F-moll;* jak zaś pani Delfina odwzajemniała się swoim wielbicielom za żywione ku niej uczucie miłości, gdy tymi wielbicielami byli słynni poeci lub artyści, albo przedstawiciele wielkich rodów, o tem nas dostatecznie pouczają stosunki, które ją

w różnych epokach jej życia łączyły z Krasińskim, Delarochem, księciem Orleańskim, z panem Flahault i wieloma innymi... Otóż stosunek jej z Chopinem niczem nie różnił się od tamtych... Pani Delfina, poza swojemi aspiracjami artystycznemi, poza swoją muzykalnością (istotnie śpiewała prześlicznie, wcale nie jak amatorka), była kobietą, której Krasiński nie skrzywdził bynajmniej, gdy ją nazwał «Don-Juanem w spódnicy»... Chopin należał do jej najgorętszych wielbicieli, a ze swą admiracją dla niej nie krył się nawet w obecności pani Sand... Swoją drogą nie przeszkadzało mu to mieć jednocześnie kilka innych jeszcze ideałów: był on bowiem nadzwyczaj kochliwym z natury i prawie co wieczór pozostawał pod wrażeniem i urokiem jakichś pięknych oczu... Na nikogo jednak, o ile go widywałam w towarzystwie, nie patrzał tak pełnym zachwytu wzrokiem, jak na panią Delfinę... Robił poprostu wrażenie, że gotówby pył zdmuchiwać z pod jej stóp...

Ale tu już kończą się moje wiadomości o Chopinie. Więcej nierównie, aniżeli ja, miał ich mój mąż, który około roku 1833 przez dwa lata mieszkał razem z Chopinem. W wielkiej żyli z sobą przyjaźni. Mąż mój był nadzwyczaj muzykalny i miał ogromnie dużo artystycznego poczucia. Chopin, mieszkając z nim, bardzo często stosował się do jego uwag w rzeczach kompozycji. Tak np., gdy skomponował znaną *Etiudę A-moll*, która w swej pierwotnej redakcji odrazu zaczynała się od szalonych pasażów prawej ręki, mąż mój, choć zachwycony nią, zwrócił mu uwagę, że obok całej wspaniałości motywu i faktury, brak etiudzie tej... początku, że, jego zdaniem, zaczyna się zbyt raptownie, że sprawiałaby daleko silniejszy efekt, gdyby ją poprzedzić kilkoma taktami jakiegoś wstępu. Chopin, który, raz napisawszy rzecz jakąś, już jej nie lubił przerabiać, był zdecydowany, mimo tej uwagi mego męża, etiudę tę zostawić tak, jak była, choćby dlatego, że mu nie przychodził na myśl żaden lepszy początek; lecz uwaga męża, uznana przez autora za słuszną, tak długo nie dawała mu spokoju, aż raz w nocy przyszedł mu pomysł na cztery takty melancholijnego wstępu do tej etiudy, wstępu, który odrazu, wstawszy z łóżka, dopisał. Nazajutrz zagrał go memu mężowi, ten zaś aprobował go całkowicie. W ten sposób powstały pierwsze cztery takty *Etiudy A-moll*, przedostatniej w drugiej serji, nawet robiące wrażenie, jakby były dopisane, choć są cudownym prologiem do całości, której główny motyw nadzwyczaj rzewnie streszczają.

Wogóle, opowiadał mi mój mąż, że pomysły do kompozycji najczęściej przychodziły Chopinowi w nocy; wtedy wstawał z łóżka, zasiadał do fortepianu, grał, poczem, nie kładąc się, spisywał wszystko w głównych zarysach. Takie w chwilach gorączkowego podniecenia rzucone na papier szkice, opracowywał następnie i cyzelował dopóty, dopóki go względnie przynajmniej nie zadawalniały. Opowiadał mi także mój mąż, jak raz wracał karetą z Chopinem, po jednym z jego koncertów w sali Pleyela. Choć miał nadzwyczajne powodzenie, choć wszyscy byli grą jego zachwyceni, sam on był zrozpaczony, albowiem zdawało mu się, że grał gorzej, niż kiedykolwiek. Tak go denerwowało i paraliżowało każde wystąpienie publiczne: poprostu nie był panem swych palców i samego siebie. Dlatego każdy koncert był dla niego męką... Co było dlań również bardzo charakterystycznem, że przed każdym koncertem zawsze wyprawiał awantury z powodu fraka, który mu nigdy nie wydawał się dość zgrabnym i dobrze leżącym. Na ubiór bowiem, zwłaszcza, gdy miał wychodzić na estradę, zwracał niesłychaną uwagę. Dowodem, jak wysoko Chopin cenił zdanie mego męża o swych kompozycjach, jest fakt, że wtedy nawet, gdy męża mego nie było w Paryżu, przysyłał mu zawsze swoje świeżo wydane utwory, zawsze z serdecznemi, a najczęściej

dowcipnemi dedykacjami. Gdy naprzykład mężowi memu wypadło udać się na Śląsk, gdzie zajmował się mechaniką w jednym z tamtejszych zakładów przemysłowych, przesłał mu tam Chopin swoje, świeżo wydane *Allegro de Concert* z dedykacją: «Rzemieślnikowi śląskiemu grajek».

U SIOSTRZEŃCA CHOPINA

(LUDWIKA JĘDRZEJEWICZA)

Pan Antoni Jędrzejewicz, jedyny żyjący dziś bliski krewny Chopina, bo siostrzeniec jego, jako syn Ludwiki z Chopinów Jędrzejewiczowej, najstarszej siostry nieśmiertelnego mistrza tonów, mieszka w Warszawie, na Nowym Świecie, pod Nr. 7. Zastać go można zawsze — jak głosi napis na drzwiach — od 4-tej do 6-tej popołudniu. Do 3-ej pracuje w Towarzystwie Kredytowem Miejskiem. Kiedym, kilka dni temu, zadzwonił do jego mieszkania, sam mię powitał w progu, umówiliśmy się bowiem, że go w dniu tym odwiedzę...

Dla nieznających osobiście p. Jędrzejewicza (choć należy on do osobistości powszechnie znanych w Warszawie), nadmienić winienem, że jest to mężczyzna lat pięćdziesięciu i kilku, wzrostu wysokiego, z włosami i zarostem już przyprószonemi siwizną, z ciemnemi, przenikliwie patrzącemi oczyma, z nosem wydatnym, zupełnie chopinowskim, który sprawia, że cała twarz jest wybitnie nacechowana rodzinnem podobieństwem Chopinów. Rys ten rzuca się w oczy odrazu tak dalece, że, by go zauważyć, niekoniecznie wiedzieć potrzeba, że p. Jędrzejewicz jest całkiem podobny do matki, która znów z całej rodziny najbardziej była podobną do swego genjalnego brata.

Z przedpokoju weszliśmy do niewielkiego gabinetu po lewej stronie, który to gabinet, z biurkiem pośrodku, pełen obrazów, stylowych mebli, starej porce-

lany etc. etc., zasługuje nietylko na nazwę balzakowskiego «gabinetu starożytności» *en miniature*, lecz nadto może być nazwany małem Muzeum Chopina. Cała główna ściana nad otomaną, z Siemiradzkiego *Chopinem u Radziwiłła* wpośrodku, jest zawieszona portretami familijnemi, z których dwa olejne przedstawiają oboje państwa Jędrzejewiczów, rodziców p. Antoniego, resztę zaś, z bardzo nielicznemi wyjątkami, stanowią same portrety Fryderyka Chopina, przeważnie wykonane przez Tadeusza Kwiatkowskiego. Dwa z nich, akwarelowe, jeden z profilu, drugi *en trois quarts*, przedstawiają Chopina w okresie życia pomiędzy rokiem 1837 a 1847, a dwa inne, ołówkowe, wyobrażają głowę Chopina na łożu śmierci. Nad samą otomaną wisi oryginalny obrazek za szkłem, przedstawiający jakiś widoczek, a w całości ułożony z włosów całej rodziny Chopinów, począwszy od włosów obojga rodziców Fryderyka, a skończywszy na włosach ich dzieci: Ludwiki, Izabeli, Emilji i «Frycka». Z boku, nieco bliżej okna, wisi piękny medaljon bronzowy z dwoma płaskorzeźbionemi profilami Chopina i Hillera, będący uwiecznieniem ich przyjaźni w Paryżu w latach 1832—1836, a stanowiący dziś wielką rzadkość... Ale nietylko portrety składają się w tym gabinecie p. Jędrzejewicza na jedyny w swoim rodzaju zbiór pamiątek po Chopinie. Dzwonek na biurku, w postaci jakiegoś indyjskiego bożka, odlanego z bronzu, jest po Chopinie; lichtarz srebrny, stojący obok, także pochodzi z jego mieszkania; metalowy metronom jest metronomem Chopina (który nim stale posługiwał się w czasie lekcji ze swymi uczniami i uczennicami); w biurku zaś — przy którem siedliśmy właśnie — jest jedna szuflada, w której p. Jędrzejewicz przechowuje następujące pamiątki po swym wuju: 1) srebrny odlew ręki Chopina (prawdopodobnie roboty Clesingera); 2) spinki do gorsu, nadzwyczaj wytworne, w formie białych perełek na złotych podstawkach; 3) prześliczną kameę, roboty słynnego Islera, wy-

obrażającą głowę Chopina z profilu (arcydzieło!); 4) dwa złote zegarki Chopina, jeden duży, który dostał jeszcze w Warszawie w r. 1820 od słynnej śpiewaczki Catalani, z wyrytym na kopercie napisem: *Donnée à Frédéric Chopin âgé de dix ans*, i drugi maleńki, damski, ze srebrnym cyferblatem, stale używany przez Chopina; 5) różaniec, przysłany z Paryża przez panią Sand matce Fryd. Chopina w upominku; 6) szpilkę brylantową do krawata; 7) kilka albumów z powklejanemi przez ś. p. Ludwikę Jędrzejewiczową wycinkami z pism francuskich i angielskich, z opisem śmierci i pogrzebu Chopina, i 8) kilka autografów Chopina z lat jego dziecięcych, parę numerów redagowanego przezeń i własną jego ręką w całości pisanego «Kurjera Szafarskiego», kilka *laurek* z wierszowanemi powinszowaniami (polskiemi) dla rodziców etc. etc.

Skorom obejrzał to wszystko, przeszliśmy do jasnego, wykwintnie umeblowanego salonu o dwóch oknach (z tych jedno wychodzi na balkon), w którym także znajdują się pamiątki po Chopinie, a nie brak i pamiątek w innym rodzaju, jak np. piękne krzesło po królu Władysławie IV. W rogu pokoju, pomiędzy drzwiami a oknem, stoi np. prześliczna szafka z jakiegoś rzadkiego drzewa, bogato inkrustowana bronzem i perłową masą, a nakryta marmurowym blatem: jest to szafka, której Chopin używał do przechowywania... butów. Patrząc na nią, na jej przedziwne wykończenie, człowiek zapytuje się mimowoli, jak bogatem i zbytkownem musiało być umeblowanie Chopina, jeśli do butów posługiwał się tak luksusowym sprzętem, mogącym być ozdobą nietylko każdej książęcej, ale i królewskiej komnaty... Dwa gustowne kandelabry ze złoconego bronzu, stojące na szafce, także są po Chopinie.

Nad szafką wisi niewielkie lustro w pysznych złoconych ramach; lustro to wisiało w salonie Chopina. Ponad niem wisi biały atłasowy ekranik z rączką z kości słoniowej: ekranik ten, kształtem zbliżony do ja-

pońskiego wachlarza, a ozdobiony ładnym haftem jedwabnym, także był własnością Chopina: artysta zasłaniał nim sobie twarz, gdy się wygrzewał przy kominku. Z pomiędzy krzeseł, stojących pod ścianą, dwa dębowe w staro-francuskim stylu, z siedzeniem i oparciem wyścielanemi i obitemi zielonym aksamitem, pochodzą z jadalnego pokoju Chopina. Wzorzysty dywan francuski, rozesłany pod pięknym stoliczkiem w stylu *empire*, również jest pamiątką po «wuju Fryderyku» (jak p. Jędrzejewicz nazywa Chopina). Pomiędzy obrazami, gęsto rozwieszonemi po wszystkich ścianach, przedewszystkiem zwraca na siebie uwagę jeden olejny, w piękne złocone ramy oprawny, a przedstawiający chorego Chopina, siedzącego na łóżku pod zielonemi firankami, oraz jego siostrę, L. Jędrzejewiczową, siedzącą przy łóżku. Chopin, w rozpiętej koszuli, okryty kołdrą, siedzi tak, jakby dopiero uniósł się z poduszek, a siostra jego, w czarnych szatach, dziwnie z profilu doń podobna, głowę wspiera na ręku. Przy łóżku, w głowach, na stoliku stoją flaszki z lekarstwami...

Obraz ten, malowany przez Tadeusza Kwiatkowskiego, przedstawia chwilę, gdy Chopin mieszkał na Rue Chaillot, na trzy miesiące przed śmiercią, gdy doń przyjechała siostra z Warszawy... Na tej samej ścianie wisi spora akwarela w pięknych złoconych ramach, przedstawiająca jakiś pejzaż szwajcarski. Akwarela ta, malowana przez księżnę Marcelinę Czartoryską, była przez nią ofiarowana Chopinowi na pamiątkę (z dedykacją na odwrotnej stronie: *à mon bijou Fr. Chopin*) i wisiała w jego salonie. Do pozostałych po nim obrazów należy także wiszący nieopodal sztych, wyobrażający popiersie Kopernika. W najbliższem jego sąsiedztwie, wyziera ze złoconych ram znany powszechnie wizerunek litografowany Chopina w młodym wieku, według rysunku Marji Wodzińskiej, wykonanego w Marjenbadzie w roku 1836, w czasach, gdy Chopin starał się o rękę przyszłej pani Orpiszewskiej... Egzemplarz

ten, ofiarowany niegdyś przez autorkę młodszej siostrze Chopina, posiada z boku ciekawą dedykację: «Izabeli Barcińskiej w dowód szczerego przywiązania Marja Wodzińska».

— Niestety, to, co pan tu widzi — mówił uprzejmy gospodarz — jest tylko drobniutką cząstką tego, co pozostało po Chopinie, a co, przewiezione po jego śmierci do Warszawy, dostało się matce mojej i ciotce Barcińskiej w spuściźnie. Było to całe muzeum, a przedstawiało wartość ogromnego majątku. Gdy umarł Chopin, panna Stirling nabyła całe po nim umeblowanie, albowiem nosiła się z myślą założenia w Paryżu Muzeum Chopinowskiego. Że jednak powstał jednocześnie projekt założenia podobnego Muzeum w Warszawie, jako rodzinnem mieście Chopina, więc oczywiście odstąpiła od swego zamiaru... Chodziło tylko o przewiezienie wszystkiego do Warszawy; a ile tego było, o tem dać może wyobrażenie fakt, iż za sam przewóz tych rzeczy z Paryża do Warszawy zapłaciła rodzina dziesięć tysięcy franków...

— Ale już z cłem?

— Nie, za sam przewóz koleją, wyjednano bowiem u hrabiego Gorczakowa, iż przewieziono wszystko przez granicę bez opłaty cła. Jak panu wiadomo, Chopin kochał się w wykwintnych meblach, oczywiście stylowych, a że nigdy nie liczył się z groszem, więc wystarczało mu zobaczyć coś, co mu się podobało, by to zaraz kupić. Tym sposobem w ciągu swego 20-letniego pobytu w Paryżu nagromadził w swem mieszkaniu istne muzeum najwykwintniejszych mebli, wszystko nadzwyczaj kosztownych (w rodzaju tej szafki do butów), cacek, porcelan, obrazów, książek we wspaniałych wydaniach i t. p. Prócz tego, jako uwielbiany artysta, wciąż dostawał najróżnorodniejsze prezenty i upominki, a że wiedziano o jego książęcym guście, więc mu nie dawano byle czego. Samych tych prezentów było więcej, niż za jakieś parękroć sto tysięcy franków. Były

tam wspaniałe dary od króla Ludwika Filipa i jego rodziny, od królowej angielskiej, od Rotszylda, Bóg wie od kogo jeszcze. Gdym rzeczy te oglądał, małym chłopcem będąc, patrzałem na nie, jak na zaczarowane skarby. Najwięcej było prezentów od Ludwika Filipa, a wszystkie posiadały zawsze podpis: *Philippe, roi de France, à Fr. Chopin.* Pamiętam np. cały złoty garnitur do herbaty, składający się z filiżanki, spodka i długiej łyżki. Na filiżance, przecudnej roboty, były wyobrażone w płaskorzeźbie trzy głowy, trzy profile, mianowicie: króla Ludwika Filipa, jego żony i córki Amalji. Znawca podobnych klejnotów, ś. p. Neugebauer, cenił ten garnitur na kilkanaście tysięcy franków. Od Rotszylda był np. jeden prezent w formie przepysznego, cudnie rzniętego puhara z *cristal de roche.* Był on złożony w specjalnem pudle, wyścielanem atłasem, a Chopin na krótko przed śmiercią wyraził matce mej życzenie, by puhar ten dostał się synowi jej w spadku... Prócz wyżej wymienionych, było jeszcze mnóstwo prezentów od różnych innych osobistości: od muzyków, uczniów, uczennic, Towarzystw muzycznych. Od jednego np. z Towarzystw muzycznych paryskich był przepyszny fotel z czarnego hebanu, cudownie inkrustowany i zalewany, o bronzowych adrach; siedzenie i oparcie było wysłane białą materją, zdobną nadzwyczaj bogatym haftem ręcznym chińskim. Było to arcydzieło jako mebel, arcydzieło sztuki stolarskiej i tapicerskiej. Na podobną nazwę zasługiwała również lektyka, w której Chopin kazał się nosić do znajomych, a zwłaszcza wnosić na schody. Było to istne pieścidełko, kształtem zupełnie imitujące karetkę, z szybami po bokach, jak przy zwykłej karecie. Wnętrze, obliczone na jedną osobę, całe było wyścielone jedwabiem, a całość robiła wrażenie prześlicznej bombonjerki... Prócz mebli było tego tyle, iż gdy to przywieziono, dwa mieszkania: moich rodziców i Barcińskich, odrazu się przepełniły, a niektórych rzeczy nawet nie rozpakowano,

lecz zostawiono w skrzyniach, na strychu. Między skrzyniami były także, pamiętam, dwie czy trzy skrzynie z nutami, z manuskryptami Chopina, z manuskryptami kompozycji, które, nieprzejrzane przezeń, niepoprawione, tylko naszkicowane zaledwie, nie kwalifikowały się — jego zdaniem — do wydania. Wszystko to, zgromadzone po śmierci mojej matki u Barcińskich, mieszkających w pałacu Andrzeja Zamojskiego na Nowym Świecie, stało się w r. 1863 pastwą płomieni... To, co pan widzi u nas, to drobniutka cząstka, która prawdziwym cudem ocalała. Zresztą spaliło się wszystko. Spaliły się listy Chopina do rodziców, które do nich w ciągu swego 19-letniego pobytu na obczyźnie pisywał; spalił się śliczny portret pendzla Ary Scheffera. Niepowetowana szkoda!...

— Na szczęście, istnieje dobra kopja tego portretu, dokonana w roku 1855 przez młodego Stattlera, syna Wojciecha, dla księżny Marceliny Czartoryskiej, a znajdująca się obecnie w Muzeum Czartoryskich w Krakowie.

— Nie widziałem tej kopji, ale pamiętam doskonale, jak wyglądał oryginał. Pamiętają go również Gerson i Kostrzewski, którzy go widzieli. Był to portret naturalnej wielkości aż do kolan. Chopin siedział w fotelu, a choć całość była szkicowana tylko, to jednak głowa i ręce były wykończone, a malowane tak miękko i delikatnie, iż malarze zachwycali się... Czy portret ten spalił się istotnie? Ponieważ, jak panu wiadomo, podczas pożaru pałacu Zamoyskiego nie obeszło się także bez rabunku, więc bardzo być może, iż portret ten nie spalił się, ani go zniszczono, lecz poprostu zabrano... W każdym razie nie brakło wiele, a portret ten byłby ocalał. Jeśli zaginął, stało się to po części z naszej winy, nietyle z mojej, ile ciotki Barcińskiej.

— A to jakim sposobem?

— Portret ten bowiem, jeszcze na parę dni przed pożarem, znajdował się na wystawie obrazów w pałacu

Potockich na Krakowskiem Przedmieściu. Ponieważ wisiał tam dosyć długo, a wystawa dobiegała już końca, więc ciotka kazała mi go za kwitem odebrać. Odebrałem go, przywiozłem do Barcińskich, a było to właśnie w wilję pożaru...

— Widocznie, iż tak chciało przeznaczenie...

— Jeśli tak, to przeznaczenie to dla pamiątek naszych rodzinnych po Chopinie okazało się więcej, niż niemiłosiernem. Tak naprzykład pierwszy fortepian Chopina, ten, na którym grywał w Warszawie przed swym wyjazdem zagranicę, został w czasie pożaru wyrzucony przez okno...

— *A propos* tego fortepianu, to dzisiejszy dyrektor bibljoteki Jagiellońskiej, Estreicher, będąc świadkiem pożaru pałacu Zamoyskiego, widział na własne oczy, jak fortepian ten wyrzucono... Nawiasem mówiąc, o czem może szanowny pan nie wie, autor *Bibljografji polskiej* utrzymuje stanowczo, iż w czasie pożaru pałacu Zamoyskiego ocalało mnóstwo papierów, a w tej liczbie i listy Chopina najprawdopodobniej nie uległy zniszczeniu. Gdyby się dobrze rozejrzeć, możeby się gdzie jeszcze znalazły... Tylko należałoby nie żałować trudu...

— To wszystko prawie co pan tu widzi, pochodzi z pałacu Zamoyskiego. Ta szafka od butów naprzykład, wprawdzie nie wyszła z pożaru tego w takim stanie, w jakim ją pan teraz ogląda, ale bądź co bądź ocalała. Podobnie i inne rzeczy. Ocalały między innemi także i dwa piękne dywany po Chopinie, z tych jeden jest ten właśnie, drugi zaś ofiarowaliśmy po pożarze do kościoła św. Krzyża, gdzie też po dziś dzień się znajduje.

Skoro się wspomniało o kościele św. Krzyża, mimowoli nasunęło się na myśl serce Chopina, które, jak wiadomo, w kościele tym jest pochowane. Zapytany, czy nie może powiedzieć czego o okolicznościach, towarzyszących przewiezieniu serca tego do Warszawy

i złożeniu go u św. Krzyża, p. Jędrzejewicz uczynił potakujący gest głową; w chwili jednak, gdy zaczął mówić, weszła pani Jędrzejewiczowa, prosząc na filiżankę herbaty... Przy herbacie, ocukrzonej ze srebrnej cukierniczki, również będącej pamiątką po Chopinie, rozmowa znów zeszła na przerwany temat serca Chopina.

— Z tem sercem — mówił p. Jędrzejewicz — miała się rzecz tak. Gdy matka moja przyjechała w r. 1849, wraz z ojcem moim i siostrą moją, Ludwiką, do Paryża, dokąd ją wezwał wuj Fryderyk, i gdy mu już życia pozostawało niewiele (z czego sobie zarówno on, jak i matka moja doskonale zdawali sprawę), nieraz mówili o tem, co się stanie z ciałem jego po śmierci, gdzie będzie złożone do grobu. Wuj Fryderyk pragnął być pochowany w kraju, w Warszawie, na Powązkowkim cmentarzu, obok swej siostry Emilji, a wpobliżu ojca, spoczywającego w katakumbach. Wiedział jednak, iż to w ówczesnych okolicznościach było niemożliwem, i nieraz mówił do mej matki: «Wiem, iż wam Paskiewicz nie pozwoli przewieźć mnie do Warszawy, więc zabierzcie przynajmniej moje serce...» Nie mogąc, jako emigrant, być pochowanym na Powązkach, pragnął spoczywać na cmentarzu «Père Lachaise»... Życzeniu jego stało się zadość: gdy umarł, zaraz zrobiono sekcję, wyjęto serce (przyczem okazało się, iż umarł wskutek anewryzmu serca), włożono je do szklanego słoja ze spirytusem, a gdy rodzice wracali do Warszawy, matka zdecydowała się w czasie przejazdu przez granicę słoik ten ukryć pod suknię. Kontrabanda taka, choć może się wydać dziwną, była konieczną. Po przyjeździe do domu, przez czas jakiś serce to pozostawało w domu rodziców moich, gdyż umieszczenie go w katakumbach Świętokrzyskich natrafiło zrazu na pewne trudności. Szczęściem biskup ówczesny, Deckert, jako jeden z dawnych pensjonarzy mego dziadka (Mikołaja Chopina), zaprzyjaźniony był z naszą rodziną, wyrobił więc, że serce Chopina mogło być pochowane w kata-

kumbach Świętokrzyskich. Słoik ze spirytusem, w którym je przywieziono, opakowano w piękną hebanową skrzynkę, na której bieliło się srebrne serce z napisem odpowiednim... Skrzynkę tę, hermetycznie zamkniętą, złożono w większą skrzynkę dębową, którą dopiero opieczętowano. Tak opakowane złożono wreszcie serce to w katakumbach Świętokrzyskich, do czego trzeba było specjalnej protekcji paru wyższych przedstawicieli duchowieństwa, jak naprzykład biskupa Benjamina. Uważałem jednak, że serce Chopina powinno spoczywać nie w katakumbach, lecz w samym kościele św. Krzyża. Jakoż rozpocząłem starania w tej sprawie, starania przez długi czas bezowocne, albowiem spotykałem się wciąż z argumentem ze strony władz duchownych, że tylko świętych można w kościele chować nad podłogą, a Chopin, choć wielki genjusz, jednak świętym nie był.

— Na szczęście znalazł się argument na argument; przecież i Hoffmanowa nie była świętą, a jednak jej serce znajduje się w tymże kościele, wmurowane nad podłogą. Ten argument, tudzież dobra wola ze strony księdza Sotkiewicza, proboszcza kościoła św. Krzyża, sprawiły, że zgodzono się na to, by i serce Chopina uznać godnem tych samych wyżyn, co Hoffmanowej. Chodziło o to tylko, by wszystko odbyło się po cichu, bez hałasu, bo o jakiemś uroczystem przeniesieniu nie mogłobyć mowy narazie... Jakoż stało się to wieczorem, w cichości, w obecności kilku osób zaledwie. Byłem ja z żoną, był ksiądz kanonik Jakubowski, był Stanisław Orniowski... Gdy otwór w ścianie, w który wsunięto skrzynkę, został zamurowany, zrodziła się myśl wśród rodziny, by w miejscu tem wznieść odpowiedni monument... Skończyło się na tem wszakże, że piękny pomnik kompozycji Marconiego, wykonany przez Andrzeja Pruszyńskiego, nabyło Towarzystwo muzyczne, które w r. 1880 urządziło specjalny koncert na ten cel.

Zkolei zeszła rozmowa na temat kłopotów finansowych, w jakich Chopin znalazł się na kilka miesięcy przed śmiercią, a które sprawiły, że ujrzał się zmuszonym przyjąć kilkanaście tysięcy franków od panny Stirling.

— Pomimo bardzo znacznych dochodów, jakie mu przynosiły lekcje, wuj mój zawsze wydawał więcej, niż mu na to pozwalały jego fundusze. Z groszem się nie liczył, a nie przywiązując wagi do pieniędzy, najczęściej, co miał, wydawał w sposób lekkomyślny, najwięcej rozdając pomiędzy emigrantów, z których zawsze ze 40 poprostu utrzymywał: żywił ich, ubierał, płacił długi, słowem, nie żałował ani sobie, ani innym. Niech tylko który z emigrantów był w potrzebie, zaraz szedł do Chopina, a on nigdy nie odmawiał, o ile sam posiadał cokolwiek... Coprawda, zdarzały się i jemu takie chwile, zwłaszcza w ostatnich czasach, że i on był bez grosza, wtedy jednak, choć miał zamożną rodzinę w Warszawie, wolał wziąć od obcych, niż prosić swoich. Przecież wystarczyłoby, żeby napisał słówko, bądź do moich rodziców, bądź do Barcińskich, a z pewnościąby mu przysłali, ile zażądał; ale nie uczynił tego ani razu... Rodzice moi w czasach, kiedy wuj musiał przyjąć ów zasiłek od panny Stirling, mieli dwa domy w Warszawie. Barcińscy mieli dom na Nowym Świecie (ten, na którego miejscu stanął dziś olbrzymi dom wydawców *Wędrowca*), więc był dostatek, a jeśli komuby nie poskąpiono, to z pewnością Chopinowi, będącemu chlubą całej rodziny. Ale trudno dawać, gdy ktoś nie żąda.

Ponieważ tyle się w ostatnich czasach mówi i pisze po gazetach o sprowadzeniu zwłok Chopina do kraju, więc zapytałem p. Jędrzejewicza, jakie też jest jego zdanie w tej kwestji.

— Otrzymałem nawet przed kilku dniami ze Lwowa, od tamtejszego komitetu sprowadzenia zwłok Chopina do Krakowa, list z zapytaniem, czy, jako jedyny dziś żyjący krewny Chopina, nie mam nic przeciwko

temu, by zwłoki wuja mego uczczono złożeniem ich na Skałce w grobach zasłużonych.

— Na Skałce?

— Tak, na Skałce!

— Ależ trzeba nie wiedzieć, kto był Chopin, by myśleć o uczczeniu go Skałką, dobrą dla talentów *minorum gentium*, dla Lenartowicza, Pola, Siemieńskiego, ale nie dla Chopina, któremu podobnych ludzkość wydała kilku zaledwie...

— Takie jest też i moje zdanie, i dlatego odpisując na wspomniany list, nadmieniłem, że przeciwko przewiezieniu zwłok Chopina na Wawel nicbym nie miał.

— Co do mnie, to uważam, że jest czterech ludzi, których śmiertelne szczątki powinny spoczywać obok trumien Kościuszki i księcia Józefa: to Mickiewicz (i ten już spoczywa), Chopin, Słowacki i Matejko.

— Podzielam pański pogląd, o ile on dotyczy Słowackiego i Matejki, bo co do Chopina, to, jeśli mam być otwartym, wolałbym, jeśli go już ma się sprowadzić do kraju, by go sprowadzić do Warszawy, tu bowiem, obok rodziców i całej rodziny, on sam zawsze pragnął być pochowany. A zresztą z Warszawą łączy go cała połowa życia; tutaj wzrósł, tu się wykształcił, tu miał swoich najdroższych, tutaj doznawał najsilniejszych wrażeń młodzieńczych, tutaj powstały jego wszystkie największe kompozycje: *Koncerty, Etiudy, Fantazja polska*, etc. W Warszawie spędził pół życia; jeżeli gdzie się czuł szczęśliwym, to tutaj; jeżeli dokąd serce wyrywało mu się z zagranicy, to do Warszawy, której był dzieckiem gdzie miał przyjaciół, rodziców, siostry, Elsnera. Tymczasem z Krakowem nic Chopina nie łączyło nigdy. Wprawdzie był raz w Krakowie, jako młody chłopiec...

— I to on jedyny z naszych wielkich, bo ani Mickiewicz, ani Słowacki, ani Krasiński nie byli nigdy u stóp Wawelu.

— Ale to jeszcze nie jest wystarczający powód,

by nie poruszyć wszystkich możliwych sprężyn, których poruszenie mogłoby umożliwić sprowadzenie zwłok Chopina do Warszawy. Niedawno petersburski *Swiet* wystąpił z artykułem, przemawiającym za wzniesieniem Chopinowi pomnika w Warszawie, a wpływowe stosunki p. Bałakirewa, któremu zawdzięczamy pomnik w Żelazowej Woli, także mogłyby zrobić swoje...

— A gdyby wszystko było uwieńczone pomyślnym skutkiem, wówczas gdzieby, zdaniem pańskiem, należało pochować Chopina? Czy tam, gdzie spoczywa jego serce?

— Uważam, że najwłaściwszem byłoby pochowanie go w warszawskim kościele św. Krzyża; a jeśliby to okazało się niemożliwem, to na Powązkach, w jakiemś pięknem, specjalnie dla niego wzniesionem mauzoleum...

KILKA NIEZNANYCH SZCZEGÓŁÓW O CHOPINIE

I.

Dobrski, Troschel, Rivoli i Leśkiewiczowa, to niezapomniany kwartet w dziejach naszej opery. Ale dawne to czasy i takich, którzy pomiędzy rokiem 1850—1860 słuchali i podziwiali śpiew tej artystycznej czwórki, zaczyna już być coraz mniej... Młodsza generacja, która Dobrskiego i Rivolkę zna już tylko z tradycji, wiedząc o nich, iż byli nieporównanymi interpretatorami głównych ról w *Halce* Moniuszki, o Troschlu i Leśkiewiczowej nie wie nawet tego: tradycja ich triumfów scenicznych wygasła już, można powiedzieć, zupełnie. O ile jednak Troschel, jako autor przepięknych pieśni, godnych figurować obok pieśni samego Moniuszki, ma zapewnione miejsce na naszym muzycznym Parnasie, gdyż pieśni jego nigdy śpiewanemi być nie przestaną, o tyle nazwisko Leśkiewiczowej, której talent nie pozostawił żadnych trwałych śladów po sobie, skazane jest na to, że je prędzej czy później pochłonie fala zapomnienia... Taki to już los talentów wykonawczych!

Leży przedemną «notatka biograficzna» Leśkiewiczowej (Józefy z Turowskich), własnoręcznie przez nią w r. 1881 na trzy lata przed śmiercią skreślona, w notatce zaś tej, pod rokiem 1841, czytam między innemi, co następuje: «W roku 1841, w lipcu, przybył

do Warszawy kompozytor, a zarazem dyrektor opery wiedeńskiej, Otto Nicolai, od którego wzięłam kilkanaście lekcyj śpiewu i za jego poradą udałam się do Paryża tegoż roku d. 6 października dla dalszego kształcenia się w śpiewie... W Paryżu uczyłam się od pierwszego nauczyciela śpiewu tamtejszego Konserwatorjum, p. Bordogni... Zostając w Warszawie w stosunkach przyjaźni z rodziną Fryderyka Chopina, przyjętą byłam przez niego z serdecznością (bywaliśmy razem w kółku jego przyjaciół) i żeby dać mi możność poznania bliżej znakomitości artystycznych paryskich wydał wieczór muzyczny u siebie: sam grał, ja śpiewałam po polsku jego kompozycje. Obecni byli: Franchomme, wiolonczelista najlepszy, Habanek, dyrektor wielkiej opery, przyjaciółka Chopina, znana autorka, pani George Sand, i wielu innych».

O tem przyjęciu jej przez Chopina «z serdecznością» opowiadał mi syn ś. p. Leśkiewiczowej, p. Kazimierz Leśkiewicz, kilka zajmujących a nieznanych szczegółów.

— Gdy matka moja — mówił — przyszła po raz pierwszy do Chopina (mieszkającego wtedy przy ulicy Pigalle razem z panią Sand) zastała go w chwili właśnie, gdy skończył pisanie swego Mazurka *As-Dur* [1]). W czasie rozmowy, gdy między innemi wspomniał o tem, prosiła go matka moja, by jej swój najświeższy utwór przegrać zechciał. Gdy to uczynił, zachwycona kompozycją jak i jej niezrównanem wykonaniem przez mistrza, pytała go, czy prędko myśli mazurka tego ogłosić drukiem? Odpowiedź jednak, którą usłyszała na swe zapytanie, wprawiła ją w zdumienie. Gdyby to od niego zależało — odrzekł Chopin — wcaleby kompozycyj swych nie ogłaszał, bo co za przyjemność na to jedynie publikować swe utwory, by je później różni niepowołani artyści w ten sposób wykonywali... To po-

[1]) Op. 50 N. 2.

wiedziawszy, zaraz dla zilustrowania swych słów zagrał tego samego pięknego Mazurka, nie tak jednak, jak go zagrał poprzednio, to jest tak, jak naprawdę zagrany być powinien, ale tak, jak go grać będą ludzie przeciętni, a więc bez właściwego rytmu, bez uczucia, bez poezji. Sposób, w jaki naśladował tych, którzy grając jego kompozycje bez najmniejszego ich zrozumienia, tylko je parodjowali tem samem, tak był zabawny, że matka moja nie mogła powstrzymać się od śmiechu, on jednak bolał nad tem, takich bowiem, którzyby choć w części wykonywali jego utwory tak, jak on je wykonanemi mieć pragnął, dało się policzyć na palcach.

Zważywszy tę okoliczność, wcale mu się dziwić nie było można, że coraz bardziej zniechęcał się do publikowania swych kompozycyj, których, prócz niego, nikt jak należy grać nie potrafił... Dowiedziawszy się od matki mojej, w jakim celu przybywała do Paryża, odradził jej branie lekcji u Bordogni'ego, który poprostu zbyt był zajęty, by mógł się każdą ze swych licznych uczennic zająć sumiennie, a gdy mu matka moja zaśpiewała parę rzeczy ze swego repertuaru, radził jej brać lekcje u Solivy, niegdyś dyrektora opery w Warszawie, a obecnie od niejakiego czasu stale w Paryżu zamieszkałego i trudniącego się dawaniem lekcyj śpiewu. Gdy matka moja w pierwszej chwili zdecydowała się pójść za jego radą, obiecał ją gorąco Solivie polecić, co też uczynił. Upłynęło kilka dni, w ciągu których matka moja zdecydowała się jednak pozostać przy pierwotnym planie i zapisać się na kurs do Bordogniego. Wszyscy, u których zasięgała informacyj, radzili jej w tym razie nie słuchać Chopina, ten bowiem osobiście Bordogniego nie lubił, a natomiast zaprzyjaźniony z Solivą, gdzie tylko mógł, to go protegował, choć Soliva nie mógł się równać z takim Bordognim. Wobec tego udała się matka moja raz jeszcze do Chopina i zwierzyła mu się ze swych wątpliwości co do Solivy... Chopin jednak obstawał przy swojem, a że sprzeciwiać

mu się nie było można, więc należało zachować się dyplomatycznie... Skończyło się na tem, że matka moja zdecydowała się stanowczo na Bordogniego, czem Chopin czuł się mocno dotknięty. Jak go cała ta sprawa rozdrażniła, świadczy list jego, pisany nazajutrz do matki mej, list, świadczący, że wielki artysta potrafił nawet być nie dość delikatnym wobec kobiety, skoro coś stało się nie po jego myśli...

Autograf listu tego (wraz z listem Meyerbeera, entuzjastycznie wyrażającego się o śpiewie panny Józefy Turowskiej) posiada p. Leśkiewicz w swych zbiorach, chroniąc go, jak relikwję. Pisany czytelnie nadzwyczaj na niewielkim arkusiku wytwornego papieru listowego, brzmi on, jak następuje:

«Obiecałem Pani wczoraj parę słów wieczorem, ale nie widziałem Solivy, a dziś im więcej myślę nad tem, co mi Pani wczoraj powiedziała, tem bardziej żałuję, żeś mnie Pani zaszczyciła zaufaniem w rzeczy, o której widzę sądzić nie umiem. Dałem Pani dobrodusznie, na żądanie Pani, nielekkomyślną radę, ale dobrze wprzódy się zastanowiwszy. I jeszcze raz Pani powtórzę, że z tego, com miał przyjemność słyszeć (nie sądząc o timbrze, boś Pani zmęczona podróżą i katarem paryskim), wnoszę, że Pani ma głos nadzwyczaj rozległy, intonację bardzo czystą i czucie — najważniejsze przymioty wielkiego talentu — i że więcej sztuki śpiewania nie zawadzi. Dlatego mówiłem Pani moje *szczere* zdanie o Bordognim, że więcej on Pani nie nauczy, zdanie, przy którem trwam, i dlatego tak poradziłem Pani, jak najlepiej myślałem. Omyliłem się, bo nie o naukę, ale o imię chodzi. Tegom się powinien był może domyśleć, ale się stało. Rachuj Pani na mnie i na moją szczerą przysługę w każdym innym razie, ale za bardzo mocno Panią Solivie poleciłem i cokolwiek go wyżej od Bordogniego cenię, żeby dziś prosić go o odmówienie mi tegoż samego, czegom sobie przed kilku dniami tak

bardzo życzył i o com go z całej duszy nudził. Niech to mi Pani daruje i wierzy prawdziwej usłudze mojej w każdej *innej* okoliczności, nb. po *szczerej* rozmowie.

Fr. Chopin.

Lablącha odpowiedzi czekam i zaraz ją Pani prześlę.

Sobota rano».

Skorom złośliwy ten i pełen różnych szpileczek list przeczytał, opowiedział mi jeszcze p. Leśkiewicz, co następuje:

— Ale chwilowe poróżnienie trwało niedługo: Chopin miał swoje drażliwości, ale nie był zawzięty. Jakoż, gdy mu wytłumaczono, że jednak dla matki mej będzie lepiej brać lekcje od Bordogniego, dał się ostatecznie przekonać, i co za tem poszło, nie miał już do matki mej żadnych pretensyj. Owszem, wszystko, co było w jego mocy, robił dla niej, jak o tem świadczy ów wieczór muzyczny, specjalnie przez niego gwoli mej matce urządzony. Opowiadała mi matka, iż na wieczór ten przyszła pierwsza. Jeszcze nikogo z zaproszonych gości nie było, a gdy weszła do sali, oczom jej przedstawił się następujący widok: pośrodku salonu, stała na krześle pani Sand i zapalała świece w żyrandolu, Chopin zaś stał przy niej ze stoczkiem w ręku, który jej podawał co chwila. Matka moja, trafiwszy na podobną scenę, wyjść z podziwienia nie mogła, by dwoje tak sławnych ludzi mogło się zajmować tak poziomą rzeczą, jak zapalanie żyrandola, ale wytłumaczyli jej, że najczęściej, gdy się chce, by coś było dobrze zrobionem, trzeba zrzucić pychę z serca i zrobić to samemu.

II.

Siedzieliśmy w kilku przy czarnej kawie w cukierni Semadeniego, «pod filarami». Gdy rozmowa,

która wogóle toczyła się o wielkich kompozytorach, zeszła na Chopina, rzekł Michał Herz:

— A propos Chopina opowiem panom sąd o nim Moschelesa. Nie lubił on wogóle Chopina, tak dalece, iż nawet się z tem nie taił. Ile razy zdarzyło mi się z nim mówić o Chopinie, zawsze na samo wspomnienie jego nazwiska irytował się i zżymał. Zapytany o niego, nigdy — przynajmniej wobec mnie — nie wyrażał się inaczej, tylko z lekceważeniem. Nie mogłem zrozumieć tej dziwnej niechęci, a tembardziej wydała mi się ona dziwną po śmierci Moschelesa, gdy wydano jego pamiętniki, w których, obok złośliwych, nie brak i ustępów o Chopinie, pełnych podziwu dla niego. Nigdy nie zapomnę mojej pierwszej rozmowy z Moschelesem. Było to w r. 1860 mniej więcej, w Lipsku, gdzie Moscheles zajmował wtedy stanowisko dyrektora tamtejszego Konserwatorjum, a dokąd ja przyjechałem dla dalszego kształcenia się w muzyce. Tyle od dziecka słyszałem zawsze o Moschelesie, jako znakomitym fortepianiście, że choć był już podówczas zgrzybiałym, blisko 80-letnim starcem, postanowiłem zapisać się na jego kurs gry fortepianowej... Gdym u różnych znajomych zasięgał informacyj w tym względzie, powiedziano mi przedewszystkiem, bym się nauczył grać którą z kompozycji Moschelesa. Szczęśliwym przypadkiem miałem ze sobą, kupione jeszcze w jakiejś warszawskiej antywarni *Impromptu* Moschelesa, tem charakterystyczne, iż skomponowane zupełnie w duchu Chopinowskim, najwyraźniej pod jego wpływem. Wobec tego nigdym nie przypuszczał, by sędziwy mistrz fortepianu mógł być źle uprzedonym do naszego Chopina. Przekonałem się jednak, zaraz za pierwszej mej bytności u Moschelesa, iż rzecz miała się przeciwnie. Gdym stanął przed Moschelesem, ponieważ zwyczajem ówczesnym byłem w czamarce, odrazu poznał, żem Polak. Gdy potwierdziłem to jego przypuszczenie, rzekł z lekkim odcieniem ironji: «*Da spielen sie gewiss auch ihren Chopin... Denn*

alle Polen spielen immer Chopin und Chopin!» A mówił to takim tonem, iż znać było, że bynajmniej nie podziela tego naszego entuzjazmu dla mistrza. Zauważywszy, iż w ręku trzymałem jakieś nuty, zapytał co to takiego? a gdym mu pokazał jego własne *Impromptu*, odrazu mu się twarz rozpogodziła. «Gdzieżeś to pan dostał te nuty?» Gdym mu powiedział iż w Warszawie, gdzie wogóle kompozycje jego bardzo bywają grane, z niekłamanym wyrazem zadowolenia przyjął tę wiadomość, poczem zaproponował mi, bym mu *Impromptu* to zagrał... Skorom je zagrał (cała rozmowa nasza toczyła się przy fortepianie), pochwalił mój sposób gry, poczem zażądał bym coś zagrał Chopina. Zagrałem mu *Mazurka-B-dur*. Gdym skończył, pochwalił mój sposób interpretacji tego *Mazurka*, zauważył jednak, że on go inaczej pojmuje... To rzekłszy, usiadł do fortepianu i zagrał kompozycję tę po swojemu, tj. tak jak wogóle *Mazurki* Chopina grają cudzoziemcy, bez najmniejszego pojęcia o rytmice mazurowej, bez tej jakiejś ludowej zamaszystości, a zarazem melancholji, bez których *Mazurki* Chopina tracą całą swoję poezję. Gdy skończył, zwrócił się do mnie z zapytaniem, jak mi się taki rodzaj interpretacji *Mazurka* tego podoba? na co odrzekłem, że my, Polacy *Mazurki* Chopina pojmujemy ludowo i grając je, uwydatniamy właśnie ten w nich zawarty pierwiastek muzyki ludowej. «Owszem — rzekł Moscheles — wierzę, że pan go pojmujesz właściwie, ale musisz pan przyznać, że i ja *Mazurka* tego gram dobrze, gdyż gram go zupełnie tak, jak jest napisany... Przyznaję jednak, że i pan, choć go grasz inaczej, niż ja, także grasz go dobrze. Więcej panu powiem, słyszałem *Mazurka* tego, granego na jakimś koncercie przez fortepianistkę jedną, która była uczennicą Chopina. I ona grała *Mazurka* tego dobrze, ale całkiem inaczej, niż pan i niż ja. Powiem panu więcej jeszcze; *Mazurka* tego słyszałem granego przez Chopina samego, który go oczywiście także grał dobrze, ale znowu całkiem inaczej, nie tak jak ja, ani tak jak pan, ani tak jak owa jego uczennica. Otóż moje zdanie jest takie, iż kompozytor, którego dzieło każdy może grać inaczej, a jednak każdy gra dobrze, to jest, proszę pana, żaden kompozytor».

Lecz niechęć Moschelesa do Chopina przejawiała się niekiedy w sposób o wiele jaskrawszy. Pamiętam, raz wchodzi do klasy Moschelesa kolega mój z konserwatorjum, młody nadzwyczaj utalentowany Rafael Józefi, który z czasem w Ameryce szczególniej zasłynął jako wielki fortepianista. Wszedł z teką nut pod pachą, a jak się okazało, były to wyłącznie kompozycje Chopina, którego Józefi był entuzjastycznym wielbicielem. Moscheles, ciekawy z natury, zajrzał do teki, a gdy zobaczył, iż nie zawiera nic prócz samego Chopina, rozdrażniony, otrząsnął się, splunął i cisnął gniewnie tekę na fortepian... Ale o ile wiem, stanowił Moscheles wyjątek wśród innych muzyków, których wtedy spotykałem w Lipsku. Tak np. profesor gry fortepianowej w konserwatorjum, Ernest Ferdynand Wenzel, przyjaciel Wagnera, Liszta, Berlioza, genjalny człowiek, nigdy o Chopinie nie mówił inaczej, tylko z najwyższym entuzjazmem. Zawsze z przejęciem wspominał tę chwilę, w której mu było sądzone usłyszeć Chopina samego. Było to w r. 1835 czy 1836, gdy Chopin bawił w przejeździe w Lipsku. Nazwisko jego w Niemczech, głównie dzięki Robertowi Schumanowi, było już bardzo głośne. Otóż zdarzyło się, że któregoś dnia — opowiadał mi Wenzel — korzystając z pięknej pogody jesiennej, gdyż było to jakoś we wrześniu, przechadzałem się po Promenadzie. Naraz słyszę, że z otwartych okien jednego z pobliskich domów, i to z okien mieszkania moich znajomych, płyną dźwięki fortepianu, dźwieki, które, gdym podszedł bliżej, brzmiały tak, że jak żyję nie słyszałem podobnej muzyki. Przystanąłem, a po chwili, poprostu upojony przecudną muzyką, nie przypominającą żadnej innej, a wyższą ponad wszystko, co

się znało dotychczas, pomyślałem sobie, że w ten sposób grać może tylko Chopin... Nawiasem mówiąc, nie wiedziałem zupełnie, że Chopin znajdował się w Lipsku. Nie namyślając się ani chwili dłużej, wbiegłem na schody, zadzwoniłem, i rzeczywiście przekonałem się, że to Chopin tak grał na fortepianie. Poznałem się z nim. Był to zresztą jedyny raz, gdzie go widziałem i słyszałem, wrażenia jednak jakie wtedy na mnie uczynił, nie zapomnę nigdy... Nigdy!

CHOPIN I NIEMCEWICZ

Szkoda wielka, że nasi dzisiejsi malarze tak mało czerpią tematów do swych obrazów z niedalekiej przeszłości narodowej, np. z epoki emigracyjnej, i że dają się w tem ubiegać... cudzoziemcom, którzy te wdzięczne tematy lepiej umieją oceniać i odczuwać. Ileż to obrazów np. dałoby się namalować na tematy z życia Chopina, tematy, które nie muszą być najgorsze, skoro zdołały spopularyzować niektórych malarzy zagranicznych. W Anglji obraz A. C. Gow'a przedstawiający 5-letniego Chopina, grającego na fortepianie w otoczeniu pensjonarzy i przyjaciół ojca, został nabyty do *National Gallery*, a we Francji, w Niemczech, we Włoszech cieszy się wielką popularnością tryptyk Ballestrieri'ego p. t. *Chopin*, przedstawiający trzy momenty z życia twórcy *Polonezów*. Tenże Ballestrieri namalował obraz p. t. *Nocturne*, niesłychanie popularny dziś w Paryżu, obraz, przedstawiający Chopina jak gra staremu Niemcewiczowi i paru emigrantom. Na obrazie tym, bardzo nastrojowym (pod którym to względem znacznie przewyższa *Chopina u Radziwiłła* Siemiradzkiego), dwie głowy mają szczególną wymowę: natchniona głowa Chopina, improwizującego przy fortepianie, i siwa głowa zasłuchanego i zadumanego Niemcewicza, który, siedząc obok, tuż przy grającym, myślą zdaje się tonąć w przeszłości, którą ta czarowna muzyka jakby wywoływała z grobu, znowu stawiała przed oczy... Czyż można sobie wyobrazić bardziej *polski* temat? A jednak zużyt-

kował go Ballestrieri, nie którykolwiek z ziomków Chopina... Czyż to nie charakterystyczne?

Co pewne, że Chopin wielokrotnie grywał i improwizował w obecności sędziwego Niemcewicza, zarówno w kraju przed r. 1830 w Warszawie, jak i później na emigracji, w Paryżu.

Nie należy zapominać, iż pierwszy swój występ publiczny, który się odbył d. 24 lutego 1818 roku w pałacu Radziwiłłowskim w Warszawie, zawdzięczał Chopin pośrednictwu sędziwego autora *Śpiewów historycznych*, który nakłonił panią Zamojską, by do udziału w urządzanym przez nią koncercie na ubogich Towarzystwa Dobroczynności zaprosiła także, jako szczególną atrakcję, 9-cioletniego «Szopenka». Ponieważ Jaśnie Wielmożna Ordynatowa bardzo się zapaliła do tego pomysłu, więc krotochwilnie usposobiony projektodawca napisał bardzo zabawną komedyjkę w jednym akcie, p. t. *Nasze Verkehry*, w której między innemi w usta pani Zamojskiej włożył monolog z takim ustępem o Chopinie:

Na koncercie ma grać młody Chopin: wiek jego dziecinny zapewne ludzi sprowadzi. Przewyborny przychodzi mi koncept: mały Szopenek ma już lat 9, ale żeby większą w ludziach wzbudzić ciekawość, wydrukujemy w okazach, że Szopenek ma tylko lat 3. Trzyletnie dziecko, grające wielki koncert na klawikordzie, latające z rączkami swemi to na prawo, to na lewo, ach! jakże ludzie będą się zlatywać, żeby widzieć to cudo! Ale jak potem zobaczą na scenie? Szopenek nie tak bardzo maleńki, jak się odkryje kłamstwo? Lepiej poradzić się Towarzystwa.

Podczas narad z Towarzystwem, t. j. z różnymi członkami Tow. Dobroczynności, między którymi Niemcewicz nie omieszkał wprowadzić i siebie samego, tak przemawia między innemi:

P. Ordynatowa. Wiadomo, że w przyszły wtorek ma być koncert i że mały Chopin ma grać na nim; gdybyśmy napisali w afiszach, że mały Chopin ma tylko lat trzy, jakie

mnóstwo zbiegłoby się patrzeć na to cudo, ile to będzie ludzi, a dla nas ile pieniędzy!

Wszyscy (z największą radością). Brawo, brawo, wybornie! Co za szczęśliwa myśl! Połóżmy w afiszach, iż Szopenek ma tylko lat trzy.

Księżna Sapieżyna. Mnie się zdaje, żeby więcej jeszcze impresji zrobiło na publiczności, gdyby położyć na afiszach, że małego Szopenka niańka przyniesie na ręku.

Wszyscy. Brawo, brawo! Przedni koncept Księżnej Imci!

Obracając się w tych samych sferach, Niemcewicz dużo miał okazji w Warszawie, ażeby słyszeć Chopina. Między innemi spotykał go w salonie panny Teresy Kickiej. O jednym z wieczorów u niej, na którym był także obecnym Niemcewicz, tak pisze Odyniec w swoich *Wspomnieniach z przeszłości:*

Było to w r. 1827, a może i 1826, z pewnością nie pamiętam. Chopin był jeszcze w mundurku szkolnym, a nieśmiały, jak młoda panienka. W salonie, zamiast fortepianu, był tylko *Eolimelodicon*. Gospodyni w ciągu wieczora prosiła go, aby co zagrał... Po dwóch czy trzech kompozycjach cudzych, zaczął improwizować na temat ostatniej. Rzewne i uroczyste tony organku oddziałały widocznie na nastrój natchnienia, które jego samego zdawało się pochłaniać. Podziwienie było ogólne. Nie sądzono już, ale słuchano. On grał i grał coraz dalej, coraz wyraziściej i rzewniej, i grałby nie wiedzieć jak długo, gdyby czcigodny Juljan Ursyn, postrzegłszy nadzwyczajną zmianę i bladość jego twarzy, nie ulitował się nakoniec nad nim. Zbliżył się więc i, zcicha usiadłszy przy nim, ujął go powoli za rękę, mówiąc: «Dość już, dość, kawalerze! trzeba, żebyś odpoczął». Wtenczas dopiero otoczyli go wszyscy. Nikt już głośno chwalić go nie śmiał, i tylko gospodyni, i goście ściśnięciem rąk mu dziękowali.

Po upadku rewolucji i Chopin i Niemcewicz znaleźli się, wraz z całą emigracją, na paryskim bruku. I znów spotykali się raz po raz, bo mniej więcej w tych samych kołach i domach emigracyjnych obracali się obadwaj, u Czartoryskich, u Platerów, w klubie. Tym sposobem Niemcewicz znów miał sposobność dość częstego słyszenia Chopina i przebywania z nim razem.

W roku 1836 razem zasiedli do wigilijnego stołu, do którego obok innych rodaków zasiadł także Mickiewicz. Oto, jak ten wieczór opisał w swym dzienniku Eustachy Januszkiewicz:

Że to był dzień Adama, Jełowicki i ja dawaliśmy wieczór dla wszystkich literatów pod prezydencją J. U. Niemcewicza. Podniósł on toast: Ojcu poematów: Dziady, Grażyna, Wallenrod, a szczególnie nieporównanej Marji (jest to córeczka Adama). Za ten dodatek pochwycił Adam i w pochlebnem dla Ursyna przemówieniu wyznał, że w tem jednem Nestora naszego potrafił przewyższyć. Stary Jujlan tak był rozweselony, że, choć zwykle bawi tylko do 11-ej i idzie do spoczynku, przesiedział do 1-ej w nocy i opowiadał nam, dzieciakom, czasy czteroletniego sejmu. Nieporównany Chopin grał, śpiewał, improwizował, i tak wszyscy grą i serdeczną zabawą byli zajęci, że nikt nie widział zorzy północnej, co nam przez pół godziny przyświecała.

Jak poprzednich lat, tak i w Paryżu na emigracji Niemcewicz, pisał dziennik, którego ostatnią kartkę zapisał jeszcze w dniu swej śmierci. Autograf tego dziennika z czasów paryskich, dotąd nie ogłoszony drukiem, znajduje się w Bibljotece Polskiej w Paryżu. Ponieważ Niemcewicz codzień wieczorem zapisywał wszystko, co robił w ciągu dnia, z kim się widział, o czem mówł, co czytał, ba, co jadł na obiad, więc i nazwisko Chopina z natury rzeczy od czasu do czasu spotyka się w tym drobiazgowym pamiętniku.

Oto kilka takich wzmianek o Chopinie, które — przy pobieżnem przerzucaniu tego dziennika — znalazłem i wynotowałem. Nie wątpię, że ich musi być więcej znacznie.

4 kwietnia 1835.

...Pożyteczniejsze dla nędznych polaków, polek i ich dzieci, było danie koncertu na rzecz ich; X. Czartoryski i Towarzystwo Dobroczynności zadali sobie wielką pracę, by koncert ten był najkorzystniejszym. Jakoż ledwie nie wszystkie miejsca były wzięte: Nasz Chopin na klawikordzie, p. Nourri, panna Falken celowali nad innych.

Na lato wyjeżdżał zwykle Niemcewicz do pobliskiego Montmorency, gdzie również przez kilka lat na letniem mieszkaniu osiadał i generał Kniaziewicz. Tam ich w niedziele i święta odwiedzali różni przyjaciele emigranci, Mickiewicz, Witwicki, Gorecki, i inni. Okazuje się, iż czasami, a nawet często dosyć, odwiedzał ich Chopin, o ile w tym czasie bawił w Paryżu. Tak było w czerwcu r. 1836, podczas którego to miesiąca Chopin — jak to się okazuje z dziennika Niemcewicza — aż dwa razy w ciągu niespełna dwóch tygodni był w Montmorency u dwóch sędziwych patrjarchów wychodźtwa, raz u Kniaziewicza, raz u Niemcewicza.

Oto, jak się te odwiedziny odbiły w zapiskach autora *Jana z Tęczyna:*

12 czerwca 1836 (Montmorency).

Dzień pogodny, obchód Bożego Ciała zwyczajny. Dzieci wszędy stawią ołtarzyki i proszą o sous. Obiad u generała Kniaziewicza, na którym był Mickiewicz i Chopin, jeden z pierwszych pianistów w Europie, wesoły, dowcipny, umiejący podrzeźniać każdego: bawił nas wyśmienicie. Wieczorem pociągnięto mię na zwyczajny bal wiejski pod Kasztanami...

25 czerwca 1836 (Montmorency).

Miałem gromadę gości na śniadaniu u siebie. Państwa L. Platerów z dziećmi, Olizara, Osławskiego, Wład. Potockiego, Mickiewicza, Chopina, dr. Matuszyńskiego i kilku innych w liczbie 14. Przyjąłem tak, jak mogłem najlepiej.

W pierwszej połowie r. 1838 nastąpiło zbliżenie Chopina z panią Sand, zaczął się klecić romans pomiędzy nimi. Stąd poszło, iż pani Sand, wprowadzona przez Chopina, zetknęła się ze światem emigracyjnym polskim, że zabrała bliższą znajomość z niektórymi przyjaciółmi Chopina. Tym sposobem d. 27 lipca 1838 r. była na wieczorze u Wojciecha Grzymały, gdzie w liczbie zaproszonych znalazł się także J. U. Niemcewicz. Sędziwy pisarz, zawsze mający wielkie zainteresowanie dla kobiet, bardzo był rad poznaniu się ze znakomitą

autorką *Lelji*, a że i ona okazała się skłonną do prowadzenia z nim dłuższej rozmowy, więc skończyło się na tem, iż Niemcewicz tego dnia, pisząc swój dziennik, wcale obszernie rozpisał się o pani Sand, o wrażeniu, jakie na nim uczyniła swoją osobą.

Oto odnośny ustęp, zapisany pod datą d. 27 lipca 1838 roku:

Zawsze miałem chęć poznania sławnych talentami lub zasługami osób: Washingtona, Lafayette'a, Pitt'a, Foxa, Bailly'ego, Mirabeau, etc. Dziś jedną z słynności literackich jest pani George Sand czyli Dudevant. P. Grzymała zjednał mi to poznanie w swym domu. Jest to osoba mała, kształtna, piękna, duże czarne oczy, niewiele mówiąca, lecz zawsze dobrze. Talent w niej pisania rzadki, znajomy wszystkim; życie wolne, niestety! Raczy jednak wierzyć w Boga, nieśmiertelność duszy i przyszłe lepsze życie. Dla młodych powabna wcale. Oryginalna we wszystkiem, nawet w ubiorze; przyszła w arabskim burnusie, t. j. w płaszczu kamlotowym białym z kapturkiem, w podobnychże szarawarach; na głowie czarne włosy, prosto zaczesane. Przyszło z nią dwóch młodych ludzi: jeden brunet z potężną brodą [1]), z bielmem na jednem oku, drugi blondyn [2]). Syn dziwnie ładny i córka po męsku, pierwszy 12, druga 10 rok mające. Z wszystkimi pełna poufałości i pieszczot: słowem osobliwe stworzenie.

Nie pisze Niemcewicz, że i Chopin był na tem zebraniu u Grzymały, ale to nie ulega wątpliwości, bo jeśli pani Sand znalazła się na tym wieczorze, to jedynie ze względu i z powodu Chopina.

W niespełna dwa lata potem, d. 21 maja 1841 r. Niemcewicz rozstał się z tym światem. Nazajutrz po wspaniałym pogrzebie, na którym stawiła się cała emigracja, jak jeden mąż, otwarto w paryskim *Dzienniku Narodowym* «składkę narodową na pomnik Niemcewicza». Jednym z wielu, którzy na ten cel złożyli swoją daninę, był «Chopin Fryderyk z Paryża» z datkiem 25 franków [3]).

[1]) Był to Félicien Mallefille.
[2]) François Rollinat.
[3]) Zob. *Dziennik Narodowy* z d. 22 stycznia 1842 r.

DWIE UCZTY

Dnia 25 grudnia 1840 roku wyprawił Eustachy Januszkiewicz na cześć autora *Dziadów*, świeżo mianowanego profesorem literatur słowiańskich w paryskiem *Collége de France*, wspaniały bankiet, na którym «dwa na słońcach swych przeciwnych bogi», Mickiewicz i Słowacki, improwizowali do siebie, poczem wzruszeni i rozczuleni, o dawnych zapominając urazach i zatargach, uściskali się wzajemnie, «jako dwaj bracia». W tydzień później, d. 1 stycznia 1841 r. odbył się znowu, jak poprzednim razem, w mieszkaniu Januszkiewicza, drugi wieczór, na którym «w hołdzie uwielbienia i miłości» ofiarowano Adamowi puhar srebrny.

I

Utrzymywano dotychczas [1]), że kielich ten wręczył poecie Juljusz Słowacki, w dowód niby swojego względem Mickiewicza «wasalstwa». Fakt ten, tak dla Juljusza upokarzający i tak z usposobieniem jego niezgodny, najmniejszej zdawał się nie ulegać wątpliwości, na zasadzie, że wiadomość o nim z najwiarogodniejszego, jakie jest, czerpiemy źródła, bo z listu Eustachego Januszkiewicza, pisanego «nazajutrz» po wypadku do

[1]) Zob. Piotr Chmielowski, *Adam Mickiewicz, zarys biograficzno-literacki*, Warszawa—Kraków 1886, t. II, str. 327; Antoni Małecki, *Juljusz Słowacki, jego życie i dzieła*, wyd. drugie, Lwów 1881, t. II, str. 249 i 251; Antoni Mazanowski, *Stosunki i wzajemne sądy Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego*, Warszawa 1890, str. 23; oraz Władysław Piast, *Album pamiątkowe Adama Mickiewicza* w Życiorysie, rozdz. IV, str. XVII.

Bronisława Zaleskiego, który później, kreśląc żywot Eust. Januszkiewicza, list ten, wraz z innemi jeszcze, odnoszącemi się do pierwszej uczty, w redagowanym przez siebie *Roczniku Tow. Hist.-Liter.* w Paryżu, drukiem ogłosił [1]). Listom tym, jako współczesnym całemu zdarzeniu, uwiedziona pozorami krytyka przyznała w szeregu licznych dokumentów, owych uczt dotyczących, miejsce naczelne. Polegano też na nich, jak na biblji; wątpić na chwilę chociażby o ich prawdomówności nie przyszło nikomu nawet przez myśl.

Niemniej zaufania pokładano i w trzecim liście Januszkiewicza, z dnia 7 kwietnia 1867 roku, w którym, czyniąc zadość życzeniu p. Małeckiego, opisuje mu, «jak się rzecz istotnie miała». Z listu tego, w drugiem wydaniu swej książki o Słowackim, zamieścił p. Małecki dwa obszerne wyjątki.

W liście tym jednak nie doprowadza Januszkiewicz opowiadania o uczcie z dnia 25 grudnia do końca, ale, nie wiedzieć czemu, przerywa je w połowie, w najciekawszem miejscu właśnie, tak, iż wypadło p. Małeckiemu brak ten zastąpić «opisem, udzielonym w półtora miesiąca potem poznańskiemu *Tygodnikowi Literackiemu* przez jednego z uczestników biesiady, w artykule zatytułowanym *Improwizatorowie*, podpisanym literami N. O., drukowanym zaś w N-rze 8-ym, z dnia 22 lutego 1841 roku». Zdaniem p. Małeckiego, «autor (zapewne Napoleon Orda) skreślił to wspomnienie, jako wielbiciel Mickiewicza (jakimi byli i wszyscy inni obecni), lecz może trochę za daleko posuwając swój antagonizm przeciwko Słowackiemu».

Czwartym dokumentem, wątpliwym z wielu względów, jest *Wstęp*, pióra Romana Załuskiego, w formie

[1]) Zob. *Rocznik Towarzystwa historyczno-literackiego* w Paryżu 1873—1878, t. II, str. 320—322. Listów tych, ogłoszonych w roku 1879 nie znał (zdaje się) p. Małecki, przygotowując w roku 1881 drugie wydanie swej książki o Słowackim. Przynajmniej nie wspomina o nich nigdzie...

komentarza do listu Zygmunta Krasińskiego o «przedniejszych» dziełach Juljusza, komentarza, który objaśnia «wśród jakich okoliczności rzeczony list napisany został» [1]).

Wszystkie aż dotąd cytowane źródła wyszły z obozu Mickiewiczowskiego, z czego wynika oczywiście, że ów «antagonizm przeciwko Słowackiemu», o którym mówi p. Małecki, wycisnął na nich piętno wyraźne; to znaczy, że czerpać z nich należy oględnie, ze skalpelem krytyki w ręku i nie zapominać, że zawierają «więcej stronniczości, niż dobrej wiary» [2]).

Najmniej stronniczością tą zakażony zdaje mi się być artykuł przypisywany Janowi Koźmianowi, a wydrukowany bezimiennie w *Dzienniku Narodowym* [3]), redagowanym podówczas przez Feliksa Wrotnowskiego, w N-rze 15, z dn. 10 lipca 1841 roku. Artykuł ten cechuje: dobra polszczyzna — czego o żadnym z poprzednich dokumentów powiedzieć nie można — oraz pewne umiarkowanie, którem, jak wiadomo, odznaczał się sam redaktor *Dziennika Narodowego*, znany z wybornego przekładu prelekcyj Mickiewicza.

Bezstronnemi też i wolnemi od wszelkich małostek konkurencyjnych są niezaprzeczenie krótkie wzmianki o pierwszym z festynów, zawarte w listach samego Mickiewicza, mianowicie w liście z dnia 26 grudnia 1840 roku — a więc nazajutrz po uczcie pisanym — do Bohdana Zaleskiego, tudzież w liście z dnia 23 marca 1842 r. do jenerała Skrzyneckiego.

Jedynym dokumentem, jaki zawdzięczamy człowiekowi życzliwie dla Słowackiego usposobionemu, człowiekowi, którego Słowacki uważał za swego przyjaciela i powiernika [4]), są notatki p. Leonarda Niedź-

[1]) Zob. *Listy Zygmunta Krasińskiego*, t. III, str. 53—58.
[2]) Małecki, t. II, str. 234.
[3]) Tamże, str. 245.
[4]) Zob. Biegeleisen, *Pojedynek J. Słowackiego*, *Tyg. powsz.* 1884, Nr. 41.

wieckiego, «który chwalebnym obyczajem wszystkie ważniejsze fakta zaszłe w emigracji na świeżo notował» [1]). Na nich to, zarówno jak i na «ustnych opowiadaniach uczestników uczty», oparł Aër swoje opowiadanie p. t. *Wieczerza*, które jednakże apologją Słowackiego bynajmniej nie jest, uwielbienie autora bowiem skłania się stanowczo ku Mickiewiczowi.

Słowacki, któremu «zausznictwo nierozsądnych przyjaciół» Mickiewicza najboleśniej dało się uczuć, wyraził opinję swą o tym «brudzie ruchomym»: raz w krytyce *Nocy letniej* Zygmunta Krasińskiego [2]), dru-

---

[1]) Aër, *Opowiadania i studja*, str. 58.

[2]) W obszernym przypisku na str. 248, t. II książki p. Małeckiego o *Słowackim* powiedziano między innemi, w nawiasie, iż «rzecz o *Nocy letniej* jest wcielona do I-go tomu pism pośmiertnych», nie powiedziano jednak, iż uwaga powyższa stosuje się do pierwszego wyd. pism pośm. Słowackiego z r. 1866; w drugiem ich bowiem «znacznie pomnożonem» wydaniu, ani w t. I pism pośm., ani w t. IV *Pism* w dziale: *Proza*, artykułu tego nie przedrukowano. W pierwszem wydaniu zaś przedrukowano go nie z *Trzeciego Maja*, ale ze zmienionego znacznie przedruku *Orędownika* poznańskiego. Stąd pochodzi, że artykuł ten wydrukowano w wielu miejscach niezgodnie z tekstem oryginalnym. Np. na str. 298, t. I Pism pośm. Słowackiego (wyd. z r. 1866) kończy się artykuł Słowackiego w ten sposób: «Szylleryzm w nim, ale rozumniejszy, liryzm dziwnie zlany z plastyczną twórczością — a każdy jego pomysł oderwany, widać, jak się wiąże z *całym światem. Dusza — z jakim okrzykiem boleści wyrywa się na świat stworzenia*, jak się krwawi, odstając od słońc na wysokościach, do których *była* pierwszemi ćwiekami poczęcia *przybita!*» U Słowackiego tymczasem znajdujemy, co następuje: «Szylleryzm w nim, ale rozumniejszy, liryzm dziwnie zlany z plastyczną twórczością — a każdy jego pomysł oderwany, widać jak się wiąże *z całym światem Ducha, z jakim okrzykiem boleści wyrywa się na świat stworzenie*, jak się krwawi, odstając od słońc na wysokościach, do których *był* pierwszemi ćwiekami poczęcia *przybity*».

«Nie piszę dłużej, abym się zastosował do pożyczonego mi miejsca w obcym zupełnie dla mnie dzienniku, skończę więc prośbą do krytyki poznańskiej, aby w swoich lakonicznych wyrokach o dziełach sztuki, więcej była uważną, jeżeli chce długo do nieomylności, prawie papieskiej, rościć prawo... Sąd jej o *Nocy letniej*, równie jak inne sądy o niewyszłych tragedjach, wglądające w tekę autorską, mogą to zdziałać, iż wkrótce *wierzyć Tygodnikowi poznańskiemu nie będzie zwyczajem nawet w Poznaniu*». *J. S.*

Niedokładności takich napotykamy kilka, co jest bardzo wiele, zważywszy niewielką objętość artykułu. Np. kiedy Słowacki napisał: «a ilekroć ukolą go fałszerze, (feljetonista) rzuca się jak lew, leżący na podstawie dziennika»; to w wyd. lwow. wyrazy: «leżący na podstawie dziennika» opuszczono. Kiedy Słowacki pisze: «Wiecież wy, co się działo tej nocy? Oto Mickiewicz powiedział Słowackiemu wręcz, że nie jest poetą: oto *Tygodnik poznański* powtórzył głośno słowa Mickiewicza i nazwał to improwizacją»; to w wydaniu lwow. w miejsce *Tygodnika poznańskiego* wydrukowano: «Pismo jedno powtórzyło głośno słowa Mickiewicza i to nazwano» i t. d. Kiedy Słowacki powiada: «Który to poemat zapewne Grabowski w krytyce za kamień węgielny *Litewskiej szkoły* położy»; to w wyd. lwow. wydrukować zdania tego nie uważano za potrzebne. Kiedy Słowacki napada na *Tygodnik pozn.* mówiąc, że «gdyby Mickiewicz oskarżył go (Słowackiego) o brak honoru w grze — albo o jaki nałóg haniebny, albo inną rzecz jaką podłą — równieżby kłamstwo korespondenta przyjął *Tygodnik*» i t. d.; to w wyd. lwow. opuszczono ostatnie zdanie. Kiedy Słowacki, powiedziawszy: «O, jakże więc lepiej, że go tylko w osobie poety zabito», dodaje: «Jakże dobrzy są owi litewscy rycerze, że mogąc wszystko skłamać — lub kłamać dozwolić — to jedno tylko kłamstwo pozwolili»; to w wyd. lwow. pominięto cały ten tak złośliwy komplement. Kiedy Słowacki porównywa bohatera *Nocy letniej* do Króla Leara i powiada, że był «wzruszający, jak Hajdea, ta cudowna Byrońska warjatka»; to w wyd. lwow. całe to porównanie opuszczono. Czyżby je uważano za nietrafne? Kiedy Słowacki pisze: «I zaprawdę, któż dzisiaj ginie z kochanką? — inaczej kończą się poemata, kochanki giną w kolonjach, ścieląc jak Andromaka łoże... żołnierzom — a kochanek skarży się we francuskich dziennikach, a Francuzi pytają *I cóż — czy tam nożów nie mają po domach szlacheckich?*»; to w wyd. lwow. darmobyśmy szukali tego ustępu.

[1]) «Co było, obaczysz i opowie ci to na końcu mój malutki» *(Ben.)*, Listy do M., II, 76.

kowanej w *Trzecim Maju;* następnie w kilkunastu ostatnich oktawach pieśni V-tej *Beniowskiego* [1]), a wresz-

cie w listach do matki, które wszakże, jak chce p. Małecki, «grzeszą (?) pewną niezgodnością z poprzedniemi jego relacjami», mianowicie z zakończeniem pieśni V-ej *Beniowskiego* i Rzeczą o *Nocy letniej* Z. Krasińskiego, i dlatego «wymagają (?) wielkiej ostrożności w czerpaniu z nich».

II.

Większej nierównie, aniżeli korespondencja Słowackiego, wymagają ostrożności w czerpaniu z nich dokumenty, pozostałe po Eustachym Januszkiewiczu, który w liście do p. Małeckiego naprzykład, powiada, że «w wigilję Bożego Narodzenia zebrali się u mnie znajomi moi» i t. d. i t. d. w celu złożenia hołdu Mickiewiczowi. W zdaniu powyższem, w pierwszych wyrazach mianowicie, tkwi pomyłka, uczta bowiem, jak nas o tem dokładnie inne informują źródła [1]), odbyła się dnia dwudziestego piątego grudnia, czyli w pierwsze święto Bożego Narodzenia. W wigilję B. N. dnia 24 grudnia, odbyła się uroczysta wieczerza w klubie polskim, wieczerza, o której, rzecz nie do pojęcia, p. Małecki zdaje się nie wiedzieć zupełnie... W przeciwnym razie nie uderzałyby go na str. 241 tomu II-go «sprzeczność, że tu, w adresie, powiedziano: Polacy, dnia *dwudziestego piątego* grudnia zebrani i t. d. i t. d. Januszkiewicz zaś [2]) w liście podaje, że w *wigilję* B. N. ucztę swą urządził», sprzeczność, którą sobie zasłużony Plutarch Juljusza Słowackiego tłumaczy tem, że «owa chwila... wspólnie z Mickiewiczem przeżyta, t. j. improwizacje,

[1]) List Januszkiewicza do Br. Zaleskiego; napis na puharze, zarówno jak i tekst odresu, ofiarowanego Mickiewiczowi wraz z kielichem pamiątkowym dnia 1 stycznia 1841 roku; *Improwizatorowie*. Zob. także: Małecki, *Op. cit.*, tom II, str. 241, przypisek.

[2]) Jedynie w liście do p. Małeckiego, pisanym «po wielu latach».

przypadły już po północy, zatem istotnie w sam dzień Bożego Narodzenia». Z hypotezy tej jeden tylko da się wyciągnąć wniosek, mianowicie, że, jak powiedzieliśmy już, p. Małecki zdaje się nie wiedzieć o wigilji w klubie polskim, na której był Mickiewicz z żoną i z córką swą, Marynią, pupilką sędziwego Juljana Ursyna Niemcewicza, ówczesnego prezydenta rzeczonego stowarzyszenia, a której opis zawdzięczamy Aërowi [1]). Opisał ją także Piotr Chmielowski w swojej książce o Mickiewiczu [2]). Nie wiedząc o wieczerzy Aëra, można było, sądzę, wiadomość mylnie przez Januszkiewicza podaną sprostować na podstawie listu Mickiewicza, który dnia 26 grudnia 1840 r. donosi Bohdanowi Zaleskiemu: *Wczoraj* byliśmy na sutej uczcie u Januszkiewicza. Wyzwany przez Słowackiego improwizacją» i t. d. i t. d. W tem «wczoraj» znajduje się klucz do rozwiązania zagadki... Oprócz tego, sam Januszkiewicz Eustachy, w jednym z listów swych — w drugim mianowicie — do Br. Zaleskiego, powiada, że «do gości, 25 grudnia przybyli» ci i ci...

Drugi błąd popełnia Januszkiewicz, mówiąc, że wieczór, na którym doręczono Mieckiewiczowi kielich, odbył się «w tydzień» po pierwszym, «w wigilję Nowego Roku». Jest to pomyłka, tej samej co i poprzednia natury; zebranie bowiem, o którem mowa, odbyło się nie w wigilję N. R., coby znaczyło dzień 31 grudnia 1840 r., ale w sam dzień Nowego Roku, w pierwsze święto, wieczorem, czyli dnia 1 stycznia 1841 r., jak się o tem dowiadujemy od Br. Zaleskiego [3]), tudzież z artykułu przypisywanego Koźmianowi.

Do kolekcji drobnych «pomyłek», któremi, jak strop niebieski w noc gwiaździstą, usiane są listy Januszkiewicza, a zwłaszcza list do p. Małeckiego, należy

[1]) *Wieczerza*, str. 45—46.
[2]) Tom II, str. 321.
[3]) Rocznik Tow. Histor.-Liter., str. 321.

również wiadomość, że «Chopinowi coś przeszkodziło» i dlatego nie mógł być na wieczorze z d. 25 grudnia. O tem, że go nie było na tej uczcie, wspomina także Aër, mówiąc [1]), iż «powszechnie żałowano, że Chopin, ów duch bratni Adama, *nie znajdował się w Paryżu;* ale na nieobecność niema rady». Gdzież był tedy? Na to pytanie znajdujemy odpowiedź w dziełach Nicksa i Karasowskiego o Chopinnie, który, jak się dowiadujemy od nich, od dłuższego już czasu bawił w Nohant, u pani George Sand, złożony chorobą, wyczerpany z sił, tak, że kiedy przyjechał do hotelu Lambert, nie miał dość mocy, ażeby wejść na schody, i musiano go wnieść w fotelu. Widzimy więc, że owem «coś», co mu przeszkodziło przyjść na wieczór do Januszkiewicza, była słabość. Słabość ta jednak, jakby wnosić należało z listu Januszkiewicza do p. Małeckiego, nie stanęła na przeszkodzie twórcy *Mazurków* w tydzień później, dnia 1 stycznia 1841 roku; w liście bowiem Januszkiewicza stoi wyraźnie, że «na ten drugi wieczór przybył Chopin (Fryderyk)», który, jak nas o tem informuje jeden z następnych wierszy, «grał na fortepianie». Tymczasem w liście do Bron. Zaleskiego, pisanym «nazajutrz» po fecie, czytamy, że «do gości 25 grudnia przybyli: Bohdan Zaleski, Witwicki, Mierosławski. Kantobury Tymowski dla choroby przyjść nie mógł». O Chopinie (Fryderyku) ani słowa. Ani słowa też, ażeby «grał na fortepianie», jak to czyni w liście z dnia 7 kwietnia 1867 r. Podobnie Aër, opierający się na notatkach p. Leonarda Niedźwieckiego, nie wspomina nic o bytności Chopina na wieczorze z dnia 1 stycznia.

Na wieczorze tym, opowiada Januszkiewicz p. Małeckiemu, «Juljusz pił zdrowie Adama i oddał mu kielich». Przeczytawszy to, mimowoli uderzeni jesteśmy niewielką liczbą słów, poświęconych tej chwili, tak uroczystej (należałoby się spodziewać), a nadewszystko

[1]) *Op. cit.*, str. 49.

tak pożądanej dla zwolenników Mickiewicza, ile że wręczenie mu puharu przez Słowackiego należało uważać poniekąd za dowód «wasalstwa» tego ostatniego względem autora trzeciej części *Dziadów*... Rzecz dziwna i godna zastanowienia, że scenie tej, w której Słowacki w obecności czterdziestu antagonistów swoich, w pokorze uchylał czoła przed twórcą *Wallenroda*, scenie, która w pamięci wielbicieli Mickiewicza zapisać się winna jako chwila triumfu nad dumnym «szatańsko», a zarozumiałym i w gruncie rzeczy nienawistnym im autorem *Lilli Wenedy;* że scenie tej poświęca Januszkiewicz siedm wyrazów wszystkiego, nie więcej, zamiast rozpisać się o niej obszernie, «jak na wielbiciela Adama przystało», zamiast opowiedzieć szczegółowo: co mówił Słowacki? W jakich słowach wyraził swą czołobitność «wieszczowi katolikowi»? W jaki sposób «pił zdrowie Adama»? Jaką była odpowiedź Mickiewicza? Jakiem było zachowanie się Słowackiego przez resztę wieczoru, a zwłaszcza w czasie «proroczej» improwizacji wieszcza, niebacznie przerwanej przez Nabielaka? Czy znowu, jak tydzień temu, był z Mickiewiczem «jako dwaj bracia», czy też stronili od siebie: szczególniej Słowacki, który, spodziewać się należało, dokończy Adamowego proroctwa i nie dopuści, ażeby go w tem wyręczył człowiek tak niepowołany do poezji, jak Grzymała? O wszystkiem tem «cicho wszędzie głucho wszędzie» w liście do p. Małeckiego. W liście zaś do Bron. Zaleskiego jeszcze ciszej. «Słowacki oddał puhar». Nic nadto. Zdziwieni, nie możemy opędzić się myśli, że treściwość taka, jak wszystko zresztą, nie może być bez przyczyny. Po chwili rodzi się nieufność, sceptycyzm, powątpiewanie. Przypominamy sobie, że wiadomość, jakoby Chopin (Fryderyk) wieczoru tego «grał na fortepianie», była mylną. Czemu nie przypuścić, pytamy, że w zdaniu: «Słowacki oddał puhar», tyleż znajduje się prawdy, co w zdaniu: «Chopin grał na fortepia-

nie»? [1]). Bo uwierzyć niepodobna, ażeby Słowacki, któremu Mickiewicz, niedalej jak przed kilkoma dniami, powiedział wręcz, że nie jest poetą, ażeby Słowacki nie wziął sobie tego do serca, on, tak drażliwy na najmniejsze uchybienia, dotyczące jego osoby, a cóż dopiero jego osoby, jako poety. A przecież w liście Januszkiewicza do Bron. Zaleskiego stoi wyraźnie: «Adam odpowiadał Juljuszowi, mówił mu czem zgrzeszył, że *nie jest poetą*»... Nieprawda! Mickiewicz nie mógł Słowackiemu «powiedzieć wręcz: Nie jesteś poetą», a przynajmniej nie mógł mu tego w takiej oświadczyć formie. Januszkiewicz zaś, jako opowiadający nie dokładnie, lecz dowolnie, upoważnia nas do postawienia znaków zapytania: nietylko po rzekomem powiedzeniu Mickiewicza,

[1]) W słowach tych jest niewątpliwie tyle prawdy, ile w liście Stefana Witwickiego do Bohdana Zaleskiego z dnia 13 czerwca 1839 roku, liście, w którym Witwicki donosi przyjacielowi o wyjeździe Mickiewicza wraz z rodziną do Szwajcarji (dnia 11 czerwca) i w którym opisując obiad pożegnalny, jaki grono wielbicieli wyprawiło poecie w dniu 10 czerwca, t. j. w wilję wyjazdu, powiada między innemi, że na obiedzie tym było 40 osób. Toast wznosił Plater Ludwik, *także Pac jenerał* i inni, i t. d. Ależ był to chyba *duch* jenerała Paca, albowiem jenerał Pac nie mógł dnia 10 czerwca 1839 roku wnosić zdrowia Mickiewicza, skoro wiemy, że umarł w sierpniu 1835 roku (w Smyrnie, w Azji Mniejszej). Wprawdzie «wiele jest rzeczy na ziemi i niebie, o których się nie śniło naszym filozofom», ale... wszystko ma swoje granice.

Mogłaby się wprawdzie zrodzić wątpliwość, czy nie było przypadkiem dwóch jenerałów Paców? Wątpliwość tę wszakże usuwa najzupełniej St. Małachowski w swojem *Wspomnieniu o jenerale Ludwiku hr. Pacu*, gdzie czytamy między innemi: «Rodzice L. Paca zajęli się wychowaniem syna z całą pieczołowitością i gorliwością, tak naturalnie płynącą z miłości do dziecka, będącego jedynym synem i ostatnim z rodu». Zob. Rocznik Towarz. Hist.-Liter. w Paryżu, rok 1873—1878 t. I, str. 238 tudzież Józef Wolff: Senatorowie i Kniaziowie Litewscy, *Pacowie*, Petersburg 1885, str. 305—311.

że Słowacki «nie jest poetą» lecz i po słowach: «Słowacki oddał kielich» [1]).

Czy oddał? Jest to w każdym razie «wielkie pytanie», do którego powrócę jeszcze, uważam je bowiem w historji zatargu pomiędzy Słowackim a Mickiewiczem, za równie ważne, jak *to be or or not to be* w litanji zagadek Hamleta.

Tymczasem przypatrzmy się bliżej — przez lupę krytyczną — artykułowi, a raczej paszkwilowi p. t. *Improwizatorowie*, który, nacechowany bezgranicznem, «aż do fanatyzmu» [2]) posuniętem uwielbieniem dla Mickiewicza z jednej strony, z drugiej zaś «nieusprawiedliwioną niczem nieżyczliwością, stronnością i prawie wzgardą dla Słowackiego» [3]), takim odznacza się stylem, taką polszczyzną, nie mówiąc już o interpunktacji, że, czytając go, co kilka wierszy przypomina się sarkatyczny aforyzm braci de Goncourt: *La platitude du style vient de l'âme*. Artykuł ten, przypisywany Napoleonowi Ordzie, na podstawie, że autor podpisał się pod nim literami N. O. nie z pod jego jednakże wyszedł pióra [4]).

[1]) W liście z d. 2 stycznia 1841 r. do Br. Zaleskiego.

[2]) Wyrażenie Eust. Januszkiewicza, który powiedział: «Ja miłość dla Adama posuwam aż do fanatyzmu». Zob. Żywot Eust. Januszkiewicza w Roczniku Towarz. Histor.-Liter.

[3]) Małecki, *Op. cit.* II, str. 255. Zobaczymy niebawem, że «nieżyczliwość» ta i «prawie wzgarda» nie były, jak mniema p. M. nieusprawiedliwionemi niczem, lecz że, przeciwnie, są tylko nieuniknionem, logicznem następstwem całego łańcucha przyczyn (bo nic nie dzieje się bez przyczyny), o których obacz niżej.

[4]) Orda zresztą był muzykiem, a nie... dziennikarzem. Oto co czytamy o nim w Encykl. Powsz. Orgelbranda (t. XX, str. 10—11): «Orda (Napoleon) kompozytor i pianista, który skutkiem wypadków zaszłych w Polsce roku 1831, udał się przez Galicję (gdzie czas jakiś pozostawał) do Paryża i tu oddał się muzyce. W roku 1838 wydał w Paryżu album dzieł kompozytorów polskich; sam także napisał wiele dzieł fortepianowych, pełnych elegancji. W roku 1856 opuścił Pa-

Autorem *Improwizatorów* jest Eustachy Januszkiewicz.

Dowodzi tego, niestety! aż nadto wymownie najprostsze zestawienie tekstu *Improwizatorów* z tekstem listu Januszkiewicza do Br. Zaleskiego.

W *Improwizatorach* czytamy:

...Wtem powstaje jakiś korsykanin i wita poetę, jako wieszcza katolickiego, co mu znowu Rzym mocno przypomniało. Potem wezwany od przytomnych drugi poeta, którego nazwijmy sobie Juljusz, wystąpił z całą dumą szatańską, którą jednakże genjuszowi Adama kładł u nóg.

...twarz jego przybrała anielską postać, bo dusza z głębi tajników na wierzch wystąpiła. Zdało się nam, iż jakaś dziwna niepojęta światłość skronie jego otoczyła. Wszyscy mimowolnie powstali, jakby bóstwo jakie między nas wstąpiło, chcąc odwiedzić śmiertelnych. Niebawem wychodzi z ust jego potok

W liście Januszkiewicza zaś:

...Ottavi, włoch, wniósł toast Adama, jako wieszcza-katolika, czem przeniósł go w epokę pobytu w Rzymie. Dalej improwizował Słowacki. Wystąpił z całą dumą, którą w końcu ukorzył przed genjuszem Adama.

...twarz jego przybrała anielską postać; dziwna, niepojęta światłość otoczyła jego skronie; powstali wszyscy, jakby na zjawienie się bóstwa, przychodzącego odwiedzić śmiertelnych. A on... wypuścił z ust rzekę słów, najcudniejszych myśli i rymów z taką siłą, gwałtownością i mocą, a razem

ryż za amnestją i udał się do wsi Worocewicze, niedaleko Pińska, gdzie zamieszkał. Gra jego (głównie dzieł Chopina) jest spokojną i łagodną, lubo świetną i nader wykończoną».

słów, najpiękniejszych myśli, i rymów z taką siłą, gwałtownością i mocą, jak wody Wisły lub Dunajca, kiedy przerwawszy zapory z przepełnionego wylewają się koryta. Był to pęd niewstrzymany, który nam oddech tamował. Wszyscy stali w osłupieniu, grobowe milczenie. Adam odpowiadał Juljuszowi, wyrzucał mu jego grzechy poetyckie. Oświadczył wręcz, że on nie jest poetą. Tłumaczył, co go zgubiło. Nie jesteś poetą, mówił, bo nie masz wiary i miłości. Oto jeszcze niedawno (mówił o sobie Adam), kiedym się zabierał mówić o literaturze słowiańskiej przed obcymi, żaden nawet z moich przyjaciół w słowa moje nie wierzył. Wszyscy mnie odbiegli, odstąpili, rozumiejąc, żem się porwał na rzecz, której nie podołam. Jednym się zdało zuchwalstwem gadać w obcym języku — inni o zbytek miłości własnej mnie obwiniali, a nie wiedzieli, że oto tu (pokazując na serce), Bóg złożył słowa prawdy, którą ja mo-

z takim wdziękiem, że im nic równego nie było. Tak pęd był niewstrzymany, że nam oddech tamował. Staliśmy w osłupieniu; milczenie było grobowe. Adam odpowiadał Juljuszowi, mówił, czem on zgrzeszył, że nie jest poetą, co go zgubiło: oto, że niema miłości i wiary. Oto niedawno, rzekł, kiedym miał mówić przed obcymi, żaden z moich przyjaciół nie miał wiary w słowa moje; wszyscy mnie odbiegli, odstąpili. Jedni mówili: skądże mu ta śmiałość, w obcym odzywać się języku? inni obwiniali mię o miłość własną, a nie wiedzieli, że oto tu, w sercu (tu odkrył je) Bóg złożył słowa prawdy, którą ja mocen jestem na wszystkie tłumaczyć języki; jabym wam i po niemiecku gadał i t. d.

A później, wracając do poezji, mówił o powołaniu poety.

cen jestem na wszystkie języki tłumaczyć. Jabym wam po niemiecku gadał. Potem wróciwszy do poezji, mówił o powołaniu poety.

...Skończył, a w tem nastąpiła najuroczystsza dla poety chwila — wszyscy przytomni zalali się łzami — jeden okrzyk uwielbienia wyrwał się z piersi — wszyscy *niemal*[1]) na kolana przed nim padali.

...Jakieś uczucie wzajemnej miłości, wszystkich serca ogarnęło; mało znajomi ściskali się wzajemnie, zaręczając sobie wieczną przyjaźń i poświęcenie; dla słabości nerwów niektórych wzruszenie było za mocne. Chorzy pozdrowieli, a artyści nową w sobie poczuli siłę twórczą, nowe natchnienie. Działo się to o drugiej po północy. Adam jeszcze raz kazał sobie zagrać na gitarze, a uspokoiwszy się, odjechał. Pozostali jeszcze przez godzinę zachowali milczenie i napróżno wzajemnie pytali się, coby w nich tak mocne sprawić mogło wrażenie. Niejeden resztę nocy na rozpamiętywaniu tych wrażeń przepędził. Jeszcze nazajutrz samo opowiadanie sprawiało wielkie wrażenie na tych, co na improwizacji wczorajszej nie byli. Ludwik nawpół omdlały, z zapłakanemi oczyma i włosami w nieładzie wraca do domu. Na ten widok truchleje żona — a on zalewa się łzami i zaczyna jej opowiadać, czego był świadkiem i t. d. i t. d.

...Kiedy ją skończył, nastąpiła chwila najuroczystsza dla wieszcza, bo wszyscy zalali się łzami, jeden okrzyk uwielbienia wyrwał się z piersi; wszyscy padli przed nim na kolana.

...Jakieś uczucie wspólnej miłości ogarnęło serca wszystkich; mało znajomi ściskali się jak dawni przyjaciele, przysięgali sobie dozgonne braterstwo; byli i tacy, co doznali nerwowego ataku, jakiegoś konwulsyjnego wstrząśnienia. Chorzy mówili, że są uzdrowieni, a artyści czuli w sobie nową siłę twórczą, której im w danej chwili genjusz udzielał. Działo się to o godzinie drugiej po północy. Adam kazał jeszcze sobie grać na gitarze, co go uspokoiło i odjechał, a wszyscy pozostali jeszcze przeszło godzinę w milczeniu i dopytywali siebie, jak się to stało? Nazajutrz, wstrząśnienie jeszcze było tak silne, że opowiadający o wieszczu podobne wrażenie na drugich wywierali. Żeby dać wyobrażenie o skutku tej improwizacji Adama, powiem tylko, żeśmy kasztelana Platera półomdlałego odnieśli do powozu. Mieszka on daleko odemnie; żona niespokojna, że go tak długo niema, wstaje z łóżka, budzi córkę i razem zaczynają modlitwę; wtem słyszą turkot powozu; wchodzi kasztelan, rzuca na podłogę kapelusz, płaszcz; na widok oczu zapłakanych i włosów w nieładzie, truchleją... a on zalewa się łzami i poczyna opowiadać, czego był świadkiem i t. d. i t. d.

A teraz wątpić jeszcze, że dwóch tych rzeczy nie pisał jeden człowiek[1]), i twierdzić, że podobieństwo ta-

[1]) To «niemal», dowodzące, że wszyscy nie «*padli* przed nim na kolana» w rzetelnem znaczeniu słowa «padli», lecz tylko «*niemal* na kolana przed nim padali», najwymowniej świadczy, ile jest w opisach Januszkiewicza przesady i jak na nich polegać nie można.

[1]) Dziwna rzecz, że p. Antoni Mazanowski (*Op. cit.*, str. 21), którego także uderza podobieństwo *Improwizatorów* z listem Januszkiewicza, pomimo tego «nie wie, dlaczego prof. Małecki sądzi, że inicjały N. O. zmyślone. Na-

kie może być dziełem przypadku, nie ośmieli się chyba nikt, komu zasadnicze prawa rządzące umysłem ludzkim nie są obce.

Nie od rzeczy też będzie zwrócić uwagę na to, że artykuł p. t. *Improwizatorowie* wydrukowany d. 22 lutego nie mógł być, jak utrzymuje p. Małecki, «udzielony redakcji *Tygodnika literackiego* «w półtora miesiąca» po uczcie, lecz wcześniej znacznie; że musiał być napisany najdalej w pierwszych dniach stycznia, t. j. w tym samym mniej więcej czasie, co list do Br. Zaleskiego. Uwzględnić bowiem należy ówczesne warunki pocztowe, przy których list, z Paryża wysłany, wymagał dłuższego czasu, ażeby dojść do Poznania, gdzie znalazłszy się, musiał znowu czekać na swoją kolej, zanim go przeczytano, a po przeczytaniu, wydrukowano.

III.

«Wstęp» do listu Zygmunta Krasińskiego skreślony przez Romana Załuskiego, pisany był d. 6 marca 1859 r., a więc w lat 19 po «owej dramatycznej scenie, jaka zaszła między dwoma wieszczami», i to może jest przyczyną, iż żaden z poprzednich dokumentów, tak, jak ten, nie rozmija się z prawdą; do tego stopnia, że krytyk, przystępujący do jego analizy, nie wie chwilami, co myśleć o człowieku, który to pisał, i czem sobie tłumaczyć to pandemonjum niedokładności i błędów, popełnionych — przypuszczać należy — mimowoli bezwiednie.

W pierwszym zaraz wierszu, niby trójgłowy Cerber, strzegący bramy piekielnej, bije w oczy fatalna «pomyłka» co do czasu. Fatalna! «W jednym z pierwszych

zwiska obecnych na uczcie zachowały się i każą się domyślać, że autorem artykułu był Napoleon Orda». Ależ prof. M. pisze wyraźnie na str. 143 t. II, gdzie mowa o *Improwizatorach*, że «autor (zapewne Napoleon Orda) skreślił» etc.

miesięcy r. 1840, pisze Załuski, zebrało się w Paryżu na wieczór do p. Eustachego Januszkiewicza liczne grono przyjaciół i wielbicieli Adama Mickiewicza, na obchód jego urodzin». W jednym z pierwszych miesięcy 1840 roku? Jakim sposobem? Wiemy przecież i wiemy napewno, że uczta rzeczona odbyła się nie w jednym z *pierwszych*, ale pod koniec *ostatniego* miesiąca 1840 roku, bo 25 grudnia. Na razie niewielką do omyłki tej przywiązujemy wagę, przekonani, że dokonać się musiała przypadkowo, niechcący, najpewniej wskutek osłabienia pamięci autora; po głębszem jednak zastanowieniu do wprost przeciwnego, niestety, dochodzimy wniosku, mianowicie, że pomyłka, przypadkowa napozór i niewinna, popełnioną została z rozmysłem, i nie należy do kategorji pomyłek, dających się usprawiedliwić jedynie zanikiem pamięci u piszącego...

Do omyłek takich, którebym nazwał poetycznemi, ponieważ zawierają w sobie sporo *Dichtung*, a mało *Wahrheit*, zaliczam np. opowieść, jakoby po improwizacji Mickiewicza, trwającej «bez przerwy blisko pół godziny» wrażenie i zachwyt, jakie wzbudziła, były tak silne, że «gdy Mickiewicz nawpół omdlały usiadł znowu na swojem miejscu, zrobiła się największa cisza, którą nikt z przytomnych nie śmiał lub raczej nie był w stanie przerwać». Dopiero «pierwszy Chopin porwał się z miejsca i, usiadłszy przy fortepianie, począł przygrywać akordy i dźwiękiem nieporównanej swej gry pomału ukołysał zachwyt zdumionych słuchaczy, i, że tak rzeknę, do przytomności ich wrócił». Tymczasem, jak wiemy, Chopina nie było wcale w Paryżu tego wieczora. Wiemy również, że «Mickiewicz odpowiadał Słowackiemu», to znaczy, że pierwszy wystąpił z improwizacją Słowacki, po nim zaś dopiero mówił Mickiewicz. U Załuskiego dzieje się wprost przeciwnie. Najpierw improwizuje Mickiewicz; potem, kiedy skończył, Chopin swą grą czaruje «zdumionych słuchaczy», Sło-

wacki zaś powstaje nieprędzej, aż kiedy Chopin grać przestał. Sypnął kilka pochwał, powiada o nim Załuski, ale obok tego «nie szczędził gorzkich przymówek; nie omieszkał nawet szeroko się nad niemi rozwodzić». Z improwizacji jego «zresztą mistrzowskiej» przebijały jaskrawo, według Załuskiego, «zawiść i namiętność»; nie dziw więc, jeżeli wrażenie, jakie wywołała, nie wypadło na korzyść Słowackiego. «Pod wpływem tego wrażenia, wracając późno, bo już przy białym dniu, do swego mieszkania, nazbyt będąc wzruszonym, aby się udać na spoczynek», napisał Załuski, (jak zapewnia) list do Zygmunta Krasińskiego, opisując mu tak zajmujący wieczór. Na pismo to, odpowiedział autor *Irydjona*, w Rzymie wówczas przebywający, listem z d. 13 maja 1840 r., z czego wynika, że na list, pisany bezpośrednio po uczcie u Januszkiewicza, a więc opatrzony datą 25 lub 26 grudnia 1840, odpowiedział Krasiński na całych siedem miesięcy przed jego otrzymaniem. Fakt to, przyzna każdy, niebywały i «który się wytłumaczyć nie da przez żaden nowszy cud katolikowi».

W pierwszej chwili sądzimy, że musi to być poprostu omyłka drukarska: list Krasińskiego był niezawodnie pisany w maju, w r. 1841, nie zaś, jak wydrukowano mylnie, w roku 1840. Przeświadczeni o tem, pewni, że tak jest, odczytujemy raz jeszcze cały «wstęp» i widzimy, o dziwo! że i tam również wydrukowano wyraźnie r. 1840, nie 1841, mianowicie na str. 58, w ustępie, gdzie Załuski, stając w obronie «żarliwej pobożności» Zygmunta, ubolewa, że «ów duch, wówczas gdy ten list w r. 1840 z Rzymu pisał«, zdradzał pewne «dążności panteistyczne». Nie wiedząc, co myśleć o tem, zaglądamy do listu Zygmunta, w którym, jako odpowiedzi na list do Załuskiego, niejedną spodziewamy się znaleźć wzmiankę o uczcie u Januszkiewicza, opisanej przez Załuskiego. Ale i tu, niestety! czeka nas zawód; Krasiński bowiem zaczyna od tego, że «na żaden sposób nie może uznać za prawdę i słuszność niesprawiedliwości

wyrządzonej przez publiczność Słowackiemu», poczem zapytuje: «w czem go nie rozumieją?» Z odpowiedzi tej wynika, według praw logiki, z którą myśl Krasińskiego zawsze pozostawała w zgodzie, że Załuski, pisząc do Krasińskiego, między innemi donosił mu także o Słowackim; były to jednak wiadomości, dotyczące nie uczty u Januszkiewicza, ale niepowodzenia, jakiego wśród publiczności i krytyki doznawały świeżo wydane poematy Słowackiego. Oto, dlaczego Krasiński, wysoko ceniący utwory swego przyjaciela, sarka na niesprawiedliwość wyrządzoną mu przez publiczność. Odpowiedź ta Krasińskiego, rozważana logicznie, pozwala się domyślać, że otrzymawszy ostatnie utwory Słowackiego, napisał do Załuskiego list z zapytaniem, jakie też wrażenie zrobiły te utwory wśród publiczności; na co mu Załuski — bynajmniej nie po powrocie z uczty u Januszkiewicza — odpisał, że poematy i tragedje Słowackiego, najmniejszem nie cieszą się powodzeniem, bo go ludzie «nie rozumieją». Jako stronnik Mickiewicza musiał dodać przy tem, że i on także należy do liczby tych, co się na pięknościach Muzy Słowackiego poznać nie zdołali, dlatego poprostu, że ich nie rozumie. W odpowiedzi na to, Krasiński zapytuje zdziwiony: «Ty pierwszy powiedz mi, czegoś w nim nie rozumiał?» Następuje potem «długi krytycyzm» raczej wymowna apologja pięciu «przedniejszych dzieł» Juljusza, apologja, będąca szkicem do napisanych w tym samym mniej więcej czasie, *Kilku słów o Juljuszu Słowackim*.

Są jeszcze inne dowody, nie pozwalające wątpić, że list Krasińskiego napisany został — jak to wydrukowano — w maju «1840 r.» nie zaś w r. 1841. W *post scriptum* np. powiada Krasiński, że «lat temu *sześć* czytając *Pana Tadeusza* po raz pierwszy, niezwłocznie po wyjściu poematu, «nie pojmował całej jego wielkości; dopiero dziś po przeczytaniu jego ponownem, bije czołem i mówi: to jest epopeja». Lat temu sześć! To znaczy,

że w chwili, kiedy kreśli te słowa, mamy rok 1840; *Pan Tadeusz* bowiem, jak wiadomo, wyszedł w lipcu r. 1834.

Następnie, znajdują się w *Beniowskim*, wydanym w maju r. 1841 ustępy, świadczące, że Słowacki, pisząc swoje oktawy, musiał czytać list Krasińskiego. Być może, iż mu go Załuski, jako interesowanemu, dał do przeczytania. O tem zaś, że Słowacki wziął sobie tę «nową krytykę» przyjaciela z willi róż szczerze do serca, świadczy następująca dygresja, wyjęta z pieśni drugiej poematu:

> Ktoś to powiedział, że gdyby się słowa
> Mogły stać nagle indywiduami,
> Gdyby ojczyzną był język i mowa:
> Posągby mój stał, tworzony zgłoskami,
> Z napisem *patri patriae*...

Tym «kimś», co to powiedział, był właśnie Zygmunt, który w liście do Załuskiego wyraził się o Juljuszu: «Gdyby słowa języka polskiego mogły stać się indywiduami, powinnyby się zebrać i złożyć się na posąg dla Słowackiego, z napisem: *patri patriae*, bo język wtedy byłby całą ojczyzną».

Co skłoniło Załuskiego do napisania tak bałamutnego wspomnienia o tym «najprzyjemniejszym wieczorze», na którym jak twierdzi, «Chopin, Fontana i Edmund Lariss, urokiem swoich talentów muzycznych przyczynili się do pomnożenia błogich wrażeń?» Nie umiem odpowiedzieć.

W każdym razie, pominąwszy wszystko, dziwić się należy, iż pisząc o uczcie z d. 25 grudnia, nie mówi nic o drugiej uroczystości z dnia 1 stycznia 1841 r. i o doręczeniu przez Słowackiego puharu Mickiewiczowi, puharu, którego zamówieniem, według Januszkiewicza, zajęli się właśnie Roman Załuski i Kołysko [1]).

[1]) Zob. Małecki, *Op. cit.* t. II, str. 248.

Nie znajdujemy też o tem wzmianki w bezimiennym, Janowi Koźmianowi przypisywanym artykule, drukowanym w *Dzienniku Narodowym* Feliksa Wrotnowskiego w nr. 15 z d. 10 lipca 1841 r. (a więc po wyjściu już krytyki *Nocy letniej* Zygmunta Krasińskiego) gdzie Słowacki — jak to zobaczymy niebawem — nietylko że sparował cięcia, przeciwko niemu w *Improwizatorach* skierowane, ale jeszcze autorowi ich, zarówno jak i całemu jego stronnictwu, odpowiedział «dotkliwiej, niżby na poetę przystało...» Trzeba uwzględnić także, iż między tą repliką, czyli dniem 29 kwietnia a dniem 10 lipca, w którym ukazał się ów bezimienny artykuł Koźmiana, przyszło do nowego, groźniejszego nierównie, aniżeli poprzednie, starcia obozu Mickiewiczowskiego ze Słowackim, mianowicie: do głośnej awantury — inaczej całego tego zajścia nazwać nie można — wywołanej ostatniemi oktawami *Beniowskiego*, który wyszedłszy na świat, jak wspominaliśmy już, w drugiej połowie maja, do tego stopnia rozjątrzył zwolenników Mickiewicza, jego samego nie wyłączając [1]), że sprawa zakończyła się pojedynkiem, a raczej skandalicznem niedojściem do pojedynku Słowackiego z Ropelewskim w dniu 15 czerwca. Pomimo tego artykułu Koźmiana, który — godzi się rzec na pochwałę autorowi — cechują spokój i bezstronność, bezstronność, która nie zawahała się drugą improwizację Adama, wypowiedzianą na wieczorze z d. 1 stycznia 1841 r. nazwać poprostu «mniej płynną może, niż pierwsza». Ta sama — tak rzadka u pisarzy ówczesnych — bezstronność, mówiąc o improwizacji Słowackiego, nie zamyka oczu na jej «wiersz pełen giętkich zwrotów, śmiałych porównań i życia»; streszczając zaś wrażenie, z obu przemówień odniesione, nie wywyższa Adama kosztem Juljusza — jak to czyni Januszkiewicz naprzykład — ale oświad-

[1]) Zob. H. Biegeleisen, Pojedynek Słowackiego *Tygodnik powszechny* 1884, Ner. 41.

cza niedwuznacznie, iż «żaden nie zwyciężył, żaden nie był zwyciężony», ani Słowacki ani Mickiewicz.

Nie od rzeczy też będzie napomknąć, że Jan Kożmian, poświęcając kilkadziesiąt słów zaledwie «drugiemu wieczorowi» (1 stycznia 1841 r.) drugiej improwizacji śpiewaka *Dziadów*, nie mówi nic, podobnie jak i Załuski, o doręczeniu przez Słowackiego puharu Mickiewiczowi; a mówiąc o Juljuszu, o jego «niespokojności, z której gwałtowniej niż kiedy odżyła dawna niechęć, jaka w nim do autora *Pana Tadeusza* wrzała, nie wspomina zupełnie, czy Słowacki był wogóle na tym drugim wieczorze obecny...

IV.

Zdaniem Aëra, którego «wieczerza» jest, zdaje mi się, pod wielu względami najbliższą prawdy, autor Anhellego na ten drugi wieczór do Januszkiewicza nie przyszedł i, co za tem idzie, kielicha Mickiewiczowi nie wręczył. Krok ten, równający się zerwaniu z całem stronnictwem Adama, zerwaniu i zadarciu, co należy Słowackiemu poczytać za dowód odwagi cywilnej, ile że wiedział,

...jak jest niebezpiecznie
Z demokratami nie być dosyć grzecznie,

usprawiedliwia Aër w następujący sposób:

«Wieczór ten [1]) tak był wielki, że z samej natury rzeczy rodziła się myśl, aby na zyskanem wrażeniu nie poprzestać, ale pozostawić także jakąś widomą jego zmysłową pamiątkę. Zaledwie więc Mickiewicz zebranie opuścił, Eustachy Januszkiewicz zaproponował zebranie sumki, za którąby można jakiś przedmiot zakupić i ten na pamiątkę dnia tego poecie i jego rodzinie ofiarować [1]). Propozycję tę ogólnie przyjęto, a Kołysko, idąc za zasadą prostej słuszności, zwrócił uwagę, że jeśli dar jakiś ma się ofiarować Mickiewiczowi, nie można także żadną miarą pomijać Słowackiego. Nie dlatego wcale, żeby jego improwizację na równi z Mickiewiczowską stawiać [2]), ale choćby dlatego, że właśnie Juljusz do owego wylewu poezyj dał początek, a znakomity talent jego ze wszech miar na uznanie zasługuje [3]). Jeżeli zachowywanie zwyczajnych form grzeczności wymagalnem jest w zwyczajnych towarzyskich stosunkach, to więcej jeszcze zwracać na nie należy uwagi, kiedy chodzi o *vatum irritabile genus*. Obecni, rozumowanie to za zupełnie racjonalne uznali i w zasadzie postanowiono, że obydwaj poeci mają być obdarowani.

Do najtrudniejszych niezawodnie przedsięwzięć na emigracji należały te, w których o pieniądze chodziło. Każda składka robiła już szczerbę w skromniutkim budżecie codziennego życia jednostki i koniecznie z małych datków rosnąć powoli musiała. Tu jednak i ta nie istniała przeszkoda. Zamożny stosunkowo marszałek Kaszyc sypnął hojnie groszem, szczęśliwy, że jeden z jego nowogrodzkich Rymwidów, szlachetne Poraitów plemię, wyrósł na człowieka europejskiego znaczenia. Przykład działa najlepiej, to też, choć wielu uczestników uczty już się było rozeszło [4]), suma zebrała się dosyć pokaźna. Że jednak nie podobna było w zbieraniu składki pominąć nieobecnych wielbicieli Mickiewicza,

[1]) Mowa o pierwszym wieczorze z d. 25 grudnia 1840 r.

[1]) Przypuszczać należy, że Słowacki wyszedł niedługo po nim i że dopiero po jego odejściu wystąpił Januszkiewicz z propozycją ofiarowania Mickiewiczowi puharu na pamiątkę tej podniosłej chwili, wspólnie z nim przeżytej.

[2]) Por. artykuł Jana Kożmiana.

[3]) Nawiasem mówiąc, Aër nie staje bynajmniej na stanowisku obrońcy Słowackiego; jego *Wieczerza* jest «ustępem z życia Mickiewicza», dla którego autor *Opowiadań i studjów* z większem nierównie, aniżeli dla Słowackiego, zdaje się być uwielbieniem.

[4]) A w ich liczbie i Słowacki.

ostateczną więc decyzję, tak co do rodzaju podarunku, jak i co do terminu jego wręczenia odłożono na później.

Wszelka odwłoka zwykle niekorzystną bywa, a tu stała się ona fatalną, o Słowackim bowiem zapomniano zupełnie.

Dar dla Mickiewicza przeznaczony cenny był tak pod względem wartości, jak i pod względem artystycznego wykonania.

... Nietakt, odnośnie do Słowackiego, posunięto tak daleko, że ułożono, aby puhar ten nie kto inny, tylko on Adamowi ofiarował. Słowacki więcej drażliwym, niż każdy inny, był człowiekiem. O postanowieniu dania i jemu upominku wiedział dobrze, gdyż mu zaraz o tem doniósł wielki jego wielbiciel i przyjaciel Loman, dawny sekretarz jenerała Paca, a obecnie buhalter w drukarni [1]). Czy projekt ten go wielce ucieszył, utrzymywać trudno; jeśli jednak później zupełnie o nim zapomniano, musiało go to naturalnie zaboleć. Dla tego propozycji wręczenia puharu wręcz odmówił, wyraził się, że nie chce uznać się za Mickiewiczowskiego wasala, a ponieważ przynoszący to zaproszenie, usłyszawszy odmowę, zirytowali się także, wymieniono więc nawzajem wiele słów szorstkich i przykrych, których rezultatem było, że dwie te poetyczne gwiazdy nie zeszły się już na drodze twórczości, a spotkały się dopiero w mistycznej doktrynie [2]).

Za prawdziwością tego opowiadania przemawiają niektóre ustępy z listów Januszkiewicza zarówno, jak

[1]) Eustachego Januszkiewicza.

[2]) Januszkiewicz Eustachy — powiada Aër — którego listy znalezione w papierach Bronisława Zaleskieo (ogłoszone następnie w *Roczniku Tow. hist. liter.*) i inne, udzielone nam łaskawie przez p. Władysława Mickiewicza, główne tło opowiadania tego stanowią, podaje, że właśnie Słowacki puhar ów wręczył.

Jest to pomyłka, poświadczona przez ustne opowiadanie uczestników uczty, które o tyle, o ile to było możliwe, sprawdzaliśmy jedne drugiemi. Najwięcej stosunkowo zaw-

i Słowackiego. Pierwszy z nich, w liście do p. Małeckiego, mówiąc o puharze dla Mickiewicza, powiada, że «zamówieniem takowego zajęli się Załuski Roman i Kołysko, a Słowacki *miał* mu go na drugim wieczorze wręczyć». Bezpośrednio zaś po tem «*miał* mu go na drugim wieczorze wręczyć» świadczącem — pomimowoli piszącego — o pewnem pokrzyżowaniu planów, niedoszłych do skutku, skarży się, że «nigdy nie miał większego dowodu, jak tym razem, że wszelkie przygotowania przedwczesne najczęściej zawodzą». Co mogło być przyczyną tego rozczarowania? Jabym sądził, że do oziębienia atmosfery podczas uczty z d. 1 stycznia 1841 r., do sparaliżowania jej, że tak powiem, w niemałej a bodaj czy

dzięczamy p. Leonardowi Niedzwiedzkiemu, który chwalebnym obyczajem wszystkie ważniejsze fakty zaszłe na emigracji na świeżo notował i te jego notatki rozjaśniły nam wiele wątpliwości.

Nie: «Słowacki na uroczystości wręczenia puharu nie był obecny, a później wylewając z powodu tej przykrości (?) gorycz zebraną w sercu, wypowiedział w *Beniowskim*, że na uczcie (z dnia 25 grudnia) «serca rwał kawały i w twarz Mickiewiczowi ciskał», a w dzienniku, będącym wówczas organem ks. Adama Czartoryskiego, napisał zgryźliwy artykuł, gdzie *Improwizatorów* wyszydził. To (?) przyczyniło się do rozpowszechnienia mylnych o całem tem zdarzeniu podań i za główną zasługę opowiadania naszego podajemy to, że wypadki tak jak one miały rzeczywiście miejsce, przytaczamy». Taki jest pogląd Aëra, z którym, przyznaję, pod wieloma względami, zgodzić się nie mogę w żaden sposób. Aër bowiem, podobnie jak Januszkiewicz i Załuski, nie jest bezstronnym, choć nim być usiłuje. Nadto popełnia w cytowanym powyżej ustępie kilka niekonsekwencyj, które zaznaczyłem znakami zapytania. Na czem niekonsekwencje te polegają, niech sobie uważny czytelnik w duszy swej dośpiewa. Zadanie łatwe!

To samo, co Aër (Rzążewski), mianowicie, że Słowackiego na tej drugiej uczcie u Januszkiewicza nie było, utrzymuje również i p. Wacław Gasztowt, tłumacz poezji Słowackiego na francuski (Traduction en prose des Oeuvres complètes de Słowacki, 2 vol. Paris, Librairie de Luxembourg) i autor pięknego życiorysu Juljusza (Le poète polonais Jules Słowacki, Conférence faite à l'Association des

nie w przeważnej mierze przyczyniła się ostentacyjna nieobecność Słowackiego, nieobecność, którą, jakkolwiek bądź, komentować sobie należało, jako dotkliwy policzek, całemu wymierzonemu stronnictwu. Musieli «ich wszyscy djabli brać», jak się wyraził Słowacki w jednym z listów do matki, że go do powtórnego złożenia hołdu, w «dowód niby jego wasalstwa» względem Mickiewicza zniewolić nie zdołali...

O puharze tym znajduje się wprawdzie wzmianka w korespondencji Słowackiego, ale uważać ją należy raczej za potwierdzenie opowiadania Aëra, aniżeli za jego zakwestjonowanie, albowiem niema w niej ani słowa, któreby świadczyło, że projekt, przez przyjaciół

anciens élèves de l'école polonaise, Paris, 188, Calman Levy, éditeur). Oto, co na str. 63 jego książki czytamy o wręczeniu puharu Mickiewiczowi: «Mais une coupe d'argent, offerte ensuite à Mickiewicz *par les assistans* en souvenir de l'improvisation, amenait la rupture. On demanda à Słowacki de la présenter à Mickiewicz. Il regarda la proposition comme une insulte, crut qu'on voulait par là lui faire acte de vasselage, l'humilier, et *it refusa*. Ce refus eut des conséquences relativement graves. Les Mickiewiczolâtres prirent la mouche, on raconta dans les journaux la fameuse soirée au désavantage de Słowacki». Przypominam, że p. Wacław Gasztowt, stale mieszkający w Paryżu i, jako syn emigranta, w zażyłych stosunkach pozostający z całym światem emigracyjnem, znał osobiście prawie wszystkich uczestników tych uczt pamiętnych, od Eust. Januszkiewicza poczynając, a kończąc na Leon. Niedźwieckim. Zob. jego książkę o Słowackim str. 62.

Pan S. (?) w swojem sprawozdaniu z edycji lwowskiej Listów Jujlusza Słowackiego do matki (Ateneum 1877, III. 211) również obstaje za tem, że Słowackiego na tej drugiej uczcie u Januszewicza nie było. «Z Mickiewiczem, są słowa p. S., poeta nasz chwilowo był się zbliżył, ale w r. 1841 znowu się poróżnił: wtedy to właśnie mieli obydwaj słynne swe improwizacje na jednym uroczystym obiedzie; improwizacja Sł. była cierpka i wyzywająca, a czarę jego niechęci ku Mickiewiczowi przepełniło żądanie niektórych współbiesiadników, ażeby Słowacki sam wręczył Adamowi puhar pamiątkowy; *nie chciał na to przystać, ażeby niejako nie uznać się za wasala Mickiewicza*».

Mickiewicza ukartowany, doszedł do skutku. Przyjaciele Mickiewicza, powiada Słowacki, «aby mnie cokolwiek zbić i strącić, umyślili zaraz, abym ja jemu za tę improwizację oddał puhar»; o tem wszelako, że mu go oddał istotnie, nie wspomina. Podobnie w krytyce *Nocy letniej*, będącej odpowiedzią na *Improwizatorów*, jak i w zakończeniu *Beniowskiego*, nie napomyka nigdzie o doręczeniu puharu, o czem, gdyby się wszystko stało po myśli jego antagonistów, wspomniałby niezawodnie. Nigdzie też, ani w listach do matki, ani w krytyce *Nocy letniej*, ani w *Beniowskim* nie bierze w rachubę *dwóch* uczt, lecz *jedną* tylko «sławną noc zimową», co, przyzna każdy, bardzo przekonywująco zdaje się przemawiać za twierdzeniem, że Słowacki na drugiej uczcie u Januszkiewicza nie był obecny [1]).

Najwymowniej wszakże dowodzi tego, mojem zdaniem przynajmniej, artykuł o *Improwizatorach*, obliczony, jak wiadomo, na to głównie, ażeby Słowackiego «cokolwiek zbić i strącić». Autor mówi w nim, że «na pamiątkę tego dnia *ofiarowano* Mickiewiczowi puhar srebrny», nie mówi jednak nic, że go Mickiewicz odebrał z rąk Słowackiego, swego wasala. O «wasalu» tym nie przemilczanoby na pewno, gdyby istotnie on oddał kielich — jak to powiedziano w liście do Bronisława Zaleskiego — i gdyby na propozycję wręczenia upominku swemu «wielkiemu pierwszemu» «w hołdzie uwielbienia i miłości», jak przystało na pokornego «wasala», nie odpowiedział, jak w krytyce *Nocy letniej*: «O, nie przyjdzie już więcej, przysięgam! Nigdy kawał-

[1]) Wczytawszy się uważnie w opowiadanie Aëra, dochodzi się do wniosku, że jego zdaniem, Słowacki, nie biorąc udziału w uczcie z d. 1 stycznia, z powodu tej *przykrości* oplwał całe stronnictwo Mickiewicza w *Beniowskim*. Z tego by wynikało, że «przykrością» było dla Słowackiego, iż Mickiewiczowi puharu nie wręczył i że się za jego wasala uznać nie mógł. Takich sprzeczności logicznych zawiera praca Aëra kilka, nieraz po kilka na jednej stronie, jak np. na str. 58.

kami serca nie będzie was karmił, nigdy za karm dany nie odbierze od was puharu nalanego goryczą i przykrytego kłamstwa pokrywą! Nigdy więcej! Przysięgam!» [1]).

NB. *De mortuis nil, nisi bene*, powiada przysłowie łacińskie. Jako pamiętający o niem, nie dziw, że z pewnem uczuciem obawy i niepokoju o przyszły spokój mojego sumienia historycznego, odważyłem się — po długich wahaniach i certacjach — na wypisanie tak surowego wyroku dla Eustachego Januszkiewicza, wyroku, który się zasadniczo różni od wszystkiego, co dotychczas o tym człowieku pisano (Br. Zaleski w jednym z *Roczników Tow. hist. liter.* w Paryżu, Juljan Klaczko w *Czasie)*, a który, niestety, jest tylko... szczerym wyrazem mojego najrzetelniejszego przekonania. Być może, iż z czasem wypowiedzianej tu opinji żałować będę i że mi przyjdzie napisać artykuł, rehabilitujący «pana Eustachego», podobnie, jak to uważał sobie za obowiązek *(si licet parva componere magnis)* ks. Walerjan Kalinka z Jenerałem Dezyderym Chłapowskim. Albowiem są mi przytomne w pamięci słowa nieodżałowanego autora *Sejmu Czteroletniego*, słowa, które może nie od rzeczy będzie przytoczyć na tem miejscu: «Jest zwyczajem autorów (pisze wspomniany historyk, trafnie przez kogoś *polskim Tucididesem* przezwany), że w przedmowie tłumaczą się, dlaczego książkę swą napisali; przeto i ja na wstępie pragnę powiedzieć, co mnie do tej pracy skłoniło. Powiem poprostu, choćby mię to miało nieco

[1] Raz jeszcze przypominam, iż jeden tylko Januszkiewicz (w liście do Br. Zaleskiego i do p. Małeckiego) powiada, że «Słowacki oddał puhar». Nikt zresztą nie wspomina o tem: ani Koźmian, ani Załuski, ani Słowacki, ani Mickiewicz (w liście do jen. Skrzyneckiego), ani Leonard Niedźwiedzki, ani nawet Januszkiewicz (w *Improwizatorach*).

kosztować. Przed trzydziestoma laty wydałem książkę historyczną, bez wartości; w niej przechodząc pobieżnie dzieje powstania z r. 1831 i wyprawy na Litwę, ogłosiłem sąd niekorzystny o generale Chłapowskim. Oparłem go na twierdzeniu ludzi, którzy zdawali mi się być wiarogodnymi, bo byli naocznymi świadkami; młodemu nie przyszło na myśl, że należało wysłuchać i drugiej strony; co mnie uderzyło, tego chwyciłem się odrazu. Przekonałem się później, że sąd mój był niesprawiedliwy... Każdą krzywdę naprawić trzeba, póki się jest na tym świecie, jeśli się nie chce na tamtym w cięższą popaść odpowiedzialność. Od tego obowiązku restytucji nie jest wolnym i historyk; i owszem, on mniej jeszcze, niż kto inny, bo szkoda moralna, krzywda zadana imieniowi, dotkliwsze są i trwalsze od materjalnych. Skoro więc w sumieniu swojem zobaczy rzecz inaczej, niż ją widział dawniej, powinien to głośno powiedzieć, bez względu, czy zdanie jego waży lub nie waży». Otóż słowa powyższe były między wieloma innemi jedną z przyczyn, dla których nie wiedziałem długo, jak sobie w danym razie z Eust. Januszkiewiczem postąpić. Bo że to nie był zły człowiek z gruntu, o tem nie wątpiłem nigdy. Znaną była w emigracji jego ruchliwość i obrotność, jego spryt do prowadzenia interesów, jego usłużność i uczynność, jego przysługi oddane Mickiewiczowi, któremu był całą duszą oddany etc. etc. Nie wyklucza to jednak, że posiadając takie zalety, nie mógł być (będąc człowiekiem, nie Świętym) pozbawionym także i pewnych wad i małostek. Że je miał, o tem nie wiedział nikt tak dobrze, jak Słowacki, którego Januszkiewicz (choć mienił się jego przyjacielem) nie lubił w głębi serca, choćby dlatego tylko, że był fanatycznym wielbicielem talentu i osoby Mickiewicza.

Czuł to bardzo dobrze Słowacki i dlatego nie darzył Januszkiewicza nigdy zbytkiem zaufania i sympatji. Dowodów na to można się doszukać niemało w jego listach. Naprzykład: «*Je vois* (czytamy w liście

z Frankfurtu do L. Niedźwiedzkiego) *qu'Eustache se fache contre moi; je n'en suis pas du tout chagriné: mieux d'avoir un ennemi declaré qu'un ami faux et nuisible* (szkodliwy)». Niemniej ujemnie wyraża się o nim, jako o swoim księgarzu, który się trudnił w Paryżu rozprzedażą jego książek. (Zob. Listy do matki, t. I. str. 227, II, 18 i inne).

Ś. p. Leonard Niedźwiedzki, zmarły niedawno, (w jednym z listów do mnie) również niepochlebnie świadczy o panu Eustachym: «Na kilka dni przed drugą ucztą, poszedłem do Januszkiewicza, który był duszą wszystkiego i z którym znałem się dobrze, żeby mu zrobić tę uwagę, że dając upominek jednej improwizacji, nie należy zapominać, że było dwie. Ha, odpowiedział, Słowackiemu damy pierścień. Uznałem za stosowne zaraz to Juljuszowi powtórzyć... Ale się słowa Januszk. wcale nie miały ziścić. *Januszkiewicz znany był z podobnych wybiegów. Zresztą dobrze to oddaleś...*» Ostatnie słowa odnoszą się *właśnie do niniejszego artykułu*, który, drukowany w jednem z czasopism warszawskich, posłałem ś. p. Niedźwiedzkiemu do przeczytania, z prośbą o niektóre uzupełnienia...

W ogłoszonej niedawno przez p. Zygmunta Wasilewskiego pracy p. t. *Mickiewicz i Słowacki, jako członkowie Towarzystwa litewskiego i ziem ruskich*, (Dziennik poznański Nr. 293 z r. 1893, dodatek III) również znajduje się kilka ustępów, świadczących nie na korzyść E. Januszkiewicza. «Tutaj przypomnieć należy — słowa są p. Wasilewskiego — notatkę E. Januszkiewicza, dla objaśnienia powyższego ustępu (z listów do Matki, Lwów 1875 str. 41, 42), przytoczoną przez Małeckiego, *a pełną niechęci dla poety*. Eustachy Januszkiewicz należał również do Towarzystwa i *niechęć ta do Słowackiego już wówczas w protokule posiedzeń się odbiła* (posiedzeń Tow. litew.), *jak to zobaczymy poniżej*». I nietylko w protokułach posiedzeń Tow. liter. Albowiem przy pierwszej zdarzonej sposobności, kiedy Towarzystwo rzeczone (którego Słowacki był jednym z głównych członków), ogłosiło «Odezwę», wytłoczoną w drukarni A. Pinarda z datą 23 sierpnia 1832 roku, a podpisaną przez prezesa i sekretarza «u dołu tejże odezwy wymieniono kilkanaście nazwisk najwybitniejszych członków — między nimi na poczesnem miejscu figuruje Mickiewicz, *Słowackiego zaś nie wymieniono*». Drukiem «odezwy» zajmował się Eust. Januszkiewicz...

Do zaostrzenia tej niechęci E. Januszkiewicza ku Słowackiemu przyczyniła się niemało sprawa medalu, który Towarzystwo odbić miało na pamiątkę powstania litewskiego. «Dyskutowano już o nim oddawna (pisze p. Wasilewski). *Pamiętnik emigracji* z d. 27 lipca 1832 r. zapowiedział jego wyjście z pod stempla na 15 października... Tymczasem d. 23 listopada nietylko nie był on gotów, ale wątpliwem się stało, czy wyjdzie na 29 listopada... Wydawnictwo to powierzone było Eust. Januszkiewiczowi, który miał zebrać potrzebne fundusze. Na posiedzeniu 17 (23 listopada) Januszkiewicz oświadczył, że medal może być wykończony w pewnej ilości egzemplarzy na obchód listopadowy tylko w tym razie, jeśli Towarzystwo dostarczy mu niezwłocznie 1.500 fr. na zapłacenie rzeźbiarza de Barre; w przeciwnym razie *może się podjąć również* dostarczenia na czas medalu, ale z warunkiem, że Towarzystwo *ustąpi mu przedsiębiorstwa na jego własne ryzyko i prawa używania stempla medalowego do stycznia 1833 roku: wtedy* znajdzie on na wydawnictwo kapitał prywatny. (W tej propozycji maluje się cała spekulacyjno-kupiecka natura Eust. Januszkiewicza, który, *mając możność* dostania kapitału prywatnego na wydawnictwo medalu, mógł przecież, gdyby chciał, równie dobrze spożytkować go nie na własne, ale na ryzyko Towarzystwa). Na pierwszy punkt propozycji zapanowało w odpowiedzi... milczenie; Towarzystwo nie było w możności dostarczenia pieniędzy; *przeciwko zaś drugiemu warunkowi Januszkiewicza zaprotestował Słowacki*, dowodząc, że Towa-

rzystwo nie może się wyrzekać *przewidywanego* a tak potrzebnego *zarobku z rozsprzedaży medalu* (na ten zarobek właśnie liczył Januszkiewicz), że zresztą członkowie zebrani na posiedzeniu są w zbyt małej liczbie, aby nad tego rodzaju propozycją dyskutować mogli. Januszkiewicz, *rozdrażniony propozycją* i widząc w niej *brak zaufania* do swoich usiłowań (co zresztą było bardzo naturalnem wobec podobnej propozycji) oznajmił, że usuwa się zupełnie od działalności w sprawie medalu. Wtedy zebrani powzięli myśl *utworzenia komisji medalowej* i powołali do niej Słowackiego, Lisieckiego i Wołłowicza».

Wydaje nam się możliwem przypuszczenie (dodaje od siebie p. Wasilewski), że sucho zredagowane ustępy protokołu były słabem odbiciem rozpraw ożywionych, niepozbawionych żółci i pewnej dozy ambicyj osobistych, które grały w życiu ówczesnej emigracji (i w życiu Eust. Januszkiewicza także) tak wybitną rolę, i że Słowacki wyszedł z posiedzenia z silnem postanowieniem udowodnienia, że opozycja jego nie była gołosłowną; przekonany był, iż interes medalu można doprowadzić do końca *zgodnie z zamiarami Towarzystwa* (chodziło mu bowiem o dobro Towarzystwa, przyczem powodował się uczuciem zupełnej bezinteresowności, czego zdaje się o Eust. Januszkiewiczu powiedzieć w danym razie nie można). I rzeczywiście dowiódł tego. Na posiedzeniu 25 listopada (18) «Słowacki — cytujemy wyrazy protokołu — w imieniu komisji zdaje raport; donosi iż komisja *szczerze* się zająwszy (złośliwy przytyk do E. Januszkiewicza, który *szczerze* myślał o swoim interesie, nie Towarzystwa) wyszukaniem funduszów już to u osób do Towarzystwa nie należących, już to u tych, co do niego należą, a na resztę *własnym funduszem zastąpionym* potrafiła zebrać pieniądze na zapłacenie potrzebnych wydatków; że (Słowacki) był u pana de Barre, i że skoro tylko (Barre) otrzyma pozwolenie od ministra handlu i spraw publicznych, *nie-*

zawodnie na 29 listopada przyrzeka wydać 200 medalów. Żeby zaś i nadal popychać ten interes, podejmuje się Słowacki być kasjerem komisji medalowej, na co Towarzystwo się zgadza... Januszkiewicz w odpowiedzi uważa, że całe zdanie sprawy Słowackiego zdaje się stosować do Januszkiewicza (oczywiście, że *mimowoli* było ono dlań rodzajem votum nieufności); że *nie zazdrości on nikomu lepszego szczęścia w zebrania funduszów;* i owszem *cieszy się* nadzieją, że medal będzie odbity na dzień 29 listopada (We wszystko uwierzyć można, tylko nie w *radość* Januszkiewicza z podobnego obrotu sprawy). Chodźko Leonard (niezawodnie inspirowany przez Januszkiewicza) jako członek komisji obchodu 29 listopada oznajmia, iż projektem jest, aby Mickiewicz (na złość Słowackiemu) przemówił, oddając pierwszy medal Lafayettowi. Na temże posiedzeniu wybrano jeszcze jedną komisję, która miała się zająć rozprzedażą medalu i do komisji tej powołano: Słowackiego, Jełowickiego, Wrotnowskiego i Horodyńskiego (Januszkiewicza pominięto). Z listu Słowackiego do matki z dnia 8 grudnia t. r. widzimy, jak przejęty być musiał swojem posłannictwem w komisji medalowej, skoro tak cenił swoją zasługę, że wspomniał o niej matce z pewną przechwałką: «Miałem w tym miesiącu kilka zdarzeń, pochlebiających mojej dumie, *więc* doznałem kilku chwil szczęścia... Jest tu jeden zakon święty (Towarzystwo litewskie), który chciał odlać patynę złotą (medal), świadczącą o męce Chrystusa Pana... i znalazł się w smutnej okoliczności, bo ubogi; jak wszystkie księże zakony, co na ubóstwo przysięgają, nie miał na to funduszów. Chciano go *oszukać* (propozycja Januszkiewicza), stanąłem w obronie, dostałem dlań pieniędzy, i ten co napisał *Regina Pacis* w kościele (generał Pac), nikomu innemu, tylko mnie zgodził się pożyczyć 500 franków. Wspomogłem księży, a zysk z odpustów (z rozprzedaży) dług zapłaci. Wy, którzy mnie znacie religijnym, dziwić się nie będziecie, że

księży pogardzonych we Francji (emigracja) wspomogłem. Zyskałem przez to opnję poczciwego człowieka (nie w oczach Januszkiewicza wszakże).

Następnie, w przypisku 7-ym dochodzi p. Wasilewski do wniosku na podstawie cytat ze statutu i z odezwy o celach Towarzystwa, że notatka E. Januszkiewicza, umieszczona przez p. Małeckiego w t. I. str. 81 jest «niefortunną» bo najzupełniej niezgodną z prawdą, jak się to okazuje z dokumentów współczesnych i wiarogodnych...

KOCHANKA KRASIŃSKIEGO «DRĘCZYCIELKĄ» SŁOWACKIEGO

ON

Historja tej przedostatniej[1]) w życiu Juljusza miłości jest może dramatyczniejszą jeszcze, aniżeli dzieje romansu Zygmunta Krasińskiego z panią Bobrową.

ONA

Pod jakim względem?

ON

Krasiński był kochany, wtedy nawet, kiedy sam kochać przestał. Słowacki tymczasem «napróżno o wzajemność wołał». Tam, nim przyszły zgryzoty i utrapienia, były przynajmniej «dni jedyne i zbiegłe», były chwile szczęścia i upojenia, rozkoszy i zachwytów, które, dodajmy, ciągnęły się przez trzy lata blisko. Tutaj rok przeszło trwające «złe czasy» zatrą wszelkie — jeżeli jakie były — wspomnienia chwil błogich. Tam mężczyzna «popsuł los życia» kobiecie. Tu kobieta — a będzie nią znów pani Bobrowa — «zatruje dolę» mężczyźnie. Tam «goryczy kielich», skoro się już miało pod koniec miłości i przywiązaniu, piły obie strony: kochająca i kochana. Tutaj wychylił go aż do dna sam tylko Juljusz.

---

[1]) Przedmiotem ostatniej miłości Juljusza Słowackiego (choć uczucie to więcej zasługiwało na miano przyjaźni) była pani Reitzenheim, żona Józefa R., autora broszury o autorze *Króla Ducha*. (Patrz niżej).

ONA

Dziwna rzecz, że o romansie tym, choć dużo czytałam Słowackiego i o Słowackim, prawie nic dotąd nie wiem: nawet, kiedy się zaczął [1]).

ON

Właściwie zaczął się on «klecić» dopiero w roku 1840, pod koniec. Chociaż poznali się wcześniej znacznie, wcześniej, aniżeli przypuszczano dotychczas, bo już w miesiącu kwietniu 1831-go roku, w Dreźnie.

ONA

Jakto? A więc przed poznaniem się jeszcze pani Bobrowej z Krasińskim? *Tiens!* Czy ma pan na to jaki dowód?

ON

Niezbity.

ONA

Mianowicie?

ON

Przedewszystkiem, nim go dokładnie wyłuszczę, pozwoli pani, że ją poproszę o listy Słowackiego do matki.

ONA

Który tom?

ON

Obydwa, jeżeli można.

ONA

Proszę.

---

[1]) Por. Dr. Antoni J., *Z życia Zygmunta Krasińskiego* (Kraków 1890), str. 30—38; St. Tarnowski, *Zygmunt Krasiński*, str. 535—6; Tadeusz Sternal, *Kartka ze stosunku Krasińskiego ze Słowackim* (dodatek do *Kraju*, nr. 5—7 z roku 1890); List Słowackiego do Leonarda Niedźwieckiego (*Prawda*, nr. 12, z r. 1884).

ON

Dziękuję ślicznie. Otóż na stronie 15 tomu pierwszego, w liście datowanym z Drezna, dnia 3 maja 1831 roku, donosi poeta matce, że gdyby nie ta niespokojność o nią, jaka go dręczy chwilami, byłoby mu zupełnie dobrze w Dreźnie: poznał bowiem «wiele polskich domów» i żyje «w dobrem towarzystwie». Nie od rzeczy też będzie napomknąć, że do towarzystwa tego należała między innemi także i pani Delfina Potocka, bawiąca tu z siostrami, matką i ojcem, panem Stanisławem hr. Komarem. Że Słowacki u nich bywał, o tem świadczy list poprzedni, z którego dowiadujemy się, że złożył już wizytę pannie Czackiej, «zdaje się, iż to mamy znajoma», i że ma jeszcze być u Komarów i u jenerałowej Dąbrowskiej. Poznał się z niemi u pani Dobrzyckiej, do której wprowadził go bawiący od pewnego czasu w Dreźnie A. E. Odyniec, a której córka, panna Salomea, panna dwa razy pełnoletnia, była pierwszą damą dworu. Stosunki serdecznej przyjaźni i zażyłości łączyły go również z domem pani Szymanowskiej. Powiada o niej Juljusz, że «bardzo przyjemna osoba... Teraz przyjechała jej siostra, Grocholska *z Bobrowa*». Z Bobrowa? Ten Bobrów — widocznie majątek ziemski — dał mi odrazu do myślenia, bo 1) nie słyszałem nigdy o podobnie nazywającej się wsi, 2) nazwa ta, użyta zwłaszcza, jak tutaj, w drugim przypadku, daje nazwisko pani Bobrowej w pierwszym. Grocholska *z Bobrowa*? Przeczytawszy to, nie sposób nie pomyśleć o pani Bobrowej. Cóż dopiero, jeśli kto się nią o tyle, co ja, zajmował w ostatnich czasach. Z Bobrowa? A gdyby tak przypuścić, że Bobrów ten zawdzięcza swe istnienie... omyłce drukarskiej, i że zamiast *z Bobrowa*, powinno być *z Bobrową*. Rzecz, zdawałoby się, małej wagi; a jednak — ktoby to przypuszczał — ten drobny ogonek pod *ą*, jeżeliby się hypoteza powyższa okazała trafną, zmieniłby z gruntu cały dotychczasowy nasz pogląd na stosunek Słowackiego do Krasińskiego. Warto

sprawdzić, co jest dobrze: z Bobrowa czy z Bobrową? A czy Ą? *That is the question.* Wiedząc [1]), że lwowskie wydanie listów Słowackiego, pełne niedokładności i błędów, jest ideałem niesumiennego wydawnictwa, porównałem tekst rzeczonego wydania z autografem (autografy wszystkich listów Słowackiego posiada w zbiorze swym p. Leopold Méyet w Warszawie) i cóż się okazało? Oto, że zamiast wydrukowanego:

«...przypominała mi Babińską. Teraz przyjechała jej siostra Grocholska z Bobrowa...»

powinno być:

«...przypom*niała* mi bardzo Balińską. Teraz przyjech*ały* jej sios*try* Grocholska *i Bobrowa*...»

Wynika z tego, że w *dwóch* niespełna wierszach pomienionej edycji listów Juljusza, listów, będących — jak opiewa przedmowa do pierwszego ich wydania — najpiękniejszym pomnikiem czułości synowskiej i zarazem niewyczerpanem źródłem do poznania charakteru poety, dziejów jego twórczości i t. d. i t. d., znajduje się ni mniej ni więcej tylko *pięć* błędów...

ONA

I czyż wobec takich przykładów nikt nie pomyśli u nas o sporządzeniu nowej, poprawnej, krytycznej edycji korespondencji Słowackiego?

ON

Cóż, kiedy jak w danym wypadku, same tylko dobre, choćby najlepsze i najbezinteresowniejsze chęci, nie są w możności zastąpić uczynku... W Dreznie więc, w roku 1831-ym, a nie, jak mniemano, w Paryżu, w roku 1841 [2]), poznał Słowacki panią Bobrową. Szczegół to, jak dla historyka-psychologa, bardzo ważny, ile, że tych kilka tygodni salonowej znajomości nad Elbą

[1]) Od p. Biegeleisena, zob. jego artykuł w *Bibl. Warsz.* z r. 1891, listopad, str. 337 (w przypisku 2-im).

[2]) Sternal, Dr. Antoni J., *op. cit.*

nie mogło pozostać bez wpływu na późniejsze «złe czasy» poety.

ONA

A czy nie umie pan powiedzieć, w jakich okolicznościach, kiedy i gdzie spotkali się Słowacki i pani Bobrowa po raz pierwszy?

ON

Owszem, da się to bardzo łatwo wywnioskować z listów Juljusza. Na pytanie: kiedy się poznali? można odpowiedzieć stanowczo, że przed 3-cim maja 1831 roku, ponieważ dnia tego pisze Słowacki o przyjeździe pani Bobrowej, jako o fakcie dokonanym. «Teraz przyjech*ały* jej siostry, Grocholska i Bobrowa». Na pytanie zaś: gdzie? w czyim domu poznał się z niemi Słowacki? można, zdaje się, również stanowczo jak i na poprzednie odpowiedzieć, że u pani Szymanowskiej. Oto wyjątek z listu Juljusza, który do przypuszczenia tego, a raczej twierdzenia upoważnia:

«Czy przypomina sobie mama dom Poniatowskich, *u których był niegdyś mój ojciec*? Jedna z Poniatowskich, będąca teraz za Szymanowskim i bawiąca w Dreźnie [1]), dowiedziała się, że przyjechałem tu i oświadczyła mi przez jednego z bywających u niej Polaków, iż mnie koniecznie chce poznać. Nie wiem, z jakich przyczyn... odwlekałem moją wizytę. Pani S. znów się wypytywała swego znajomego, dlaczego u niej nie byłem; ten, chcąc mnie uniewinnić, powiedział, że od kilku dni jestem chory. Na to S. z żywą tkliwością oświadczyła, iż mi poszle swego doktora i będzie mnie sama doglądać jak brata. Doniesiono mi te słowa. Tknięty niemi i razem bojąc się wizyty lekarza, gdy byłem zdrów, poszedłem do S... Bardzo przyjemna

[1]) Wspomina o niej także Ant. Edw. Odyniec w swoich *Listach z podróży*, t. I, str. 96.

osoba... Teraz przyjechały jej siostry, Grocholska i Bobrowa».

Ustęp ten, sądzę, pozwala twierdzić napewno, że się Słowacki z przyszłą swą «dręczycielką» poznał w domu pani Szymanowskiej, u której Grocholska i Bobrowa, jako «jej siostry», musiały bywać nader często. Nie mogło poprostu być inaczej!... Powiada Słowacki — w jednym z późniejszych listów paryskich — mówiąc o swojem powołaniu poetyckiem, że «innej nie spodziewał się karjery, kiedy z małego ułamku znany był wszystkim Polakom w Paryżu i *w Dreźnie*», kiedy każdy, poznając się z nim, mimowoli zawołał: «Ach! to autor *Bogurodzicy!*»[1]). W pierwszym zaś liście z Drezna, gdzie mowa o pani Dobrzyckiej (w wydaniu lwowskiem listów Słowackiego wydrukowano: Dobrzyńskiej) czytamy o jej córce: «Ta oddawna zachwycona hymnem *Bogurodzica*, przyjęła mnie z otwartemi rękami, a nad moim *Kuligiem*, którego nie znacie, płakała». Ta «mała sława», jako autora tak popularnego wówczas utworu, musiała Słowackiemu w oczach kobiet, a więc i w oczach pani Bobrowej niemałego dodawać uroku. Dorzućmy w nawiasie, że urok ten podnosiła jeszcze interesująca powierzchowność młodego barda. Bo nie należy zapominać, że Juljusz w tej życia epoce ogromnie był z twarzy podobny do lorda Byrona... Że się podobał, że obejściem się swojem i tem «pańsko-eleganckiem wychowaniem», z którego był zawsze dumny, ujmował serca niewieście, o tem świadczą najwymowniej chociażby tylko te trzy listy z Drezna. Pani Dobrzycka — czytamy na stronie 15 — tak mnie polubiła, że gdy raz wyliczała swoich przyjaciół przy Odyńcu i wyliczyła ich czterech, potem przypomniała

[1]) Hymn ten drukowany był poraz pierwszy w Warszawie, w drukarni stereotypowej przy ulicy Królewskiej w pałacu Dębowskich nr. 1065, w r. 1830. Przedtem w *Gazecie Warszawskiej.*

sobie: «A, jeszcze pan Słowacki...» Jej córka jest pierwszą damą dworu. U tej także jestem w «łaskach». Gospodyni, u której mieszka, i jej córka, «ładna Saksonka», także go «bardzo kochają». «Pierwsza mówiła, że chciałaby mnie mieć przez całe życie w swoim domu»; druga, że gdyby już sobie życzyła mieć brata, to takiego tylko jak on. Pani jenerałowa Dąbrowska i jej córka, «dosyć ładna», też go musiały polubić, skoro bywając na operze, najczęściej asystował im w loży. Że zaś, dopóki opera włoska nie wyjechała do Lipska na jarmark, zawsze prawie na niej bywał, można więc śmiało przypuścić, że tak samo, jak pani jenerałowej Dąbrowskiej i jej córce, dosyć ładnej, asystował czasami i «bardzo miłej» pani Szymanowskiej, która zarówno jak i jej siostry (cioteczne), Grocholska i Bobrowa, pewno nie gardziła teatrem. Komarowie, a z nimi pani Delfina Potocka, nie gardzili również.

ONA

Przepraszam, że przerywam, ale czy ma pan jaki dowód, że z przebywającą wtedy rodziną Komarów była i pani Delfina? Słowacki, o ile wiem, nie wspomina o tem nigdzie.

ON

Czyni to za niego dr. Antoni J. w szkicu p. t. *Beatrice*[1]). Jest to praca oparta na listach pani Delfiny, przyszłej rywalki pani Bobrowej, która, widując się z nią teraz w Dreźnie dosyć często — bo w jednych i tych samych mniej więcej obracały się towarzystwach — nie wiedziała ani przeczuwała nawet, że jej ta śpiewająca Syrena... wydrze z czasem kochanka; tak samo, jak Słowacki, który rozmawiając obecnie z panią Bobrową, nie mógł wiedzieć, że w kobiecie tej znadzie kiedyś swą... dręczycielkę. Tymczasem, nieświadome

[1]) *Opowiadania historyczne.* Serja siódma. Lwów 1891, str. 121.

przyszłości, dalekiéj zresztą, oddawało się całe towarzystwo używaniu pogodnej bardzo i harmonijnej, żadnym prawie dysonansem niezamąconej teraźniejszości, jakby zapominało, że w kraju tymczasem lała się krew bratnia... Wizyty, rauty, urozmaicone niekiedy syrenim śpiewem pani Delfiny lub też mistrzowską grą Humla[1]); renesansowe, medycyjskie prawdziwie rozmowy w galerji obrazów przed rafaelowską Sykstyną; *Grüne Gewölbe*, wycieczki w okolice, spacery po Wielkim Ogrodzie, ekskursje statkiem parowym do Saskiej Szwajcarji całą kompanją[2]), zwiedzanie kolejne «wszystkich prawie osobliwości drezdeńskich», wieczorem opera włoska: oto tryb życia, jakie tu prowadził Słowacki, a razem z nim ci wszyscy, z którymi przestawał bliżej. Tak przeszła wiosna. Z nadejściem lata zaczęto się rozjeżdżać. Wielu moich znajomych — pisze Słowacki dnia 6 lipca — opuściło Drezno: generałowa Dąbrowska, ze swoją ładną córką, wyjechała do wód; Komarowie — a więc i pani Delfina — udali się do Karlsbadu; kilku mężczyzn wróciło do swoich majątków w kraju; słowem towarzystwo moje znacznie się zmniejszyło.

ONA

Czy i pani Bobrowa wyjechała?

ON

O tem nie wspomina Słowacki. Co do mnie, to sądziłbym, że wyjechała do Wiesbadenu, albo do Ems, gdzie zwykle bywała w ciągu letnich miesięcy. W każdym razie, wyjechała czy została, Słowackiego dnia 25 lipca już nie było w Dreźnie: pośpieszył do Londynu. W jakim interesie? To do historji jego znajomości z panią Bobrową nie należy.

---

[1]) Zob. *Listy z podróży Odyńca*, t. I, str. 96.

[2]) «Z Polakami tu będącymi wybieram się do Szwajcarji Saskiej». *Listy*, t. I, str. 13.

ONA

Wiem zresztą, jaka go tam powołała sprawa[1]).

ON

Upłynęło odtąd lat zgórą dziewięć. W życiu pani Bobrowej, jak i Słowackiego, przypada na ten czas taki natłok wrażeń i zdarzeń, tyle chwil pięknych, tyle przejść dramatycznych, tyle upojeń i rozczarowań, że mogli on o niej, a ona o nim nie raz, ale tysiąc razy zapomnieć, tem bardziej, że ich nad Elbą prócz zwykłej «salonowej znajomości» nic nie łączyło. Mimo to, spotkawszy się później w r. 1840 nad Sekwaną, *nie byli już sobie obcy zupełnie*. Do faktu tego przywiązuję ja osobiście niemałą wagę, zaprzeczyć się bowiem nie da, że taki tytuł *dawnych znajomych* w stosunkach towarzyskich nie utrudnia, ale ułatwia wzajemne do siebie zbliżenie się dwojga ludzi; cóż dopiero, jeżeli obie strony, jak w danym wypadku, jednoczy szczery, serdeczny kult dla jakiejś osoby trzeciej, oddalonej od nich. Wprawdzie admiracja, jaką żywił dla Krasińskiego Słowacki, różniła się zasadniczo od uwielbienia, z jakiem dla niego była pani Bobrowa, różnica ta wszakże, ile, że wynikająca z natury rzeczy, żadnego tem samem na przebieg spraw nie mogła wywierać wpływu.

ONA

Nie powiedział pan jednak, gdzie i kiedy spotkali się znowu. Bo że w Paryżu i w r. 1840, to jeszcze nie dosyć, to zbyt ogólnikowo. Paryż jest wielki, a rok ma dwanaście miesięcy.

ON

Na zapytanie to: wśród jakich okoliczności i w czyim domu spotkali się Słowacki z panią Bobrową powtórnie, nie sposób odpowiedzieć dokładnie, dzisiaj

---

[1]) Zob. Antoni Małecki, *op. cit.*, t. I, str. 54 i następne, *Listy*, t. I, str. 19—23.

przynajmniej, dopóki nie znamy listów Słowackiego do Krasińskiego (w których, jeżeli nie zaginęły bezpowrotnie, najwięcej znaleźć się powinno szczegółów do historji tej «zagmatwanej tragedji»). Nie sposób nawet oznaczyć ściśle, czy spotkanie to nastąpiło istotnie w roku 1840. Albowiem nie jest niemożebnem, że nastąpiło wcześniej, już w roku 1839, kiedy Słowacki mieszkał jeszcze przy *Rue des Pyramides No 6*, coby go czyniło niedalekim sąsiadem pani Joanny, ta bowiem, jak nas do przypuszczenia tego upoważniają listy Juljusza do niej, mieszkała początkowo naprzeciwko *Jardin des Tuilleries*, a więc: albo na *Rue de Rivoli*, albo też na jednej z przecznic na przestrzeni sztachet żelaznych ogrodu Tuilleryjskiego, który było widać z okien jej mieszkania. Otóż, ponieważ *Rue des Pyramides* wychodzi właśnie na Rue de Rivoli, nie byłoby więc nieprawdopodobnem przypuszczenie, że, mieszkając tak blisko siebie, mogli się spotkać na ulicy; Słowacki się jej przypomniał; ona, wiedząc o nim, że się przyjaźnił z Krasińskim, zapytała go o niego, on zaczął jej opowiadać o nim, o Rzymie, o Florencji, o jego listach etc. za czem poszło, że go zaprosiła do siebie i... pierwsze lody były już przesłamane.

Drugą hypotezą, niemniej prawdopodobną, jest, że Słowackiego do domu pani Bobrowej (podobnie, jak niegdyś w Dreźnie ów «znajomy» do pani Szymanowskiej, albo Odyniec do pani Dobrzyckiej) wprowadził teraz wspólny ich znajomy, a bawiący podówczas w Paryżu pan Audlej, wołynianin, stale niegdyś mieszkający w Krzemieńcu, stąd dobry znajomy pani Becu. W Paryżu, gdzie był razem z żoną, należał on do towarzystwa, w którem się obracała pani Bobrowa. Ze Słowackim łączyły go stosunki przyjaźni. W listach poety do matki, a mianowicie w liście z Paryża, datowanym dnia 21 października 1840 roku (a więc z czasu, kiedy według mojego przypuszczenia spotkał się Słowacki z panią Bobrową nad Sekwaną) znajdujemy następującą o panu Audlej wzmiankę: «Przejeżdżając przez wioskę moją pan Audlej, mówił mi, że widział ciebie, że widział płacz twój i to mi serce rozdarło». Z listu zaś Słowackiego do pani Bobrowej, z 14 Maja 1824, dowiadujemy się, że pani Bobrowa dnia tego (a był to dzień imienin córki jej, Zosienki) pojechała na *grands eaux* do Wersalu «z dziećmi, z panią Audlej, z panem Audlej, z doktorem Dagobertem, z Manem i z połową Paryża...»

Możebnem też jest, że się Słowacki spotkał z panią Bobrową w domu Audlejów, u których bywał niezawodnie...

To byłoby drugie przypuszczenie. Trzecie różni się od poprzedniego jedynie tem, że tę samą rolę, którą tu przypisałem panu Audlej, można z niemniejszą śmiałością przypisać i Aleksandrowi Potockiemu, przebywającemu wtedy w Paryżu. Z panią Bobrową łączyły go zawsze stosunki bardzo bliskie. Słowackiego znał oddawna i był mu nadzwyczaj życzliwy. Słowacki w listach do matki nazywa go poufale «wiolonczelistą». W listach Słowackiego do pani Bobrowej spotykamy się z nazwiskiem Aleksandra Potockiego nader często...

Ostatnią hypotezą, która mi się wydaje najprostszą, jest pośrednictwo Hotelu Lambert. Pani Bobrowa, jako spokrewniona z Czartoryskimi, nie mogła, będąc w Paryżu, nie bywać u nich. Wiemy zresztą, że pozostawała z nimi, a przynajmniej z Księżną Adamową Czartoryską, w stosunkach towarzyskich, kiedy bawili wszyscy, księżna, ona i... Zygmunt Krasiński, w lecie roku 1834 w Wiesbaden, skąd później Krasiński, jak nas o tem informuje jeden jego list do Sołtana, odwoził księżnę Adamową Czartoryską do Coblenz[1]). Słowackiego — choć o tem głucho w drugim tomie listów — zawsze coś ciągnęło do wykwintnego towarzystwa, jakie się zbierało «u księżny» na wypra-

[1]) Zob. *Listy*, t. II, str. 3.

wianych przez nią «recepcjach poniedziałkowych». Cóż więc naturalniejszego, jak, że się tam, u księżny, na jednej z takich recepcyj poniedziałkowych, spotkał z panią Bobrową. Nie posiadamy wprawdzie ani jednego pozytywnego dowodu (co jeszcze nie dowodzi bynajmniej, ażeby się z czasem dowody takie nie znalazły) że Słowacki po powrocie z Florencji w r. 1838 przypomniał się J. O. właścicielom hotelu Lambert; przypuścić wszakże trudno, ażeby tego nie uczynił. Wszak za pierwszego swojego w roku 1832 nad Sekwaną pobytu, wprowadzony przez Skibickiego, bywał u nich dość częstym i — o ile wnosić można z jego listów do matki — nader mile widzianym gościem. Zarówno książe, jak i księżna, byli dlań bardzo życzliwie usposobieni. Nie rozumiem więc, dlaczegoby miał zrywać wszelkie z nimi stosunki, on, który tak lubił wytworne, arystokratyczne towarzystwo i który, choć demokrata z przekonań, bliższego zetknięcia się z demokratami unikał, chętniej nierównie obracając się w wielkim świecie hrabiów i książąt, gdzie miał przynajmniej pole do pochwalenia się swojem «pańsko-eleganckiem wychowaniem» i swojemi manjerami salonowca. O tej jego słabości dla arystokracji (co mu nie przeszkadzało swoją drogą nazwać ją w *Beniowskim* «bez ognia piekłem») świadczy aż nadto wymownie np. pobyt we Florencji, gdzie go widzimy zaprzyjaźnionego z domem hr. Zdzisławów Zamojskich, u których był nawet na wilji, z domem Hermana i Józefa Potockich, z domem księżny Survilliers, z domem Moszczyńskich... Wobec tego trudno zdaje się przypuścić, ażeby powróciwszy do Paryża, nie odnowił dawnych ze znajomymi stosunków — coby się zresztą równało zerwaniu z całym światem polskim w Paryżu — i żeby, powodując się dziwnym jakimś, nieumotywowanym kaprysem, nie złożył wizyty księżnie Adamowej Czartoryskiej, o której wiedział, że zarówno jak i małżonek jej należała do wielbicielek jego talentu, albo hrabinie Ludwikowej Platerowej, u której kilka lat temu, na wyprawianych przez nią «wieczorach czwartkowych» spędził niejedną przyjemną chwilę [1]). Gdyby tych obowiązkowych wizyt nie zrobił, naraziłby się tem samem na reputację człowieka źle wychowanego, on zaś, jak wiemy, przedewszystkiem za takiego uchodzić nie chciał [2]). Że o swoich stosunkach towarzyskich, o swoich znajomościach salonowych, od roku 1839 począwszy, nie wspomina nigdy w listach do matki, to żaden dowód, jeśli weźmiemy pod uwagę, że pisać o nich... nie mógł. Takie już były czasy... Okoliczność ta wszakże, o ile się mógł nią czuć skrępowany w listach, ponieważ zachodziła obawa, aby ich nie czytały przypadkiem osoby, dla których nie były przeznaczone, o tyle z drugiej strony nie przeszkadzała mu, kiedy przyjechał na stałe do Paryża, podobny prowadzić żywot, jak niedawno temu w uroczej stolicy Toskanji t. j. stawać się nad wieczorem, po ukończeniu prac literackich, rodzajem angielskiego *petit maître*, który wiedział doskonale, że był przystojny, i że miał w sobie «coś, co mu jednało serca kobiet».

Bądź co bądź, gdziekolwiek spotkanie to nastąpiło i wśród jakichkolwiek okoliczności, skończyło się na tem, że Słowacki po niejakim czasie — w każdym razie jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia — znalazł się na pokojach pani Bobrowej, która mu była rada, choćby dlatego tylko, że mogła z nim rozmawiać o Zygmuncie.

ONA

A nie wie pan, czy pani Bobrowa była tym razem w Paryżu sama, czy też z dziećmi?

[1]) Zob. *Listy*, t. I, str. 44, 51, 52.

[2]) Niejednokrotnie zdarzyło mi się słyszeć od osób (od ś. p. Adolfa Tetmajera np.), które pamiętały te czasy i które, jeżeli nie znały Słowackiego osobiście, to mieszkały wtedy w Paryżu, że Słowacki «zawsze trzymał z hotelem Lambert», że się «czepiał wielkopańskiej klamki», że się garnął zawsze do arystokracji etc. etc. Tak sobie opowiadano o nim w Paryżu jeszcze w roku 1846 i 1848.

ON

Że była z córką, ze starszą mianowicie, panną Lolly, Lolką, jak ją nazywał Słowacki, to nie ulega najmniejszej wątpliwości. Dowodzi tego chociażby ów wiersz Słowackiego *Do Ludwiki Bobrówny*, ogłoszony w t. I pism. pośm. [1]), wiersz, który uszedł jakoś baczności biografów poety... O innych źródłach, z których czerpię wiadomość o bytności panny Lolki z matką przez czas trwania tej rycersko-romantycznej epoki w życiu Juljusza, powiem za chwilę...

ONA

A druga córka, Zosia?

ON

Tej, zdaje się, nie było wtedy w Paryżu. Przypuszczam, że musiała zostać przy ojcu, w domu. Pani Bobrowa, żyjąca z mężem jakby w separacji — podobnie jak pani Delfina Potocka do roku 1835 — nie mogła mu «odbierać» obydwóch córek... Tem się tłumaczy fakt, że teraz w roku 1840 miała przy sobie tylko starszą, Lolkę [2]). Nawiasem mówiąc, był to śliczny 15-letni podlotek, urody zadziwiającej. Istny Cherubinek. Co zaś do pani Bobrowej, to możnaby ją porównać w tym czasie do Junony albo, jak to czyni Krasiński w jednym z listów do Słowackiego, do «Rubensowej Madonny». Oczy jej, szafirowe, duże, przecudnie oprawne, gęstemi okolone rzęsami, pełne ognia i życia, zdawały się, jak mówił Słowacki, «na zuchwałość podwodzić szatańskie wzroki». A usta?

Ustom takim tylko świecić
I palić się i wyjadać
Serce z piersi, oczy z powiek,
Lecz nie jęczeć, ani gadać:
Bo jękną, to skona człowiek!
Bo poproszą — w ogień skoczy!...

ONA

Blondynka czy brunetka?

ON

Szatynka, o włosach bujnych niezmiernie, którym szczególnego pod względem kolorystycznym uroku dodawał jaskrawy dość odcień złocisty. Włosy te, ufryzowane w loki, pierścienie i nioby, musiały w wysokim bardzo stopniu podnosić efekt twarzy.

W roku 1840 zaczynała pani Bobrowa rok życia 33-ci. Starsza o dwa lata od Słowackiego, znajdowała się w pełnym rozkwicie swojej piękności niewieściej. Piękność ta, prawdziwa balzakowska, nic dziwnego, jeżeli oczarowała Juljusza i jeżeli go coraz bardziej, z dniem każdym, wytrącać zaczęła z równowagi.

Gdy oczy przeszły od stóp do warkoczy,
To zakochały się w niej moje oczy.

Skończyło się na tem, że za oczyma, «tym zmyslem, co kochać przymusza», poszło niebawem i serce...

ONA

«A za sercem dusza». Pani Bobrowa zaś?

ON

Ona? Ona nie mogła go z czasem nie... polubić. Samo już zapoznanie się z dziełami autora *W Szwajcarji*, musiało ją — ją zwłaszcza — usposobić na jego korzyść. Przedziwny pod tym względem wpływ wywie-

---

[1]) Str. 55—56 (wyd. drugie, 1885).

[2]) Do r. 1838, zdaje się, że pani Bobrowa, przebywając zagranicą (prawie stale), miała przy sobie zawsze obie córki. Tak było przynajmniej w roku 1835. Zob. artykuł prof. St. Tarnowskiego: *Z listów Zygmunta Krasińskiego do Adama Sołtana*, str. 83. «W innych listach biedny poeta boi się, że skończy na samobójstwie, to znowu chciałby ją porwać i unieść gdzie daleko, gdyby nie dzieci, *których ona ojcu odbierać nie chce*». «Ach, co mi życie zatruwa (są słowa samego Krasińskiego, w liście z Wenecji, z r. 1835) to, że ona uparła się wracać do domu. Mąż wie wszystko. Ona mu sama napisała. Wie więc, co ją czeka. Ale za obowiązek *uważa odwieźć dzieci mężowi* i cierpieć».

rały na nią szczególniej *Balladyna* i *Lilla Weneda*, a raczej owe, służące każdej z nich za przedmowę, dwa listy do autora *Irydjona*...

ONA

A to czemu?

ON

Ażeby na pytanie to odpowiedzieć, pozwoli pani, że jej przeczytam kilka wyjątków z tych listów, najpiękniejszych niezawodnie, jakie napisał kiedykolwiek przyjaciel-poeta do poety-przyjaciela.

Oto np. wyjątek z listu pierwszego, który, jak wiadomo, jest rodzajem uwertury do *Balladyny:*

«O, nie mów, że z dzwonków polnych większa ozdoba ruinom, niż z tego wieńca myśli, w który je ubierze poeta. Bo, choć róże, rosnące na ruinach pałacu Nerona, rozwidniły nam pięknie te gruzy, to jednak jaśniej mi je oświecił ów duch *Irydjona*, któregoś ty pod krzyżem w Koloseum położył i nakrył złotemi skrzydłami anioła».

Przypominam, że pod temi «ruinami pałacu Nerona» ma Słowacki na myśli ogrody willi Mills, w których zarówno on w r. 1836, jak i pani Bobrowa w r. 1834 i 1835, niejeden wieczór przy śpiewie słowików przemarzyli z Krasińskim. Przypominam też, że *Irydjona* dedykował Krasiński pani Bobrowej «na pamiątkę dni jednych i zbiegłych». To powiedziawszy, mogę czytać dalej.

«Tak więc, kiedy ty dawne, posągowe Rzymian postaci napełniasz wulkaniczną duszą wieku naszego, ja z Polski dawnej tworzę fantastyczną legendę, z ciszy wiekowej wydobywam chóry prorockie, i na spotkanie twojej czarnej, piorunowej, dantejskiej chmury, prowadzę lekkie, tęczowe i aryostyczne obłoki, pewny, że spokanie się nasze w wyższej krainie nie będzie walką, ale tylko grą kolorów i cieni, z tym smutnym dla mnie końcem, że twoja chmura, większym wichrem gnana

i pełniejsza piorunowego ognia, moje wietrzne i różnobarwne obłoki roztrąci i pochłonie».

List kończy się tem:

Rozpisałem się długo, a zamierzyłem był tylko napisać:

Autorowi Irydjona
na pamiątkę
Balladynę poświęca
Juljiusz Słowacki».

W liście drugim, poprzedzającym *Lillę Wenedę*, czytamy zaraz na początku:

«Wstań! wstań, mój Endymionie, tajemniczej Muzy kochanku, i postąp krokiem ku mnie, a napotkasz nowy gaj fantazyj, zielony sosnami teatr; *bo oto dla ciebie jedynie*, mój drogi» napisałem tę tragedję i t. d.

W innem miejscu taka prośba:

«Tylko ty, Irydjonie, nie opuszczaj mnie śród zimnego świata, tylko ty mi nie daj uczuć chłodu, który mi na czoło od twarzy ludzkich powiewa; a gdybyś widział na mnie idące węże, weź w rękę harfę Lilli Wenedy i przemień te gady w słuchaczów. Ile razy z tobą byłem, zdawało mi się, że wszyscy ludzie mają oczy rafaelowskie» itd.

Albo to zakończenie:

«A tych dwóch wodzów! Czy ty myślisz, Irydjonie, że tworząc ów myt jedności i przyjaźni, nie łudziłem się słodką nadzieją, że kiedyś i nas tak we wspomnieniach ludzie powiążą i na jednym stosie postawią... Ty mnie wtenczas umarłego będziesz trzymał na piersiach i mówił do ucha słowa nadziei i zmartwychwstania, albowiem za życia słyszałem je od ciebie jedynie».

Nie trudno sobie wyobrazić, jakie wrażenie ustępy podobne czynić musiały (powtarzam: m u s i a ł y) na

pani Bobrowej, dla której autor *Irydjona* nie przestał aż do tej chwili być *wszystkiem*... Z miłości tej nie pozostawało jej *nic* — materjalnie rzecz biorąc — a jednak to *nic* było i pozostać dla niej miało do śmierci *wszystkiem*. Już

...duszy we mnie zagasło przezrocze
I tak przed ludzi, jak Boga obliczem,
Nic mi jest *wszystkiem* i *wszystko* mi *niczem*.
Nic, nic, niestety: oto słowo moje!
Oto ma wiara, oto tajemnica!
Przez nią niczego w świecie się nie boję,
Przez nią mię w świecie już nic nie zachwyca!
Ach! jakże dawniej lękać się umiałam!
Ach! jakżeż dawniej rwały mię zachwyty!
Kochałam morze, ląd, gwiazdy, błękity,
Cała z strun drżących... *A dziś z głazu całam!*
Ach! bo jednego człowieka kochałam,
I świat mi wszystek wyglądał od niego
Rajem dóbr świętych..

«Nic mi jest wszystkiem i wszystko mi niczem». Nie mógł tego o sobie powiedzieć Słowacki, który, jak sam się przyznaje, *tak mało używał dotychczas serca swego*, że jeszcze *młode być musi*. Więc też, znalazłszy u pani Bobrowej «dom przyjazny, gdzie mu dobrze na rozmowie schodziły godziny», zaczął niebawem, jak jego Giani z *Beatrix Cenci*, rozmyślać «o niezliczonych wdziękach tej kobiety», o jej «płci wielkiej białości», o «gorsu urokach», które mu «pachniały rajem i t. d. i t. d.

ONA

Aż tak? No, no!

ON

Tymczasem — dnia 15-go grudnia — odbył się pogrzeb Napoleona, zaczęły się wykłady Mickiewicza w *Collège de France*, odbyła się uczta u Eustachego Januszkiewicza, pamiętna improwizacjami Słowackiego i Mickiewicza, a której następstwem był zatarg Juljusza ze stronnictwem autora *Ksiąg pielgrzymstwa*, zatarg, uwieńczony ostatecznie *Beniowskim*, który się pisał właśnie, a który miał być «zły». Mimo to znalazło się w nim miejsce na czułą alluzję do pani Bobrowej.

ONA

W której pieśni?

ON

O ile sobie przypominam, to w trzeciej, gdzie naprzód czytamy zwierzenie, że

...teraz mi wezgłowiem
Jedno kobiece serce. Jestem śpiący,
Omdlały...

poczem następują dwie oktawy, najwyraźniej z myślą o pani Bobrowej pisane, na co jednak żaden z biografów Juljusza nie zwrócił dotąd uwagi.

Kto inny teraz jest nademną, nie wy,
Na których patrzał ja, Akteon blady...

Aluzja do stronników Mickiewicza i do owej improwizacji wobec nich na uczcie z dnia 25 grudnia.

Między ciemnemi położę się drzewy,
Słowiki będą moimi sąsiady,
Księżyc, jako mój srebrny anioł lewy,
Ona, jak złoty mój duch dobrej rady,
Odgoni czarnych cherubinów stada,
Mówiąc do nieszczęść tak, jak anioł gada.

Przez litość tylko nademną siostrzaną,
Przez błękit tylko swojej własnej duszy,
Przez gwiazdę swego losu obłąkaną,
Przez moc, co serca wskrzesza albo kruszy,
Przez to, że hymny we mnie zmartwychwstaną,
Jeżeli ona mnie, jak harfę ruszy,
Będę zbawiony, dumny, bezpokutny.

Marzenie to przerywa wkońcu refleksja:

Ale to wszystko sen — i może smutny.

Wobec takiej ze strony Słowackiego czułości na samą myśl o pani Bobrowej, nie dziw, jeżeli po niejakim czasie — pod koniec marca lub na początku kwietnia 1841-go roku — przyszło pomiędzy niemi do wyznania, do sceny, w której poeta, jak ów Kossakowski Judycie w akcie drugim *Księdza Marka*, rzekł «we łzach, w obłąkaniu»:

Na twe czoło wykąpane
W ptasiem gołębicy mleku!
Na twoje usta różane,
Których łuk napięty drży...
Na twe oczy, z których bije
Razem żar i noc i dzień!
Na twoją łabędzią szyję
I na ten błękitny cień
Twoich rzęsów, który spada
Aż na rubin twoich lic!
Na tę głowę, gdzie gromada
I brylantów, i rubinów
Pali się, jak tysiąc świec!
Na każdy z perełek ząb,
Na ten, mówię, skarbiec cały
I klejnotów, i piękności,
I na królestwo miłości
Przysięgam... Co? Miłość wieczną!!!

A propos «Księdza Marka», to radziłbym pani — po tej dzisiejszej sjeście — przeczytać sobie kiedy w wolnej chwili, to Juljuszowe «poema dramatyczne», zarówno jak i *Sen srebrny Salomei*. Utwory te, jeden i drugi, jako pisane wkrótce po wyjeździe pani Bobrowej z Paryża, pełne są — ostatni szczególniej — jej lazurowych oczu i osobistych o niej wspomnień autora, ubranych tylko w mistyczno-brylantowy koloryt Kalderonowskiej poezji. Judyta w *Księdzu Marku* i księżniczka Salomea we *Śnie srebrnym*, który, nie zapominajmy, że zatytułowany jest przez poetę «*romansem* dramatycznym», to kreacje, na których utworzenie się w rozgorączkowanej podówczas fantazji Słowackiego miała pani Bobrowa wpływ przeważający. Stosunek

zaś ich do mężczyzn, występujących w obu poematach, do Kossakowskiego, Sawy i Semenki, którym wszystkie, Judyta zarówno, jak i księżniczka Salomea, stawią opór nieprzezwyciężony, to stosunek pani Bobrowej do Słowackiego. Podobnie miała się rzecz przed laty z *Irydjonem*, w którym historja miłości pomiędzy bratem Elsinoi a Kornelją Metellą, to poetyczna parafraza romansu Krasińskiego z panią Bobrową.

ONA

Z tego, co pan powiedział przed chwilą o stosunku np. Kossakowskiego do Judyty, wolnoby wnosić, że miłość Juljusza do pani Bobrowej... jakby to powiedzieć, «nie świeciła, jak próchno» [1]).

ON

Rozumiem już, o co pani chodzi; chcąc jednak dokładniejszego jej w tym względzie udzielić objaśnienia, wypada zaznaczyć, o czem — *mea culpa!* — zapomniałem wspomnieć, że o romansie pani Bobrowej z Krasińskim Słowacki nie wiedział zupełnie. Ani się domyślał czegoś podobnego. Skądżeby? Ona? Wiedział tylko — z tem bowiem nie miała powodu ukrywać się przed nim — że ją z Zygmuntem łączyło pokrewieństwo, dość bliskie nawet, że była jego... ciocią, że uwielbiała w nim autora *Irydjona*, że była dumną ze swego genjalnego siostrzeńca [2]), że widywali się co czas jakiś zagranicą, w Rzymie, Wenecji, Neapolu, u wód w Niemczech, że od ostatniego ich widzenia się w Salzbrunn upłynęły już zgórą dwa lata... Nie wiedział przecież, że to nie była zwykła przyjaźń — jak wnosić należało z opowiadań pani Bobrowej — ale miłość, miłość namiętna i ziemska, że dziś było już wszystko pomiędzy niemi skończone, że pani Bobrowa, choć uczuć swych

[1]) Alluzja do słów: «miłości moje jako próchna świecą» *(Beniowski)*.
[2]) Dr. Antoni J., *op. cit.*, str. 8.

dla Zygmunta nie zmieniła ani na chwilę, kochaną być przestała, że obecnie miejsce jej zajęła w sercu Zygmunta pani Delfina Potocka... Wszystko to było dla Słowackiego tajemnicą.

ONA

Jakto? I nie dowiedział się o tem nigdy?

ON

Owszem, przyszła kolej i na to, a co najoryginalniejsze, to, że do zdarcia zasłony z tej największej życia pani Bobrowej tajemnicy przyczynił się nie kto inny, tylko Krasiński, którego *Noc letnia* ukazała się wtedy właśnie — bezimiennie, ma się rozumieć — w Paryżu. Było to mniej więcej w drugiej połowie lutego 1841-go roku. Słowacki, odgadłszy po stylu, czyją może być ta «powieść poetyczna», przyniósł ją pani Bobrowej do przeczytania i... dowiedział się prawdy.

ONA

A to jakim sposobem?

ON

Pod wpływem dedykacji, poprzedzającej *Noc letnią*, a w której pod owem «sercem niewieściem i prześladowanem», «co wiele kochało» i «co cierpiało», rozumieć należało ją oczywiście, pani Bobrowa (wyobrażam sobie, że musiała to być scena niemniej dramatyczna, aniżeli spowiedź Jacka Soplicy w *Panu Tadeuszu*) pani Bobrowa przyznała się Słowackiemu do wszystkiego... Wyznanie to, świadcząc najwymowniej, jak serdeczne bądź co bądź łączyły ją z przyjacielem Krasińskiego stosunki i jak bezgranicznem darzyła go zaufaniem, stało się — mimo jej woli — przyczyną nietrudnej zresztą do zrozumienia metamorfozy psychicznej w poecie, metamorfozy, która mu swoją drogą zaszczytu nie przynosi bynajmniej. Przekonawszy się,

że ten jego «anioł złoty» jest aniołem... upadłym, postanowił wkroczyć na utorowaną już przez Krasińskiego drogę i kochać się nie jak Anhelli w Ellenai, ale jak człowiek, jak mężczyzna, słowem, z sentymentalnego Werthera, jakim był dotąd, przedzierżgnąć się w mozartowskiego Don Juana. Ulegając w ten sposób cynicznym podszeptom Masynissy, nie brał do serca podniosłych, ascetyzmem nacechowanych słów ojca Lacordaire, na którego kazania passyjne w katedrze *Notre Dame* — albowiem było to w poście — chadzał co piątek (i pani Bobrowa pewno nie opuszczała żadnego) i, zamiast zajmować się niemi, myślał «w niskości ducha» o czem innem... Po Wielkiejnocy, która w tym roku przypadała na dzień 11 kwietnia, wyjechała pani Bobrowa z Paryża, udając się, jak zwykle o tej porze, do Frankfurtu nad Menem, gdzie od jakich dziesięciu już lat blisko, zwykle spędzała wiosnę. W niespełna dwa tygodnie znalazł się tam również i Słowacki.

ONA

Jakto? I pani Bobrowa upoważniła go do tego?

ON

Nie wiem, w każdym razie był to krok...

ONA

Szalony przedewszystkiem.

ON

Nie przeczę, ale bądź co bądź, fakt ten zadaje kłam wszystkim dotychczasowym twierdzeniom biografów Słowackiego, utrzymujących, że autor *W Szwajcarji* nigdy się *szalenie* w żadnej kobiecie nie kochał. Gdyby tak było istotnie, nie pisałby Krasiński do Sołtana z Rzymu, dnia 21 maja 1841 r., że «Słowacki zakochał się *wściekle* w pani Bobrowej i *poleciał* za nią do Frankfurtu». To *wściekle* daje najlepszą miarę o sile uczucia, jakiem Słowacki dla pani Bobrowej za-

płonął. Człowiek, *notabene* mężczyzna 30-letni przeszło, nie rzuciłby wszystkiego, jak to uczynił teraz Słowacki, i nie «poleciałby», jak Słowacki, za nią aż do Frankfurtu, oddalonego od Paryża o cztery do pięciu dni drogi dyliżansem pocztowym, gdyby go tam nie parła namiętność. On poprostu nie mógł teraz żyć bez jej widoku...

ONA

«Ach! jak łatwo złączyć miłość z szaleństwem!»

ON

O tej szalonej Słowackiego podróży do Frankfurtu i o jego tam kilkotygodniowym pobycie wiedzieliśmy, jak dotąd, bardzo niewiele. Prawie nic. Pierwszym, który na ten ważny niezmiernie i ciekawy epizod w życiu Juljusza rzucił nieco światła, był p. Henryk Biegeleisen. Ogłoszony przez niego w *Prawdzie*[1]) list Słowackiego do Leonarda Niedźwieckiego, przyczynił się niemało do rozjaśnienia kwestji. Dr. B. jednak, który całym szeregiem sumiennych prac o Słowackim uzupełnił już pod wielu względami dzieło prof. Małeckiego, nie wiedział — a przynajmniej nie wspomina o tem w poprzedzającym ów list wstępie — że istnieją jeszcze trzy inne listy Słowackiego do tegoż p. Niedźwieckiego, z Frankfurtu pisane.

ONA

A pan jakim się o nich dowiedział sposobem?

ON

Bardzo prostym. W jednym z numerów *Przewodnika bibljograficznego*[2]) — nie pamiętam, którym —

[1]) Nr. 12, z r. 1884.

[2]) Z r. 1886, str. 244. «Trzy listy własnoręczne Jul. Słowackiego (jeden z dodaną od innej ręki uwagą: «Miłostki»), pisane po francusku do Leonarda Niedźwieckiego w Paryżu, darowane Bibl. Jagiellońskiej z zastrzeżeniem, żeby ich przez czas dłuższy nie oddawać na użytek publiczny».

wyczytałem wiadomość o trzech listach Juljusza Słowackiego, pisanych po francusku do Leonarda Niedźwieckiego, z Frankfurtu w maju i w czerwcu 1841 roku, i ofiarowanych Bibljotece Jagiellońskiej z zastrzeżeniem, ażeby ich przez czas dłuższy nie oddawać do publicznego użytku.

Będąc tego roku — jak i każdego zresztą — w Krakowie, niezrażony niczem, w nadziei, że zastrzeżenie to nie pochodzi od Katona ani od Księcia niezłomnego, nie omieszkałem udać się do p. Wł. Wisłockiego, kustosza Bibljoteki Jagiellońskiej, z prośbą, ażeby uczynił dla mnie wyjątek i listy rzeczone, jeżeli już nie przepisać, to przynajmniej przeczytać pozwolił. Tłumaczyłem mu, że piszę studjum o Słowackim, studjum obejmujące tę właśnie epokę z jego życia, że muszę wiedzieć koniecznie, co się w tych listach znajduje, że nie przeczytawszy ich, nie sposób mi kontynuować pracy... Nic nie pomogło. Wobec zastrzeżenia, ażeby listów tych *przez czas dłuższy*, t. j. przez jakie lat 25 przynajmniej, nie oddawać na użytek publiczny, p. Wisłocki musiał, chcąc nie chcąc...

ONA

Postąpić jak Kato, albo jak Książę niezłomny.

ON

Nie mógł pozwolić, trudno!... Na szczęście zastrzeżenie, o ile krępowało p. Wisłockiego, pozwalając mu co najwyżej pokazać mi owe listy — nie dając ich jednak do ręki — o, pokuso tantalowa! ażebym zobaczył, jak wyglądają, na jakim są pisane papierze; o tyle z drugiej strony nie zabraniało mu służyć mi dobrą radą, mianowicie, żebym się zwrócił z prośbą bezpośrednio do p. Leonarda Niedźwieckiego, do którego listy te były pisane, a który aż po dziś dzień mieszka w Paryżu, *Quai d'Orléans N. 6*. Od niego zależy wszystko[1]).

[1]) Leonard Niedźwiecki zmarł w Paryżu d. 13 grudnia 1892 r.

ONA

I napisał pan?

ON

Napisałem i otrzymałem odpowiedź, po której byłem już panem owych listów. Dziś jestem już w posiadaniu najwierzytelniejszych ich kopij, co mi w zupełności wystarcza. Na posiadaniu oryginałów mniej mi zależy...

ONA

I cóż zawierały w sobie te listy?

ON

Skarby, skarby prawdziwe! Okazało się jednak, że jednym z nich był ów ogłoszony już przez p. Biegeleisena. Dwa inne, ciekawsze nierównie, aniżeli tamten, a wcześniejsze datą, całe prawie o pani Bobrowej, rzucają na stosunek jej do Słowackiego olbrzymie snopy nowego zupełnie światła, światła, które się staje chwilami najcudowniejszą poezją. Jest tam np. scena, w której Słowacki czyta pani Bobrowej swoją *Beatrix Cenci*, scena, przypominająca ów dzień nieszczęsny w życiu Paola i Franceski de Rimini, a której nie zawahałbym się postawić obok podobnej sceny czytania «książki pełnej łez ze łzami» *W Szwajcarji*. Nawiasem mówiąc, był — i jest gdzieś prawdopodobnie w ukryciu — oprócz tych trzech, jeszcze jeden list, po polsku pisany, a najwcześniejszy pod względem daty. Z listu tego — jak o tem wiem od samego adresata — zrobił p. Niedźwiecki kiedyś prezent ś. p. Bronisławowi Zaleskiemu, z którym, jako z mieszkającym w jednym domu i jako z pracującym na tej samej mniej więcej niwie od lat wielu, łączyły go stosunki przyjaźni. Po śmierci Bronisława Zaleskiego, który umarł «daleko od Paryża, bo nad brzegami gdzieś morza Śródziemnego», nie omieszkał p. Niedźwiecki u egzekutorów testamentu ś. p. Bronisława upomnieć się o ów list od

Słowackiego. «Odpowiedzieli, że nie znaleźli. Pewnie go nie zniszczył, ale co z nim zrobił, trudno wiedzieć». W liście tym, pisanym niezwłocznie po przybyciu poety do Frankfurtu, ponieważ to był pierwszy list stamtąd, musiał znajdować się adres Słowackiego. Szkoda, że go nie posiadamy. W każdym razie, cokolwiek w sobie zawierał ten list, strata, jaką możemy ponieść, gdyby się miał nigdy, broń Boże, nie odnaleźć, nie byłaby znowu tak bardzo wielką. Listy bowiem, które się dochowały, są, nie ulega żadnej wątpliwości, najważniejsze. W tamtym mógł być — oprócz adresu — opis podróży z Paryża do Frankfurtu, mógł być opis Frankfurtu, jako miasta, mógł być opis mieszkania, jakie sobie poeta najął (niedaleko zapewne od mieszkania pani Bobrowej, jeżeli nie w tym samym domu, w tem samem *pensjon*), mogły być wskazówki, dotyczące drukującego się właśnie w Paryżu *Beniowskiego*, a którego ostatnie korekty powierzył Słowacki Niedźwieckiemu, mogło być wreszcie opisane powitanie z panią Bobrową, jej zdziwienie, gdy go ujrzała... i t. d. i t. d.

ONA

A czy sądzi pan, że było to... miłe zdziwienie?

ON

Jeżeli wolno wnosić z następnego listu, to tak, choć zaraz potem, dzięki niestosownemu zachowaniu się ze strony Słowackiego, który, przybywszy tu w hiszpańskim płaszczu Don Juana, zawodził wciąż — z warjacjami bez końca — na temat nieśmiertelnej arji Mozarta *La ci darem la mano*, zaczął się horyzont, pogodny zupełnie przy powitaniu, zachmurzać szybko, tak, iż pierwszy już list Juljusza do Leonarda — jak się o tem dowiadujemy z drugiego listu — pełen był *des plaintes sur l'état malheureux où je me suis placé moi même, en suivant cette boule de savon, qui se nomme: amour. Mon martyre ne finit pas...*

ONA

Musiał więc żałować, że przyjechał?

ON

Przeciwnie, choć nieszczęśliwy, choć cierpiał gorsze, aniżeli Tantal, katusze, myśl, że jest przy niej, że mu ją widzieć wolno, że może ją widzieć chociażby tylko raz na dzień, osładzała mu te gorzkie dni frankfurckie. *Mes journées* — powiada w tymże liście — *se passent agréablement: je la vois, je sens les battements accélerés de mon coeur et du sien, son visage se colore d'une rougeur, qui me rappele la clarté diaphane de l'aurore en Grèce, j'apprends à parler le langage d'amour, je vis et je rayonne... Que faut-il de plus* i t. d. Któregoś dnia — a nie bez pewnej *arrière pensée* o piątej pieśni Dantejskiego piekła — czytał jej, jak już wspomniałem, swoją *Beatrix Cenci*, donosząc zaś o tem przyjacielowi w Paryżu, powiada, że *la commotion électrique qu'elle en a ressentie ne peut se comparer qu'à celle qu'on reçoit en se baignant d'une torpède... Elle a trouvé la passion supérieurement bien peinte*, w czem Słowacki niemałą sobie, jako lektorowi, przypisuje zasługę, bo *il est vrai qu'en lisant je trouvais des inflexions de voix qui faisaient vibrer toutes le cordes de son âme...* Tak samo, jak teraz *Beatrix Cenci*, przeczytał jej później *Beniowskiego*, w którego oczekiwaniu pisany jest drugi list poety z dnia 22 maja, list, w którym Słowacki zaklina przyjaciela, ażeby czemprędzej wysłał jeszcze jeden egzemplarz. Egzemplarze bowiem, o których wysłaniu zawiadamiał go Niedźwiedzki, nie nadeszły. Może gdzie zaginęły w drodze, lub też *ils restent au bureau de la poste, semblables aux âmes au purgatoire...* A tu *la comtesse polonaise pour laquelle je fais venir ces livres les attend avec impatience et moi qui voudrai lui être agréable je ne suis pas moins inquiet de leur retard*. Nareszcie, ostatniego maja stało się pragnieniu jego zadość. Nadszedł «malutki». Nie pozostawało więc, jeno go zanieść swej dręczycielce. Czy się jej podobał? Jakie okoliczności towarzyszyły lekturze? czy znowu, jak przy czytaniu *Beatrix Cenci* na twarz pani Joanny wystąpiły rumieńce, przypominające poecie *la clarté diaphane de l'aurore en Grèce*? Czy znowu, jak wtedy, tak silnego doznała wstrząśnienia? Nie wiemy. Wiemy natomiast, że się biedny autor *Beniowskiego* z dniem każdym czuł nieszczęśliwszym, coraz bardziej rozdrażniony nerwowo... *Il y a des jours où je ne la vois presque pas... Ces jours là sont un véritable enfer pour moi...* W ostatnim zaś liście, z dnia 1 czerwca, powiada, że *la vie que je mène ici est insupportable. Je suis seul, à sa merci, ayant des entrailles dechirés par elle...* Dłużej tak cierpieć nie sposób. Dlatego za jaki tydzień myśli wyjechać, albowiem *il est impossible que je souffre plus longtemps un torture pareille...* Swoją drogą na samą myśl, że mu wypadnie odjechać, rozłączyć się z tą, dla której cierpiał tyle, że nie zobaczy jej, Bóg wie, jak długo, lub nie zobaczy wcale, gdyby jej przyszła fantazja więcej do Paryża nie wrócić, na samą myśl o tem, targała nim rozpacz. *Oh, qu'il y a de désespoir dans cette pensée...* Przezwyciężył się jednak i «łając szalonemu sercu swemu», wyjechał. W Paryżu czekał go z powodu *Beniowskiego* pojedynek z Ropelewskim, pojedynek, na który idąc i przechodząc przez targ kwiatów — koło kościoła Magdaleny — kupił sobie, powiada, różę za grosz, aby ją mieć przez cały czas w ręku, ażeby z niej potem *w złym czy dobrym wypadku* zrobić prezent swej dręczycielce...[1]) Jak się ten humorystyczno-donkiszotowski pojedynek zakończył, wiadomo aż nadto dobrze. Nie przeszkadzało to swoją drogą Słowackiemu po powrocie do domu — napisać prześliczny list do Frankurtu, list, który jego autora naturalnie w bohaterskiem o ile

[1]) Zob. *Listy do matki*, t. II, str. 78.

możności i rycerskiem przedstawił świetle. Pisał również do matki i do Zygmunta.

ONA

Czy żaden z listów tych nie dochował się do naszych czasów?

ON

Dochował się jeden tylko, ten mianowicie, który otrzymała pani Bobrowa. List ten, zarówno jak i cała korespondencja Słowackiego z panią Bobrową (korespondencja, nieustająca aż do końca życia poety) znajduje się obecnie w Warszawie, w jednej z większych bibljotek prywatnych, człowiek zaś, którego pani w tej chwili widzi przed sobą, był o tyle szczęśliwy (a szczęścia tego może mu śmiało każdy wielbiciel Słowackiego pozazdrościć), że dzięki uprzejmości dzisiejszych listów tych J. W. posiadaczy, uzyskał przystęp do nich i przeczytał je wszystkie... Poematy to, nie listy.

ONA

A czy nie możnaby ich ogłosić drukiem?

ON

Co do mnie, to nie widzę powodu, dla któregoby je dłużej ukrywać należało. Przeciwnie, sądzę, że korespondencja ta, opublikowana, (bo niema w niej nic, coby rzucało jakiś cień na pamięć pani Bobrowej) nie tylko, że zachwyciłaby czytelników (są to bowiem ze wszystkich listów Słowackiego najpiękniejsze i najpoetyczniejsze), aleby jeszcze wyrobiła Słowackiemu opinję, że wspanialszego pomnika nie mógł swej «dręczycielce» wystawić. A nie należy zapominać, że drugi, niemniej wspaniały, choć w innym rodzaju, pomnik, wzniósł pani Bobrowej... Zygmunt Krasiński. Listy jego, pisane do niej w latach 1834 i 1835, znajdują się dziś w tej samej Bibljotece, co i listy Juljusza. *Notabene* jest ich prawie dwa razy tyle...

Ale powracam do Słowackiego, który po owym pojedynku oraz po napisaniu owych trzech listów: do matki, «*do niej* i do Zygmunta», zdaje się, że o niczem innem przez całe lato nie myślał, tylko o pani Bobrowej, która, wyjechawszy tymczasem z Frankurtu, udała się (zdaje się) na Wołyń, skąd jednak w połowie już miesiąca września — o ile na wniosek ten naprowadzają listy Krasińskiego do Juljusza — znowu powróciła nad Sekwanę: tym razem z obydwiema córkami, Lolką i Zosienką, *Lolly* i *Sophinette*. Czy zjeżdżając tu po raz wtóry, po wszystkiem, co między nią a Słowackim zaszło we Frankfurcie, nie powodowała się potrosze sympatją ku niemu? Wszak «pomimo wszystkiego», wiemy [1]), że «cokolwiek» interesowała się losem Juljusza. W każdym razie, faktem jest niezaprzeczonym, że z chwilą tego drugiego pani Bobrowej przyjazdu do Paryża, zaczęły się dla Słowackiego *die schönen Tage von Aranjuez*... Idąc za radą Zygmunta, który go zaklinał, ażeby szukał przyjaciółki, gdzie znaleźć chciał kochankę, uspokoił się, spokorniał, a widząc w pani Bobrowej życzliwą sobie duszę siostrzaną, niczego już więcej — chwilowo przynajmniej — nie pragnął, i było mu z tem dobrze. «Teraz — pisał do matki — szczęśliwszy jestem, niż kiedykolwiek w życiu: wszystko się tak składa, jakby Bóg nademną czuwał, i kochał mnie, i błogosławił mię. Serce moje, długo zimne i ostygłe, doznało teraz, że jeszcze może wiośnianem oddychać powietrzem; charakter mój, zimny tak długo, zaczął mi znów figle płatać: szalałem, kochałem się, latałem za marą szczęścia w różne strony, płakałem, śmiałem się, jak człowiek szczęśliwy, żyłem». Zdarzają mu się nawet, powiada, chwile tak «szczęśliwe», że właściwie przez czas ich trwania powinienby «o wszyst-

[1]) Zob. *Listy*, t. II, str. 77. «...i przepowiedziałem nawet, wyjeżdżając z Frankfurtu, osobie, którą *pomimo wszystkiego* los mój *cokolwiek* interesował...».

kiem zapomnieć...» [1]). Na pytanie zaś, czemu błogostan ten miał głównie do zawdzięczenia, najlepszą daje odpowiedź ustęp wyjęty z drugiego listu Słowackiego do L. Niedźwieckiego, ustęp, który brzmi: *Maintenant je suis plus prudent et elle aussi. Que Dieu nous garde et nous sauve!* Ta wszakże obustronna uległość nie wykluczała w umyśle Juljusza innego rodzaju przypuszczeń i nadziei na przyszłość, nadziei, z mentorskiemi nawoływaniami Krasińskiego niezupełnie zgodnych... *J'espère que l'habitude fera ce que n'a pu faire l'amour...* Oto na jakich podstawach wznosił obecnie poeta — w imaginacji swej naturalnie — przyszły gmach szczęścia, gmach, podobny do jakiegoś fantastycznego pałacu padyszacha z baśni *Tysiąca i jednej nocy*, utkany cały z brylantowo-złotej przędzy marzeń i rojeń, przejrzysty, słoneczny, wszystkiemi kolorami tęczy, jak bańka mydlana, grający, ułudny, jak *fata morgana*, świetlany, jak wizja Dantejskiego raju — choć Beatriczą tego raju była powabna z modremi oczami hurysa — wonny zapachem kwiatów, przesycony atmosferą, jak haszysz, odurzającą, upajającą zmysły i nerwy; gmach, pełen tajemniczych jakichś, harmonijnych szmerów eolskich, zawodzących z cicha jakąś Salomonową *Pieśń nad pieśniami* o szczęściu, rozkoszy i miłości. W takim to zamku... na lodzie myślał Słowacki zamieszkać z ukochaną, kiedy nagle, z jasnego lazuru nieba, ani jedną nie splamionego chmurką, niespodziewanie zupełnie, gruchnął piorun, obracając w perzynę na ukończeniu już prawie będący zaczarowany pałac Juljusza.

ONA

I cóż on na to?

---

[1]) «W szczęśliwych nawet chwilach życia mojego, gdzie powinienbym był o wszystkiem zapomnieć» etc., *Listy*, t. II, str. 74.

ON

On? On spostrzegł tylko, że wszystko łamie się, wali, zapada — jak piramida z kart — poczem, w jednem oka mgnieniu, przywaliły go gruzy, jak Samsona. To porównanie z Samsonem jest o tyle trafnem, że i Słowacki rozporządzał siłami Tytana, dopóki go ich nie pozbawiła Dalila... Dla artysty bowiem może się stać Dalilą nawet kobieta tak szlachetna, jak pani Bobrowa, której nie można przecież winić za to, że «jednego tylko człowieka kochała», Zygmunta, i że tem samem kochać *nie mogła* Słowackiego. A jednak to go złamało...

ONA

Zechciej mię pan wszakże objaśnić, jaką właściwie jest myśl, ukrywająca się pod tym obrazem piorunu, niweczącego zaczarowany gmach marzeń Juljusza?

ON

Piorunem tym, a raczej długim, ulewnym deszczem piorunowym, były nadchodzące raz po raz do Paryża wiadomości o Krasińskim, który — jak głosiła plotka — «szczęśliwy i spokojny, jak nigdy», przebywa w Monachjum z panią Delfiną Potocką. Plotka ta, ani odrobiny prawdy w sobie nie zawierająca, ponieważ Delfiną, z którą pospołu płakał Krasiński nad łożem umierającego Danielewicza (o czem zresztą wiedział Słowacki z otrzymywanych od Zygmunta listów) była narzeczona ostatniego, pani Delfina Heel-Handley, Angielka, nadworna królowej bawarskiej fortepianistka, nie zaś — jak przypuszczano mylnie — pani Delfina Potocka. Plotka ta zdarła, że tak powiem, bandaże z niezabliźnionych jeszcze ran w duszy pani Bobrowej, obudziła dawne wspomnienia, rozżaliła ją i rozdrażniła, z czego dla Słowackiego takie wynikły skutki, że omal nie oszalał... Zamiast usłuchać rad Krasińskiego, który mu wciąż pisał, ażeby «nie próbował zanadto niezgłę-

bionych serc», i albo «bronił się od tej kobiety», albo też rozwiódł nad nią «tęczę cichą a promienną», nad nią, której «życie gorzką było rzeczą...»

ONA

Przepraszam, że przerywam, ale nie powiedział pan dotąd ani słowa, jakim sposobem dowiedział się Krasiński o tym Juljusza romansie z dawną jego kochanką?

ON

Rzecz miała się tak. Po wyjściu *Nocy letniej* Zygmunta i po owej wywołanej nią spowiedzi pani Bobrowej przed Słowackim, spowiedzi, w której nie zataiła przed nim niczego, napisał Słowacki list do autora *Irydjona*, list utrzymany w tonie dość lekkim i płochym, a przedewszystkiem pełen sceptycznych konceptów na temat «niestałości uczuć w sercach ludzkich» [1]). Listu tego nie znamy. Znamy jednak odpowiedź nań Krasińskiego, datowaną z Rzymu d. 16 marca 1841 roku, a zaczynającą się od pytania: «Skąd ten akord? Gdzie się ta harfa odezwała?» i t. d. i t. d. Odtąd zaczyna się ożywiona pomiędzy poetami korespondencja, w której pani Bobrowa występuje raz po raz... Listy te — w braku listów Juljusza do Krasińskiego — rzucają na stosunek pierwszego do pani Bobrowej może najwięcej światła... Jeżeli pani pozwoli, to przeczytam jej kilka z nich wyjątków.

ONA

Tom trzeci Listów Krasińskiego, leży właśnie na kominku. Sięgnij pan ręką poza siebie, a dostaniesz go.

ON

Oto naprzykład zakończenie listu, datowanego z Monachjum d. 28 lutego 1842 roku. Za dwa miesiące

[1]) Zob. Małecki, *op cit.*, t. II, str. 262; St. Tarnowski, *op. cit.*, str. 535.

pani Bobrowej nie będzie już w Paryżu. Słowacki rozpacza... Krasiński «chce go wyrwać z melancholji, jeśli zdoła» i tak pisze: «A ostatnią wolą moją jest (bo i z nim «źle»), *byś nie tracił życia na nędzne zgryzoty*, ale na wielkie gotował się bole, a po nich na wielkie wzniesienie. Bądź mężem z białego marmuru! *zrzuć z piersi nogi Rubensowych Madonn*, żyj, a gdy mnie już nie będzie, wspomnij o mnie». Kogo należy rozumieć pod tą Rubensową Madonną, depcącą piersi Słowackiego, nie potrzebuję chyba bliżej tłumaczyć.

ONA

Może pan sobie subjekcji tej oszczędzić.

ON

Mówiliśmy dopiero co o wrażeniu, jakie na pani Bobrowej zrobiła wiadomość o pobycie Krasińskiego z panią Delfiną Potocką w Monachjum. Wiadomość ta, jak powiedziałem, stała się się przyczyną recydywy psychicznej w uczuciach pani Joanny: nie mając już powodu z żalem swym ukrywać się przed Słowackim, jęła go męczyć i dręczyć swoją dla Zygmunta miłością, swojem z tego powodu nieszczęściem i t. d. i t. d. Słowackiego tymczasem «wewnętrzna nękała gorączka» na samą myśl, że kochając sam, kochanym nie jest. Widział, że u pani Bobrowej w tej pamięci ciągłej, skierowanej ku Krasińskiemu, coś magnetycznego zachodzi i «konał» z rozpaczy na samą myśl o tem. Do spostrzeżenia tego, zakomunikowanego widocznie przyjacielowi w Monachjum, odnosi się następujący ustęp z listu Krasińskiego, pod datą 26 marca 1842 r.: «Nie ty pierwszy już twierdzisz, że coś magnetycznego zachodzi w tej pamięci ciągłej, skierowanej ku mnie. Pamiętasz, i Malczewski taką magnetyczną spójnią związany i jej poddawszy się, umarł z rozpaczy. Straszne to miłości, gdzie magnetyzm działa, bo ślepe, jak los, jak ironja gorzkie, i nieszczęśliwe, jak nieszczęście! Cóż więcej rzec mogę

o tem wszystkiem? Może raczej ona czego żąda odemnie, to mi powiedz! *Wtenczas i listów twoich do mnie, zaklinam cię, nie pal;* możeś pięć lub dziesięć prawd spalił, któreby» i t. d. i t. d. Ten szczegół o paleniu listów przez Słowackiego daje najlepszą miarę, jak w tym czasie poeta był rozdrażniony, oraz ile go każde takie napisanie listu do Krasińskiego kosztowało zdrowia i... miłości własnej. Albowiem musiało go to nietylko trapić, ale i upokarzać zarazem, że szczęśliwy Zygmunt do tego stopnia «rozwielmożnić się potrafił w sercu kobiety», choć ją oddawna sam kochać przestał, że w niem dla niego, dla Słowackiego, nie znalazło się już dosyć miejsca. Wszystko to, razem wzięte, zabójczy nań wywierało wpływ, do tego stopnia, że zwątpił o sobie, nietylko, jako mężczyźnie, zdolnym posiąść miłość kobiety ukochanej, ale i jako poecie: kto wie, może on naprawdę nie jest poetą, jak mu to wtedy na uczcie u Januszkiewicza powiedział Mickiewicz? I zaczął wmawiać w siebie, że jest jedynie «mozaikowym artystą». Nie omieszkał z tem nawet wywnętrzyć się przed Krasińskim [1]). A zresztą, co mu z poezji, co z talentu, kiedy ani poezja ta, ani talent niezdolne są pozyskać dla niego jednego niewieściego serca, choć korzył się przed niem, jak paź przed majestatem królowej...

ONA

Jednego serca! Tak mało mi trzeba,
A jednak widzę, że żądam za wiele!

ON

«Bądź dumny, a pokorny, pisze mu z tej okazji Krasiński. Lecz gdy się korzysz, to korz się przed Panem wiekuistym, lub przed wszechświata pięknością, *lecz nie przed tą dziwną Madonną, której za podstawę dałeś piersi swoje.* O Julu! ja wiem, że to ci wiele smutku rzuciło do serca i może wiele sił na czas jakiś

[1]) Zob. *Listy Krasińskiego*, t. III, str. 34.

odebrało. Szkoda ciebie, byś z takiego zadraśnięcia miał się rozranić i osłabnąć. Otrząśnij się: gdzie Rafael nie malował, tam nie myśl o Rafaelu, marz raczej o Rubensie, i duszy twej całej nie kładź pod stopy aniołów Rubensowych; daj im rękę, opiekuj się nimi, życz im dobrze, bądź ich bratem, ale nie konaj dla nich; bo twój grób po takowej śmierci nie porósłby w bluszcze nieśmiertelne: poczciwe niezabudki, ładne goździki, małgorzatki, tulipany na nim-by się urodziły, a o to idzie, by na grobie stał krzyż w laury oplecion, nie kwiateczki rosły; Ty wiesz, żem cię kochał zawżdy; ty wiesz, że cię kocham, i może nie wiesz, ale się dowiesz, że nigdy nie przestanę. Julu, powtarzam ci, nieśmiertelność jest w tobie, od ciebie zależy z piersi ją własnych wyrwać i uzupełnić. Nie kładź się więc na ziemię» i t. d. i t. d. I radzi mu, aby się nie wyrzekał wieczności «dla znikomych ułudek». W innym zaś liście żegna go w ten sposób: «Bądź zdrów! Krzep się i nie daj...» A przedewszystkiem, czytamy gdzie indziej [1]): «wierz mi, jeśli sam nie chcesz gorzko żałować kiedyś przeszłości, stań się jej przyjacielem, a nie chciej, by *serce*, które pękło i umarło, zmartwychwstając dla ciebie, stało się upiorem...»

«W przyjaźni będziesz szczęśliwy, kochany, odwdzięczony, ale *miłość*, miłość *taka*, stanie się goryczą dla was obojga».

«Szukaj tam przyjaciółki, gdzie żądasz kochanki, a będziesz miał duszę siostrzaną na wieki, a przestaniesz być samotnym».

«Lecz jeśli uniosą cię sny namiętne, jeśli nie posłuchasz głosu proroczego, który woła na ciebie, pamię-

[1]) Następujące wyjątki należą do listu nie zamieszczonego w tomie III-cim korespondencji Krasińskiego. List ten znaleziono niedawno pomiędzy rękopisami, darowanemi Bibljotece Ossolińskich przez p. T. Wasilewskiego. Po raz pierwszy ogłosił go drukiem p. Tadeusz Sternal w dodatku literackim do *Kraju* w n-rze 7, z roku 1890.

taj przynajmniej, żem wczas dobrą radę przyniósł, i dla kochającego, i dla ukochanej! *Pamiętaj, że ci przypowiadam, jeśli pójdziesz drogą szału, że serce twoje dokłutem będzie, w czem niedokłute dotąd, a siła ducha twego zmniejszy się o skrzydło jedno*».

Złowroga ta Krasińskiego przepowiednia, jak tyle innych jego przepowiedni, sprawdziła się, niestety! co do joty. Z nadejściem wiosny 1842-go roku, w drugiej połowie maja [1]) udała się pani Bobrowa, tak samo, jak w roku zeszłym, nad Men, do Frankfurtu. Słowacki został w Paryżu, ile, że nie widział już celu raz jeszcze uganiać się za tą *boule de savon qui se nomme: amour*.

Jakoż, kiedy wyjechała, a dodajmy w nawiasie, że wyjeżdżając, pozwoliła mu pisywać do siebie, ile razy będzie uczuwał tego potrzebę, zrozpaczony poeta, chociaż «dla obcych ludzi miał twarz jednakową» i nie zdradzał się z boleścią, która mu, jak sęp Prometeuszowi, «wyjadała serce», trawiony tęsknotą i smutkiem, chodził odtąd, jak «błąkający się cień» po «rozpalonym asphalcie» bulwarów, «z sercem podobnem do zamkniętej ostrygi albo muszli perłowej, bez żadnego już wewnątrz ślimaka...» A że «oddalenie upięknia każdy ton głosu, jeśli ton jest bez szyderstwa, a prawdziwie smętny i serdeczny», gdziekolwiek się więc obrócił, w mieszkaniu czy na ulicy, w teatrze czy w klubie, wszędzie mu było słychać «echo każdego jej kroku, każdy szept w jej domu, każdy szelest sukni...» I jedną już tylko miał dzisiaj do niej prośbę, ażeby kiedy niekiedy «rzuciła swemi błękitnemi oczami w stronę Paryża, a może mu od tego spojrzenia błyśnie i rozwidni się na chwilę powietrze», może spojrzenie to, gdyby zechciała «religijnie być trochę dobrą i litośną, jak święta», i gdyby zadała sobie ten trud, ażeby «podnieść

[1]) Pani Bobrowa wyjechała z Paryża w drugiej połowie maja. Dnia 14 maja była jeszcze w Paryżu. Pierwszy list do niej Słowackiego nosi datę 3 czerwca. Wyjazd więc musiał nastąpić pomiędzy 14 maja a 3 czerwca.

z ziemi czoło w prochu już leżącego człowieka», może spojrzenie to, choć zdala rzucone, jak żebrakowi jałmużna, potrafi rozpędzić owe «czarne stada» cierpień wertherowskich, przez jakie przechodził teraz...

ONA

Wertherowskich cierpień?

ON

Tak jest. Po wyjeździe bowiem pani Bobrowej znalazł się biedny poeta w takim zupełnie nastroju, a raczej rozdźwięku psychicznym, jak Werther w swoich ostatnich listach, na kilka dni przed odebraniem sobie życia. «We łzach, w obłąkaniu», zdesperowany, usychający z żalu, i rozgorączkowany wśród tej «kanikuły skwaru i pyłu» ulic paryskich, miał przed sobą dwie drogi do wyboru: albo zdobyć się na jedną chwilę odwagi i zakończyć sprawę jak Werther, czemby tylko przyśpieszył ostateczną katastrofę, bo tak czy tak «smutek i nuda zjadłyby go do szczętu», albo też, zrezygnowawszy ze wszystkiego, szukać uspokojenia w mistycznej doktrynie «szlachcica litewskiego», który uczniom swym — a liczył ich cały już zastęp z Mickiewiczem na czele — «z prostotą pastuszą» obiecywał «radość pasterską» i «wieczny odpoczynek sercu».

...Po dwutygodniowem wkońcu, bardzo gorzkiem wahaniu się, wahaniu, które było dla niego «okropną próbą», wstąpił Słowacki do zaklętego *koła* Towiańczyków, grzebiąc w otchłani tej cały nieoszacowany skarb równowagi umysłowej i — co, niestety! pójść za tem musiało koniecznie — swój poetycki genjusz.

SPIS RZECZY

	Str.
Od Autora	1
Chopin i Słowacki	5
Słowacki potomkiem astrologów	32
Miasto rodzinne Słowackiego	39
Ojciec Juljusza Słowackiego	58
Boże Narodzenie w życiu Słowackiego	65
Ze spuścizny literackiej po Chopinie	73
Z pamiętników Eustachego Marylskiego	88
Młodzieńczy «ideał» Chopina	95
Marja z Wodzińskich Orpiszewska	109
Słowacki w Warszawie	120
Nowe szczegóły o Marji Wodzińskiej	124
Chopiniana w zbiorach Aleksandra Polińskiego	161
Rafael i Fornarina w życiu Juljusza Słowackiego	201
Odkrycie czy apokryf?	216
Rozmowa o Chopinie z jego uczennicą	241
U siostrzeńca Chopina	249
Kilka nieznanych szczegółów o Chopinie	262
Chopin i Niemcewicz	271
Dwie uczty	277
Kochanka Krasińskiego «dręczycielką» Słowackiego	311

HRABINA IDALJA

Przedmiotem niniejszej rozprawki — stanowiącej poniekąd dopełnienie znanego studjum prof. St. Tarnowskiego *O Niepoprawnych Juljusza Słowackiego* (*Przegląd Polski* 1875) — będą dwie kwestje, które ośmielam się postawić, których jednak nie podejmuję się bynajmniej rozstrzygnąć stanowczo i raz na zawsze, czuję bowiem aż nadto dobrze, iż byłoby to dla mnie zadanie nad siły. Chcę poprostu *dać tylko do myślenia* przedstawicielom naszej krytyki, tym zwłaszcza, którzy, jak ja, są Słowackiego wielbicielami, a może któremu z nich uda się na poparcie mej hypotezy dostarczyć bardziej przekonywających argumentów albo też... obalić ją silniejszemi, bardziej przekonywającemi, a wprost czego innego dowodzącemi argumentami.

Rzeczone kwestje brzmią, jak następuje:

Czy nie dałoby się dowieść, że dramat Słowackiego, znany nam obecnie z wydania Małeckiego p. t. *Niepoprawni*, nosił pierwotnie przez samego autora nadany mu tytuł: *Nowa Dejanira*? (który to tytuł w epoce *Nowej Heloizy* tembardziej był modnym) — oraz:

Czy przypadkiem do postaci Hrabiny Idalji nie pozowała Słowackiemu pani Bobrowa? Nie wydaje mi się bowiem prawdopodobnem, ażeby Słowacki (jak — idąc za prof. St. Tarnowskim — utrzymywali dotychczas wszyscy) rozumiał przez nią panią Delfinę Potocką.

I

Otóż, co do nazwy *Niepoprawnych*, to już prof. St. Tarnowski w swojem studjum o tym dramacie Juljusza (jednej z najświetniejszych rzeczy, jakie u nas o Słowackim napisano) uważa ją za niewłaściwą, za źle dobraną, ponieważ jak powiada, nie odnosi się do żadnej z osób, ani do żadnego z wypadków tej przedziwnej tragikomedji. Dlaczego Niepoprawni? Kto niepoprawny? Z czego się miał poprawiać? zapytuje — bardzo słusznie — wspomniany autor. «Widząc ten tytuł, przypuszcza się naturalnie, że główną treścią dramatu będzie jakaś zatwardziałość, czy w zbrodni, czy w złej skłonności, czy w nałogu, czy tylko w śmieszności; jakiś człowiek lub jacyś ludzie, którzy pomimo doświadczenia, pomimo gorzkich nauk życia, nic nie zapomnieli i niczego się nie nauczyli, i że ta niepoprawność zaplącze ich w nieszczęście lub w kłopot, w dramatyczne kolizje lub w komiczne perypetje. Przyzwyczajony zaś przez wszystkich dramaturgów świata tego, że tytuł ma związek z głównemi figurami i sytuacjami dzieła, przymierza i przykłada czytelnik przedewszystkiem ten epitet *niepoprawnych* do dwóch głównych osób dramatu: do Fantazego i do Idalji. Złem w nich jest skłonność i nałóg szukania wrażeń, poetyzowania własnego życia i siebie w swoich własnych oczach; jeżeli z czego mieliby się poprawić, to oczywiście z tego. Tymczasem ten zły zwyczaj nietylko na wypadki akcji samej, a zwłaszcza na jej rozwiązanie nie wpływa, ale co więcej w rozwiązaniu samem i Fantazy i Idalja zachowują się dość poprostu, jak ludzie dobrzy i szlachetni: wzgląd na drugich, honor, uczciwość, widoczne są w ich zachowaniu, więcej daleko, aniżeli poetyzowanie siebie; poprawieni oni nie są i nieraz jeszcze w życiu do dawnego przyzwyczajenia powrócą; ale w tym razie przynajmniej ten ich zły zwyczaj nie zaszkodził nikomu, nie stał się powodem niczego złego. Za cóż więc prześladować ich jako niepoprawnych? Przymiotnik ten do nich nie przystaje, nie oddaje dobrze ich roli w dramacie. Jeżeli zaś nie oni, to niepoprawnym być może tylko hrabia Respekt i jego żona, bo ani jego córki, ani Jan, ani Major, poprawiać się nie mają z czego. Te zaś dwie figury, trochę próżne, trochę płaskie, trochę śmieszne, nie są ani tak bardzo złe, ani tak w swojem złem zatwardziałe, żeby zasługiwały na tak poważny, trochę złowrogi przymiotnik. Zresztą, jeżeli ktokolwiek miałby być nazwany niepoprawnym, to trzebaby, żeby przedtem ktoś poprawić go usiłował, żeby on poprawić się nie dał i dopiero, żeby ten jego upór sprowadził zawikłania i katastrofę sztuki. Tak jak jest, tytuł jest źle dobrany, do osób ani do wypadków dramatu niestosowny».

I jakiż temu argument przeciwstawia Małecki? Odpowiedź na to pytanie znajdujemy w tomie drugim na str. 285 jego książki o Juljuszu Słowackim [1]), gdzie czytamy między innemi, że «obiegające po różnych rękach odpisy niniejszego dramatu, w kilka lat dopiero po śmierci autora z tego bruljonu zrobione, nosiły napis *Nowa Dejanira*. Kto tę nazwę pierwszy sztuce tej nadał, powiedzieć tego nie umiem; ale jest niezawodnem (?), że nie dał go sam poeta, w bruljonie bowiem własnoręcznym niema żadnego tytułu. Uchyliłem przeto napis ten niewiedzieć skąd narzucony (?), w przekonaniu, że takowy nietylko nie wyraża (?) rzeczy o którą chodzi, ale nawet utrudnia trafne spojrzenie na dążność tego dramatu, przeważnie satyryczną». Otóż, pomijając już, że owo «w bruljonie» jest argumentem dość przekonywującym, ponieważ owe kopje — podobnie jak kopje wiersza *Do autora Trzech Psalmów* — nie były najprawdopodobniej czynione z tego bruljonu [2]), ale

[1]) Wydanie drugie, Lwów 1881.

[2]) Zob. polemikę prof. St. Tarnowskiego z Małeckim w artykule «Profesora Małeckiego Juljusz Słowacki». *Przegląd polski*, 1867, grudzień, na str. 415, o układ strof w wierszu *Do autora Trzech Psalmów* (w przypisku).

z innego jakiegoś egzemplarza (mógł zresztą bruljon rzeczony w ciągu onych «kilku lat», kiedy go różni ludzie kopjowali, utracić pierwszą stronę albo okładkę, na której znajdował się wypisany tytuł; (tytuł *Nowa Dejanira* nie wydaje mi się w tym stopniu, co Małeckiemu «nie wiedzieć skąd narzuconym», ani tak *nie* wyrażającym rzeczy, «o którą chodzi», a zwłaszcza, nie tak utrudniającym «trafne spojrzenie na dążność tego dramatu». Przeciwnie, sądziłbym, że jest on nietylko o wiele odpowiedniejszy, aniżeli *Niepoprawni*, ale że nadał go dramatowi... sam Słowacki. Kto wie nawet, czyby się tego dowieść nie dało na podstawie dramatu samego, jak i na podstawie innych pism Juljusza [1]).

[1]) Nie od rzeczy też, sądzę, będzie napomknąć, że Józef Reitzenheim, przyjaciel Słowackiego w latach 1840—1849, a więc w czasach, na które przypada napisanie dramatu o hrabi Fantazym i hrabinie Idalji, znał utwór ten (jeszcze zanim przez p. Małeckiego w r. 1866 ogłoszonym został) pod tytułem: *Nowa Dejanira*. Oto, co o nim pisze na str. 18 swojej broszury. (Juljusz Słowacki. Napisał Reitzenheim Józef, Paryż, 1862, w księgarni Dentu, 13, Galerie d'Orléans): «Zostaje nam jeszcze z owego czasu tak płodnego w życiu literackiem Słowackiego: *Podróż do Ziemi Świętej, Księgi rodzaju Narodu polskiego* (Genesis z Ducha), *Nowa Dejanira* i niektóre sceny z Konfederacji Tyszowieckiej. *Dejanira* jest komedją satyryczną, jedyną, jaka nam po nim zostaje, i w której wystawia wiele osób, przebywających wówczas (w r. 1841) w Paryżu». Bardzo być może, że Słowacki czytał Reitzenheimowi swoją *Nową Dejanirę*, Reitzenheim bowiem należał do tej nielicznej garstki zaufanych, którym poeta czytał swoje niewydane utwory. On jeden — o ile wiemy — znał w całości tragedję Słowackiego o *Janie Kazimierzu*, o którym w swojem wspomnieniu, poecie poświęconem, pisze co następuje: «Pod koniec roku 1841 ukończył (Słowacki) dramat historyczny pod nazwą *Jan Kazimierz* i nigdy jeszcze nie doszedł był do tej jasności pomysłu, jak w tem dziele, którego celem było wykazanie powodów historycznych zamieszek w Polsce pod panowaniem tego króla, oraz wojen następnych, i jaki skutek to wszystko wywarło na charakter narodowy. Jan Kazimierz, wielki Czarniecki, Radziejowski i jego żona, skreśleni są (byli) piórem Szekspira; na nieszczęście nie pozostaje dzisiaj, jak tylko kilka ułamków tego dramatu; zdaje się, że resztę rękopisu zniszczono przez nieuwagę z innemi papierami, które, podług ostatniej woli poety, spalone być musiały».

Z wzmiankami o *Dejanirze* spotykamy się tam niejednokrotnie. I tak w *Grobie Agamemnona* powiada Słowacki między innemi: «Zrzuć do ostatka te płachty ohydne, *tę Dejaniry palącą koszulę...*» W *Śnie srebrnym Salomei* powiada księżniczka, że «krwawość tego pierścienia

Świadczy o tem, że to pierścień rozwodny,
Bo ta kropla z *Dejaniry*
Koszuli na mnie skapana i t. d.

Następnie w pieśni IV *Beniowskiego* taką znajdujemy scenę:

W kurzawie rycerz znika z moją panią:
Jeszcze raz galop konia runął grzmotem,
Jeszcze raz jeździec na wierzchołku góry,
Jak z ametystu, z płomienia i z chmury
Błysnął i zniknął. Teraz kto wypowie
Uczucia wnętrzne w moim bohaterze?
Zamiast kul srogich pana Sawy w głowie,
Ujrzał, a tu mu wcale nie ubliżę,
Bo wiem, że wiedział co są Centaurowie,
Przypomnieć musiał więc o Dejanirze...
I miał na twarzy taki wyraz boski,
Jak ten, co wiersze pisząc, liczy zgłoski.
Oczy utopił w kurzu obłok złoty,
Gdzie znikał rycerz, koń, panna, jej włosy,
I za włosami, jak dwa papiloty,
Białe gołąbki na dwóch końcach kosy.
I stał i patrzał, i t. d. i t. d.

Obraz ten przypomina dwie sceny: porwanie pani Rzecznickiej przez baszkira i porwanie Dejaniry przez Nessusa; a przypomina je i pod tym jeszcze względem, że jak tu Beniowski pogląda na Sawę, uwożącego na

koniu Swentynę, podobnie tam, w dramacie Słowackiego i w podaniu o Dejanirze, Herkules i Rzecznicki, dwaj małżonkowie, poglądają: pierwszy za Dejanirą, unoszoną przez centaura Nessusa, drugi (w imaginacji swej pod wpływem opowiadania Idalji) za panią Rzecznicką, porwaną przez baszkira.

Co do podania o małżonce Herkulesa, Dejanirze, i porwaniu a przynajmniej niestosownem zachowaniu się względem niej centaura Nessusa przy przenoszeniu jej przez rzekę, to wątpliwości zdaje się nie ulegać najmniejszej, że Słowacki, kiedy pisał swój dramat, o podaniu tem myślał niejednokrotnie: tak dalece, że miał je wyraźnie na myśli, kiedy mu się w wyobraźni ułożyła sytuacja porwania przez baszkira-Nessusa najprzód Idalji (co dzięki przypadkowi nie miało dojść do skutku) a później (co znowu dzięki temu samemu przypadkowi doszło do skutku) pani Rzecznickiej. Oto dowód. W scenie VI aktu III, scenie, w której się Rzecznicki dowiaduje ostatecznie od Idalji o porwaniu pani Rzecznickiej przez baszkira, jesteśmy świadkami następującej rozmowy:

IDALJA *(wzgardliwie)*

Czy tu panu szkodzę
W jakich intrygach?

RZECZNICKI

Bynajmniej. Nie widzę,
Abyś mi pani teraz w czem szkodziła.
Sam jestem tylko w ogromnej intrydze;
Przed chwilą pani Hrabina tu była
Porwaną...

IDALJA

Jakto? Ja? przez kogo, proszę?

RZECZNICKI

Przez... przez... przez...
(Do siebie). W zmowie jest baba z kałmukiem...
(Głośno). Pani, jak widzę, masz wielkie rozkosze,
Jak dawniej, rządzić amorowym łukiem,

Wszystko zamieniać, jak pendzel Albana,
W obrazek pełny róż i kupidynów...

IDALJA

Co za sfinks jest nowy? Proszę pana
Mówić tu prozą!

RZECZNICKI

Śród róż i jaśminów
Stojąc, jak słońce, co oku doskwiera;
Z oczu olśnionych kochankowi zniknąć,
Zniknąć z centaurem, tak jak Dejanira...

IDALJA

Jak Dejanira?... Pan musiał nawyknąć
Lub do poezji, albo też do wódki
I spirytusu... Żałuję go mocno!

RZECZNICKI

Widać, że Pani czas wystarczył krótki
Na tę przejażdżkę zdrowiu tak pomocną
I fantastyczną...

IDALJA

Czy Pan do mnie gada?

RZECZNICKI

Pytam się pani, czy koń dobrze niesie?

IDALJA

Jaki koń?

RZECZNICKI

Centaur.

IDALJA

Jestem bardzo rada,
Że pan tak mocny mitolog... w zakresie
Swojego głupstwa.

RZECZNICKI

Jam także szczęśliwy,
Że pani wracasz bez żadnego szwanku.

IDALJA

Dziękuję, że pan dla mnie taki tkliwy.

RZECZNICKI

A gdzie jest Nessus?

IDALJA

Czy pan?... Mój kochanku,
Zawsześ lokajski spełniał obowiązek:
Gdy Fanio w Rzymie był, toś od służącej
Mojej dostawał dla niego podwiązek,
Róż, co na balu, na piersi gorącej
Uwiędły; stałeś jako szpieg przy bramie,
Czekając, abyś doniósł, gdzie wyjadę.

Tu następuje długa tyrada, którą jako na tem miejscu zbyteczną, opuszczam.

Cóż? Czemu teraz pan już nie drwisz ze mnie?
Jakąż to mnie pan po stepach podróżą
Prześladowałeś? Mów! Uwieńczę laurem
Komiczny talent pana. Cóż? ciekawa,
Z jakim mnie tu pan wyprawiasz centaurem?!
Milczysz?

RZECZNICKI

Więc to jest ta koszula krwawa,
Którą dał Nessus?

IDALJA

Cóż, ciągle te żarty?

RZECZNICKI

Wybacz mi pani! Cha, cha, cha! Nie mogę...
Pozwól mi pani, że będę otwarty
I spytam: Dobrą pani miałaś drogę?
Czy trakt był bity i gładki i suchy?
Czy zdala widać było Kapitole?
Ach! jak to się te nazywają muchy
Świecące, proszę pani... Czy lucziole
Za konia grzywą leciały, jak grzywa
Z gwiazd? Wszak podobno tak bywa w Italji...
Słowem, czy centaur ten, który porywa
Z konia, chwytając dziewicę w pół talji,
Czy nie obraził...

IDALJA

Więc panu się zdaje,
Że ja porwaną byłam? i t. d. i t. d.

Pod koniec tejże sceny, Idalja na zapytanie Rzecznickiego, czy widziała jego żonę, zapytuje: «Nim przez *Nessusa* była porwaną?» Poczem, już po odjeździe Rzecznickiego, mówi o nim:

Gdyby na drodze stały, podruzgota
Apollinowe posągi, powróci
Z małżonką w ręku, *jako Hesperyda*
Z jabłkiem.

Ta Hesperyda znowu świadczy o tem, że Słowacki, pisząc swoją *Nową Dejanirę*, przywodził sobie często na pamięć podanie o Herkulesie i przygodzie z Nessusem. O tym ostatnim jeszcze jedna wzmianka w scenie drugiej aktu IV, gdzie Hrabina Idalja, myśląc o baszkirze, wyraźnie go nazywa Nessusem.

IDALJA

Chciałabym obronić
Pana, więc muszę... *Nessus?*

RZECZNICKI

Wziął pieniądze.

W tejże scenie znajdujemy dowód, bardzo — jak sądzę — przekonywujący, że Słowacki dramat swój zatytułował: *Nowa Dejanira*. W scenie tej bowiem sama Idalja nazywa siebie... nową Dejanirą:

Pozbądź więc, proszę, Pan tej smętnej twarzy,
Ja mu przyrzekam przynajmniej osłabić
Pierwsze wrażenie... Oczu mych szafiry
I postać moją ułożywszy zgodnie
Ze smutną rolą *nowej Dejaniry*...

Drugi raz z przydomkiem tym «nowej Dejaniry» spotykamy się w tragicznej scenie pierwszej aktu V (kulminacyjnej scenie dramatu), gdzie Fantazy, widząc w porwaniu pani Rzecznickiej powód swej śmierci, stara się uśmiechem i drwinami zagłuszyć w sobie tragizm tych chwil, w mniemaniu jego ostatnich:

Cha! Utonę
We łzach serdecznych! Cha! Kałmuk-archanioł
Porywający z ręku Jezuitom
Panią Rzecznicką i w galop! i w galop!
Cha, cha, cha! Śmiech mój gwiazdom i błękitom!
Wiwat typ wszystkich dewotek i salop!
Pani Rzecznicka, która była duchem,
W pielgrzymce!! Djabli! Djabli! Cha, cha, cha, cha!

IDALJA

Ten śmiech...

FANTAZY

Uderzył po głowie, jak obuchem
W posąg piękności, i w szarego stracha
Zamienił tę śmierć, która przy nas stała
Niby cudowna postać z alabastrów,
W gwiazdach, w motylach i w miesiącach cała.
Z kobiercem maków, dziewanny i astrów
Pod cichą stopą...
O, koncercie śmiechu i słowików
Graj!... Otoczona dziwolągów rzeszą,
Straszliwa, w czepku — *nowa Dejanira*[1])
Poprzedza orszak nasz, dwie nasze trumny,
I krzyczy: za mnie ginie syn Zefira
Z córką Aurory!!

Wszystko to razem wzięte, czyż nie daje do myślenia?...

II.

Tyle w kwestji tytułu. Trudniejszą nierównie do rozstrzygnięcia jest kwestja hrabiny Idalji. Jak to już zaznaczyłem na wstępie, utrzymywano dotychczas[2]) — a panowała pod tym względem dziwna pomiędzy naszymi historykami literatury solidarność — że postać ta jest «portretem humorystycznym» pani Delfiny Potockiej, tak samo, jak postać hrabiego Fantazego, jest karykaturą Zygmunta Krasińskiego.

[1]) Pani Rzecznicka.

[2]) Dr. Antoni J., *Beatrice* i *Z życia Zygmunta Krasińskiego;* Piotr Chmielowski, *Kobiety Mick., Słow. i Krasiń.;* Jan Gnatowski, *Moja Beatricze* i St. Tarnowski, *O «Niepoprawnych» Juljusza Słowackiego.*

Otóż, co do mnie, to poważyłbym się być innego zdania, mianowicie, że pod postacią hrabiny Idalji ukrywa się nie pani Delfina Potocka, ale pani Bobrowa.

Bo zważmy tylko okoliczności, wśród jakich dramat ten powstał. Było to w r. 1841, w październiku lub listopadzie, w tym samym czasie, kiedy się pisały dalsze pieśni *Beniowskiego*, tonem tak zbliżone do *Nowej Dejaniry*, i kiedy serce Juljusza szarpane było nieszczęśliwą, bo nieodwzajemnianą miłością dla pani Bobrowej...

W duszy Słowackiego, w jego myślach, słowem w całej *iściźnie* — jakby powiedział autor *Irydjona* — jego psychicznego *ja* najważniejszą wtedy rolę, rolę, która go absorbowała zupełnie, która mu nie dawała spokoju ani na chwilę, tak, że sypiać nie mógł po nocach, i która dlań wszystko usunęła na drugi plan, grało dwoje ludzi: pani Bobrowa, którą kochał, jak nie kochał dotąd żadnej kobiety w życiu, i Krasiński, który się w jej sercu tak rozwielmożnił, (chociaż mu na tem dzisiaj nie zależało wcale), że już w tem sercu dla niego, t. j. dla Słowackiego, nie było miejsca.

W takiem usposobieniu — co najmniejszej nie ulega wątpliwości — pisał Słowacki swoją *Nową Dejanirę*.

O pani Delfinie Potockiej jeżeli myślał wtedy, to mimochodem jedynie. Wiedział, że Krasiński w tej chwili zaprzągł się do jej rydwanu (przez licznych zresztą ciągnionego wielbicieli), że z nim romansowała (a wiedział o tem więcej od pani Bobrowej, aniżeli od Zygmunta, który mu w listach swych o pani Delfinie uważał za stosowne nie pisać), że słowem, zajęła w sercu jego miejsce pierwszej kochanki... Poza tem nie wiele go obchodziła osoba pani Delfiny. Za mało ją znał, ażeby się nią specjalnie interesować.

Na podstawie listów jego do matki można bardzo

łatwo i z najzupełniejszą dokładnością oznaczyć etapy, że tak powiem, tej ich znajomości. Znajomość ta datowała od r. 1831, z czasów, kiedy Słowacki bawił w Dreźnie. Rodzina Komarów (ojciec, matka i dwie córki), a z nimi i pani Delfina Potocka, bawili tam również. Słowacki bywał u nich. «Mam jeszcze być u Komarów», pisze do matki z Drezna, dnia 12 kwietnia 1831 roku. A w parę miesięcy później, dnia 6 lipca, kiedy donosi pani Becu, że wielu jego znajomych opuszcza Drezno, wylicza w ich liczbie i Komarów. «Komarowie wyjechali do Karlsbadu». O pani Delfinie Potockiej ani słowa.

Na podobny wniosek naprowadza również późniejszy list z Paryża, gdzie się Słowacki znowu spotkał z rodziną Komarów, a więc i z panią Delfiną Potocką. «We czwartek — pisze 7 marca 1832 — poszedłem na wieczór do Platerów. Ci, jak wiecie, są aż do zbytku uprzejmi. Widziałem tam *pannę Komar*, o której wam już pisałem, bo bywałem u Komarów w Dreźnie. Ładna, marmurowa osóbka». O pani Delfinie znowu ani słowa. Jakby jej nie było. A była wtedy w Paryżu na pewno. Kto wie nawet, czy już podówczas nie zaczął się «romans klecić» pomiędzy nią a p. Flahaut lub księciem d'Orléans, o których wspomina Krasiński w liście do Sołtana, mówiąc, że ją «przepsuli». Na Słowackiego w każdym razie, zajętego więcej nierównie, aniżeli Komarami, Korą Pinard i korektami dwóch pierwszych drukujących się właśnie tomików poezyj, nie musiało to robić nadzwyczajnego wrażenia (mógł zresztą nie widywać wcale pani Delfiny), skoro nie wymienia nawet jej nazwiska. Rzecz dziwna, że z nazwiskiem pani Delfiny, ani z imieniem jej nie spotykamy się w listach Słowackiego ni razu. Musieli na siebie oboje nie wiele zwracać uwagi.

Następnie, a po raz ostatni już przed rokiem 1841, w którym powstała *Nowa Dejanira*, spotkali się w roku 1838 we Florencji. «Całą tę zimę — czytamy

w liście stamtąd z dnia 22 lutego — bardzo się mało bawiłem. Przejeżdżała tu pani Komar z córkami, dawna moja znajomość drezdeńska. Bywałem u nich dość często. Panny dwie zadziwiły całą Florencję swoją pięknością. Starsza podobna do Wenus medycejskiej, zakochana szalenie w bardzo brzydkim z twarzy Adonisie, choruje z miłości i przypomniała mi wiele dawnych znanych polskich dziewcząt, bo tylko Polki tak romansowo kochają i tak się nie kryją z miłością». W tymże liście opisuje Słowacki wieczór u pani Komar. «Słyszałem niedawno u pani Komarowej jednego z pierwszych improwizatorów włoskich, któremu sam zadawałem tematy do improwizacji; z jednego nie mógł się wywinąć, drugi w grobach w S-ta Croce wybornie mu się udał. Smutno mi było patrzeć się na poezję zniżoną do tego stopnia, że się nią ten biedak poeta za obiad wypłacał, i cały się pocił, improwizując, wtenczas, kiedy pani domu i inne osoby poziewały, nie rozumiejąc po włosku...» O pani Delfinie Potockiej, choć wiemy skądinąd, że i ona bawiła wtedy razem z matką we Florencji, ani słowa. Znającemu ówczesne usposobienie Juljusza nie wyda się milczenie to dziwnem; przypominam tylko, że wyobraźnia jego i serce zajęte były w ciągu tej zimy trzema kobietami jednocześnie: panną Wodzińską, o której marzył, pisząc *W Szwajcarji* (poemat ten bowiem napisany został we Florencji, nie w Veytoux); księżną Survilliers, którą rozkochiwał w sobie; i panną Anielą Moszczyńską, która mu powoli, nieznacznie, wypierała z duszy wspomnienie Marji Wodzińskiej. Wobec takiego *embarras de richesse* nie dziw, że dla pani Delfiny Potockiej nie było już wolnego kącika w imaginacji przyszłego autora *Nowej Dejaniry*.

Odtąd — jak powiedziałem — nie widzieli się przed rokiem 1841 ani razu; pani Delfina po wyjeździe z Florencji udała się wraz z matką i siostrami na południe Włoch, do Neapolu, gdzie poznała Zygmunta

Krasińskiego; Słowacki podążył do Paryża, gdzie w r. 1840 zakochał się «wściekle» w pani Bobrowej. Z panią Delfiną Potocką miał się spotkać dopiero w r. 1843 w kwietniu [1]), to znaczy we dwa lata po napisaniu *Nowej Dejaniry*. Zamieszkała wtedy pani Delfina przy Rue des Mathurins Nr. 38, a jak wiemy od Dra Antoniego J. [2]) «mieszkanie pięknej Beatrice (już wówczas 36-letniej przeszło) stało zawsze otworem dla artystów i pisarzów polskich, i tych wszystkich, którzy wielbili talent autora *Irydjona*. Wdzięcznie więc byli przyjmowani: Gaszyński, najgorętszy wielbiciel hrabiny do zgonu; Słowacki, choć mu to nie przeszkadzało skarykaturować owej miłości wieszcza-kolegi w *Niepoprawnych;* Goszczyński, Cyprjan i Ludwik Norwidowie, August Cieszkowski, Chopin, Czajkowski...» Z tego, co tu Dr. Antoni J. mówi o Słowackim, możnaby wnosić, że *Nowa Dejanira (Niepoprawni)* powstała w tych właśnie czasach. Że tak nie jest, że dramat ten, już od dwóch lat napisany, spoczywał w tece autora, o tem wiadomo powszechnie... Nawiasem mówiąc, rzecz jest bardzo wątpliwą, czy Słowacki teraz w roku 1843 (i następnych lat) bywał u pani Delfiny. Dr. Antoni J. żadnego na poparcie twierdzenia swego nie przytacza dowodu. Tymczasem listy Słowackiego do matki zdają się dowodzić niezbicie, że poeta, od roku już będący na usługach doktryny Towiańskiego, gardził wielkoświatową, fashionem przesiąkłą atmosferą apartamentów pani Delfiny. «Dnie teraźniejsze — pisał Słowacki do matki w sierpniu 1842 r. — pędzę jak mogę, aby minęły, i cieszę się każdem jutrem. Rozumiesz więc, droga moja, że świat glansowanych rękawiczek i woskowanych podłóg zupełnie zniknął z oczy moich [3]); bo

[1]) Zob. Listy Z. Krasińskiego do Stanisława Małachowskiego, str. 29.

[2]) Opowiadania historyczne. Serja VII (Lwów 1891), str. 150 *(Beatrice)*.

[3]) Od czasu, jak wyjechała z Paryża pani Bobrowa.

cóż z niego można wydobyć? Jest to próżny teatr dla igrających myśli, dla słów ulotnych, a mnie trzeba być dziś wewnętrznie człowiekiem, o ile można doskonałym i dobrym. Wierz mi, droga, że ta przemiana ze źródła płynie głębokiego... Ofiary, które z ducha dałem, uradowały mię i podniosły. Tak będzie ze wszystkimi, którzy się dadzą zagarnąć i owionąć chmurą duchów naszych... Byronianka (a taką Byronianką właśnie była pani Delfina Potocka) niech sobie idzie szukać cienia mego na skale Leukady i pod kolumnami Ateńskiemi i z przeszłym Julem niech się żeni, bo teraźniejszy chce uśmiechu na ustach kobiety, dobroci, prostoty i spokojności serca». Tej prostoty, na której mu zależało tak bardzo, darmoby szukał na pokojach albo... w sercu Zygmuntowej Beatrice. Wszystko to razem wzięte, podaje w wątpliwość twierdzenie zasłużonego autora *Zameczków podolskich*, jakoby osoba Słowackiego-mistyka odbijała się w lśniących jak lustro, «woskowanych podłogach» salonów przy Rue des Mathurins Nr. 38. Bo że się Dr. Antoni J. myli co do czasu powstania *Nowej Dejaniry (Niepoprawnych)*, tego dowodzi przedewszystkiem sam dramat, napisany na pół roku przeszło przed wstąpieniem poety do koła Towiańczyków, i dlatego ani w jednem miejscu nie noszący śladów ich mesjanicznej doktryny.

Przyjrzawszy się, jaki był stosunek Słowackiego do pani Delfiny, przyjrzyjmy się teraz stosunkowi jej do Zygmunta Krasińskiego, stosunkowi, który na jesieni roku 1841 t. j. wtedy, kiedy Juljusz pisał *Nową Dejanirę*, dosięgał właśnie swojego kulminacyjnego punktu, unieśmiertelnionego *Przedświtem*. Można być pewnym, że nigdy, ani przedtem, ani potem, nie kochał Krasiński swojej Beatrice tak namiętnie, jak w tym czasie. Dwa miesiące temu, pływając w łodzi po zwierciadlanej toni jeziora Como, nad którem zamieszkali na czas jakiś w Varennie, mówił do niej rozmarzony i upojony ciszą ciepłej, pogodnej nocy jesiennej:

Nabijaną światłem drogą
Łódka moja zwolna płynie;
Jakże lubo, jakże błogo
Na szafirów tych głębinie!
Za jeziora przezroczami
Majaczeją, wzgórza, skały,
I ty ze mną i my sami,
I tak piękny świat ten cały!
Nabijaną światłem drogą
Coraz dalej łódź ma płynie;
O! anieli czuć nie mogą
Co ja czuję w tej godzinie!...
Coraz dalej twarz miesiąca
Nas prowadzi smugiem fal,
Płyńmy, płyńmy tak bez końca,
W ciszę, w jasność, w błękit, w dal!
Wód zwierciadła, gór widziadła,
Ziemia, niebo, jeden kraj!
Rzeczywistość się pomału
W świat przemienia ideału,
W sen ze srebra i kryształu!

Potem Beatrice pojechała do matki, do Nicei; Krasiński do Monachjum, gdzie zaczął pisać *Przedświt*.

Słowacki tymczasem «jak szaleniec jaki, dręczony przez pewną osóbkę», którą to osóbką była pani Bobrowa, rozgoryczony na nią i na Zygmunta, on mu bowiem — a raczej wspomnienia o nim zagradzały drogę do szczęścia — Słowacki postanowił dla ulżenia sobie... śmiać się, chociaż mu serce pękało! Jakoż śmiał się istotnie, rzeźbiąc dwa fałszywie poetyczne posągi: Fantazego i Idalji. Pierwszy miał być karykaturą Krasińskiego, druga...

Pani Delfiny Potockiej czy pani Bobrowej?

Zobaczmy naprzód,, kto jest hrabina Idalja, jak się przedstawia stosunek jej do Fantazego, a może odpowiedź... sama się złoży. W chwili, kiedy ją poznajemy w domu hrabiów Respektów, przedstawia się nam ona jako dawna, obecnie porzucona już kochanka hrabiego Fantazego, któremu się uprzykrzyła wkońcu, tak, iż porzucił ją ostatecznie, choć kochać go nie przestała.

Taką jest hrabina Idalja w dramacie Słowackiego, taką była i pani Bobrowa w chwili, kiedy Słowacki dramat ten pisał. O pani Delfinie, którą Krasiński w tym właśnie czasie apoteozował w *Przedświcie*, podnosząc ją do roli Beatrice, choć do roli tej, tak wzniosłej, nie dorosła, o pani Delfinie nie można tego powiedzieć w żaden sposób.

Historja Idalji była taka. Nieszczęśliwa w pożyciu z mężem, cierpiąca, znalazła się jednej zimy, dla poratowania zdrowia balsamicznym klimatem włoskim, w Rzymie. Tam poznała hrabiego Fantazego, poetę. A marzyła zawsze o znajomościach z poetami, z artystami. «Gdym przybył — są słowa Fantazego — chciała mnie poznać; ja służę

Chętnie kobietom, ale się nie godzę
Być Danaidy beczką, w którą leją
Wszystkie serc swoich rdzawych niedokwasy.
Przychodzę: była zajęta ideą
Że miłość wszędy i po wszystkie czasy
Była święconą, bo w treści jest wiarą
I jedynie się zasadza na wierze.
Na to krzyknąłem bardzo wielkie: «haro!»
I powiedziałem mojej pani szczerze,
Że miłość nie jest taką narkotyczną,
Niedowiedzioną istotą, że trzeba,
Aby tę gwiazdę zobaczyła śliczną
Przez alabastry płci jakiego Feba
Świecącą, w oczu skrze i na koralu
Ust gorączkowych... Gdym to rzekł, westchnienie
Z burnusowego wyrwało się szalu,
A ten szal — amiant — owinął płomienie
I przepalony, srebrniał w moich oczach.
Amiant prawdziwy! Tu rzekłem, że widzę
Na jej błękitno-kruczawych warkoczach
Gwiazdę nieszczęścia... Myślała, że szydzę
Z początku, ale widząc, że ja na tem
Stanąłem jako okręt na kotwicy,
Rzekła: Ach! pan mi będziesz duszą, bratem!
Pan jeden, w jednej czucia błyskawicy
Pojąłeś, co ja cierpię, co ja czuję,
Na jaką jestem samotność skazana...
Rzekłem, że sercem się nad nią lituję,

Że mi potrzebna jej dusza siostrzana,
Jak nieparzystej rękawiczce druga
Z tej samej pary i z tego numeru.

Od rozmów takich do miłości, do zakochania *il n'y a qu'un pas*. Zwłaszcza, że wszystko, jak gdyby się na zgubę Idalji sprzysięgło, nastrajało do miłości. Wszystko, a przedewszystkiem sam Rzym: jego okolica, jego pamiątki, jego słońce, jego niebo, jego atmosfera. «O, jak mi dobrze było — powiada Idalja — z pochyloną głową

Nad nim, oddychać różami Cezarów
I widzieć, jak się w tym człowieku rodzi
Nowy ideał wieków, pełny czarów,
Który mu całą przyszłość rozpogodzi i t. d. i t. d.

Czasy te, wyryły się w pamięci Idalji niezatartemi ślady. Myśl jej wracała ciągle

Do tych różanych uczuć owiniętych
Girlandą kwiatów i gwiazd... Ach! gdyby godzina
Tego żywota, gdy mię ciągle poił
Z serca jak z czary...

Ale to już przeszło. Fantazemu zaczęła wkońcu miłość Idalji ciężyć, a że egoizm zawsze przeważa w mężczyźnie, porzucił ją więc i (bez pożegnania zapewne) wyjechał na Podole, gdzie mu nagle (może z nudów) strzeliła do głowy fantazja... ożenienia się z córką hrabiego Respekta. A Idalja? Ona «pomimo doktora rad, mimo własne stroskane zakazy», choć czuła się chorą, nie zważając na nic, puściła się niebawem w pogoń za kochankiem... Wiedząc, gdzie go szukać, zajechała wprost do domu Respektów, których znała dawniej jeszcze. Spotkawszy cię ze Stelką w przedpokoju, dowiedziała się od niej, co zresztą było do przewidzenia, że Fantazy jest u nich właśnie z wizytą. Zobaczy go więc, ba, musi go zobaczyć! Wszak po to tylko przyjechała «z wielkiego gorąca» Włoch. Na zapytanie Stelli: «Pani jesteś cała drżąca?» odpowiada: «To nic. Serce mi bije. Jestem chora. Z podróży jestem.

Prędko jechałam, pomimo doktora rad...» Poczem każe się prowadzić Stelli do ogrodu, gdzie jest Fanio...

Stello! patrzaj ty, jak drżą podemną kolana,
Jak moje oczy... ach! piorunem strzelą
Na czoło tego zmiennika! Sztyletem
Przebiją serce jego...
...A wiesz ty,
Że ja słuchając, przysięgłam na ciernie
Chrystusa, że tej boleści pół biorę,
I będę tobie tutaj służyć wiernie
Sercem, co we mnie także bólem gore,
Także ranione. Nie pytaj o więcej.
Ale wiedz, że tu jedne mamy cele:
Ty ustępujesz, bo kochasz goręcej,
Boś jest mężczyzną, bo masz mocy wiele
I szlachetność ci męska nie pozwala
Za prawo serca przeciw prawom ziemi
Bunt podnieść. Lecz ja, ja! Mnie tu krwi fala
Na brzeg rzuciła, żaglami złotemi
Płynącą. Tu ja próchnieję, ja dawniej
Różanym gwiazdom i kwiatom kochanka,
Ja, rozgłoszona już miłością sławniej,
Niźli niejedna Neapolitanka,
Sztyletem romans kończąca: a przecie
Tak porzucona jak Kasia lub Rózia,
W której się cała palestra w powiecie
Kocha i wierszem dzwoni, że jej buzia
Jest pełna cukru!...

Akt V *Nowej Dejaniry* zaczyna się romantyczną sceną pomiędzy Fantazym a Idalją na cmentarzu. Jaką rolę grał cmentarz w historji romansu Krasińskiego i pani Bobrowej, o tem z mojej książki o miłości Zygmunta Krasińskiego dowiedzieć się łacno...

Przypominam i powtarzam — kładę bowiem na to nacisk szczególny — że pisane to było w roku 1841 i że pisząc to, nie mógł mieć Słowacki na myśli pani Delfiny Potockiej, która żadnego z powyższych przemówień Idalji nie mogła ani teraz ani kiedykolwiek stosować do siebie, nigdy bowiem porzuconą nie była. Nigdy, nawet po ożenieniu Zygmunta.

Inaczej ma się rzecz z panią Bobrową. Ta nie-

tylko mogła, ale musiała wszystko to, co mówiła Idalja, wziąć do siebie, albowiem była to jej własna historja. I ona, jak Idalja Fantazemu, sprzykrzyła się Krasińskiemu, tak, iż ją nakoniec, jak Fantazy Idalję, choć kochać go nie przestała, opuścił. I ona, jak Idalja, nie kochała nigdy nikogo przed nim, ani nikogo po nim, czego już żadną miarą nie można powiedzieć o pani Delfinie Potockiej, albowiem, gdybyśmy ją o to posądzili, zaprzeczyliby temu stanowczo: pan Flahaut i książę d'Orléans, a wreszcie Chopin i Delaroche... Co zaś do sceny pomiędzy Idalją a Janem, to wątpić nie można, iż pisał ją Słowacki pod wpływem swoich z panią Bobrową rozmów; tak samo, jak wszystko to, co w dramacie mówi Idalja, jest jakby echem zwierzeń pani Bobrowej przed Juljuszem. I ona bowiem, jak Idalja z Janem o Fantazym, gawędziła — nieraz godzinami całemi — ze Słowackim o Zygmuncie. Kto wie nawet, czy cała *Nowa Dejanira* nie jest poprostu owocem tych rozmów ich o szarej godzinie? Do przypuszczenia tego upoważnia aż nadto sam dramat, w którym wszystko każe domyślać się wpływu znajomości poety z panią Bobrową, kiedy nic, literalnie nic, nie przywodzi na myśl pani Delfiny Potockiej.

Zacznijmy od oczów. Pani Bobrowa miała oczy niebieskie. Hrabina Idalja powiada do Rzecznickiego: «Oczu mych szafiry i postać moją» i t. d. Pani Delfina miała oczy czarne. Pani Bobrowa była chorowita i często musiała wyjeżdżać do wód zagranicznych, do Wiesbadenu, do Ischl, do Salzbrunn. Hrabina Idalja jest takimże «wód stalaktylem». Fantazy powiada o niej, że jest «taka biała, jak prześcierdło. Jej talia jest do połowy z mgły, druga połowa bez kości, sprężyn, samą siłą skrętu idącą naprzód...» Pani Delfina była zdrowa i leczyć się nie potrzebowała. O tem zaś, że jeszcze w 50-tym roku życia nie była «zgasłym Wezuwjuszem», zaświadczyćby mógł najlepiej Delaroche. Pani Bobrowa poznała Krasińskiego (o ile wiemy) w Rzymie.

Hrabina Idalja poznaje Fantazego również w Rzymie. Pani Delfina poznała Krasińskiego w Neapolu. W życiu pani Bobrowej i w dziejach jej miłości dla Krasińskiego gra główną rolę (oprócz Wenecji) Rzym. Nie inaczej też dzieje się w życiu hrabiny Idalji, która — nawiasem mówiąc — niejedno też musi mieć wspomnienie z Wenecji, skoro na niej w scenie IX aktu IV widok «weneckiego sztyletu» własności Fantazego (kupował go pewno z nią razem) tak silne czyni wrażenie. Tymczasem w historji miłości Krasińskiego dla pani Delfiny nie gra Rzym prawie żadnej roli. Neapol, Fryburg, Nizza, Monachjum, jezioro Como: oto teren, na którym kwiat ich miłości zakwitał. Kiedy pani Bobrowa była w Rzymie w roku 1833 i 1835, bawili tam oprócz Krasińskiego: Szambelan Skibicki z żoną, zagrożoną suchotami, księżna stolnikowa Czartoryska, osiadła na dewocji w klasztorze Urszulanek, wielce nabożna staruszka; księżna Lubomirska, wtedy już ruina kobiety niegdyś pięknej, wiecznie cierpiąca, a niemniej od księżnej stolnikowej zagorzała w wierze. Te same osoby spotykamy w *Nowej Dejanirze*. Owe kobiety «blade i bardzo chore», owe «ruiny kobiet, resztki Karlsbadu, wód stalaktyty, zgasłe Wezuwjusze» to pani szambelanowa Skibicka, Drzewiecka z domu, i księżna Lubomirska, że innych nie wspomnę. «Owa hrabina pobożna», o której powiada dowcipnie Słowacki, że włosy spadają jej aż na ramię, «a w każdym włosa pierścieniu ukryty albo kanonik albo Monsignore», to nikt inny, tylko księżna stolnikowa Czartoryska. Ów zaś katolik Polak i szambelan» wielki filharmonik, co to «ciurka wciąż włoską ruladą», to szambelan Skibicki [1]). Pani Bobrowa ma dwie córki: Lolkę i Zosienkę. W sytuacji, w jakiej znalazła się Idalja, grają dwie córki hrabiego Respekta (z charakteru przypominającego wielce pana Teodora Bobra) Djana i Stella, bardzo

[1]) Zob. Listy do matki, t. II, str. 23, 24.

ważną rolę. Nie wątpię, że Słowacki tworząc postacie Djany i Stelli, miał na myśli «dwie panienki» (jak je nazywa w listach do matki) pani Bobrowej [1]). Pani Bobrowa opowiadała Słowackiemu o swoim pobycie w Rzymie, o swoich rozmowach tam z Krasińskim, obmyślającym wtedy *Irydjona*. Hrabina Idalja — jak pani Bobrowa Słowackiemu — opowiada Janowi o swojej nieszczęśliwej miłości dla Fantazego, który ją porzucił obecnie [2]). Pani Delfina Potocka nie mogła Słowackiemu opowiadać o Krasińskim, bo kiedy widywała Słowackiego, nie znała była jeszcze Krasińskiego, a powtóre, gdyby z nim nawet w roku 1843 (jeżeli bywał u niej, co jest bardzo problematycznem) rozmawiała

---

[1]) Nie od rzeczy też będzie porównać niektóre ustępy z dramatu Słowackiego z dedykacją Krasińskiego, poprzedzającą *Noc letnią*. Krasiński pisze:

Weź pieśń, po pieśni poznasz we mnie *brata*,
Ta pieśń z innego, tak jak i ty świata.
Za to, żeś *siostro* w fałsz nie uwierzyła,
W bożyszcze złota i w marę próżności i t. d.

U Słowackiego w akcie piątym *Nowej Dejaniry* mówi Fantazy do Idalji:

Chodź, chodź, chodź do tej, o *siostro*, kaplicy,
Chodź ze mną! Stamtąd nie wyjdziesz bez *brata*,
Ani bez *siostry* ja i t. d.

Pisane to było w roku 1841, w październiku lub listopadzie. *Noc letnia* wyszła na początku roku 1841 (w lutym). Nie zapominajmy, że *Przedświt*, gdzie Krasiński panią Delfinę nazywa swoją «siostrą», wyszedł dopiero w roku 1843 i że w *Nocy letniej*, w dedykacji, Krasiński po raz pierwszy użył tej nazwy względem swojej kochanki. Słowackiemu, który wiedział, że miłość ta siostrzaną nie była i że Krasiński rolą brata nie zwykł się był zadawalniać, mogło się to wydać komicznem i dlatego zapewne nie omieszkał tej maskarady ośmieszyć w *Nowej Dejanirze*.

[2]) Akt II, scena 3. Nie zapominajmy też, że owa daleka kraina śnieżna, z której przyjeżdża Jan, ażeby oddać Djanie obrączkę złotą, zgubioną... dawno w śniegu, że kraina ta służy za tło poematowi o Anhellim, z którym się tak często identyfikował sam jego autor.

o Zygmuncie, nie mogłaby się, jak Idalja i pani Bobrowa, uskarżać na niego, że «kochała go, a opuścił ją», że wyrwawszy ją «z samotności serca», zostawił później w gorszej stokroć «ducha samotności». Pani Bobrowa miała wpływ na Słowackiego przez cały ciąg roku 1841. W *Nowej Dejanirze* — «rzecz dzieje się na Podolu około r. 1841». Gdyby dramat ten istnienie swe zawdzięczał pani Delfinie, rzecz działaby się w nim niewątpliwie około roku 184... (kiedy się Krasiński żenił z panną Branicką) nie mówiąc już o tem, że utwór cały nosiłby na sobie wybitne piętno doktryny messjanistycznej, którą poeta był wtedy przeszło od roku opętany. Mąż pani Bobrowej, o którym musiała Słowackiemu opowiadać niejedno — bo nie miała przed nim tajemnic — był marszałkiem powiatowym. Hrabia Respekt figuruje w spisie osób, jako «były marszałek powiatowy».

Nawiasem mówiąc, ma hrabia Respekt, jak i Rzecznicki, mnóstwo cech wspólnych z panem Teodorem, mężem pani Bobrowej. Praktyczny, trzeźwy, w interesach niezawodnie obrotny, sprytny... niegdyś patron przy jakimś trybunale zapewne, dziś właściciel dóbr ziemskich, bogaty, używający konsyderacji w okolicy, marszałek powiatu, dorobkowicz — oto, jak Rzecznickiego charakteryzuje prof. Tarnowski. Natura Fantazego (jak i natura pani Bobrowej) wzdryga się na ten spryt oszczędny i wyrachowany, z którego pomocą Rzecznicki doszedł do majątku i stanowiska... Wyobraźnia Fantazego, jego poetyczne aspiracje i gorące, wysokie popędy jego serca, odwracając się ze wstrętem od tego stworzenia, które zna i rozumie tylko rzeczywistość, któremu mówić o piękności, o sztuce, o poezji, o miłości, o poświęceniu, to rzucać groch na ścianę. Przytem Rzecznicki, choć się przyzwyczaił do wszystkich form eleganckiego świata, naprawdę, w gruncie, dobrze wychowanym nie jest; w salonie zachowa się jak inny, nie zrobi nic rażącego, ale poza salonem, kiedy

go ludzie nie widzą... Wykwintna, arystokratyczna i poetyczna natura Fantazego (a to samo można było powiedzieć i o pani Bobrowej w stosunku do męża) wzdryga się i otrząsa na grubą naturę Rzecznickiego... Z równie pośledniej gliny ulepiony jest hrabia Respekt. «Człowiek, jakich wszędzie u nas pełno — powiada o nim prof. Tarnowski — nie zły, ale nawskróś tuzinkowy. Można go widzieć przy zjazdach i wyborach, jak się do łez rozczula, wnosząc kolejnym kielichem *kochajmy się*... Słowo *po naszemu, po polsku* zawsze na jego ustach: w obejściu z sąsiadami serdeczny *brat szlachcic*, bo o popularność się stara, a niepopularności boi; wszystkiem: sposobem życia, urządzeniem domu, wychowaniem dzieci, kroi na wielkiego pana. O respekt ludzi zwłaszcza dba nadewszystko...» Te dwie charakterystyki, tak świetnie przez autora *Porcyj* naszkicowane, złożyły się niechcący (bo autor kreśląc je, napewno nie myślał o tem) na rembrandtowski prawdziwie wizerunek... pana Teodora Bobra, o którym wiemy ze studjum Dr. Antoniego J. że jako «typ bogatego indygeny, zkolei przedzierzgniętego w dygnitarza» odznaczał się wszystkiemi prozaicznościami hrabiego Respekta i Rzecznickiego [1]). Podobną paralelę psychologiczną można przeprowadzić pomiędzy hrabiną Respektową z dramatu Słowackiego, a matką pani Bobrowej, panią Franciszkową Morzkowską, Hańską z domu, «także (jak i jej małżonek, marszałek powiatowy w Żytomierzu) pochodzącą z gniazda wydostającego się na wyżyny». Jako taka i jako «pamiętająca dobrze pobyt Kondeusza na Wołyniu», takiego upodobania nabrała do cudzoziemczyzny, że cały dwór prezesa osadziła emigrantami z nad Sekwany, poczynając od stangretów i lokajów, a kończąc na wyższych oficjalistach. Mąż wprawdzie sarkał, nazywając otoczenie «istną wieżą Babel», ale ulegał kobiecie, upatrującej w tem przeobrażeniu szczęście dla dzieci w przyszłości. Czyż nie podobną do niej, jak dwie krople wody, jest hrabina Respektowa, według określenia prof. Tarnowskiego, poczciwa kobieta w gruncie, ale niemądra, a komiczna sprzecznością swojego pozafrancuskiego obejścia i rozmowy, z pretensjami do najwykwintniejszej znajomości świata i dystynkcji. Skazana skutkiem majątkowych komplikacyj na siedzenie na wsi, chce być *au courant* wszystkiego, co się w świecie dzieje, a przytem chce być kobietą wyższą i dystyngowaną, nadewszystko dystyngowaną! Z Berdyczowa sprowadza najświeższe francuskie romanse, z Warszawy mody i plotki... Dla takiej matrony wydać «czy sprzedać» córkę swoją zamąż nie jest bynajmniej postępkiem... niedystyngowanym. To też, kiedy ją w dramacie Słowackiego widzimy, jak wydaje czy sprzedaje Djanę hrabiemu Fantazemu, który zamiast uklęknąć przed nią «jak przed Madonną na stepie odludną Rafaelową», wcale po kupiecku zbliża się po... towar, nie dziwi nas to zupełnie, choć oburza. A nie zapominajmy, że i panią Bobrową, jak mówi Krasiński w *Niedokończonym poemacie*, «dzieckiem prawie i bezmiłosną wydano czy sprzedano zamąż». Przyzna każdy, że sytuacja bardzo podobna.

[1]) Z życia Zygmunta Krasińskiego.

Wszystko to zestawione razem, przemawia aż nadto przekonywająco — jak sądzę — na korzyść mojej tezy. Co szczególna, to, że przemawiają za nią jeszcze i niektóre ustępy z pracy ks. Jana Gnatowskiego oraz ze studjum prof. Tarnowskiego, choć obydwaj stoją na wręcz przeciwnem mojemu stanowisku. I tak ks. Gnatowskiemu np. na str. 10 jego pięknej pracy, gdzie mowa o tem, jaką jest pani Delfina u Słowackiego, mimowoli nasuwa się refleksja: «czy obraz jest prawdziwy?» I jakąż na pytanie to daje nam ks. Gnatowski odpowiedź? Że «w ogólnych zarysach — niewątpliwie; w szczegółach może niezupełnie». Bo «jeżeli mamy wierzyć i głosowi opinji i świadectwu naocznych świadków tego stosunku (Krasińskiego do pani

Delfiny) było w nim podobno więcej daleko i bardziej rażących dysonansów, niż w opisanym przez Słowackiego stosunku Idalji z Fantazym. A naprzód, zdaje się, że jak wyjeżdżając zagranicę, Idalja (Delfina) myślała może więcej o szukaniu przyjemności i wrażeń, niż o ukryciu śród obcych ludzi swego fałszywego położenia, tak na swem włoskiem wygnaniu nie zawsze w samej tylko sztuce szukała pociechy, nie zawsze zostawała dla licznych swych wielbicieli obojętną. Krasiński był co prawda zawsze — od poznania aż do śmierci — jej największym ideałem, nie zawsze jednak był jedynym. On sam wspomina o tem zaraz po jej poznaniu w liście do Sołtana w sposób tak ostry i szorstki, że przy ogłoszeniu wyjątków z tej korespondencji musiano opuścić odnośny ustęp. Czy przynajmniej uczucie pani Delfiny dla Krasińskiego choć nie jedyne, było tak szczere i głębokie, jak miłość Idaji dla Fantazego? Podobno i to nie. Że miało, a przynajmniej mieć chciało, taki pozór, to rzecz oczywista. Inaczej być nie mogło. Dla kobiety takiej, jak pani Delfina, stosunek z wielkim poetą zbyt był ponętnym i miłym, zbyt wysoko pochlebiał miłości własnej i zbyt wiele mieć musiał rzeczywistego uroku, żeby nie miała jak najdłużej go podtrzymywać i jak największą dawać mu siłę. Nie przestawała więc nigdy uważać się za Beatrice Krasińskiego, póki żył, a za jego wdowę z serca, gdy umarł. Ci jednak, którzy ją znali bliżej, twierdzą z największą stanowczością, że w tym stosunku działo się zupełnie naodwrót pierwszego (i tu przychodzi na myśl ks. Gnatowskiemu pani Bobrowa): podczas gdy w tamtym u kobiety (jak u Idalji) rolę główną grało serce, u mężczyzny (jak u Fantazego) tylko wyobraźnia; tu przeciwnie, uczucie prawdziwe było tylko po stronie poety; Beatrice zaś kochała nie sercem, ale głową, a nadewszystko... próżnością. I podczas, gdy pierwsza (jak Idalja), zapomniana dla niej tak prędko i tak zupełnie, zamknęła w tem jedynem

uczuciu całe swoje życie, i po rozłączeniu z poetą, a bardziej jeszcze po jego zgonie, wpadła w pewien rodzaj melancholji i zupełnego odrętwienia, z którego tylko imię Zygmunta zdolne było wyrwać ją na chwilę[1]); Beatrice tymczasem, Beatrice, mówiąca tyle o swoim zgonie, pisząca nad przyszłym swym grobem smętne elegje, Beatrice nie umarła i nie odczuła wcale ciosu tego silniej, niż wymagała jej rola, przyzwoitość i względy światowe. Imię Zygmunta zostało wprawdzie na jej ustach, ale nie wiem, czy nie dlatego, że z tem imieniem wiązała się promienna aureola nieśmiertelnej sławy, której złociste odbłyski padały i na nią także. Zresztą życie jej odtąd płynęło aż nadto wesoło. Śmierć Krasińskiego nie zrobiła w niem żadnej zmiany...» it.d.

A teraz, opuściwszy stanowisko ks. Gnatowskiego, niech czytelnik zechce łaskawie stanąć przez chwilę na mojem, t. j. zamiast «taką jest pani Delfina u Słowackiego», pomyśleć sobie: taką jest pani Bobrowa u Słowackiego. Czy wtedy na zapytanie: «Czy obraz jest

---

[1]) W melancholji tej pogrążona (od roku 1854 począwszy), jak niegdyś owa nieszczęśliwa księżna Lubomirska w Rzymie, którą jej Krasiński w listach swoich do niej stawiał za przykład, jako ofiarę «dyrektorów ducha» (jak wtedy nazywał księży), doczekała pani Bobrowa późnej starości. Wydawszy zamąż córki, starszą Ludwikę za hr. Maurycego Potockiego, młodszą zaś, Zofję, za hr. Juljusza Dzieduszyckiego (z Galicji), zamieszkała ostatecznie po długich *Wanderjahre* u pierwszej z nich w Warszawie (w pałacu hr. Potockich na Krakowskiem Przedmieściu) i nie udzielając się światu prawie zupełnie, co zresztą było w końcu niemożebnem dla niej z powodu utraty wzroku na kilkanaście lat jeszcze przed śmiercią, dożyła tak «w zapomnieniu i odosobnieniu» do dnia 4 maja 1889 roku. «Cicho, bez ogłoszeń, karawan trzeciej klasy (!) zawiózł skromną trumnę na cmentarz Powązkowski, a sklep familijny Iżyckich przyjął pod gościnną strzechę popioły biednej męczennicy» (Dr. Antoni J., *op. cit.*, str. 47). W ostatnich czasach przewieziono śmiertelne jej szczątki do grobów rodzinnych hr. Potockich w Zatorze. Pan Teodor Bóbr-Piotrowicki zmarł w r. 1860 w Zahajcach.

prawdziwy?» nie będzie jedna tylko odpowiedź, mianowicie: że obraz zarówno w ogólnych zarysach, jak i w szczegółach jest bardzo zbliżonym! Zdaje mi się, że na to pytanie jedna tylko istnieje odpowiedź.

Prof. St. Tarnowski w swojem studjum o *Niepoprawnych* Juljusza Słowackiego (jednej z ozdób, powtarzam, naszej literatury krytycznej) ile razy mówi o hrabinie Idalji — a zawsze rozumie przez nią panią Delfinę Potocką — wyraża się o niej w taki sposób, że ze słów jego, niby z za gazy przejrzystej, wyłania się zawsze, nie postać pani Delfiny, ale pani Bobrowej. Istotnie, jedyne w swoim rodzaju *qui pro quo*. «Ale kobieta w pożyciu z mężem nieszczęśliwa — czytamy n. p. na str. 57 — opanowana potężną namiętnością (namiętność pani Delfiny dla Zygmunta nie była nigdy potężną), a siebie przecież szanująca, która wstydu nie straciła, cóż miała robić w kraju, gdzie koło jej imienia zrobił się skandal. Jechała zagranicę, osiadała tam, gdzie jej historji nie znano, gdzie nie była zmuszoną spuszczać oczu przed każdym; osiadała, jak rozbity okręt na mieliźnie, nad jeziora włoskim brzegiem, patrzała na morze i na ruiny, słuchała muzyki, kochała się w pięknych obrazach (dziwna rzecz, wszystkie Polki tego rodzaju były w duszy artystkami), słowem, stwarzała sobie egzystencję łataną i sztuczną, w której zajęcie myśli zajmowało najwięcej miejsca i czasu, ale która była względnem szczęściem». Słowa te, w których owo z *Przedświtu* wyjęte «nad jeziora włoskim brzegiem» jest wyraźną alluzją do pani Delfiny, o ile są przedziwną prawdą o... pani Bobrowej, o tyle nie są nią ani odrobinę w stosunku do Beatrice z *Przedświtu;* pani Delfina bowiem — jak wiemy — nie osiadła zagranicą «jak okręt rozbity na mieliźnie», lecz brylowała w wielkim świecie Paryża i Londynu, zawracając głowy, *passez moi l'expression*, starym i młodym lowelasom. Powtóre, jeżeli wyjechała w r. 1831 zagranicę, to nie dlatego, żeby koło imienia jej zrobił

się skandal... [1]). Przeciwnie pani Bobrowa. Ona, jeżeli od roku 1835 przebywała zagranicą (od roku 1838 stale), to dlatego właśnie, że koło imienia jej istotnie zrobił się skandal...

W innem znów miejscu — tym razem na str. 55 — pisze prof. Tarnowski co następuje: Idalja była Fantazego kochanką; kocha go zawsze (tak jak kochała pani Bobrowa Krasińskiego, kiedy Słowacki pisał swój dramat). Usłyszawszy o jego małżeńskich projektach (nie należy zapominać, że i pani Bobrowa znalazła się w analogicznem położeniu, kiedy Krasiński w r. 1836, poznawszy w Wiedniu «pannę piękną jak anioł, z talentem do muzyki», nie był daleki od związania się z nią dozgonnemi śluby) znalazła się raptem przy nim. «Może chce go upokorzyć, może zabić, może tylko się przekonać, zobaczyć na własne oczy, może rozedrzeć swoje serce widokiem tej zdrady, rozkoszować się w swojem nieszczęściu, może wypić do dna ten kielich goryczy i przypatrzeć się dobrze temu, że nietylko ją zdradził, on, którego kochała, ale że on, którego miała za najwyższą na ziemi istotę, za anioła poezji, żeni się prozaicznie, zimno...». Bo — czytamy na str. 61 — «Idalja, żądając od Fantazego natchnienia, znudziła go wkońcu tak, że ją porzucił...». Tak jest, «Fantazy Idalji nie kocha, śmieje się z niej, ale kiedy jej wyrządzono gwałt i zniewagę, uczuł się, on, człowiek, którego kochała, jej naturalnym obrońcą i nikt bronić jej ani pomścić nie mógł, tylko on... Chce więc pomścić Idalję, a myśl o jej nieszczęściu, o obeldze wyrządzonej kobiecie, która jemu poświęciła wszystko, myśl o tem, co ona cierpieć musi, odnawia w jego sercu, przynajmniej w jego pamięci, jakieś resztki dawnych uwielbień i zapałów...».

Wiem, że to wszystko stosuje się do hrabiny Ida-

---

[1]) Zob. Dr. Antoni J., *Beatrice* (w «Opowiadaniach historycznych», serji siódmej), str. 121.

lji, ale pozwolę sobie zapytać, czy wszystko to nie może się równie dobrze i równie trafnie stosować do pani Bobrowej? Tak samo, jak się stosować żadną miarą nie może do pani Delfiny Potockiej.

Albo ten Fantazy, taki, jakim go nam przedstawia prof. Tarnowski, czy to nie żywy portret autora *Irydjona* z ostatnich dwóch lat jego miłości dla pani Bobrowej, z czasów, kiedy mu już miłość jej ciężyła i kiedy radby się był wycofać ze szranków? Miłość — powiada o nim prof. Tarnowski (który mi łaskawie darować zechce, że tak po swojemu i tak do pewnego stopnia samowolnie oświetlam jego studjum) — miłość? Zna ją także, przynajmniej tę, którą wzbudzał, mniej zapewne tę, którą sam był czuł, bo był z ludzi, którzy żądają raczej być przedmiotem miłości i uwielbienia, niż wielbić i kochać; ale widok i wrażenie istoty ludzkiej, której szczęście i życie zawisło od jego dobrej woli, kobiety, której serce drga w jego ręku rozkoszą lub bólem, podług jego upodobania i kaprysu, to on zna; używał nieraz na wzruszeniu, jakie kobietom (a przynajmniej jednej kobiecie) dawał; używał na tem, że był przedmiotem zakochania, zachwytu wyobraźni, szału zmysłów, a sam przytem raczył w części tych wrażeń doznawać; serce nie wiele zapewne czuło i cierpiało, ale wyobraźnia zarażała się uniesieniem albo je w siebie wmawiała, dostrajała się do niego.

Albo ta Idalja — u prof. Tarnowskiego — która «zajęta losem Jana ofiaruje mu współczucie i przyjaźń», czyż to nie treściwe, a pomimo treściwości swej najzupełniej dosadne i trafne określenie stosunku pani Bobrowej do Słowackiego?

Po wszystkiem, co powiedziałem dotychczas, jeszcze jeden dowód. Hrabina Idalja ma być karykaturą, «humorystycznym portretem» pani Delfiny Potockiej. Co to jest karykatura? Jestto — jak wiadomo — spaczony wizerunek danej osobistości. Jeżeli zaś — jak w danym wypadku — jest to jeszcze karykatura o charakterze satyrycznym, w takim razie musi karykaturowana postać wypaść pod każdym względem niekorzystniej, gorzej, ujemniej, aniżeli wygląda pierwowzór, czyli, że musi się mieć do niego, jak *minus* do *plus*.

Z tego wyszedłszy założenia, Dr. Antoni J. zakończył swoją pracę o *Beatrice* w następujący sposób: «Na zakończenie, może najstosowniej tu będzie przytoczyć zdanie prof. Tarnowskiego o przyjaciółce Zygmunta Krasińskiego: Kobieta «nie niewinna, ale bardzo uniewinniona, upadła, a przecież wysoka i godna, kobieta, w której życiu było wiele fałszywych i udanych zachwytów, wiele miłości siebie, ale wiele też i prawdziwych łez, wiele miłości ojczyzny, wiele miłości dobrego, wiele miłości jednego wybranego człowieka».

Przeczytawszy to prof. Tarnowski, kiedy mu pisać przyszło o pracy tej w *Słowie*, w numerze z d. 21 listopada 1890 roku (w którem to sprawozdaniu — dodajmy — pani Delfina odartą została raz na zawsze ze wszelkiego poetycznego uroku), uważał za niezbędne uczynić następujące zastrzeżenie: «Autor robi niżej podpisanemu ten zaszczyt, że raz czy dwa cytuje jego słowa z recenzji o *Niepoprawnych* Słowackiego. Podpisany oświadcza, że te słowa ściągają się do hrabiny Idalji z *Niepoprawnych*, jako typu wielu kobiet z tego czasu, ale nie do pani Delfiny Potockiej».

Przyzna każdy, że gdyby hrabina Idalja była karykaturą pani Delfiny Potockiej, w takim razie mielibyśmy do czynienia z jedyną w swoim rodzaju karykaturą, w której karykaturowana osoba przedstawia się korzystniej o wiele, aniżeli w rzeczywistości. Satyra, «humorystyczny portret», karykatura, która jest dla modelu swojego... niezasłużonym komplementem, satyra, na której model tylko... dobrze wychodzi, lepiej nierównie, aniżeli oglądany w oryginale, oryginał bowiem nie jest ani tak dobry, ani tak szlachetny, ani tak idealny, jak się nam przedstawia w tem wklęsłem zwierciedle karykatury — to rzecz niebywała, o której,

przypuszczam, sam nawet Ben Akiba powiedziałby, że *so etwas ist noch nicht gewesen.*

Słowacki tymczasem, jak nas poucza jego biografja, jeżeli już drwił, to, chociaż i mówił, że «sercem gryzł», drwił niemiłosiernie: zwłaszcza z kobiet, które go przyprawiły kiedykolwiek o cierpienia i... upokorzenia jego tak wygórowanej miłości własnej. Ludwikę Śniadecką, choć lubił ją nazywać swoją jedyną «kochanką pierwszych dni» (ja, co przeszedłszy świat, kochałem jedną), wykpił w podróży na Wschód; a i w listach do matki niejednokrotnie. Marji Wodzińskiej, choć go natchnęła do napisania *W Szwajcarji*, nie darował w *Beniowskim*, opowiadając o tem, jak na piramidzie... tfu! dowiedział się o niej, że zamąż idzie za Chopina, (Orfeusza, którego skrzydła «będą z siedmiu pedałów, a z klawiszów rąbki»). Eglantyna Pattey oprócz *Przekleństwa* otrzymała w darze za swoją «miłość starej panny», cały szereg złośliwych przytyków w listach poety do matki. Szczęściem, że ich nie czytała i że nie rozumiała po polsku. Aniela Moszczyńska pobudziła go do napisania dwóch bardzo niedelikatnych, choć i namiętnych sonetów. Czemużby więc pani Bobrowa jedyny miała pod tym względem stanowić wyjątek? Czemu, dręczony przez nią i, co gorsza, upokarzany, miał nie ją skarykaturować w *Nowej Dejanirze*, ale panią Delfinę Potocką, która mu była obojętną, z którą go nic nie wiązało nigdy i której miłość dla Krasińskiego mogła dlań równie dobrze istnieć, jak i nie istnieć? Bo co mu do pani Delfiny Potockiej!

Jeżeli zaś nazwał hrabinę Idalję «machiną parową piszącą listy», to żaden dowód, ażeby to miało być alluzją do pani Delfiny, którą za mało znał (i którą się za mało interesował), ażeby wiedzieć o tem, że pisanie listów jest jej słabą stroną[1]). Nie zapominajmy

[1]) Zob. *Moja Beatrice*, str. 26. «Wkońcu (stosunek Krasińskiego z panią Delfiną) ostygł do tego stopnia, że Krasiński przestał odpieczętowywać listy pani Delfiny, których

zresztą, że taka łatwość «wylewania uczuć swych na papier» cechuje wszystkie prawie kobiety zakochane.

Nie była też od niej wolną i pani Bobrowa, której listów cały plik odebrano Krasińskiemu w r. 1835 na komorze w Salzburgu, i która (jak o tem wiem z niewydanych dotąd listów Słowackiego do niej) jeszcze w r. 1842, choć oddawna «opuszczona» przez Zygmunta, nie przestała do niego pisywać... A listy jej pewno nie odznaczały się «męską» treściwością! Trzeba wszakże na usprawiedliwienie jej dodać, że była to wogóle epoka, w której pisanie listów, o ile możności jak najdłuższych, należało do najmodniejszych sposobów zabijania czasu...[2]).

po śmierci jego znaleziono całe stosy...» Podobnie miała się rzecz (zdaje się) z listami pani Bobrowej, na które po roku 1838... nie odpisywał. Na wniosek ten naprowadzają przynajmniej listy Słowackiego do pani Bobrowej.

[2]) Modzie tej ulegała między innemi także i żona Zygmunta Krasińskiego, której niektóre listy rozmiarami swemi dosięgały częstokroć rozmiarów małych broszur. To samo da się powiedzieć o matce Słowackiego, która (do Odyńca n. p.) zwykła była pisywać listy równie częste, jak długie. Pani Delfina nie stanowiła pod tym względem bynajmniej jakiegoś fenomalnego wyjątku.

PRELUDJUM.

ZE STOSUNKÓW CHOPINA I PANI SAND Z MICKIEWICZEM I EMIGRACJĄ

Gdy w roku 1882 wyszła książka Karasowskiego o Chopinie, napisał o niej w *Słowie* obszerną recenzję Henryk Sienkiewicz, który, podniósłszy zalety tej monografji, w taki sposób określił jej usterki i braki: «Najważniejszym brakiem jest ten, że monografja ta nie wspomina prawie wcale o tem, coby nas nadewszystko zajmować mogło, to jest o stosunku Chopina do Adama Mickiewicza i innych znakomitości ówczesnych polskich, przebywających na emigracji». Brak ten, niestety, cechuje także wszystkie inne monografje o Chopinie, które w kraju i zagranicą napisano o Chopinie, tak, iż do dziś dnia niema książki o nim, z którejby można powziąć dokładniejszą wiadomość o jego stosunku do emigracji wogóle, a do różnych znakomitych emigrantów polskich, z Mickiewiczem na czele, w szczególności. Tymczasem był to stosunek ścisły nadzwyczaj, bo tak Mickiewicz, jak Chopin, byli chlubą naszego wychodźtwa w Paryżu, przyczem, jako takich, zawsze ich wymieniano razem, jako dwóch tytanów polskiego ducha. Nie mówiło się, ani pisało, jak dzisiaj: Mickiewicz, Słowacki i Krasiński; ale mówiło się i pisało stale: Mickiewicz i Chopin. To były dwie największe gwiazdy na horyzoncie polskiego wygnania, gwiazdy, świecące z równą siłą, a świecące tem silniej, iż świeciły obok siebie, jednocześnie. Wystarcza przejrzeć ówczesne pisma, wychodzące w kraju i na emigracji, a nawet pisma nie polskie z tej epoki (trudu tego jednak nie zadał sobie żaden z dotychczasowych biografów Chopina, nawet najbardziej z nich zachwalany Niecks), ażeby o tem przekonać się dowodnie.

Oto np. co o nich czytamy w poznańskim *Orędowniku naukowym* z roku 1841 w jednym z licznych artykułów o Chopinie (nieznanych jednak Karasowskiemu i jego następcom): «Jeżeli słuszne powszechne zdanie, że Mickiewicz dopiero stworzył poezję rodzimą, to równem prawem powiedzieć można, że Chopin stworzył muzykę narodową. W jego muzyce zaiste charakter narodowy w najpiękniejszym się objawia blasku; to samo tam powietrze, którem my oddychamy, to samo niebo, do którego oczy wznosimy, ta sama tęskność i smętność, która się w piosenkach naszego ludu przebija. On najrzewniej wyśpiewał naszą niedolę, on nam najlepiej umie rozpowiadać o naszej przeszłej wielkości, o naszych nadziejach; on jeden wyssał najsłodszy miód z kwiatów, na niwie ojczystej tak bujnie rosnących. On sam jakby poszeptem guślarza umie w naszem łonie wywołać i wzburzyć grę namiętności i melodyjnym śpiewem ją ukoić, on jest jednym z najgodniejszych reprezentantów naszej narodowości». Gdy w roku 1842 wyszedł w krótkich odstępach czasu cały szereg dzieł Chopina, a w ich liczbie takie arcydzieła, jak *Polonez Fis-moll, Trzecia ballada* i *Fantazja F-moll*, wtedy w poznańskim *Tygodniku literackim* zjawiła się obszerna o nich recenzja, w której między innemi czytamy co następuje: »Nasamprzód najczulsze należą się podzięki drogiemu bardowi, iż prośbę, kilkakrotnie od swych rodaków wynurzaną, ażeby częściej zbogacał ich literaturę muzyczną, jak się zdaje, uwzględnić raczył. Stanowisko pana Chopina w naszem położeniu teraźniejszem jest tak chlubnem, jak bodaj nikogo innego. Bojan albowiem, który dotychczas zastępom wieszczów naszych przewodniczył, strzaskał

swą gęśl i milczy uporczywie (że przez tego «Bojana» rozumieć należy Mickiewicza, nadmieniać zbyteczna). Pan Chopin odziedziczył jego władzę: on żywi w sercach naszych święty znicz narodowości. On najwymowniej tłumaczy myśl narodu; jego dzieła są świętym przybytkiem, ową arką, jak Mickiewicz mówi, w której skarb muzyki rodzimej złożony, w niej utajone wszystko to, co tylko szlachetniejszego, pięknego i wzniosłego tętni w piersi Polaka, przędza myśli gminnej, spadek i dziedzictwo kilkuwiekowe, chlubne świadectwo poezyjnej dążności ludu naszego». Tego samego zdania byli o Chopinie i cudzoziemcy, którzy go przy każdej sposobności porównywali i zestawiali z Mickiewiczem. Oto np. co o nim pisał Liszt w swojem słynnem sprawozdaniu z koncertu Chopina w sali Pleyela w roku 1841, z którego to sprawozdania, ogłoszonego w paryskiej *Gazette musicale*, emigracyjny *Dziennik narodowy* przytoczył następujący, najznamienniejszy wyjątek: «Chopin, podobnie jak ten drugi poeta, jego współrodak i przyjaciel, Mickiewicz, z natchnienia muzy narodowej czerpał swoje pieśni i jęk Polski przelewał w jego głosy jakąś tajemniczą poezją, która dla tych, co je prawdziwie czuli, z niczem porównać się nie może. Jeśli mniej blasku otacza jego imię, jeśli wieniec bardziej skromny opasuje jego skronie, nie pochodzi to może stąd, że w nim niemasz równie potężnej myśli, równie głębokiego uczucia, jak w wielkim autorze *Wallenroda* i *Ksiąg pielgrzymstwa*, ale że jego środki wyrażenia się są bardziej ograniczone, jego instrument zbyt niedoskonały: nie mógł on objawić się zupełnie zapomocą fortepianu». Tenże *Dziennik narodowy* zamieścił w roku 1843 korespondencję z Krakowa, poświęconą koncertom Liszta, który «ostatniego dnia przed wyjazdem, na wydanym dlań obiedzie składkowym, wznosił zdrowie swych przyjaciół, Mickiewicza i Chopina». Jednocześnie *vox populi* podawał z ust do ust wiadomość, że Chopin pisze operę do tek-

stu Mickiewicza, że razem nad nią pracują. «Mówią tu — pisała w październiku 1842 roku do Chopina jego starsza siostra — że z pewnością coś dużego piszesz z Adamem».

O wszystkiem tem, w dotychczasowych biografjach Chopina niema ani słowa, co nie przeszkadza, iż ciągle się monografje te nazywa «znakomitemi», «wspaniałemi», «najlepszemi» itp.

A jednak nic ciekawszego, jak te stosunki Chopina z Mickiewiczem, z Niemcewiczem, z Witwickim, z Zaleskim, z Hoffmanową, wogóle z całą emigracją, do której się zaliczał, a do której od roku 1839 wciągnął także panią Sand. W jednym ze swoich listów do Chopina nazwał go margrabia Adolf de Custine *Polonniaiseur'em*. Otóż ten polonizujący wpływ, który Chopin wywierał na swych paryskich przyjaciół-cudzoziemców, najsilniej uwydatnił się w stosunku do pani Sand, która, przez Chopina, zadzierzgnęła niesłychanie silne węzły z emigracją polską, w której, dzięki swemu wyjątkowemu stanowisku w świecie francuskim, niebawem zaczęła grać pewną rolę, wcale niepoślednią. Z tego powodu mawiał o niej Balzak, iż jest «naszpikowana Polakami» *(dont elle est farcie)*.

Co pewna, że dzięki Chopinowi poznała pani Sand *Dziady* Mickiewicza, o których tak wspaniały artykuł napisała w r. 1839 w *Revue des deux Mondes;* że dzięki Chopinowi do swych najbliższych przyjaciół zaliczała Grzymałę i Witwickiego, a przedewszystkiem Mickiewicza.

Możnaby osobne studjum napisać o pani Sand w stosunku do emigracji polskiej, do której, dzięki Chopinowi, przystała całą duszą. Za dowód, iż tak było istotnie, może posłużyć chociażby jej gorąca odezwa do Francuzów, wydrukowana d. 26-go grudnia 1839 roku w dzienniku *Siècle*, wzywająca wszystkich, aby odwiedzali bazar dobroczynny księżny Adamowej Czartoryskiej, bazar, który księżna corocznie urządzała na

rzecz ubogich emigrantów polskich. W odezwie tej, napisanej w najgorętszym duchu patrjotycznym polskim, p. Sand z najwyższą czcią rozpisała się o różnych bohaterkach polskich, jak Emilja Plater, i opowiedziała szereg wzruszających szczegółów o księżnie Adamowej Czartoryskiej, «kobiecie młodej, bardzo bogatej, niegdyś nawykłej do przepychu królewskiego, i o jej całej rodzinie, mieszkającej w Paryżu nader skromnie, lecz za to zawsze przyjmującej gościnnie każdego nieszczęśliwca i niosącej wszystkim pomoc ofiarną». Naturalnie, że tylko Chopinowi zawdzięczała pani Sand te wiadomości, i że gdyby nie jego namowy, z pewnością nie napisałaby podobnej odezwy.

Jeszcze silniej uwydatnił się polonizujący wpływ Chopina na panią Sand w stosunku do Mickiewicza. Oto kilka wymownych przykładów tego wpływu:

W połowie października 1840 r. przyjechał do Paryża Mickiewicz. Przyjechał z Lozanny, powołany przez rząd francuski na profesora literatur słowiańskich w paryskiem *Collège de France*. Zamieszkał przy rue d'Amsterdam, gdzie też niebawem przez jego skromne mieszkanko zaczęło się przewijać sporo przyjaciół rodaków. Nie brakło między nimi i Chopina, który, jako gorący wielbiciel Mickiewicza, nietylko jako genjalnego poety, ale i jako zacnego człowieka, jak mógł, tak mu na każdym kroku starał się okazać swoje uwielbienie dla niego. To też, gdy d. 24-go grudnia, w Klubie polskim, miała się odbyć składkowa wieczerza wigilijna, głównie ku uczczeniu Mickiewicza, a później, dla najbliższych przyjaciół poety, proszony wieczór u Eustachego Januszkiewicza, Chopin, choć niezdrów (tak dalece, iż dzień 15-ty grudnia, dzień pogrzebu Napoleona, przesiedział w domu, nieciekawy tego widowiska), obiecał swoją bytność. «We czwartek — pisał Januszkiewicz w swym dzienniku pod datą 19-go grudnia — mamy kucję w Klubie, a później będzie u mnie herbata, na którą zaproszę Adama, jako w dzień jego

imienin. Mają być: Chopin, Kątski, Szczepanowski z gitarą, będzie i septuor wokalny. Górecki zapowiedział, że z jakimś wierszem wystąpi». Stało się niezupełnie tak, jak to początkowo projektował Januszkiewicz, albowiem po wilji w Klubie, do której zasiadło przeszło 60 osób, a podczas której pięknie przemawiał Juljan Ursyn Niemcewicz, część uczestników «dużą bandą» przeszła na wieczór do Mickiewicza, wieczór zaś, zapowiedziany przez Januszkiewicza, odbył się nazajutrz dopiero, dnia 25-go grudnia. Chopin, choć przyrzekł swój współudział, choć nawet wyraził gotowość grania na fortepianie, który też dlań przygotowano umyślnie, w ostatniej chwili, prawdopodobnie wskutek złego stanu zdrowia, musiał uczynić zawód Januszkiewiczowi, czego z pewnością później sam najbardziej żałował, albowiem na uczcie tej — jak to zaraz nazajutrz doszło do jego wiadomości — zaszedł fakt, który poruszył całą emigrację. Mianowicie w czasie wieczerzy przyszło do improwizacji Słowackiego i Mickiewicza, z których ten drugi, w przystępie wyjątkowego natchnienia, nietylko porwał i zachwycił całe zgromadzenie, ale je poprostu wprawił w rodzaj ekstazy, w jakiś stan ekstatycznego oszołomienia, któremu ulegli nietylko wszyscy obecni, ale i ci także, którym o tem opowiadano nazajutrz.

Ponieważ wielu z przyjaciół Chopina, a w ich liczbie Grzymała, byli na tej uczcie u Januszkiewicza, więc wieść o niej, o wszystkiem, co tam działo się podczas i po improwizacji Mickiewicza, szybko doszła i na rue Pigalle, o wrażeniu zaś, jakie te opowieści zrobiły i na Chopinie i na pani Sand, wymownie świadczy «dziennik Piffoela» tej drugiej, w którym autorka *Consuela* pod nagłówkiem: «Grudzień 1840 r. Paryż, ulica Pigalle Nr. 16», napisała co następuje: «W tych dniach zaszedł wypadek dziwny w naszych czasach. Na jednem ze zgromadzeń emigrantów polskich, jeden z nich, jak

mówią, dość mierny i zazdrosny poeta [1]), deklamował swój wiersz, zwrócony do Mickiewicza, w którym obok oddawanych mu pochwał, użalał się ze szczerem, lecz niewłaściwem rozgoryczeniem na pierwszeństwo tego poety. Był to więc zarazem i hołd i zarzut. Ale ponury Mickiewicz, obojętny na hołd i naganę, powstał i zaimprowizował odpowiedź wierszem, czy raczej mowę, która sprawiła ogromne wrażenie. Nikt nie może dokładnie oddać tego, co zaszło. Każdy z obecnych wspomina o tem rozmaicie; jedni twierdzą, że mówił tylko 5 minut, inni, że godzinę. Jednak jest niewątpliwe, że powiedział rzeczy tak piękne i tak wspaniałe, że wszyscy jakby postradali zmysły. Słychać było tylko krzyki i szlochania; z wielu osobami zaszły nerwowe przypadłości, wielu nie mogło zasnąć przez całą noc. Hr. Plater, po powrocie do domu, był w takiem dziwnem podnieceniu, że żona obawiała się, czy nie dostał pomieszania zmysłów. Ale w miarę, jak jej opowiadał nie treść improwizacji Mickiewicza (nikt nie mógł z niej powtórzyć ani słowa), lecz o jej wrażeniu na słuchaczy, hrabina wpadła w ten sam stan, co jej mąż, zaczęła płakać, modlić się i mówić od rzeczy. I oto wszyscy są przekonani, że w tym wielkim człowieku kryje się coś nadnaturalnego, że jest natchniony jak prorok, i ta ich wiara jest tak wielka, że gotowi są chyba uznać go nawet za Boga. Udało mi się dowiedzieć, że improwizował na następujący temat: «Skarżysz się, że nie jesteś wielkim poetą; sameś temu winien: nikt nie może być poetą, jeśli w nim niema miłości i wiary». Z powodu tej pięknej myśli musiał Mickiewicz mówić cudownie. Sam on nie może sobie przypomnieć ani słowa ze swej improwizacji, zaś jego przyjaciele mówią, że raczej jest przelękniony, aniżeli zadowolony z wrażenia, jakie na nich sprawił. Przyznaje się też, że w nim zaszło coś tajemniczego, nadspodziewanego, że będąc na początku mowy spokojnym, uczuł się nagle uniesiony wysoko wskutek entuzjazmu. Jeden z przyjaciół, który go widział nazajutrz, zastał go w stanie przygnębienia, jak po silnym ataku. Wobec tego, iż ze wszystkich stron otrzymałam te same zapewnienia, słuchałam o tem, jakby o jakiemś starożytnem wydarzeniu, gdyż dziś nic podobnego się nie zdarza».

[1]) Juljusz Słowacki. Ta niepochlebna opinja o nim, to opinja Chopina, Witwickiego, Grzymały, Zaleskiego, Januszkiewicza, Platerów i wogóle całej koterji, grupującej się koło Mickiewicza, a niechętnej Słowackiemu.

I podobnie, jak wśród całej emigracji, tak i na rue Pigalle przez kilka dni nie mówiono prawie o niczem innem, tylko o tej improwizacji Mickiewicza, przyczem naturalnie o tym, który wywołał iście wulkaniczny wybuch natchnienia wieszcza *Dziadów*, o Słowackim, wyrażano się z lekceważeniem.

Tymczasem życie szło swoim trybem, a jak przez kilka ostatnich dni grudnia mówiono tylko o Mickiewiczu, jako natchnionym improwizatorze, tak w pierwszych dniach stycznia znowu Mickiewicz, jako niepospolity profesor w *Collège de France*, był na ustach wszystkich, budził powszechne zainteresowanie, i to nietylko w kołach emigracyjnych, ale wogóle wśród inteligencji francuskiej. Stąd niezwykłe powodzenie tych prelekcyj, raz dla nowości wykładanego przedmiotu, który był absolutną *terra incognita* dla Francuzów, a powtóre ze względu na sławę genjalnego profesora-poety. «Mickiewicz, pisał pod wrażeniem jego prelekcyj H. Lucas, jest jednym z tych umysłów wybranych, których przejście zostawia po sobie w epoce szeroki smug światła, a które posiadają ten przywilej, że ich audytorjum składa się z całej Europy. Amfiteatr Mickiewicza staje się punktem zbornym dla najróżniejszych znakomitości. Ampère, po własnym wykładzie, przychodzi jako dobrowolny słuchacz zająć miejsce wśród uczniów i nie szczędzi profesorowi oznak szczerej i niedwuznacznej admiracji. Montalambert, Salvandy, Michelet, Sainte Beuve, George Sand

śpieszą w imieniu cywilizacji objąć tę nową sferę myśli, którą uczony Polak odkrywa».

Pani Sand, która nadzwyczaj regularnie uczęszczała na prelekcje Mickiewicza, bywała na nich bardzo często razem z Chopinem, co oczywiście zwracało uwagę całego audytorjum. Zapisał to Dumesnil w listach do rodziny. Oto naprzykład co donosił pod datą 7-go stycznia 1841 roku: «Bywam na tym kursie razem z panią Sand, która słuchała dwóch ostatnich lekcyj; na drugiej stała cały czas, ponieważ się spóźniła. Portrety jej są podobne, lecz niepochlebne, uderza wyrazem spokoju, łagodności i słodyczy. Przychodzi ze sławnym fortepianistą Chopinem i wraca jego powozem». Oto zaś, co tenże Dumesnil pisał w trzy tygodnie później pod datą 26-go stycznia: «Przyznać trzeba, że Paryż jest dla nauki niezrównanem miastem. Mam tylko Sekwanę do przebycia, aby w towarzystwie Francuzów, Niemców, Rosjan i Polaków uczestniczyć przy odsłanianiu dawnych dziejów przez genjalnego człowieka. Gdy jestem zmęczony pisaniem, podnosząc głowę, zwracam wzrok od Mickiewicza ku pani Sand i od pani Sand ku Mickiewiczowi». Pani Sand, która z pewnością regularniej, aniżeli Chopin, słuchała wykładów twórcy *Dziadów*[1]), szczerze zapaliła się do nich, a choć oddawna już — dzięki Chopinowi — żywiła prawdziwy kult dla genjuszu poety, jednak w tych czasach, pod wrażeniem jego świetnych prelekcyj o literaturach słowiańskich jeszcze bardziej utwierdziła się w swem uwielbieniu dla niego, jak tego dowodziła jej następująca charakterystyka Mickiewicza, organicznie związana z jego wykładami w *Collège de France*. «Mickiewicz, słowa są pani Sand, jest jedynym wielkim ekstatykiem, jakiego znam. Znałam wielu małych; a co się tyczy Mickiewicza, nie chciałabym twierdzić publicznie, że on, mojem zdaniem, cierpi na tę duchową epilepsję *(haut mal intellectuel)*, która go czyni pokrewnym tylu znakomitym ascetom, jak: Jezus Chrystus, św. Jan, Sokrates, Dante i Joanna d'Arc. Nie zrozumianoby mojej myśli lub zrozumianoby ją opacznie, przyjaciele zaś jego słusznie mogliby być oburzeni. Tych wśród nich, którzy niejasno rozumieją istotę ekstazy, liczne myśli z *Dziadów* zmusiłyby patrzeć na Mickiewicza jak na obłąkanego; tych zaś, którzy go słyszą, jak jasno i logicznie wykłada swe prelekcje w *Collège de France*, moje dowodzenia zmusiłyby patrzeć nań jak na szarlatana. Tymczasem Mickiewicz nie jest ani jednym, ani drugim. Jest to bardzo wielki człowiek, genjalny, pełen entuzjazmu, doskonale nad sobą panujący w życiu zwykłem i rozprawiający ze swego punktu widzenia bardzo wzniośle. Ale jest on skłonny do egzaltacji, dzięki samej naturze swych wierzeń, potędze swoich cokolwiek dzikich instynktów, poczuciu nieszczęść swej ojczyzny, oraz dzięki niezwykłym porywom swej duszy wysoce poetycznej, która nie zna miary dla swych sił i wznosi się nieraz do granicy rzeczy skończonych i nieskończonych, gdzie zaczyna się ekstaza. Nigdy jeszcze straszliwa tragedja, rozgrywająca się wówczas w duszy poety, nie była odtworzona przez żadnego z poetów z taką prawdą i mocą, jak te, które czynią *Konrada* dziełem wiekopomnem. Nikt po przeczytaniu tego dzieła nie może zaprzeczyć, że Mickiewicz jest ekstatyczny».

Jak dalece pani Sand w tych czasach pozostawała pod urokiem Mickiewicza, dowodzi fakt, zapisany przez Witwickiego w liście z dnia 15-go stycznia 1841 r. do Bohdana Zaleskiego, że powzięła zamiar napisania do *Revue des deux Mondes* jeszcze jednego studjum o twórcy *Pana Tadeusza*. «Sandowa mówiła mi — pisał Witwicki — że napisze o Adamie drugi do *Revue* artykuł o reszcie poezji, mianowicie o *Sonetach*, które bardzo się jej podobały». Że je poznała dzięki Chopi-

[1]) Sainte-Beuve w liście do pani Juste Olivier (ze stycznia 1841 r.) pisze, «że pani Sand akuratnie uczęszcza na te wykłady i w tych dniach dano jej tam oklaski».

nowi, nadmieniać zbyteczna. Nadto postanowiła napisać osobne studjum o prelekcjach Mickiewicza w *Collège de France*...

Oczywiście, że gdzie było tyle uwielbienia, i to wzajemnego, bo i Mickiewicz był z najwyższem uznaniem dla talentu i charakteru pani Sand, tam i obopólna przyjaźń, całkiem szczera i bezinteresowna, musiała się zawiązać wkońcu, zwłaszcza, że jej gorącym orędownikiem, w stosunku do jednej, jak i do drugiej strony, był Chopin, nie mówiąc już o innych wspólnych przyjaciołach Mickiewicza i pani Sand, jak Witwicki, Grzymała, Delacroix. Jakoż niebawem Mickiewicz zaczął bywać dość częstym gościem na rue Pigalle, a w jaki sposób mu tam czas upływał, o tem znakomicie informuje zapiska pani Sand, z serji *Impressions et Souvenirs*, opisująca jeden wieczór w jej mieszkaniu przy rue Pigalle, spędzony w towarzystwie Delacroix, Chopina i Mickiewicza.

Zaczęło się od tego — opowiada pani Sand — że poszła odwiedzić chorego na gardło Delacroix, który mimo to przez cały czas wizyty gorąco rozprawiał o swych teorjach malarskich z powodu świeżo wystawionego «Stratonisa» Ingresa, a wkońcu tak się zapalił, że, choć niezdrów, ofiarował się odprowadzić ją do domu. Przez całą drogę, gdy szli ulicą, wciąż z nią rozprawiał na ten sam temat, aż wreszcie na rue Pigalle, przed samemi drzwiami mieszkania, natknęli się na powracającego z miasta Chopina. Ten, ponieważ nie lubił pomienionego obrazu, zaraz, jeszcze na schodach, wmieszał się do dyskusji, twierdząc, iż osoby w «Stratonisie» są zmanjerowane i pozbawione prawdziwych uczuć, ale wykończenie jest godne pochwały. Bo co się tyczy barw, t. j. kolorytu, to on — mówił — nie zna się na tem. Zdaniem pani Sand, twierdził to Chopin przez grzeczność, nie przeczuwając wcale, że mimowoli mówił prawdę.

Wkońcu podano obiad. Przy stole Maurycy prosił

Delacroix, żeby mu wyłożył swoją teorję refleksów. Chopin słucha — ciągnie swe opowiadanie pani Sand — wytrzeszcza oczy ze zdziwienia. Delacroix porównywa formy malarskie i muzyczne, porównywa harmonję, pokrewieństwo tonów muzycznych i modulację do refleksów harmonji i barw. Wreszcie rozmowa dochodzi do kwestji refleksji refleksów. Chopin kręci się na krześle i woła:

— Dajcież mi odetchnąć, zanim przejdziecie do wypukłości. Wszak na ten raz dosyć refleksu! To dowcipne, to nowe dla mnie, ale to przecież już niejako alchemja!

Na to odpowiada Delacroix:

— Nie, to czysta chemja. Tony można składać i rozkładać.

Ale Chopin nie słucha już wywodów Delacroix; zasiadł do fortepianu i nie widzi, że go słuchają. Improwizuje jakby przypadkowo. Przestaje.

— Dalej, dalej — woła Delacroix — wszak nie skończyłeś!

— Wszak jeszcze nie zacząłem. Nic nie wychodzi. Nic... to tylko cienie, zarysy, odblaski, które się nie chcą określić. Szukam kolorytu, a nie mam nawet rysunku.

— Nie znajdziesz pan tego jednego bez drugiego — mówi Delacroix — a znajdzie pan oba razem.

— A jeżeli znajdę tylko światło księżyca?

— Wtedy znajdzie pan refleks refleksu — wtrąca Maurycy.

Myśl ta podoba się boskiemu mistrzowi. Znowu zaczyna grać, jakby nie zaczynając, a rysunek tego, co gra, jest niejasny i nieokreślony. Marzymy o nocy letniej i czekamy na słowika. Rozlega się pieśń cudna. Mistrz wie, co czyni: śmieje się z tych, co chcą zmusić ludzi i rzeczy, aby mówili przez podobieństwo dźwięków...

Wtem daje się słyszeć głos dzwonka w przedpo-

koju. Chopin wzdryga się i przestaje grać. Krzyczę do lokaja, że dla nikogo niema mnie w domu.

— Nie — mówi Chopin — dla niego jesteś pani w domu.

— Kto to?

— Mickiewicz!

— O, czyż to koniecznie on?

— Nie wiem, dlaczego, lecz jestem pewny, myślałem o nim.

Był to istotnie Mickiewicz...

Przyjaźnie ściska nam wszystkim dłonie i corychlej siada w kąciku, prosząc Chopina, aby grał dalej. Chopin gra znowu z boskiem natchnieniem.

Ale oto wbiega mały sługa przestraszony: w domu pożar! Biegniemy, aby zobaczyć. W rzeczy samej zapaliło się w mojej sypialni, ale zdążyliśmy ogień ugasić. Straciliśmy na to blisko godzinę i wtedy pytamy: «A gdzież Mickiewicz?» Wołamy go. Nie odpowiada. Powracamy do salonu, lecz go tam niema. Ależ nie, jest tutaj, w tym samym kąciku, gdzieśmy go zostawili. Lampa zgasła, nie zauważył tego nawet. Hałasowaliśmy i krzątaliśmy się o dwa kroki od niego, nic nie słyszał i nawet sobie nie zadał pytania: czemu zostawiliśmy go samego? Nie spostrzegł nawet, że był sam jeden. Słuchał Chopina... i wciąż go jeszcze słuchał. Innego możnaby posądzić o afektację, lecz wielki poeta, z natury skromny i cichy, jest naiwny jak dziecko. Widząc, że się śmieję, pyta mnie, co mi jest? Odpowiadam, że nic mi nie jest.

— Ale gdy jeszcze raz zdarzy się pożar w domu, to pana nasamprzód odprowadzę do bezpiecznego miejsca, bo inaczej pan się gotów spalić, jak zwykła drzazga, nawet się tego nie domyślając.

— Istotnie — mówi Mickiewicz — nawet nic nie spostrzegłem!

I wychodzi, nie rzekłszy ani słowa.

Chopin odprowadza Delacroix, który wszedłszy na

padoł rzeczywistości, rozmawia z nim o jego krawcu angielskim, jak gdyby nie chodziło mu o nic innego, byle mógł mieć bardzo ciepłe ubranie, które w dodatku nie byłoby zbyt ciężkie».

. . . . . .

. . . . . .

«Dzięki Mickiewiczowi i Chopinowi — powiada najnowszy biograf autorki «Consuela» — obracała się pani Sand wciąż w sferze polskich interesów i poznała wielu ich polskich przyjaciół, a zarazem wyrażała swe sympatje różnym innym polskim politykom, pisarzom i artystom». Tak np. w styczniu 1843 roku napisała do Teofila Thoré, wybitnego krytyka malarskiego, a zarazem dyrektora akademji sztuk pięknych, list, polecający młodego malarza krakowskiego, Wojciecha Stattlera, protegowanego przez księcia Adama Czartoryskiego, list, w którym użyła wyrażeń, «nie pozwalających wątpić o najlepszych stosunkach, które — dzięki Chopinowi — nawiązały się między nią a rodziną tego czcigodnego patrjarchy emigracji polskiej w Paryżu». «Stary a wielce szanowany książę Czartoryski — brzmiał zasadniczy ustęp tego listu — napisał do mnie list, który proszę przeczytać; z tego listu przekona się pan lepiej, niż z moich słów, o co chodzi i dlaczego mała z pańskiej strony względność dla p. Stattlera byłaby dobrym uczynkiem. Kilka wierszy pochwały w Pańskim feljetonie byłyby dla niego nader korzystne, a książę Czartoryski i ja bylibyśmy Panu bardzo wdzięczni». Że w tem wszystkiem pośredniczył Chopin, o tem, znając stosunki ówczesne, niepodobna wątpić ani chwili.

Jak dalece pani Sand w tych czasach była na usługi Polaków, o ile nimi byli przyjaciele lub dobrzy znajomi Chopina i Mickiewicza, świadczył fakt, że gdy wyszło dzieło Aleksandra Chodźki o poemacie perskim *Kurroglu*, pani Sand, poznawszy Chodźkę osobiście,

ażeby go dać poznać szerokiemu ogółowi francuskiemu, zamieściła w *Revue independante* piękną parafrazę tego poematu, przyczem ją poprzedziła życzliwie napisanym wstępem o młodym orjentaliście polskim.

Z niemniejszym zapałem wciąż głosiła sławę Mickiewicza, pomimo, że Mickiewicz, odkąd został Towiańczykiem, prawie przestał bywać w jej domu, a to z obawy, jak mówił, żeby nie wstawiła do swych powieści jego wynurzeń o towianizmie, co mu się wydawało świętokradztwem, czyli, jak się wyraził, «byłoby podobne do tego, jak gdyby po wyznaniu miłości ukochana wymagać zaraz zaczęła ode mnie pieniędzy». Mimo to pani Sand, jak mogła — a mogła wiele — tak starała się przysłużyć Mickiewiczowi, któremu była «całem sercem oddana». I tak np. na początku r. 1843 napisała list do Mickiewicza z zapytaniem, czy nie życzyłby sobie, aby ponownie przeczytała jego *Konfederatów barskich*. Jeżeli nie nada się do sceny, to dlaczego Pan nie miałby go wydrukować? Przypominam sobie, iż jest piękny. Pocóż zostawiać go w spokoju? Wszak nie może być niepotrzebne, ani obojętne nic, coś Pan napisał?...» W odpowiedzi na tę propozycję przesłał Mickiewicz manuskrypt swego dramatu pani Sand, ale pomimo wszelkich starań z jej strony, zarówno jak jej przyjaciół, nie udało się *Konfederatów* wprowadzić na scenę. Wcale nie jest wyłączone, że pani Sand, gdy napomknęła poecie, żeby dramat swój ogłosił drukiem, myślała o uzyskaniu go dla *Revue independante*...

Co pewna, iż w tem piśmie w r. 1843 rozpoczęła druk mickiewiczowskich prelekcyj w *Collège de France*, przyczem je poprzedziła obszernem studjum, w którem, biorąc w obronę Mickiewicza, ostro w tych czasach atakowanego zarówno ze strony rządu, jak ze strony emigracji — o czem znów wiedziała od Chopina — z największym entuzjazmem i szacunkiem wyrażała się o ideach poety, nie potępiając nawet towianizmu. Nie godziła się tylko na jego mesjaniczną teorję o zbawieniu Polski przez jednego człowieka, przez jakiegoś mesjasza, którego imię «czterdzieści cztery», choćby nim miał być wielki człowiek w rodzaju Napoleona. Nadzieje polskie, a raczej Mickiewicza, iż podobny do Bonapartego opatrznościowy wódz zbawi duszę i ojczyznę Polaków, wydawały się jej niepewne. Jako zwolenniczka doktryny Rousseau'a, oczekiwała ona «zbawienia» i «nowego słowa» dla Polski nie od poszczególnych jednostek, lecz od całego narodu w szerszem znaczeniu tego wyrazu, i od tego narodu, któryby — w myśl głównej teorji ubóstwianego przez nią Piotra Leroux — był jednym z czynników «bezustannego postępu».

. . . . . .
. . . . . .

Na to jednak, aby znaleźć poparcie pani Sand, takie, jak to, które u niej znaleźli Mickiewicz, Chodźko, Stattler, księżna Czartoryska i inni, należało mieć po swojej stronie Chopina. Tylko jego wstawiennictwo miało wpływ na jej uczynność i dobre serce. Kto się nie cieszył sympatją Chopina, ten nie mógł liczyć na protekcję pani Sand. Doświadczył na sobie tego Słowacki, którego Chopin nie lubił, któremu w oczach pani Sand potrafił wyrobić opinję poety «miernego i zazdrosnego». Gdy Gaszyński przetłumaczył na język francuski *Anhellego*, uradowany Słowacki chciał skorzystać z tej sposobności, aby zapomocą pani Sand, o której ciągle marzył, jako o duchu sobie pokrewnym, a do której zbliżyć się nie znajdował okazji, aby za jej pomocą dostać się do *Revue des deux Mondes*. W tym celu tak pisał on do Gaszyńskiego: «Dla twego *Anhellego* najlepsza droga byłaby przez Chopina do pani Sand, przez panią Sand do *Revue des deux Mondes*. Wydrukowany tam, mógłby potem odbity być osobno... Pani Sand zaś możeby sobie dziełko to upodobała, al-

bowiem ona ma nerwy z siedmiu strun złożone». Gaszyński poszedł za radą Słowackiego, był u pani Sand, ale jego przekład *Anhellego* mimo to nie ukazał się w *Revue des deux Mondes*, ani w żadnem innem czasopiśmie francuskiem. Widocznie, iż pani Sand, choć miała «nerwy z siedmiu strun złożone», nie «upodobała sobie tego dziełka» Słowackiego, a jeśli tak się stało, to z pewnością dlatego, że za tem dziełkiem nie przemówił dość gorąco Chopin...

KORESPONDENCJA CHOPINA Z PANIĄ SAND

W sierpniu 1840 r. wypadło pani Sand wyjechać razem z panią Viardot na kilka dni do Cambrai. Stąd, bezpośrednio po przybyciu, wysłała następujący liścik do Chopina w Paryżu:

Cambrai, 13-go sierpnia 1840 r.

Drogie dziecko!

Zajechałam w południe bardzo zmęczona; albowiem jest tu z Paryża nie trzydzieści pięć, ale czterdzieści pięć mil. Śliczne ci rzeczy opowiemy o mieszczanach z Cambrai. Są oni piękni, są głupi, a przytem, jako episierzy, są najwyższym wykwitem gatunku. Jeżeli nas nie pocieszy pochód historyczny, jesteśmy gotowe umrzeć z powodu różnych uprzejmości, któremi nas tu zanudzają. Mieszkanie urządzono nam książęce, ale co za goście, co za rozmowy, co za obiady! Śmiejemy się z nich do rozpuku, gdy jesteśmy same; lecz kiedy się znajdujemy wobec wroga, cóż za pożałowania godne miny przybieramy! Już nie życzę sobie, byś tu przyjeżdżał do nas; natomiast wzdycham do chwili, ażeby stąd wyjechać jak najprędzej, i zaczynam rozumieć, dlaczego nie chcesz dawać koncertów. Nie jest niemożliwem, iż Paulina Viardot, z powodu braku sali, nie będzie mogła śpiewać pojutrze. W takim razie może wyjedziemy dzień wcześniej. Chciałabym już być daleko od mieszkańców i mieszkanek Cambrai.

Dobranoc. Idę spać, upadam ze zmęczenia.

Kochaj twoją starą, jak ona cię kocha.

G. S.

W grudniu 1846 r. Chopin był już z powrotem w Paryżu, pani Sand jeszcze została z dziećmi w Nohant. Załatwiwszy różne komisy swej przyjaciółki, o które był proszony na wyjezdnem ze wsi, Chopin napisał do niej d. 15-go grudnia 1846 r. następujący bilecik:

Wtorek 2½.

Panna de Rozières znalazła kwestjonowany kawałek sukna (był w teczce panny Augustyny), i natychmiast wczoraj wieczorem posłałem go Borie'mu, który, jak mi to oznajmił Piotr, jeszcze dziś nie wyjeżdża. Tutaj mamy trochę słońca i ruskiego śniegu. Cieszę się z tej pogody, ze względu na Panią, i wyobrażam sobie, jak Pani dużo używa przechadzek. Czy Dib tańczył we wczorajszej pantomimie? Niech się Pani i wszystkim Twoim dobrze powodzi!

Jej całkiem oddany

C.

Serdeczności dla kochanych Pani dzieci.

Ja się mam dobrze; a jednak nie mogę się zdobyć na odwagę, żeby choć na chwilę oddalić się od mego kominka.

Powyższe te dwa nic nie znaczące listy pani Sand i Chopina, to podobno wszystko, co się zachowało z ich kilkuletniej korespondencji. Reszta została skazaną na dobrowolną zagładę...

Stało się tak. Po śmierci Chopina, siostra jego, pani Ludwika Jędrzejewiczowa, wracając z Paryża do kraju, między innemi papierami po Fryderyku, które zabrała z sobą, wiozła także dwieście listów pani Sand, pisanych do jej brata w ciągu lat 1838—1847. Listów tych, niestety nie dowiozła do Warszawy: musiała je, jako papiery podejrzane, pisane w języku niezrozumiałym dla urzędników komory, zostawić na granicy, do przeczytania i zbadania. Skończyło się na tem, że listy te, przechodząc z rąk do rąk, ostatecznie znalazły się w biurku naczelnika żandarmerji nadgranicznej, gdzie szczęśliwie przeleżały rok przeszło. Trzeba wypadku, że mniej więcej w połowie roku 1851 Aleksander Dumas, syn, wracając z Petersburga, dokąd go — nawiasem mówiąc — zapędziła jakaś afera romansowa, z powodu jakichś niedopełnionych formalności paszportowych został zatrzymany na granicy i musiał tu, jak niepyszny, przesiedzieć kilka dni, dopóki mu paszportu nie przyprowadzono do należytego porządku, co przy ówczesnych środkach komunikacyjnych nie mogło być załatwione prędko. Skazany na takie przymusowe siedzenie na stacji, w obcym kraju, którego nie znał języka, przyszły autor *Damy kameljowej* łatwoby mógł oszaleć z nudów, gdyby nie ów kapitan żandarmerji, który nietylko mówił po francusku, ale tak się okazał uprzejmym wobec młodego podróżnika, iż mu dostarczył rozrywki w postaci jakichś listów słynnej francuskiej powieściopisarki, które go, jako francuza i literata, mogły zainteresować. Dorwawszy się do tej korespondencji, Dumas przez całą noc nie mógł się oderwać od tej sensacyjnej lektury, a nazajutrz, gdy już zdążył przeczytać prawie wszystkie listy, zaproponował ich depozytarjuszowi, ażeby mu powierzył tę korespondencję, a on ją odda jej prawnej właścicielce, t. j. samej pani Sand jako autorce tych listów. Wprawdzie imperatorski depozytor miał pewne wahania w tej sprawie, nie wiedząc, czy mu jego żandarmska uczciwość pozwalała na to rozporządzenie się bądź co bądź cudzą własnością, ale syn sławnego autora *Trzech muszkieterów*, o których może i pan kapitan słyszał coś nie coś — tak mu potrafił wytłumaczyć, iż ostatecznie po upływie dwudziestu czterech godzin, gdy opuszczał granicę, wyjeżdżał z listami pani Sand w kuferku, ten zaś, który go miał zatrzymać, który w tej chwili miał prawo upomnieć się o zwrot cennej korespondencji, udał dyplomatycznie, iż o tych listach zapomniał na śmierć...

Przybywszy do Paryża, dowiedział się Dumas, iż pani Sand bawi w Nohant. Ponieważ mu zależało na tem, aby jej osobiście wręczyć te listy, a przy tej sposobności zabrać znajomość ze znakomitą powieściopisarką, postanowił doczekać się jej powrotu do Paryża,

a tymczasem wziął się do przepisywania najpiękniejszych listów. Bo nie brakło między niemi takich, które były świetnemi arcydziełami stylu... Ale pani Sand nie przyjeżdżała jakoś, a wkońcu zakomunikowano Dumasowi, że wogóle w tych czasach nie jest spodziewana w Paryżu. Wobec tego nie było innej rady, tylko pojechać do Nohant, albo rzecz załatwić listownie. Dumas wybrał ostatni sposób. Jakoż jednego z pierwszych dni października 1851 r. pani Sand otrzymała przesyłkę z Paryża, zawierającą jej całkowity zbiór listów do Chopina, wraz z odpowiednim listem od młodego znalazcy, oraz ze wszystkiemi do tej chwili, przez niego zrobionemi odpisami piękniejszych i ważniejszych listów, co już było chyba szczytem delikatności i dyskrecji. Wzruszona tą niezwykłą kurtuazją młodego Dumasa, dla którego ojca miała tyle sympatji i przyjaźni, autorka *Lukrecji Floriani* napisała do niego niezwłocznie, d. 7-go października 1851 r., obszerny list z podziękowaniem, list, w którym między innemi pisała, co następuje:

...Skoro Pan miałeś cierpliwość przeczytać ten, dość nieznaczący zbiór paplaniny, którą przed chwilą sama odczytałam na nowo, i która zdaje się posiadać interes tylko dla mego własnego serca, to Pan wiesz teraz, jaka macierzyńska czułość wypełniła dziewięć lat mojego życia. Zaiste, niema tam żadnego sekretu, i prędzejbym mogła szczycić się raczej, aniżeli rumienić, żem to szlachetne i nieuleczalnie chore serce pielęgnowała i pocieszała, jak swe rodzone dziecko. Lecz jeśli chodzi o zawartą w korespondencji tej tajemnicę, to jest ona Panu wiadoma obecnie. Tajemnica to niezbyt wielkiej wagi, lecz byłoby bardzo bolesnem dla mnie, gdybym ją miała widzieć komentowaną i przesadzaną. Dzieciom swoim, kiedy są w wieku dojrzałym, męskim, mówi się wszystko. To też mojemu biednemu przyjacielowi mówiłam wtedy to wszystko, co dziś mówię mojemu synowi. W czasach, gdy moja córka przyczyniła mi zmartwień nierównościami i przekornościami swego charakteru rozpieszczonego dziecka, skarżyłam się przed człowiekiem, który wówczas był mojem drugiem «ja». Charakter ten, który mię często ranił i przestraszał, odmienił się, dzięki Bogu, i ma

już dziś trochę doświadczenia. Wreszcie zaniepokojony umysł matki zbyt sobie wyolbrzymia te pierwsze objawy siły, te wady, które często są jego własnem dziełem, zwłaszcza, gdy za bardzo kochała i psuła swe dzieci. O wszystkiem tem po upływie lat kilku nie może być mowy na serjo. Ale te rodzinne wynurzenia mogą nabrać doniosłości w oczach pewnych ludzi, uprzedzonych na moją niekorzyść, i bardzobym bolała nad tem, gdyby ta tajemnicza księga mego poufnego życia miała być otworzoną przed całym światem na tej stronicy właśnie, na której tyle razy, wśród uśmiechów, pomieszanych ze łzami, wypisane zostało imię mojej córki.

Za nic w świecie jednak nie żądałabym od Pana zwrotu odpisu tych listów, któryś zaczął robić dla siebie. Byłam przeświadczoną, że z chwilą, w którejbyś Pan zrozumiał powód mych niepokojów, byłbyś mi Pan odesłał te odpisy, albo je spalił. Nie chcę również żądać od Pana, byś nie starał się nie zachować w swej pamięci nic z tego, co się odnosi do niej. Nie zasługuje ona już na to, i gdyby ci się to przypomniało kiedy, powiesz Pan sobie: «Jest to tajemnica matki, tajemnica, którą odkryłem przypadkowo; jest to, choć na inny sposób, rzecz tak święta, jak tajemnica kobiety. Pochowam ją w mojem sercu, jak w świątyni». Dziękuję Panu za to szlachetne uczucie, które żywisz w sobie, i którego mi dajesz tak wzruszający dowód...

Żegnam Pana, ściskam z wielką serdecznością obie Twe dłonie i posyłam Ci błogosławieństwo, którego mój wiek pozwala udzielić Pańskiemu młodemu talentowi i Pańskiej szczęśliwej przyszłości.

George Sand.

Ucałuj pan za mnie swego zacnego i znakomitego ojca.

Przybywszy w jakiś czas potem do Paryża, pani Sand zaraz dała znać o swym przyjeździe Dumasowi, prosząc go, aby ją odwiedził. Gdy się stawił na wezwanie, co go wobec rozgłośnej sławy autorki *Mauprat'a* przejmowało wielkiem wzruszeniem, przyjęła go bardzo serdecznie, a po niejakim czasie, gdy rozmowa wszczęła się na temat jej korespondencji z Chopinem, podeszła do stołu, na którym leżał duży pakiet dobrze znanych Dumasowi jej listów do Chopina, podała je swemu młodemu gościowi, a gdy na nie rzucił okiem,

gdy się przekonał, iż w pakiecie znajdowały się i listy Chopina do niej, i gdy je z powrotem oddał ich właścicielce, z zapytaniem: co zamierza uczynić z tą całą korespondencją? — ona, zamiast odpowiedzi na to pytanie, podeszła do kominka, którego rozpalony ogień ogrzewał cały pokój, i w tejże chwili, zanim ją Dumas zdołał powstrzymać od tego postanowienia, cały zbiór listów, zawierających tajemne dzieje dwu wielkich serc, dwu genjalnych istot, zajął się płomieniem... [1]).

[1]) Na podstawie opowiadania p. Samuela Rocheblave, który wiadomość o tej scenie zawdzięcza samemu Dumasowi, synowi.

JAK SIĘ NAPRAWDĘ ODBYŁO OSTATNIE SPOTKANIE CHOPINA Z PANIĄ SAND

Wbrew opinji wielu biografów Chopina pamiętniki pani Sand wcale nie są tak nie zasługujące na wiarę, za jakie się je podawać zwykło. Nie można tego żadną miarą powiedzieć o mnóstwie poetycznych legend, od których roją się różne monografje o Chopinie. Prym pod tym względem trzyma niewątpliwie książka Karasowskiego, najbardziej bezkrytyczna ze wszystkich.

Uprzedony do pani Sand, której rolę w życiu Chopina, jako jego wampira, najfałszywiej charakteryzuje, Karasowski z najwyższem niedowierzaniem zwraca się do relacyj o Chopinie, zawartych w *Histoire de ma vie*, a natomiast wierzy wszystkiemu, co o tej słynnej *liaison* opowiadają — a najczęściej bają — inni «współcześni».

Że ta metoda wydała fatalne wyniki, o tem najlepiej przekonać się na przykładzie, który bynajmniej nie jest odosobniony...

Opisawszy cały szereg drobnych przyczyn, które ostatecznie doprowadziły w r. 1847 do zerwania ośmioletniego stosunku z Chopinem, pani Sand w ten sposób opisuje swe ostatnie widzenie się z Fryderykiem:

«Zobaczyłam go na chwilkę w marcu 1848 r. Uścisnęłam jego rękę drżącą i jak lód zimną. Chciałam do niego przemówić, ale się usunął. *Je voulus lui parler, il s'echappa.* Nie miałam go już ujrzeć więcej...»

Tak było istotnie. Każde słowo, zawarte w tej lakonicznej relacji, jest prawdą. W jakich okolicznościach, gdzie i u kogo, rozegrała się ta dramatyczna scena pomiędzy skłonną do pogodzenia się «Lukrecją» a zrażonym już do niej Chopinem, o tem autorka *Consuela* nie rozpisuje się bliżej.

Wyręczył ją w tem Karasowski, który nie cytując źródła, skąd zaczerpnął swoją poetyczną opowieść, tak opisuje to dramatyczne spotkanie:

«Pod koniec marca został (Chopin) przez panią H., w której gościnnym domu często dawniej bywał, zaproszonym do przepędzenia u niej wieczoru. Przez chwilę, mając jakieś złe przeczucie, zawahał się i namyślał, czy ma przyjąć zaproszenie, czy nie; wkońcu jednakże przyrzekł swoją obecność. Na krótko przed ukazaniem się Chopina w salonie pani H., opowiadał ktoś, jak z tym mistrzem przepędzał mile w Nohant wieczory. Pewna dama utrzymywała, iż w najlepszych dziełach pani Sand wieje odcień chopinowskiego ducha, niby wspomnienie jego muzyki; jak prawie wszyscy o bujnej poetycznej fantazji pisarze, pani Sand, nim była w połowie swej literackiej pracy, już tworzyła plany do dzieł nowych, a nieraz chcąc dłużej przy biurku pozostać, prosiła Chopina, aby podczas, gdy ona pisać będzie, w przyległym do jej gabinetu salonie improwizował na fortepianie. Wtem dało się słyszeć przytłumione westchnienie; jakaś dama o bladem obliczu, o czarnych niespokojnych oczach, weszła do salonu, aby zaraz usiąść na osobności. Jedna tylko gospodyni domu śledziła niespokojnie jej ruchy. Kiedy już towarzystwo całe prawie zebrane było, o czarnych oczach kobieta powstała, a idąc chwiejnym krokiem, zbliżyła się do Chopina i, podając mu rękę, napół przymkniętemi usty szepnęła: Fryderyku!... Pierwszy dopiero raz po gwałtownem rozstaniu się z panią Sand — ona to bowiem była — ujrzał ją znowu przed sobą, z wyrazem pewnej skruchy na twarzy, jak gdyby pragnęła z nim

nanowo się pogodzić. Śmiertelna bladość pokryła jego delikatne i wychudłe oblicze; utkwił w nią wzrok swój, skłonił jej się chłodno, odwrócił się i wyszedł z salonu».

Wynika z tego, iż spotkanie to Chopina z panią Sand nie było przypadkowem, że było uplanowane przez ową «panią H.», która, widocznie przyjaciółka autorki *Lukrecji Floriani*, zapraszając Chopina do siebie na wieczór, podstępnie go wciągnęła w zasadzkę, ażeby tym sposobem ułatwić pani Sand uczynienie pierwszego kroku do zgody z zagniewanym na nią Fryderykiem. Przeczytawszy opowiadanie Karasowskiego, nie można dojść do innego wniosku.

Niestety, okazuje się, iż cała powyższa relacja tak się ma do rzeczywistości, jak zmyślenie do prawdy.

W rzeczywistości bowiem, które ujawniły świeżo ogłoszone listy Chopina do pani Sélange Clesinger, to dramatyczne spotkanie pani Sand w marcu r. 1848 z twórcą *Nokturnów* odbyło się całkiem inaczej, w zupełnie odmiennych, nierównie prozaiczniejszych okolicznościach.

Zachował się list Chopina, pisany nazajutrz po tem spotkaniu, list, który stwierdzając zupełną prawdomówność pani Sand, całkowicie obala legendę, zapisaną przez Karasowskiego.

Oto w jaki sposób sam Chopin opisuje to swoje przypadkowe spotkanie z panią Sand w liście do jej córki, w odpowiedzi na otrzymaną od niej wiadomość, że szczęśliwie powiła córkę:

Paryż, 5-go marca (1848).

Poszedłem wczoraj do pani Marliani. Wychodząc od niej, spotkałem się we drzwiach od przedpokoju z matką pani *(avec Madame votre mère)*, która właśnie wchodziła w towarzystwie Lamberta [1]). Powiedziałem matce pani «Dzień dobry», drugiem zaś mojem słowem

[1]) Eugenjusz Lambert, malarz.

było pytanie, czy dawno już, jak miała wiadomość od pani. «Przed tygodniem», odrzekła. «A nie miałaś pani żadnych wiadomości od córki wczoraj lub onegdaj?» «Nie». «W takim razie oznajmiam pani, że zostałaś babką: Solange ma córkę i cieszy mnie bardzo, że tą nowiną mogę z panią podzielić się pierwszy». Poczem ukłoniłem się i zeszedłem ze schodów. Towarzyszył mi Combes, Abisyńczyk (który z Maroku wpadł wprost w wir rewolucji), a ponieważ zapomniałem powiedzieć, że się pani dobrze czujesz, co jest rzeczą ważną, zwłaszcza dla matki (teraz, matko Solange, rozumiesz to łatwo), poprosiłem Combesa, aby się zawrócił, ile że sam nie mogłem włazić po schodach, i powiedział jeszcze, że pani masz się dobrze i dziecko również. Czekałem na Abisyńczyka na dole, gdy matka pani zeszła z nim jednocześnie i z wielkiem zainteresowaniem zadała mi szereg pytań o zdrowie pani; odpowiedziałem jej, że sama pani napisałaś do mnie ołówkiem kilka słów nazajutrz po urodzeniu się dziecka, żeś pani bardzo cierpiała, że jednak na widok córeczki zapomniałaś o wszystkiem. Zapytała mnie następnie, czy mąż wtedy był przy pani, na co odpowiedziałem, że list pani zdaje się być adresowanym jego ręką. Zkolei zapytała mnie, jak się mam, odpowiedziałem, że czuję się doskonale, i dałem znak portjerowi, żeby otworzył bramę. Ukłoniłem się i pieszo zaszedłem na Square d'Orléans razem z Abisyńczykiem...» [1])

. . . . . .

Wystarcza porównać te dwie relacje, ażeby się utwierdzić w przekonaniu, że o ile relacja pani Sand najzupełniejszą znajduje aprobatę w liście samego Chopina, o tyle poetyczna wersja Karasowskiego o scenie na wieczorze u tajemniczej «pani H.» jest legendą... wyssaną z palca!

[1]) List ten, we francuskim oryginale, znajduje się w książce p. Samuela Rocheblave p. t. *George Sand et la fille.*

W OBRONIE PANI SAND

Stało się zwyczajem u wszystkich monografistów, nietylko u nas, ale i zagranicą, że poeta, czy artysta, o którym piszą, stale jest przedstawianym, jako absolutny ideał, jako wcielenie wszelkich doskonałości, jako człowiek nie posiadający żadnych wad i usterek charakteru, żadnych małostek natury ludzkiej, a przytem jako człowiek nieomylny, zawsze mający słuszność, zawsze bezinteresowny, zawsze powodujący się najszlachetniejszemi pobudkami, natomiast wszyscy ci, z którymi w życiu ma do czynienia, przedstawiani są, jako ludzie mali i źli, pełni wad i śmieszności, powodujący się niskiemi pobudkami, nie cofający się przed podłostkami, zdolni nawet do podłości, a przedewszystkiem nigdy nie mający racji, zawsze winni wszystkiego złego, które się wydarzyło głównemu bohaterowi monografji. O zasadzie *Amicus Plato magis amica veritas* nigdy się nie pamięta w takich razach. Stąd stronność w wydawaniu sądów, zawsze pobłażliwych dla jednej strony, zawsze surowych dla strony drugiej. Na tym obłudnym zwyczaju mało kto wyszedł tak źle, jak pani Sand, która przez to, że odegrała wybitną rolę w życiu Musseta i Chopina, stale była przedstawianą przez ich biografów i monografistów, jako przewrotny charakter, jako kobieta bez serca, jako zmysłowa rozpustnica-wampir, jako przyczyna wszystkich nieszczęść, które się stały ich udziałem. Cóż dopiero, jeżeli przypadkiem taki monografista był usposobiony legitymistycznie, je-

żeli go drażniły radykalne przekonania, których głosicielką była pani Sand, jej demokratyczność, jej republikanizm, jej socjalizm. A że takich nie brakło między piszącymi o Mussecie i Chopinie, nie dziw więc, że do autorki *Lelji* odnoszono się ze stronniczością podwójną, raz dlatego, że chodziło o bohatera książki, którego pisało się bezwzględną apoteozę, a powtóre, że się było uprzedzonym do pani Sand, jako osoby niesympatycznej pod względem politycznym. Rezultat był ten, że każdy, kto pisał o Mussecie lub Chopinie, uważał sobie za obowiązek przedstawić panią Sand w jak najgorszem świetle, jako ich zły genjusz, który im złamał życie, który Musseta przyprawił o nałóg pijaństwa, a na Chopina ściągnął śmierć przedwczesną.

Co się tyczy Musseta, to dziś sprawa wyjaśniła się zupełnie, a wyjaśniła się całkiem na korzyść pani Sand, która na rewizji swego procesu w sprawie Musseta, dzięki wzorowemu objektywizmowi takich bezstronnych badaczy, jak Emile Faquet, Vicomte de Spoelberch de Loevenjoul, Samuel Rocheblave, Arvède Barine, wyszła jak najlepiej, bo się ukazała w świetle prawdy, nie zabarwionej żadną tendencją, czy to politycznej, czy osobistej natury. To też kto ma oczy do widzenia, a uszy do słyszenia, ten dziś we Francji wie już, co myśleć o roli, jaką pani Sand odegrała w życiu Musseta, i jakie było zachowanie się poety względem swej kochanki.

Inaczej ma się rzecz z Chopinem i jego dotychczasowymi biografami i monografistami. Dość powiedzieć, że nawet najsumienniejszy z nich, Niecks, z chwilą, gdy przystępuje do stosunku Chopina z panią Sand, odrazu zaczyna być stronnym, tendencyjnym, uprzedzonym i niesprawiedliwym. Stąd rażąca tendencyjność w przedstawieniu tego stosunku, tendencyjność, która mniej mogła dziwić w Karasowskim, spowinowaconym z rodziną Chopina, która jednak u Niecksa razi tem bardziej, że Niecks, jako niczem nie

związany ani z Polską, ani z Francją, ani z rodziną Chopina, ani z rodziną pani Sand, posiadał, zdawałoby się, wszelkie dane potemu, by się okazać całkiem bezstronnym i beznamiętnym superarbitrem. Niestety, nie zdobył się na tę bezstronność, zaczem poszło, iż całą sprawę przedstawił tendencyjnie, w fałszywem świetle, z takiem samem uprzedzeniem na niekorzyść pani Sand, jakiem grzeszyli jego poprzednicy.

Tymczasem pani Sand, choć i ona była nie bez wad, w stosunku do Chopina odegrała całkiem inną rolę, niż ta, jaką jej przypisują Karasowski, Niecks, *e tutti quanti*. Przedewszystkiem nie była jego wampirem, bo jej ośmioletni stosunek z Chopinem został przez nią zaraz w początkach unormowany na podstawach przyjaźni jedynie, co tem samem wykluczało te wszystkie smutne następstwa dla wątłego zdrowia Chopina, o których jego dotychczasowi biografowie pisali z ubolewaniem równem nieznajomości rzeczy. Niedowierzano też pani Sand, a nawet ironizowano na ten temat, gdy w swych wspomnieniach pisała o macierzyńskiej miłości, jaką żywiła dla chorego Chopina; a tymczasem ona pisała tylko rzetelną prawdę, bo nietylko wszyscy, co mogli obserwować to familijne pożycie zawsze wyrażali się z najwyższem uznaniem dla poświęcenia pani Sand, z jakiem pielęgnowała Chopina, gdy był chory, ale nawet rodzina Chopina, choć pod pewnemi względami mogła mieć niejakie zastrzeżenia co do tej *intimité*, to jednak, gdy chodziło o opiekę, jaką pani Sand roztaczała nad Fryderykiem, była pełna uwielbienia i wdzięczności dla niej, jako dla jego «anioła opiekuńczego», jako dla tej, która dzięki swej praktyczności doskonale potrafiła niezaradnemu artyście «zastępować matkę», gdy chodziło o realną i prozaiczną stronę życia [1]). Niepraktyczny z natury, a przy-

[1]) Wystarcza przypomnieć choćby następujące wyjątki z listów rodziny do Fryderyka: «Resztę napiszą siostry, (pisał raz do niego szwagier jego, Barciński), a ja Cię tylko

tem mało troszczący się o drobne codzienne sprawy, Chopin, który nawet listy pisywał na listowym papierze pani Sand, żył, dzięki niej, w atmosferze rodzinnej, może burżuazyjnej nieco, ale bądź co bądź w atmosferze domowej, w której nie odczuwał starokawalerskiego osamotnienia i pustki, co dlań bezwarunkowo było dobrodziejstwem pod względem psychologicznym. Gdy zachorował, a chorował często, miał tę pewność, że będzie pielęgnowany, jak rodzony syn, nie potrzebował lękać się samotności i opuszczenia w chorobie. Pod tym względem nie mógł trafić na osobę troskliwszą, jak nią była pani Sand, szczycąca się tem, że jako *guarde malade*, nie potrzebowała się obawiać współzawodnictwa, bo istotnie miała niezaprzeczony talent do pielęgnowania chorych. Tym wszystkim zaś, którzy nie chcą wierzyć, że pani Sand przez długi czas była bardzo dobrą dla Chopina — dopóki się nie poróżnili ostatecznie — i którzy, nie wiadomo, na jakiej zasadzie, twierdzą uporczywie, że Chopin był «ofiarą» pani Sand, należy przypomnieć fakt, że wcale nie brakło takich, zarówno między Francuzami (żeby tylko wymienić Piotra Leroux), jak i wśród emigrantów-przyjaciół Chopina, którzy w tej kwestji byli wręcz przeciwnego zdania, uważając na podstawie osobistych obserwacyj, że jeśli mogła być mowa o «ofierze» w tym stosunku, to ofiarą była raczej pani Sand, nie Chopin. Dość powiedzieć, że

ściskam serdecznie i proszę oświadczyć tej, która Ci miejsce matki zastępuje, moją najszczerszą wdzięczność i głęboki szacunek». «Wdzięczność Twej opiekunce (pisała do niego siostra jego, Izabella), za jej pieczołowitość o Tobie i serce nam okazane! Jej kilka wyrazów uspokoiły Mamę i nas co do zdrowia Twego. Co to jest, kiedy kto ma serce; nie znając osób, umie im do serca trafić i wlać w dusze strapione pociechę. Ty, mój jedyny, podziękuj jej za to najczulej i sam nie poddawaj się słusznemu, należnemu żalowi». «Nie, kochane dziecko, (pisała raz matka do niego), tego nie zrobię, tem bardziej, że są z Tobą osoby, które mają o Tobie troskliwe staranie, za co im bardzo wdzięczna jestem».

tego zdania był Mickiewicz![1]). Cokolwiekbądź, jedno jest pewnem zupełnie, że Chopin nietylko nie był nigdy ani przez chwilę «ofiarą» pani Sand (jak nią nie był również Musset), ale, przeciwnie, miał jej wiele do zawdzięczenia. Dzięki niej i jej stosunkom w świecie dziennikarskim paryskim, zawsze, ile razy myślał wystąpić z koncertem, mógł liczyć na życzliwe poparcie różnych wpływowych dzienników, których redaktorami i współpracownikami byli serdeczni przyjaciele pani Sand. Jakoż popierali go, jak mogli, tak, że nietylko zdawali sprawę z jego koncertów, ale nadto przed każdym koncertem rozgłaszali jego sławę, pisując entuzjastyczne artykuły o nim, co oczywiście nie pozostawało bez wpływu na pokup biletów... Lecz było to drobnostką w stosunku do innych awantażów, które Chopin miał do zawdzięczenia pani Sand. Przedewszystkiem, od roku 1839 począwszy aż do roku 1846, każde wakacje spędzał w Nohant, na świeżem powietrzu wiejskiem, w pięknym klimacie, zbawiennie oddziaływającym na jego zdrowie, i w spokoju, co po gorączkowem życiu paryskiem również miało zbawienny wpływ na jego zdrowie. Nie należy zapominać, że te wakacje trwały zawsze cztery do pięciu miesięcy, od maja do listopada, czyli, iż dzięki pani Sand, mógł Chopin, przez siedm lat z rzędu, co roku spędzać kilka miesięcy na wsi w dali od paryskiego zgiełku, w warunkach zdrowotnych doskonałych, i dla jego chorych płuc, i dla jego przeczulonych nerwów. Po każdym takim pobycie w Nohant wracał wzmocniony na siłach, zdrowszy na ciele i duszy, z nowym zapasem zdrowia i sił na zimę.

[1]) W dzienniku pani Juste Olivier, pod datą 5 marca 1842 roku, czytamy, co następuje: *«Mickiewicz m'apporte une lettre de George Sand fort aimable, et croit que Chopin est son mauvais génie, son wampir moral, sa croix, qu'il la tourmente et finira peut-être par la tuer»*. Zob. Leon Séché, *Sainte-Beuve*, II, 109. Sama pani Sand pisała raz o Chopinie, wyczerpana pielęgnowaniem go w chorobie: *«Il est malade et je m'en meurs»*.

Śmiało można twierdzić, że te pobyty w Nohant przedłużały życie Chopinowi, że bez tej możności spędzania co roku po kilka miesięcy na wsi, możeby umarł prędzej. Co pewna, to, że zerwawszy z panią Sand, a tem samem nie mogąc jeździć na wieś do niej, musiał Chopin zaraz pierwsze lato w r. 1847 spędzić w Paryżu, w kanikule, co bardzo podkopało jego zdrowie. Inaczejby było, żeby się pogodził z panią Sand, która dążyła do zgody, a która go zaraz chciała zabrać do Nohant, żeby tam przyszedł do siebie. Stało się inaczej, zaczem poszło, że opuszczony artysta, nie mając nikogo, w Paryżu, do kogoby się mógł przygarnąć, tak jak się przygarnął do pani Sand, pojechał w r. 1848 do Anglji, której klimat okazał się dla niego zabójczym, a lato spędził w Szkocji, w warunkach jak najgorszych dla swego ówczesnego stanu zdrowia. Zamiast siedzieć spokojnie w *château de Nohant* pod macierzyńską opieką swej przyjaciółki, musiał się tułać z zamku do zamku, od jednego lorda do drugiego, w mglistym wilgotnym klimacie szkockim, w którym się dusił formalnie, w którym zamierał poprostu. Inaczejby było niewątpliwie, gdyby, pogodziwszy się z panią Sand, to lato spędzał w Nohant. O ile go dobił wyjazd do Anglji, o tyle kto wie, czyby go wyjazd do Nohant nie był postawił na nogi. W Anglji, przez cały czas, w warunkach klimatycznych jak najgorszych, w ciągłych rozjazdach, nie miał chwili spokoju; w Nohant zaś, w warunkach klimatycznych najlepszych, miałby kilka miesięcy zupełnego wypoczynku. Lecz niedość tego. Dając Chopinowi możność spędzenia co roku po kilka miesięcy w Nohant, pani Sand nietylko miała tę zasługę, że mu przyczyniała zdrowia, a więc przedłużała jego nikłe życie, ale mu tem samem stwarzała możliwie najlepsze warunki do pracy twórczej kompozytorskiej. Wiadomo, że Chopin, gdy pozostawał w Paryżu, gdzie mu wszystek czas pochłaniały lekcje i życie towarzyskie, nie czuł się usposobionym do kompo-

nowania. Nie miał na to potrzebnego spokoju. Jakoż komponował tylko w Nohant. A że tam co roku spędzał po kilka miesięcy, w zupełnym spokoju, wśród wiejskiej ciszy i poezji, więc komponował bardzo dużo, bo miał doskonałe po temu warunki. Nawiasem mówiąc, miał dobry przykład z pani Sand, która, bardzo pracowita z natury, w Nohant gorliwie oddawała się pracy literackiej. Nie mogło to nie mieć pobudzającego wpływu i na Chopina. W każdym razie pozostanie faktem niezaprzeczonym, że w ciągu lat 1839—1846, których letnie miesiące Chopin spędził w Nohant, powstały jego najwspanialsze, najgenjalniejsze utwory, w których jego genjusz wzniósł się do swego zenitu. Wszystkie najznakomitsze kompozycje Chopina, zaczynając od *Preludjów*, które wykończył na Majorce, a kończąc na *Polonaise-Fantaisie*, powstały w latach, na które przypada jego pożycie z p. Sand. Kompozycyj tych, większych lub mniejszych, da się naliczyć blisko siedmdziesiąt, w tej liczbie takie arcydzieła, jak *Scherzo Cis-moll, Polonezy A-dur, Fis-moll* i *As-dur, Fantazja F-moll*, 4-ta *Ballada, Sonaty B-moll* i *H-moll*, najpiękniejsze *Nokturny* i *Mazurki*. Wszystko to zostało napisane w Nohant, w gościnnym domu pani Sand, w tym zacisznym pokoju na pierwszem piętrze, w którym Chopin, dzięki swej przyjaciółce, miał potrzebny spokój do pracy, jakiego nie miał w Paryżu. Dlatego i my powinniśmy być wdzięczni słynnej powieściopisarce, że dzięki niej mógł Chopin przez lat siedm z rzędu, i to w latach męskiej dojrzałości, spokojnie oddawać się pracy kompozytorskiej, która nietylko jemu wyszła na nieśmiertelną chwałę, ale i jego nieszczęśliwemu narodowi.

Tymczasem lepiej nie rozwodzić się o tem, w jak mało rycerski sposób, ci, co u nas pisali o Chopinie, opisywali rolę pani Sand w jego życiu. Przedstawiano ją, jako tę, która go doprowadziła do zguby, jako czarny charakter, jako kobietę bez serca, jako wcielenie egoi-

zmu i przewrotności. Pod tym względem przez długi szereg lat panowała dziwna jednomyślność; wszyscy powtarzali, jak za panią matką pacierz, najbardziej uwłaszczające sądy o autorce *Lelji*, o jej fatalnym i zabójczym wpływie na Musseta i Chopina, jedni przepisywali z drugich — oczywiście bez powoływania się na swych poprzedników — przesadzano się w szafowaniu najbardziej dobitnemi wyrażeniami na określenie charakteru i nienasyconych popędów zmysłowych p. Sand, tylko nikt nie zadał sobie potrzebnego trudu, by dokładnie przestudjować literaturę, która we Francji powstała o p. Sand, literaturę, która jest bardzo bogatą i wyczerpującą, a która i na słynną powieściopisarkę i na jej stosunek do Musseta i Chopina, całkiem odmienne rzuca światło, niż to, które na nią rzucało najpospolitsze nieuctwo, czy niedouczenie. Wszystko złe, co u nas dotąd pisano o pani Sand, w tem jedynie miało swe źródło. Mogły być wypadki złej woli — choć tego nawet nie przypuszczam — mogły być wypadki tendencyjności lub chęci schlebiania opinji, czyli dbałości o łatwą popularność, ale głównie grzeszono tem, że wszyscy biografowie Chopina, polscy i zagraniczni, nawet Niecksa nie wyłączając, przystępowali do wydawania sądu, i to sądu surowego i potępiającego, bez należytego zbadania sprawy, bez potrzebnego przygotowania i erudycji w danym przedmiocie. Stąd ferowanie potępiających wyroków na panią Sand, równie lekkomyślne i płytkie, jak niesumienne i pozbawione rzetelności.

Dopiero w ostatnich czasach, od jakichś dwóch lat może, zaczęto powściągać się nieco, gdy przychodziło wypowiadać swe zdanie o p. Sand w stosunku do Chopina, w czem niewątpliwie jest trochę zasługi niżej podpisanego. Ale i w tych nieco oględniejszych sądach znać jakby brak odwagi do bezstronnego przyznania p. Sand tego, co się jej, jako przyjaciółce Chopina, słusznie należy. Oto np. jak tę kwestję stawia

w swej książce Henryk Opieński: «Czy jednak istotnie działanie tego uczucia było tak wyłącznie destrukcyjne, jak się to w ogólnem mniemaniu upowszechniło, czy ta wielka miłość nic Chopinowi nie dała? Jest to kwestja, wymagająca w każdym razie dokładnego rozpatrzenia. I nie chodzi tu bynajmniej o jakąś rehabilicję p. Sand; znane dokładnie fakty z jej życia, świadectwa osób współczesnych i własne jej pamiętniki oświetlają bardzo wyraźnie jej charakter, charakter istoty zmiennej i kapryśnej, gwałtownej w swych uczuciach, ale niezdolnej do trwałego prawdziwego poświęcenia, idącej za swemi zmysłami i fantazją chwili z bezwzględnym egoizmem, co najgorsza, przewrotnie pozującej na najwyższą cnotę w powieściach swych i pamiętnikach. Mimo to wszystko jednak nie można utrzymywać, że miłość p. Sand zniszczyła i złamała Chopina duchowo i fizycznie. Stawianie kwestji w ten sposób, to niezdawanie sobie sprawy, że właściwie i jedynie niszczy i łamie artystę nie szczęście i cierpienie, idące prawie zawsze nieodłącznie razem, ale zaparcie się swej sztuki dla szalonej absorbującej namiętności, owa Tannhäuserowska gnuśność w Wenusbergu, która zresztą u silnego i prawdziwego artysty może być tylko chwilowem odstępstwem. Prawdziwem niebezpieczeństwem, które grozi obniżeniem i marnowaniem twórczości, bywa nawet miłość szczęśliwa, ale niedobrana, stawiająca artystę w warunki wrogie dla jego rozwoju, w pospolitość życia lub konieczność produkcji nadmiernej i mechanicznej dla codziennych życiowych powodów. To są istotne destrukcyjne elementy, które niweczą niezbyt silnego artystę, ale miłość do pani Sand właśnie od nich była wolną. Była to namiętność, która niszczyła, ale dawała zarazem życie, przeprowadzając duszę artysty przez cierpienie, które je pogłębiało niezmiernie, stawiając wobec najbardziej zasadniczych zagadek istnienia. Zanim przyszły rozczarowania i dysonanse późniejszej epoki, pierwsze lata tego stosunku

mogły dać Chopinowi niesłychanie wiele, nietylko przez samo szczęście, jakie znajdował w miłości, ale przez zetknięcie się z umysłem pani Sand wszechstronnym, niezwykłym, który swoją inteligencją, niesłychanie lotną i żywą fantazją twórczą, mógł otworzyć, rozwinąć i pogłębić niejedną zamkniętą dotąd władzę jego intelektu i duszy tak na wszelkie objawy piękna wrażliwej, a przez to rozwinąć i pogłębić jego twórczą władzę».

Jak dalece — od niedawna dopiero — zaczęto się mitygować w potępianiu pani Sand w stosunku do Chopina, o tem najlepiej świadczy wydana «w setną rocznicę urodzin» książka *O Fryderyku Szopenie* pióra St. *Niewiadomskiego*. Oto, jak w niej scharakteryzowano rodzaj stosunku Chopina i pani Sand, «jedynego, który w życiu artysty miał wielkie znaczenie»: «Skłonność jego do tej dziwnej kobiety, a następnie i przywiązania, leżały niezawodnie w tem, że on, który całą swą energję wyładowywał w utworach muzycznych, do spraw życia codziennych energji nie posiadał, a więc w towarzyszce instynktownie czuł się zmuszonym jej szukać. Każda z jego dawniejszych wybranek stosowna była na ideał kompozytora, na wcielenie w Larghetto, w Rondo, w walczyk lub nokturn; podporą, na której, jak pajęczyna mógłby się owinąć (wyrażenie jego własne) mogła być tylko osoba o właściwościach pani George Sand. Zapragnąwszy go poznać, pierwsza weszła do domu Chopina. Zaprosiwszy następnie do swej posiadłości wiejskiej Nohant, otoczyła go wszystkiem, czego istota jego materjalnie potrzebowała, przyjaźnią, opieką, a gdy choroba zaczęła się ukazywać, i troskliwą pieczołowitością. Wysoka jej inteligencja, niepospolity talent literacki, a przytem niezaprzeczenie i sława, jakiej już w owym czasie w całej zażywała pełni, muszą tu także być wliczone, jako czynniki, oddziaływające silnie na Chopina. A jeżeli postać jej fizyczna i duchowa nie stawała się dla niego bezpośrednią inspiracją, jak u tamtych było osób (nie poświęcił żadnej

swej kompozycji pani G. Sand), to samo usunięcie trosk codziennych, samo stworzenie mu pewnej rodzinnej atmosfery i warunków pracy, a nadewszystko pielęgnacja w chorobie, zasługują na to, aby jej bezwzględnie nie potępiać, zwłaszcza, że Chopin darzył ją żywą wdzięcznością, wyrażał się zaś zawsze o niej z jak największą czcią, niekiedy jakby lękając się dobre to bóstwo nazwać po imieniu».

Jest to już olbrzymi krok naprzód w porównaniu z tem, co u nas w dawniejszych monografjach o Chopinie wypisywano o «przewrotności» pani Sand i jej «fatalnym» wpływie na zdrowie i twórczość artysty. Fakt przecież, i to fakt niezbity, że na lata 1839—1846, t. j. na czas jego stosunku z panią Sand, przypada zenit twórczości Chopina, jej najświetniejszy rozkwit, ujawniający się w szeregu największych arcydzieł, jakie skomponował kiedykolwiek, fakt ten całkiem prześlepiony przez tych, co do ostatnich czasów pisali o Chopinie, a przynajmniej nie brany przez nich w rachubę, wkońcu narzucił się siłą rzeczy, jako argument, bądź co bądź, dający do myślenia.

Mimo to, jeszcze aż do ostatniej chwili, t. j. jeszcze w ciągu 1910 r., nie zaprzestano u nas, w książkach i artykułach poświęconych Chopinowi, znęcać się nad pamięcią pani Sand. Jak w *Panu Tadeuszu* cała szlachta z dobrzyńskiego zaścianka krzyczy z zapałem godnym lepszej sprawy «Hajże na Soplicę», tak w naszej literaturze szopenowskiej, przy każdej okazji wciąż jeszcze rozlega się mało rycerskie, a co gorsza całkiem bezkrytyczne «Hajże na panią Sand!» Nawet ci sami, co na jednej stronie piszą o jej bądź co bądź zapładniającym wpływie na twórczość Chopina, którzy nie mogą zaprzeczyć, że pani Sand «dawała twórczości jego podnietę, potęgowała jego wrażliwość twórczą», nawet i ci, charakteryzując panią Sand, jeszcze wciąż się rozpisują o jej «artystycznej naturze pokrywanej przewrotności», o jej «męskim prawie egoizmie», dla którego

«miłość nie była wcale potrzebą serca», o jej «chęci pozowania na wzór cnoty i prawości», o jej «łzach nawet, pełnych fałszu i nieszczerości», o jej «źle ukrywanej oziębłości i bezwzględności», o jej «pałającej żądzy silnie ku niemu rozbudzonych namiętności», o jej tartuffowskiej obłudzie w stosunku do Fryderyka, sprawiającej, że «umiała, jeżeli już nie sercem, to inteligencją odczuwać nieskazitelną prawość natury Chopina, i nie mogąc się do niej przystosować, t. j. nie mogąc siebie odmienić, pragnęła przynajmniej do czasu udawać taką, jakaby się jemu podobać powinna». W jednej monografji o Chopinie, wydanej w r. 1910, znajdujemy taką charakterystykę pani Sand i jej stosunku z Chopinem: «Pani Sand zawierała w sobie pomimo pewnych cech męskości charakteru dużo z typu t. zw. hetery, będąc zarazem demoniczną naturą..., a będąc przytem «bardzo piękną», posiadała dar i moc demonicznego opętywania upatrzonych ofiar, rozkochiwania w sobie. Po romansie z utalentowanym literatem, Juljuszem Sandeau, oplotła młodziutkiego Alfreda de Musset zabójczą siecią swej miłości i wdzięków, i wyssawszy zeń całą słodycz, niby namiętny, spragniony coraz to nowej a subtelnej słodyczy motyl, szukała innego kwiatu. Była zmysłowa, jak najbardziej zmysłowy samiec-mężczyzna. A kwiat się znalazł i zachwycił ją, artystycznego motyla. Kwiat cudny, subtelny, czarem wdzięków, pieśni i dźwięków otoczony, Chopin!... Faktem jest, że Chopin z ciałem i duszą pochłonięty został tym żarem namiętnego płciowego oddania się. Miłość pani Sand ku Chopinowi — jeżeli zgodzimy się nazwać miłością czyste pożądanie płciowej rozkoszy z wybranym mężczyzną — oparta właśnie na tym skrzydlatym, przelotnym (bo wskutek pewnych praw fizjologiczno-biologicznych zmiennym) amorze, po pewnym czasie musiała się rozwiać, a wraz z tym przy takiej prawie niewspółwymienności uczuć wzajemnych musiała prysnąć harmonja pożycia miłosnego tych dwojga artystów».

«Słynna powieściopisarka George Sand — pisał niedawno pewien autor — kobieta w pragnieniach zmysłowych nienasycona, gotowa skruszyć na miazgę i odtrącić to, co przed chwilą zdawało się jej być potrzebnem do uspokojenia jej żądz wzburzonych, niezdolna zachować równowagi, rozsądku, przyzwoitości i godności niewieściej w postępowaniu, w każdym jednak razie kobieta genjalna, oczarowana kompozycjami Chopina i jego osoby, pragnęła się z nim poznać».

Na takich i tym podobnych premissach budując swą psychologiczną osnowę miłości Chopina i pani Sand (którą z zasady przedstawiało się jako «naturę przewrotną, fałszywą i obłudną»), gdy wkońcu wypadło powiedzieć coś o zerwaniu tego stosunku nie pozostawało nic innego — jeśli zbywało na ochocie gruntownego przestudjowania literatury w tym przedmiocie — tylko całą winę zwalić na panią Sand, która, pragnąc się «pozbyć» Chopina, w tym celu miała napisać *Lukrecję Floriani*. «Pani Sand — pisze jeszcze w r. 1910 jeden z biografów Chopina — z coraz większą bezwzględnością, a nawet brutalnością zaczęła dawać do zrozumienia kochankowi, że chce go się pozbyć, i uciekała się w tym celu do różnych środków, nawet do dzieł sztuki, napisała bowiem powieść p. t. *Lukrecja Floriani* i t. d. i t. d. «Kobiecie tej — pisze w r. 1910 inny autor — o wcale niewielkim zasobie uczucia, tkliwości serca lub stałości, już dawno sprzykrzyła się ta rola siostry miłosierdzia. Szukała tylko sposobności do zerwania, a kiedy znając szlachetną stronę charakteru Chopina, w ten punkt ugodziła i t. d. i t. d.». Inny autor, rozważając powody zerwania Chopina z panią Sand, tak w r. 1909 pisze w tej kwestji: «Nie posiadamy żadnych pozytywnych danych, jakie wrażenie zrobiła na Chopinie ta powieść, której sam podobno miał robić korektę; należy chyba przypuszczać, że przywiązanie artysty w owym czasie było jeszcze tak silne, że zasłaniało mu całą przewrotność pani Sand, i kazało jego

szlachetnej duszy zapatrywać się na *Lukrecję Floriani*, jako na niepospolite dzieło sztuki [1]), wobec którego wszelkie osobiste pretensje ustąpić musiały; niepodobna bowiem przypuszczać, aby Chopin, zdając sobie sprawę z nieetycznego postępku pani Sand, raz jako artystki, przez sztukę przeinaczającej prawdę dla celów życiowych, oraz jako kochanki, w sposób tak brutalny odsłaniającej oziębłość swych uczuć, mógł jeszcze decydować się na dalsze z nią pożycie. Należy więc przypuścić pierwszy wypadek, prawdopodobnie jednak rozważanie tej sprawy, może zwrócenie uwagi przez kogoś z bliższych, stały się bodźcem bolesnym, i zaczęły Chopinowi otwierać oczy na istotny stan rzeczy. Siłą tragiczną, która musiała wcześniej czy później doprowadzić do stanowczego rozejścia, był brak prawości w duszy pani Sand, była jej miłość o męskim egoizmie, pozbawiona absolutnie cech uczucia kobiecego, t. j. poświęcenia i zatopienia się w ukochanym mężczyźnie, oddania mu się wyłącznie i na wieki, miłość, będąca, jak zresztą u wielu mężczyzn-artystów, gwałtownym wybuchem zmysłów i wyobraźni, nie zabierającej całego serca, całego życia. Prędzej jeszcze jednak byłby Chopin pogodził się z tą miłością, a raczej z tą niemiłością, względem której uczucia jego zupełny prawdopodobnie stanowiły kontrast, prędzejby darował to ochłodzenie namiętności, przywiązując się do p. Sand, tak, jak przywiązują się i zostają wierne kochanym przez siebie, choć już nie kochającym mężczyznom, kobiety, ale nie mógł jej przebaczyć tej nieprawości duszy, jaką poznać z czasem musiał, zwłaszcza w stosunku do jej dzieci, które jak własne pokochał. Że pani Sand istotnie Chopina, który coraz bardziej na zdrowiu zapadał, pozbyć się chciała, nie ulega chyba wątpliwości;

[1]) Nadmienić się godzi, że Chopin uważał *Lukrecję Floriani* za jeden ze słabszych utworów pani Sand, jak temu dał wyraz w jednym z listów do rodziny.

jej późniejsze żale nie mogą starczyć za dowód przeciw temu, postępowanie zaś w latach ostatnich świadczyło, że coraz mniej robiła sobie skrupułów z okazywania Chopinowi całej bezwzględności swej natury, coraz częściej musiało przychodzić do scen przykrych, gwałtownych, aż wreszcie przebrała się miara, kiedy postępowanie pani Sand z córką Solange, do której Chopin nieomal jak do własnej był przywiązanym, stało się tak brutalnem, że oburzyło go do żywego». Tenże autor, pisząc o ustępie z pamiętników p. Sand, opisującym (najzgodniej z prawdą) ostatnie spotkanie jej z Chopinem, konkluduje w ten sposób: «Jedna więcej przewrotność, jedno więcej kłamstwo i to powiedziane, aby niewiadomo kogo w błąd wprowadzić».

Słowem, jeszcze do dziś dnia, pisząc o pani Sand i jej stosunku do Chopina, przedstawia się ją często, jako moralnego potwora, jako nikczemny charakter.

Nawiasem mówiąc, w ten sam sposób postępuje się najczęściej i z ojcem Marji Wodzińskiej, którego się przedstawia jako jakiegoś zaciętego arystokratę, niczem jakiegoś butnego i pysznego wojewodę z *Marji* Malczewskiego, jako człowieka bez serca i sumienia, człowieka, w którym rodowa duma była jedynym bodźcem działania. Tymczasem w rzeczywistości, Wincenty Wodziński był bardzo poczciwym i zacnym człowiekiem, względem Chopina najżyczliwiej, prawdziwie po ojcowsku usposobionym.

Z ŻYCIA CHOPINA

«Słabszy się czuję, nie mogę komponować, nie tyle dla braku chęci, ile dla fizycznych przeszkód, bo się tłukę co tydzień po innej gałęzi. A cóż mam robić? *Zresztą oszczędza mi to trochę grosza na zimę*»... Tak brzmiał wyjątek z listu Chopina do Grzymały, z d. 1 października 1848 r., kiedy artysta bawił w Szkocji, w zamku lorda Stirling. Było to już po szeregu koncertów, z któremi wystąpił w Glasgowie, w Edinburgu i Manchester, a które, powiódłszy się znakomicie, przyniosły mu znaczny dochód. Niestety, były to ostatnie zarobione przezeń pieniądze. Gdy po upływie sześciu miesięcy, w marcu roku 1849, znalazł się zpowrotem w Paryżu, gonił już resztkami, a że od chwili, gdy przyjechał, prawie ciągle musiał leżeć w łóżku, niezdolny ani do pracy kompozytorskiej, ani do dawania lekcyj, przyczem wydatki wciąż się zwiększały w miarę rozwijającej się choroby, więc doszło do tego niebawem, iż genjalny twórca *Mazurów* i *Polonezów* ujrzał się bez grosza... Zaprzyjaźniony z nim serdecznie wiolonczelista Franchomme, na którego głowie spoczywała cała finansowa strona egzystencji chorego, widząc pustki w kasie, nie znajdował innego sposobu wyjścia z tego krytycznego położenia, tylko naradzić się z gronem najbliższych znajomych i wielbicieli mistrza, co czynić? Należało skądciś dostać pieniędzy, Chopin bowiem, o ile nie wiedział, jak zaradzić temu bankructwu, o tyle denerwował się niem, tak, że natychmiast czuł się gorzej. Skończyło się na tem, że się udano do panny Stirling, która, jako dawna uczennica Chopina, była tak zagorzałą jego wielbicielką, iż ją nawet posądzano o źle ukrywaną miłość ku niemu... Przed paru laty Chopin dedykował jej prześliczne dwa Nokturny, *F-moll* i *Es-dur*, a kiedy na początku roku zeszłego, po wybuchu rewolucji lutowej, zdecydował się jechać do Anglji, to przyczyniły się do tego w znacznej mierze i namowy ze strony «Szkotek», jak nazywał pannę Stirling i jej siostrę, panią Erskine. Była to osoba bogata nadzwyczaj, a że kult, jaki żywiła dla Chopina, był wiadomy powszechnie (wiedziano nawet, że Chopina często nudziły jej czułości i zbytnie zajmowanie jego osobą), nie wątpiono przeto, że dowiedziawszy się o kłopotach swego mistrza, nie omieszka mu przyjść z pomocą. Jakoż nie zawiodła pokładanego w niej zaufania: gdy jej powiedziano, jak rzeczy stoją, nie namyślając się ani chwili, ofiarowała 25.000 franków, wyrażając gotowość ofiarowania więcej, jeśli tego tylko zajdzie potrzeba.

O całem tem smutnem zajściu istnieje kilka wersyj, które warto poznać bliżej, bo nietylko opowiadają, jak romantyczną drogą doszły Chopina te pieniądze, lecz równocześnie rzucają ciekawe światło na ówczesny nastrój umysłów, dla nas dziś całkiem prawie niezrozumiały, a wielce dla epoki charakterystyczny.

Pani Rubio, jedna z celniejszych uczennic Chopina, opowiadała historję tę Niecksowi w następujący sposób. Pewnego dnia zjawił się u niej Franchomme, z oświadczeniem, że należy przedsięwziąć jakieś kroki, ażeby wystarać się o pieniądze dla Chopina, o czem dowiedziawszy się ona, zaproponowała poprosić o zasiłek bawiącą właśnie w Paryżu pannę Stirling, przybyłą tu umyślnie dla opiekowania się chorym artystą. Gdy Franchomme uznał pomysł ten za dobry, pani Rubio, jak zapewnia, udała się niezwłocznie do bogatej Szkotki, ta zaś usłyszawszy o kłopotliwem położeniu swego ulubieńca, przeraziła się w najwyższym stopniu, tłumacząc

przybyłej, że nie dalej, jak kilka dni temu posłała Chopinowi, nic o tem nie mówiąc nikomu, 25.000 franków. Posłała je w pakiecie, który dla niepoznania od kogo pochodził, kazała zaadresować w jakimś sklepie, a następnie, opieczętowawszy, poleciła wręczyć artyście. To był fakt; skoro Chopin do tej pory nic nie wiedział, ani wspominał o otrzymanej anonimowej przesyłce, dowodziło to tylko, że pieniądze gdzieś utkwiły po drodze. Ale gdzie?... Przedsięwzięto wszelkie możliwe starania, ażeby odnaleźć przepadłą zgubę, lecz szukano daremnie; pakiet zniknął, jak kamfora. Oczywiście, że to wywołało niemałą konsternację wśród przyjaciół Chopina. Gdy sobie łamano głowy, gdzie się pieniądze te podziać mogły, wpadł ktoś na oryginalny pomysł, ażeby zasięgnąć rady u słynnego mediumisty Aleksandra... Autorem tego pomysłu był, według pani Rubio, jakiś literat szkocki, znajomy czy krewny panny Stirling, nazwiska wszakże jego nie zapamiętała... Jakkolwiek niemało dałoby się powiedzieć o tej prawdziwie szkockiej propozycji, to jednak, ponieważ wyczerpano wszelkie środki, zdecydowano się spróbować jeszcze i tego. A nuż się uda!... Nowoczesny czarownik, zapytany, gdzie szukać rzeczonego pakietu, oświadczył, że paczkę tę wraz z listem oddano żonie portjera, u której znajduje się dotychczas; że on jednak, ażeby móc cośkolwiek bliższego powiedzieć w tym przedmiocie, koniecznie musi dostać choć kilka włosów z głowy podejrzanej odźwiernej; w przeciwnym razie nie jest w możności dać żadnych dokładnych informacyj. Zadanie nie było łatwe, ale nie przedstawiało się znowu jako niemożliwe do spełnienia. Poprostu wypadało uciec się do podstępu!... Jakoż uknuto formalny spisek na głowę odźwiernej, a co najzabawniejsze, że i Chopin, gdy go wtajemniczono w całą sprawę, nietylko dał się wciągnąć do tego niepowszedniego spisku, ale nawet, po długich naradach, w jaki sposób dałoby się podejść niczego nie domyślającą się kobietę, skoro zdecydowano, że najłatwiej

by się dopięło celu, gdyby on był wykonawcą całego zamachu, nie cofnął się przed przyjęciem tej ryzykownej a trudnej roli. Ażeby się z niej godnie wywiązać, artysta poprosił portjerkę, ażeby mu wieczorem umyła nogi, co zresztą zdarzało się jej czynić już niejednokrotnie... Gdy przyszło do tej czynności, Chopin tak poprowadził rozmowę, że jakoś zgadało się o włosach wogóle, a po niejakim czasie o włosach *madame la concierge* w szczególności. Wkońcu, prawdopodobnie ku niemałemu zdziwieniu stróżki, artysta wyraził życzenie, że pragnąłby posiadać plecionkę z jej włosów... *Madame la concierge*, uważając to za jedno z tych dziwacznych zachceń, z któremi tak często spotyka się u ludzi chorych, i nie śmiąc sprzeciwić się podobnemu żądaniu, uczyniła mu zadość, choć pewno sobie pomyślała, że jednak temu panu Chopinowi coś się musiało pomieszać w inteligencji... Ale nie o to chodziło, co sobie pomyśli pani portjerowa, lecz o jej włosy!... Gdy je zdobyto, zaraz nazajutrz pospieszono z niemi do Aleksandra, ten zaś, przyjrzawszy się im, orzekł, że pieniądze znajdują się ukryte w zegarze ściennym, wiszącym w mieszkaniu portjera. Otrzymawszy tę informację, nie zwłócząc udano się do portjerki, która, zapytana o taki to a taki pakiecik, niedawno przysłany do pana Chopina, w pierwszej chwili zbladła, jak kreda, poczem, wyciągnąwszy z za zegara żądaną kopertę, zaczęła się tłumaczyć, iż ją narazie zapomniała oddać, później zaś, gdy sobie przypomniała o niej, wstydziła się przyznać, że powierzoną sobie rzecz tak długo przetrzymała w swojem mieszkaniu... Gdy rozwinięto pakiet, okazało się, że nie brakło ani franka. Mimo to, wszystkim nasunęło się podejrzenie, że *madame le concierge*, spodziewając się rychłej śmierci Chopina, a domyślając się, że w paczce są pieniądze, schowała ją umyślnie, ażeby sobie w odpowiedniej chwili przywłaszczyć jej zawartość...»

Nieco odmiennie opowiada o przebiegu całej tej

sprawy pani Audley w swej francuskiej książce o Chopinie. Według niej rzecz miała się tak:

Jednemu z najbardziej zaufanych przyjaciół Chopina (Franchomme'owi) zdarzyło się raz rozmawiać z panną Stirling o kłopotach finansowych twórcy *Nokturnów*, na co wspaniałomyślna Angielka prosiła go o przyjęcie 25.000 franków oraz o możliwie delikatny sposób wręczenia ich choremu. Życzeniu jej stało się zadość o tyle, że pieniądze, złożone w papierowej kopercie, oddano odźwiernej Chopina, z poleceniem, by list ten oddała adresatowi. Dla przyjaciół mistrza, współczujących jego przykremu położeniu, było to piękne znalezienie się panny Stirling, jakby promieniem słońca, rozjaśniającym ponure ciemności; szczególniej zaś mógł się z tego cieszyć Franchomme, czuwający nad kasą swego genjalnego kolegi. To też nie trudno wyobrazić sobie jego zdziwienie, gdy w kilka dni po tem wszystkiem usłyszał nowe skargi z ust Chopina, który dobierając szczególnie cierpkich wyrażeń, użalał się na swoją nędzę. Franchomme wiedząc o hojnym zasiłku panny Stirling, nie mógł zrazu wyjść z osłupienia, gdy jednak Chopin wciąż obstawał przy swojem, zaczęło go to wkońcu niecierpliwić. Czując, że tu na dnie wszystkiego leży bezwarunkowo jakaś mistyfikacja, rzekł trochę podrażniony już tą rozmową:

— Ależ, mój drogi, zdaje mi się, że chyba nie masz powodu troskać się zbytnio o swoją przyszłość. Chodzi tylko o całkowite odzyskanie zdrowia, a tego możesz oczekiwać z całym spokojem, mając pieniądze.

— Co? Ja mam pieniądze? wykrzyknął Chopin urażony. Jestem bez grosza!

— Jakto? A te 25.000 franków, któreś otrzymał niedawno?

— Dwadzieścia pięć tysięcy franków?!! Gdzież one są? Kto mi je miał przysłać? Nie otrzymałem w tych czasach ani jednego *sou*.

— No, wiesz tego już trochę za wiele!

Po takiej wymianie zdań, dość nieprzyjemnej dla obu przyjaciół, gdy nareszcie Franchomme opowiedział Chopinowi o owych 25.000 franków od panny Stirling, i gdy się okazało, że Chopinowi nie dostarczono ostatnimi dniami żadnego listu z pieniądzmi, nie pozostawało nic innego, tylko szukać... Kwota była zbyt znaczna, aby dopuścić jej stratę. Jakoż zabrano się do dzieła. Po zbadaniu wszystkich okoliczności, towarzyszących wysłaniu owego listu z pieniądzmi, jeden fakt nie ulegał najmniejszemu zaprzeczeniu, że zapieczętowane pieniądze oddano odźwiernej, że je miała doręczyć Chopinowi, że ich jednak nie doręczyła. A zatem musiały znajdować się u niej... Chodziło o to tylko, w jaki sposób przekonać się o prawdziwości tego przypuszczenia, by jednocześnie nie obudzić czujności w stronie posądzonej. Ktoś wpadł na pomysł, by zapytać o radę w tym względzie słynnego podówczas w Paryżu mediumisty Alexisa. Ale i tu natrafiono na szkopuł: na to bowiem, by z Alexisa coś wydostać, należało go z daną osobą wprowadzić w pośrednią lub bezpośrednią styczność, co w danej sytuacji nie była wcale łatwem. Lecz zaradzono i temu. Ponieważ chodziło o portjerkę, więc zapomocą zręcznego podstępu wydostano od niej chustkę, którą zwykle nosiła na szyi, i chustkę tę zaniesiono mediumiście. Ten, wziąwszy ją do ręki, odrazu dał żądane objaśnienie, mówiąc, że poszukiwane 25.000 franków znajdują się *za lustrem* w mieszkaniu portjera. Po zasięgnięcu tej informacji, osoba, która list była doręczyła odźwiernej, niezwłocznie udała się do niej, oświadczając, że listu, o którego oddanie Chopinowi prosiła niedawno, artysta nie otrzymał dotąd... Czemu? Na to portjerka wyjęła *z za zegara* żądaną paczkę, i oddając ją, rzekła z najzimniejszą krwią:

— *Eh bien, la v'la, vot lettre!*

Poprostu, zatknąwszy paczkę za zegarem, ażeby ją przy pierwszej sposobności zanieść na górę, zapomniała o niej na śmierć...

Gdy wreszcie pieniądze doszły do rąk Chopina, zawahał się z przyjęciem tak znacznej sumy. Według twierdzenia pani Rubio, zatrzymał tylko 1.000 franków, resztę zaś zwrócił swej hojnej przyjaciółce. Franchomme jednak, który w danym wypadku musiał być z natury rzeczy najlepiej powiadomionym, utrzymuje z całą stanowczością, że Chopin zatrzymał 12.000 franków, co jest o tyle prawdopodobniejsze, że przy wysokiej stopie, na jakiej wielki pianista żyć był przyzwyczajony, drobna stosunkowo suma 1.000 franków starczyłaby na bardzo niedługo. Nie należy zapominać, że artysta trzymał obszerne mieszkanie na pierwszem piętrze, że, jakkolwiek chory i często zmuszony leżeć w łóżku, prowadził dom otwarty, przyjmując liczne grono znajomych, że do stołu prawie nigdy nie zasiadał sam, że prócz służącego miał przy sobie od niejakiego czasu «gardmaladę», że pozostawał pod opieką pierwszych powag lekarskich, że na spacer do lasu Bulońskiego nie wyjeżdżał nigdy inaczej, tylko powozem, itd. Uwzględniwszy to wszystko, łatwiej się wierzy Franchomme'owi, niż pani Rubio. Kiedy panna Stirling zdecydowała się wesprzeć Chopina 25.000 franków, to tylko dała tem dowód, że znała doskonale jego potrzeby... Nadmienić wypada, że i co do wielkości ofiarowanej mu sumy nie wszystkie relacje są z sobą w zgodzie. I tak np. Karol Gavard (który wogóle jest jednem z najwiarygodniejszych źródeł odnośnie do Chopina) powiada, że mu ofiarowano nie 25.000, lecz tylko 20.000 franków.

NIEZNANE LISTY CHOPINA DO SOLANGE CLESINGER I MARJI DE ROZIÈRES

Przed kilku laty wyszła w Paryżu książka p. Samuela Rocheblave p. t. *George Sand et sa fille*, będąca jakby monografją o zmarłej w r. 1890 pani Solange Clesinger, córce pani Sand, a żonie znanego rzeźbiarza, twórcy pomnika Chopina na paryskim cmentarzu Père Lachaise. Autor tej książki, będący autorem całego szeregu studjów o słynnej romansopisarce, drukowanych w *Revue de Paris* i w *Revue des deux Mondes*, słusznie dziś uchodzi za najlepszego znawcę życia i pism pani Sand; w książce zaś, którą poświęcił jej córce, a którą oparł na całkiem nieznanym materjale rękopiśmiennym, zacytował kilka wyjątków z nieznanych listów Chopina do Solange, przyczem nadmienił w przypisku na str. 125, że jest szczęśliwym posiadaczem tych listów, których zachowało się dziewiętnaście [1]).

Przy osobistem zetknięciu się — w czerwcu r. b. — p. Rocheblave, bardzo zainteresowawszy się nową bjografją o Chopinie, okazał się tyle uprzejmym i uczynnym, że mi nietylko pozwolił sporządzić wierny odpis

[1]) Oto odnośny ustęp w tej kwestji: «Si l'on veut voir encore le vrai Chopin, l'aimable et attachant Chopin, même durant cette funeste période, c'est à ses lettres à Solange qu'il faut se raporter. Ces lettres, au nombre de dix-neuf, nous appartenont».

tych 19-tu listów *in extenso*, ale mnie upoważnił do wydrukowania tej nieznanej korespondencji, które to upoważnienie rozciągnął także i na drugą serję listów Chopina, w liczbie 17, pisanych do panny Marji de Rosières, a również nieznanych zupełnie...

Nie potrzebuję nadmieniać, ile za to wdzięczny jestem p. Rocheblave, któremu niech mi wolno będzie publicznie podziękować na tem miejscu za ten akt całkiem wyjątkowej kurtuazji. Nazywam ją wyjątkową, bo nie sądzę, ażeby każdy uczony, będąc w posiadaniu 36 nieznanych listów człowieka takiego, jak Chopin, i mogąc je sam ogłosić, zrzekł się dobrowolnie tej satysfakcji na korzyść mało znanego sobie cudzoziemca, dlatego tylko, że ten cudzoziemiec pracuje nad monografją o Chopinie, a on nie. Ta okoliczność skłoniła go również do opowiedzenia niżej podpisanemu, jako biografowi Chopina, wielu takich szczegółów o Chopinie, o których posiada wiadomości bądź od rodziny pani Sand, z którą go łączą najściślejsze węzły przyjaźni, np. z panią Lauth-Sand, wnuczką znakomitej powieściopisarki, bądź od takich osobistości, jak Solange Clesinger, od której w upominku dostał listy Chopina do niej, lub Aleksander Dumas syn, z którym był zaprzyjaźniony.

Cóż dziwnego, że p. Rocheblave wiele ma ciekawych a nieznanych faktów do opowiedzenia, czy to o pani Sand i jej stosunku do Chopina, czy o jej córce w stosunku do tegoż Chopina. Nawiasem mówiąc, p. Rocheblave, który należy do tych rzadkich francuzów, co podróżują po Europie, interesuje się Słowiańszczyzną, a tem samem i o Polsce ma dokładniejsze wyobrażenie, aniżeli jego ziomkowie naogół: wie np. że Kraków jest *une ville très intellectuelle*, a niemniej jest dobrze poinformowany o tem, że wszystko, co dotychczas u nas pisano o pani Sand w stosunku do Chopina, równało się lekkomyślnym paszkwilom na panią Sand, szarpiącym jej sławę, oczerniającym ją, jako kobietę bez serca, jako wampira, który głównie przyczynił się do przedwczesnej śmierci Chopina.

— Co najgorsza — mówił między innemi p. Rocheblave — że te krzywdzące potwarze, tendencyjnie rozgłaszane przez różnych wątpliwych przyjaciół i wielbicieli Chopina zarówno, jak i Musseta, wcale nie były tajemnicą dla samej pani Sand, która bardzo cierpiała z tego powodu, bo i w stosunku do Chopina, i w stosunku do Musseta, nic sobie nie miała do wyrzucenia, miała czyste sumienie. Szczególnie bolała nad tem, że Chopina uważano za jej ofiarę, gdy tymczasem ona była najgłębiej przeświadczona o tem, że rola, jaką odegrała w życiu twórcy *Preludjów*, była raczej przeciwieństwem tego, o co ją zwykle posądzają w stosunku do Fryderyka. Wszystkim się zdaje, że przez cały czas stosunku z Chopinem ona była jego kochanką, która go wyniszczała swą miłością, swemi zmysłowemi porywami.

Nikt zdaje się nie wiedzieć o tem, że jeśli o Chopina chodzi, pani Sand bardzo krótko była jego kochanką, a bardzo długo, bo przez całych siedm lat, żyła przy nim *comme une vierge*, w roli oddanej przyjaciółki, gdy był zdrowy, a w roli siostry miłosierdzia, gdy był chory. Ludziom się zdaje, że noce, które pani Sand trawiła przy boku Chopina, równały się sardanapalskim orgjom cielesnym, a zapominają o tem iż liczne bezsenne noce, które spędzała przy jego łóżku, to były białe noce *garde malade'y* przy chorym, matki przy dziecku, i to dziecku nerwowem, wymagającem i kapryśnem. Co się tyczy jej romansu z Chopinem, to — jak to pani Sand sama opowiadała kiedyś Dumasowi — romans ten, o ile był idyllą miłosną, o tyle trwał niesłychanie krótko: kilka miesięcy zaledwie, do pierwszych tygodni na Majorce. Gdy Chopin zachorował w Palmie — a zachorował z przeziębienia, na rodzaj silnego bronchitu, gdy zaczął pluć krwią, natych-

miast ustał jego romans z panią Sand; a gdy znów przyszedł do zdrowia, już tylko krótki czas godziła się być jego kochanką. Wprawdzie on bolał nad tem, ale ona nietylko, że już straciła wszelki zmysłowy pociąg do niego, ale nabrała fizycznej odrazy, odrazy kobiety zdrowej do chorego suchotnika. Jeżeli mu się przestała oddawać, to raz dlatego, że go nie chciała wyniszczać fizycznie, a tem samem przyśpieszać jego śmierć z suchot, na którą już i tak był skazany niechybnie, a powtóre czyniła to przez prosty egoizm, bo gdyby nie przestała być jego kochanką, bardzo łatwo mogła się zarazić suchotami, czego sobie nie życzyła ani przez chwilę. Po trzecie, pomijając nawet i dwa powyższe względy, zresztą wystarczające najzupełniej, by przestać być kochanką zdeklarowanego suchotnika, pani Sand — jak o tem sama opowiadała Aleksandrowi Dumasowi — musiała się wyrzec pieszczot Chopina, ten bowiem, choć wyszedł ze swej choroby, choć powoli wrócił do jakiego takiego zdrowia, to jednak od tego czasu tak podupadł fizycznie, tak wychudł na całem ciele, tak zmizerniał na twarzy, że stale już odtąd wyglądał na moribunda, a na niej chwilami robił wprost przygnębiające wrażenie trupa. Być kochanką takiego człowieka, w takich warunkach, gdy go się widziało już umierającego, a wciąż kaszlącego i plującego krwią, stało się fizycznem niepodobieństwem dla kobiety, jak pani Sand, która, nie należy zapominać, w rzeczach miłości była wyrafinowanym smakoszem. *J'avais le triste sentiment que je couche avec un cadavre:* temi dosadnemi słowy określiła pani Sand, w rozmowie z Aleksandrem Dumasem, niemiłe uczucie, jakiego doznawała w objęciach Chopina, jako jego kochanka. Nie dziw więc, że choć Chopin żadną miarą nie chciał pogodzić się z tą myślą, że raz będąc kochankiem pani Sand, nie łatwo przystał na rolę platonicznego przyjaciela i «gościa» w jej domu, bez prawa wstępu do jej

sypialni, i że choć groził wzięciem metresy — którą istotnie sobie wynalazł w postaci jednej z dziewcząt wiejskich z Nohant — to jednak pani Sand okazała się niezłomną w swem postanowieniu, tak, że gdy raz zdecydowała się być tylko przyjaciółką Chopina, pełną macierzyńskich dla niego uczuć, nie cofającą się nawet przed macierzyńskiem poświęceniem, gdy w chorobie potrzebował jej troskliwej opieki, to, ku wielkiemu żalowi Chopina, wytrwała w tem postanowieniu.

Tak się przedstawiała rola pani Sand w stosunku do Chopina, przez całych lat siedem. Tego zdają się nie wiedzieć dotychczasowi bjografowie Chopina, oczerniający panią Sand, a opierający się na t. zw. tradycji, wytworzonej przez niektóre przyjaciółki artysty, które mu nie mogły darować jego miłości dla pani Sand, które, jako rekrutujące się przeważnie z legitymistycznego obozu jako wielkie damy, nie mogły zapomnieć, iż pani Sand głosiła hasła demokratyczne, republikańskie, ba, socjalistyczne. Stąd podwójna niechęć do znakomitej a w ich przekonaniu «niemoralnej» autorki, stąd chęć zdyskredytowania jej, przedstawienia w najgorszem świetle, zwłaszcza w stosunku do Chopina, jako jego Dalili. Jak pani Sand bolała nad tem, jak jej zależało na tem, by zczasem ludzie dowiedzieli się prawdy o jej roli, jaką odegrała w życiu Chopina, by wkońcu rozwiązała się tendencyjna legenda o niej, jako o wampirze Chopina, tego dowodzi choćby ten znamienny fakt, iż po śmierci pani Sand znaleziono w jej biurku, obok testamentu i najważniejszych dokumentów, jej własnoręczny odpis listu, jaki ona sama w r. 1847 napisała do Grzymały, a który zawierał całą szczerą prawdę o rodzaju tego stosunku, w jakim przez siedem lat pozostawała do Chopina [1]). Podobnie miała się rzecz z jej stosunkiem do Musseta, o którym rów-

[1]) List ten, z maja 1847 roku, znajduje się w książce p. Rocheblave «George Sand et la fille».

nież krążyły najpotworniejsze legendy, ku wielkiemu zmartwieniu pani Sand, która podobnie, jak i w swym stosunku do Chopina, nic sobie nie miała do wyrzucenia.

Gdy rozmowa zeszła na temat Solange, p. Rocheblave, którego łączyła serdeczna przyjaźń z panią Clesinger, tak mówił między innemi:

— Gdyby kto jeszcze miał jaką wątpliwość, czy Chopin kochał się w Solange, temu wystarczy, iżby przeczytał jego listy do niej, które są tak pełne znaczących niedomówień, tyle czasem mówią między wierszami, że każdy, kto jest jakim takim psychologiem, utwierdzi się w przekonaniu, iż te listy pisał człowiek, który w nich taił się ze swem uczuciem, ale z tem uczuciem zdradzał się raz po raz. Fakt zresztą, że Chopin kochał się w Solange, że myślał o poślubieniu jej, nie był żadną tajemnicą, szczególnie dla pani Sand. Jako kobieta rozumna i trzeźwa, gdy spostrzegła, co się święci między Chopinem a Solange, nie dlatego chciała zapobiec rozwojowi tego niebezpiecznego flirtu, że na nim mogła cierpieć jej miłość własna, ale że obawiała się smutnych konsekwencyj takiej miłości, gdyby ta miłość, dzięki sprzyjającym warunkom, doszła do pewnego punktu rozwoju. Tego się obawiała pani Sand, temu starała się zapobiec. Nie dość bowiem, że miała niemało kłopotów z Solange i Chopinem, każdem z osobna, ale na domiar złego zaczęło zanosić się na to, że mogła mieć nowy kłopot z niemi, jako z obojgiem razem. Że Chopin mógł się durzyć, a nawet kochać w Solange, która go zresztą kokietowała niemiłosiernie (jak wszystkich naokoło), do tego pani Sand przywiązywała wagę niewielką, a nawet niewiele sobie robiła z tego, że Chopin całkiem na serjo myślał żenić się z Solange. Ale czego najbardziej bała się pani Sand, to tego, żeby przypadkiem Solange nie zakochała się w Chopinie, na co się zanosiło chwilami... Znając przekorny charakter córki, jej upór i zaciętość, gdy po-

weźmie jakieś postanowienie, pani Sand wiedziała doskonale, że bardzo łatwo mogłaby się znaleźć wobec sytuacji, w której byłaby całkiem bezsilna w kolizji z Solange. Wystarczało zupełnie, by sobie nie życzyła małżeństwa Solange z Chopinem, by Solange, na złość matce, parła do tegoż marjażu. Byłoby to szaleństwem, najmniejszem ze strony Chopina, ale nierównie większem ze strony Solange, lecz toby nie był wcale odstraszający argument dla niej, gdyby się zawzięła w swym uporze, gdyby zechciała postawić na swojem. Przewidując możliwość podobnego konfliktu, nie dziw, że pani Sand niechętnem okiem patrzała na niebezpieczny flirt Chopina z Solange, że mu się starała zapobiegać. Nawiasem mówiąc, nie wiadomo wcale, jaki obrót wzięłaby ta sprawa, gdyby nie Clesinger, który potrafił rozkochać w sobie Solange, który jej zaimponował swą męskością i brutalnością... Że jednak Solange, pomimo wszystkiego, żywiła całkiem wyjątkowe uczucie dla Chopina, o tem łatwo mógł się przekonać każdy, kto miał sposobność przestawania z nią. Sposób, w jaki mówiła o Chopinie, entuzjazm i uwielbienie, z jakiemi zawsze odzywała się o nim, pietyzm wreszcie, z jakim przechowywała jego listy, z któremi rozstała się dopiero pod koniec życia, wszystko to zdaje się dowodzić niezbicie, że obawy pani Sand, by Solange nie zapłonęła zbyt namiętną miłością dla Chopina, całkiem były uzasadnione.

A zresztą wystarcza wczytać się w jej listy do Chopina, a zwłaszcza w listy Chopina do niej, by się utwierdzić w przekonaniu, że tak do siebie może pisać tylko dwoje ludzi, których wiąże coś więcej od uczucia zwykłej sympatji i życzliwości. To się daje wyczuć z tych listów...

Oto niektóre z nich, w przekładzie z francuskiego oryginału:

24 listopada 1847.

Już od 15 dni każdego ranka zaczynam pisać do Pani, ażeby dać wyraz mojemu zmartwieniu z powodu wyniku dwu Pani wizyt w Nohant. Jednakowoż pierwszy krok został zrobiony: okazałaś Pani dużo serca, i nastąpiło już pewne zbliżenie, skoro proszono Panią, żebyś pisała. Czas dokona reszty. Wiadomo Pani również, że nie należy wszystkiego, co się mówi, brać dosłownie, i jeżeli *nie zna się* więcej jakiegoś cudzoziemca, jak naprzykład mnie, to nie można w takiż sposób zachować się względem męża Pani, który się stał członkiem rodziny.

Widziałem wczoraj pannę de Rozières, która mi mówiła, że pani Bascans miała wiadomość od Pani, ale nie otrzymała jeszcze ani słówka z Nohant. Pani Bascans zaziębiona, leży w łóżku i ma gorączkę. Cały Paryż choruje. Pogodę mamy tu straszną, to też dobrze Pani robisz, przebywając pod pięknem niebem. Nie ruszaj się Pani stamtąd, bądź zdrowa i w dobrem usposobieniu. Co do mnie, to będę się starał przesyłać wiadomości milsze od naszego klimatu; na to jednak potrzeba, żeby ten paskudny rok się skończył. Rok ten pozbawił między innemi Grzymałę całego jego majątku. Wskutek jakiejś nieszczęśliwej transakcji handlowej stracił on w tych czasach wszystko, co miał. Widziałem Delacroix, który mię odwiedził i prosił, żebym w liście do Pani dał wyraz jego ogromnemu żalowi, że nie mógł spotkać się z Panią. Bignat nie przyszedł jakoś. Pani Marliani przeprowadza swą seperację całkiem legalnie. Oto nowinki wszelkiego rodzaju. Jest także w *Siècle'u* artykuł matki Pani o historji Ludwika Blanca. To już i wszystko. Duszę się, głowa mię boli i przepraszam Panią za wszystkie poprzekreślane w liście tym wyrazy i za moją francuzczyznę. Daj mi Pani, proszę, serdeczny uścisk dłoni i niech mąż Pani uczyni to samo. Niech Was ma Bóg w swojej opiece.

Oddany Pani *Chopin.*

31 grudnia 1847.

Serdecznie Pani dziękuję za Jej poczciwą o mnie pamięć. Nie potrzebuję Pani mówić, ile Jej życzę szczęścia w tym rozpoczynającym się roku. Natychmiast zaniosłem Pani list Jej małżonkowi, który, jak mi mówił, jutro wyjedzie, ażeby być przy Pani. Był on bardzo w tych czasach zaabsorbowany pracą nad swemi marmurami, co też było jedyną przeszkodą, że nie mógł wyjechać z Paryża wcześniej. Pan De Larac otrzymał już komorne za mieszkanie z pod Nr. 3, jak i za mieszkanie Maurycego, coby mi może pozwoliło uwierzyć w dobry pomysł mojego ziomka, o ile tu ziomek w grę wchodzić może. Byle tylko wszyscy byli zadowoleni. Jestem przekonany, że wszystko ułoży się zwolna i że niedługo zamiast 9 wierszy otrzyma ich Pani 90, i że szczęście babki będzie niem również i dla młodej matki. Obie Panie będziecie ubóstwiać małego aniołka, który ma przyjść na świat, ażeby znów Wasze serca doprowadzić do normalnego stanu. Oto program na r. 1848. Zapowiadają nowy romans pod tytułem *François le Champi*, mający w tych dniach zacząć wychodzić w Debatach. Zapowiada także Hetzel, jakkolwiek w sposób dość jeszcze niezdecydowany, bo w mało znacznych pismach, rodzaj *Pamiętników*. Pani Marliani miała dokładniejsze informacje w tej materji i mówiła mi, że będzie to książka, poświęcona wyłącznie sztukom pięknym i kwestjom literackim. Kapitalista jakiś, pan Latouche (jak myślę), dostarczy pieniędzy Hetzelowi, który będzie tylko wydawcą. Pozdrowień ze strony Pani nie omieszkam zakomunikować pannie de Rosières, która napisze do Pani, o ile tego już nie uczyniła. Kaszlę i jestem całkiem zaabsorbowany mojemi lekcjami. Na dworze zimno, tak, iż wychodzę mało, na to bowiem, bym mógł wychodzić, jest za chłodno. Uważaj Pani na siebie i wracajcie oboje prędko i w dobrem zdrowiu. Dzień Nowego Roku upływa dość hałaśliwie: orkiestra gwardji narodowej odegrała swą zwykłą sere-

nadę na Skwerze. Prezenty dla mojej chrzestnej córki kupiłem w hotelu Lambert; do wczoraj dała wenta blisko 20 tysięcy franków dochodu. Było dużo pięknych bardzo rzeczy na sprzedaż. Mąż Pani nadesłał małą akwarelę, która została bardzo dobrze przyjęta. Delacroix namalował małego Chrystusa, który ogromnie był admirowany. Gudin, Lehmann i inni także ofiarowali swoje rysunki. Zaczynam nic już nie widzieć; na dworze pada śnieg, w pokoju zrobiło się ciemno. Umarła pani Adelaida; przez dwa miesiące będzie gruba żałoba. Duszę się i życzę Pani wszelkiego możliwego szczęścia.

Pani oddany *Ch.*

Piątek, 3 marca 1848.

Nie mogę się powstrzymać, żeby z Panią zaraz nie podzielić się szczęściem, jakiego doznałem, gdym się dowiedział, że Pani została matką i że czujesz się zdrowa. Przyjście na świat Pani małej córeczki przepoiło mię większą radością, aniżeli Pani myślisz, większą, aniżeli narodziny Rzeczypospolitej. Bogu dzięki, że już skończyły się Pani cierpienia. Nowy świat zaczyna się dla Pani. Bądź Pani szczęśliwa. A uważajcie na siebie wszyscy! Bardzo byłem spragniony pomyślnych o Pani wiadomości. Podczas wybuchu rewolucji leżałem w łóżku. Przez cały ubiegły tydzień cierpiałem na newralgję. Paryż jest spokojny ze strachu. Wszyscy sobie stroją drwinki. Wszyscy należą do gwardji narodowej. Sklepy są otwarte, ale kupujących ani na lekarstwo. Cudzoziemcy, zaopatrzeni w swe paszporty, tylko czekają na wyreparowanie uszkodzonych kolei żelaznych. Kluby już zaczynają się tworzyć. Ale nie skończyłbym nigdy, gdybym Pani chciał pisać o wszystkich tutejszych sprawach.

Raz jeszcze dzięki za dobry Pani list.

Całkiem Pani oddany *Ch.*

Mallefille został gubernatorem Wersalu. Żeby Louis Blanc znalazł się w pałacu Medycejskim, w roli prezesa komisji dla zorganizowania pracy (co jest naprawdę wielką kwestją w tej chwili), nic prostszego. Barbès został gubernatorem tegoż pałacu Luksemburskiego.

Proszę mi wybaczyć moje kreślenia i kleksy.

Panna de Rozières napisze do Pani.

Paryż, 5 marca. Niedziela (1848).

Poszedłem wczoraj do pani Marliani i, wychodząc od niej, spotkałem się we drzwiach przedpokoju z matką Pani, wchodzącą z Lambertem. Powiedziałem jej dzień-dobry, poczem zapytałem ją zaraz, jak dawno miała ostatnie wiadomości od Pani. «Będzie już z tydzień», odrzekła. «A wczoraj, przedwczoraj nie było żadnego listu?» «Nie». «W takim razie mogę oznajmić pani, że zostałaś babką: Solange ma córeczkę, a ja jestem bardzo zadowolony, że wiadomość tę mogę pani zakomunikować pierwszy». Poczem ukłoniłem się i zacząłem schodzić na dół. Towarzyszył mi Combes, abisyńczyk (który wprost z Maroka wpadł w wir rewolucji), a ponieważ zapomniałem był dodać, iż jesteś Pani zdrową, szczegół ważny, dla matki zwłaszcza (teraz to Pani zrozumiesz łatwo, matko Solange), więc poprosiłem Combesa, by się wrócił, ile że sam nie mogłem gramolić się po schodach raz jeszcze, i powiedział, że Pani *masz się dobrze* i dziecko również. Oczekiwałem abisyńczyka na dole, gdy ujrzałem, iż matka Pani schodzi z nim razem. Gdy mi z największem zainteresowaniem zadała szereg pytań w kwestji zdrowia Pani, odrzekłem jej, że mi Pani *sama* nazajutrz po urodzeniu dziecka napisała *ołówkiem* parę słów, żeś Pani bardzo cierpiała przy połogu, lecz na widok córeczki zapomniałaś o wszystkiem. Zapytała mnie następnie, czy małżonek Pani był przy tem obecny, na co odrzekłem, że adres listu Pani zdaje mi się być kreślony jego charakterem pisma. Za-

pytała mię jeszcze, jak się czuję, na co odrzekłem, że mam się dobrze, i dałem znak portjerowi, żeby otworzył bramę. Poczem ukłoniłem się i w towarzystwie abisyńczyka pieszo udałem się na Square d'Orléans.

Matka Pani bawi tu od kilku dni, jak o tem Grzymale mówił Boccage. Zamieszkała u Maurycego, rue Condé Nr. 8, w pobliżu pałacu Luksemburskiego. Stołuje się u Pinsona (w restauracji, gdzieśmy to raz byli w towarzystwie Latouche'a); tam przyjmuje odwiedziny znajomych, tam też zaprosiła wczoraj Combesa, żeby przyszedł do niej, przyczem oświadczyła mu, że wkrótce wyjeżdża z powrotem do Nohant. Przypuszczam, iż w Nohant już czeka na nią list od Pani. Zdrowie jej wydało mi się dobrem. Myślę, iż jest szczęśliwą z powodu triumfu idei republikańskich, i że wiadomość, którą jej wczoraj zakomunikowałem, jeszcze zwiększyła jej szczęście.

Uważaj Pani na siebie, uważajcie na siebie wszyscy troje.

Oddany Pani *Ch.*

Spokój trwa w dalszym ciągu. Mallefille już nie jest w Wersalu; miał tylko 3 dni panowania.

Sobota, 11 marca (1848).

Odwagi i spokoju [1]). Uważaj Pani na siebie, przez wzgląd na pozostałych. Dopiero co widziałem małżonka Pani. Jest on zdrów, pełen odwagi i nadziei. Wczoraj i onegdaj widziałem go, jak pracował nad swym posągiem wolności; dziś figura jest skończona i przez wszystkich paryskich *Thores'ów* uznana za wspaniałą. Jutro przenoszą ją do ratusza. Marrast został prezydentem Paryża (czyli, iż p. Bascans będzie mógł być

[1]) Po śmierci córeczki Clesingerów, zmarłej 6-go marca 1848 r.

użytecznym). Małżonek Pani zna p. Caussidière, stojącego na czele policji paryskiej. Z jego polecenia figura wolności będzie eskortowana przez gwardję narodową. Prosił mię mąż Pani, bym Ją zawiadomił, iż ma on dziś za dużo bieganiny, by móc pisać do Pani, ale napisze jutro, zaraz po przeniesieniu swego posągu, co ma nastąpić o godzinie 7-ej. Niech więc Pani będzie spokojna o jego zdrowie. Widzi Pani, iż robi on, co może, że mu nie brak odwagi, a tymczasem uważaj Pani na siebie, miej wzgląd na swą rekonwalescencję, ażeby przynajmniej rozłąka stała się znośną dla Was obojga. *Spokoju* więc, przez litość, *spokoju*, i korzystaj Pani z troskliwej opieki ojca i Lucyny (którą zawsze uważałem za oddaną Pani nadzwyczaj i zacną Lucynę). Odzyskasz Pani zdrowie, a wtedy zacznie się nowe szczęście.

Powiedziano mi, iż matka Pani opuściła Paryż. Od czasu mojego spotkania się z nią w przedpokoju pani Marliani nie widziałem jej więcej. W Nohant otrzymała listy od Pani. Zasługuje ona na współczucie; wielki to cios dla niej, jestem tego pewny, i nie wątpię, iż uczyni ona wszystko dla Pani, co tylko będzie w jej mocy. Odwagi więc, i spokoju. Pozostawiam na boku wszelkiego rodzaju kondolencje, uważam bowiem, iż są to rzeczy błahe wobec wielkich boleści.

Oddany Pani *Ch.*

Będę często pisywał do Pani. Bądź Pani spokojna o męża.

W kilka tygodni po wysłaniu tego listu pojechał Chopin na sezon do Londynu. Lato i jesień zeszły mu w Szkocji. Oto jeden z jego listów, stamtąd, pisany do panny de Rozières.

Keir, 2 października 1848 r.
Perth Shire.

Bardzo Pani dziękuję, za Jej poczciwe listy i wielce mnie to irytuje, że nie mogę sprawić Pani tyle przyjemności mojemi. Znasz Pani moją słabość, iż nie mogę skreślić dwu wyrazów jednego po drugim, ażeby mi to nie sprawiało prawdziwej boleści, to też liczę na Pani dobrą pamięć i uczucia i wyobrażam sobie, żeś mi już przebaczyła. Właśnie otrzymałem kilka słów od Ludwiki, która z czułością wyraża się o Pani. Pisze mi, że mają się dobrze, o ile o zdrowie chodzi, cholera oszczędza ich jakoś. Zato inne ustępy listu mniej są pocieszające. Czy nie posłałem Pani z Londynu listu Ludwiki dla Ciebie? Jestem pewny tego, że dostałem taki list, i zdaje mi się, że go wysłałem do Pani (o ile nie został wraz z innemi papierami w dobrem zamknięciu w Londynie). Czyżby mój włoch, któremu, gdy wyjeżdżał, powierzyłem list mój przez pocztę, zagubił go przez ciekawość? Wyjaśni się to w końcu. W każdym razie niech Pani nie obwinia Ludwiki, bo wiem, iż oprócz tego w Londynie mam jeszcze od niej słówko dla Pani. Wogóle otrzymałem tylko dwa listy z Polski, jeden z Warszawy, i ten ostatni, pisany na wsi w pobliżu Torunia, gdzie Ludwika całe wakacje spędziła razem z dziećmi. Martwi mnie, co mi Pani pisze o Solange. Jestem istotnie strapiony sprawą Lucyny. Jeżeli Solange pojedzie kiedykolwiek do Rosji, kogo tam będzie miała, ażeby rozmawiać o Francji? Do kogo będzie mogła przemówić słowo w berrichońskim djalekcie? Zdaje się to nie mieć wielkiego znaczenia, a tymczasem jest to największą uciechą w obcej krainie mieć kogoś przy sobie, który nas przenosi myślą do ojczyzny za każdym razem, ilekroć się na niego spojrzy, z którym można mówić o niej, albo go słuchać mówiącego o niej. A cóż słychać z podróżami Pani? Dlaczegoby nie miały dojść do skutku? Choćby dlatego, że Pani jeszcze nie nabrała dostatecznego zapasu

sił na zimę, na tę zimę, którą nie wiem, gdzie spędzić. Chciałbym zrobić jak najlepiej, a jestem pewien, iż zrobię jak najgorzej. Ale taki już mój los. Nikt nie uniknie swego przeznaczenia. W tym pięknym kraju Walter Scotta duszę się bardziej niż miesiąc temu. Królowa wczoraj właśnie opuściła Aberdeen Shire. Cała Anglja przyjechała w tym roku do Szkocji, trochę dlatego, żeby asystować Jej Królewskiej Mości, ale także i dlatego, że na kontynencie niema jednego kąta spokojnego. Miejscowość, którą zamieszkuję obecnie, nazywa się Keir w Perth-Shire, blisko Stirling. Jutro jadę do Edynburga, gdzie zabawię kilka dni, może nawet dam się tam słyszeć. Niech sobie Pani jednak nie wyobraża, żeby mi to oprócz zajęcia dawało jeszcze coś innego, jak zniecierpliwienie i przygnębienie, ale spotykam tu mnóstwo osób, robiących wrażenie, że lubią muzykę, męczą mnie, żeby grać, więc gram przez grzeczność, a zawsze z nowym żalem, przysięgając, że już mię więcej do tego namówić nie zdołają... Gdyby pogoda była piękna, zostanę tu jeszcze przez październik, albowiem mam zaproszenia, którym nie mogłem zadośćuczynić, a życie tu, w zamkach magnatów, istotnie jest bardzo ciekawe. Rzecz to całkiem na kontynencie nieznana. Jeżeli będzie ładnie, pojadę jeszcze do Duchesse Argyl w Inverary nad jeziorem Iine, oraz do Lady Bellhaven, jednego z największych domów w tym kraju. W tej chwili bawi ona tutaj, gdzie wogóle jest ze trzydzieści osób, bardzo pięknych, bardzo sprytnych, bardzo oryginalnych, bardzo głuchych, a nawet nie brak jednej znakomitości ślepej (Sir Walpool). Toalety, brylanty, brodawki na nosie, najpiękniejsze konie, najcudowniejsze talje, kuszące piękności djabelskie, obok djabłów bez piękności. Ostatnia kategorja jest najrzadszą wszędzie. Całe to świetne towarzystwo wybiera się dziś do Edynburga dla wzięcia udziału w *Caledonien Raut*. Cały tydzień będą wyścigi, zabawy, balet etc. Jest to *fashion* całej okolicy — klub myśliw-

ski, który co roku urządza podobne uroczystości. Zjeżdża się na nie cała szlachta. Oto, mam nadzieję, trochę gadaniny. Ale to też nie wiem już wcale, kiedy do Pani napiszę dłuższy list. Obecnie muszę napisać do moich, do Solange, do której już napisałem z 50 listów na brudno. Ponieważ przekreślam więcej, aniżeli stawiam liter, więc nie jest to wcale dowodem lenistwa. Mam nadzieję zobaczyć Panią niedługo (oto promień słońca, który mi dyktuje te słowa: wystarcza jednak, by się skrył za chmury, bym myślał całkiem naodwrót). Ale mniejsza o to. Pozwól mi Pani gorąco sobie dłoń uścisnąć i pisz do mnie pod tym samym adresem do Edynburga; gdziekolwiek będę, list mnie dojdzie w każdym razie. Cóż Franchomme? Nie odpisałem mu na list, lecz niepodobna, bym pisał mym przyjaciołom wszystko, o czembym pragnął pisać do nich. Wszystko to jest bardzo głupie; trzeba, żebym skończył, bo jeszczem gotów podrzeć mój list, jeżelibym jeszcze w dalszym ciągu wciąż kreślił i mazał.

Dzieńdobry i tysiąc najserdeczniejszych zapewnień przyjaźni.

Zawsze Pani oddany

Ch.

Piszę do Grzymały.

Ze Szkocji wrócił Chopin w końcu października do Londynu. Ale tutejszy klimat tak mu nie służył, że już w drugiej połowie listopada zdecydował się, za poradą najznakomitszych lekarzy stolicy, wrócić na zimę do Paryża. W tej myśli napisał taki list do panny de Rosières, strasznie pokreślony:

Londyn, poniedziałek, 19 listopada (1848).

Możliwem jest, że będę się czuł dość dobrze, by móc wyruszyć w podróż w tym tygodniu i stanąć w Paryżu we czwartek, piątek lub w sobotę (najdalej), klimat bowiem Anglji w tym czasie jest wprost nie do

zniesienia dla mnie, nawet zdaniem lekarza, który z Pani doktorem Curie nic niema wspólnego. Począwszy od 1-go listopada nie wychodzę z domu, gdzie znów nie wychodzę z mego szlafroka. Wyszedłem tylko raz jeden, 16-go b. m., ażeby grać na korzyść naszych ziomków. Bądź Pani tak dobrą, i rzuć okiem na Nr. 9 na wypadek, gdybym miał przyjechać w tych dniach. Zgóry dziękuję.

Ch.

Pisałem do Grzymały, ale ponieważ może on być w podróży, i otrzymać list mój zapóźno, więc proszę Panią, bądź łaskawa kupić sąg drzewa dla pani Etienne i silnie kazać napalić we wszystkich pokojach, a także wytrzepać porządnie meble i firanki, zwłaszcza te z nad mojego łóżka, myślę bowiem, że często będę miał do czynienia z niemi. Każ Pani także wyrzucić kurz ze wszystkich kątów w przyległych do sypialni pokoikach. Trochę mi pilno, żebym mógł lepiej oddychać, żebym mógł porozumieć się z ludźmi i znów zobaczyć kilka przyjaznych twarzy.

Ch.

W przeddzień wyjazdu z Londynu, oznaczonego na 23 listopada, napisał Chopin jeszcze obszerny list do Solange tej treści:

Londyn, środa 22.

Obwiniasz mię Pani niesprawiedliwie: nie było dnia jednego, żebym nie próbował pisać do Pani. Pomyślałem o tem nawet jeszcze przed listem Pani, który otrzymałem świeżo, żeby zasięgnąć informacji, czy mąż Pani nie znalazłby tu roboty; i zebrałem wiadomości od ludzi, znających Londyn i jego stosunki artystyczne, i oto, jak się rzecz przedstawia. To, co się nazywa «towarzystwem» (z wyjątkiem urzędników, radców miejskich, adwokatów), nie spędza zimy w sto-

licy. Ci ludzie, którzy mogą na coś przydać się mężowi Pani, są tu dopiero w *marcu* lub *kwietniu*, czyli, że nie ma tu co robić przed początkiem przyszłego sezonu. Mając dobre rekomendacje, *nie jest to niemożliwem*, choć zawsze wiąże się z pewnem ryzykiem. Po miesiącu pobytu tutaj, coby nie było zbyt kosztownem, mąż Pani zobaczyłby, czego się trzymać. Znam kilka osobistości wpływowych, które mi obiecały szczerze się nim zająć, które jednak nicby nie mogły zrobić dla niego teraz.

Co się tyczy tego, co Panią spotkało w Paryżu, to możliwem jest, iż matka Pani robi dla Pani, co może, ale niema pieniędzy; że zwróci Pani te drobiazgi, które nabyła w przewidywaniu tej licytacji, i że po sprzedaży domu urządzi interesy Pani na nowych podstawach. Jest ona przecież matką Pani i zna doskonale swój względem Pani obowiązek. Może ona się zapomnieć, ale nie może zapomnieć o Pani.

Jutro jadę do Paryża, ledwo powłócząc nogami i bardziej słaby, niżeli mię Pani widziała kiedykolwiek. Lekarze tutejsi wypędzają mię poprostu. Jestem spuchnięty z powodu newralgji, nie mogę oddychać, ani sypiać, a od 1-go listopada nie opuściłem mego pokoju (z wyjątkiem 16-go, ażeby grać wieczorem przez godzinę na koncercie dla Polaków). Od tej chwili znów opadłem na siłach, nie mogę tu wcale tchu złapać; dla ludzi, jak ja, jest to klimat, nad który gorszego wyobrazić sobie niepodobna, ale tylko przez tych kilka zimowych miesięcy. O 2-ej trzeba już zapalać światło. Obiecuję tu wrócić na przyszły sezon!!!... Sir J. Clark, lekarz królowej, był u mnie przed kilku dniami, żeby mię zobaczyć i żeby mi dać swoje *błogosławieństwo* na drogę. Tym sposobem jadę stękać na Place d'Orleans, oczekując polepszenia. Radzę Pani całkiem poważnie, żebyś była bardzo zadowolona, że masz dla swych płuc piękne powietrze w Guillery i że masz męża swego przy sobie. Jestem przekonany zresztą, że lepsze dla

Was nastaną czasy. Co się tyczy Rosji, to osoby bardzo wpływowe, które mi dały dla małżonka Pani listy do Petersburga, zapewniły mnie, że w tej chwili dostać się tam dla francuza, bez wielkiej protekcji, bardzo jest trudno. To też niech Pani nie obwinia księżny Obreskoff, a jeśli Anglja może mu dostarczyć roboty, to sądzę, że znajdzie on tam więcej pieniędzy z większą sumą przyjemności. Nie będzie miał tam do walczenia z klimatem, bo i on ma płuca, i jeżeli zainstaluje się w Londynie, będzie mógł w ciągu zimy przygotować cały szereg prac na sezon. Cokolwiek cierpliwości tylko! Możliwem jest, że pozwolenie na wyjazd do Petersburga nadejdzie wkrótce. Co pewna, że teraz Londyn dla sztuk pięknych jest *niczem*. Jest to martwy sezon. Wszystko, co jest niezależne, mieszka poza Londynem, a wszystko, co tu zostaje, mało ma inicjatywy, gdy chodzi o zakres talentu. Posąg bowiem małżonka Pani, jakkolwiekby był pięknym, musi przedewszystkiem bardzo być zachwalanym, ażeby pierwszy raz został uznany jako piękny. Później będzie się mówiło o jego innych rzeźbach, że on jest ich twórcą, i świat cały będzie się niemi zachwycał. Trzeba przedewszystkiem postarać się o to, żeby rzeczy te podobały się wielkim arystokratom angielskim, ci zaś są w tej chwili wszyscy w swoich zamkach poza obrębem Londynu.

Wybacz Pani bezład mojego listu, ale bardzo dziś jestem cierpiącym. Nigdy nie myśl Pani źle o mojej starej przyjaźni, zdolnej do wytrzymania wszelkich prób.

Ch.

Paryż, wtorek 30 stycznia 49.

Za bardzo byłem chory w ciągu tych ostatnich dni, żebym mógł pisać do Pani i donieść, żem się widział z Jej mężem. Odwiedził mnie on w piątek. Uważałem, że jest zdrów i pełen zapału do pracy nad statuą *Próżności*. Pisał mi wczoraj parę słów, donosząc, że już się

zabrał do roboty. Udzieli mi także dobrych wiadomości o Pani, mówiąc, że przy zmienionym stanie swojej figury masz Pani całą niezbędną odwagę i cieszysz się jak najlepszem zdrowiem. Tutaj mamy prawdziwie marcową pogodę, co sprawia, iż dziesięć razy na dzień leżę na łóżku. Molin posiadał tajemnicę stawiania mnie na nogi. Od tego czasu miałem do czynienia z p. Louis, przez dwa miesiące z dr. Roth'em, teraz zaś leczy mnie p. Simon, wielka sława między homeopatami; lecz wszyscy oni błądzą po omacku i nic mi nie pomagają. Wszyscy zgadzają się na punkcie klimatu, spokoju i wypoczynku. Co do spoczynku to wiem, że go którego pięknego poranku będę miał bez nich. Co się tycze spokoju, panującego w Paryżu, to nie był on w tych dniach zakłócony ani na chwilę, pomimo, że zanosiło się na jakieś rozruchy z powodu nowych przepisów dla gwardji ruchomych, tudzież z powodu projektu ministerjum o zamknięciu klubów. Wczoraj, w poniedziałek, wszędzie widziało się wojsko i armaty, a ta zdecydowana postawa rządu bardzo zaimponowała tym, co już myśleli o zakłóceniu porządku. Doszło do tego, że nawet ja piszę Pani o polityce, zamiast Pani pisać o rzeczach nierównie zabawniejszych. Ale staję się powoli głupszym, niż kiedykolwiek, co przypisuję głównie *kakau*, które teraz, zamiast mej zwykłej *kawy*, piję co rano. Nie pij Pani nigdy kakao i nie pozwalaj go pić swoim przyjaciołom, zwłaszcza, gdy chcesz z nimi pozostawać w korespondecji. Postaram się, ażeby mój przyszły list pisany był po jakimś sulfacie, czegoś o wiele sprytniejszego, co mi przepisze mój pan Simon. Tymczasem czytaj Pani te bazgroty, dostarczające jakich takich wiadomości o zdrowiu i dobrej myśli Jej męża. Pani Obreskoff była wczoraj u mnie, lecz miałem u siebie barona Stockhausen, Legouve'go, oraz kilka innych osób, w których obecności nie chciałem z nią mówić o Petersburgu, gdyż wiadomo Pani, jaka z niej poczciwa kobieta i jak dużo mówi. Jeżeli mi Pani napiszesz

choć słówko o swojem zdrowiu, nie będzie to ze strony Pani złem użyciem czasu.

Szczęścia i zdrowia, zdrowia przedewszystkiem.

Ch.

Paryż, środa 4 lipca 1849.

Dzięki za poczciwy Pani list. Otrzymałem stosownie do zlecenia Pani parę słów od p. Bouscinatz w kwestji mojego powozu, ale świeży krwotok zmienił chwilowo moje projekty podróży. Jest także możliwem, iż cesarz, który jest teraz w Warszawie, udzieli siostrze mej pozwolenia na wyjazd do mnie; wtedy, po dojrzałej tylko rozwadze, będę mógł wiedzieć, czy należy opuścić Paryż, czy też trzeba tu zostać, nie będąc już zdolnym do znoszenia wielkich podróży. Ale nie mówmy już więcej o mnie. Wielką mi sprawiło przyjemność, żeś Pani bez zmęczenia zniosła podróż aż do Bordeaux, co nie dowodzi jednak, iżby nie należało się oszczędzać. Wyobrażam sobie małą Pani córeczkę — wielką głowę, śmiejącą się, krzyczącą, hałasującą, ślinniącą się, ssącą i wszystko, co idzie za tem. Musicie być bardzo zabawne obie razem. Kiedy ją Pani wsadzisz na konia? Mam nadzieję, że teraz masz Pani o każdej porze dosyć do roboty i że chętniebyś podwoiła godziny dnia i nocy, pomimo, iż Gasconka musi Panią budzić często. Już zaczynam moje mazaniny. Nie mam już Pani nic więcej do napisania, chyba to jedynie, iż jak to Pani wie oddawna, życzę Jej wszelkiego możliwego szczęścia. Cholera słabnie, a mimo to, jak mi mówią, Paryż pustoszeje coraz bardziej. Upał i kurz dają się tam we znaki. A prócz tego panuje tam *nędza i brud*, wciąż się spotyka figury, jakby z tamtego świata. Sami, rzekłbyś Cremieux'owie, a nawet Rignat'owie, tylko jeszcze brzydsi od nich. A jednak d'Arpentigny jest blondynem, przyczem wypiękniał podobno. O wystawie nie mówią nic dobrego. Delacroix bawił na wsi przez kilka tygodni, ale jest trochę cierpiący i pewno poje-

dzie do Aix-la-Chapelle. Cieszę się, iż Pani wciąż przebywa w swych pięknych stronach rodzinnych. Nie jest to właściwa chwila do mieszkania w mieście. Bądź Pani tak dobrą i napisz mi parę słów w jednej z takich chwil, w której Cię córka Twa pozostawia w spokoju, chciałbym bowiem być jako tako poinformowanym o zdrowiu Pani i *wszystkich*, zwłaszcza obecnie, gdy rodzina powiększyła się o taką wielką osobę.

Bądźcie szczęśliwi wszyscy

Ch.

Ostatni z listów, składający się na tę kolekcję, wysłany 4 sierpnia 1849 r., pisany był do panny de Rozières, bawiącej w Chaudfontaine w Belgji, pod Liège. Oto treść tego listu, w pierwszej połowie pisanego ręką Chopina, a dokończonego przez jego świeżo przybyłą siostrę, Ludwikę Jędrzejewiczową:

Siostra moja i Jędrzejewicz, tudzież moja siostrzenica, od 5 dni są ze mną. Jestem bardzo zmęczony. Oni również. Życzę Pani tyle szczęścia, ile go sam mam w tej chwili z odrobiną więcej zdrowia, gdyż jestem słabszy, niż kiedykolwiek.

Szczery Pani przyjaciel *Ch.*

Wyrazy poważania dla p. Gr. de Baulin.

(Dopisek Ludwiki Jędrzejewiczowej):

Słówko tylko, bo czas jest wysłać list na pocztę. Jestem tu więc z najukochańszym Fryderykiem, bardzo cierpiącym i żałuję wielce, iż nie mogę ciebie ucałować, droga i zacna przyjaciółko. Chętniebym się była zatrzymała w Chaudfontaine, gdyby pociąg nie przejeżdżał tamtędy w ciągu nocy. Myślałam o tem wiele, gdyż byłoby to dla mnie niewypowiedzianą przyjemnością móc zobaczyć Panią. Zresztą wiesz Pani i bez tego, jak Cię kochamy. To też nie widzę potrzeby zapewniać Panią o tem, jak bardzo żałowaliśmy, że pro-

jekt nasz natrafił na przeszkody. Cieszę się niezmiernie, iż Pani niedługo zamierza być z powrotem w Paryżu, gdzie bardzo często mówimy o Tobie, droga przyjaciółko. Nie uwierzyłabyś Pani, jakbym pragnęła, żeby Twój przyjazd dostarczył znów kilku dobrych chwil temu kochanemu Fryderykowi, który jest dziś bardzo zmęczony, bardziej nawet, niż innych dni, z powodu swego suchego kaszlu i bezsenności. Przyjazd mojej córki sprawił mu chwilową przyjemność. Resztę innym razem, gdyż trzeba zapieczętować list. Dowidzenia więc, droga przyjaciółko. Mąż mój każe Ci powiedzieć wiele miłych rzeczy, a ja całuję Cię z całego serca.

L. J.

W niecałe trzy miesiące po wysłaniu tego listu, zwłoki Chopina spoczywały już na cmentarzu Pere Lachaise.

Z POBYTU CHOPINA W SZKOCJI

NIEZNANE LISTY DO ALBERTA GRZYMAŁY.

Do nader bogatego zbioru pamiątek po Chopinie w muzeum Czartoryskich w Krakowie (o których w swoim czasie pisałem obszernie w *Bibljotece warszawskiej*), przybyła niedawno nowa kolekcja Chopinjanów, nader cenna. Przynosi ona, obok innych relikwij po nieśmiertelnym mistrzu, sporo własnoręcznych listów Chopina, pisanych do Grzymały między r. 1838 a 1849. Z tych zwłaszcza serja listów z Anglji i Szkocji, pisanych «nella miseria» w ciągu r. 1848, niemało przynosi szczegółów i wynurzeń, bardzo charakterystycznych dla ówczesnego nastroju artysty, przeczuwającego już zbliżającą się śmierć.

Oto trzy z pomienionych listów, które niewątpliwie zainteresują wielbicieli genjuszu Chopina.

I.

4 Sep (tembre 1848).

Johnston Castel
o 11 mil od *Glasgowa.*

Moje najdroższe życie.

Od czasu, jak do Ciebie pisałem, byłem w *Manchesterze.* Bardzo dobrze mię przyjęto: musiałem 3 razy usiąść do fortepianu. Sala piękna, 1200 osób. Mieszkałem na wsi (bo w mieście za wielki dym); wszyscy bogatsi mają swe mieszkania za miastem. Mieszkałem u poczciwego *Schwabe:* możeś go kiedy u Leona widział. Jeden z pierwszych fabrykantów, posiada najwyższy *komin* w Manchesterze, który 5.000 funtów kosztował. Jest on przyjacielem *Cobdena,* i sam wielki libre échanżysta. Żyd, niby protestant, w rodzaju Leona. Jego żona szczególniej dobra. Chcieli mię jeszcze koniecznie zatrzymać, bo J. Lind przyjeżdża tam w tym tygodniu i także mieszkać będzie u nich (w wielkiej są przyjaźni). Podczas mojej bytności była tam też i owa kochana Pani Rich, którąś widział z Panną Stirling u mnie. Widziałem także u *Schwabego* brata Leona, który tam także *handluje.* Ten Schwabe zna Albrechta z Hawru, więc posłałem zaraz przez niego do Albrechta naszego, żeby komorne i receptora zapłacić w *Squarze Orleańskim.* Moje życie, powiedz o tem *de Laracowi.* Dziękuję ci za twój poczciwy list i za Nossarz. O kocie dzikim nie myślę, bo i *Cachemire* mój mi cięży. Uściskaj go i powiedz, że zaraz sprobuję, jak tylko go uniosę. Ale, że serjo sprobuję może, jak zimno będzie! Dobry list przysłałeś mi od księżny Marceliny. Pyta, czy jeszcze w Londynie jestem i żeby do Ostendy jej dać znać o tem poste restante. Żebym był mocniejszy, zarazbym pojechał odpowiedzieć. Inny list był od *Chrystjana Ostrowskiego,* który się o dramat Mickiewicza dowiaduje, który niegdyś p. Sand w ręku miała, a który oddała w redakcji *de la Revue Indépendante.* Tam był wielki nieład. Pernet, jeden z następców umarł, a drugi François na Perneta zwala, bo nie wie, gdzie go zapodział. Ostrowski więc przedziwny pyta mi się, kiedy to było? i czy czasem niema jakiej kopji, i gdzie teraz jest P. Sand, żeby się do niej mógł udać!!! Wiem, że już raz szukali tego dramatu[1]) i nie znaleźli... Na takie listy, jak Ostr. nie odpiszę, a po-

[1]) Mowa o «Konfederatach Barskich».

nieważ ci je opowiadam, więc proszę cię lepiej *otwieraj je* i tylko potrzebne posyłaj.

Jestem tutaj u państwa *Houston*. Ona siostra moich pań szkockich. Zamek bardzo piękny i zasobny, trzymany na wielkiej stopie. Tutaj zabawię z tydzień i potem pojadę do Lady *Muray* w piękniejszy jeszcze kraj, gdzie znów z tydzień zabawię. Może będę w Edinburgu grał, dlatego do Oktobra zostanę w Szkocji. Proszę Cię, adresuj teraz listy

à M-r. Le Docteur *Lishinski*
Warriston Crescent
Edinburg, Scotland.

Łyszczyński, Polak, doktór homeopata w Edinburgu, który się porządnie ożenił, spokojnie siedzi i anglik zupełny. On będzie wiedział, gdzie mi list odesłać.

Ten list wczoraj zaczęty dziś kończę, ale czas się zmienił i brzydko na dworze, i zły jestem, i smutno mi, i nudzą mię ludzie swojemi zbytniemi opiekami. I odetchnąć nie mogę, i pracować nie mogę. Czuję się sam, sam, chociaż otoczony...[1]). Po co cię mam nudzić mojemi Jeremjadami! Sam masz biedy po uszy. Powinienem cię moim listem bawić. Żebym był w humorze, tobym ci opisał jedną szkotkę, *13-tą* kuzynkę Marji Stuart (sic!! mąż, co się *inaczej*, jak żona nazywa, serjo mi *to powiedział*). Tu tylko kuzyni i kuzynki wielkich familij i wielkich *imion*, o których na kontynencie nikt nie słyszał. Cała konwersacja genealogiczna zawsze; podobna do Ewangelji, co to ten zrodził owego, a ów tamtego, a tamten innego, i tak dwie karty aż do Pana Jezusa.

Układają mi tu koncert w Glasgowie. Nie wiem, co z tego będzie. Kochani tu bardzo, dobrzy, mają dla

[1]) Tu następuje 7 wierszy tak przemazanych, iż nie sposób odczytać nic z pod tych kreśleń.

mnie wielkie delikatności. Jest tu dziś różnych Ladys, starych 70 i 80-cio (letnich) Lordów, a młodzieży wcale, bo są na polowaniu. Tu wyjść nie można, bo deszcz i zawierucha od kilku dni. Nie wiem, jak będzie z moją podróżą do *Stracharu* (do Lady Muray): trzeba przepływać Loch Long (jedno z najpiękniejszych jezior tutaj), objeżdżać na pobrzeżu wschodniem Szkocję, ale to tylko 4 godzin stąd.

Dziś 9-ty. Posyłam ci mój stary list z 4-go sept. Daruj mi wszystkie bazgraniny; wiesz, co za męka dla mnie czasem pisać, pióro mi się pali pod palcem, włosy mi z głowy padają, i nie mogę napisać tego, cobym chciał, tylko tysiąc niepotrzebnych rzeczy.

Do Soli nie pisałem, ani do Derozierki.[1]) Napiszę, jak będę mniej rozigranego *stanu*. Ściskam Cię.

Twój do zgonu.

Pisz, i niech Cię Bóg strzeże.

Pani Etienne daj dobre słowo i powiedz, że jej niezapomnę.

Zapomniałem ci napisać, iż od czasu, ostatniego mego listu miałem dziwny wypadek, który szczęściem na niczem się skończył, ale mógł mnie życie kosztować. Jechaliśmy w sąsiedztwo nad morze. Pojazd, w którym jechałem, był *un coupé* z przepięknymi dwoma młodymi, rasowymi, angielskimi końmi. Koń jeden zaczął tańcować, nogę zaplątał, zaczął wierzgać, drugi toż samo: jak się rozbiegają *sur une pente* w parku, lejce się urwały, furman z kozła spadł (potłukł się ogromnie). Kareta zgruchotana, od drzewa do drzewa balotowana; lecieliśmy w przepaść... żeby nie jedno drzewo, które karetę zatrzymało. Jeden koń się urwał i szalony poleciał, a drugi padł przywalony powozem. Gałęzie okna poprzebijały. Szczęściem nic mi nie było, tylko trochę kontuzyj po nogach od balotowania. Służący zręcznie

[1]) Do Solange Clesinger i do panny de Rozière.

wyskoczył, i tylko kareta zgruchotana i konie poranione. Ludzie, co zdaleka to widzieli, krzyczeli, że dwóch zabitych, bo widzieli jednego zrzuconego, drugiego padającego na ziemię. Nim koń się ruszył, mogłem wyjść z karety, i nic mi, ale nikt z tych, co widzieli, ani nikt z nas, cośmy tam byli, nie rozumiemy, żeśmy na miazgę nie zgruchotani. Przypomniał mi się Ambasador Berliński (Emanuel) w Pireneach: także tak był balotowany. Przyznam ci się, żem widział spokojnie ostatnią godzinę, ale myśl nóg i rąk połamanych bardzo mnie przeraziła. Jeszczeby mi kalectwa trzeba!

II.

Edimburg, 30 Oktobra (1848).

Moje najdroższe życie.

Czyś mnie zapomniał, żeby wnosić z moich listów, w których ci pisałem, iż jestem coraz słabszy, nudniejszy, bez nadziei żadnej, bez siedziby, żeby z tego wnosić, że *się żenię*? W dzień, w którym odebrałem od ciebie poczciwy i kochany Twój list, napisałem rodzaj porządku z mojemi gratami, do zrobienia w przypadku, gdybym gdzieś zdechł.

Tłukłem się po Szkocji, ale teraz już za zimno i jutro wracam do Londynu, bo mi Lord Stuart pisał, żeby grać 16-go na koncercie, który dla Polaków dają, przed zaczęciem balu. Wracając z *Hamilton* Pallace (o 60 mil stąd), gdziem u X-stwa Hamiltonowstwa kilka dni siedział, zakatarzyłem się, od 5-ciu dni nie wychodzę, mieszkam u D-ra Łyszczyńskiego, który mię homeopatycznie leczy, i już nigdzie nie chcę jechać po wizytach, bo tu i cholera za pasem i potem, jak gdzie klapnę, to już teraz na całą zimę. Obiecałem, jeżeli pogoda się naprawi, wrócić do Hamilton Palace, a stamtąd jechać na wyspę Ayran (co do nich cała należy), do X-żnej

Badeńskiej, co za ich synem, Marquisem Duglas; ale nic już z tego nie będzie. Podczas mego tam pobytu, prócz wielkich arystokracyj krajowych i familij, byli X-stwo Parmy, X-że Luka, ona siostra X-cia Bordeaux (bardzo wesołe małżeństwo młode). Zaprosili mnie także do siebie, do Kingston, jak wrócą do Londynu, bo teraz w Anglji mieszkać będą, od czasu, jak ich z Włoch wypędzili... To wszystko dobrze, ale ja już nie po temu, i jeżelim śpieszno z Hamiltonu wyjechał, to dlatego także,, że od 8-ej do $10^1/_2$ przy stole siedzieć nie mogę, bez bólów takich, jak to u Gutmanna (pamiętasz?), a rano, chociaż u siebie śniadaniowałem i późno chodziłem, i po schodach mnie noszono, to jednakże niewygodnie mi z tem wszystkiem.

W Wishaw u Lady Bellhaven, gdziem także był przed Hamiltonami, pisałem do Ciebie, nim twój list odebrałem, ale taki czarny, zły list, że dobrze, żem ci go nie posłał.

Po 16-tym No-brze, jeżeli coś się u was polepszy albo — — — — — — — — — — — —

(reszty listu brak).

III.

(Londyn 1848).

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

. . . mnie londyńskie brouillardy wypędzą, to wrócę do Paryża, jeżeli nie za późno będzie na podróż.

Moje szkotki *poczciwe*, których już parę tygodni nie widziałem, dziś tu będą i chciałyby, żebym jeszcze został tłuc się po pałacach szkockich, i tu, i tam, i wszędzie, gdzie mnie proszą. Poczciwe, ale takie *nudne*, że niech Pan Bóg chowa!... Co dzień listy odbieram, na

żaden nie odpisuję, i jak tylko gdzie pojadę, tak za mną przyciągną, jeżeli mogą. To może myśl komu dało, że się żenię; ale jednakże trzeba fizycznego jakiego attrait, a za bardzo do mnie podobna ta, co nie żeniata [1]). Jakże się z sobą samym całować!... [2]). Przyjaźń przyjaźnią, wyraźnie powiedziałem, ale prawa do niczego innego nie daję...

Żebym się mógł nawet zakochać w czemsiś, coby mię także kochało, jakbym sobie życzył, tobym się jeszcze nie żenił, bo byśmy *nie mieli co jeść* i gdzie siedzieć. A która *bogata*, szuka bogatego, a jeżeli ubogiego, to nie *cherlaka*, tylko młodego, przystojnego. Biedę klepać samemu wolno, ale we dwoje to największe nieszczęście. Mogę w szpitalu zdechnąć, ale żony bez chleba po sobie nie zostawię. Zresztą niepotrzebnie ci to wszystko piszę, bo wiesz, że tak myślę... [3]). A więc o żonie nie myślę wcale, ale o domu, o *Matce*, siostrach [4]). Niech im Bóg pozwoli zostać przy dobrej myśli! Tymczasem moja sztuka, gdzie się podziała? A moje serce gdziem zmarnował?... [5]). Ledwie że jeszcze pamiętam, jak w kraju śpiewają. Świat mi ten jakoś mija, zapominam się, nie mam siły [6]); jeżeli się uniosę trochę, to spadnę tem niżej.

Nie skarżę ci się, ale żądałeś, więc ci tłumaczę, żem bliżej trumny, jak łoża małżeńskiego. Umysł mam dosyć spokojny... [7]). Jestem zrezygnowany... [8]).

---

[1]) Panna Stirling, siostra pani Erskine.
[2]) Kilka wierszy przekreślonych.
[3]) Znów osiem wierszy przekreślonych tak, iż nic po przez kreślenia odczytać niepodobna.
[4]) Znowu kilkanaście wyrazów przekreślonych.
[5]) Kreślenia.
[6]) Kilka wyrazów przekreślonych.
[7]) Kilkanaście wyrazów przekreślonych.
[8]) Te dwa wyrazy, oraz kilkanaście następnych, przekreślone.

Napisz mi słowo. Adresuj: Szulczewski Esq. 10 Duke Street, St. James's. Tam jest Towarzystwo literackie polskie Stuarta [1]).

Czwarty list do Ciebie napisany nie posyłam, tylko kawałek z innego z niecierpliwością pisanego, żebyś widział, jak czasem zły jestem.

Twój do zgonu *Ch.*

---

[1]) Pod przewodnictwem lorda Dudlay Stuarta, znanego przyjaciela Polaków.

ARCYBISKUP FELIŃSKI O SŁOWACKIM

Do urabiania się opinji o Słowackim, jako o człowieku, przyczyniali się najwięcej ludzie z nieprzyjaźnie dlań usposobionej koterji: stąd rozpowszechnione mniemanie o jego pysze, złośliwości, zarozumiałości, zawiści i innych małostkach. Że Słowacki nie był bez wad jako człowiek, to pewna: wszak był człowiekiem, nie aniołem; ale że nie był tak zarozumiałym pyszałkiem, jak o tem głoszą różne świadectwa współczesnych mu Januszkiewiczów, Witwickich, Zaleskich i innych, to zdaje się nie ulegać najmniejszej wątpliwości.

Zupełnie inaczej opisuje Słowackiego w pamiętnikach swych zmarły niedawno ks. arcybiskup Feliński, który i znał poetę lepiej, niż ci wszyscy, co o nim tak niepochlebne wydali świadectwa, i sądził go bezstronniej. Oto odpowiedni ustęp z pamiętników ś. p. arcypasterza, zawierający opis jego znajomości ze Słowackim i charakterystykę autora *Króla ducha*, jako człowieka w życiu prywatnem.

— Skorom się urządził z naukowemi zajęciami, pośpieszyłem naprzód do Juljusza Słowackiego, nie chcąc pozbawiać go pociechy otrzymania conajrychlej listu od matki, oraz szczegółów z codziennego jej życia, jakie miałem mu do zakomunikowania. Mieszkał on w dość odległej od środka dzielnicy Paryża, na trzeciem, wedle miejscowej nazwy, piętrze, co u nas piąteby stanowiło. Mieszkanie poety składało się z trzech pokoików, schludnie, ale bardzo skromnie umeblowanych,

z których pierwszy służył mu za salon, drugi za pracownię, trzeci zaś, najmniejszy, za sypialnię.

Powierzchowność miał bardzo niepospolitą: budowa ciała wątła, mało rozwinięta, z jednem ramieniem nieco podniesionem, z piersią zapadłą i wychudłemi rękoma, ukoronowana była głową kształtną o wyniosłem czole, z pod którego świeciły ogromne czarne oczy, patrzące tak głęboko i wyraziście, iż wzrokiem jednym mógłby całe poematy wypowiadać. Mały, czarny wąsik zaledwie ocieniał wąskie lecz bardzo ruchome wargi, na których każde odbijało się uczucie, tak, iż na przemian już to drżały one rzewnem wzruszeniem, już zaciskały się gniewem, już wreszcie wykwitał na nich wyraz takiego szyderstwa, iż biada temu, kto ten ironiczny uśmiech wywołał: żadna zniewaga nie zabolałaby go tyle, co ta lekceważąca wzgarda. Ze wszystkich wieszczów naszych, nie wyłączając nawet Mickiewicza, który w chwilach natchnienia przeistaczał się do niepoznania, żaden nie miał oblicza tak uduchowionego w życiu codziennem, jak Słowacki.

A nietylko wyraz twarzy, lecz i mowa jego nie schodziła nigdy z wyżyn poetycznego nastroju. W epoce, w której go poznałem, t. j. na parę lat przed jego śmiercią, nie widziałem go ani razu w usposobieniu, nie mówię już trywjalnem, ale pospolitem nawet. Czuć w nim było zawsze mędrca i poetę, zajętego wyłącznie kwestjami ducha i wieczności, albo opatrznościowego posłannictwa narodów. Nawet nie rozdzielone z ludzką naturą uczucia serca umiał on podnieść do tych wyżyn nadziemskich, gdzie panuje niezamącony spokój, z zamiłowania woli Bożej płynący. Żadnej burzy, żadnego narzekania, żadnej nawet niecierpliwej żądzy dusza jego nie znała, pomimo, iż po ciernistej postępował drodze, tęskniąc ustawicznie do lepszego niż obecny świata. A i za grobem nie marzył o możebności jakiegoś szczęścia, zasadzającego się na ciągłem używaniu, lecz jak się odzywa do odchodzącego z ziemi

bohatera: «Niechaj nie sądzi, że jest upominek dla ducha inny jaki nad spoczynek».

List matki ucieszył niezmiernie Juljusza. Z rozrzewnieniem słuchał opowiadań moich o niej i zapewne dzięki tej okoliczności, żem ją znał od dzieciństwa i przez nią byłem mu polecony, zawdzięczam to serdeczne przyjęcie, jakiego doznałem. Z mojej strony od pierwszego poznania duszą całą doń przylgnąłem. I nie dziw: sam bowiem, obdarzony od natury charakterem wrażliwym i zdolnym do zachwytu, ale pozbawiony owych wieszczych skrzydeł, co samoistnie unoszą ducha w szczytną natchnienia krainę, umiałem być wdzięcznym każdemu, co miał dość siły, by porwać mię z sobą, i dość miłości, by podzielić się ze mną tą niebiańską rozkoszą, jakiej doznaje dusza, ilekroć, wzniósłszy się nad poziom powszedniości, spocznie na łonie wiekuistego piękna. Wspólne uwielbienie dla ideału, jednaki pogląd na znaczenie sztuki i powołanie wieszcze... zbliżało nas tak bardzo i tak ściśle kojarzyło, iż niebawem towarzystwo Juljusza stało się dla mnie potrzebą serca, a i on tęsknił, kiedy mnie dłużej nie widział. Przy dłuższem obcowaniu, kiedy mię całkiem wtajemniczył we wszystkie swe poglądy, spostrzegłem, iż chociaż opuścił Koło i zerwał z Towiańskim, nie odrzucił wszakże zasadniczej jego idei co do kształcenia formy przez ducha... Co do mnie, jako świecki i całkiem z teologją nie obeznany wówczas młodzieniec, nie byłem w możności ocenić dogmatycznego znaczenia teorji Słowackiego, a stąd nie próbowałem nawet stosować do niej obcej mi miary świątyni. Jasno widziałem, że kochał on szczerze Chrystusa, pragnął triumfu Jego nauki, życie prowadził, śmiało powiedzieć można, anachorety, budował mię więc tylko i ducha mego ku Niebu podnosił, nie żądając ode mnie wyrzeczenia się choćby jednej joty z nauki Kościoła... Pięknym też rysem jego charakteru było to, że nie lubił wiele mówić o ludziach, a im boleśniej był przez kogo dotknięty, tem

uparciej o nim milczał. Wogóle rozmowa o żyjących osobach, tem bardziej zaś nicowanie życia prywatnego, tak zwane plotki i komeraże, wstręt w nim obudzały; wolał zawsze mówić o kwestjach ogólnych, o wydarzeniach dziejowych, i tu czuł się w swoim żywiole. O poetach naszych wyrażał nieraz swe zdanie, nie o ich osobistym jednak charakterze, lecz o talencie i literackiej działalności. Mówiąc kiedyś o współczesnych pisarzach ze stanowiska piękności języka, w oryginalny sposób wykazywał mi obcy polskiej mowie tok wiersza Zygmunta Krasińskiego i Bohdana Zaleskiego, najwięcej wówczas przez młodzież uwielbianych pod względem harmonji i wytworności formy. Przedeklamował naprzód ustęp z «Jerozolimy wyzwolonej» w przekładzie Piotra Kochanowskiego i wnet pod świeżem wrażeniem przeczytał lekki jakiś wierszyk Zaleskiego. «Widzisz, rzekł następnie, jak on się wydaje przy prawdziwie sarmackiej mowie. Tamto jest język rycerza, nacierającego na wroga z koncerzem i w skrzydlatej zbroi, taka jędrność, powaga i siła w toku mowy; tu zaś przychodzi na myśl reklama kuglarza, co skacze na linie i na podziw gawiedzi łamane sztuczki wyprawia. Muza Bohdana — ciągnął dalej — tak jest pierzchliwa, że gdy go nawiedzi natchnienie, na palcach skrada się pocichutku do biurka i chwyta za pióro, by jej nie spłoszyć...» Krasińskiego cenił niezmiernie wysoko, jako natchnionego wieszcza, zwłaszcza w utworach jego nierymowanych; formę zaś jego wiersza uważał za sztuczną i niezgodną z duchem naszego języka, który nie znosi dowolnych wyrazów, jakiemi Zygmunt upstrzył swoje poezje. Jedynie o Mickiewiczu Słowacki odzywał się zawsze z uwielbieniem, tak, iż w ciągu dwuletnich naszych stosunków nie zdarzyło mi się słyszeć ani razu, żeby naganił chociażby najmniejszy urywek z jego utworów, pomimo, iż wogóle był bardzo surowym krytykiem. Najwyższa jego ambicja była: zrównać się z Adamem... Z powodu sądu o Krasińskim

i Zaleskim wyraźnie też zaznaczył owo stawianie siebie na równi z Mickiewiczem. «Oni — zawołał — nas błyszczącym pyłem przysypują, ale przyjdzie czas, kiedy powiew zdrowej krytyki pył ten rozmiecie, a czyste złoto wówczas się ukaże».

...Do charakterystyki Słowackiego dodać jeszcze należy dość rzadką u literatów, zwłaszcza zaś u poetów, zaletę, że nie lubił ani rozmawiać o swoich utworach, ani ich czytać znajomym. Kiedym go raz prosił o objaśnienie mi ciemnych ustępów «Króla Ducha», odpowiedział mi tylko: «Czytaj z prostotą dziecka, a sam zrozumiesz». Z dziejów swej twórczości opowiadał mi tylko, iż gdy wracał z podróży do Ziemi Świętej i miał przy sobie rękopis natchnionego otrzymanemi w Palestynie wrażeniami «Anhellego», został zaskoczony na morzu gwałtowną burzą, grożącą rozbiciem okrętu. Wówczas przyznał, iż los własnego życia mniej go obchodził, niż los owego dziecka jego ducha... Zdarzyło się kiedyś wyjątkowo, że mi sam przeczytał nieznanego mi jeszcze *Księcia niezłomnego*, co dało mi poznać niezwykły jego talent deklamatorski: serce słuchacza wisiało, że tak powiem, na jego wargach, odczuwając każde ich drgnienie, każdą modulację głosu.

W dwóch ostatnich latach swego życia Słowacki był bardzo osamotniony... Z pomiędzy rzadkich gości, którzy go nawiedzali, najwięcej było z kraju, gdyż ci nowi przybysze, nie wplątani w emigracyjne stronnictwa, znali go i cenili jedynie jako znakomitego poetę. Na krótko przed rewolucją lutową poznałem u niego Kornela Ujejskiego. Słowacki cenił jego talent, z powodu jednak różności charakterów i zasad nigdy do ściślejszych między nimi stosunków nie przyszło.

OSTATNIA MIŁOŚĆ JULJUSZA SŁOWACKIEGO

Jedynym, o ile wiemy, człowiekiem, któremu Słowacki tragedję swą o *Janie Kazimierzu* przeczytał, był Józef Reitzenheim, autor pierwszej biografji Juljusza. Wiemy również, że, występując z «Koła» Towiańczyków, polecił Słowacki «przyjacielowi swemu Józefowi Reiztenheimowi», aby ten, «dobrawszy sobie dwóch świadków, akt niniejszy — wyłuszczający właśnie powody zerwania [1]) — w same ręce zastępcy mistrza złożył i, zdjąwszy kopję z onego, podpisem dwóch świadków stwierdzoną, kopję takową w pewnem miejscu zachował i przy zdarzonej okazji w pierwszym grodzie polskim do akt publicznych wniósł» i t. d.

Z ustępu powyższego wynika, iż nazwisko Józefa Reitzenheima nie jest nam obcem; nie spotykamy się z niem po raz pierwszy na tem miejscu.

O pani Reitzenheimowej nie wspomniał nikt dotychczas [2]).

W listach Juljusza znajdujemy o niej dwie czy trzy obojętne *napozór* wzmianki — nic zresztą. Tym-

---

[1]) Akt ten przytacza w całości dr. Henryk Biegeleisen w przedmowie swej do wydania *Genezis z Ducha* Słowackiego. Warszawa 1884 (?). Także Lwów.

[2]) Jeden tylko Aër w swojej *Wieczerzy* powiada, że na wilji w Klubie polskim, urządzonej dla Mickiewicza w d. 24 grudnia 1840 r. znajdowała się między innemi damami także i pani Reitzenheim.

czasem o «stosunku» Słowackiego z panią Reitzenheimową podobno że «niestworzone rzeczy» opowiadała sobie emigracja[1]). Plotki te — jak się domyśleć łatwo — rozpuszczali sprzymierzeńcy Mickiewicza.

«Słowacki Reitzenheimowi żonę bałamuci», mówiono podobno, nie bacząc, że «stosunek» ten nie zawierał w sobie nic zdrożnego. Na to bowiem, ażeby żonę przyjacielowi swemu uwieść, był Słowacki zanadto szlachetnym i dumnym. Do czynu tak poziomego nie zniżyłby się poeta nasz nigdy... Nigdy!... A cóż dopiero teraz, w czasach messjanizmu, kiedy go «ofiary, które z ducha dał, uradowały i podniosły», kiedy «owiany chmurą duchów, szczęśliwym się czuł, przeanielonym i pełnym nowej mocy», kiedy się już obmył ze wszystkich «brudów ziemskich».

Gdzie i kiedy poznał się Juljusz z panią Reitzenheimową? — nie wiemy na pewno. Pozwoliłbym sobie przypuścić, że około roku 1840. Czemu wtedy? Dlatego, że kiedyindziej nie mógł Słowacki Reitzenheimowi czytać swojego *Jana Kazimierza*, a powtóre, że obaj, Słowacki i Reitzenheim, jako członkowie Klubu polskiego, musieli się tu spotykać nader często. Reitzenheim bardzo Słowackiego pokochał. Nic dziwnego więc, że go do siebie zaprosił i żonie przedstawił. Stąd znajomość.

W roku 1844 pisze Słowacki do matki w ten sposób: «Tymczasem ja, prosty człowiek, *odzyskałem nawet ten czar, który miłością ludzi uderza* i wiąże ich w jeden wieniec, czar, który dawniej zostawiony był instynktowi i rozwijał się lub gasnął w człowieku, jak lampa». Czar ten — wolno się domyślać — pozwolił poecie znaleźć wkońcu to, za czem tak tęsknił, czego tak pragnął przez całe życie. A nie pragnął niczego więcej,

[1]) Szczegółów powyższych udzielił mi zmarły już dziś Adolf Przerwa Tetmajer, były marszałek powiatowy a zarazem poseł do sejmu galicyjskiego. Znał on Reitzenheima jeszcze ze Lwowa. Żonę jego poznał w Paryżu, gdzie po wypadkach roku 1846 czas jakiś na emigracji przepędził.

tylko «uśmiechu na ustach kobiety, dobroci, prostoty i spokojności serca». Łagodna z natury «jak biała gołębica», trochę może sentymentalna, jak wszystkie prawie córy Albjonu, posiadała pani Reitzenheim przymioty te w stopniu podobno że bardzo wysokim.

Zachodzi jednakże pytanie: mamy-li jakie dowody — czarno na białem — któreby wszystko to, com tu dopiero co opowiedział, potwierdzały? Odpowiedź na szczęście wypada potakująco. Przedewszystkiem — jak powiedziałem — znajdujemy o pani Reitzenheimowej i jej mężu kilka wzmianek w korespondencji Słowackiego. Jeżeli zaś Juljusz matce swej o «stosunku» tym z Angielką bliższych szczegółów nie podawał, jeżeli się o niej w listach swych obszernie nie rozpisywał, dziwić mu się ani mu brać tego za złe nie można. Choć, że spotkawszy się z matką we Wrocławiu, opowiadał jej o pani Reitzenheimowej, to zdaje się najmniejszej nie ulegać wątpliwości. Dowodzi tego następujący wyjątek z listu, pisanego z Paryża dnia 1 sierpnia 1848 r., bezpośrednio po powrocie z Wrocławia: «Panią Reitzenheim znalazłem zdrową z dziatkami; mąż jej zaś u was jest» — to jest we Lwowie — «dziwię się, że go nie poznałaś».

A propos. Zwracam uwagę, że w listach Słowackiego, poprzedzających jego widzenie się z matką we Wrocławiu, nie znajdujemy nigdzie ni razu nazwiska pani Reitzenheimowej.

W liście z dnia 29 września 1848 roku wspomina znowu Słowacki o pani Reitzenheimowej: «Przed kilkoma dniami pisałem do ciebie, teraz piszę znowu, bo mam do was prośbę: abyście się dowiedzieli, gdzie się obraca Józef Reitzenheim, który był we Lwowie u matki i pisał do żony, że dwudziestego lipca zamierza wyjechać do was i tu prosto powracać, a tymczasem żonę i dziatki zostawiwszy bez żadnej dalszej o sobie wiadomości, niewiedzieć gdzie się obraca. Nie jest to człowiek, któryby przez lenistwo nie dał o sobie zawiado-

mienia. Sądzę więc i wnoszę, że może się udał na południe i tam gdzie zawieruchą wypadków zatrzymany, pisać nie może. Proszę więc was, a Fortunata osobno listem niby rekomendacyjnym opatrzę, aby miał pretekst o synie się u matki dowiedzieć, nie przestraszając jej, coby nastąpiło, gdyby ona sądziła, że go tu niema... Żona Józefa także pisała do niej, ale i od matki niema żadnej odpowiedzi. Biedna Angielka smuci się. A najstarsza jej córeczka aż schnie z tęsknoty po ojcu. Adres matki Reitzenheima na liście do niego położę».

Z przytoczonego powyżej ustępu widać, jak przyjacielskie łączyły Słowackiego stosunki z domem i rodziną Reitzenheima. Pod nieobecność Józefa musiał Penelopę jego odwiedzać dosyć często — może nawet bardzo często — zaniepokojoną brakiem wiadomości o mężu uspakajał, szukając przytem, o ile mógł, pozytywnych o nim wieści.

O pani Reitzenheimowej (co dowodzi, że myślał o niej i marzył nieraz) pisze w dzienniczku swym w taki sposób:

«Opowiadała mi pani R...(eitzenheim) o swoim śnie, że widzi zawsze niby zamek starożytny, gdzie jej pokazują szufladę, pełną starych pieniędzy, i mówią, że to do niej należy; potem ją fale porywają, z któremi ona walczy. Cudne wspomnienie! Pewnie była dziecięciem pieszczonem, bogatem, które rodzice psuli, pieniądze jej pokazując; potem utopiła się może w podzamkowej rzece, może ją w wodę zbójcy rzucili... Teraz ta pani, *cudnej piękności, młoda zupełnie*, jak gdyby za ekspiację, z nędzą walczy, dziatki sama wychowuje i przyznaje się, że w sercu tęskni za majątkiem, że jej się zdaje, iż z pieniędzmi byłaby szczęśliwą, i sen ów przemawia do niej napróżno, albowiem z trudnością poddać się jej woli Bożej przychodzi...»

Nie czułażby się pani Reitzenheim szczęśliwą w pożyciu małżeńskiem?

Dodać muszę, iż dziennik, z którego opowiadanie to zaczerpnąłem, pisany jest w roku 1844, jak to podaje p. H. Biegeleisen [1]).

Opowiadanie moje o «stosunku» Słowackiego z panią Reitzenheimową, oparte, jak dotąd, na wyjątkach z listów, oraz z dziennika Juljusza, a poniekąd także i na opowiadaniu p. Tetmajera, potwierdza w zupełności znany u nas tłumacz Schillera, Michał Budzyński. W pamiętnikach swoich, noszących tytuł «Wspomnienia z mojego życia», pisze on o Słowackim i pani Reitzenheimowej co następuje.

Ustęp ten, jako nie dla wszystkich czytelników polskich przystępny, a przytem jako wyjęty z książki, która przeszła niepostrzeżenie, bo ledwo się ukazała, natychmiast utonęła «w zapomnienia fali», niczyjej na siebie nie zwróciwszy prawie uwagi, pozwolę sobie w całości przedrukować. Nie sądzę, ażeby to było bez pożytku:

«W Juljuszu Słowackim, pisze Budzyński, było wiele poezyj, gdy opowiadał dawne życie swoje. Mówił mi raz o swych podróżach do Grecji i Egiptu: «Dziwna rzecz, jak po oglądaniu jednej jakiej doliny, góry, albo starych murów, zgadywałem co dalej będzie, czy to na wyniosłościach Libanu, czy to na polach Grecji! Pojąć nie mogłem, skąd mi na myśl przychodziły obrazy okolic, które po raz pierwszy zwiedzałem [2]). Wszystko się rozświeciło, gdy szlachcic litewski (Andrzej Towiański) przyjechał bryczką do Paryża i powiedział mi dwa słowa [3]), któremi rozwiązał zagadkę bytu człowieka. Wtenczas dawne stanęły mi życia, jasne jak słońce, i przypomniałem sobie, jak w trzecim wieku po Chry-

[1]) Przedmowa do wydania *Genezis z Ducha*.

[2]) Psychologiczne, fizjologiczne raczej objaśnienie tego szczególnego zjawiska podaje Th. Ribot w swoich *Chorobach pamięci*.

[3]) *Wędrówka dusz*.

stusie byłem kaznodzieją na Libanie; potem, później, daleko później, *palikarem* greckim, i w górach wiodłem życie rozbójnicze, ucierając się z Turkami, którzy po wzięciu Konstantynopola, zapuścili łupieże swoje po Morei. Z palikara Bóg mi kazał wejść w ciało Polaka...» «Juljuszu! — zawołałem do niego — czemuż ja nie widzę żyć moich dawnych?» «Jedno z dwojga: albo staraj się cierpieć, jak ja, dręczyć się, jak... O! bo ja męczarnie Tantala przebyłem! Gdym przekładał *Księcia Niezłomnego*, tarzałem się po ziemi, wystawiałem sobie, że jestem tym księciem Portugalji, który za ojczyznę oddałem mój żywot i dźwigam kajdany Maurów. Darłem piersi moje, połykałem proch na podłodze zmiatany i wołałem do Boga, aby temi cierpieniami otworzył mi oczy i umysł, i zbudził pamięć żyć dawnych. Bóg mię wysłuchał; i niema chwili dawnego życia, któraby mi nie stawała w pamięci tak żywo, jak tobie chwile niedawne, lat dziesięć albo pięć dopiero ubiegłe [1]). Otóż jeden sposób obudzenia pamięci. Drugi łatwiejszy; ale na to trzeba łaski: trzeba, ażebyś ukochał mnie, ale tak ukochał, żebyś Juljusza miał za siebie drugiego; a wtenczas ja budzić będę ducha twego i wywoływać życia dawne». Otóż poezja Słowackiego taką metampsychozę wyśpiewała [2]). Mimo zakazu mistrza Towiańskiego, aby każdy z jego adeptów pióro rzucił, bo gdzie rozum, tam zguba, Słowacki napisał *Księdza Marka* i *Sen srebrny Salomei*, gdzie ów przechód dusz w poematach umieścił. Święta Salomea była to żydówka, sprzyjająca konfederatom, potem bogobojna dziewica, wieńcem Świętej ozdobiona. Bracia krzyczeli na niego, on mienił się Mesjaszem sam na swoją rękę: a koledzy lubo żałowali gorącego młodziana, obałamuconego nowemi a tak dziwnemi ideami, szanowali jednak zawsze

[1]) Historję tych swoich żywotów dawnych opowiedział Słowacki w *Królu Duchu*, z którym (jak z czasem wykażę) identyfikował się...

[2]) W *Królu Duchu*.

za jego wrzącą duszę, za szlachetny charakter, który, pomimo obłędu, polskich uczuć nie pozwalał mu rzucić. Juljusz Słowacki w roku 1849 umarł na suchoty w Paryżu, nie wiem, czy z błędnych marzeń wyleczony, ale umarł jak katolik. Ledwo się na nogach mogąc utrzymać, złożył spowiedź życia przed kapłanem, ukląkł do Przenajświętszego Sakramentu. Poprawiał niektóre pisma swoje, drugie poprawiać zalecił Kunatowi, i wobec kilku serdecznych przyjaciół i *pani Reitzenheimowej, swojej kochanki platonicznej*, skonał snem spokojnym i zyskał zapewne przebaczenie Pańskie za krótkie chwile obłędu».

Opis ten śmierci Juljusza, różni się nieco, jak widzimy, od opisu, który nam podał w liście swym ksiądz arcybiskup Feliński. Z listu tego [1]) wiemy, że obecnymi przy skonie Juljusza oprócz Felusia — jak Felińskiego zwykł był nazywać Słowacki — byli: niejaki Petiniaud, który ostatnią noc przy łożu Słowackiego przepędził, doglądając go, i ksiądz, który go nazajutrz olejem świętym namaścił. O pani Reitzenheim nie wspomina Szczęsny Feliński ani półsłówkiem. Widocznie więc Budzyńskiego niedobrze poinformowano.

Choć z drugiej strony takby się chciało uwierzyć, że — jak opowiada Budzyński — «wobec kilku serdecznych przyjaciół i pani Reitzenheimowej, swojej kochanki platonicznej», skonał autor *Anhellego* i *W Szwajcarji*.

Co pewna, to, że męża pani Reitzenheimowej nie było w Paryżu, kiedy Juljusz umierał; świadczy o tem następujący ustęp jego broszury o Słowackim: «Opuszczając Paryż — pisze Reitzenheim — przy końcu r. 1848, byłem z pożegnaniem u Juljusza; w rozmowie kilkogodzinnej i *ostatniej pomiędzy nami* ubolewał

[1]) Zob. broszurę Józefa Reitzenheima o Juljuszu Słowackim.

ciężko, że ogłoszono ten wiersz». Mowa o wierszu: *Do autora trzech psalmów.*

Wyjazd Reitzenheima z Paryża nie dowodzi niczego, ponieważ wiem o tem napewno (od p. Tetmajera) że kiedy Reitzenheim włóczył się po całej Europie, co mu się zdarzało bardzo często, ile że trudnił się chowaniem zmarłych na obczyźnie Polaków, żona jego, mieszkając z dziatkami w Paryżu, nie ruszała się stąd ani na krok.

O Reitzenheimie i jego żonie pisze Budzyński w dalszym ciągu co następuje:

«Muszę jeszcze przebiec niektórych emigrantów i familje ich, zamieszkujące Paryż w tych czasach, gdy ja tam przebywałem. Józef Reitzenheim, rodem z Galicji, syn urzędnika austrjackiego, znanego znaczeniem: ożeniony z Angielką, piękną i ślicznie wykształconą, zajmował mieszkanie skromne na Batignolles. Do żadnego stronnictwa nie należał, ale znany był od wszystkich i ze wszystkimi w stosunkach. Ojciec jego, konsyljarz gubernjalny, podawał zawsze ostre środki w czasie wojny 1831 roku na obywateli, których synowie udawali się do Królestwa polskiego. Jednego dnia, ze zgorszeniem ojca, zniknął syn, i wkrótce rozeszła się wieść, że w jednym pułku kawalerji polskiej wystąpił na linję bojową. Od tej pory każdy z obywateli galicyjskich, zapytany, gdzie jego syn, odpowiadał urzędownie: gdzie jest mój syn nie wiem, ale pana konsyljarza Reitzenheima jest w wojsku polskiem». Młody Reitzenheim powrócił był po skończonej wojnie 1831 roku, ale niezgodne zasady polityczne między ojcem a synem przywodziły takie burze domowe, że syn, dla uniknienia sporów, emigrował do Anglji. Tam ożenił się z panienką, mającą mieć kiedyś znaczny majątek, ale której do pewnego czasu, testamentem ojca, tylko 250 funtów sterlingów wypłacano rocznie. Juljusz Słowacki przepędzał często wieczory w domu Reitzenheimów, żywiąc uczucie czyste dla Angielki. Zawsze, gdy miał myśl pisania jakiego poematu, musiał kilka wieczorów u niej przepędzić dla sprowadzenia poetycznego natchnienia. Tam go ściślej poznałem i tam on opowiadał dzieje żyć swoich dawnych, o których wyżej pisałem».

Tyle Budzyński.

A teraz, gdyby mię kto zapytał: która z miłości Słowackiego wydaje mi się najpoetyczniejszą, która z jego Beatrice najpiękniejszą, — odpowiedziałbym śmiało i bez wahania: jego «ostatnia miłość» do pani Reitzenheimowej. Albowiem musiało to być uczucie czyste, święte, niewinne poniekąd, wzniosłym platonizmem owiane, i jeżeli czemu pokrewne, to idealnemu, seraficznemu uczuciu, jakiem przed wieki zapałał Dante do Beatrix Portinari.

Tak. Pani Reitzenheim, to prawdziwa Beatrice Juljusza! Na Sybirze wygnania była mu ona tem, czem Anhellemu — Ellenai.

«A miłowałem ją w czystości serca mego; dlatego łzy mię zalewają, kiedy myślę o niej... Bo oto byłem przy niej, jak ptak swojski, co się boi; i nie wziąłem nawet pocałowania od jej ust koralowych, choć była blisko — jak gołąb mówię, siedzący na ramieniu dziewczyny».

Powiada Budzyński, że Juljusz «zawsze, gdy miał myśl pisania jakiego poematu — a pisał wtedy więcej niż kiedykolwiek — musiał kilka wieczorów u niej przepędzać dla sprowadzenia poetycznego natchnienia». Albowiem — domyśleć się nietrudno — znajdował przy jej boku, czego mu najbardziej było trzeba: spokój. I serce wtenczas miał «lepsze i cichsze». I była mu ta «cudnej piękności» Angielka, «z trudnością poddającą się woli Bożej», a więc smutna zapewne, nietylko pokrzepieniem dla ducha, który, jak skołatany ptak, musiał gdzieś na maszcie jakimś wypocząć, lecz i natchnieniem, Muzą: ową tajemniczą Atessą z poemaciku *Poeta i natchnienie*, z którego przytoczony poniżej wyjątek, pozwoli, przypuszczam, urobić sobie niejakie pojęcie

o charakterze, kolorycie, o psychologji, że tak powiem, tego ostatniego w życiu autora *W Szwajcarji* romansu, romansu nie tyle dwojga ludzi, ile raczej dwóch pięknych, melancholijnych dusz.

Szukałem ciebie, rosnąc w piękność nocy,
Która po twojej trzyma niezawodnie
Najpierwsze miejsce u samego Boga.
On wie, że w moim duchu nie miał wroga.
Lecz ty aż teraz, jak krzyż zapalony,
Przyszłaś, kiedy ja, wichrem nieszczęść zbity,
I tak jak sztandar kulami zniszczony,
I tak jako hełm Hektora bez kity,
I tak jak harfa, co straciła tony,
I tak jako trup w grobowcu odkryty,
Na bezlitosne wystawiony wzroki
I tak widzący swój zgon, jak proroki,
Walę się w prochu... Gdzie byłaś, siostrzana
Duszo, kiedym ja cierpiał?...

LIST OTWARTY

DO PIOTRA MASZYŃSKIEGO, DYREKTORA «LUTNI»

Szanowny Dyrektorze!

Kiedym Cię w dniu 10 kwietnia r. b. widział na chórze w kościele Św. Krzyża w czasie nabożeństwa żałobnego za Słowackiego, jak, otoczony swoją posłuszną drużyną Lutnistów, dyrygowałeś wspaniałemi fragmentami z *Requiem* Verhulsta (które także pod Twoją dyrekcją wykonała «Lutnia» w r. 1893, w kościele katedralnym Św. Jana podczas nabożeństwa za Matejkę) i kiedym, patrząc w presbiterjum w Twoją stronę, mimowoli zatrzymywał się wzrokiem na pięknym alabastrowym biuście Chopina, zdobiącym jego pomnik przy lewej ścianie głównej nawy, przyszło mi na myśl, że oto za kilka miesięcy znów zgromadzimy się pewno w tym kościele na podobnem nabożeństwie: za spokój duszy tego, którego serce spoczywa w tych murach, a którego 50-ta rocznica śmierci, jako zmarłego d. 17 października 1849 roku, przypada właśnie w roku bieżącym. Nie wątpię, że Warszawa, w której Chopin przeżył całą swoją młodość, nie zapomni o tej rocznicy, że ją uczci o ile możności jak najwspanialej, i że obok koncertu chopinowskiego, który powinni grą swoją uświetnić wszyscy nasi najznakomitsi fortepianiści, nie obejdzie się z natury rzeczy i bez nabożeństwa za Chopina.

Nabożeństwo to stanowczo odbyć się powinno tylko w kościele Św. Krzyża, obok spoczywającego tam serca Chopina... Wobec tego nie może być żadnej

kwestji co do wyboru świątyni... Nasuwa się jednak kwestja inna, mianowicie: jaki ma być program tego nabożeństwa? Czy podobny, jak ten, który ułożono dla Słowackiego, Matejki lub Ujejskiego, a który składał się z *Requiem* Verhulsta oraz kilku pieśni religijnych Moniuszki?... Na pierwszem posiedzeniu sekcji Chopina, na którem i Ty, Dyrektorze, byłeś obecny, zaproponował dr. Dobrzycki, by może wobec zbliżającej się 50-tej rocznicy śmierci Chopina ogłosić konkurs na *Requiem* żałobne z tego powodu, któreby wykonano na nabożeństwie żałobnem za spokój duszy mistrza. Projekt jest piękny, ale czy wykonalny wobec tak krótkiego terminu? Gdyby nawet konkurs taki ogłoszono teraz, w maju, to trudno przypuścić, by do października, a nawet do września (boć przecież trzeba by się takiego *Requiem* nauczyć!) zdołał który z naszych kompozytorów stworzyć rzecz godną Chopina.

Zważywszy te trudności, chciałbym Ci, Dyrektorze, poddać myśl, która mi się nasunęła w czasie owego nabożeństwa za Słowackiego, a która jest i wykonalną i do wykonania w naszych warunkach niezbyt trudną. Pomysł mój, z kimkolwiek o nim mówiłem, wszystkim się bardzo podobał i trafił do przekonania, chodzi więc tylko o to, byś i Ty, Dyrektorze, tej samej był o nim opinji.

A jaki jest ten pomysł? Oto, żeby w czasie nabożeństwa tego powtórzyć dokładnie ten sam program, który, ułożony przez przyjaciół Chopina (a podobno że podsunięty im w znacznej części przez niego samego), był wykonany d. 30 października 1849 roku w paryskim kościele Św. Magdaleny, gdy trumna ze zwłokami mistrza stała pod olbrzymim baldachimem pośrodku natłoczonej świątyni.

Program ten, jak wiadomo, był następujący: «W samo południe, gdy posępni tragarze zjawili się we drzwiach świątyni, niosąc trumnę z ciałem wielkiego artysty», dały się słyszeć tragiczne akordy chopinowskiego *Marsza żałobnego*, instrumentowanego umyślnie w tym celu przez Rebera. Podobno Meyerbeer ubolewał, iż nie jemu powierzono dokonanie tej instrumentacji, czuł bowiem, że wywiązałby się z zadania lepiej, aniżeli Reber. Słuchając tego *Marsza*, wykonanego przez orkiestrę Teatru Wielkiego, nieraz myśli się o tej instrumentacji reberowskiej, która nie wszystkich zadowoliła. I ta bowiem nie wszystkich zadawalnia. Dlatego, sądzę, iż możeby należało pomyśleć o jakiej nowej instrumentacji Chopinowskiego arcytworu, o instrumentacji świetniejszej niż wszystkie dotychczasowe, w rodzaju np. *Suity* Głazunowa *Chopiniana*, dowodzącej w sposób tak świetny, że Chopin brzmi doskonale w układzie na orkiestrę, jeżeli tylko układ orkiestrowy stoi na wysokości zadania. Byłoby do życzenia, byśmy *Marsza* tego usłyszeli na nabożeństwie za Chopina już w efektowniejszej, bardziej nowoczesnej oprawie. Ktoby jej mógł dokonać? Mnie się zdaje, iż najodpowiedniejszym do tego człowiekiem byłby autor *Livji Quintilli*, który już kilka utworów naszego Ariela fortepianu w sposób prawdziwie mistrzowski i nic nie pozostawiający do życzenia ułożył na orkiestrę lub chóry...

Tyle co do *Marsza żałobnego*, któryby tym sposobem był pierwszym numerem programu. Następnie przyszłaby kolej na *Requiem* Mozarta, którego sam Chopin życzył sobie, by było wykonanem w czasie jego pogrzebu. Wtedy wykonali tę nieśmiertelną kompozycję twórcy *Don Juana* tacy śpiewacy, jak słynny Lablache (bas) i Dupont (tenor), kobiece zaś partje solowe odśpiewały panie Viardot-Garcia (alt) i Castellane (sopran). Choć nie mamy dziś tak znakomitych śpiewaków, to jednak nie wątpię, że Jeromin mógłby doskonale odśpiewać partję Lablache'a, a Myszuga z pewnością godnie by zastąpił Duponta. Jeśli chodzi o głosy kobiece, to Castellane nie miała prawdopodobnie piękniejszego sopranu niż Korolewiczówna, a Kruszelnickiej przyklasnęłaby sama nawet Viardot-Garcia. Z chó-

rami i orkiestrą, wobec *Lutni* i orkiestry Teatru Wielkiego (i Młynarskiego) nie byłoby żadnych trudności. Że to nie jest niemożebne, dowodem fakt, że kilka lat temu w pierwszą rocznicę ś. p. Leopoldowej Kronenbergowej wykonano w katedrze Św. Jana całe *Requiem* Mozarta z chórami, orkiestrą i solami.

Trzecim numerem programu byłyby dwa *Preludia* Chopina *h-moll* i *e-moll*, wykonane na organach. Na pogrzebie Chopina zagrał je cudownie słynny organista Lefebure-Vely. U nas mógłby je zagrać który z naszych celniejszych organistów. Z pewnością każdy zgodziłby się na to chętnie, a grając *Preludium* h-moll, mógłby tak samo, jak Lefebure-Vely, «zastąpić przeciągłemi akordami arpedżia, niemożliwe do wykonania na ciężkim instrumencie kościelnym». Preludia te były wykonane przez Lefebure-Vely w przerwie pomiędzy *Dies irae* i *Agnus Dei*.

Po odśpiewaniu ostatniej części *Requiem*, po odprawionych przez duchowieństwo egzekwjach, możnaby również pójść za przykładem Lefebure-Vely'ego, który na zakończenie nabożeństwa (gdy trumnę zdejmowano z katafalu) improwizował na organach na różne Chopinowskie tematy, czem nadzwyczaj wzruszył wszystkich. Wprawdzie o taką improwizację nie jest łatwo, ale przypominam, że wybornie gra na organach Żeleński.

Gdyby nabożeństwo za Chopina odbyło się z takim programem wobec obwieszonego wieńcami pomnika artysty, nie trudno sobie wyobrazić, jak podniosły *nastrój* panowałby dnia tego w kościele. Co do mnie przynajmniej, to bardziej *nastrojowego* nabożeństwa wyobrazić sobie nie potrafię. A Ty, Dyrektorze?

W każdym razie poddaję Ci myśl, do której obyś się zapalił!

Na tem pragnieniu mogę już list mój zakończyć pisząc się i t. d. i t. d.

Warszawa, d. 18 maja 1899 r.

PAMIĄTKI PO CHOPINIE

«Niewydane dotychczas pamiątki po Chopinie».

Opracował Mieczysław Karłowicz. Warszawa, 1904, str. 403 [1]).

O listach, które Fryderyk Chopin w czasie 19-letniego pobytu swojego w Paryżu pisywał do rodziny, tak się wyraża Maurycy Karasowski, który je czytał wszystkie: «Zawarty w nich był najdokładniejszy wizerunek duchowy Chopina. Wszystkie jego marzenia i aspiracje, doznane radości, zawody, rozczarowania, gorycze codziennej walki życia, tęsknota, miłość i poszanowanie dla wielkich spraw tego świata, dla ziemi, na której się urodził i młodzieńcze swoje lata przepędził, wszystko to dziwnie pięknym nieraz a dosadnym językiem kreślił. Szczególniej listy, pisywane w epoce najpomyślniejszej i najświetniejszej jego artystycznych powodzeń w Paryżu, niesłychanie były ciekawe i zajmujące. Swoboda umysłu puszczała wodze wrodzonego Chopinowi dowcipu, tryskającego z pod jego pióra, niby kaskada, różnobarwnemi kolorami tęczy. Nikt od niego nie umiał trafniej oceniać i charakteryzować znakomitych ludzi w sztukach, umiejętnościach lub polityce, a z którymi okoliczności zetknąć mu się dozwalały. W jednem pociągnięciu jego pióra więcej było nieraz prawdy i trafności sądu, aniżeli w setnych najstaranniej wystylizowanych komentarzach, ile że sąd ten pochodził z we-

[1]) *Kurjer Warszawski* z d. 27 listopada 1903.

wnętrznych wrażeń genjalnej duszy i poufnie tylko najbliższym swoim był udzielony». Wszystkie te listy Chopina oddała rodzina jego jeszcze przed rokiem 1862 krewnemu swemu, Maurycemu Karasowskiemu, ażeby mu na ich podstawie umożliwić napisanie dokładnej monografji o nieśmiertelnym twórcy *Nokturnów*.

Karasowski, opuszczając kraj na początku r. 1863, powierzony sobie «ogromny zbiór» listów Chopina, nie zdążywszy ich skopjować uprzednio, zwrócił rodzinie mistrza, a w przedmowie do swej dwutomowej książki o Chopinie tak z tego faktu zdaje sprawę: «Właśnie, kiedy byłem zajęty przepisywaniem listów z późniejszej epoki jego życia, przerwałem moją pracę i wyjechałem w r. 1863 z kraju. To, co podówczas zdołałem przepisać, zachowałem, resztę zaś, mianowicie listy pochodzące z Paryża, zwróciłem rodzinie Chopina. Niestety, nie przypuszczałem, że ich już nigdy nie obaczę, nieszczęśliwym bowiem składem okoliczności w kilka miesięcy później wszystkie uległy zniszczeniu!...» Złożone u pani Izabeli Barcińskiej, młodszej siostry Chopina, mieszkającej podówczas w pałacu Andrzeja hr. Zamoyskiego przy zbiegu ulic Nowego Świata i Krakowskiego Przedmieścia, w dniu 19 września 1863 r. wszystkie te drogocenne pamiątki, w tej liczbie fortepian i portret Chopina pendzla artysty Scheffera, oraz inne rzeczy, należące do państwa Barcińskich, padły ofiarą katastrofy, t. j. pożaru i rabunku. «Ocalał — powiada jeszcze w tej sprawie Karasowski — tylko fortepian Pleyela, gdyż znajdował się natenczas na wsi u wnuczki Chopina, pani Ciechomskiej; na jego miejsce zaginął instrument Buchholtza, powiernik i tłumacz młodzieńczych natchnień muzykalnych artysty, na którym on przed opuszczeniem Warszawy grywał».

Wraz z owym fortepianem Pleyela, znajdującym się na wsi u pani Ciechomskiej, ocalała także — jak się okazuje — i znaczna część papierów Chopina, znalezionych u niego w mieszkaniu po jego śmierci; w papierach tych zaś, na które złożyły się głównie listy rodziny i różnych osób, pisane do Chopina, znalazło się szczęśliwym przypadkiem także czternaście listów artysty samego, pisanych różnemi czasy do rodziny. Jest to oczywiście tylko drobna cząstka «ogromnego zbioru» listów Chopina do rodziców i sióstr, listów z przeciągu lat 19-tu, ale bądź co bądź dziękujemy Opatrzności, że przynajmniej z tą drobną cząstką nie obeszła się tak niemiłosiernie, jak z resztą. Listy te wraz z innemi ocalałemi pamiątkami po twórcy *Mazurków* przechowywała u siebie przez długie lata przemieszkująca w Warszawie rodzina Chopina, «strzegąc pilnie, aby żadna wzmianka o nich do gazet się nie przedostała». Wszystkie te listy, z upoważnienia ich posiadaczy, ogłosił obecnie drukiem p. Mieczysław Karłowicz. Wydała je istniejąca przy warszawskiem Towarzystwie muzycznem Sekcja imienia Chopina, co jej za prawdziwą poczytane być winno zasługę. Wydawnictwo to, w postaci wielkiego tomu *in* 8-o o 403 stronach, przynosi obok listów Chopina do rodziny i rodziny do niego szereg listów pani Sand i jej córki, listy Wodzińskich do Chopina, listy jego znajomych i uczennic, listy wielu znakomitości muzycznych i literackich, jak Liszta, Meyerbeera, Mendelsohna, Kalkbrennera, Moschelesa i w. innych. Ponieważ drukowanie wszystkich tych dokumentów *in extenso* zajęłoby niezmiernie wiele miejsca, podano więc dosłownie w całej rozciągłości tylko te listy, które posiadają wybitną wartość biograficzną; przy innych listach, mniej ważnych, poprzestano na ich streszczeniu. Nadto dołączono cały szereg portretów rodzinnych, w tej liczbie portret rodziców Chopina i jego jedynego nauczyciela gry na fortepianie, Wojciecha Żywnego. W dziale «rozmaitości» znalazły się *facsimilia* listów, rysunków i rękopisów muzycznych Chopina. Słowem, całość wymownie świadczy o pietyzmie, z jakim dokonano tego wydawnictwa, ze wszech miar zasługującego na miano pomnikowego.

A teraz rozejrzyjmy się pokrótce w jego zawartości. Że z pośród ogłoszonych tu dokumentów listy Chopina samego są najciekawsze, domyślić się łatwo. Czytając je, a zwłaszcza przeczytawszy je wszystkie, ubolewa się, iż z «ogromnego zbioru» listów Chopina do rodziny zostało tylko tyle. Co za niepowetowana szkoda! Co za nieszczęście! Bo choć to są listy bezpretensjonalne, nie pisane z myślą o druku, jak listy Słowackiego lub Krasińskiego, to jednak tyle w nich na każdej stronie dowcipu, obserwacji, życia i werwy, że listów tych nie oddałaoby się za stylizowane i literackie listy Mendelsohna lub Schumanna. Można je porównać tylko z listami Heinego.

Oto np. w jaki sposób Chopin opisywał rodzinie jeden z licznych epizodów romansowych w życiu autora *Legendy wieków*.

«Mr. Billard, *peintre d'histoire* nie bardzo zawołany, sam brzydki, miał ładną żonę, którą pan Hugo zbałamucił. Pan Billard zszedł żonę z poetą, tak, iż Hugo musiał aż temu, co go chciał aresztować, pokazać swój medal para Francji, żeby mu momentalnie dał pokój. Pan Billard proces rozpocząć chciał z żoną, ale się na cichej separacji skończyło. Hugo na kilka miesięcy raptem wyjechał na wojaż. Pani Hugo (jako wspaniała) wzięła pod swoją protekcję panią Billard; a Juliette (sławna temu więcej niż 10 lat aktorka z teatru Porte St. Martin, którą Hugo oddawna utrzymuje, mimo pani Hugo, i dzieci swoich, i poezji o moralności familji), owa Julietta pojechała z nim razem. Paryskie języki kontente, że mają o czem mówić, bo też i zabawna historja. Dodajcie do tego, że Hugo w piątym krzyżyku i zawsze wielce poważnego i wyższego nad cały świat przy każdej okazji udaje.

Historyjka *à propos* Hugona dla Kalasantego[1]). Jedna pani, z tych, co to mówiąc o kursach konnych,

[1]) Jędrzejewicza, szwagra Chopina.

chciała widzieć *six petites chaises (steeple-chase)*... otóż jedna z takich jejmości, mówiąc o kimś, co był w podobnym przypadku, jak Hugo, powiedziała: *qu'il a été trouvé flagrant dans le lit (en flagrant délit)*. Jeżeli znał tę historyjkę, to niech wybaczy dobrej intencji i przyjmie tę panią, co to chciała wiedzieć: *ce que c'est le tabac du père Golèze (Stabat de Pergolese)... En tous cas* niech sobie przypomni, że Godfroi de *Bouillon* jest *ainsi nommé, parce qu'il a été le capitain le plus consommé de son temps.*

Wogóle ustępów, zaprawnych humorem, zawierają listy Chopina bardzo wiele. Oto np. epizod paryski z życia Józefa Nowakowskiego, utalentowanego muzyka, a przyjaciela i kolegi Chopina z czasów jeszcze warszawskich:

«Nowakowski już może u was. Poczciwy, ale jakiż cymbał, to niech Pan Bóg broni. Np. miał list do Janina. Parę tygodni przed wyjazdem powiada mi o tem; powiadam, że za późno, ale tego samego dnia zaprowadziłem go do Gavarda na wieczór, gdzie był Janin, i chciałem go prezentować, ale nie chciał. W parę dni przychodzi do mnie i powiada, że oddał list Janinowi i że Janin będzie o nim *artykuł* pisał, tylko mnie prosi, abym mu napisał, co ma umieścić o jego kompozycjach i żebym to Janinowi przed 4-tą tego samego dnia posłał. Nie mogłem tego zrozumieć. Pytam się, z kim był u Janina. Powiada mi, że z redaktorem *Kurjera*, przyjacielem *intime* Janina. Znam redaktora *en chef Kurjera*, Durieu; pytam się: czy ten? Nie, jakieś inne nazwisko, o którem w życiu nie słyszałem. Ale myślę, że może przyjaciel jaki domowy Janina, więc powiadam Nowakowi, żeby nazajutrz rano był u mnie, że pojedziemy razem do Janina, żeby mi sam powiedział, czego chce. Każę się wnosić nazajutrz do Janina, przyjmuje mnie jaknajmilej, on i żona. Biorę za pretekst, żem przyszedł podziękować za dobre przyjęcie mojego rodaka. A on mi na to, iż powiedział Nowakowi, że parę

słów ode mnie *(un petit mot de Chopin)* dosyćby było na rekomendację dla niego... *Et imaginez-vous*, dodał, *il se fait présenter par un imbécile dont je ne sais même pas le nom.* Więc ten *ami intime*, to ten, którego Janin nie zna nawet imienia. Śmieliśmy się obadwa z poczciwego Nowaka, a owe parę słów ode mnie on zrozumiał, jako artykuł. Poczciwy Nowak nic a nic po francusku nie rozumie, jak tylko: *garçon, café, bougie, cocher, dîner, jolie mademoiselle, bon musique.* Drukują tu za mojem pośrednictwem i z moją dedykacją jego etiudy. Jemu ta publikacja zdaje się wszystkiem na świecie i kontent, że go wydrukują. Za stary, żeby się czego nowego nauczył, albo żeby mógł w głowie sobie uporządkować. Dobry, co ukąsi, to zje, więc i tak go lubię, bo bardzo stary znajomy; jednakże zapomniałem, że takich dużo jeszcze ludzi na świecie u nas, co żyją, a nie wiedzą, jak, po co i na co».

Jeżeli się zważy, iż wszystkie wiadomości, jakie Chopin komunikował rodzinie, są w tym rodzaju, odżałować nie można, iż z całej korespondencji Chopina ocalało tylko kilkanaście pożółkłych arkusików. Sądząc bowiem z tych czternastu listów, które przynoszą niniejsze *Pamiątki po Chopinie*, korespondencja twórcy *Mazurków*, gdyby była ocalała w całości, należałaby niewątpliwie do najciekawszych. Swoją drogą myliłby się bardzo, ktoby przypuszczał, że Chopin często pisywał do rodziny. Miało się całkiem przeciwnie, a w listach rodziny do Chopina — których wydawnictwo p. Karłowicza przynosi blisko trzydzieści — raz po raz powtarzają się skargi, że nie pisze, że miesiącami całemi znać o sobie wcale nie daje. Zdarzało się czasami, że w przeciągu roku odebrała rodzina Chopina tylko trzy listy od niego. Nawet o najważniejszych wypadkach swego życia nie zawsze Chopin pisywał do domu, np. o koncertach, które dawał w Paryżu. «Dałeś koncert — pisała raz w r. 1848 do Chopina jego matka — nie będziemy o nim wiedzieć, bo już tam niema twego prawdziwego przyjaciela, który nam przeszły tak dokładnie opisał». Przez tego przyjaciela należy rozumieć Stefana Witwickiego, który bardzo często wyręczał Chopina w pisaniu listów do rodziny. «Niema już Mérego [1]), aby wam za mnie pisał», czytamy w jednym z listów Chopina wkrótce po śmierci Witwickiego. Że Chopin wogóle listów pisywać nie lubił, to była rzecz jego usposobienia, że zaś lenił się i w pisaniu listów do rodziny, na to składały się głównie powody czysto psychologicznej natury, powody, o których sam Chopin tak raz pisał: «Spodziewam się niezadługo listu od was, jednakże spokojny jestem i wiem, że przy waszej licznej familji trudno wam się wszystkim zebrać napisać mi słowo, tem bardziej, że *między nami pióro nie starczy;* nawet nie wiem, ileby lat trzeba, żebyśmy się nagadali *pour être au bout de notre latin*, jak tu mówią. Dlatego nie dziwcie się ani smućcie, jak ode mnie listu niema, bo nic temu przyczyną, jak tylko to, co i u was: pewna przykrość łączy się do przyjemności pisania do was, to przekonanie, że między nami niema słów: ledwo są rzeczy».

Do dziejów twórczości Chopina przynoszą te listy jego również kilka interesujących przyczynków. Wia-

[1]) Ażeby zrozumieć, dlaczego Witwicki w całej korespondencji Chopina występuje, jako «Mery», wystarczy zajrzeć do «Wspomnień z przeszłości» A. E. Odyńca, gdzie mowa jest o wielkim faworycie Witwickiego, ślicznym charciku angielskim, nazwiskiem «Mery». Pieska tego unieśmiertelnił nawet Witwicki w jednym ze swych żartobliwych wierszyków do Odyńca:

Ja wzdycham, a «Mery» wyje,
Ja i on stroskany,
Czy zapomniał, czy nie żyje
Nasz sąsiad kochany?

Otóż dzięki temu charcikowi angielskiemu cała rodzina Chopina i on sam nazywali Witwickiego zawsze «panem Mery». Tak go przezwali jeszcze w Warszawie, tak go stale przezywają w całej z sobą korespondencji.

domo, iż Chopin nigdy nie był zupełnie zadowolony ze swych kompozycyj i zawsze w nich — nawet po latach — miał coś do zmienienia i poprawienia. A że je tworzył z trudem, że długiego potrzebował czasu, nim napisany przez siebie utwór zdecydował się oddać do druku, na to między wieloma innemi znajduje się dowód w jednym z jego listów do rodziny, datowanym d. 11 października 1846 roku: «Gram trochę, piszę trochę», donosi tam Chopin swym «najdroższym». Z mojej sonaty z wiolonczelą raz kontent, drugi raz nie. W kąt rzucam, potem znów zbieram. Mam nowe trzy mazurki; nie myślę, iżby ze staremi dziurami... ale na to czasu trzeba, żeby dobrze sądzić. Jak się robi, to się dobre zdaje, bo się inaczej by nic nie pisało. Dopiero później refleksja przychodzi i odrzuca, albo przyjmuje. Czas to najlepsza cenzura, a cierpliwość najdoskonalszy nauczyciel».

TOM TRZECI LISTÓW SŁOWACKIEGO

(Listy Juljusza Słowackiego, zebrane i częściowo ogłaszane przez L. Méyeta. Tom III. Przygotował do druku na podstawie autografów Manfred Kridl. Wydany z funduszu im. Adama hr. Krasińskiego. Warszawa, 1915. Skład główny w księgarni E. Wende i Ska. Str. 367. Cena 6 kor. 70 hal. Wydawnictwo Warsz. Tow. Naukowego).

«Habent sua fata libelli». Szczególniej u nas. Bo dziwne zaiste są losy niektórych książek w Polsce. Drukuje się i wychodzi niezliczone mnóstwo rzeczy miernych, które tylko bibljografja musi notować z obowiązku, nad któremi jednak historja literatury bezwarunkowo przejdzie do porządku; natomiast dzieła wartościowe, często pisarzy pierwszorzędnych, nieraz całemi latami spoczywają w rękopisie, ponieważ nie znajdują nakładcy. Ktoby przypuszczał naprzykład, iż podobna niesprawiedliwość może spotkać nawet jednego z naszych największych poetów, i to poetę, którego kult ogromnie się wzmógł ostatniemi czasy. A jednak los ten spotkał tom listów Juljusza Słowackiego, i to listów do takich ludzi, jak Adam Mickiewicz, Zygmunt Krasiński, Andrzej Towiański, Seweryn Goszczyński, Konstanty Gaszyński, Michał Wiszniewski, Leonard Chodźko, Ignacy Domejko, Wojciech Stattler, Ludwik Norwid, Kornel Ujejski i «last not least», pani Bobrowa! Listy te, zebrane z wielkim mozołem, opatrzone mnóstwem niesłychanie sumiennych objaśnień i przypi-

sków, wędrowały — jak się okazuje — od wydawcy do wydawcy, jak od Annasza do Kajfasza, i ostatecznie nie znalazł się taki, któryby chciał zaryzykować ich wydanie. Nieprawdopodobne, a niestety prawdziwe!

Za dowód niech posłuży następujący wyjątek z listu Leopolda Méyeta, pisanego z Warszawy dnia 30 listopada 1911 r.: «Z listami Słowackiego do Kasy Mianowskiego zwracać się nie myślę, gdyż odmówią mi zpewnością. Uważają mnie bowiem w Warszawie za najbogatszego człowieka w Polsce, więc oświadczą, iż jestem w stanie wydać książkę własnym kosztem. Nie idzie tu jednak o ten koszt, tylko przykro i boleśnie, gdy na rzecz taką nie znajduje się w Polsce nakładca. Udam się jeszcze do kilku wydawców, a potem przystąpię do druku własnym nakładem. Stracę na tem niezawodnie, bo już księgarze mówią: «Słowacki nie idzie», tak, jak mówili Górskiemu, że Mickiewicz się przeżył»... [1]). Czytając te uzasadnione narzekania, mimowoli myśli się o podobnych skargach Słowackiego samego, który raz, w liście do Michała Wiszniewskiego, tak pisał w analogicznej kwestji: «Bohdan Z... napisał sześć tomów religijno-poetycznych. Wszystko to wkrótce zapewne będzie drukowane, ale trzeba, żeby tam w Polsce trochę czytać zaczęto... albowiem księgarnia polska straciła kilka tysięcy franków nawet na Tadeuszu!!! Straty podobne zraziły ją i teraz żadnego dzieła wydawać nie chce. Zmuszeni więc są autorowie, tak jak ja biedny, być razem swoimi księgarzami. Jak na tem wychodzą, domyślisz się, panie». Biedny Słowacki! Widocznie, iż jak za życia, tak jeszcze i po śmierci nie zawsze ma szczęście do wydawców... Dowodem Leopold Méyet, który ostatecznie umarł 27 stycznia 1912 r., nie znalazłszy nakładcy na przygotowany przez siebie 3-ci tom listów Słowackiego; tom, kosztujący go — jak pisał na krótko przed śmiercią — «dziesięć lat przeszło pracy, poszukiwań i... sporo pieniędzy».

[1]) Niepospolitą swą książkę o Mickiewiczu p. t.: *Montsalvat* zmuszony był Artur Górski wydać własnym kosztem, nie znalazłszy na nią nakładcy. Nawiasem mówiąc, publiczność książkę rozchwytała tak, iż jej pierwsza edycja wyczerpała się w krótkim czasie.

Tom ten, po upływie lat czterech, został wkońcu wydany «z funduszu im. Adama hr. Krasińskiego», jako Wydawnictwo Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, co znów należy rozumieć w ten sposób, że były trudności w znalezieniu nakładcy między księgarzami.

Jest to całkowita korespondencja Słowackiego poza jego słynnemi listami do matki (również wydanemi p o p r a w n i e po raz pierwszy w dwóch tomach przez tegoż Leopolda Méyeta). Są to listy do krewnych, przyjaciół i znajomych, pisane między rokiem 1820—1849, a jest ich 90. Z tych przynajmniej połowa jest pierwszorzędnego znaczenia. Dość wymienić listy do Krasińskiego, do Gaszyńskiego, do Ujejskiego. Są to poprostu dokumenty rozjaśniające najzawilsze tajniki twórczości Słowackiego. Niemniej ważnemi są listy do Odyńca, do Aleksandry Becu, do Niedźwieckiego, przynoszące mnóstwo arcyciekawych szczegółów biograficznych. A cóż dopiero mówić o listach do wybranych kobiet, do pani Bobrowej, do Józefy Bukowieckiej, do Zofji Węgierskiej, do pani Reitzenheim, w których w całej pełni ujawnia się piękna, poetyczna i czuła dusza poety!

Że zaś Słowacki wogóle celował w pisaniu listów, że je pisał stylem barwnym i żywym, że je często zaprawiał poezją, lub melancholją, więc i te jego listy do przyjaciół, pisane mniej powściągliwie z natury rzeczy, aniżeli listy do matki, zawierają cały długi szereg ustępów, które same w sobie, jako wrażenia i nastroje, są prawdziwemi klejnocikami literackiemi.

Oto n. p. w liście z r. 1829 do panny Becu, wrażenie z koronacji Mikołaja I w Warszawie:

«Chciałaś, żebym Ci opisał nasze fety koronacyjne. Próżna byłaby to praca, bo już to dawno i dokładnie

wszystkie gazety opisały. Ogólnie Ci tylko powiem, iż na koronacji najładniej się wydawał amfiteatr dla dam wzniesiony, migający się mnóstwem różnorodnych parasolików, między któremi powiewiały strusie pióra i piękne od kapeluszów kwiaty. Szkoda tylko, że nie mogę tu dodać, że piękność dam gasiła blask i świeżość zdobiących je kwiatów: amfiteatr ten lepiej się wydawał zdaleka niż zbliska. Przy triumfalnym wjeździe najlepiej się popisali szambelani: kilku z nich za pierwszym wystrzałem z armat pospadało z konia. Prezentowane damy Cesarzowi także dosyć niezgrabnie się popisywały: jedna wszystkie ukłony należne N. Panu oddawała mistrzowi ceremonji; druga, ściśniona od Cesarzowej ze rękę, pocałowała ją w ramię. Narodową ucztę, urządzoną na wzór fet francuskich dla ludu, bo nawet wino rzęsiście z fontan płynęło, przerwał deszcz nawalny, tak, że prócz pijanych nikt nie został na placu. Sam Cesarz bardzo często dawał się widzieć; bez żadnej świty wychodził i wyjeżdżał na spacer, i dotychczas bawi w Warszawie, uradowany ze zwycięstwa Dybicza nad Turkami, na których zabrane chorągwie wożą teraz po tutejszych ulicach».

Znalazłszy się w niespełna trzy lata potem na emigracji w Paryżu, gdzie, drukując swoje dwa pierwsze tomy poezji, rozkochiwał w sobie pannę Corę Pinard, tak się rozpisał autor Jana Bieleckiego do Odyńca:

«Nie bardzo się troszczę o los przyszły tych dzieci, które teraz na świat puściłem. Dotąd Bielecki robi mi reputację... Wielu jest jednak, którzy Żmiję ubóstwiają. Ja go sam lubię. Ale wiesz, że Paryż to dziwny Parnas: jedni zajęci panną Taglioni, która w Sylfidzie po powietrzu lata, zawieszona jednak na sznurkach, ale spodziewam się, iż wkrótce Francuzi bez sznurków latać będą, tak są letcy. Otóż mówię ci, iż sądu literackiego tu trudno usłyszeć, bo jedni myślą o pannie Taglioni, drudzy o gruszce (o Ludwiku Filipie); inni zajęci głębokiemi myślami nad wynalezieniem machiny do wieszania arystokratów, a tej partji przewodzi Gurowski. Inni niby to się uczą sztuki wojskowej, ale w nich nic nie można pochwalić, tylko dobry zamiar. A może chcesz wiedzieć, co ja robię? O, człowieku! Patrz na owe dzieła w dwóch woluminach zawarte... A teraz wstydzę się powiedzieć... Oto, jak szatan obłąkiwam młodą 16-letnią panienkę, która już od dwóch dni ma gorączkę z maligny. Otóż to jeszcze djament do moich wspomnień! Braknie tylko, żeby zwarjowała. Bodaj to zawsze Saksonki po francusku uczyć! Dobre stworzenia! A ta, co teraz w moje szpony popadła, urodzona w Bordeaux, ma twarz Hiszpanki i krew hiszpańską i imię amerykańskie. Imię znajdziesz w romansie Coopera *Les Mohicans*. Ale dosyć tych bredni!»

Z Genewy, dokąd się udał z Paryża, tak raz zwierzał się Januszkiewiczowi z doznawanych tam wrażeń:

«Smutno mi czas płynie: jakaś niespokojność ciągle mnie dręczy, bo też tyle jest do niej powodów! Niedawno przytomny byłem obiorowi króla... zadziwi Cię to. Otóż dowiedz się, że to był król strzelców, podobny niegdyś naszemu kurkowemu królowi w Krakowie. Pośród jeziora utkwiono wielki cel z płótna, wystawiający Negra z tarczą, i strzelcy, płynąc na czółnach do tej tarczy strzelali. Obrano najbogatszego, nie zaś najzręczniejszego. Ustrojono go w koronę i przeprowadzano po mieście z muzyką; a król za to kilka dni wyprawiał ucztę z fajerwerkiem na jeziorze, i tak opłaca swą godność. A potem kiedyś będzie z niego nowy Wilhelm Tell, i z głowy sardyńskiego króla zestrzeli jabłko, nie naruszywszy włosów. Oto heroizm naszego wieku».

W roku 1836 bawił Słowacki we Włoszech, gdzie między innemi czas jakiś spędził w towarzystwie krewnych swych, Januszewskich. Będąc z nimi w Neapolu, tak pisał do Zofji Balińskiej, którą mile wspominał z czasów wileńskich:

«Za kilka dni rozstaję się z Teofilami i wyjeżdżam

na Wschód. Będę w Grecji, w Egipcie i w Jerozolimie. Na grobie Chrystusa będę się modlił, aby odwrócił od Pani kielich goryczy, i pocieszył ją, i przyszłość uczynił podobnie cichą i miłą, jaką była przeszłość w dobrze związanem gronie rodzinnem. Niech Pani wierzy, iż w tych modlitwach nie zapomnę o żadnej z osób, które Pani są miłe i pocieszają Panią w smutkach... Teofilowie może kiedyś powiedzą Pani, co się ze mną stało; niespokojność jakaś i tęsknota za niczem pędzą mnie z miejsca na miejsce, i na wszystko, co mnie otacza, patrzę, jak człowiek senny, nieruchomie i w milczeniu. Nie tak było dawniej!»

Wróciwszy ze Wschodu, gdzie wszędzie spotykał Polaków-emigrantów, zatrzymał się Słowacki w Livorno, skąd w lipcu 1837 r. pisząc do Januszkiewicza, donosił mu między innemi:

«W Atenach znalazłem niejakiego Kalińskiego, pracującego w jednem z ministerjów greckich; w Aleksandrji doktorów Dobrowolskiego i Sawickiego; w Kairze doktora Hage i ziomka Rzepeckiego, oraz dawnego legjonistę, Michała, krawca, zaślubionego z murzynką; w Jeruzalem Aleksandra Spitznagla i Jezuitę Ryłłę; w Bayeruth, podpułkownika Szulca».

W klasztorze na Libanie napisał Słowacki *Anhellego*, którego rękopis przesyłając Januszkiewiczowi, takim go opatrzył komentarzem:

«Mój Eustaszku! Niech serce Twoje skłoni do mnie to, iż posłuchałem rady i że pisałem prozą bez żadnych wyskoków imaginacji, nie pozwalając sobie żadnych opisów, żadnych wykrzykników, spokojnością hamując egzaltację i ubierając wszystko w szaty Chrystusowe. Może Ci kilka scen tego poemaciku uśmiech wyciśnie, przypominając Emigrację. Wreszcie jest to zidealizowany Sybir i j a s a m z i d e a l i z o w a n y, a wszystko razem jest tylko nastręczeniem kilku obrazów dla malarza, jeśliby się taki zjawił w Polsce».

Gdy zachwycony *Anhellim* Gaszyński przetłumaczył go na język francuski, o czem doniósł bawiącemu już zpowrotem w Paryżu jego autorowi, Słowacki odpisał mu w tej sprawie obszernym listem, niezmiernie ważnym. Oto, co w nim pisał między innemi:

«Wdzięczny Ci jestem, ale razem niespokojny o los Twego tłumaczenia, to jest o jego księgarskie ochrzczenie. Albowiem wątpię, aby się znalazł jaki księgarz, biorący na siebie wydanie dziełka. O księgarni polskiej ani myśleć... Dla twego więc *Anhellego* najlepszą byłaby droga przez Chopina do pani Sand, przez panią Sand do *Revue des deux Mondes:* wydrukowany tam, mógłby potem odbity być osobno. Pani Sand zaś możeby sobie to dziełko upodobała, albowiem ona ma nerwy z siedmiu strun złożone.

Co do not potrzeba by je tak napisać, aby razem były rozbiorem dzieła. *Anhelli* potrzebuje komentarza, jak Dante; albowiem pisałem go umyślnie zwięźle i z wielką ekonomią detaljów; kto więc nie popracuje imaginacją własną nad każdym frazesem *Anhellego*, temu wszystko w nim będzie blade; literatura bowiem teraźniejsza w tem właśnie błędna, iż się nad wszystkiem z wielką miłością własną rozwleka, i wszędzie fałszywemi sypie brylantami. Ochwaciły się więc imaginacje czytelników, i leniwe są.

Szczegóły, których żądasz do not, są następujące. Bonawentura Niemojewski umarł w Paryżu z obłąkania. Choroba ta pierwszy raz objawiła się w nim dziwnym sposobem. Oto przyszedł raz do przyjaciela swego, jednego ze starych generałów, który się dosyć nędznie z żołdu francuskiego utrzymywał, i stanąwszy zamyślony przy kominku, z wielką powagą, jak zwykle: «Pożycz mi — rzekł — miljon złotych, albowiem już wszystko ułożone i tylko sumy mi tej trzeba». Zdziwił się biedny generał, iż go o taką pożyczkę proszono, ale przypatrzywszy się błędnym oczom starca, poznał, że już w nim harfa myśli jęczała rwąc się wszystkiemi strunami... Od tego czasu choroba melancholji ciągle

gryzła tę wielką i milczącą postać. I nareszcie, jak Hamlet, powiedział ostatnie: *The rest is silence*... Trzy litery ogniste na chorągwi rycerza wyświeć tylko domysłem swoim, mówiąc, iż znaczą: L u d».

Jak w roku 1839 Gaszyńskiego, tak w kilka lat później zachwycił *Anhelli* i Ujejskiego, który nawet dopisał do niego swoje zakończenie. Przeczytawszy je, Słowacki, który już wtedy *Anhellego* sądził surowo, tak o tem pisał do młodego twórcy *Skarg Jeremiego:*

«Dopisałeś mi w liście prawdziwy koniec *Anhellego*, lecz, proszę Cię, lękaj się tego głosu rozpaczy, który w tem dziełku słychać. Takiego jęku nikt nie wydał: rozpacz Byrona jest dzieckiem w porównaniu rozpaczy Anhellego: bo w Anhellim jest rozpacz niby Chrystusa. Niechże więc ten siew straszny będzie daleko od Ciebie. Niech ta przepaść, w którą Izraela pchnęły proroctwa lamentujące Izajasza, Jeremjesza i innych ostatnich wieszczów, Ciebie teraz, że się w języku polskim pokazała, nie zwabia. Duch mi to podyktował wczora, gdy już do serca wpuszczałem słodką truciznę harmonijnych słów Twoich, i oto widzisz, że przeciwko sobie powstawszy, spełniam mój obowiązek względem Ciebie. Bo Cię w duchu moim mam za wysokie światło, które za mgłami niknąć nie powinno, ale rozweselić się ma i stać pochodnią-oświecicielką tych stron, w których teraz zamieszkałeś».

Jeżeli Słowackiego *W Szwajcarji* słusznie uchodzi za najpiękniejszy poemat miłosny w literaturze polskiej, to niewątpliwie jego dziesięć listów do p. Bobrowej są najrzewniejszemi listami, jakie kiedykolwiek poeta polski napisał do uwielbianej przez siebie kobiety. Są to najdrogocenniejsze perły naszej epistolografji. Jako «najwierniejszy ze smutnych i niepotrzebnych przyjaciół pani Joanny», Słowacki zakasował zupełnie w tych listach nawet Krasińskiego, nie tylko jego listy do tejże pani Bobrowej, ale i do Delfiny Potockiej. Oto n. p. wyjątek z listu z d. 9 czerwca 1842 r.

«Suche listki harmonizują się doskonale z tą kanikułą skwaru i pyłu, i rozpalonego asfaltu, po którym chodzę z sercem podobnem do zamkniętej ostrygi, albo do muszli perłowej bez żadnego już wewnątrz ślimaka. Na Boga! Rzuć Pani błękitnemi oczyma w stronę Paryża! Niech mi tu od tego spojrzenia błyśnie i rozwidni się na chwilę ciemne powietrze... O Pani, która teraz nic nie robisz na świecie, gdybyś Pani wiedziała, jak to jest boską i opłacającą się pracą podnieść z ziemi czoło w prochu już leżącego człowieka! Gdybyś Pani wiedziała, jak oddalenie upięknia każdy ton głosu, jeżeli ten jest bez szyderstwa, a prawdziwie smętny i serdeczny i zdaleka budzić przychodzi! Gdybyś Pani wiedziała, jak mi tu słychać każdy szept w jej domu, każdy szelest sukni, jak echo każdego Jej kroku dochodzi do mnie uroczyste pod tą kopułę świątyni zrujnowanej, pod którą teraz siedzę! Gdybyś Pani chciała religijnie być trochę dobrą i litosną! Jak święta, a jak łatwa byłaby to praca! Ostatnia to moja skarga, bo mi już wszystkie inne nie pomogły, ostatnia, i wiem, że próżna! A jednak czuję, że sam winien jestem, iż była we mnie jakaś siła nieużyta, jakieś wojsko duchów nie wyprowadzone do walki, jakiś grom piorunowy, który leżał w sercu spokojnie, jakaś głąb nie odkryta, coś takiego, co musiałoby pokonać, a czego się ja lękałem wyprowadzić na jaw... i część zimna, marmurowa mojej natury zwyciężyła. Teraz już to wszystko jest za granicami władzy mojej i świata mojego, i coraz się bardziej odemnie oddala. Ileż razy jeszcze tej zimy te wszystkie moce burzyły się we mnie i chciały wybuchnąć! Teraz wieczny odpoczynek sercu mojemu i niech światło wiekuiste świeci mu... I na ten cień cyprysowy, gdzie ono leży, spojrz Pani czasem z uśmiechem, bo prawdziwie, że w tym cieniu unoszą się główki aniołeczków różom podobne, na gołębich skrzydełkach, i śpiewają mi takie pieśni, jak gdyby się moje lata dziecinne budziły i znów przechodzić miały. I po-

wróciłem ze skał Manfredowych do łąk, gdzie słychać świegotanie jaskółek».

W najściślejszym związku z panią Bobrową, za którą w r. 1841 «poleciał do Frankfurtu», (jak się wyraził o nim z tego powodu Krasiński), są francuskie listy Słowackiego stamtąd do Niedźwiedzkiego, pełne drastycznych szczegółów, a ukazujące twórcę B e n i o w s k i e g o w roli niefortunnego uwodziciela... W związku z panią Bobrową pozostają także niektóre z jego listów do Krasińskiego, jakkolwiek przeważnie są to listy mistyczne, dowodzące, że «nic nie zrobiliśmy po Chrystusie, ani kroku jednego w wiedzy chrześcijańskiej nie daliśmy naprzód». Ale choć to są listy Towiańczyka, dalekie od jasności listów *Do autora Irydjona* z czasów *Balladyny* i *Lilli Wenedy*, to jednak i one obfitują w ustępy pierwszorzędnej piękności poetycznej. Oto np. jak w nich Słowacki opisuje siebie samego:

«Spokojność moja prawdziwą jest, nie jest jednak bez cierpienia. Cierpię, bo mam cel wielki przed sobą, a sił mi braknie. Wystaw sobie, że ludzkość jest dziecięciem mojem, a to dziecko chore jest i w konwulsjach; a ja wiem o pewnem lekarstwie uzdrawiającem, lecz myśl moja, zmęczona boleścią, nie chce mi na ustach położyć nazwiska zioła onego, o którem wczoraj wiedziałem z pewnością jaknajwiększą. Wyobraź sobie stan taki ojca, a zrozumiesz, czem jest odosobnienie się moje, i nad czem pracuje myśl, na inne rzeczy już obojętna».

W roku 1848, słynną «wiosnę ludów» spędził Słowacki w Poznaniu, gościnnie przyjęty w domu państwa Bukowieckich. Stanąwszy zpowrotem w Paryżu, skreślił piękny list do pani Józefy Bukowieckiej, w którym tak o niej pisał między innemi:

«Wiele nad tem cierpiałem, żem przymuszony był wyjechać z Poznania i porzucić dom, nie pożegnawszy wszystkich osób tej rodziny, z których każda ma

wieczne prawo do mojej wdzięczności i uwielbienia. Lecz nadewszystko smutno mi było, i smutno jest dotąd, żem głowy mojej nie mógł uchylić głęboko przed Pani osobą, że tej czci, którą dla Niej przejęty byłem, w ostatniej chwili pożegnania wyrazić nie mogłem. Bo, wierz mi Pani, szczerze to powiem, nigdy jeszcze charakter Matki Polki nie stanął przedemną w takim majestacie, jakim był, gdy Pani śród nieszczęść rodzinnych, mimo łez wylewanych, całem światłem i całą powagą patrjotyzmu świeciłaś. Nigdy nie zapomnę, ani żałoby, którąś była okryta, ani też energji, z którą syna swego oddawałaś obowiązkowi i Bogu. I dlatego to błogosławię okolicznościom, które mię pod dach Pani zaprowadziły, które kilka chwil pod Jej opieką przeżyć mi dały; to widzenie tak wielkich cnót zostało mi skarbem wiecznym w pamięci, i przez uczucie czci ciągle mię łączy w duchu z Jej domem».

Były to czasy przewrotu dziejowego, czasy, w których, jak dzisiaj, z chaosu rodził się świat nowy, a w tym przekształconym świecie widziano już zmartwychwstającą Polskę. Wśród Polaków na emigracji, porwanych tym ruchem politycznym, potworzyły się różne «orjentacje», między któremi nie brakło i... szerokotorowych. Słowacki miał orjentację polską, czemu w jednym z listów do Józefa Komierowskiego — jakby w przeczuciu niektórych dzisiejszych orjentacji — taki dał dosadny wyraz:

«Cała Polska widzi teraz, że nie dosyć chcieć Polski: trzeba wyrobić w sobie narodową ideę. Niechże przez jakiś czas Sokratesową bronią nie pogardza: niech słucha... Proś wszystkich i zaklinaj: niech słuchają głosów wolnych; inaczej roztargani będą myślami, i to będzie podział kraju prawdziwy, gorszy, niż ów na ziemi jego dokonany. Proś, pracuj: każde słowo jest czynem. Drogi mój! Kto w duchowym świecie widzi to Rosji działanie, ten musi, albo uczuć w sobie, że jako

drugi duch globowy stanie, i przeciwko Rosji wichrowym ramionom równie wielkie i potężne ramiona podniesie; albo też musi, jako ci nędzarze, o których piszesz, zachwiać się i cząsteczkę swojej duchowej tęgości oddać z ust w usta wichrowe Moskala...»

Co się tyczy samego wydawnictwa tego 3-go tomu listów Słowackiego, «na podstawie autografów», bardzo starannego pod każdym względem, to można mu zarzucić aż przesadę w pedantycznej skrupulatności. «Przygotowując tom trzeci — czytamy w wyjaśnieniu wstępnem — p. Kridl, jakkolwiek c o d o f o r m a t u, u k ł a d u i d r u k u starał się zachować, ile to było możebnem cechy wydanych we Lwowie dwu tomów [1]), o tyle znowu, w zgodzie z częściowo tylko dokonanemi zamierzeniami L. Méyeta, powstrzymał się od wszelkich zmian i uzupełnień, zarówno w pisowni, przestankowaniu, jak i formach gramatycznych». Otóż w tym kierunku p. Kridl poszedł może aż za daleko. Co do przestankowania np. całkiem zaniedbanego w autografach poety, co ogromnie zaciemnia tekst listów, należało pójść bezwarunkowo za życzeniem samego Słowackiego, który w liście do Antoniego Wojkowskiego, posyłając mu artykuł do *Tygodnika literackiego*, prosił go wyraźnie: «Proszę także o podawanie komatów gdzie potrzeba, albowiem ja na to nie mam cierpliwości dostatecznej». Wydając na podstawie posiadanych przez siebie autografów listy Słowackiego do matki, Méyet postąpił w myśl tego życzenia poety i niedbałość jego w tym kierunku dodaniem wszędzie potrzebnych przecinków, kropek, średników, dwukropków, znaków zapytania i wykrzykników umiejętnie uzupełnił, co oczywiście wyszło tylko na korzyść tekstu, który przez to stał się przejrzystszym i czytelniejszym. Gdyby p. Kridl

[1]) Wbrew powyższemu twierdzeniu, i format, i układ, i druk tego 3-go tomu całkiem są różne od wydanych w roku 1899 we Lwowie dwu pierwszych tomów listów Słowackiego.

mniej w danym razie trzymał się autografów, a bardziej liczył się z psychologją czytelników, stanowczo wyświadczyłby tem Słowackiemu większą przysługę.

Wprawdzie sam Słowacki w *Beniowskim*, potrzebując rymu do «waszmościów» popełnia błąd gramatyczny, pisząc «kościów», zamiast k o ś c i, pocieszając się jednocześnie, że mu «czytelnik zapewne daruje trochę w tej mowie niegramatycznościów»; to jednak dzisiejszy czytelnik 3-go tomu listów Słowackiego wolałby zpewnością tekst ich w wydaniu książkowem widzieć wolny od wielorakich wykroczeń przeciwko gramatyce, pisowni i ortografji, któremi grzeszą autografy roztargnionego i niecierpliwego poety.

Z tysiąca przykładów wystarczy wziąć jeden. «Smutną ci muszę donieść wiadomość Wilhelm Michalski brat Melanki któren tu był podoficerem Gwardji za danie policzek iednemu ze swoich kolegów został degradowany w proste soldaty do linjowych pułków i odesłany do Brześcia». Tak stoi w autografie Słowackiego, tak jest wydrukowane w tym 3-cim tomie listów poety. Czy nie byłoby lepiej, gdyby czytelnikowi przedstawiono następujący tekst poprawny: «Smutną Ci muszę donieść wiadomość: Wilhelm Michalski, brat Melanki, który tu był podoficerem Gwardji, za danie policzka jednemu ze swoich kolegów, został zdegradowany w proste soldaty do linjowych pułków i odesłany do Brześcia».

Sądzę też, że gdy w autografie Słowackiego jest napisane: «Słuszne Kochanego Stryjaszka wymówki za moje krótkie i lakoniczne listy od Mojej Mamy często odbieram podobne napomnienia»; to w poprawnem i krytycznem wydaniu jego listów należało bezwarunkowo postawić kropkę, lub przynajmniej średnik między wyrazami l i s t y i o d M o j e j M a m y, ażeby tym sposobem oddzielić od siebie dwa całkiem osobne zdania, i żeby czytelnik nie przypuszczał ani na chwilę, iż tu chodzi o wymówki za krótkie i lakoniczne listy od

pani Becu. Jednem słowem zdanie to powinno być wydrukowane w ten sposób: «Słuszne Kochanego Stryjaszka wymówki za moje krótkie i lakoniczne listy. Od mojej mamy często odbieram podobne napomnienia».

Albo jak można było wydrukować takie zdanie: «Kochana Ciociu kochany Wujaszku ia także całuję was serdecznie często myślę o Wilnie a tem samem i o was». Wydawca nie dopuściłby się żadnej samowoli wobec tekstu poety, gdyby ten niedbale skreślony dopisek opatrzył potrzebnemi przecinkami, wykrzyknikami i kropkami. O ileż by czytelnik mniej miał trudu w zrozumieniu myśli Słowackiego, gdyby to zdanie znalazł wydrukowane w następujący sposób: «Kochana Ciociu, Kochany Wujaszku! Ja także całuję Was serdecznie. Często myślę o Wilnie, a tem samem i o Was».

Te same wątpliwości nasuwają się przy czytaniu np. listu Słowackiego do Aleksandry Becu, którego początek tak się przedstawia w autografie: «Kochana Olesiu! zawzięta iesteś i straszna w swoim gniewie iuż kilka listów odebraliśmy od ciebie a w żadnym o mnie ani wzmianki ani ukłonu zlituj się nademną iużem dość odpokutował, na najmilsze imie dla Twego ucha zaklinam cie przebacz mi obrazę Twego majestatu». Słowackiemu nie stałaby się żadna krzywda, gdyby ten początek opatrzono we wszystkie opuszczone znaki pisarskie, a czytelnik zpewnością nie miałby żalu do wydawcy, gdyby rzeczony ustęp ujrzał wydrukowany w ten sposób: «Kochana Olesiu! Zawzięta jesteś i straszna w swoim gniewie. Już kilka listów odebraliśmy od Ciebie, a w żadnym o mnie ani wzmianki, ani ukłonu. Zlituj się nademną. Jużem dość odpokutował. Na najmilsze imię dla Twego ucha, zaklinam Cię, przebacz mi obrazę Twego majestatu».

Niestety, cały tom trzeci należałoby przedrukować w ten sposób.

Natomiast, nie chcąc dodać ani jednego przecinka

tam, gdzie go niema w autografie, wydawca okazał się nader hojnym w szafowaniu oznakami zdziwienia w postaci ujętych w nawias (sic), i to często przy wyrazach, gdzie bez tego mogło się obyć doskonale. Bo zamiast drukować: «Drugi to już list piszę do Ciebie z Warszawy kochana Olesiu, ale wątpię czy poprzedzający rak (sic!) Twoich doszedł...»; należało wydrukować poprostu: «czy poprzedzający rąk Twoich doszedł». Bo przecież nie raka tu Słowacki miał na myśli, ale ręce. Zamiast drukować: «Odyniec kochanek litwy (sic!) znów nad uwiecznieniem swego imienia pracuje»; należało, poprawiwszy małe *l* na duże, wydrukować bez skrupułu: «Odyniec, kochanek Litwy». Zamiast drukować wiadomość o Korsaku, «któren powiada o jakiś (sic!) spiewaiacey aryjkę dziewoi», lepiej by uczynił wydawca, drukując: «który powiada o jakiejś śpiewającej aryjkę dziewoi». Podobnych przykładów dałyby się przytoczyć tuziny.

Czyż na tem polega pietyzm dla poety, ażeby w druku, wydając jego pisma, czy listy, wiernie powtarzać wszystkie bez wyjątku popełnione przezeń grzechy opuszczenia i roztargnienia, w postaci wszelkich błędów gramatycznych i ortograficznych, w postaci braku wszelkich kresek nad ó, ś, lub ź, ogonków pod ą, lub ę, a kropek nad ż? Jeżeli Słowacki pisze w pośpiechu i bezmyślnie: «pan La Martin» zamiast pan Lamartine, to czyż obowiązkiem uczonego wydawcy jest powtarzać w druku, w krytycznem wydaniu listów poety, taki rażący błąd? Jeżeli Słowacki, cytując przysłowie francuskie, popełnia dwa błędy ortograficzne, pisząc *luiserne* zamiast *luisarne* i *vienent* zamiast *viennent*, to czyż obowiązkiem wydawcy jest wiernie powtarzać te omyłki? Trudno nie mieć poważnych wątpliwości w tym względzie. Wolno bowiem Słowackiemu pisać w roztargnieniu o p ó s z c z o n e l e k c i e zamiast o p u s z c z o n e l e k c j e, d o k u m ę t ó w zamiast d o k u m e n t ó w, w y d a d ź zamiast w y d a ć, s z l u b u za-

miast ślubu, Schakespeare zamiast Shakespeare, dlamnie zamiast dla mnie, domnie zamiast do mnie, otem zamiast o tem, za wczasu zamiast zawczasu, wyjśdź zamiast wyjść, niewątpie zamiast nie wątpię, i t. p., ale nie znaczy to jeszcze, by te błędy pisowni, w pośpiechu wymykające się poecie niechcący z pod pióra, pedantycznie odtwarzać w książce. Niemniej rażącem wydaje się drukowanie lekam się zamiast lękam się, odswierzyć zamiast odświerzyć, upior zamiast upiór, myslę zamiast myślę, zeby zamiast żeby, Domanski zamiast Domański, widze zamiast widzę, oswiadcz zamiast oświadcz, ze i jezeli zamiast że i jeżeli, zamknęły zamiast zamknęły, oplatały zamiast oplątały, zebyś zamiast żebyś, zaspiewać zamiast zaśpiewać, myslisz zamiast myślisz, obrazać nie myslę zamiast obrażać nie myślę, twoy i moj zamiast twój i mój, graiąc role pianego zamiast grając rolę pijanego, nabożeństwo zamiast nabożeństwo, Jżądam zamiast I żądam, rownym zamiast równym, trupow zamiast trupów, Ańglija zamiast Anglja, chociaz zamiast chociaż, mozes zamiast możesz, roznokolorowa zamiast różnokolorowa, szmieszność zamiast śmieszność, ktora zamiast która. Jak podobne bezmyślne trzymanie się autografu, w wydawnictwie tem istotnie doprowadzone *ad absurdum*, kazi i psuje harmonję i jasność tekstu, o tem najwymowniej świadczy choćby następujący wiersz, wydrukowany na str. 214:

Bo to jest wieszcza najjaśniejsza chwała
Że w posąg mieni nawet pożegnanie
Ta kartka wieki tu będzie płakała
I łez nie stanie
Kiedy w daleką odjeżdżasz krainę
Ja kończe moje na ziemi wygnanie.

Gdyby uczeń z 3-ciej klasy, na lekcji dyktanda polskiego, w ten sposób napisał rzeczony wiersz, można być pewnym, iż najbardziej pobłażliwy nauczyciel dałby mu stopień niedostateczny.

Podobny los spotkałby zwykłego gimnazjalistę, gdyby, otrzymawszy do czytania mało wyraźny manuskrypt, tak odczytał następujący urywek: «Wielki to trud i duchownie wziąwszy podobny do tej pracy Herkulesowej, kiedy przymuszony był czyścić stajnie Cyneasza...» Że tu poeta miał stajnie Augjasza na myśli, to nie powinno być tajemnicą nawet dla ucznia gimnazjum.

Jest to naturalnie kwestja metody, a zwłaszcza rzecz zapatrywania, ale nie ulega wątpliwości, iż czytająca publiczność (dla której przecież drukuje się poprawne i krytyczne wydania poetów), woli edycje, w której wydawcy trzymają się nietylko pisowni nowoczesnej, ale nie zaniedbują i interpunkcyj. W ten sposób wydał Méyet dwa pierwsze tomy listów Słowackiego; tej metody trzymał się Kraszewski przy wydawaniu listów Krasińskiego; w ten sposób wydał najprzód Klaczko, a potem Kallenbach listy Mickiewicza; w ten sposób wydał Gubrynowicz pamiętniki Paska. A jeżeli pamiętnikarz z XVII wieku nic nie stracił, przeciwnie, zyskał tylko na takiej zmodernizowanej szacie stylowej i ortograficznej, to dlaczegoż by na tem stracić miały listy nowoczesnego nawskróś Słowackiego?

A skoro mowa o rażących usterkach tego trzeciego tomu listów Słowackiego (który z pewnością sam Méyet wydałby inaczej), to również należało uwydatnić bardziej naocznie, które przypisy i objaśnienia są pióra Méyeta, a które p. Kridla, zwłaszcza, iż olbrzymia większość, bo prawie wszystkie, pochodzą od Méyeta. Nie zaszkodziłoby też ujednostajnienie ich stylizacji, ażeby w jednych przypiskach wydawca nie powoływał się na swoje prace dawniejsze, n. p. «zob. artykuły moje»,

«zob. ogłoszone przezemnie», «zob. mój artykuł», a w innych, również pozwalających się domyślać autorstwa Méyeta, wymieniany był Méyet w trzeciej osobie, n. p. «według objaśnień, udzielonych L. Méyetowi», «dwa te listy przedrukował L. Méyet» i t. p. Tak n. p. długi wstęp do listów do Stattlera napewno jest skreślony przez Méyeta, a mimo to wymieniany w nim jest ciągle Méyet, jako stojący poza tem. Czytamy tam n. p.: «Zmarły w Krakowie w r. 1900 prof. Władysław Łuszczkiewicz, który znał Słowackiego osobiście, opowiadał L. Méyetowi, że portret ten odznaczał się wielkiem podobieństwem... Widziała go też przed laty w pracowni artysty w Krakowie Walerja Marrené Moszkowska i chwaliła udatne wykonanie. Gdzieby się zaś podział po śmierci Stattlera, pomimo usilnych starań i poszukiwań, dowiedzieć się L. Méyet nie mógł». Wszystko to są relacje Méyeta samego, który zresztą napisał osobny artykuł o Słowackim i Stattlerze, ale stylizacja całego tego ustępu z figurującym w nim ciągle Méyetem, jako osobą trzecią, może zmylić niejednego i upoważnić do przypuszczenia, iż cały ten ustęp nie wyszedł z pod pióra Méyeta. Niedomówienia tego rodzaju powinny być w książce o charakterze naukowym stanowczo wykluczone.

DZIEŁO NIECKSA O CHOPINIE

Gdy w roku 1882 wyszła dwutomowa monografja Karasowskiego o Chopinie, napisał o niej obszernie w Słowie Henryk Sienkiewicz, który w zakończeniu swego niepowszedniego artykułu (w kilku feljetonach) takie z powodu tej pierwszej obszerniejszej o twórcy *Mazurków* książce wyraził *pium desiderium:* «Nie jest ona może kompletna, nie zawiera wszelkich materjałów, nie wspomina prawie wcale o tem, coby nas nadewszystko zajmować mogło, to jest o stosunku Chopina do Adama Mickiewicza i innych znakomitości polskich (emigracyjnych), niemniej jednak zawiera w sobie tyle materjału, że niechybnie posłuży za podstawę dla tego, kto w przyszłości zamierzy wyrzeźbić kompletny posąg mistrza».

O wyrzeźbienie takiego kompletnego posągu mistrza pokusił się Niemiec, w Irlandji zamieszkały i po angielsku pisujący, Fryderyk Niecks, którego wielka dwutomowa monografja o Chopinie, *Frédéric Chopin, as a Man and Musician*, wydana w angielskim oryginale w roku 1888 w Londynie [1]), a w niemieckim przekładzie w r. 1889 w Lipsku, słusznie została oceniona przez krytykę zagraniczną, mianowicie angielską i niemiecką, za najlepsze dzieło o Chopinie, jakie o nim zostało napisane. Tak też osądziła je krytyka polska, która nie-

[1]) Niektóre rozdziały z książki Niecksa, wkrótce po jej wyjściu, ukazały się w warszawskiem *Echu muzycznem* w doskonałym przekładzie Aleksandra Polińskiego.

jedno mając mu do zarzucenia, orzekła jednogłośnie, że mimo swe pierwszorzędne zalety, dzieło Niecksa nie jest jeszcze tym literackim pomnikiem, jaki się Chopinowi należy, a jaki mu wystawić może tylko Polak... Albowiem nie może być dwóch zdań w tym względzie, że Niecks, jako cudzoziemiec, choć w dzieło swe włożył ogrom pracy (nie popartej jednak pisarskim talentem), nie mógł tem samem być zawsze powołanym sędzią, zarówno w kwestjach dotyczących muzyki Chopina, której cudzoziemiec nigdy nie zrozumie ani odczuje należycie, jak i w kwestjach, dotyczących życia twórcy *Mazurków*, którego przy nieznajomości ani naszych stosunków, politycznych zwłaszcza, ani naszego ducha i charakteru narodowego, należycie przeniknąć i odtworzyć niepodobna. To są dla cudzoziemca, choćby obdarzonego najlepszą wolą i życzliwością dla nas, «przepastne krainy», w których się zawsze zabłąka, a w których Polak bez najmniejszego wysiłku choćby dlatego tylko, że jest u siebie w domu, czuje się na swoim gruncie. Błądzi też po tych «przepastnych krainach» Niecks raz po raz. Zwrócił już na to w r. 1891, w *Bibljotece Warszawskiej*, Władysław Żeleński, który podkreślając wszystkie zalety książki Niecksa, nie zamyka oczu i na jej nader liczne wady, od których już przez to samo, że pisana przez cudzoziemca, nie jest — i nie może być wolną. «Czerpiąc przeważnie z Liszta i Karasowskiego (pisze n. p. twórca *Goplany*) zapuszcza się autor w badania nad krajem i ludem. Niekoniecznie go to do trafnych doprowadza wyników, ale świadczy o dobrych chęciach i poważnem traktowaniu przedmiotu. Każdy wypadek z życia Chopina stara się biograf angielski opowiedzieć wszechstronnie, opierając się na wiarogodnych źródłach. Co się tyczy poglądów, to jakkolwiek często z naszemi niezgodne, tem więcej zaciekawiają, gdyż poznajemy za pośrednictwem Niecksa, w jaki sposób komentowali obcy ukochanego w kraju twórcę tylu

arcydzieł... Pokusa go bierze rozejrzeć się w dawnych czasach, sięga głęboko, ale dochodzi do spostrzeżeń niekiedy dziwacznych». Dodać wypada, że zdarza mu się to ogromnie często, czy to, kiedy stara się scharakteryzować naturę i ducha społeczeństwa polskiego, czy to, kiedy wydaje opinje o otoczeniu Chopina, o jego warszawskich i paryskich przyjaciołach, czy to, kiedy ocenia jego kompozycje, których ducha polskiego nie odczuwa zupełnie. Bo jakżeż n. p. wyobraża sobie Niecks to społeczeństwo, z którego łona wyszedł nieśmiertelny twórca *Fantazyj z Pieśni polskich*? Polacy, zdaniem Niecksa, czują się najnieszczęśliwszymi w niepokoju towarzyskiego życia, a «prawie wschodnia słodkawość, nadmierna ociężałość i uniżona uprzejmość ich sposobu mówienia, podobnie jak i azjatycki charakter ich rysów twarzy i stroju uderzały wszystkich podróżnych». Czytając podobne słowa, niejeden może nie wierzyć, że to istotnie pisze autor dzieła, powszechnie uznanego za znakomite, ale takich dowodów nieznajomości atmosfery, w której życie upłynęło Chopinowi, bądź w kraju, bądź na obczyźnie, spotyka się w monografji Niecksa mnóstwo. Wogóle, zdaniem biografa Chopina, naród polski należy kulturą swą i pochodzeniem do narodów Wschodu, a gdy się czyta jego określenia właściwości narodowych polskich, to się widzi łacno, że dla tego zanglikanizowanego syna Germanji naród nasz nie wiele, a może i wcale nawet nie różni się pod względem obyczajowym i cywilizacyjnym od Bułgarów, Serbów i innych plemion słowiańskich południowo-wschodniej Europy. Zdaniem Niecksa, Polacy są jednym z narodów wschodniej części kontynentu europejskiego — die Völker des östlichen Theiles unseres Continents — jednym z tych narodów, które w zetknięciu z innemi narodami właściwości swoich plemiennych wschodnich nie zatraciły, wpływy bowiem zagranicy t. j. Zachodu, nie przesiąkały tam do głębi,

do społecznego rdzenia, ile że podlegały im tylko warstwy wyższe, a i te przyswajały je sobie w sposób powierzchowny jedynie[1]). Rasa słowiańska w rozwoju swym nie podlegała w równej mierze wpływowi ras germańskiej i łacińskiej, jak te ostanie we wzajemnych z sobą stosunkach[2]), a że Wschód i Zachód aż po dziś dzień pozostały sobie obce, ba, prawie wrogie[3]), więc i naród polski cechują te wszystkie znamiona, któremi się odznaczają inne narody... wschodnie. Swoją drogą zagraniczna kultura, padłszy na grunt ducha słowiańskiego z jego nawpółwschodniem zabarwieniem, przybrała tu szczególne formy (dem slavischen Geiste mit seiner halb-orientalischen Faerbung beigemischt, fand die fremdländische Cultur hier ihre besonderen Erscheinungsformen). Stąd jedną z najgłówniejszych cech charakterystycznych narodu polskiego — powiada Niecks — jest lubowanie się w przepychu (Prunkliebe)[4]), którego zarodki dają się dostrzegać już w pośród ubogich, a przejawiają się w średnich warstwach pod postacią dziwacznej mięszaniny blasku i... brudu (in einem curiosen Gemisch von Glanz und Schäbigkeit), popychając bogatych do przebierania miary w wybrykach (zu masslosen Extra-

[1]) Die Eigenart der Völker des westlichen Europa ist durch den Jahrhundert langen Verkehr mit anderen Nationen wesentlich modificiert... die Völker des östlichen Theiles unseres Continents dagegen haben die ihrige fast unverfälscht erhalten, weil die Einflüsse des Auslandes nicht in die Tiefe drangen, sondern nur die höheren Kreise und auch diese nur oberflächlich berührten.

[2]) Keinenfalls ist die slavische Rasse durch die germanische und lateinische in ihrer Entwickelung derart beeinflusst worden, wie diese letzteren im Verkehr unter einander.

[3]) Osten und Westen stehen sich noch immer fremd, beinahe feindlich gegenüber...

[4]) W innem miejscu nazywa Niecks to niby właściwe Polakom lubowanie się w przepychu: die alte barbarische Prunksucht.

vaganzen). Dzięki temu uczty magnatów polskich w niczem nie ustępowały orgiom rzymskim czasu cezarów. Już to wogóle najszczęśliwszymi czują się Polacy, zdaniem Niecksa, w atmosferze hulaszczej, a zarówno wstrzemięźliwość, jak i zagłębianie się w studjach, mało im przypadają do smaku (sind wenig nach ihrem Geschmack). Mało też wagi przywiązują do porządku, dzięki czemu raz po raz jest się w domach polskich uderzonym najszczególniejszem połączeniem azjatyckiego przepychu z iście grenlandzkim brudem (asiatischer Prunk mit gränlandischem Schmutz im seltsamsten Verein). Jak wogóle na Wschodzie, podobnie i w miastach polskich, spotykało się na początku XIX wieku niedźwiedzie tańczące, wielbłądy i małpy (Tanzbäre, Kameele und Affen), a samo społeczeństwo było mięszaniną fanatycznego i prawie nowozelandzkiego nieokrzesania z francuskiem wyrafinowaniem (Mischmasch von fanatischer und fast neuseeländischer Rohheit und französischer Superfeinheit). Starając się dać cudzoziemcom pojęcie o usposobieniu narodowem polskiem, powołuje się Niecks na światłe zdanie... pruskiego Fryderyka Wielkiego, i przedstawia Polaków jako próżnych w szczęściu, a czołgających się w razie niedoli, dla pieniędzy nie cofających się przed niczem (für Geld zu Allem fähig), a choć ta opinja niewątpliwie jest nieco jednostronna, to jednak na ogół jest trafną (jedoch im Ganzen richtig). Wobec podobnego zapatrywania się na charakter narodu, z którego łona wyszedł Chopin, nie dziw, że Niecks, ufający Fryderykowi «Wielkiemu», niemniej święcie wierzy i innym oszczercom Polski, że polegając na opinji de Pradta wyraża się o ludzie polskim w r. 1812, jako o narodzie nawpół barbarzyńskim (in einem Zustand halber Barbarei), mieszkającym w drewnianych domach pełnych robactwa (Häuser voll Ungeziefer), a żywiącym się potrawami budzącemi wstręt w człowieku cywili-

zowanym (die Nahrung ekelerregend). Polegając na relacji Jennego, powiada Niecks, iż w Polsce w r. 1805, z wyjątkiem Warszawy i kilku innych miejscowości, prawie we wszystkich domach kupa gnoju literalnie i bez przesady bywa najczystszem miejscem, jedynem, gdzie jeszcze bez odrazy siedzieć można (in den meisten Häusern der Düngerhaufen buchstäblich und ohne Uebertreibung der reinlichste Ort sei, der einzige, wo man ohne Abscheu verweilen könne). A brud ten (dieser Schmutz) spotykało się — zdaniem Niecksa — nietylko w jednej części Polski, lecz w kraju całym (die scheinen allgemein zu sein). Polegając na relacji jakiegoś anonimowego Amerykanina z Bostonu (rzeczywiście że z dziwnych źródeł czerpie biograf Chopina informacje o jego kraju rodzinnym!), powiada Niecks o ludzie polskim *(ex re* ludowej muzyki polskiej i jej wpływu na twórcę *Mazurków)*, że położenie chłopa polskiego w r. 1833 było zupełnie tego rodzaju, jak stan bydła w jego ojczyźnie (als die des Viehes in seiner Heimath), albowiem, jak tamto, tak i chłop polski, pozbawionym jest wszelkiej ludzkiej kultury (da sie wie dieser aller menschlichen Cultur entbehren). Dość powiedzieć, iż nie zna on noży, łyżek, widelców (der Gebrauch der Messer, Gabeln und Löffel sei dem Bauern unbekannt). Sam kraj także jest brzydki i nie przemawiający do wyobraźni, najlepszy dowód, iż angielskiemu wojażerowi Coxe'owi nigdy nie zdarzyło się widzieć równie pozbawionej wszelkiego uroku okolicy jak między Krakowem a Warszawą (Niemals ist mir eine so reizlose Gegend vorgekommen als die zwischen Krakau und Warschau). Ufając podobnym autorytetom, nie można się dziwić, że Niecks całkiem na serjo traktuje zdanie Heinego o charakterze narodowym Polaków, że po cechujące ich rysy charakterystyczne udaje się do autora słynnej historji o Krapulińskim i Waszlapskim, i że wskutek tego w charakterze ziomków Chopina dopatruje się, obok wrodzonej im podejrzliwości i braku zaufania do ludzi (Misstrauen und Argwohn) sporej dozy fałszu, chełpliwości (Prahlsucht) etc. etc. Między innemi chełpią się Polacy swoją muzykalnością, co nie przeszkadza, iż stolica ich za czasów Choipna była pod względem muzykalnym[1]) prawdziwą pustynią (aus allem diesen geht hervor, dass Warschau zu Chopin's Zeit nichts weniger als eine musikalische Wüstenei war).

Takim, w mniemaniu Niecksa, był poziom kulturalny narodu polskiego w pierwszem trzydziestoleciu XIX wieku za czasów Chopina. Na stan ten złożyły się oczywiście wieki historyj, «równie świetnej, jak ponurej, równie pociągającej, jak wstrętnej» (einer Geschichte so glänzend wie dunkel, so anziehend wie abstossend). Ostatnia okoliczność była powodem, że Niecks — jak powiada — chętnie by czytelnikom swym oszczędził tego krótkiego rysu historji polskiej, jaki dać jednak dla dwóch ważnych powodów widział się zmuszonym (und nun muss ich den Leser bitten, sich einen kurzen historischen Rückblick gefallen zu lassen, welchen ich ihm gern ersparen würde). Dla Niecksa bowiem historja Polski bardzo mało jest pociągającą, co zapewne było także powodem, że nie przestudjował jej dostatecznie. Stąd mnóstwo niedokładności w jego krótkim zarysie, pomięszanych z poglądami historjozoficznemi tego rodzaju, że każdy, mający jaką taką znajo-

---

[1]) Pomimo specjalnego rozdziału o stanie muzyki w Polsce za czasów Chopina Niecks jednak ma wogóle o muzyce polskiej pojęcie wielce niewystarczające (zdaje się n. p. nie wiedzieć nic o istnieniu Moniuszki, którego nazwsko nie jest wymienione w całych dwóch tomach ani razu). Jest to dlań w znacznej części *terra incognita*, podobnie, jak dla wszystkich wogóle cudzoziemców. Sam Niecks pisze w jednem miejscu: «...zu einem Rückblick auf die *Terra incognita* des Polnischen, insbesondere des Warschauer Musiklebens kurz vor und zu Chopin's Zeit». Z tą *terra incognita* nie zapoznał się Niecks dostatecznie...

mość dziejów polskich, nie może wyjść z podziwienia... Ustalonym n. p. jest pogląd historyków, że wygaśnięcie dynastji jagiellońskiej, które położyło koniec dziedziczności tronu w Polsce, było, dzięki elekcjom, jedną z kardynalnych przyczyn upadku Rzeczypospolitej. Pogląd ten, dziś nie kwestjonowany przez nikogo, podzielali nawet światli twórcy Sejmu Czteroletniego, z taką stanowczością domagający się dziedziczności tronu polskiego... Innego zdania jest Niecks, który w tej kwestji tak pisze: «Eine erste wesentliche Veränderung des Nationalcharakters bewirkte die Einführung des erblichen Königsthums; diese war, wenigstens was den Adel betraf, eine Verschlimmerung, sofern Stolz, Luxus und Selbstsucht an Stelle der früheren Einfachheit, Mässigkeit und Vaterlandsliebe traten». Tymczasem działo się właśnie przeciwnie, to zło bowiem, w postaci dumy, pychy i prywaty, rozkrzewiło się w Polsce od czasów elekcji. Niemniej utartem jest zapatrywanie, że Polska przez długie wieki, aż do utraty niepodległości, była «spichrzem Europy» (jak przedtem była «przedmurzem chrześcijaństwa»). Stąd, jak wiadomo, cały wzrost Gdańska. Według Niecksa upadek rolnictwa w Polsce rozpoczął się z chwilą wzrostu kasty szlacheckiej, t. j. od czasu zaprowadzenia dziedziczności tronu, co sprawiło, iż odtąd każdy szlachcic uważał się za urodzonego kandydata na króla (jak to pogodzić z dziedzicznością tronu?), a zaniedbywał uprawę roli [1]). Nierównie sumienniej uprawiali ją, według

[1]) Alle Adligen waren gleichen Ranges und... so hielt sich jeder polnische Adlige für einen geborenen Thronkandidaten. Da jedoch den Besitzern ihre noblen Passionen weit mehr am Herzen lagen als die Landwirthschaft... so wurde der Ackerbau mehr und mehr vernachlässigt. Że w rzeczywistości miało się inaczej, dowodzić zbyteczna. Wprawdzie Jacek Soplica w spowiedzi swojej powiada, że

W kraju, gdzie jako wiecie, szlachcic urodzony,
Jest zarówno z panami kandydat korony,

ale nie należy brać tego dosłownie.

Niecksa, Żydzi [1]). Co się tyczy ustroju społecznego polskiego, to Niecks bierze zupełnie na serjo znane określenie jednego z paszkwilistów XVIII wieku: *In Polonia coelum nobilium, paradisus clericorum, infernus rusticorum.* Szlachta, którą Niecks darzy mianem *obscure Edelleute,* choć niby to czuła się w Polsce, jak u siebie, miała najczęściej za cały dobytek trochę ziemi, szablę i wąsy od ucha do ucha (von den obscuren Edelleuten, deren ganzes Besitztum in einigen Hektaren Landes, einem Schwert und einem von einem Ohr zum anderen reichenden Schnurrbart bestand, vielleicht sogar nur in beiden letztgenannten Objecten). Na dworach magnatów, do których garnęła się młódź z pośród zubożałej szlachty nieraz uciekano się do batogów, gdy chodziło o skarcenie młodego szlachetki [2]). Wogóle w odtwarzaniu życia i obyczajów szlachty polskiej, Niecks zbyt wiernie trzyma się *Pamiątek Soplicy* Rzewuskiego, przekonany, iż to są *verba magistri,* na których bezwzględnie polegać można [3]). Co się tyczy chłopów, to Niecks, zapominając, iż gdzieindziej, w reszcie Europy, wcale nie było lepiej, lecz gorzej, przedstawia ich dolę w odrażająco czarnych barwach, tak, iż cudzoziemiec, czytając jego dzieło, dziwić się musi, że tak ciemiężony, batożony, opajany i gorzej, niż zwierzę, traktowany chłop polski miał taką dziarską, zamaszystą i buńczyczną muzykę, że z łona i duszy tak

[1]) Auch ist dies (Polen) das einzige Land in Europa, wo Juden Ackerbau treiben...

[2]) Die zweite und dritte Klasse (junger Edelleute) standen unter der Aufsicht des Hausverwalters, welcher den jungen Leuten gegenüber mit der Anwendung der Knute unter Umständen nicht sparsam war.

[3]) Ich will noch ein anderes Werk erwähnen, dessen Schilderung des polnischen Lebens... für mich von grossem Nutzen gewesen ist, nämlich Graf Heinrich Rzewuski's *Memoiren des Pan Severin Soplica,* deutsch von Philipp Loebenstein.

nieszczęsnego ludu mogły się zrodzić te kipiące życiem, werwą i... wesołością Mazury, Obertasy, Kujawiaki i Krakowiaki, w których duchu potem Chopin tworzył swe arcydzieła. Zapominając o tem, że w Polsce nie istniało, jak na Zachodzie, ohydne wobec chłopów prawo *jus primae noctis*, że w Polsce, jak na Zachodzie, nie było wypadku, by pan ogrzewał sobie nogi w rozprutym brzuchu któregokolwiek ze swych poddanych, Niecks, mówiąc o doli ludu polskiego, za bardzo przedstawia ją w duchu owego *infernus rusticorum*, zbyt szeroko rozwodzi się o batożeniu chłopów, o ich sprzedawaniu, a nawet zabijaniu przez szlachtę. Ta — jak to wykazują najnowsze badania historyczne — dola chłopa w Polsce, choć niegodna pozazdroszczenia, jednak nie była tak zła, jak chociażby nawet dola chłopa francuskiego przed rewolucją. Niemieccy baroni nie lepiej obchodzili się ze swymi poddanymi, aniżeli szlachcic polski obchodził się ze swoimi kmiotkami, a gdy Polska może się pochwalić «Królem Chłopów», to na Zachodzie jeszcze w XVIII wieku można wskazać panujących, co chłopów swych sprzedawali mocarstwom zagranicznym do wojska w taki sam sposób, w jaki się sprzedaje zwyczajne bydło, w jaki się jeszcze w XIX wieku sprzedawało murzynów. Tego w Polsce nigdy nie było, a Niecks, zbyt polegający na Carlyle'u, jako historyku Fryderyka Wielkiego, zdaje się o tem nie wiedzieć zgoła. Stąd błędne przedstawienie w książce jego doli ludu polskiego «jako pozbawionej wszelkich praw zgrai pogrążonych w nędzy chłopów» (einen rechtlosen Haufen von elenden Bauern), stąd wiele przesady w dobieraniu wyłącznie barw czarnych, stąd absolutna nieznajomość tej szczerosłowiańskiej «piastowskiej» kultury, którą nam lud przechował przez ciąg wieków, tej kultury, której między innemi wymownym wyrazem jest muzyka ludowa polska, tańce i pieśni ludu naszego — owo przeczyste źródło natchnień Chopina[1]). Ażeby dać czytelnikowi swemu pojęcie o prawdziwie «nowozelandzkim» i «grenlandzkim» stopniu kultury ludu polskiego, Niecks przytacza następującą opinję Carlyle'a o ludzie naszym, opinję, czerpaną pewno z pism Fryderyka Wielkiego. «Das Landvolk kannte kaum etwas wie Brod und viele kosteten niemals in ihrem Leben einen solchen Leckerbissen. Nur in wenigen Dörfern gab es einen Backofen. Ein Webstul war selten; das Spinnrad unbekannt. Den wichtigsten Theil des Hausrathes inmitten allen Schmutzes bildete das Crucifix...» Jakże odmiennie wobec takich cudzoziemskich opinij o ludzie naszym, opinij, równie potwarczych, jak pełnych najgrubszej ignorancji, brzmi opinja człowieka, mającego dokładną znajomość życia i obyczajów polskiego ludu. «Gdy szlachta (powiada w swych *Nocach letnich* Włodzimierz Tetmajer), a później i mieszczaństwo poszło drogą kultury łacińsko-germańskiej, reszta narodu, cały jego rdzeń i podstawa — lud — pozostała się sama ze swą kulturą piastowskich książąt i wstrzymana w pochodzie i rozwoju, do dziś dnia pozostała z nią i dochowała ją czystą. Tak jest, chłop nie jest dziki, nie jest niecywilizowany, nie jest gruby i pozbawiony szlachetnych popędów. Nie, on jest cywilizowany, ale cywilizacją inną, i to naszą prawdziwą... Kto do chłopa się zbliża, bez uprzedzeń, bez złej wiary, kto ma na wiele rzeczy pobłażanie i wyrozumiałość, kto choćby tylko zastanowi się nad własnym swoim polskim temperamentem i naturą, kto nieraz i sam w piersi się uderzy, polskie swoje wady rozpamiętując, ten z łatwością ową cywilizację odnajdzie

[1]) «...Die Bauern daran gewöhnt seien, dass man ihnen, wie den Aalen, die Haut abzöge...» «sein Herr konnte, so zu sagen, alles mit ihm (z chłopem) anfangen, was ihm beliebte, auspeitschen und verkaufen nicht ausgenommen; selbst ein Todtschlag war durch eine Busse von wenigen Gulden zu sühnen».

i ten z łatwością odnajdzie w chłopie pierwowzór siebie samego, pierwowzór prawdziwego Polaka, ale czystszy, zdrowszy, nieskażony wpływami niewłaściwemi, co krzywią i paczą polską naturę».

Tego wszystkiego Niecks, który w Polsce przedewszystkiem widzi brud i niechlujność (phosphorescirender Kehrichtshaufen), nawet się nie domyśla. W przeciwnym razie nie pisałby się z tak lekkiem sercem na zdanie jakiegoś Anglika, według którego «pomimo iż imię Polski jeszcze się zachowało, naród jednak polski przestał już istnieć» (wenn auch der Name Polen sich erhalten habe, die Nation doch nicht mehr existiere).

A jak z duchem i charakterem społeczeństwa polskiego, oraz jego historją, których Niecks nie odczuł, ani zrozumiał należycie, podobnie ma się rzecz i z duchem i charakterem muzyki Chopina. Nie potrzeba się chyba rozwodzić nad tem, jak narodowym na wskróś jest cały charakter muzyki Chopina, ani jak patrjotycznem było jego natchnienie w *Polonezach*, w *Mazurkach*, w niektórych *Preludjach* i *Etiudach*, ile armat — według świetnego wyrażenia Roberta Schumanna — kryje się pod kwiatami Chopinowskich kompozycyj. Na ten narodowy, czysto polski charakter muzyki Chopina, zwrócił także uwagę Robert Schumann (nie mówiąc już o Karasowskim, Liszcie, Kleczyńskim, Tarnowskim i wielu innych). «Co sprawia — czytamy w schumanowskich *Schriften über Musik und Musiker* — że Chopin tak wystaje i tak zajmuje, tak do siebie ciągnie pomiędzy kompozytorami naszych czasów, to silna, wybitna narodowość, która go ożywia, mianowicie polska...» Zdanie to Schumanna, potwierdzone przez tylu innych, w ten sposób, w swem studjum o Chopinie, rozwija St. Tarnowski, kładąc nacisk na duchowe pokrewieństwo Chopina z poezją naszej wielkiej epoki, na wspólność duszy obydwóch. «W tem uczuciu jest (muzyka Chopina) ze współczesną sobie poezją zgodna, nietylko przez

ogólne uczucie narodowe, przez swoją właściwą cechę polską, ale nawet we wielu, prawie we wszystkich tonach i odcieniach tego uczucia. Jak poezja, jest muzyka Chopina kwiatem przeniesionej do nas romantyczności, nietylko przez to, że pod względem technicznym, jako kompozytor należy on do szkoły romantyków, ale przez to nierównie więcej, że jego muzyka ma te same wdzięki, ten sam charakter i te same niedostatki, co nasza poezja romantyczna. Jak ona, ma najwyższą rzewność uczucia; jak ona, ma wielką oryginalność i wielkie bogactwa form i pomysłów; jak ona, ma wielką żywość i jaskrawość wyobraźni, a w tej wyobraźni coś mglistego, eterycznego, nieokreślonego; jak tamta przeważnie, tak ta jest nawskróś uczuciową, i jak tamta także, pełną uczucia i natchnienia patrjotycznego. A jak ma wielkie i piękne przymioty romantyzmu, tak ma i niedostatki podobne do jego błędów: melancholję przesadną i przechodzącą w chorobliwość, wielkie rozdrażnienie i drażnienie nerwów, brak równowagi i rozstrój wewnętrzny, objawiający się w pomysłach niejasnych czasem, niezrozumiałych, w wykonaniu dziwnem. A jak charakterem, duchem, rodzajem natchnienia, wdziękiem, tak i kolejami, przez jakie przechodziła, muzyka ta podobna jest do tej poezji. Jak tamta, idzie na emigrację; jak tamta, myśli i marzy ciągle o kraju, tęskni za nim: jak tamta, pod wpływem tych wypadków, przegranej roku 1831 i emigracji, wydała swoje najpiękniejsze dzieła, tak ta pod wpływem tych samych uczuć i wypadków wydaje swoje inspiracje najwyższe i najbardziej polskie duchem i formą, i jak tamta, przez cały ciąg swego życia smutna i tęskna, jak ona także kończy akordem ufności i nadziei». Jak dalece Chopin do tego narodowego charakteru swej muzyki wielką przywiązywał wagę, dowodzi chociażby jego list do Wojciechowskiego, w którym mu pisze: «Wiesz, ile chciałem czuć i po części doszedłem do uczucia naszej

narodowej muzyki...» Tymczasem Niecks, zaraz na pierwszej stronie swego dzieła podkreśla, że choć muzyka Chopina nosi wybitnie charakter narodu, z którego łona wyszła, to jednak byłoby bezwarunkowo błędem składać to na karb miłości ojczyzny (es würde jedoch ein Irrtum sein, dies lediglich auf Rechnung der Vaterlandsliebe zu schreiben); a choć uwzględnić należy — powiada Niecks — że muzyka Chopina głęboko w grunt narodu zapuściła korzenie, to jednak przy badaniu jej nie trzeba narodowego tego pierwiastku przeceniać, (gleichwohl dürfen wir bei unserem Forschen nach dem nationalen Ursprung der Chopinschen Musik die Bedeutung desselben nicht überschätzen). Takie wobec muzyki Chopina zająwszy stanowisko, nie dziw, że Niecks całkiem nie jest wrażliwy na niektóre cechy twórczości chopinowskiej, że n. p. nie jest w stanie poznać się na piękności chopinowskich *Mazurków!* Mazurki — powiada St. Tarnowski — to część może najulubieńsza, najbardziej rozpowszechniona i najsympatyczniejsza jego całego dzieła. Na to zgadzają się wszyscy znawcy i krytycy, nawet najuczeńsi (z wyjątkiem jednak, jak się okazuje, Niecksa), najbardziej pedantyczni, nawet zazdrośni, że są arcydziełami, i że są wynalazkiem Chopina, formą muzyczną, która przed nim nie istniała wcale. To jest, istniała może jako taniec o rytmie dość jednostajnym, ubogim, i jak się zdawało, pospolitym, niezdolnym podnieść się do godności poetycznej, stać się wyrazem uczucia i inspiracji. Przyszedł Chopin, i wzgardzony mazurek dostał odrazu sankcję poezji i sztuki. Co z nim mistrz zrobił? Nic, tylko to, że przepuszczając go przez filtr swojego uczucia, oczyścił go ze wszystkiego, co w jego rytmie mogło być powszedniem, niewdzięcznem, płaskiem, a to, co w nim było istotnie rodzimego, narodowego, polskiego, podniósł do ideału, opromienił poezją własnej duszy. Zdaje się,

jak żeby ta polska forma mazurka stała się była naturalnym wyrazem jednego uczucia, które było tłem usposobienia Chopina, a jest także uczuciem bardzo polskiem, bardzo powszechnem między nami: tęsknoty. Tęsknota jego przebija się dowolnie we wszystkich kompozycjach; ale dziwna rzecz, kiedy komponuje pod wpływem goryczy lub rozpaczy, kiedy burzą się w nim uczucia ponure i dzikie, wtedy wleje on je w formę każdą inną, ale nie w formę mazurka, który jest niejako wyłącznym poświęconym przybytkiem rzewności, melancholicznego rozmarzenia, żalu; i on stał się dlatego może najsilniejszym węzłem sympatji pomiędzy mistrzem a jego narodem. Bo kiedy biedny mistrz, wygnany, myślał z żalem o kraju i tęsknił za nim, kiedy go sobie przedstawiał w tem uroczem świetle, jakiem otacza rzeczy oddalenie, wtedy układał mazurek, w którym naród znowu znajdował dwa uczucia dobrze sobie znane, dwie struny swego serca często dźwięczące: swoje uczucie narodowe i swoją tęsknotę». Tak odczuwa i rozumie chopinowskie mazurki Polak, tak ich odczuć i rozumieć nie potrafi cudzoziemiec. To jest powodem, że Niecks *Mazurki* Chopina zalicza «do dzieł dużo mniej skończonych od innych utworów», że je stawia znacznie niżej, aniżeli walce, te z chopinowskich kompozycyj, pomimo całej swej genjalności i poetyczności, może najbardziej konwencjonalne.

Kiedy się czyta podobne oceny jednych z najpoetyczniejszych utworów Chopina, oceny, które tylko o tem świadczą wymownie, że ich dany krytyk nie zrozumiał, nie odczuł ich poetycznego uroku, nie poznał się na ich niesłychanym artyzmie, (bo najwyższym artyzmem, największą zaletą stylu, jak dzieła sztuki wogóle, jest prostota), mimowoli przypominają się pianiści zagraniczni grający Chopina, których bardzo dowcipnie ktoś nazwał prawdziwymi *Chopinhauer'ami*, a o których słusznie pisze Leszczyc w doskonałym swym artykule *Pamięci Chopina* poświęconym: «Wykonywanie

Polonezów i *Mazurów*, owych najcudniejszych pereł muzyki Chopina, dla tych, którzy ani naszego kraju, ani naszej pieśni ludowej nie znają, słowem, dla obcych nam duchem ludzi, stanowi poważny szkopuł, o który się rozbijają najświetniejsze zagraniczne talenty. Nie było też przykładu, aby obcokrajowiec *Polonezy* i *Mazury* Chopina z należytem zrozumieniem wykonywał. Nawet pierwszorzędni zagraniczni wirtuozi, gdy chodzi o polonezy i mazury Chopina, dają nam rzeczy całkiem niezrozumiałe, nieraz wręcz duchowi dzieła przeciwne, oklaskiwane przez nas tylko z grzeczności»[1]). Otóż ta okoliczność, że Niecks, pomimo swego kultu dla Chopina, jako cudzoziemiec z natury rzeczy jest «obcy nam duchem», sprawiła, że w dziele jego, skądinąd zasługującem na najwyższe uznanie, Polak spotyka na każdym kroku rzeczy, które na nim czynią wrażenie mazurów i polonezów Chopina w wykonaniu zagranicznych wirtuozów. Niecks, jak nie odczuwa poezji *Mazurków* Chopina, przekładając nad nie... *Walce*, podobnież i nie może, nie będąc Polakiem, wczuć się dostatecznie w psychikę Chopina, jako dobrowolnego emigranta, jako człowieka, nawskróś przesiąkłego ideałami polskiego romantyzmu, jako poety, którego muzyka wiąże się organicznie z naszą poezją romantyczną Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, że jak na tamtych rok 1831 wpłynął wprost przewrotowo, że jak poezja ich inną była w kraju, a inną na emigracji, pierwsza do drugiej tak się miała do siebie, jak «czwarta» część *Dziadów* do «trzeciej», jak *Marja Stuart* do *Anhellego*, jak *Agay Han* do *Przedświtu*, tak i twórczość Chopina inną zupełnie pod względem nastroju — bardziej majorową — była aż do chwili jego wyjazdu z Warszawy, a inną — bardziej minorową — po jego osiedleniu się w Paryżu; że o ile w jego kompozycjach

[1]) *Tygodnik illustr.* 27 maja 1899.

z epoki warszawskiej dominował duch mickiewiczowskiego Gustawa, o tyle jego utwory, pisane zagranicą, począwszy od owej *Etiudy rewolucyjnej*, noszą na sobie wybitne piętno duszy Konrada. Że i w Chopinie, w jego duszy, a zatem i w twórczości, dokonała się w roku 1831, podobnie, jak i w naszych poetach romantycznych, odmiana pierwszorzędnej doniosłości, metamorfoza duchowa, równająca się przełomowi, że i w Chopinie w tym czasie *obiit Gustavus*, a *natus est Conradus*, tego Niecks nawet się nie domyśla. I trudno mu nawet z tego czynić zarzut, jak niepodobna dziwić się pianistom zagranicznym, że nie odczuwają ducha mazurów i polonezów Chopina.

Co gorsza, to, że Niecks, nie rozumiejąc, lub nie odczuwając wielu rzeczy w życiu i twórczości Chopina, o wielu, i to bardzo wielu, wcale nie wie, choć mógłby wiedzieć, gdyby prawdą było, co o nim pisano w niektórych pismach, że «całe lata poświęcił na osobiste zwiedzenie miejscowości, w których Chopin przebywał, i zbierał o nim wiadomości u źródła», gdyby prawdą było — jak nie jest — że «przeszło dwadzieścia lat jeździł po świecie, gdzie tylko stopa Chopina ziemi dotknęła» i że przy zbieraniu materjałów do dzieła o Chopinie «miał do swego rozporządzenia krocie»[1]). Niestety, w rzeczywistości miało się całkiem inaczej: Niecks, którego mylnie w tychże pismach podawano za Anglika[2]), ani nie

[1]) Zob. *Tygodnik illustr.* z 27 maja 1899 r. i *Biesiada literacka* z 2 kwietnia 1897 roku.

[2]) Mylna opinja, że Niecks jest Anglikiem, długo błąkała się po pismach warszawskich. Stało się to dzięki okoliczności, że Niecks rzeczywiście od dłuższego już czasu pisuje po angielsku i że w tym języku napisał swe dzieło o Chopinie. Powiadają jednak, że pod względem językowym, jako angielszczyzna, dzieło to bardzo wiele pozostawia do życzenia, że przy czytaniu go widzi się odrazu, że autor, choć pisze po angielsku, myśli w innym języku. Jakoż pod tym względem świetny przekład niemiecki dzieła Niecksa,

miał nigdy kroci do swego rozporządzenia (czego pewno bardzo żałował i przy pisaniu swego dzieła o Chopinie i później), ani nie jeździł przeszło dwadzieścia lat po świecie, gdzie tylko stopa Chopina ziemi dotknęła, bo choć był i w Londynie, jako stały Anglji, a raczej Irlandji, od lat wielu mieszkaniec, i w Niemczech, skąd jest rodem, i w Paryżu, to jednak nie był ani w Żelazowej Woli, gdzie Chopin się urodził i później często przebywał, ani w Brochowie, gdzie Chopin ochrzczony został i gdzie do dziś dnia można oglądać w księgach parafjalnych akt ślubu jego rodziców i akt chrztu jego samego, ani w Warszawie, gdzie Chopinowi cała połowa życia upłynęła, ani w Szafarni w Lipnowskiem, dokąd Chopin jeździł do Dziewanowskich, ani w Strzyżewie w Poznańskiem, dawnej rezydencji Wiesiołowskich, ani w przyległym Antoninie, letniej rezydencji ówczesnego namiestnika Wielkiego Księstwa Poznańskiego, księcia Antoniego Radziwiłła, twórcy muzyki do *Fausta* Goethego, ani w Krakowie, który tak zachwycił Chopina, ani na wyspie Majorce, gdzie Chopin w roku 1838 zimę spędził, ani w wielu innych miejscowościach, gdzie «stopa Chopina ziemi dotknęła» i gdzie aż po dziś dzień mnóstwo znajduje się pamiątek po nim, wspomnień, listów, dokumentów. Gdyby Niecks sięgnął do tych źródeł, jak do nich nie sięgnął, byłby wiele rozdziałów swego dzieła, zarówno w pierwszym

dokonany przez Langhausa, ma niezaprzeczoną nad oryginałem wyższość, nie mówiąc już o tem, że go przewyższa i pod innemi względami, gdyż jest o d e ń z n a c z n i e o b s z e r n i e j s z y m, w w i e l u r o z d z i a ł a c h u z u p e ł n i o n y m i r o z s z e r z o n y m p r z e z s a m e g o N i e c k s a, (który tym razem pisał już odrazu po niemiecku). Wskazuje to — obok przedmowy — i sam tytuł niemieckiego wydania dzieła Niecksa, gdzie nawet na okładce napisano wyraźnie: «V o m V e r f a s s e r v e r m e h r t und aus dem Englischen übertragen von Dr. W. Langhaus». Dlatego, jeżeli chodzi o przekład dzieła Niecksa, posługiwać się należy nie jego angielskim oryginałem, lecz jego niemieckim przekładem, gdyż ten jest kompletniejszy.

jak w drugim tomie, całkiem inaczej napisał. Niestety, Niecks tego nie uczynił. We wszystkiem, co dotyczyło pobytu Chopina w Polsce, trzymał się tylko Karasowskiego, tak, iż w tej części dzieło jego n i e p r z y n o s i a n i j e d n e g o n o w e g o s z c z e g ó ł u, a p o w t a r z a w s z y s t k i e K a r a s o w s k i e g o b ł ę d y i n i e ś c i s ł o ś c i, od których książka Karasowskiego się roi. Oto kilka przykładów. Idąc za Karasowskim, podaje Niecks, jako datę urodzenia Chopina, dzień 1 marca 1809 r.; tymczasem z ogłoszonej przez księdza Bielawskiego metryki Chopina okazuje się, iż przyszedł on na świat prawie o cały rok później, bo 22 lutego 1810 r. Idąc za Karasowskim, opowiada Niecks, że Chopin był trzeciem z kolei dzieckiem swoich rodziców, że przed nim urodziły się dwie siostry jego, Ludwika i Izabella, a tylko trzecia jego siostra Emilja była odeń młodszą; tymczasem w rzeczywistości Chopin był drugiem z kolei dzieckiem, a Izabella Chopin (później pani Barcińska), jako urodzona d. 9 lipca 1811 roku, była od niego o cały rok przeszło młodszą. Jest to może drobiazg w gruncie rzeczy, ale dowodzi on, że Niecks nie zawsze wiadomości swe czerpał «u źródła» [1]). Idąc za Karasowskim, opowiada Niecks, że hr. Fryderyk Skarbek trzymał Chopina do chrztu, a zatem był jego ojcem chrzestnym; tymczasem w rzeczywistości hr. Fryderyk Skarbek, w chwili, gdy w d. 23 kwietnia 1810 r. w brochowskim kościele odbywał się chrzest przyszłego twórcy *Mazurków*, bawił... w Paryżu, ojcem zaś chrzestnym Chopina był Franciszek Grębecki, przyjaciel Mikołaja Chopina [2]). Idąc za Karasowskim, opowiada Niecks,

[1]) «Friedrich Chopin, der einzige Sohn und d a s d r i t t e der vier Kinder von Nicolaus und Justina Chopin, wurde am 1 M ä r z 1809 geboren». Tym sposobem w niespełna dwóch wierszach popełnia Niecks dwie bardzo ważne niedokładności, bo dodając Chopinowi cały rok więcej życia, siostrę jego natomiast czyni przynajmniej o dwa lata starszą.

[2]) «Graf Friedrich Skarbek... w a r P a t h e und g a b dem neugeborenen Sprössling seines Lehrers seinen Vor-

że do szkół zaczął Chopin chodzić w roku 1824, że je «opuścił» w roku 1827, że w ostatnim roku zdał słabiej egzaminy, niż lat poprzednich, tak, iż nie dostał żadnej nagrody, i że do konserwatorjum uczęszczał jeszcze przed wstąpieniem do Liceum, a więc przed rokiem 1824 [1]). Wszystkie te wiadomości, od początku do końca są mylne, a gdyby Niecks sięgnął po nie do źródła, (choćby tylko do starych roczników *Kurjera Warszawskiego* i do roczników *Echa muzycznego)*, wówczas by się przekonał, że wszystko, co znalazł w Karasowskim, pozostaje w rażącej sprzeczności z prawdą. Przedewszystkiem Chopin nie wstąpił do Liceum w roku 1824, lecz w 1823, a ukończył je — nie opuścił — w roku 1826, nie w 1827. Nieprawdą też jest, że «ostatnich egzaminów nie zdał tak świetnie, jak lat poprzednich i nie otrzymał żadnej nagrody», bo wystarcza zajrzeć do *Kurjera Warszawskiego* z dnia 6 sierpnia 1826, ażeby tam w urzędowem sprawozdaniu z popisu w Liceum znaleźć pomiędzy nazwiskami uczniów klasy VI, co otrzymali «nagrody w książkach», imię i nazwisko Fryderyka Chopina. Nieprawdą też jest — jak za Karasowskim utrzymuje Niecks — że Chopin do konserwatorjum chodził jeszcze przed wstąpieniem do Liceum i w czasie uczęszczania do Liceum, z raportów bowiem Elsnera o egzaminach w konserwatorjum, ogłoszonych przez Erazma Nowakowskiego w *Echu muzycznem* w r. 1891, okazuje się, że Chopin do konserwatorjum wstąpił po ukończeniu Liceum i że był uczniem tegoż konserwatorjum w ciągu trzech lat następnych, od 1826 do 1829, przeszedłszy systematycznie cały trzechletni kurs «kompozycji czyli kontrapunktu» [1]). Idąc za Karasowskim, przytacza Niecks wszystkie Listy Chopina do Matuszyńskiego i Woyciechowskiego (z roku 1830 i 1831) według tekstu ich, podanego przez Karasowskiego; tymczasem tekst ten nietylko jest nieścisłym i w wielu miejscach odstępującym od autografów (bo Karasowski ogromnie poprawiał, poetyzował i uwykwintniał dosadny, urywany i nieraz prawdziwie godny Paska styl Chopina), ale i wielce niekompletnym, Karasowski bowiem, wydając książkę swą w Warszawie, zmuszony był z listów tych opuszczać często najważniejsze i najbardziej dla Chopina charakterystyczne ustępy [2]). Tymczasem oryginały tych listów znajdują się aż po dziś dzień w Warszawie i posługiwać się niemi może łatwo każdy zajmujący się Chopinem... Idąc za Karasowskim, przytacza Niecks

namen». Kiedy i gdzie odbyły się te chrzciny, tego Niecks również nie wie. Stąd z relacji jego wynika, iż chrzciny te odbyły się w Żelazowej Woli. A odbyły się w Brochowie!...

[1]) «Chopins Studien im Lyceum erreichten im Jahre 1827 ihr Ende. Das letzte Examen bestand er indessen nicht so glänzend, wie die früheren, und er erhielt keinen Preis. Die Ursache dieses Rückschrittes liegt nahe genug: Friedrichs Neigung zur Musik, seine Erfolge als Clavierspieler und Componist, endlich das Zureden Elsners und anderer musikalischer Freunde hatten die früheren Zweifel der Eltern hinsichts der künstlerischen Zukunft ihres Sohnes völlig beseitigt, und wie die demzufolge in Bezug auf seine Schularbeiten nachsichtiger wurden, liess auch er seinem natürlichem Hange zur Kunst mehr und mehr die Zügel schiessen». Wszystkie te twierdzenia Niecksa okazują się jednak nietrafnemi, wobec tego, że Chopin ukończył Liceum z «nagrodą w książce» po równie świetnem zdaniu egzaminów, jak i lat poprzednich.

[1]) Por. Niecks, Fr. Chopin, przekład niemiecki Langhausa, tom I, str. 37, 42, 43. «Von Chopins Studien unter Elsner wissen wir nicht viel mehr als von denen unter Żywny». Niecks nie umie nawet powiedzieć na pewno, czy Chopin brał od Elsnera lekcje prywatne, czy też w konserwatorjum. A tak łatwo było się o tem dokładnie dowiedzieć z pracy Erazma Nowakowskiego o *Dawnem konserwatorjum muzycznem w Warszawie.*

[2]) Zob. moje studjum Z *papierów po Elsnerze,* Warszawa, 1901, str. 7, tudzież ogłoszony przezemnie z autografu (ze zbiorów Aleksandra Polińskiego) w książce drukarzy krakowskich (pamięci Guttenberga) list Fryderyka Chopina do Jana Matuszyńskiego (z Wiednia, 25 grudnia 1830) str. LII—LX.

w drugim tomie swego dzieła wszystkie listy Chopina do Fontany w takiem brzmieniu i z takiemi samemi datami, jak je podaje w książce swej Karasowski; tymczasem, gdyby był znał oryginały tych listów (przechowywane w Warszawie, w rodzinie Lilpopów), przedewszystkiem mógłby ich przytoczyć znacznie więcej, a następnie mógłby je przytoczyć nietylko w całości i we właściwem brzmieniu, ale i z właściwemi datami, bo Karasowski nietylko że listów pomienionych nie przytacza w tej formie, w jakiej wyszły z pod pióra Chopina, lecz skraca je, poprawia stylistycznie, odczytuje mylnie etc., a prócz tego opatruje je — jak się okazuje z porównania z oryginałami — fałszywemi datami, listy z r. 1839 podając jako pisane w r. 1841 i naodwrót, listy pisane z Nohant w roku 1841, jako pisane z Majorki w roku 1838, co wszystko sprowadza nieopisany zamęt, powtórzony w dziele Niecksa bez żadnej odmiany, z dobrą wiarą, która w tym razie istotnie mogłaby być mniej dowierzającą.

Wskutek tego, gdy Chopin pisał:

> Szlezinger jeszcze większy pies, żeby moje walce w Album kłaść!! i Probstowi sprzedawać, kiedy na jego zebraniu dla Gyca mu do Berlina dałem. Wszystkie te w s z y mnie teraz mniej kąsają. Niech się Leo wścieka. Żal mi tylko ciebie, ale ty za miesiąc najdalej czysty będziesz z Leonem i z moim gospodarzem. Użyj Wessla pieniędzy, jak potrzeba. Służący co robi?

w książce Niecksa, powtórzone za Karasowskim, czytamy (w niemieckim lub angielskim przekładzie), co następuje:

> Ale i Schlesinger jeszcze gorszy pies, żeby moje walce do Albumu kłaść i Probstowi sprzedawać! Kiedy na jego żebraninę dla ojca do Berlina mu dałem. Wszystko to mię irytuje. Żal mi tylko ciebie; ale za miesiąc najdalej będziesz na czysto z Leo i z moim gospodarzem. Z pieniędzmi na weksel postąp, jak potrzeba. A służący mój co robi?

Gdy Chopin pisał:

> Pomarańcze darmo, a guzik do portek summy bajońskie. To wszystko gra na piasku przy tem niebie, przy tej poezji, którą wszystko tu oddycha, przy tej barwie miejsc najcudniejszych, jeszcze oczami ludzi nieotartej. Jeszcze mało kto płoszył te orły, co codzień nad naszemi głowami bujają! Pisz na Boga, zawsze frankuj i Palma de Mallorca dodawaj. Posyłam ci weksel i list do moich. Jasia kocham i żałuję, że nie ukształcił się zupełnie na d y r y c h t u r a dzieci dobroczynności w jakim Nürenbergu albo Bambergu. Niechże mi przecież napisze, że człek... To zdaje mi się 3-ci czy 4-ty list, co ci do Rodziców posyłam. Albrechta uściskaj, ale mało mów...

w książce Niecksa, powtórzone za Karasowskim, czytamy (w niemieckim lub angielskim przekładzie) co następuje:

> Naprzykład pomarańcze dadzą ci darmo, lecz za guzik od surduta żądają sum bajońskich. Pod tutejszem niebem, przejmuje Cię jakieś poetyczne uczucie, którem, zdaje się wszystko oddychać; orły, niepłoszone przez nikogo, bujają majestatycznie codzień nad naszemi głowami. Pisz na Boga, frankuj zawsze i do Palmy dodawaj zawsze Valdemosa. Jasia kocham i żałuję, że nie ukształcił się zupełnie na dyrektora dzieci jakiego zakładu dobroczynnego w jakiej Norymbergji, albo Bambergu. Niechże mi przecie napisze choć kilka słów... Załączam list do moich... Zdaje mi się, iż to jest trzeci czy czwarty, co ci do rodziców posyłam.

Gdy Chopin pisał:

> Ballada à Mr. R o b e r t S c h u m a n n. Polonezy t o b i e, jak są. K e s s l e r o w i n i c. Jeżeli Pleyel nie będzie chciał opuścić B a l l a d y, to P r e l u d i a dedykuj Schumannowi. Gaszyński był z Aix u m n i e wczoraj, jedyna osoba, com przyjął.

w książce Niecksa, powtórzone za Karasowskim, czytamy (w angielskim lub niemieckim przekładzie) co następuje:

Balladę Robertowi Schumannowi. Polonezy tobie, jak są, a nie Kesslerowi. Jeżeli Pleyel nie będzie chciał odstąpić od dedykacji Ballady, to Preludje dedykuj Schumannowi. Garczyński był u mnie wczoraj, wracając z Aix, jedyna to osoba, którą przyjąłem [1]).

Idąc za Karasowskim i innymi autorami, a zwłaszcza trzymając się relacji Karola Gavarda (którą i Karasowski — jak mu to Niecks wyrzuca w przypisku — w 12-tym rozdziale swej książki prawie dosłownie przetłumaczył, nie uprzedzając o tem czytelnika), opowiada Niecks, że Chopin w ostatniej chorobie tak był bezsilnym, iż sam na łóżku nawet podnieść się nie mógł. Opowiada dalej, że biedny chory cierpiał srodze; że prawie nie mówił, lecz porozumiewał się na migi, tak go męczyło mówienie; że w ostatnich czasach bardzo był opuszczony, że sam się odosobnił, co mu nawet niektórzy poczytywali za nadmiar pychy, etc. etc. Jednem słowem wszystko, co się znajduje w ostatnim rozdziale książki Karasowskiego, w opisie «ostatnich chwil Chopina», powtarza za nim Niecks (gdyż obaj czerpali swe wiadomości u Gavarda), ani domyślając się nawet, że cała opowieść Karasowskiego o «ostatnich chwilach Chopina» została bezpośrednio po jej ogłoszeniu drukiem zaprzeczoną w *Kurjerze Warszawskim* przez Ludwikę z Jędrzejowiczów Ciechomską, która «uczynić to uważała sobie za obowiązek i miała do tego prawo,

[1]) Zob. moje studjum w *Bibljotece Warsz.* z lipca 1899 p. t. *Chopin i Fontana.* Że tu Niecks zamiast Konstantego Gaszyńskiego, autora *Sielanki młodości* etc. podaje pod rokiem 1839 autora *Wacława,* Garczyńskiego, zmarłego w r. 1833, tego mu ostatecznie tak bardzo za złe brać nie można, bo wina to Karasowskiego, a od Niecksa wymagać dokładnej znajomości literatury polskiej byłoby przesadą. Swoją drogą, omyłek takich, wynikających z tego, że znajomość rzeczy polskich jest dlań *terra incognita* (sam się do tego w jednem miejscu przyznaje!), omyłek takich, w rodzaju tego Garczyńskiego zamiast Gaszyńskiego, niemało się spotyka w książce Niecksa.

jako siostrzenica Chopina, jako ta, która wraz z matką swoją, Ludwiką z Chopinów Jędrzejowiczową, a rodzoną siostrą mistrza, cztery ostatnie miesiące jego życia przy nim spędziła i była jego ostatnich chwil świadkiem naocznym». Niecks, lekceważąc sobie polską literaturę chopinowską, nie zna oczywiście i tego listu otwartego pani Ciechomskiej, choć list ten jest doniosłości pierwszorzędnej i nietylko mnóstwo wątpliwości i sprzeczności stanowczo przecina, ale kładzie koniec wielu poetycznym legendom, krążącym o «ostatnich chwilach Chopina». Z listu tego okazuje się, że Karasowski te «ostatnie chwile Chopina» opisał inaczej, niż się miały w rzeczywistości, że «opis p. Karasowskiego (słowa pani Ciechomskiej) choć bardzo poetyczny, nie zgadza się zupełnie z prawdą». To samo i opis Niecksa, powtórzony za Karasowskim i Gavardem. W rzeczywistości przedstawiały się te «ostatnie chwile Chopina» całkiem inaczej, niż je opisują Karasowski, Niecks i inni. «Mieszkałyśmy z Fryderykiem — opowiada siostrzenica mistrza — najpierw na ul. Chaillot nr. 74, w jego letniem mieszkaniu, a następnie na Placu Vendôme nr. 12 (a nie 11). Z tego mieszkania wuj już nie wyjeżdżał, ale się jeszcze podnosił, chodził po pokojach i przyjmował znajomych prawie do końca, ponieważ codzień nieomal bywało po kilka godzin, w ciągu których czuł się lepiej. Nie oczekiwał też śmierci z utęsknieniem, jak to pisze p. K., nie domyślał się bowiem długo swego stanu i projektował nawet, że zimę spędzi na południu, do czego też matkę moją i mnie przy sobie zatrzymał, abyśmy mu w tej podróży towarzyszyć mogły, kiedy tymczasem ojciec mój, Józef Jędrzejewicz, który z nami był także do Paryża przyjechał, powrócił do kraju. W ostatnich dopiero chwilach domyślał się, że jest źle, mówiąc: «Niedługo się to skończy!» Przy chorym bezustannie czuwała matka moja, nie opuszczając go ani na chwilę; byłyśmy nieodstępne przy nim, a ks. Marcel. Czartoryska wszystkie wolne

chwile wraz z nami spędzała przy wuju» [1]). Idąc za Karasowskim (i Gavardem), poświęca Niecks całą stronicę opisowi tylokrotnie już opisywanej sceny, gdy Delfina Potocka śpiewa umierającemu Chopinowi, sceny,

[1]) Niecksowi wszelkie relacje o pełnem poświęcenia się zachowaniu księżnej Marcelliny Czartoryskiej podczas ostatniej choroby Chopina, wydają się niezasługującemi na wiarę... «Wahrscheinlich übertreibt Gavard die Dienstleistungen der Fürstin Czartoryska, jedenfalls i t. d.» Wogóle nie wydaje mu się, ażeby księżna Marcellina, dlatego właśnie, że księżna, mogła być zdolną do jakiegokolwiek poświęcenia. Żeby Niecks znał księżnę Marcellinę, nie byłby skłonnym do takich wątpliwości. Mniej by też był sceptycznym w tym kierunku, gdyby znał list Chopina do Grzymały, z Londynu 17 października 1848 r., gdzie między innemi pisze Chopin: «Księżna Marcellina taka dla mnie dobra, że nieledwie codzień, jak do szpitala, przychodzi». Nieznany też jest widocznie Niecksowi inny list Chopina do tegoż Grzymały, z marca 1849 r., gdzie Chopin powiada: «Jedna księżna Marcellina co mię przy życiu trzyma, i jej rodzina, i poczciwy Szulczewski». Już to wogóle Niecks nieszczególnego jest mniemania o księżnej Marcellinie, o jej talencie muzycznym, zwłaszcza o jej wykonywaniu dzieł Chopina, tak że odzywa się z dość silnym odcieniem pessymizmu: «Würde das ihr allgemein gespendete Lob ebenso enthusiastisch gewesen sein, wenn Sie, statt einer Fürstin, eine Clavierspielerin von Profession gewesen wäre?» Podobne odezwanie się o talencie księżnej na podstawie niesłyszenia jej gry wydaje się samemu Niecksowi ungalantim Munde Jemandes, der nicht das Vergnügen gehabt hat die Dame zu hören, a oburzyło Władysława Żeleńskiego, który w swem sprawozdaniu z książki Niecksa tak go za to niewłaściwe potraktowanie księżnej Marcelliny przywołuje do porządku: «Księżna Marcellina — pisze Wł. Żeleński — grywając publicznie na cele dobroczynne zawsze budziła prawdziwy zachwyt i wywierała głębokie wrażenie swą grą, pełną wyrazu, wdzięku i prawdy artystycznej. Można śmiało powiedzieć, że całą duszę Chopina odczuła ona i zrozumiała. Jeżeli w cudzoziemcach budziła podziw, to u swoich wywoływała cześć i entuzjazm, położyła bowiem niezmierne zasługi, podnosząc grą swoją cały poziom muzykalny w kraju, zespalając żywioły muzykalne koło siebie i tłumacząc niejako mistrza, a przedewszystkiem rozpowszechniając jego dzieła. Księżna Marcellina Czartoryska będzie miała zawsze bardzo piękną kartę w historji sztuki u nas, o czem Niecks zdaje się nie wiedzieć. Dość humorystycznie wygląda w studjum jego rzucone pytanie, czy gra księżnej (której nigdy nie słyszał) wywoływałaby równie silne wrażenie, gdyby nie była księżną panią? Takich zapytań poważny pisarz nie powinienby sobie pozwalać, nie mając ku temu żadnych danych, tembardziej, że o wyrobienie sobie zdania było bardzo łatwo, zaczerpnąwszy wiadomości od współczesnych powag. Trzeba było nie żałować trudu, którego ślady w innych zagadnieniach są bardzo widoczne u Niecksa... i sięgnąć do samego źródła po dokładne dane».

w której drugą pieśń przerwało hrabinie... rzężenie konającego (wo das Röcheln des mit dem Tode Ringenden die Gräfin inmitten des zweiten Stückes unterbrach). Ani się domyśla Niecks, że w rzeczywistości scena ta miała się zupełnie inaczej, niż została opisaną w jego książce, że wszystko odbyło się o wiele prościej, a mniej pseudo-poetycznie. Oto, jak tę «słynną scenę» opisuje pani Ciechomska. «Nikt też Chopinowi w godzinie śmierci nie śpiewał. Pani Delfina Potocka, na kilka dni jeszcze przed śmiercią wuja, będąc u niego, śpiewała na własne jego żądanie, a to z następującego powodu. Jeszcze na letniem mieszkaniu (Chaillot 74) odwiedziła raz była Chopina sławna śpiewaczka, pani Sartorius, która na prośby wuja dla mej matki zaśpiewała jedną z arji Belliniego — jaką, nie pamiętam, a że Chopin, osłabiony tego dnia, nie mógł jej akompanjować, śpiewała bez fortepianu, siedząc na krześle na środku salonu. Po jej odejściu Chopin odezwał się do mej matki, zachwyconej śpiewem pani Sartorius. «Jaka szkoda, że niema tu Delf. Pot., chciałbym, żebyś słyszała, jak ona to śpiewa!» Wolał bowiem śpiew pełen uczucia pani Delfiny. Gdy go więc pani Potocka odwiedziła, powróciwszy do Paryża, żałował, że leży tego dnia, bo prosiłby ją o zaśpiewanie dla mej matki tej samej arji, którą Sartorius śpiewała. Zaradzono temu, przysuwając fortepian do drzwi sypialni, w czem pomagał Teofil

Kwiatkowski, malarz, będący wtedy u Chopina, a pani Potocka, akompanjując sama, zaśpiewała nietylko żądaną arję, ale i kilka innych, poczem fortepian napowrót przesunięto. Śpiew nie zmęczył chorego, ale jakby pokrzepił, i resztę dnia spędził, nieźle się czując». Idąc za Karasowskim, opowiada Niecks, że pani Sand w czasie ostatniej choroby Chopina, na parę dni przed jego śmiercią, przysyłała przyjaciółkę swą, panią M(arliani) z zapytaniem o zdrowie Chopina; przytacza też relację Gutmanna, że pani Sand przyszła osobiście, by się z Chopinem zobaczyć, ale jej nie dopuszczono do chorego, by mu oszczędzić zbyt silnego wzruszenia. Co się tyczy Gutmanna, to opowiada o nim Niecks, że najwięcej był przydatnym w czasie ostatniej choroby Chopina, bo jako silny mężczyzna, mógł go swobodnie, on jeden, unosić na łóżku, podtrzymywać, gdy siedział, a nie mógł usiedzieć o własnych siłach... Gutmann war es, der... am besten mit dem Kranken umzugehen wusste, der ihm so am Meisten aufrecht hielt. W ciągu tych ostatnich dni — opowiada Niecks — chory wypowiedział różne życzenia, głównie odnośnie do swych pozostałych kompozycji, a między innemi także i życzenie (przez Teofila Kwiatkowskiego zakwestjonowane zresztą), że do trumny pragnie być złożonym w tym fraku, w którym występował na koncertach... Agonja przedśmiertna — według Niecksa — trwała cztery doby, a zaczęła się bezpośrednio po przyjęciu ostatnich Sakramentów. An demselben Tag begann der Todeskampf, welcher vier Tage und vier Nächte dauerte. Seine Geduld und Ergebung in den Willen Gottes haben ihn bis zur letzten Minute nicht verlassen... Als Chopin's letzte Augenblicke herannahten, wurde er von «nervösen Krämpfen» erfasst (so drückte sich Gutmann aus) und das Einzigste, was ihm Linderung verschaffte, war, dass Gutmann ihm Handgelenke und Knöchel fest drückte. Ganz kurz vor dem Ende wurde er durch Gut-

mann veranlasst, etwas Wein und Wasser zu trinken, wobei Letzterer ihn in seinen Armen hielt und das Glas an seine Lippen führte. Chopin trank, sank zurück mit den Worten «Cher ami!» und starb... Tak opowiada Niecks, wiernie trzymający się Karasowskiego, Gavarda i innych rzekomych «naocznych świadków» ostatnich chwil Chopina. W rzeczywistości miało się całkiem inaczej, a jak się odbyło naprawdę, o tem nas informuje siostrzenica Chopina, która «wiedząc, jak wszystko, co się odnosi do życia naszego nieśmiertelnego mistrza, ogół obchodzi, dla sprostowania błędnych wiadomości, tyczących się ostatnich chwil Chopina», tak je opisuje: «Chopin nie skonał na rękach Gutmanna, bo tego wtedy nawet w Paryżu nie było, nie mógł zatem czuwać przy nim i dźwigać go — jak pisze p. Karasowski w swem dziele — czegoby był nawet nie potrzebował, bo Chopin do końca życia sam się dźwigał, t. j. podnosił się i siadał na łóżku o własnych siłach. Na dowód, że w ostatnich chwilach Chopina p. Gutmann nie był w Paryżu, ale dopiero po jego śmierci przyjechał, dodam jeszcze, że go matka moja wtedy dopiero poznała, gdy przyszedł jej złożyć t. z. *visite de condoléance*. Co się tyczy jakiejś pani M. przysłanej przez panią Sand dla dowiedzenia się o zdrowie Chopina, to także jest mylnem. Pani Sand nikogo nie przysyłała, a podczas całego naszego pobytu w Paryżu raz tylko sama pisała do mej matki, pytając o zdrowie Chopina. Było to jeszcze w Chaillot. Chopin przed śmiercią nie dawał żadnych rozporządzeń, prócz tego, że życzy sobie, aby serce jego przewieziono do kraju. Parę dni przed śmiercią spowiadał się i ostatnie namaszczenie przyjmował, poczem żegnał i błogosławił obecnych. Księżna Marcellina odmówiła następnie głośno litanję za konających, a wszyscy zgromadzeni za nią ją powtarzali. Panny Elizy Gavard ani Franchomme'a nie było przy tem. Chopin do końca życia przytomności nie tracił, tylko coraz więcej czuł się osłabionym. A kiedy

jeszcze o 11-ej wieczorem d. 16 października doktór Cruveillé przyszedł po raz ostatni go odwiedzić, widząc zbliżającego się lekarza, Chopin rzekł do niego: «Ne vous fatiguez pas, Monsieur, je vous débarasserai bientôt». Gdy doktór, stanąwszy przy łóżku, chciał puls chorego zobaczyć, ten cofnął rękę i oczy przymknął, a pan Cruveillé odszedł. Słowa wyrzeczone do doktora sprawdziły się. O w pół do 2-giej w nocy 17 października Chopin Bogu ducha oddał, lecz bez żadnych cierpień, nie tak jak p. Karasowski opisuje. Ostatnie jego słowa były: «Matka, moja biedna matka!», ciągle bowiem o swej matce myślał i z temi wyrazami na ustach życie zakończył. Nadzwyczajnie kochał swoją rodzinę i wiedział, jak jest od niej kochanym. Rozdzierała mu też serce myśl, jakim ciosem będzie śmierć jego dla ukochanej a żyjącej wówczas matki. Co do szczegółów pogrzebu Chopina, sprostować także należy, że trzymającym czwarty koniec całuna nie był Gutmann, ale p. Ignacy Pleyel» [1]).

Podobnych niedokładności, dzięki zbyt dobrej wierze *in verba* Karasowskiego [2]) i Liszta, zawiera

[1]) *Kurjer Warszawski* Nr. 177 z d. 9 sierpnia 1882.

[2]) Oczywiście zdarza się czasami, że zbytnie ufanie Karasowskiemu i poleganie na nim wydaje się Niecksowi niebezpiecznem: wtedy stara się być krytycznym, niekiedy aż hyperkrytycznym, tak, iż usiłując sprostować domniemaną niedokładność popełnia jeszcze większą, a znowu wynikającą z niedostatecznej znajomości źródeł polskich do biografji Chopina. Tak n. p. na str. 53 tomu I z powodu wiadomości o występie publicznym Chopina w r. 1825, gdy Karasowski powiada, że odtąd występował Chopin bardzo często i w wielu koncertach i wieczorach muzycznych brał udział, informacja ta wydaje się Niecksowi poczerpniętą przez Karasowskiego... z fantazji. Wątpliwość tę wzbudza w Niecksu korespondencja w lipskiej *Allgemeine musikalische Zeitung*, z wielkiemi pochwałami odzywająca się o wykonaniu przez Chopina Allegro z Koncertu Moschelesa. «Leider — ciągnie dalej Niecks — erfahren wir hier nichts über Chopin's Vortrag des Moscheles'schen Concertsatzes. Dennoch ist diese karge, von einer unmittelbar nach der Aufführung geschriebenen Notiz werthvoll, jedenfalls werthvoller, als Alles was man fünfzig Jahre später darüber sagen könnte. Ich kann nicht umhin anzunehmen, dass Karasowski etwas übertreibt, wenn er sagt, dass Chopin's Clavierspiel die Zuhörer aufs Höchste begeistert habe und das kein Concert erfolgreich gewesen sei, bei dem er nicht mitgewirkt; er scheint sich entweder zu sehr auf die phantastisch gefärbten Berichte seiner Gewährsmänner verlassen zu haben, oder in der eigenen Begeisterung für seinen Helden über das Ziel hinaus gegangen zu sein. Gegen ihn spricht, dass Chopin's Name in keiner späteren Warschauer Corespondenz der genannten Zeitung erscheint». Argument ten, że w lipskiej gazecie muzycznej nie spotykamy się odtąd z ani jedną wzmianką o Chopinie, i że zatem częstsze wystąpienia Chopina w Warszawie na estradzie koncertowej nie wydają się prawdopodobnemi, nie jest argumentem, nie wytrzymuje krytyki, bo 1) korespondencje z Warszawy w *Allgemeine musikalische Zeitung* nie były nigdy stałe, lecz dorywcze, przygodne, za czem poszło, że nie znalazło się w niej ani słowa nawet i o słynnych trzech koncertach Chopina «pożegnalnych» w roku 1830 a 2) gdy chodzi o wypadki dziejące się w Warszawie, czasopismo niemieckie w Lipsku wychodzące, nie jest żadnym materjałem dowodowym. Gdy o Warszawę chodzi, należy szukać informacji we współczesnych czasopismach warszawskich, które każde publiczne wystąpienie Chopina, a nawet jego wystąpienia w kołach prywatnych, bardzo starannie notowały i omawiały. Gdyby Niecks zajrzał do warszawskich pism z tego czasu, okresu od roku 1825 do 1830, przekonałby się, że w tym razie Karasowski był dobrze poinformowany, albowiem Chopin istotnie często dawał się słyszeć, nietylko w prywatnych salonach, ale i publicznie, biorąc udział w różnych koncertach, czy to w Konserwatorjum, czy to w Teatrze Narodowym, czy to w Resursie Kupieckiej.

dzieło Niecksa mnóstwo... Wyliczyć je wszystkie, nie pisząc specjalnej krytyki pomienionego dzieła, nie sposób. Zbyt wieleby to zajęło miejsca...

Poza szczegółami, zebranemi listownie od osób, które znały Chopina i pozostawały z nim w ciągłych stosunkach (a i tu nie sięgnął po wiadomości do takich osób, jak pani Rotszyld, księżna Marcellina Czartoryska, pani Faucher, pani Hoffmann, Krzyżanowski

i mnóstwo innych), zebrał Niecks bardzo sumiennie współczesne głosy pracy francuskiej, angielskiej i niemieckiej o Chopinie, bądź to z powodu jego koncertów, bądź z powodu jego kompozycyj (i to stanowi największą nowość i wartość II tomu), nie sięgnął jednak w tym razie wcale do źródeł polskich, do czasopism warszawskich, gdzie i przed i po wyjeździe Chopina zagranicę tyle o nim pisano, począwszy od jego pierwszych debiutów na estradzie, jako «cudownego dziecka» i jego triumfów szkolnych, a skończywszy na recenzjach z jego koncertów, które już jako, »najlepszy w całem mieście fortepianista» dawał w Teatrze Narodowym. I później, gdy Chopin już przebywał zagranicą, w czasopismach naszych roi się od artykułów i wiadomości o nim w pismach warszawskich, bo Warszawa, jako miasto rodzinne Chopina, bardzo się losami jego interesowała. Stąd liczne o nim wzmianki i informacje (bardzo często udzielane pismom przez najbliższą rodzinę Chopina na podstawie listów od niego), informacje, które niejednokrotnie prostują lub uzupełniają wiadomości zawarte w dziele Karasowskiego, a powtórzone przez Niecksa. Skoro się uznało za właściwe uwzględnić głosy prasy wiedeńskiej, berlińskiej, paryskiej, londyńskiej, glasgowskiej, manchesterskiej etc., o Chopinie, o jego koncertach lub dziełach, należało również uwzględnić i głosy prasy polskiej, które z Chopinem w nierównie bliższym pozostawały związku i które na dzieje jego życia i twórczości, zwłaszcza w Warszawie, tyle nowego i ciekawego rzucają światła. Tymczasem Niecks wcale tego nie uczynił, przeszedł ponad tem do porządku z lekceważeniem, które w nieuprzedzonym do nas Niemcu może co najmniej wydawać się dziwnem... A podobnież zachował się on wobec prasy emigracyjnej polskiej, w której tyle do życia Chopina znajduje się nietkniętego aż dotąd materjału! Przecież Chopin przez dwadzieścia blisko lat żył na emigracji, obracając się przeważnie w kołach emigracyjnych polskich, biorąc

żywy udział w życiu emigracyjnem, przyjaźniając się z najwybitniejszymi przedstawicielami wychodźtwa, z Czartoryskimi, Niemcewiczem, Kniaziewiczem, Mickiewiczem, Zaleskim, Januszkiewiczem, Platerami, Witwickim, Sienkiewiczem, Grzymałą, Mycielskim i w. innymi, należąc do Klubu Polskiego, uczęszczając na posiedzenia Towarzystwa historyczno-literackiego[1]), dając koncerty na korzyść braci-wygnańców, bywając w *Collège de France* na prelekcjach Mickiewicza, i t. d, i t. d.[2]). O wszystkiem tem Niecks wie prawie tyle, co nic, a jak książce Karasowskiego w roku 1882 zarzucał Henryk Sienkiewicz, że «nie wspomina prawie wcale o tem, coby nas nadewszystko zajmować mogło, to jest o stosunku Chopina do Adama Mickiewicza i innych znakomitości ówczesnych polskich», tak zarzut ten dosłownie powtórzonym być może i w stosunku do dzieła Niecksa, który tej emigracyjnej strony życia Chopina nie uwzględnił prawie wcale, kiedy tymczasem należało ją przeciwnie wysunąć na plan pierwszy. Czytając drugi tom dzieła Niecksa, zawierający opis życia Chopina w Paryżu, nie można się nawet domyśleć, o czem Chopin i jego rodacy dumali tam

na paryskim bruku,
Przynosząc z miasta uszy pełne stuku
Przekleństw i kłamstwa, niewczesnych zamiarów,
Za późnych żalów, potępieńczych swarów.

---

[1]) Stąd w dzisiejszej *Bibljotece polskiej* paryskiej także do życia Chopina w Paryżu, znajduje się niejeden dokument. Odnalezienie ich zawdzięczam uprzejmości p. Władysława Mickiewicza.

[2]) «Stanowisko Chopina pomiędzy emigracją, d o k t ó r e j s i ę z a w s z e l i c z y ł, która jego liczyła do swoch gwiazd i ozdób, było bardzo stałe, dobre i szanowane...» powiada w odczycie swym St. Tarnowski. O stosunku Chopina do emigracji zob. Gadona *Z życia Polaków we Francji* (o Chopinie, jako członku Towarzystwa hist.-lit.) w tegoż *Emigracji polskiej* (II, 25, 26, 27; III, 44, 232) i w dziele Władysława Mickiewicza o jego wielkim ojcu.

A jednak Chopin przez dwadzieścia blisko lat żył w tem gwarnem środowisku, oddychał jego atmosferą, był jednym z luminarzy tego «narodu w miniaturze» i podobnie jak Słowacki, mógł do swych towarzyszy wygnania powiedzieć: «Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami». Tego płaczu i cierpień pełne są wszystkie w tych czasach poczęte dzieła Chopina, ale Niecks nie zwraca na to w dziele swem żadnej uwagi, nie liczy się z tym wpływem na psychikę, a tem samem i na twórczość Chopina, zdaje się nie wiedzieć o nim zupełnie. I nie wie pewno... Czytając jego dzieło, ma się wrażenie, że pobyt Chopina w Paryżu niczem tak dalece nie różnił się od pobytu nad Sekwaną innych współczesnych muzyków, Liszta, Belliniego, Meyerbeera, Kalkbrennera, Rossiniego, że największą ówczesną tragedją Chopina był jego stosunek z George Sand i złośliwe napaści niektórych pism niemieckich i angielskich. Tymczasem gdy się sięgnie głębiej, dostrzeże się na dnie duszy Chopina i w jego ówczesnej twórczości rozdźwięki innej, daleko podnioślejszej natury, te same, które szarpały prometejskie dusze Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego. Tylko zapomocą tego klucza można zrozumieć ducha ówczesnych kompozycyj Chopina, ducha jego *Polonezów Cis-moll* i *A-dur*, ducha *Fantazji F-moll* i *Sonaty B-moll*, ducha *Polonaise-Fantaisie*. Tego klucza Niecks nie znalazł, a nawet go nie szukał. A znaleźć go mógł nawet nietrudno, gdyby mu znaną była praca St. Tarnowskiego o Chopinie, bezwarunkowo najlepsza rzecz, jaką u nas o Chopinie, jako o człowieku, napisano, a obok znakomitej charakterystyki psychologicznej Chopina, zawierająca przytoczony w całości pamiętnik Chopina, pisany w Wiedniu i Sztuttgardzie, pamiętnik, który jest może najważniejszym ze wszystkich dokumentów, rozjaśniających życie i psychikę Chopina, a którego Niecks... wcale nie zna (bo nie przytacza go Karasowski). Już to wogóle trzeba uczynić zarzut Niecksowi, że choć podobno nauczył

się po polsku, by móc zapoznać się z polską literaturą o Chopinie, zapoznał się z nią bardzo pobieżnie, gdyż prócz książek Karasowskiego, Szulca i paru rozprawek Kleczyńskiego, innych rzeczy przez Polaków o Chopinie pisanych zdaje się nie znać, skoro nie zna najważniejszej i najświetniejszej z nich, odczytu St. Tarnowskiego, choć o istnieniu jego mógł się dowiedzieć zarówno z książki Karasowskiego, jak i z pracy Szulca. Tymczasem istnieje u nas wcale bogata literatura Chopinowska, znakomicie rozjaśniająca zarówno twórczość jak i życie mistrza, tylko, że dla zapoznania się z nią trzeba wertować mozolnie roczniki *Bluszczu*, *Kłosów*, *Tygodnika illustrowanego*, *Tygodnika powszechnego*, *Kroniki rodzinnej*, *Bibljoteki Warszawskiej*, *Ateneum*, *Przeglądu Polskiego*, *Kurjera Warszawskiego* etc. etc. Niestety, Niecks zaniedbał tego uczynić i do tych źródeł nie sięgnął. Nie sięgnął też i do wielu innych, jeżeli chodzi o źródła polskie, a są niemi monografje o współczesnych Chopinowi znakomitych poetach polskich, ich korespondencje, ich życiorysy. W listach Mickiewicza, Słowackiego, Bohd. Zaleskiego, Witwickiego, Odyńca, w życiorysie twórcy *Dziadów*, skreślonym przez Wład. Mickiewicza, wciąż napotyka się przyczynki do życiorysu Chopina, wzmianki i wiadomości o nim. Wszystko to jest dla Niecksa absolutną *terra incognita*, której istnienia nawet nie zdaje się domyślać. To też, gdy chodzi o literaturę chopinowską polską, która bądź co bądź najwięcej przyczyniła się do rozjaśnienia życia i twórczości Chopina, to można o Niecksie powiedzieć, co powiada Mickiewicz o myśliwcu w stosunku do przepastnych krain puszczy litewskiej: «Zna ją ledwie po wierzchu...» Skoro już włożył tyle pracy w dzieło swoje o Chopinie, powinien był przedewszystkiem, nie zadając sobie nawet trudu jeżdżenia wszędzie, «gdzie tylko stopa Chopina ziemi dotknęła», przyjechać do Warszawy, gdzie, jako w rodzinnem mieście Chopina,

najwięcej mógł znaleźć materjałów do monografji o nim: tutaj mieszka rodzina Chopina, z pietyzmem przechowująca mnóstwo pamiątek po nim, tutaj w różnych zbiorach prywatnych, że wymienię tylko zbiory pp. Karola Lilpopa, Aleksandra Polińskiego, Antoniego Jędrzejewicza, Michniewiczów, Adama Müncheimera, Al. Zachorskiego, Bolesława Matuszyńskiego, Kazimierza Leśkiewicza i innych, znajduje się mnóstwo papierów po Chopinie [1]), między innemi jego listów (niedrukowanych), tutaj żyją ludzie, co znali Chopina, jak n. p.: Ign. Krzyżanowski, pani Józefa Kościelska (siostra Marji Wodzińskiej), pani Antonina Hofmann, uczennica Chopina, i tutaj wreszcie żyje tradycja Chopina, której atmosferą odetchnąć przydałoby się biografowi twórcy *Preludjów*. Ponieważ tego uczynić zaniedbał, dzieło jego cierpi na tem bardzo, bardziej nawet, niż to na pozór wydawać się może...

---

[1]) A to samo można powiedzieć i o innych miastach polskich. Mnóstwo papierów i dokumentów, rozjaśniających życie Chopina, nadesłano mi z Krakowa, z Lublina, z Radomia, z Kalisza, z Litwy, a nawet z Petersburga. Wogóle w Królestwie polskiem, w prywatnych zbiorach, po dworach i pałacach wiejskich, znajduje się mnóstwo dokumentów i papierów, pierwszorzędnej doniosłości dla biografa Chopina. To ignorowanie Warszawy przez cudzoziemców (i Niecksa między innemi), gdy chodzi o dokumenty o Chopinie, najcharakterystyczniej odbiło się na pomniku Chopina w paryskim Jardin du Luxembourg, na którym artysta francuski, Jerzy Dubois, nie zwróciwszy się do rodaków Chopina o autentyczne portrety mistrza (a tyle jest ich w Warszawie!) wyobraził go... z bródką hiszpańską, której Chopin nigdy nie nosił.

SŁOWACKI I MATEJKO

«Tajemnicza natura przeczuć» zawsze była przedmiotem szczególnych rozmyślań Słowackiego. Nieraz zastanawiał się nad tem — na co już Hamlet zwrócił uwagę Horacego — że niejedno, co się nie dało uchwycić zmysłami, ani rozumem, on odgadywał przeczuciem. Nie umiał sobie tego objaśnić, ale nie wątpił, że są ludzie, którzy, jak on, rodzą się z takim darem chwilowego jasnowidzenia przyszłości. Gdyby żył dziś, w epoce dramatów Maeterlincka, opartych wyłącznie na przeczuciach i nastrojach, nietylkoby się utwierdził w tem przekonaniu, ale nawet, dzięki swemu *Horsztyńskiemu*, miałby wszelkie prawo uważać się za twórcę tego kierunku w poezji, za którego założyciela wszyscy dziś poczytują autora *Intruza*. Każdy bowiem, kto zna *Horsztyńskiego* i dramaty Maeterlincka, przyznać musi, że w tym naszym «polskim Hamlecie» znajduje się cały szereg scen *nastrojowych* w rodzaju Maeterlincka, tak potężnych i przejmujących *nastrojem*, jak żadna ze scen w *Ślepcach* belgijskiego poety, i że na taką scenę, opartą na przeczuciu, jak ta, gdzie hetman — a raczej jego duch — prosi o szklankę wody, Maeterlinck nie zdobył się nigdy. Cokolwiekbądź, jedno nie ulega zaprzeczeniu, że Słowacki, w chwilach jakiegoś nerwowego i mózgowego podniecenia, miewał wieszcze widzenia niektórych wypadków, które «chwytał

myślą na pół senną», często na kilkanaście i więcej lat przed ich spełnieniem [1]).

Między innemi przeczuł i przepowiedział narodziny wielkiego malarstwa polskiego. Przepowiedział nawet — w liście do Stattlera z r. 1845 — że malarstwo wyjdzie z Krakowa, który mu stanie się kolebką. «A skrzydłem tej ziemi *będzie Kraków*, gdzie ty swego ducha i swoje piętno położysz. Lecz wierz silnie, nie w sztukę, bo to wyrażenie jest ohydną arlekinadą Francuzów, ale wierz, że *każda sztuka jest narzędziem, otrzymanem z łaski Boga i danem duchowi dla finalnego celu, to jest dla spełnienia misji swojej na ziemi*». Czytając ostatnie zdanie, tak pełne mistycznego poglądu na kapłaństwo sztuki, mimowoli myśli się o Matejce, który, malując swoje genialne obrazy, święcie wierzył, że spełnia swoją misję na ziemi, a nigdy, kiedy brał pendzel do ręki, nie zapominał o owym finalnym celu. W tymże liście Juljusza, o kilkanaście wierszy poniżej, znajduje się dokładniejsze określenie, wyjaśniające, jak sobie Słowacki wyobrażał to przyszłe narodowe malarstwo polskie. Będzie to sztuka pełna «wspomnień o dawnej Polsce, tej wschodnio-błyszczącej strony charakteru narodowego, która *musi kiedyś wytrysnąć na wierzch obrazowością, podobną kolorytem do obrazów Pawła z Werony, z równym zgiełkiem osób, z równą wrzawą kolorów*». Żaliż to nie przeczucie Matejki? Czyż słowa te nie są krótką a dosadną charakterystyką obrazów genialnego twórcy *Bitwy pod Grunwaldem*, obrazów, na których «zgiełk osób» i «wrzawa kolorów» przedewszystkiem rzucają się w oczy? A owa «obrazowość, podobna kolorytem do obrazów Pawła z Werony», czyż to nie obrazowość *Hołdu pruskiego* lub *Joanny d'Arc*? Gdzie są polskie obrazy, bardziej kolorytem przypominające płótna Weroneza? Czy możemy się pochlubić drugim malarzem, któremuby z równą słusznością, jak Matejce, można przyznać tytuł polskiego Weroneza?

Jeden jest tylko człowiek, którego «obrazowość» była podobna kolorytem do malowideł Pawła z Werony, a tem samem pokrewna matejkowskiej, człowiek, którego słusznie nazwał naoryginalniejszy z naszych krytyków «Weronezem polskiej poezji»: to Słowacki [1]). Kiedy się np. czyta jego *Beatrix Cenci*, czyż nie ma się wrażenia, jak gdyby się patrzyło na którykolwiek z obrazów Weroneza? A czytając *Króla Ducha*, czyż nie doznaje się uczucia, jak gdyby się stało przed olbrzymiemi malowidłami Matejki? [2]).

Co pewna, że Matejko sam poczuwał się do tej artystycznej *Wahlverwandschaft* ze Słowackim: czuł, że jak zakonnicy nazywają się braćmi w Chrystusie, tak ich możnaby nazwać braćmi w Weronezie. Stąd

[1]) I tak w wierszu p. t. *Uspokojenie*, pisanym już w epoce towianizmu, znajduje się ustęp o warszawskiej kolumnie Zygmunta, ustęp, w którym Słowacki, na kilkanaście lat przed lutym 1861 r., daje wyraźny obraz scen, jakie się w tym czasie miały rozegrać na Placu Zamkowym.

Jakieś smętne, dalekie muzyki chóralne,
Które ja dziś już chwytam myślą na pół senną,
Słysząc ten wiatr i strunę pod wiatrem kamienną...

To samo da się powiedzieć o wierszu Słowackiego p. t. *Paryż*, napisanym w r. 1832, a zawierającym niby proroczą przepowiednię owej fatalnej zimy z r. 1871, gdy stolica Francji, oblegana i bombardowana przez Prusaków, zapłonęła ogniem komuny.

I kiedyś na cię spadnie deszcz płomieni
... A na każdym domie
Kula wyryje straszny wyrok Boga;
Kula te mury przepali, przełomie,
I wielka na cię spadnie kiedyś trwoga,
I większa jeszcze rozpacz, bo to kula wroga.

[1]) Wyrażenie Juljana Klaczki.

[2]) Sam Słowacki nie taił się z tem, że Weroneza, dla jego kolorytu właśnie, przekładał nad innych malarzy. «Ulubiony mój malarz jest Paweł Veronese», czytamy w jego liście z d. 10 grudnia 1831 r.

poszło, że żadnego z poetów polskich, ani Mickiewicza, ani Krasińskiego, ani Ujejskiego, nie wielbił tak, jak Słowackiego, że w żadnym nie rozczytywał się z takiem upodobaniem, jak w utworach Juljusza. Był to jego ulubiony poeta, podobnie jak Dante był ulubionym poetą Michała Anioła. Bujna i kolorystyczna wyobraźnia Słowackiego, którą Klaczko trafnie przyrównał do weneckiej palety, podbijała pokrewną sobie — choć mniej lotną — malarską wyobraźnię twórcy *Batorego pod Pskowem:* gdy czytał dzieła autora *Balladyny,* lubował się w żywym, ba, często jaskrawym kolorycie ich języka, w jego plastyce i poetyczności, a kiedy sobie uprzytomniał sceny z *Króla Ducha,* sceny, których cała poetyczność często polega na ich malarskiem pojęciu, niejednokrotnie musiał się utwierdzać w przekonaniu, że obaj, i on, i Juljusz, podobne obrazy widzieli «oczyma duszy». Bo i Matejko mógł, jak Słowacki, powiedzieć o sobie:

Same jakieś światła
Chodzą po mojej głowie...
Zielone, jasne, *czerwone,* jak na tła
Złote rzucone *przez Wenecjanina*
Świętych postacie.

Ale istniały jeszcze i inne względy, dla których Matejko czuł większy pociąg do Słowackiego, niż do innych poetów. Jednym z nich, a jednym z najważniejszych, było jego niesłychane zamiłowanie do przeszłości polskiej, zamiłowanie, które Słowackiego z pewnością cechowało w nierównie wyższym stopniu, niż Mickiewicza lub Krasińskiego. Ani autor *Grażyny,* ani wieszcz *Przedświtu,* nie widzieli tyle poezji w dziejach swego narodu, ani widzieli ich w tak poetycznem świetle, jak Słowacki. Najlepszy dowód, że żaden z nich, gdy chodziło o tematy, nie czerpał ich z tego niewyczerpanego źródła, którem jest cała przeszłość Polski. Wprawdzie Mickiewicz napisał swoich *Konfederatów*

barskich, ale dramatu tego w danym razie nie można brać w rachubę, choćby dlatego tylko, że go nie znamy w całości, i że z dwóch aktów, które się dochowały, tylko pierwszy jest wspaniały. Powtóre, okoliczności, w jakich został napisany *po francusku* nie mogły nie wpływać ostudzająco, gdy chodzi o psychiczny wpływ na Matejkę. Oprócz tego dramatu (bo o *Jakóbie Jasińskim* chyba można przemilczeć), napisał Mickiewicz tylko *Wallenroda* i *Grażynę,* ale oba rzeczone poematy, zaczerpnięte z zamierzchłych dziejów Litwy, nie są tego rodzaju, ażeby mogły były zapłodnić wyobraźnię Matejki. Zygmunt Krasiński raz tylko, w *Przedświcie,* miał widzenie kilkunastu bohaterów polskich, zresztą w *Irydjonie* temat jest zaczerpnięty z dziejów starożytnego Rzymu, a w przepięknej *Glossie św. Teresy* występuje święta hiszpańska. Tymczasem Słowacki, z wyjątkiem szkockiej *Marji Stuart* i włoskiej *Beatrix Cenci,* wyłącznie polskie tematy brał za osnowę swoich utworów, przyczem, sięgając w naszą przeszłość narodową, miał szczególny dar wnikania w jej tajniki, tak, iż ta przeszłość «w całej ozdobie», z całym korowodem swych różnobarwnych postaci, od legendowych Popielów zaczynając, a na Pułaskim i Wernyhorze kończąc, jak żywa staje przed oczyma czytelnika. Żaden z naszych poetów — aż do czasów Kraszewskiego i Sienkiewicza — nie odtworzył, nie wskrzesił tylu postaci historycznych polskich, co Słowacki, ani ich widział i ukazał w poetyczniejszem świetle, z większą plastyką, z równą świetnością kolorytu, z głębszem odgadnięciem ich charakterów. Czytając jego główne dzieła dramatyczne i epickie, jest się przeniesionym w daną epokę historyczną, oddycha się jej atmosferą, widzi jej ludzi. *Balladyna, Lilla Weneda* i *Krakus* są poetycznym obrazem czasów legendowych, przedhistorycznych, a to samo da się powiedzieć o pierwszych rapsodach Króla Ducha, tak świetnie odtwarzających legendowe postacie króla Popiela, Wandy, Piasta, Rzepichy, Ziemowita, Mie-

czysława i Dąbrówki. Gdzie są poematy czy dramaty, w którychby te wielkie postacie nakreślono świetniej, z większą siłą lub wdziękiem, a pojęto poetyczniej? Gdzie jest ten wieszcz polski, któryby piękniej opisał śmierć Wandy? Gdzie jest poemat, w którymby w poetyczniejszem świetle została ukazaną owa pamiętna chwila, «gdy cudowni goście zaszli do świętej chaty kołodzieja?» Kto nakreślił równie wspaniały obraz, jak ów opis uśpionego państwa i dworu Popiela, zawarty w drugim rapsodzie *Króla Ducha*? Kto piękniej, niż Słowacki, pojął i opisał chrzest Mieczysława i jego zaślubiny z Dąbrówką? A cóż dopiero mówić o rapsodzie, zatytułowanym *Bolesław Śmiały*, gdzie poeta opisuje królewską miłość z mieszczką Krystyną, potem kreśli szereg bizantyjsko-rozwiązłych scen nocnych w wonnych świetlicach księżniczek kijowskich, aż w końcu, po przepysznym obrazie gorszących bachanalij na zamku krakowskim, ukazuje gromiącą postać św. Stanisława, jak wskrzesza Piotrowina. Kto widział *Bolesława Śmiałego* Matejki, temu przy czytaniu rzeczonego rapsodu *Króla Ducha* ciągle ten purpurowy obraz będzie stał na myśli.

Wogóle ma to *Król Duch* do siebie, że w nim Juljuszowe pióro, najczęściej maczane w purpurze, prawie ciągle, od początku do końca poematu, robi wrażenie Matejkowskiego pendzla.

Oto kilka przykładów:

Śród czeladzi
W podziemnych kuchniach gadano, *żem blady,*
Jak miesiąc, gdy się przejrzy w *krwawej* kadzi,
W której pływają gniazdem wężo-gady;
Że *gwiazda złota* jakaś mię prowadzi
(*Purpurowe* tu tłoczącego ślady)
W ciemny kraj, gdzie się wszelka dusza wściekła
Na króla *duchów czerwonych* do piekła.

Oktawa ta, cała ponsowa w kolorze, a wyjęta na chybi trafi, czyż nie odznacza się prawdziwie Matejkowskim kolorytem? Niemniej krwawą jest następna, gdzie król Popiel — niezmiernie podobny do *Iwana Groźnego* Matejki — taki kreśli swój wizerunek:

Przed twarzą moją straszliwą klękano,
Widząc dwa skrzydła hełmu, jak latarnie!
I między niemi w środku zawieszoną
Tę twarz, jak lampę trupią i zieloną.
W powiekach rubin i błysk dziwny gore;
Powieki nożem zdają się rozcięte,
A przez *czerwoną, rubinową* korę,
Patrzy duch, widmo przeszłości przeklęte...

Czyż to nie Matejkowski sposób malowania twarzy ludzkich, pełen tragizmu w wyrazie, a krwi w zaczerwienionych białkach oczu? Podobną uwagę nasuwa i kolorystyczny portret Mścisławy, przy którego czytaniu myśli się o niejednej Matejkowskiej postaci niewieściej, np. o *Kasztelance:*

Cicha, złożeniem rąk *na złotym pasie,*
Świętą się zdaje, jednak myśli pali —
Różami niby je *białemi* pasie,
I niewinnością ust swoich zuchwali.
Alabastr *w jasnym, niebieskim atłasie,*
I dziwnie *na tej gronostajów fali*
Pierś jej świecąca wprawia w obłąkanie...
Niewinność *krzyczy* od niej: precz, szatanie!

Czyż to nie jeden z owych portretów Matejki, na których nie wiadomo, co podziwiać więcej: czy dosadną, a niespokojną i trochę przedramatyzowaną charakterystykę portretowanej osoby, czy kolorystyczną świetność jej kostjumu, namalowaną wprost z bajeczną plastyką? Czyż ten wizerunek Mścisławy, skreślony na bizantyjskiem tle «cudownego w złotach malowania» świetlicy kijowskiego dworu, nie przypomina jaskrawego tła wielu portretów Matejki?

W scenach zbiorowych, opowiedzianych w *Królu Duchu*, także panuje styl Matejkowski zupełnie. Oto np. opis Bolesławowego wjazdu do Kijowa:

W około moja zrycerzona sława
W skrzydłach, gotowa spaść z furją i błyskiem...
Ja sam, bożego pilnujący prawa
Czułem, że miasto-duch drży przed uciskiem.
A więc kazałem, by syn Izasława
Szedł, nim ja w bramy uderzę pociskiem
I to cudowne słońce ludzkiej ręki [1])
Krwią zgaszę własną i wydam na męki.

...I otworzyły się bramiska złote
Cicho, nie mówiąc nic zawiasów krzykiem,
Że gdzieś kaciska czerwoną robotę
Czynią po domach, sznurami i szlykiem.
Jam wszedł, na twarzach widziałem prostotę
I łzy... Padali przed mną wojownikiem;
Koń mój szedł zwolna, i nogę ostrożny
Podnosił, by lud nie deptał nabożny.

Jam go po grzywie głaskał, on wesoły
...On pogłaskany między przyjacioły
Czuł się i ciągle ten swój krok bociani
Stawiał, a często przed siwemi czoły
Uginał grzywy... i oczyma łani
Spłakanej (mówią, że łania łzy toczy)
Często ludowi temu patrzał w oczy.

Jest to obraz, który nietylko przypomina Matejkowskiego *Bolesława Chrobrego w Złotej Bramie*, ale w którym każde słowo robi takie wrażenie, jakby było pociągnięciem pendzla Matejki. A przytem cały obraz jest *skomponowany* zupełnie po matejkowsku: te grupy klęczącego ludu, skupionego około Złotej Bramy, a zwłaszcza ten koń, który zwolna i ostrożnie przechodzi pomiędzy niemi, to jeden z tych pomysłów, z któremi tak często spotykamy się na obrazach krakowskiego mistrza, czy to będzie *Sobieski pod Wiedniem*, czy *Bolesław Chrobry w Złotej Bramie*, czy *Joanna d'Arc*. Do tejże kategorji czysto matejkowskich pomysłów należy i kometa, świecący na ciemnem tle gwiaździstego nieba, a dobrze znany zarówno ze *Stańczyka*, jak i z *Zygmunta i Barbary*. Kiedy się czyta pierwszy rapsod *Króla Ducha*, w którym poeta opisuje ucztę na zamku u okrytego purpurą Popiela, jest się znowu, jakby pod wrażeniem jednego z obrazów Matejki: nietylko cały obraz jest utrzymany w tonie czerwonym (który, jak wiadomo, był ulubionym Matejki), ale się na nim znajduje i złowrogi kometa, którego zresztą w *Królu Duchu* spotyka się często.

[1]) Przedtem tak Słowacki opisuje Kijów:

Aż na błękitach cudownej pogody
Swymi złotymi błysnął słoneczniki
Kijów, matuszka miast, w złotych obręczach
Na głowie, po pas cała w sadów tęczach.

Tu zamek cały *błysnął nakształt huty*
Ognisk czerwienią... A ja tych bladawców,
Zbrodniami bladych, otoczony wieńcem,
Siadłem, trup, jasny pijaka rumieńcem.

I ucztowaliśmy w zamku wygodnie.
Śwityna własne nam służyły misy,
Stągwie, kobierce, czary *i pochodnie*
I krwią cuchnące wonnych ław cyprysy.
Czary nam do rąk podawały zbrodnie...
Widma... *w płaszczach z krwi*, z zielonymi rysy,
Stojące z boku *upiory czerwone*,
Wyraźne... a gdyś spojrzał wprost... zniknione.

A wtem przyleciał giermek zadyszany
I te wyrazy z ust wyrzucił skore:
Panie, ogromny znak jest ukazany!
Na niebie miotła płomienista gore...
Jam zbladł: i kostur wyrwawszy ze ściany,
(Sądząc, że widzę ducha albo zmorę,
Która mi wróżbę nieszczęśliwą szczeka),
Na wskróś przeszyłem pierś tego człowieka.

A sam wybiegłem na ganek odkryty,
Z którego widok szedł po okolicy,
Na drżące wielą gwiazdami błękity,
Poddane jednej, ogromnej gwiaździcy...
Ta, jako wielki miecz z pochew dobyty,
Karbunkuł miała czerwony w głowicy;
A ten się błyskał i mienił na zarzy,
Jak oko w ducha niewidzialnej twarzy.

Podobnych przykładów, jak ten i poprzednie, stwierdzających, w jak wysokim stopniu *Król Duch* przypomina obrazy genialnego twórcy *Stańczyka*, ich styl, ich koloryt, ich nastrój dramatyczny, a nawet ich układ, możnaby przytoczyć mnóstwo. Czego dowodzą one? Oto, że wyobraźnia Matejki, gdy odczytywał rapsody Juljuszowego poematu, szczególnie musiała się lubować w kolorystycznym przepychu tych wspaniałych *obrazów historycznych*, z jakich się składa cały *Król Duch*, i że wielki malarz musiał sobie zdawać sprawę z pokrewieństwa wyobraźni, które go łączyło ze Słowackim. Nie mogło być inaczej; byłaby to psychologiczna niemożliwość.

Lecz nietylko *Król Duch* był tym magnesem, który Matejkę pociągał ku zadumanemu Juljuszowi. Nie trzeba zapominać, a przeciwnie, należy podkreślić ten rys twórczości Słowackiego, że jak są malarze historyczni i rodzajowi, tak on jest najbardziej *historycznym* z naszych poetów, tym, którego tematy historyczne, czerpane prawie wyłącznie z dziejów Polski, nęciły najwięcej. Bo jeśli, jako poeta-kolorysta, jest on «Weronezem polskiej poezji», to jako autor całego szeregu *dramatów historycznych* polskich, jest on niezaprzeczenie i Matejką naszej poezji dramatycznej. Jego dramaty, osnute na tle dziejów XVII i XVIII wieku, są najświetniejszemi dramatami historycznemi, jakiemi się może poszczycić cała literatura polska. Nikt nie stworzył lepszej postaci Jana Kazimierza, jak to uczynił Słowacki w *Mazepie* i *Janie Kazimierzu*, w którym z taką plastyką występują figury Radziejowskiego, Firleja, Koniecpolskiego, Wiśniowieckiego, a nawet i Marji-Ludwiki; nikt nie zdobył się na świetniejsze portrety historyczne głównych bohaterów z epoki trzech rozbiorów, jak to uczynił Słowacki, który w *Wacławie* dał tragiczny wizerunek Szczęsnego Potockiego (tak poetycznego w *Rejtanie* Matejki!), a w *Beniowskim*, *Księdzu Marku* i *Śnie srebrnym Salomei* stworzył całą

galerję postaci dziejowych z czasów konfederacji barskiej, począwszy od O. Marka i Sawy, a skończywszy na wspaniale pojętej postaci Wernyhory, który i Matejkę natchnął do jednego z jego arcydzieł. *Horsztyński* z świetnie skreśloną postacią hetmana litewskiego Kossakowskiego, godnego figurować obok Ponińskiego z *Rejtana* Matejki, także nie stanowi wyjątku pod tym względem: jako portret historyczny jest to figura, nieustępująca szekspirowskim.

Ten historyczny kierunek, któremu Słowacki tylokrotnie hołdował w swych utworach, ci

Zebrzydowscy
I Zborowscy
W *czerwonych* deliach,

pospołu z płochą Marją Stuart, która jest prawdziwszą u Słowackiego, niż u Schillera, i z uroczą Beatrix Cenci, tak spopularyzowaną przez słynny portret Guido Reniego, wszystko to, razem wzięte, sprawiło, że Matejko najwięcej wczytywał się w poezje Juljusza, że one najsilniej przemawiały do jego artystycznej wyobraźni.

Ale był jeszcze inny wzgląd, który sprawiał, że Matejko tak lubił Słowackiego: to mistycyzm autora *Króla Ducha*, mistycyzm, do którego tak wielką skłonnością odznaczał się i umysł genialnego twórcy *Joanny d'Arc*. I pod tym względem byli sobie pokrewni duchem. Pociąg do mistycyzmu, który w końcu zwichnął talent Juljusza, a zeszpecił niejeden obraz Matejki, był także jednym z tych czynników psychicznych, motywujących owo szczególne upodobanie, z jakiem wielki malarz rozczytywał się w rapsodach *Króla Ducha*. Mistyczna doktryna królów-duchów, która w Juljusza wpoiła to dumne przekonanie, że on sam jest ostatniem ogniwem łańcucha, którego pierwszem ogniwem był platoński Her Armeńczyk, doktryna ta, która, jak złota nitka wije się przez wszystkie oktawy *Króla Ducha*, bardzo trafiała do przekonania Matejce, tak dalece, że

podobnie, jak Słowacki, miał chwile pychy, gdzie wierzył, że i on jest takim królem-duchem, że jak w pierwszej połowie bieżącego stulecia «król-duch» wcielił się w Słowackiego, tak obecnie po epoce wielkiej poezji, gdy przyszła kolej na wielkie malarstwo polskie, tenże król-duch wstąpił w jego wątłe ciało. Kiedy się czyta różne przemówienia Matejki, zwłaszcza jego przemówienia z lat ostatnich, nie trudno dojść do powyższego wniosku [1]).

[1]) Stanisław Tarnowski, który i Słowackiego broni od tego zarzutu, że się identyfikował z *Królem Duchem*, stara się także Matejkę oczyścić od podobnego posądzenia. Oto co pisze w tej mierze: «...że piękny rozwój sztuki uważał za symptom czy może środek odrodzenia, jak i to, że malarz widział w sztuce najwyższy w tych latach wyraz narodowego ducha i życia. Ale wyrażenie szczęśliwem nie było i musiało wystawić mówiącego na złe zrozumienie i na oskarżenie o dumę bez miary. Nie wchodząc bowiem w pytanie, czy doktryna «naszego Juljusza» o *Królu Duchu*, czy *Królach Duchach*, jest prawdziwą lub nie, nie można zaprzeczyć, że ludzie mogli pomyśleć: Matejko ma siebie za *Króla Ducha*, za wcielenie samego ducha ojczyzny. Jeżeli zaś, co jest widoczne, widział w sztuce zapowiedź i siłę odrodzenia, jeżeli, co już mniej pewne, wierzył w kolejne wcielenia i następstwa Króla Ducha, to właśnie jemu nie przystało takich rzeczy mówić, dlatego, że był w sztuce pierwszym, że jeżeli jest tym *Królem Duchem* sztuka, to w niej nie może nim być żaden inny, tylko on. Matejko, podług naszego najgłębszego i najszczerszego przekonania, choć się na sobie znał, zarozumiałości i pychy nie miał. Ale wyraził się tak, że ludzie mieli prawo o nią go posądzać, myśleć, iż ma się za dzisiejszą inkarnację *Króla Ducha*, podług teorji Słowackiego; w każdym razie, że się ma za takiego, jak wszyscy najwięksi z naszych zmarłych. Zabrakło mu jasności w myśli, a precyzji w słowach; zabrakło odwagi, że słowa jego mogą być zrozumiane inaczej, niż je sam rozumiał». Szlachetna obrona, ale nieprzekonywająca! Podobna *idée fixe* była bardzo łatwo zrozumiałą u Matejki, uwzględniwszy jego mistyczny sposób myślenia. Trudno też, czytając dosłowny tekst owej mowy przy odbiorze berła, które sam Matejko uważał za «godło królewskości», doszukać się owej niejasności myśli, owego braku precyzji w słowach, któremi prof. St. Tarnowski stara się tłumaczyć Matejkę: myśl, której wyrazem jest cała mowa, została sformułowaną bardzo jasno. A co się tyczy dumy Matejki, jego świadomości siebie, to sam prof. Tarnowski przyznaje, że «opinja» o Matejce była, że miał dumę wielką; przytaczano przykłady i dowody. Raz i drugi, i trzeci, miała ta duma wybuchnąć w słowach gwałtownych, wymownych wyrzutach: «Wy nie wiecie, co to Matejko! Wy kiedyś dopiero poznacie, co we mnie macie...» Słowa Juljuszowego *Króla Ducha*, że «mój duch — ludu jest duchem i głosem», bardzo trafiały do przekonania Matejce. Dał tego niejednokrotnie dowody, czy to, kiedy słał swego *Sobieskiego* papieżowi, czy to, kiedy swoją *Joannę d'Arc* zamierzał podarować Francji. Wszystko to były pomysły, świadczące, jaką wagę Matejko przywiązywał do swych wystąpień, gdy występował imieniem całego narodu. Gdy np. powziął pomysł ofiarowania *Sobieskiego* Leonowi XIII, powiedział wyraźnie, że «obraz swój daje, ale w tej myśli, żeby był od wszystkich, od narodu ofiarowany». Tam — mówił — dokąd z pod Wiednia bieżał goniec z listem królewskim i chorągwią proroka, tam ślijmy obraz, chwilę tę uprzytomniający! Sobieski posyłał chorągiew proroka, on posyła swoje dzieło»... Jeszcze silniejszym argumentem, obalającym szlachetną apologję prof. Tarnowskiego, jest odezwa Matejki *Do narodu*, w sprawie ofiarowania *Joanny d'Arc* Francji, odezwa, którą Matejko zamierzał nawet plakatami na rogach ulic ogłosić. (Zobacz dzieła St. Tarnowskiego o Matejce, str. 330—332).

Rzecz charakterystyczna, że w przemówieniach tych lubił się powoływać na Słowackiego, cytować ustępy z poezji «naszego Juljusza». Zaszczytu tego — o ile wiem — nie dostąpił żaden z poetów: tymczasem autor *Króla Ducha* dostąpił go niejednokrotnie, a zawsze w okolicznościach, gdy Matejce tylko najszczytniejsze myśli mogły się cisnąć do głowy.

Raz, było to w Krakowie w roku 1878, w owym pamiętnym dniu 29 października, po uroczystem nabożeństwie w katedrze na Wawelu, w przepełnionej sali Ratusza; po wysłuchaniu pięknej mowy marszałka Zyblikiewicza, który, otoczony najwybitniejszymi reprezentantami społeczeństwa, ofiarował twórcy *Grunwaldu* berło od narodu, Matejce wypadało odpowiedzieć i podziękować za to «godło królewskości», które mu wrę-

czono przed chwilą. Jakoż odpowiedział, motyw zaś, około którego osnuł swe przemówienie, wielce był dlań charakterystycznym: była nim idea, poczerpnięta z *Króla Ducha* Słowackiego. «Dziś interregnum, mówił między innemi. Dlatego to wy, reprezentanci miasta i narodu, w bezkrólewiu obecnem, jakby na elekcji, ozdabiacie godłem królewskości swego jak go nazywacie mistrza... Jeżeli mamy wierzyć przeczuciom poetów, to chwila ta przypominać musi wizje dziejowe naszego Juljusza. Swego *Króla Ducha* bodaj czy naród mój nie uznaje w sztuce polskiej! Wręczeniem berła dozwalacie mu przeczuwać dziejową przemianę» i t. d.

Innym razem, było to w Warszawie, w resursie kupieckiej, podczas bankietu, wyprawianego na cześć Matejki. Po długim szeregu mów, w których najwybitniejsi przedstawiciele społeczeństwa warszawskiego, zebrani na tym uroczystym obiedzie, podnosili obywatelskie i artystyczne zasługi twórcy *Hołdu pruskiego*, powstał w końcu Matejko, a dziękując za tyle dowodów uznania i uwielbienia, wypowiedział krótką mowę, którą zakończył słowami z *Testamentu* Juljusza:

Może kiedyś, o smętnych losach zadumany,
Mojej biednej ojczyzny, przyzna, kto szlachetny,
Że płaszcz na moim duchu był niewyżebrany,
Lecz świetnościami dawnych moich przodków świetny.

Obie wspomniane mowy mogą służyć za dowód, jak dobrze Matejko znał dzieła Słowackiego, jak się w nie wczytywał pilnie, skoro niektóre ustępy z nich, jak np. ów z *Testamentu*, umiał na pamięć.

Ale istnieje jeszcze jeden dowód, bodaj czy nie wymowniejszy od dwóch poprzednich, stwierdzający, że Matejko nietylko lubował się w «wizjach dziejowych naszego Juljusza», ale się głęboko zastanawiał nad ich treścią, starał się odgadnąć alegoryczne znaczenie niektórych z nich, przyczem niejednokrotnie wyrażał poglądy, zadziwiające swą trafnością i przenikliwością.

Znany jest np. jego komentarz historjozoficzny do *Balladyny*, nad którą sobie tylu krytyków łamało głowy — napróżno. Oto, co w tej sprawie pisze zasłużony biograf, a zarazem przyjaciel Matejki [1]): «Malując Żółkiewskiego, wykładał mi raz swój sposób rozumienia *Balladyny* Słowackiego, a komentarz, choć może niezupełnie przystający do dzieła, był bardzo uderzający i oryginalny. Podług niego, *Balladyna* była alegorją historji polskiej. Dwie siostry, chowane razem w chacie, to początki niewykształconego jeszcze społeczeństwa; dziewczyna, olśniona blaskiem rycerza i pożądająca jego dostatków dla siebie, to wyrabiające się z tego społeczeństwa rycerstwo, szlachta. Zabójstwo Aliny wyobrażałoby ucisk ludu wiejskiego; zmowy Balladyny z Kostrynem — późniejsze konszachty z zagranicznymi panami; korona na głowie Grabca — przypadkowość i zbyt częsta nietrafność elekcji; Filon, zakochany sentymentalnie w umarłej Alinie — symbol czczych i niedołężnych sympatyj dla ludu, które nieraz odzywały się skargą i narzekaniem, a nic nigdy zrobić i poradzić nie mogły. Sąd, jaki Balladyna wydaje na siebie samą, to ten rachunek sumienia i postanowienie poprawy, jakich wyrazem był Sejm czteroletni z ustawą majową, a piorun, który potem zabija Balladynę, to drugi i trzeci rozbiór».

Komentarz ten, poddany analizie krytycznej, może nasuwać wiele argumentów przeciw takiemu tłumaczeniu poematu, ale zaprzeczyć się nie da, że jest bystry, ciekawy, a nadewszystko świadczy o tem, iż «wizje dziejowe naszego Juljusza» miały swego szczerego wielbiciela w genialnym twórcy *Kazania Skargi*.

---

[1]) St. Tarnowski, *Matejko*, str. 154. Obszerniej o tym Matejkowskim komentarzu do *Balladyny* pisze St. Tarnowski w swoich *Dwóch odczytach*, mianych w Poznaniu o *Balladynie* i *Lilli Wenedzie* Słowackiego.

ANTONI MAŁECKI O SŁOWACKIM I JEGO BIOGRAFACH

Kiedy przed 20-tu laty wyszła moja monografja o Słowackim, nie omieszkałem jednego z pierwszych zbroszurowanych jej egzemplarzy przesłać wraz ze stosownym listem profesorowi Antoniemu Małeckiemu, na co po upływie paru tygodni otrzymałem od niego ze Lwowa obszerny dwuarkuszowy list, datowany 22 kwietnia 1897 roku, a donoszący mi przedewszystkiem, że «przez całe święta, o ile czasu i uwagi mojej nie absorbowały szynki i babki, nie odkładałem z rąk dzieła Pańskiego».

Oto niektóre zasadnicze ustępy z tego wielce zaszczytnego dla mnie listu:

Spór... w kilku miejscach, gdzie się ze mną trochę, a czasem (jak sam piszesz) i ostro sprzeczasz, dotyczy tylko przypuszczeń, a «in dubiis libertas». Niejedno, co dla dziś piszącego autora już nie jest dubium, było niem przed 30-tu laty. A i «in dubietatibus» dzisiejszych nawet możesz Pan nieraz mieć rację. «Die ersten Gedanken sind nicht immer die besten: bisweilen sind es die zweiten, ja selbst die dritten». Przecież od pretensji nieomylności jestem i byłem zawsze daleki. Niejeden wywód w Pańskiem dziele co do czasu powstania pewnych utworów będzie miał wszelką słuszność za sobą i ja go przyjmę, choć nie odemnie pochodzi.

Ale kiedy już o tem mówimy, to jednak nadmienić tu muszę, że co do powodu wyjazdu Słowackiego z Warszawy w początkach marca 1831 r. nie jestem przekonany argumentami Tretiaka, które i Pan poczytałeś za słuszne.

Wasze powody tej ucieczki są tak wątłe, że sami tego nie powiadacie, żeby były decydujące. A co mówi Tretiak, że właśnie «erst recht» w t e d y była konieczność nie wyjeżdżania i wstąpienia w szeregi, to jest to święta prawda, ale tylko dla dziewięciu między dziesięcioma, a nie dla wszystkich dziesięciu.

Dla jednego między nimi, a tym jednym właśnie Słowacki, mogła być i z pewnością była inna logika. Jego logika w życiu była przecież zawsze inna, niż ludzi zwyczajnych (czego tu bynajmniej nie wypowiadam na jego «habet», a na »debet» reszty śmiertelników). I on to czuł, że teraz niema już innej rady. Trzeba wziąć na ramię karabin, dźwigać ciężki tornister, iść w «tłum» żołdactwa, zapełniającego bataljon, odbywać nieraz nocleg na gołej przemokłej ziemi, przymierać głodem lub spożywać pokarm, który go nieomylnie przyprawi o chorobę, być szturchanym przez jakiego draba-feldfebla, wyśmiewanym (za papinkowatość) przez wiarusów, podnieconych gorzałką, etc., a w końcu może przypłacić to wszystko kalectwem, albo w razie pojmania niewolą i Sybirem... Brrr! Takiby miał być mój koniec?!...

Jak Pan widzisz, ja go tu nie pomawiam o tchórzostwo przed śmiercią. Na śmierć doraźną byłby może się zresalwował. Ale tamto? Na tamto wszystko się wystawić «c'était plus fort que lui!» A ponieważ trzeba było koniecznie to uczynić, albo chyba ujść z oczu ludzi, zniknąć, więc... zniknął.

Przecież uczynił to samo i drugi raz, po wyjściu trzeciej części *Dziadów*. I wtedy stanął mu przed oczyma dylemmat: albo pojedynek, albo wstyd bezkarnie połkniętej pigułki. Pojedynek wybił mu z głowy Skibicki, którego, myślę, że niewiele to słów kosztowało, żeby go przekonać, iż lepiej będzie dać pokój pojedynkowi. Więc pozostała na planie druga alternatywa: wstyd, albo... chyba ujść ludziom z oczu. «Und das war ihm schon geläufig». Więc drapnął do Genewy.

Sposób, w jaki tu Małecki tłumaczy wyjazd Słowackiego z Warszawy obawą przed trudami wojennemi w wojsku, jest bardzo przekonywający, ale niemniej trafnym jest argument prof. Tarnowskiego (w recenzji o mojej książce o Słowackim), że «do służby wojskowej za słaby, za wątły, mógł był przydać się w jakiej kancelarji, albo w jakim szpitalu, a nie bawić się

przyjemnie w Dreznie i w listach żalić się przed matką, że «zdaje mu się, jak żeby był uciekł».

Po obszernym wstępie, w którym — czyniąc zadość memu życzeniu — wypowiedział swe zdanie o dziele, o jego stronie naukowej i literackiej, tak pisze Małecki w dalszym ciągu:

Ważniejszem jest pytanie: jak Słowacki wyszedł z tej nowej swej biografji? Jako poeta, świetnie, może nawet świetniej, niż na to zasługuje. Jako człowiek, zdaje mi się gorzej, niż na to zasłużył. Ja zupełnie zgadzam się na to, co Pan piszesz w przedmowie, t. j. jak traktować należy swych bohaterów biografji, kiedy się mówi o nich, jako o ludziach, o ich charakterze, wartości osobistej, etc. Nigdy też nie byłem wielbicielem Słowackiego pod tym względem. Mam przekonanie, że gdybym się był z nim znał, gdybym był żył w jego otoczeniu, w pobliżu, np. na emigracji, to do przyjaciół ani on mnie, ani ja jego bym nie zaliczał. Nie byłbym był dla niego ani Ropelewskim, ani Januszkiewiczem, ani Koźmianem; ale byłby to człowiek bardzo daleki mego serca i mego poważania, i nawet sympatji. Był to bowiem człek społecznie wykolejony, sam nie pojmujący, do jakiej sfery należy i czego chce; mało powiedzieć zarozumiały (ostatecznie, ilu jest ludzi między nami niezarozumiałych? Legio sum), ale widzący w sobie jakiegoś bożka, któremu każda wyższość literacka zawadzała i pozbawiała go snu.

Co się tyczy jego dziwnej roli w stosunku do pani Bobrowej, to zdanie swoje w tej kwestji sformułował Małecki w następujący sposób:

Cała ta afera miłosna z Bobrową stanowi sama przez się w życiu tego poety (nie mówię tu o biografji, ale w przedmiotowem jego życiu) partję, o której najlepiej byłoby powiedzieć: «Schwamm drüber!»

Ja sobie wyobrażam cały ten w życiu niemądrego Julka «passus» tak: Zadurzył się w Bobrowej. Po jej wyjeździe do Frankfurtu (czego ona szukała we Frankfurcie, byłaby wdzięczniejsza materja do domysłów, niż wszystko inne, lecz mniejsza o to), brakło mu jej, tęsknił, rady sobie dać nie mógł. Przebył niemiłe przejście z Mickiewiczystami; «Beniowskiego» wyrzucił z siebie, dał go do druku, zmęczył się nad korektą, zapragnął wypoczynku, rekreacji; więc dokończenie korekty i dalszy koło «Beniowskiego» zachód zdaje na Niedźwieckiego, a sam pędzi za panią Bobrową. Po co? Juści po nic szczytnego, ale z pewnością sam sobie z tego, co czyni, i co będzie, sprawy nie zdawał. Zabiera ze sobą «Cenci», bo może nadarzy się pora pochwalenia się tym nowym płodem przed kochaną osobą, ale to i wszystko.

A Pan z tego wytworzyłeś rzecz, która może ma jakie podobieństwo do rzeczywistości, ale równie dobrze może i nie mieć wcale. Cały ten epizod tak wygląda, jak gdyby Słowacki jechał do Frankfurtu z całą premedytacją być tam kusicielem-szatanem, za pomocą takich sztuczek, jak owa «Cenci», mająca sprawić taki skutek, co historja Lancelotta dla Franceski z Rimini. A na dobitek posyła jeszcze perjodyczne bulletyny drugiemu łobuzowi w Paryżu z raportami, jak rzeczy idą, i odbiera od niego zachęcenia «d'oser et de tout oser»...

Gdym w kilka lat potem przesłał Małeckiemu egzemplarz pierwszego tomu mej pracy o Chopinie, otrzymałem od niego obszerny list ze Lwowa z datą 7 marca 1904 r., a w liście tym z powodu porównania Słowackiego z Chopinem, tudzież z powodu wrzawy koło książki prof. Tretiaka o Słowackim, znalazł się następujący charakterystyczny ustęp:

Przeprowadzona paralela między Chopinem a Słowackim widzi mi się dziwnie trafną. Bardzo oni do siebie podobni, choć jako człowiek, syn, brat, członek społeczeństwa i t. d., zdaje mi się Chopin szlachetniejszą indywidualnością, niżeli Julek, już w domu zepsuty przez matkę, jedynaczek, pozbawiony kierującej ręki ojca i wytrawnej męskiej kontroli nad sobą.

Zabawne są te ujadania na Tretiaka za jego książkę o Słowackim. Tretiak niepotrzebnie takie silne, a raczej ostre barwy nałożył na jego charakterystykę. Ale w gruncie wiele racji po jego stronie.

Powyższe objektywne opinje Małeckiego, jako pierwszego i tyle zasłużonego monografisty Juljusza, nie będą, sądzę, obojętnemi dla tych wszystkich, których tęskna postać twórcy *Króla Ducha* nigdy urokiem swym pociągać nie przestanie. A takich, zwłaszcza między historykami literatury, jest i zawsze będzie legjon!

W SETNĄ ROCZNICĘ URODZIN CHOPINA

Na dzień 22 lutego 1910 r. przypada setna rocznica urodzin Chopina, uroczyście obchodzona nietylko w jego kraju ojczystym, ale i w świecie całym, na obu półkulach. Gdzie tylko znajdują się ludzie cywilizowani i muzykalni, czy to w Europie, czy w Ameryce, wszędzie odbywały się mniej lub więcej świetne obchody szopenowskie, w formie koncertów, odczytów, wszędzie pojawiło się mnóstwo wydawnictw i prac, sławiących genjusz Chopina. Że ten rok nigdzie nie był tak szopenowskim i jubileuszowym, jak w Polsce, na całej przestrzeni dawnej Rzeczypospolitej, to znowu nie może wydać się dziwnem, zważywszy, że nikt nie może być tak dumnym z Chopina, nikt niema prawa szczycić się nim w tym stopniu, jak Polacy, którzy go wydali. Z drugiej strony nie ulega wątpliwości, że dla Polski miał jubileusz ten całkiem wyjątkowe znaczenie, nawet znaczenie polityczne, z czego też sobie u nas doskonale zdawano sprawę. «Piękny pietyzm każdego narodu — pisał na początku tego roku Przybyszewski — do którego genjusz należy, każe mu obchodzić i rocznicę jego śmierci i urodzin, by przez genjusz, który wydał, wykazać poniekąd żywotność swoją i potęgę, zrobić obrachunki z własnemi siłami i ich zasobem, spojrzeć wstecz na drogę, którą dusza narodu przebyła i spojrzeć naprzód w klin świata, jakie dusza genjusza przed się w mrok ciemnej przyszłości rzuciła, a które wykazuje nieomylną drogę, jaką dusza narodu ma po-

stępować, by z drogi nie zbłądzić. Bo dusza genjusza jest syntezą duszy całego narodu, a zarazem filtrem, przez który do wielkiej, przez Boga pomazanej duszy jednostki przedostaje się li tylko to, co w narodzie jest najszlachetniejszem, najczystszem, niezmożonem i niespożytem. I takoż jest dusza genjusza chwałą i wniebowstąpieniem duszy narodu, a tem więcej narodu bez bytu politycznego, bo wtedy staje się ona jedyną rękojmią, że naród, który się w takiej duszy objawił, zginąć nie może, przeciwnie w duszy genjusza ma i czerpie przeświadczenie niespożytych swych sił i zwycięskiej przyszłości. Sto lat mija, odkąd Chopin nam się narodził. Mam wrażenie, że nie doceniamy ważności tej chwili, że nie dość godnie i uroczyście obchodzimy to wielkie święto, w którem dano nam pokazać całej Europie, jak wielka jest nasza potęga w panowaniu ducha. Bo jeżeli nam chodzi o chwałę i wiekopomność naszego narodu wobec Europy, a chodzi nam o to bardzo, to zaiste nikomu z synów ziem polskich tyle nie zawdzięczamy, co właśnie Chopinowi. Przecież się chyba łudzić nie można: Mickiewicza w Europie zna zaledwie paru filologów, *Pana Tadeusza* czytają z tym samym trudem, z jakim nad Mahabaratą, albo innym jakimś eposem hinduskim ślęczą; przyswojenie nieśmiertelnego dla nas tworu Słowackiego obcemu językowi spełzło na niczem, a smutne próby wystawienia jego dramatów na scenie francuskiej tylko srom wielkiemu artyście przyniosły. Wobec Europy tylko Chopinem poszczycić się możemy. I rzeczywiście niema dziś zakątka w całej Europie, gdzieby nie piano pochwalnych dytyrambów na cześć Chopina i po raz pierwszy od niepamiętnych czasów ta słynna «cała Europa», ta z całkiem przymkniętemi, albo co najwyżej szyderczo przymrużonemi oczyma, gdy o nas chodziło, ogląda się na nas, ale tym razem z całą powagą i szacunkiem, a w swem kornem kajaniu się przed genjuszem Chopina, składa hołd duszy całego narodu. Dla narodu bez bytu politycznego

i odsiecz Wiednia i konstytucja Trzeciego maja, a nawet i Grunwald, to relikwje, które raz po raz pokazuje się skruszonemu ludowi, by przywdział zgrzebną koszulę, posypał głowę popiołem i kajał się za grzechy przodków, co mu królewską przeszłość zaprzepaścili, relikwje, które słusznie Europie pokazujemy, by wspólne długi się nie przedawniły, ale tu w obchodzie setnej rocznicy urodzin Chopina święto narodowe stało się świętem całej ucywilizowanej ludzkości... I otóż nam Polakom przypadł w zaszczytnym udziale dumny i dostojny obowiązek, by święcić setną rocznicę urodzin tego, który, jak nikt inny tak chlubnie nie zapisał naszego imienia na kartach dziejów ducha całej ludzkości: Fryderyka Chopina. I obchód tego roku, w którym nam przed stu laty Chopin się narodził, to już nie pietyzm dla genjusza, to już więcej niż cześć mu przynależna; to wielkie święto narodowe zwycięskiego triumfu, niepokonalnej mocy ducha narodu. Nigdy tak silnie i tak gorąco nie żył Chopin, jak teraz żyje, nigdy chwała jego i potęga taką mocą nie rozbrzmiewałajak teraz i nigdy może nie mieliśmy powodu do tyle dumy i pewnej odwagi na przyszłość, jak teraz, gdy kornie świat cały chyli się przed tem, co w Chopinie było i jest wiecznem, bo tę wieczność dała mu dusza narodu, w Chopinie dokonała widomej inkarnacji, a teraz z spokojnym, królewskim majestatem może na Chopina wskazać: Patrzcie, tom ja».

«Chopin — jak to trafnie określił Czesław Jankowski — nie «wstrzymał słońca i nie ruszył ziemi», jak inny wielki nasz rodak. Chopin tylko wzruszył do głębi duszę ludzką, poddając najczulszym, najsubtelniejszym jej strunom: brzmienia muzyczne stokroć od słów pełniejsze i wyszukańsze. I dopóki dusza ludzka czuć będzie, dopóty będzie z pokolenia w pokolenie odczuwała muzykę Chopina. Chwilami nawet nie znajdzie się zgoła doskonalszego wyrazu dla duszy ludzkiej nad muzykę ową, przyniesioną na świat jakby mes-

sjanicznie przez wątłe, niepozorne dziecko, urodzone sto lat temu w Żelazowej Woli». To też — jak się wyraził w swym artykule jubileuszowym Henryk Opieński — jeżeli składając hołd pamięci filozofów, poetów, wojowników, czcimy czyny myśli, ducha, bohaterstwa, to, czcząc pamięć Chopina, składamy hołd potędze u c z u c i a. Z uczucia bowiem, z gorącego, płomiennego uczucia, które jest tą wibracją duszy, tęskniącej za nieuchwytnym światem p i ę k n a, płynęło natchnienie Chopina. Przetopione w zrozumiałą dla całego świata mowę tonów, od lat kilkudziesięciu budzi w tysiącach tysięcy dusz najczystsze, najszlachetniejsze pierwiastki tej właśnie tęsknoty ku pięknu, która jest koniecznością duchowego życia ludzkości. To ogólno-ludzkie znaczenie sztuki Chopina ma dla nas tę jeszcze droższą wartość, że wyrosła ona z pnia naszej narodowej muzyki, że ta powszechnie zrozumiała spowiedź uczucia, jaką przemawia do obcych nam ludzi, będąc zupełnie indywidualną, posiada przytem wybitnie oryginalną p o l s k ą cechę. Chopin był w najrozleglejszem znaczeniu tego wyrazu krzewicielem naszej sztuki na obczyźnie, dając genjuszem swym najzaszczytniejsze polskiej kulturze świadectwo». A przytem genjusz Chopina — jak to słusznie zauważył Stanisław Niewiadomski — ma jedną swoją osobliwą właściwość: nietylko w podziw nas wprowadza, nietylko zachwyt wywołuje, nietylko nerwy upaja, nietylko wyobraźnię opanowuje, nietylko wstrząsa słuchaczem, lecz jeszcze nakazuje się k o c h a ć. Chopina istotnie wszyscy szczerze i gorąco kochamy! I nie jest to bynajmniej wdzięczność tylko, do jakiej obowiązuje nas genjusz, będący chlubą narodu, lecz raczej przywiązanie do kogoś bardzo bliskiego, z kim wzajemnie rozumiemy się doskonale, nie wdając się nigdy w obłudę, nigdy w stosunek konwencjonalny. Czcimy go jak bóstwo, lecz mamy do niego niezmierną ufność, jakiej nie wzbudzają w nas inne wielkie kompozycje, których piękność wysoką uznajemy zresztą

w całej pełni. Wszak to bóstwo tak świetlane, przemawia do nas zawsze z prostotą, zdaje się czuć zupełnie jednakowo z nami, i chociaż wypowiada rzeczy głębokie, to jednak czyni to tak jasno i zrozumiale! Ono poprostu rękę nam podaje, ile razy wznosi się na wyżyny; nie wiemy nawet kiedy i jak porywa nas tajemna ta siła i prowadzi najgórniejszemi szlaki. W tem leży przystępność muzyki Chopina. Oryginalny, śmiały, wysoce świadomy swych środków, uczuciowy i działający bezpośrednio z niepospolitą siłą, przystępny i wytworny równocześnie, arystokrata i rewolucjanista, podbił Chopin świat cały i wpłynął w wysokim stopniu na rozwój muzyki. Chopin nie stworzył szkoły, bo naśladowcy jego stylu zbyt łatwo popadali w kopjowanie jego myśli, ale stał się czynnikiem pierwszorzędnej siły w kształtowaniu się twórczości wielu najwybitniejszych kompozytorów XIX stulecia niemieckich, skandynawskich, rosyjskich i francuskich. Muzyka jego jednakże i bez tego żyje i trwa w całej swej pierwotnej świeżości i może silniej nawet, niż kiedykolwiek, stanęła obecnie jak przedmiot podziwu wszystkich tych nawet, którym z początku jej odrębny narodowy charakter, lub jej rasowe właściwości nie przemawiały do przekonania».

Poznano się też i na wielkości Chopina, oceniono ten pierwiastek tytaniczny, cechujący tyle jego dzieł, a którego współcześni, nie obejmujący olbrzymich horyzontów twórczości mistrza, nie uświadamiali sobie dostatecznie. Ta świadomość obudziła się dopiero w ostatnich czasach. *Die Epoche des kleinen Chopin ist vorüber, jetzt kommt die Epoche des Allergrössten*, zwykł był mawiać Hans v. Bülow. Z chwilą zrozumienia siły rzutu genjusza, rzutu, którego granic nie dostrzeże ten, co go zrozumiał, rozpoczął się moment poznania wielkości Chopina. «Szeregi generacji — jak pięknie powiada Franciszek Bylicki — pragnące dobra i piękna, biegnące w rozmaitych kierunkach za poszu-

kiwaniem dobra i piękna, bolejące nad zawodami, przystają i wsłuchują się w dobrze znane dźwięki tego genjusza i odkrywają nowe skarby, których powierzchnię od dawna deptały. Idą głębiej dzięki pragnieniom i doświadczeniu, i oto nowe zdobycze, Chopin *redivivus*, Chopin wielki! Chopin, to tyleż razy nowy styl pragnącej i czującej ludzkości. W walce nowych pojęć, kiedy zdają się walić w gruzy stare wyobrażenia, kiedy największe nieraz powagi niemal, że podeptane, wychyla się z poza kurzu kataklizmu cudowna postać poety tonów, opromieniona nowemi światłami. Tego współcześni a nawet późniejsi, ani przeczuć ani przewidzieć nie mogli. Romantyzm, który uszczęśliwił ludzkość tylu arcydziełami, romantyzm o potężnym rozmachu skrzydeł, wzbił się wysoko, ale nie dość było tych wyżyn potomnym, więc praca nad «byle wyżej». Cokolwiek o tych wysiłkach powiemy w przyszłości, czy te wzloty się udadzą, to jedno pozostanie pewnem, że szczytne zadanie muzyki i podniesienie jej do wielkiej godności i znaczenia w kulturze powszechnej, jest tego ruchu niezaprzeczoną zasługą. Również zasługą jest wyprowadzenie Chopina na naczelne miejsce najszerszej widowni. Zniknął łzawy, miękki i tęskny Chopin bezpowrotnie. Ukazał się ten Chopin, którego przepowiedział Robert Schumann».

Jednocześnie wzrosło i dojrzało uświadomienie narodowego pierwiastku w muzyce Chopina, jej wybitnie narodowego charakteru. Dzięki niesłychanemu rozwojowi literatury szopenowskiej, nietylko u nas, ale i zagranicą, głównie w Niemczech, gdy nadeszła setna rocznica urodzin mistrza, naród, który go wydał, wiedział już, do jakiego stopnia Chopin był jego wytworem, jak w genjalnym twórcy *Polonezów* odbiła się kultura i dusza narodu. O tej d u s z y n a r o d u, której tak wspaniałym i niezrównanym wyrazem są dzieła Chopina, pojawił się niedawno znakomity artykuł St.

Pieńkowskiego, gdzie, obok całego szeregu niepospolitych spostrzeżeń ogólnej natury, czytamy o Chopinie, co następuje:

«To co się nie wyraża mową, a czem się mowa wyraża... to, co nie myśli myślą, a czem myśl myśli... to, co nie widzi okiem, a czem oko widzi... to, co nie słyszy uchem, a czem ucho słyszy... to, co nie oddycha tchnieniem, a czem tchnienie oddycha...» Głęboko, popod warstwami kultur i pod namułem cywilizacji, pod zasłonami mowy naszej, alegorycznej tak i symbolicznej, pod światłami rozumu i jego cieniami, pod różnobarwną uczuć grą i namiętności, głęboko w instynktach, w samem ciele naszem fizycznem, w samym rdzeniu istoty naszej jest zatajone to, co łkaniem z najsuchszego gardła papugi uczonej wydobyć można, to, co Chopin dobywa z nas i czem włada nad nami — i nietylko nad nami — to «co się nie wyraża mową», a co ja słowem zuchwałem, lecz tak dziś dla nas koniecznem, chcę tu omówić, wskazać bodaj zdaleka, chociażbym mówić miał nieudolnie, to jest: d u s z a n a r o d u. Moja dusza i twoja i nawet dusza tego, który chce się jej pozbyć, majakami rozumu obłąkany i wirującym znużony chaosem kultury, a sam sobie nie wierzący. A trzeba wierzyć sobie, trzeba w siebie uwierzyć. Trzeba zharmonizować siebie od dołu do góry według kilku wielkich i pewnych motywów najprostszych. Ciało i duszę, duszę i rozum, rozum i ducha, to, co się wzięło i co się ma dać, zharmonizować i uwierzyć w siebie. Inaczej nie można tworzyć. A naród nie tem jest, co przyjąć może, a l e t e m, c o t w o r z y. W pewnych granicach przyjąć wszyscy wszystko mogą. Nie mówię już o dziełach rozumu, o nauce, chociaż i te w pewnym stopniu także zależne są od ducha rasy i narodu. Ale filozofję, moralność, sztukę, nawet pewne stany ducha, nawet uczucia pewne i wzruszenia przyjmować można i pojmować... lecz czy to wszystko? Czy tu poczyna się i kończy fala życia, jedna, druga i setna, fala za falą? Gdzie one rodzą się, gdzie pierwsze ich, najświętsze drgnięcie? Gdzie tkwią ukryte te siły pierwsze, gdzie jest to pulsujące, tajemnicze życia łono? Nie jest-że niem w ludzkości naród, a w narodzie jednostka? Jednostka, która naród stwarza i przetwarza, i naród, który stwarza jednostkę? W pewnych granicach przyjąć wszyscy wszystko mogą. Niemcy przyjęli nawet Chopina. Ze zwykłą sobie powagą, ciężkością i pedanterją grają go i wygrywają i chociaż Boże mnie chroń od Niemca grającego Chopina, to jednak coś tam w te dusze przenika z jego ognia, pewnie go tam na swój sposób rozumieją, pewno on ich jakoś wzrusza. Ale czy Niemcy mogliby wydać Chopina? Czy można pomyśleć Chopina bez Polski? Czy możliwy jest *Mazurek Cis-moll* bez chłopa polskiego, bez jego chaty, bez jego karczmy, bez jego roli, bez jego doli? Ten mazurek, z którego okrzyk bólu i beztroski szaleńczej pod niebo sięga, za łeb chwyta i o ziem ciska i dyszy parną roli wilgocią, i ciszą nieba, które tam, w górze powolnym ruchem gwiazd czas znaczy z wieczności w wieczność obojętnie ponad wszystkiem idący. Czy możliwe są *Polonezy* bez szlachty naszej, bez dworu szlacheckiego, bez magnackiego pałacu, bez biesiad hucznych, kuligów, zajazdów, bez tego właśnie temperamentu, bez całej tej rzeki dziejów naszych razem z jej panią nawet, z głupstwami, podłościami i upadkami, bez tego spadku strasznego, bez tego porogu na progu wieku dziewiętnastego i bez tej w tym wieku przepaści? Któż zdoła sobie pomyśleć *Poloneza As-dur* bez husarji i bez tego wszystkiego, co ją stworzyło, i bez tej pobudki bojowej tak słodkiej i tęsknej, która myśliwski w sobie róg łączy, psy nawołujący, i modlitwę kościelną? Czyj okrzyk zgrozy, zwierzęcy krzyk matki, której dziecko mordują, czyja rozpacz i szukanie ratunku, czyja — w obłędzie bólu — modlitwa dziecinna, bosa i naga, a potem czyj — pomimo wszystko — męski akord skupienia się i mocy, i twardy rozkaz życia i upór życia w ostatnich tonach, jak to jest w *Scherzu H-mol* wyrażone, czyjeż to wszystko mogłoby być, poprzez wszystkie narody i wieki, jeśli nie polskie? Jaki młody bóg, jeśli nie bóg Polski żywej, mógłby takie światy stwarzać i rozkazywać tak, jakby na skale samotnej stał pośród morza bezmiarów nagi, o oczach stalowych, zwycięski, nawet w cierpieniu swojem radosny i arpedżiami gwiazd sypał w mroczne przestworza, jak to w preludjum jest dwudziestem czwartem? Gdzież wszystkie preludja, etiudy, ballady, nokturny, sonaty mogłyby się jeśli nie w Polsce i przez Polskę narodzić? Teraz zrozumcie i nie algebrą myśli, lecz jej arytmetyką zrozumcie: jeżeli Chopin jest jednym z władców i kształcicieli życia na ziemi, bo narzuca się on duszom ludzkim i urabia je na obraz swój i podobieństwo, to znaczy, że w nim skupiona cała Polska, jak była i jest, od chłopa do króla, władcą jest i kształcicielem życia. Albowiem myśmy Chopina wydali. Wydali to znaczy (arytmetycznie): myśmy go poprzez całe dzieje swoje wywojowali, wycierpieli, wyradowali, wytańczyli, wyhulali, wypolowali, wyśpiewali, wypłakali, wyśmiali, wylękali, wydumali, wymarzyli, wykochali, wyniańczyli, wymodlili... i ktoby tu zechciał litanję tę doprowadzić aż do parodji, pierwszy mu szczerym śmiechem odpowiem, ale też natychmiast odeślę

go do niejednego pasażu chopinowskiego. Niech go rozłoży i czy nie znajdzie w nim prostego zawodzenia dziewuchy polskiej, «oj dana, dana», które ujęte ręką genjusza wstrząsa dziś każdą duszą, która czuć i kochać zdolna! A gdzież takie «oj, dana, dana» znajdziecie? Z pośród nieskończonej ilości kombinacyj matematycznych świata, jedna tylko jedyna ta, która się na naród nasz i jego dzieje złożyła, ze wszystkiem absolutnie co jest w nich «dobrego» i «złego», ta tylko jedna wydać mogła Chopina, J. Kochanowskiego i Mickiewicza, i Słowackiego, i Matejkę, i Wyspiańskiego, i Malczewskiego, i wszystkich z pośród nas, którzy cokolwiek tworzą i tworzyć będą i czemkolwiek zaważą na szalach życia dalekiego. Chłop nasz, który niegdyś musiał ból śpiewem junackim zagłuszyć i stworzył pierwsze tony mazurka, praojcem jest Chopina. Dziewka, która z tęsknoty zawyła, jest jego pramatką. Pan, który pychą nadęty pod boki się wziął i chłopa nękał, już w piersi swej zaród miał przyszłego genjusza. I tak wszędzie, i tak zawsze, jak to w pierwszych rapsodach *Króla Ducha* jest mocno i jasno powiedziane, nawet przez błędy i zbrodnie rodził się, tworzył, rósł i wyszczytniał się duch narodu.

Ten *par excellence* narodowy charakter muzyki Chopina, na który dawniej i w jego kraju rodzinnym, i na obczyźnie nie zwracano dostatecznej uwagi — choć nań już wskazywał Schumann — przestał być nareszcie, ale dopiero w sto lat po urodzeniu się artysty, tajemniczą księgą o siedmiu pieczęciach. To, co zrozumiano u nas, zrozumiano i zagranicą, a zrozumiano nietylko w muzykalnych Niemczech, ale zrozumiano i we Francji, tak dalece, że pomimo francuskiego nazwiska Chopina i tradycji o jego stałym pobycie w Paryżu, dziś niema już wykształconego Francuza, któryby jeszcze powątpiewał o narodowości twórcy *Preludjów*. Już go tam nikt szanujący się nie myśli anektować. A zdobycz to dla nas nielada, dla nas, o których świat wie tak mało, a zapomina tak często! Otóż Chopin, wciąż mu przypomina o nas, a nietylko przypomina, ale mu nawet każe interesować się narodem, co wydał takiego kompozytora, taką muzykę. Jest to wielką zasługą Chopina, że — jak Sienkiewicz swojemi powieściami hi-

storycznemi — Polskę wprowadził do Europy, że jej ducha wciąż zaszczepia w duszach wszystkich narodów kulturalnych świata, nawet w duszach naszych wrogów. To też ma słuszność Cz. Jankowski, gdy pisze o Chopinie, że jest on «jedynym z pośród nas, który niejako wprowadził Polskę w świat międzynarodowy najwyższego artyzmu. Nie dokonał tego nikt, ani przed nim, ani po nim. W dźwiękach muzyki Chopina uderzyło po raz pierwszy na najwyższych szczytach kulturalnego dorobku ludzkości i sztuki ogólnoludzkiej tętno Polski jako narodu i jako kraju. Przy dźwiękach *Poloneza As-dur* Polska historyczna, majestatyczna i buńczuczna, romantyczna i dumna, wzorzysta i tragiczna, uczyniła ingres swój tam, gdzie nieśmiertelną pozostanie dzięki Chopinowi. My nie potrzebujemy poznawać ojczyzny własnej z dzieł Chopina; możebyśmy nawet znaleźli, że jest ona tam nieraz do zbytku stylizowaną i indywidualizowaną. Lecz że obce narody zapoznał Chopin z Polską wedle wizerunku, który spodobało mu się zakląć w dzieła swoje, to fakt. I długo, długo jeszcze żyć będzie w wyobraźni obcych narodów nie inna Polska, tylko Polska Chopina».

«KURJER WARSZAWSKI» W ŻYCIU FRYDERYKA CHOPINA

Od chwili założenia swego w r. 1821 był «Kurjer Warszawski» w domu Chopinów czytany bardzo gorliwie, a mały Fryderyk, «Fryckiem» przez wszystkich nazywany, może był jego najbardziej zdeklarowanym zwolennikiem. A że nie była to sympatja bez wzajemności, że i w redakcji tego już wtedy najpopularniejszego w Warszawie pisma odnoszono się do młodziutkiego pianisty z wielką życzliwością, o tem świadczyły liczne o nim wzmianki, z których pierwsza pojawiła się w Nr. 189 z dn. 9 sierpnia 1824 r. w sprawozdaniu z uroczystego popisu uczniów Liceum Warszawskiego, na którym to popisie «Chopin Fryderyk», jako uczeń 4-tej klasy, otrzymał nagrodę, ostatnia zaś, w równe 25 lat później, przyniosła smutną wiadomość o jego śmierci na obczyźnie... Przez cały ciąg tych 25 lat zamieszczał «Kurjer Warszawski» raz po raz krótsze lub dłuższe informacje o Chopinie, które, jako współczesne różnym faktom w życiu genjalnego fortepianisty, z biegiem czasu nabrały znaczenia dokumentów historycznych, wprost nieocenionych dla biografów twórcy N o k t u r n ó w.

Pierwsza z ważniejszych wzmianek, wywołana grą Chopina w obecności cesarza Aleksandra I, znalazła się w numerze z dn. 7 czerwca 1825 r., a brzmiała jak następuje:

N. Pan raczył najłaskawiej brylantowemi pierścieniami udarować J. P. Brunnera, wynalazcę instrumentów muzycznych... jakoteż J. P. *Fryderyka Chopin*, ucznia Liceum, (którego talent grania na fortepianie już kilkakroć w publicznych koncertach uwielbiano).

Że talent młodego Chopina uwielbiano temi czasy na koncertach coraz częściej, dowodziło sprawozdanie z koncertu w Konserwatorjum, umieszczone dn. 11 czerwca 1825, w którem między innemi było powiedziane, że «szczególniej dano zasłużone oklaski po Fantazji granej przez młodego Chopina na Eolipantaljonie».

Na wakacje w lecie r. 1824 pojechał 14-letni Chopin na wieś do Szafarni, do państwa Dziewanowskich, i zabawiał się tam między innemi wydawaniem «Kurjera Szafarskiego», będącego humorystycznem naśladownictwem «Kurjera Warszawskiego». Geneza wydawnictwa tego była następująca. Zamiast pisywać obowiązkowe listy do rodziców, wpadł Fryderyk na pomysł redagowania pisemka w małym ćwiartkowym formacie, takim samym identycznie, jak «Kurjer Warszawski», pisemka zawierającego humorystyczny opis różnych wypadków, jakie się w Szafarni lub okolicy w ciągu dnia wydarzyły. Pisemko to, na wzór «Kurjera Warszawskiego», którego zewnętrzny wygląd naśladowało wiernie, dzieliło się na dwie części: pierwsza zawierała W i a d o m o ś c i K r a j o w e, w drugiem znajdowały pomieszczenie W i a d o m o ś c i z a g r a n i c z n e. Jak wszystkie pisma ówczesne, podobnie i ten «Kurjer Szafarski» poddawany był cenzurze, a rolę cenzora Szaniawskiego grała panna Ludwika Dziewanowska, pilnująca, by w gazecie tej humor dowcipnego redaktora nie szedł czasami za daleko...

W rok później, w Nr. 183 «Kurjera Warszawskiego» z dn. 4 sierpnia 1825 r. w urzędowem sprawozdaniu z popisu w Liceum, wśród uczniów klasy 5-ej, którzy otrzymali Pochwałę, wymieniony był i «Cho-

pin Fryderyk». To samo powtórzyło się w roku przyszłym w Nr. 185 z dn. 6 sierpnia 1826 r., gdy Chopin, po ukończeniu klasy 6-ej, otrzymał «nagrodę w książce».

Na odpoczynek po ostatnich trudach szkolnych udał się Fryderyk z matką i siostrami do Reinerz na Śląsku, skąd dn. 22 sierpnia (1826) pojawiła się w «Kurjerze Warszawskim» w Nr. 198 następująca korespondencja:

List w tych dniach odebrany z Kudowy ze Śląska (o dwie mile od Rejnerc) zaszczytnie donosi o młodym artyście polskim Fryderyku Chopin, który ze zlecenia Doktorów Warszawskich dla polepszenia zdrowia zostaje od niejakiego czasu w Rejnerc. Tam bowiem, gdy kilkoro dzieci przez śmierć ojca, do wód na kurację przybyłego, sierotami stały się, P. Chopin, ośmielony przez osoby, talent jego znające, dał 2 Koncerta na dochód tychże, co jemu wiele chwały, a tym nieszczęśliwym niepospolite wsparcie przyniosło (ten młodzieniec po wielekroć dał się słyszeć na fortepianie i zawsze najzasłużeńsze odbierał uwielbienie pięknego talentu).

Gdy w kwietniu 1827 r. zmarła najmłodsza siostra Fryderyka, Emilja, w parę dni po pogrzebie 16 kwietnia, znalazł się w «Kurjerze Warszawskim» «artykuł nadesłany» tej treści:

W chwili wiosennego życia skończyła zakres światowy w dniu 10 b. m. ś. p. WJ. *Emilja Chopin* (Szopę), córka zasłużonego profesora Liceum i Szkoły Applikacyjnej. Ile jej dobroć serca, dowcip, talent do nauk, stawały się rozkoszą i zadziwieniem dla rodziców, wszystkich znajomych, tylu teraz boleści, łez i rozpaczy stała się przyczyną.

W roku 1829 w ciągu lata, świeżo po skończeniu Konserwatorjum warszawskiego, wystąpił Chopin z dwoma koncertami w Wiedniu i zdobył sobie niemi rzetelny sukces. «Kurjer Warszawski» dn. 29 sierpnia podał o tem następującą wiadomość:

Młody Warszawianin P. Chopin d. 10 b. m. okazał swój talent w Wiedniu w teatrze przy Karyntskiej bramie.

Grał na fortepianie swej kompozycji Rondo, tudzież Warjacje z tematów Mozarta i został z powszechnem zadowoleniem przyjęty; po każdem *Solo* wznawiano rzęsiste oklaski. Nazywają go następcą Hummla; nazajutrz znakomite osoby wezwały go do swych domów i ma dać drugi koncert.

Wróciwszy do Warszawy, dawał się tu Chopin słyszeć na publicznych koncertach coraz częściej. W grudniu 1829 r. wystąpił w Resursie Kupieckiej, o czem «Kurjer Warszawski» we dwa dni później taką zamieścił wzmiankę:

Młody wirtuoz JP. Szopę (Chopin), którego talent coraz bardziej uwielbiają lubownicy i znawcy muzyki, onegdaj w dawnej Resursie, wobec licznego zgromadzenia, improwizował na fortepianie warjacje z ulubionej śpiewki *Miotły* (z Chłopa miljonowego). Ten wieczór muzyczny został uznany za nader przyjemny.

W tymże «Kurjerze Warszawskim» pojawił się 23 grudnia taki Artykuł nadesłany, podpisany literami: St. Eg. K.

Wieczór dany w przeszłą sobotę w Resursie był jednym z najprzyjemniejszych w stolicy naszej. Do uświetnienia jego wiele przyłożył się talent P. *Chopin* (Szopę). Przyjmowany z zapałem rodak nasz, nie dał się dotąd publicznie słyszeć w *Ojczyźnie swojej*. Skromność, chociaż najpiękniejszy przymiot talentu, z tej strony uważana jest mniej chlubną. Czyż talent P. *Chopin* nie jest własnością jego ojczyzny? Czyż Polska nie potrafi godnie jego ocenić? Utwory Pana *Chopin* noszą bez zaprzeczenia piętno wielkiego genjuszu; między nowemi jego dziełami ma być Koncert *F-moll*, godny iść w rzędzie z dziełami najpierwszych Europy muzyków. Spodziewamy się więc, że P. *Chopin*, tyle razy od nas wzywany, nie zechce dłużej, z uszczerbkiem swojej i narodu sławy, przytłumiać w nas to miłe przekonanie, że i Polska wielkie talenta wydaje.

Zanim życzeniu temu stało się zadość, urządził Chopin w marcu u siebie prywatny wieczór muzyczny; z wrażenia zaś, jakiego zebrani doznali u niego, tak zdał ktoś sprawę w «Kurjerze Warszawskim».

Onegdaj u JP. Szopę (Chopin) znowu było liczne zgromadzenie artystów i lubowników muzyki. Młody Wirtuoz grał swój *Koncert* i *Potpuri* z tematów rozmaitych, a szczególniej na nutę narodowej piosenki *Już miesiąc zaszedł* oraz *Krakowiaka* Kurpińskiego i t. p. Powtarzamy zdanie najrozmaitszych osób: «Młody Szopę przewyższa wszystkich fortepianistów, którycheśmy tu słyszeli. Jest to *Paganini fortepianowy* i jego kompozycje są szczytne, pełne nowych pomysłów».

Zachęcony temi wyrazami uznania, zdecydował się w końcu Chopin wystąpić z własnym koncertem publicznym, o czem «Kurjer Warszawski» dn. 8 marca tak czytelnikom swoim donosił.

Dopełnionem zostanie powszechne życzenie lubowników muzyki. JP. Szopę (Chopin), tak sprawiedliwie wielbiony, którego talent znawcy równają z najpierwszymi wirtuozami, wkrótce w Teatrze Narodowym da koncert na fortepianie, wykonywując dzieła własnego utworu.

W przeddzień tego koncertu, pisał 16 marca «Kurjer Warszawski», iż «na jutrzejszy koncert JP. Szopena już wszystkie loże są wzięte», a nazajutrz po koncercie pierwszy zdał z niego sprawę znowu «Kurjer Warszawski», w którym sam redaktor Dmuszewski tak pisał o tym pamiętnym wieczorze:

Lubownicy muzyki wczoraj w Teatrze Narodowym nader przyjemnie przepędzili wieczór. Znajdowało się osób 800, co dowodzi, że prawdziwy talent nasza Publiczność zwykła nagradzać. Młody wirtuoz zadowolił obecnych; przyznano mu, że należy do rzędu znakomitych mistrzów. Okrywano zasłużonemi oklaskami wykonanie jego *Koncertu* i *Potpuri*. Adażjo tegoż Koncertu tak w wykonaniu jak w kompozycji znawcy uważają za mistrzowskie, a *Rondo* zachwyciło wszystkich. Mazurek w tem Rondo urozmaicony najprzyjemniejszemi zmianami zapewne spodoba się wszędzie, gdzie tylko P. Szopę (Chopin) wykonywać go będzie. Nauczycielem tego Wirtuoza grania na fortepianie był Pan *Żywny*, a kompozycji muzycznej uczył się w tutejszem Konserwatorjum od Rektora Elsnera. Ci zacni nauczyciele są uszczęśliwieni z powodu swego ucznia. Gdy wiele osób na wczorajszy Koncert nie mogło dostać Lóż i Krzeseł, przeto 2-gi dany będzie w następujący poniedziałek.

Ten drugi koncert JP. Chopina odbył się 22 marca, a nazajutrz zamieścił o nim «Kurjer Warszawski» następujące sprawozdanie:

Na drugi koncert JP. *Szopena* wczoraj znowu przybyło blisko 900 osób. Powitano Wirtuoza rzęsistemi oklaskami i ciągle je ponawiano, szczególniej zaś po wykonaniu *Ronda Krakowskiego*. Wkońcu artysta *improwizował;* ulubione narodowe śpiewki *Świat srogi*, tudzież *W mieście dziwne obyczaje* urozmaicił najprzyjemniejszemi zmianami i akordami, które znamionują mistrzowski talent. Obecni powszechnym odgłosem przywołali Wirtuoza, a jeden z lubowników muzyki zawołał: «Ej, zmiłuj się, jeszcze przed odjazdem daj choć jeden koncert!» To życzenie jest życzeniem wszystkich. JP. *Szopę* wkrótce wyjeżdża zagranicę; najprzód ma zwiedzić *Berlin*, skąd uda się do *Paryża* i *Londynu*. Szczere życzenia *Polaków*, na których ziemi urodził się, wychował i wydoskonalił w muzyce, wszędzie mu będą towarzyszyły.

Ale do wyjazdu jeszcze było dosyć daleko, a że Chopin stał się już atrakcją dla publiczności warszawskiej, więc wypadło mu dn. 8 lipca wystąpić w Teatrze Narodowym na koncercie śpiewaczki Majerowej. Zdając sprawę z tego koncertu, «Kurjer Warszawski» tak pisał o Chopinie: «JP. Szopen grał na fortepianie Warjacje swojej kompozycji; rzęsiste oklaski, po 3-kroć wznawiane, świadczyły o zadowoleniu słuchaczów, tak z kompozycji, jak z wykonania».

We wrześniu, wykończywszy swój drugi Koncert E-moll, wykonał go Chopin u siebie w mieszkaniu wobec grona zaproszonych gości. Musiał między nimi być i redaktor «Kurjera Warszawskiego», skoro w piśmie tem nazajutrz pojawiła się wiadomość, że: «wczoraj nasz wirtuoz JP. Fryderyk Szopę wobec licznego zgromadzenia artystów i amatorów muzycznych, w swem mieszkaniu, z powszechnem zadowoleniem, grał pierwszy raz drugi Koncert swej kompozycji».

Wkrótce potem, 11 października, dał Chopin w Teatrze Narodowym wielki koncert pożegnalny,

o którym życzliwie dlań usposobiony «Kurjer Warszawski» zdał sprawę w następujących słowach:

Nader przyjemny był wczorajszy wieczór dla lubowników muzyki; słuchaczów znajdowało się około 700. Nowy Koncert *E-mol*, skomponowany i wykonany pierwszy raz publicznie przez JP. *Szopena*, znawcy uważają za jedno ze szczytnych dzieł muzycznych, osobliwie *Adażjo* i *Rondo* powszechne sprawiło zadowolenie. Autor i Wirtuoz został powitany rzęsistemi oklaskami, okrywany niemi po każdem solo, a wkońcu przywołany.

W niecały miesiąc po tym koncercie, 2 listopada, wyjechał Chopin z Warszawy zagranicę, nie przeczuwając naturalnie, że opuszcza kraj nazawsze. O tym jego wyjeździe znalazł się w «Kurjerze Warszawskim» taki artykulik:

Nasz Rodak, Wirtuoz i Kompozytor muzyczny, *Fryderyk Szopę* (Chopin) wczoraj wyjechał z Warszawy dla zwiedzenia obcych krajów. Najprzód zatrzyma się w *Kaliszu*, skąd uda się do *Berlina, Drezna, Wiednia*; następnie zwiedzi *Włochy* i *Francję*. Liczni przyjaciele tego Artysty, na których czele znajdował się Rektor *Elsner*, odprowadzili go do Woli, gdzie przy pożegnaniu uczniowie szkoły muzyki wykonali śpiew następujący:

Zrodzony w Polskiej krainie,
Niech Twój talent wszędzie słynie;
A gdy będziesz nad *Dunajem*,
Spreą, Tybrem, lub *Sekwaną*,
Niechaj Polskim obyczajem
Ogłoszonemi zostaną
Przez Twe zajmujące tony,
Co umila nasze strony
Mazur i *Krakowiak* luby.
Stąd szukaj zaszczytu, chluby,
Nagrody talentów, trudów,
Że głosząc pieśń naszych ludów
Jako ich współziomek prawy,
Przydasz wieniec do ich sławy.

CHÓR.

Choć opuszczasz nasze kraje,
Lecz serce Twoje wpośród nas zostaje;

Pamięć Twego talentu istnieć u nas będzie...
Życzymy Ci serdecznie pomyślności wszędzie.

Serdecznym tym życzeniom pomyślności stało się o tyle zadość, że Chopin, osiadłszy na stałe w Paryżu, z powodzeniem «głosił pieśń naszych ludów», zająwszy pierwszorzędne stanowisko w świecie muzycznym paryskim, i jako wirtuoz, i jako kompozytor, i jako nauczyciel. Sława jego, rosnąca z dniem każdym, dochodziła i do Warszawy, do czego znowu «Kurjer Warszawski» przyczyniał się w niemałym stopniu. Ile razy bowiem, w dziennikach zagranicznych, pojawił się artykuł o Chopinie, «Kurjer» przynosił wiadomość o nim, lub podawał jego streszczenie. Tak np. w numerze z 18 sierpnia 1835 r. artykuł o Chopinie zaczynał się w sposób następujący:

Aby okazać, jak niesłusznie powstają u nas przeciw autorom artykułów koncertowych, a przez to odstręczają najlepsze chęci i pozbawiają dziś zasługujących na takowy hołd, przytaczamy tu dwa artykuły, wyjęte z gazet francuskich o panu *Szopenie* (Chopin), rodaku naszym, w których szczodrą ręką w najwyższych przenośniach prawdziwemu talentowi pochwały są oddane. O pierwszym koncercie p. Szopena jedno z nich mówi, i t. d. i t. d.

Gdy w r. 1842 zmarł w Warszawie Wojciech Żywny, «Kurjer Warsz.» zamieścił o nim obszerny nekrolog, przyczem o «słynnym naszym fortepianiście Szopę (Chopin)», jako uczniu zmarłego, nie obeszło się bez wzmianki. To samo powtórzyło się w kwietniu r. 1843, gdy koncertujący w Warszawie Fr. Liszt odwiedził rodziców Chopina, jako jego «wielbiciel i przyjaciel», i gdy na każdym z trzech koncertów grał jego kompozycje. Podobnie miała się rzecz w pół roku później, gdy do Warszawy zjechał z koncertami uczeń Chopina, genjalny Karol Filtsch, dla którego — jak pisał «Kurjer» — «zmienił S z o p e n swoje dotychczasowe samotne życie, dla niego bywa na wszystkich muzykalnych wieczorach», a «twarz mu jaśnieje rado-

ścią, kiedy widzi swego ucznia odnoszącego triumfy». Nawet o pożyciu Chopina z panią Sand mogli się czytelnicy «Kurjera Warszawskiego» dowiedzieć w r. 1846, gdy w obszerniejszym o nim artykule zanotowany został fakt, że «w zaciszu serca swego znalazł harmonję w dobranem gronie pokrewnych przyjaciół, w towarzystwie z najgenjalniejszą kobietą, panią Dudevant (George Sand)»... Gdy w maju r. 1844 zmarł Mikołaj Chopin, «ojciec sławnego mistrza muzyki», «Kurjer Warszawski», prócz artykułu o zmarłym zamieścił następujący wiersz o nim, a właściwie o jego synu, jako «chlubie i zaszczycie kraju naszego i swej wzniosłej sztuki, którą zadziwia Europę».

Zgasł zacny Chopin! Ale nam zostawił
Syna, którego wielki talent wsławił.
On to przez wyższe przymioty
Chlubę przynosi naszej krainie,
A w nim, jak w całej Jego rodzinie,
Jaśnieć będą Ojca cnoty.

Niestety, cnoty te miały zgasnąć przedwcześnie. W dniu 17 października 1849 r. Chopin zmarł w Paryżu, o czem «Kurjer Warszawski» w Nr. 281 z 24 października tak doniósł swym czytelnikom:

Wczorajszą pocztą listy odebrane z Paryża donoszą nam o bolesnej stracie naszego ziomka Fryderyka Szopena (Chopina), zmarłego w d. 17 b. m. w objęciach kochającej go siostry.

Nazajutrz w Nr. 282 zamieścił «Kurjer» obszerny i wcale dokładny życiorys Chopina, przynosząc między innemi taką wiadomość:

...Niezmordowany do ostatnich chwil życia, nie ustępował w pracach, a słabość jego, która go strawiła, poczęła się z uczuć, jakiemi go wielkość muzykalnej poezji przejęła. Chopin bez zaprzeczenia konał od lat kilku i w tem konaniu rozdzierał serca i łzy wyciskał tak współrodakom, jako też i obcym.

W końcu w Nr. 296 z dn. 9 listopada dał «Kurjer Warszawski» następujący opis pogrzebu Chopina:

Tydzień temu, jak w kościele św. Magdaleny w Paryżu odbyło się nabożeństwo żałobne za duszę ziomka naszego, Chopina. Mnóstwo artystów i znajomych zmarłego napełniło kościół, do którego wchodzono tylko za biletami. Największa prostota przewodniczyła obrzędowi, odznaczającemu się także i wykonaniem *Requiem* Mozarta przez p. Viardot. Najdroższą jednak ze wszystkich pamiątek po zmarłym Chopinie otrzymała jego rodzina, albowiem w ostatnich chwilach swego życia, objawiając konającym już głosem ostatnią wolę, przekazał jej s e r c e swoje. Drogi ten szczątek wkrótce, jak nam wiadomo, ma być do Warszawy sprowadzony.

Na tym artykuliku kończą się w «Kurjerze Warszawskim» wzmianki o Chopinie, bezpośrednio z jego życiem związane, a w ciągu lat 25, przy różnych okazjach, w piśmie tem życzliwie o nim zamieszczane. Zebrane razem i w chronologicznym ułożone porządku, mimowoli składają się one na p i e r w s z ą w s p ó ł c z e s n ą b i o g r a f j ę C h o p i n a, co w każdym razie, przypomniane w setną rocznicę założenia «Kurjera Warszawskiego», bezwarunkowo za chlubę i zasługę poczytanem mu być winno.

CHOPIN PO AMERYKAŃSKU

W ostatnich czasach stał się Chopin bardzo modnym w świecie anglo-saskim. Zarówno w Anglji, jak w Ameryce, powstała o nim cała literatura, że jednak piszący po angielsku autorzy nie znają języka polskiego, a tem samem i polskich najnowszych o Chopinie studjów, więc prace ich roją się od błędów, na których temat trudno nie pisać satyry. Jedną z tych prac, mianowicie książkę J. Hunekera [1]), przyswojono świeżo naszemu językowi, ale przetłumaczono ją bezkrytycznie, bez uwzględnienia zdobyczy polskiej chopinologji, co oczywiście obniża w wysokim stopniu wartość przekładu. A że jednocześnie autor amerykański, opierający się przedewszystkiem na monografji Niecks'a, o Polsce, o polakach i kulturze polskiej ma wyobrażenie — mówiąc delikatnie — dziwne, więc pożytek dla polskiego czytelnika z tego przekładu dzieła Hunekera (dzieła, bądź co bądź poważnego i niebezwartościowego) okazać się może wysoce problematycznym.

Książka ta, rozmiarami wcale obszerna, bo w postaci grubego tomu o 302 stronicach, dzieli się na dwie części: pierwsza, bardziej biograficzna, zawiera charakterystykę Chopina jako człowieka, starając się wniknąć w jego psychikę; druga, czysto analityczna, traktuje o muzyce chopinowskiej, starając się ustalić

[1]) James Huneker, «Chopin» Człowiek i artysta. 1922. Lwów i Poznań. Nakładem Wydawnictwa Polskiego.

jej walory w stosunku do nowoczesnej muzyki fortepianowej wogóle.

Zarówno w pierwszej, jak w drugiej części, pełno jest błędów faktycznych lub opinji tego rodzaju, że wobec nich każdy z kulturalnych ziomków Chopina musi się uśmiechnąć lub uśmiać serdecznie, o ile nie da się unieść całkiem uzasadnionemu oburzeniu; a sam Chopin, gdyby się o nich dowiedział za pośrednictwem którego z tak modnych dziś w Warszawie medjów spirytystycznych, chybaby się w swym grobie na paryskim Père Lachaise sto razy przewrócił...

Zaczyna się od tego, iż wogóle polacy łącznie ze słowianami (z jedynym wyjątkiem Rosjan) nie cieszą się szczególnemi względami autora. «Politycznie spokrewnieni z... Celtami» są polacy «zmienni i niestali» (dowodem Chopin, który swój *Koncert F-moll*, pisany pod wpływem swej pierwszej miłości ku Konstancji Gładkowskiej dedykował Delfinie Potockiej). Stąd i Chopin, ze swą «nieufną, rdzennie słowiańską naturą», nietylko nie był «wcale naturą lojalną ani szczerą», ale «skryty jak większość Polaków», w chwilach zdziwienia «polskim zwyczajem wzruszał swemi szczupłemi ramionami»; będąc zaś snobem, niemniej był, w połączeniu z pewną «melancholją warszawską» także i pozerem, gdy np. «nosił pukiel po jednej stronie twarzy, a mianowicie po tej, którą na estradzie zwrócony był do publiczności». Szczegół ten, nawiasem mówiąc, nie jest znany polskim biografom Chopina, podobnie, jak i o «melancholji warszawskiej» nie było im dotychczas wiadomo.

Choć wiadomo jest już dzisiaj stanowczo na podstawie niezbitych dokumentów, iż Chopin urodził się dn. 22 lutego 1810 r., Huneker upiera się przy roku 1809, argument zaś przeciw rzeczywistej dacie urodzin Chopina, że «kler polski nie był stanem bardzo akuratnym w datach» jest conajmniej nietaktownym. Niemniej fałszywem i niezgodnem z prawdą jest wszystko, co

autor pisze o rodzicach Fryderyka, twierdząc, że «ojciec Chopina nie był wcale muzykiem, jak też i matka jego nie miała z muzyką nic do czynienia». Otóż w rzeczywistości miało się nieco inaczej. bo Mikołaj Chopin grał biegle aż na dwóch instrumentach, mianowicie na skrzypcach i na flecie, co dowodziło, że musiał być niezwykle muzykalny (a jak się znał na muzyce, tego dowodzą jego niektóre listy do syna), pani Justyna zaś grała doskonale na fortepianie i śpiewała bardzo pięknie, z uczuciem, a jako Krzyżanowska z domu pochodziła z rodziny, która Polsce niejednego dała muzyka. Nieprawdą też jest, że Mikołaj Chopin miał swoją «szkołę», bo był tylko nauczycielem w liceum warszawskiem, a obok tego utrzymywał pensjonat dla młodzieży szkolnej. Niemniej rozmija się Huneker z prawdą, gdy matkę Chopina nazywa «kapryśną, piękną, despotyczną polką», bo żaden z tych przymiotników do łagodnej i słodkiej pani Justyny odnieść się nie dał.

Myli się też Huneker, gdy podaje, iż Chopin ukończył liceum w r. 1827, ukończył je bowiem w r. 1826. Ale najgorzej nie udało się autorowi z Konstancją Gładkowską, jako pierwszym ideałem Fryderyka. Bo przedewszystkiem Chopin nie dostał od niej nigdy oficjalnej rekuzy, a powtóre z ślepotą w jej małżeństwie było trochę inaczej, niż pisze o niej Huneker, twierdzący o pani Józefowej Grabowskiej, że to «mąż jej oślepł», z którego to faktu amerykański biograf Chopina wyciąga wniosek w formie ironicznego przypuszczenia, «że nawet ślepy obywatel wiejski jest więcej wart od wiecznie załzawionego pianisty». Tymczasem ślepota dotknęła nie męża Konstancji, ale ją samą, co oczywiście wyłącza niepochlebne o niej wnioski Hunekera.

Nie odczuł on również tragizmu pobytu Chopina w r. 1831 w Wiedniu, skąd pisał on do Matuszyńskiego, że jest «wesół». Matuszyński, który był wtedy w wojsku polskiem, z pewnością wiedział, co rozumieć przez tę cenzuralną «wesołość» Fryderyka. Huneker wziął

ją dosłownie. Trudno też zgodzić się z nim, gdy zapisane przez Chopina w Sztutgardzie wybuchy rozpaczy na wieść o wzięciu Warszawy nazywa «trochę melodramatycznemi» i brzmiącemi «zupełnie nie po chopinowsku». W takim razie i Etiuda rewolucyjna C-moll nie brzmi po chopinowsku.

Mylną też jest wiadomość, iż «Fryderyk dopiero w Paryżu zaczął się zamiast Szopen pisać Chopin», bo choć gorący patrjota, Chopin nigdy się «Szopen» nie podpisywał. Równie fałszywą jest wiadomość, iż Słowacki «był jednym z najgorętszych przyjaciół Chopina i że jego poezje były źródłem natchnienia dla muzyka». Wszystko to jest nieprawdą, ile że Słowacki i Chopin nie lubili się wzajemnie, a Chopin nie napisał ani jednej nuty pod wpływem poezji Słowackiego.

Niemniej błędnie przedstawia Huneker stosunek Chopina do rodziny Marji Wodzińskiej, bo 1) Fryderyk nigdy się nie «zaręczył» z Marją, a 2) zdziwiłby się bardzo, gdyby mu w r. 1836 powiedziano, że «był bez środków do życia i nie miał żadnego stanowiska społecznego». O formalnym «koszu», danym Chopinowi przez Wodzińskich także nie było mowy.

Stosunek Chopina do pani Sand także został przedstawiony fałszywie. Żeby autorka *Lelji* była kiedy «zazdrosna nawet o przeszłość Chopina», na to niema nigdzie najmniejszego dowodu; a ktokolwiek choć w przybliżeniu zna historję pożycia Chopina z panią Sand, ten wie aż nadto dobrze, że nie «George Sand, sprzykrzywszy sobie Chopina, pozbyła się go bez najmniejszej ceremonji», ale właśnie Chopin — czego później żałował — zerwał z nią pod wpływem pewnych intryg. Nie przynosi też chluby, ani autorowi, ani tłumaczowi, gdy tytuł znanej powieści pani Sand *Lucretia Floriani* przytacza jako: *Lukrecję Florjany*. Również niedokładnie znany mu jest tytuł słynnej powieści Musseta, który brzmi: *Confession d'un enfant du siècle*, a nie: *Confessions d'un enfant de son siècle*.

Podobnie wspomniany przez Hunekera, a z monografji Niecksa, przejęty doktór Liszyński z Edynburga nazywał się naprawdę Łyszczyński, co w polskim przekładzie należało uwzględnić.

Rozdział o śmierci Chopina wypadł zabójczo, ale dla autora, nie wiedzącego nawet, w którym kościele dzwonią. A zdaje mu się, iż podaje w nim rzeczy «zupełnie nowe». Nowemi są rzeczywiście, ale tylko dla tych, którym dzieje zgonu Chopina znane są dokładnie. Przedewszystkiem nie umarł Chopin «na rękach Gutmanna», bo Gutmanna wtedy, w październiku 1849 r, nie było w Paryżu. Następnie spowiednik Chopina, ksiądz Jełowicki, nie mówił mu «o owym biednym przyjacielu Edwardzie Worcie, którego właśnie stracił», ale o swym bracie rodzonym, Edwardzie Jełowickim (poległym w Wiedniu w r. 1848). «Nową» jest również wiadomość (z jakiegoś bardzo mętnego poczerpnięta źródła), że Chopin «zaznaczył w swoim testamencie, że chce być pochowany w białej krawatce, półbucikach i krótkich spodniach do kolan», przyczem należy sprostować datę śmierci Chopina, zmarłego nie 14, lecz 17 października 1849 r. O możności przewiezienia z czasem zwłok Chopina do Warszawy powątpiewa Huneker, albowiem «Paryż niełatwo zgodzi się na wydanie szczątków pośmiertnych *swego* wielkiego mistrza».

Wszystko to jednak, co Huneker pisze o życiu Chopina, niczem jest w porównaniu z jego niektóremi opinjami o twórczości autora Nokturnów, o jego muzyce fortepianowej, o jego, jak się wyraża w kilku miejscach «dzikiej sztuce», w której «dziki dramat» pełen «dzikiego ognia» nieraz gra dominującą rolę. Zdaniem Hunekera, Chopin twórczością swą «wpuścił na Zachód muzyczne idee Wschodu...» On «światu otworzył Wschód». «On wyjawił Europie tajemnice i pokusy Wschodu. Jego muzyka spoczywa na niepewnej wadze między Zachodem a Wschodem». Cała też

oryginalność tej muzyki słowiańskiej jest (dla amerykańskiego pisarza) «pochodzenia wschodniego» i wiele jej cech «możnaby wytłumaczyć wpływami wschodniemi, Wschodem». Stąd jej chorobliwość, czyniąca nieraz z Chopina «nekromantę», stąd ta «chora, trująca» muzyka, której «jadowite eliksiry» tyle mają uroku. Na szczęście «Chopin był zbyt dystyngowanym, aby chcieć światu wygrywać swe choroby, wielkość zaś jego polega na tem, że stoi między niedojrzałością a rozkładem». I dlatego to «w księstwie Chopina kaprys strzela, jak jadowite drzewo, pokryte kwieciem nędzy, i liśćmi połyskującemi zmysłowością».

Zachwycając się *Etiudami* Chopina, z których np. Etiuda H-moll op. 25 Nr. 10 «jest pełna azjatyckiej dzikości», pisze Huneker błędnie, iż «drugi zeszyt etiud został napisany w tym samym roku co pierwszy». Jest to nieprawda, ile że etiudy op. 25 zostały napisane w Paryżu, wcale nie w ciągu jednego roku, a między etiudami op. 10 jest wiele napisanych jeszcze w Warszawie.

W słynnem *Impromptu* Fis-dur ma się przy niektórych miejscach wrażenie (zdaniem Hunekera) «jakgdyby w tych taktach skrzypiały nienasmarowane zawiasy w drzwiach». Wytworna *Fantaisie-Impromptu* «jest rozkoszą dla każdego ucznia, który *presto* zmienia w powolną zamazaną pustynię niezręcznie wiążących się rytmów, a z łatwiejszej części robi wydłużony strudel sentymentalności».

W *Walcach* udało się Chopinowi «zbliżyć do Straussa w tym jego najwłaściwszym rodzaju». Jeden z tych walców poświęcony jest «baronowej Branickiej», co dowodzi, że i w heraldyce polskiej Huneker bardzo biegłym nie jest.

Nokturny Chopina nie bardzo trafiają Hunekerowi do przekonania. Są one «nieraz zanadto strojne, zanadto smutne, nazbyt tropikalne, jeszcze lepiej, azjatyckie», nie mówiąc już o tem, iż grzeszą «zbytecznem

przesłodzeniem», a niekiedy «rozpaczliwie sentymentalne» brzmią «czasami wprost histerycznie». Mimo to nokturn Fis-dur «zdaje się być nierozłączny od myśli o winie szampańskiem i truflach», a *coda* w nokturnie H-dur działa, «jak uderzenie bębna w tragedji».

Charakteryzując *Mazurki* Chopina, w których i t. zw. «węgierska powiększona sekunda» znajduje raz po raz zastosowanie, przytacza Huneker opis mazura «tak, jak go dziś tańczą w Rosji».

Goście salonów petersburskich tańczą istotnie w całem znaczeniu tego słowa... Jednym z najpiękniejszych tańców tego rodzaju jest mazur, ulubiony w salonach nadnewskich... Potrzebuje on bardzo dużo miejsca, dużo oficerów z ostrogami i jak najwięcej wdzięku... Żwawe skoki, hołubce, «koguciki», przyklękanie i inne figury tańca w takt mistrzowskiej muzyki Glinki lub Czajkowskiego, budzą i ożywiają dawne bohaterstwo.

W Mazurkach Chopina występuje często (zdaniem Hunekera) «nieznana ludziom zachodnim właściwość, nazywana przez polaków żalem». W Mazurku G-moll jeden refren «przypomina pieśni burłaków rosyjskich, tak często opracowywane przez Czajkowskiego». Wogóle powiedzieć można o Mazurkach, że «w drżącym takcie tego niedojrzałego tańca rozgrywa się tragedja duszy ludzkiej, użyczająca głosu poety bólowi i buntowi umierającej rasy». Czyli, że w Ameryce uchodzimy za rasę umierającą... Na szczęście, jeszcze to nikomu w Polsce na myśl nie przyszło.

A że nie przychodziło na myśl i Chopinowi, dowodem jego *Polonezy*, których twórcami w Polsce, zdaniem Hunekera, są «Kościuszko, Ogiński, Moniuszko, Kurpiński». Wiadomość o Kościuszce jest dla nas nowa, bo choć znany jest w Polsce słynny «Polonez Kościuszkowski», ale żeby sam Kościuszko komponował polonezy na równi z Ogińskim i Kurpińskim, o tem dowiedzieliśmy się dopiero z książki Hunekera. Nawiasem mówiąc, myli się on, kiedy podaje, iż triumfalny

Polonez A-dur został skomponowany na Majorce, bo napisał go Chopin w Nohant, podobnie jak i tragicznego Poloneza Fis-moll, który Huneker nazywa «barbarzyńskim, nawet patologicznym», «nieledwie, że torturującym nerwy», napisanym w «anormalnym stanie duchowym» przy «prawie zupełnie rozstrojonym duchu». Trudno też zgodzić się na twierdzenie Hunekera, iż od śmierci Chopina «najlepszemi polonezami są Polonezy Liszta». Biedny Moniuszko!

Budowa *Scherz* Chopina nadaje się «do traktowania bizantyjskiego», a w Scherzu H-moll jest «dużo rzeczy odpychających». Myli się nadto Huneker, gdy pisze, iż Scherzo to napisane było w Nohant po przypuszczalnej kłótni z panią Sand, albowiem Scherzo to z cudną warjacją na kolendowy temat Lulajże Jezuniu zostało napisane w Wiedniu w r. 1831. Nieprawdą jest również, iż Scherzo Cis-moll zostało skomponowane na Majorce. Bo właśnie to Scherzo napisał Chopin w Nohant.

Również druga Ballada poświęcona Schumannowi nie została napisana na Majorce. Przecież grał ją Chopin Schumannowi w Lipsku na dwa lata przed wyjazdem na Majorkę.

Słynny Marsz żałobny Chopina z Sonaty B-moll «ma koloryt azjatycki» (zdaniem Hunekera), a Kołysanka i Barkarolla «nie powinny być często grane publicznie, a nigdy przed publicznością wielkiej sali koncertowej».

Co pewna, że «tylko muzycy rasy słowiańskiej lub madziarskiej są dobrymi chopinistami». Zamieszczając w ich liczbie i «fenomenalnego Rosenthala», nie pisze tylko Huneker, do jakiej rasy Rosenthal należy, czy do słowiańskiej, czy do madziarskiej?

Czytając w książce Hunekera takie i tym podobne brednie o «azjatyckiej» i ze Wschodu przeszczepionej muzyce Chopina, myśli się mimowoli o tym poczciwym i popularnym w swoim czasie okuliście warszawskim,

który rozmiłowany w *Panu Tadeuszu* wygłosił raz niefortunny wielce odczyt publiczny o Jankielu, odczyt, o którym później napisał dowcipnie Laskowski (El) że

było Okulistów wielu,
żaden jednak głupstw takich nie plótł o Jankielu.

Otóż i o Hunekerze w stosunku do Chopina da się powiedzieć z równą słusznością, że wprawdzie wielu cudzoziemców pisało o Chopinie, ale żaden o nim nie naplótł tylu głupstw, co ten Amerykanin.

ANNEKSY

WIERSZE CHOPINA.

Że Chopin pisywał wiersze, to rzecz wiadoma powszechnie. Nie jest tajemnicą, iż jako 6-letni chłopczyk pisywał dla rodziców na Nowy Rok lub na Imieniny powinszowania wierszem (kilka takich powinszowań posiada w swym zbiorze Jędrzejewicz), iż w r. 1824 napisał razem z młodszą siostrą swą, Emilją, komedyjkę *wierszem* p. t. *Omyłka* czyli *Mniemany filut*, którą to komedyjkę odegrano w pensjonacie Mikołaja Chopina w dniu jego Imienin; ci zaś, co w r. 1892 byli w Wiedniu na wystawie muzycznej, mogli tam w gablotce z pamiątkami po Chopinie, nadesłanemi przez paryską fabrykę fortepianów Pleyela, odczytać parę wierszowanych Krakowiaków Chopina o treści politycznej, które, o ile były dowcipne, o tyle bezwarunkowo nie nadawały się do głośnego odczytania damom w salonie... Wierszy podobnych przy lada okazji pisywał Chopin mnóstwo, ile razy był w dobrym humorze, zarówno w kraju, jak i w czasie pobytu w Paryżu. Nie zawsze odznaczały się one poprawną formą, ale zawsze były wesołe, a często więcej nawet, niż swawolne, bo nieprzyzwoite. Grube t. zw. *tłuste* koncepty w rodzaju niektórych Fraszek Kochanowskiego, trzymały się Chopina przez całe życie, a gdy mu je przyszło utrwalić na papierze, n. p. w liście do którego z przyjaciół, zazwyczaj czynił to w formie wierszowanej, w rodzaju piosenek Witwickiego, do których tyle razy dorabiał muzykę.

W zbiorze listów Chopina do Juljana Fontany znalazły się między innemi także i dwa wierszyki Fryderyka, wierszyki, które, że wyszły z pod pióra twórcy Mazurków, już przez to samo zasługują na opublikowanie. Niema w nich nic nadzwyczajnego, ale ponieważ są nieznane do tej pory, więc trudno ukrywać je dłużej pod korcem, zwłaszcza, że oba mogą być czytane przez panny...

Pierwszy z nich, krótszy, jest o przyjaźni, a raczej o niestałości w przyjaźni.

Rzadką jest przyjaźń prawdziwa,
Skąpo swych darów udziela:
Co za szczęścia ten używa,
Kto mógł znaleźć przyjaciela.

Tak jak piłka wyskakuje,
Tak i przyjaźń wylatuje.

Chopin.

W zupełnie innym rodzaju jest drugi wierszyk, napisany pod adresem jakiegoś pana Ignacego (czy nie Maciejowskiego?).

Pójdziemy do pracy,
Mój panie Ignacy.
Starość nie radość dla starego,
A młodość uciecha dla młodego.

Tak od starości
Obgryziemy kości,
A jak obgryziemy,
To się obliżemy.

Ile jak to bywa
Napijmy się trochę piwa,
Wydojemy dwie butlice
Włożymy na łeb szlafmycę.

Fryderyk Chopin.

Skoro mowa o wierszach Chopina, to nadmienić się godzi, iż od najmłodszych lat potrafił on pisywać nietylko polskie ale i francuskie wierszyki. Oto n. p. nie ogłoszony dotąd drukiem wierszyk francuski, wpisany przezeń jakiejś znajomej damie do sztambucha w lutym roku 1821.

En quelle partie du monde vous passerez vous jours,
De votre fidèle ami souvenez vous toujours.
Le 10 Fevrier 1821.

F. Chopin.

Sztambuch z wierszem tym oraz z dwoma bardzo wykończonemi rysunkami kolorowemi Chopina, znajdował się przez długie lata w posiadaniu p. Magnusa w Warszawie. Obecnie stał się on własnością świeżo założonej «Sekcji imienia Fryderyka Chopina» przy warszawskiem Towarzystwie muzycznem.

POGAWĘDKA O CHOPINIE
Z ADAMEM MÜNCHHEIMEREM.

Autor *Mazepy* i *Stradioty* posiada u siebie istne muzeum do historji muzyki wogóle, a do muzyki polskiej w szczególności. Posiada też kilka ciekawych rzeczy dotyczących Chopina, jak n. p. autograf jednej z pierwszych kompozycji małego Frycka, a mianowicie Warjacje na flet z *Kopciuszka* Rossiniego, albo autograf *Poloneza na fortepian,* dedykowanego przez 11-letniego pianistę mistrzowi swemu, Wojciechowi Żywnemu.

Jest to, o ile się zdaje, najwcześniejszy ze znanych nam utworów Chopina, bo pochodzi jeszcze z roku 1821, jak o tem świadczy dedykacja na pierwszej stronie rękopisu. Brzmi on jak następuje: *Polonaise pour pianoforte composée et dediée à mr. A. Żiwny par son élève Frédéric Chopin à Varsovie 23 April 1821.*

W celu bliższego zapoznania się z tym polonezem udałem się któregoś wieczoru do czcigodnego autora *Flisaków,* a spędzonych z nim parę godzin na rozmowie o muzyce, o Chopinie, o różnych pamiątkach po nim etc., nadzwyczaj mile zapisało mi się w pamięci, zwłaszcza, że przy tej okazji dowiedziałem się o Chopinie wielu rzeczy nowych, które, choć drobne, zasługują jednak na to w zupełności, by zostały spisane...

— Gdy w październiku r. 1861 umarła matka Chopina — mówił dyrektor Münchheimer — na pogrzebie jej, który, pamiętam, wyszedł od kościoła Ś-go Krzyża o godzinie 5 popołudniu[1]), na Powązkach, pod katakumbami, chór wraz z dętemi instrumentami odśpiewał pod moją dyrekcją *Salve Regina* mojej kompozycji, oraz *Marsza Żałobnego* Nideckiego... Wkrótce po tym pogrzebie zeszliśmy się, pamiętam, w sześciu, Moniuszko, Dobrzyński, Stefani,

1) Pogrzeb ten odbył się d. 4 października 1861 r. Justyna Chopin zmarła w d. 2 października 1861.

Krzyżanowski, Nowakowski i ja, w mieszkaniu Moniuszki (był to może jedyny raz, gdzie Dobrzyński zeszedł się z Moniuszką), w celu obgadania kwestji zbiorowego *Requiem*, mającego być wykonanem już w listopadzie w czasie solennego nabożeństwa za Fryderyka Chopina. Gdyśmy zdecydowali główną tonację d-moll, rozdzieliliśmy między siebie sześć numerów Mszy do słów 6-iu poetów, mianowicie Deotymy, Ilnickiej, Kraszewskiego, Anczyca, Chęcińskiego i Grajnerta. O ile sobie przypominam Stefaniemu i Deotymie wypadło napisanie *Kyrie*, ja dorobiłem muzykę do *Offertorium* Ilnickiej, a Nowakowski napisał chór *a capella*. Do złożenia jednak całości jakoś nie przyszło...

Zkolei zgadało się o autografach chopinowskich, z których aż kilka znajduje się w posiadaniu autora *Mazepy*.

— Manuskrypt *Poloneza* mam od ś. p. Józefa Jareckiego, niegdyś nauczyciela muzyki w Warszawie, a ojca zaszczytnie dziś znanego Henryka Jareckiego.

Gdym się przyglądał temu manuskryptowi, Münchheimer zasiadł do starego fortepianu Pleyela z klawjaturą pochlapaną atramentem (albowiem jest to fortepian, przy którym zwykł komponować), i zaczął grać tego poloneza w swoim układzie...

Gdy skończył, pokazał mi inny autograf Chopina, mianowicie szkic do fantazji op. 13, przedstawiający się w postaci dwóch kartek szarego papieru nutowego, zakropkowanego pożółkłym już dziś atramentem.

— Mam ten szkic od ś. p. Józefa Nowakowskiego. Ale do niektórych pamiątek po Chopinie doszedłem inną drogą. Oto n. p. książka szkolna p. t.: *Nowy sposób uczenia łatwego języka łacińskiego ofiarowany Rycerskiej szkole Ichmościów Panów Kadetów J. K. Mości y Rzeczypospolitej w Warszawie w drukarni J. K. Mości y Rzeczypospolitej Korpusu Kadetów Miclerowskiej, nakładem Towarzystwa Literatów w Polsce ustanowionego 1768* [1]).

Z książeczki tej uczył się Chopin, gdy był uczniem Liceum Warszawskiego, a że należała do niego, o tem świadczy własnoręczny podpis na tytułowej kartce:

Ex Bibliotheca

F. F. Chopin.

Przez to *F. F.* należy rozumieć: Fryderyk Franciszek. Książkę tę kupiłem na licytacji po ś. p. Jędrzejewiczowej.

[1]) Podręcznik ten ułożony jest w dwóch językach, polskim i francuskim. Stąd obok polskiego tytułu posiada i francuski: *Nouvelle Methode* pour apprendre aisement la Langue latine, Dediée au corps royal et militaire des Messieurs les Cadets de Pologne.

Nikt jej nie chciał kupić, więc kupiłem ją za pięć groszy, zobaczywszy na niej autograf Chopina. Na tej samej licytacji kupiłem i te nuty, które także niegdyś były własnością Chopina.

Nutami temi, którem przeglądał właśnie, jest arcydzieło Bacha, mianowicie jego *Passja* [1]), oraz słynny *Septet* Hummla [2]). Wiadomo, jakim Chopin przez całe życie był wielbicielem Bacha, to też, gdy słynny wydawca paryski Schlesinger wydał jedno z najpotężniejszych dzieł wielkiego organisty, nie omieszkał jednego egzemplarza ofiarować przy sposobności Chopinowi, jak o tem świadczy własnoręczna dedykacja na tytułowej kartce:

à mon cher ami Chopin

M. Schlesinger.

— Nadto nabyłem jeszcze na wspomnianej licytacji piękną książkę w gustownej zielonej okładce z wyciętym na niej złotemi literami napisem, który, o ile sobie przypominam, brzmiał: *Fryderykowi Chopinowi za pilność w naukach*. Gdym jednak kupił tę książkę, proszono mię, bym ją zwrócił familji, gdyż jest to pamiątka rodzinna. Oddałem ją więc Jędrzejowiczom.

W swym nadzwyczaj pięknym zbiorze autografów różnych słynnych muzyków, posiada autor *Stradioty*, obok takich klejnotów, jak oryginalny obrazek akwarelowy pędzla Goethego, oraz cały szereg listów Brahmsa, Brucha, Masseneta, Verdi'ego, Elsnera i wielu innych, także i kilka dokumentów, odnoszących się pośrednio lub bezpośrednio do Chopina. I tak np. pomiędzy listami muzyków polskich, listami, będącemi nieocenionym materjałem do historji muzyki w Polsce, może się pochwalić i dwoma listami oryginalnemi Chopina, tem ciekawszemi, że nieogłoszonemi dotąd.

Pierwszy z tych listów, pisany do Jana Matuszyńskiego, pochodzi jeszcze z czasów warszawskich. Pisany na szarym papierze wielkiemi literami (bo musiał być pisany gęsiem piórem), brzmi on, jak następuje:

Mr. Jean Matuszyński.

Kochany Jasiu! Co się to dzieje, żeśmy się tak dawno nie widzieli? Codzień Cię oczekuję, aleć widzę, że jak na

[1]) *La Passion*. Traduction française de M. Bourges. Musique de J. S. Bach.

[2]) Partition du Grand Septuor pour piano, Flûte, Hautbois, Composé par N. N. Hummel. Paris, chez Richault, Rue Poissonière, 16, I.

złość nie przychodzisz, zwłaszcza, że mam do Ciebie interes następujący. Ponieważ teraz brzydka pogoda, radbym napisać fortepian do *Warjacji*[1]) na czysto. Do tego trzeba mi twego egzemplarza. *Bądź więc łaskaw jutro* mi go przynieś, a pojutrze jedno i drugie dostaniesz.

Twój

F. F. Chopin.

Prócz listu tego posiada twórca *Flisaków* w swej olbrzymiej kolekcji biletów wizytowych słynnych muzyków, także i bilet wizytowy Chopina. Pochodzi on już z czasów paryskich, z r. 1836 mianowicie, a jest nadzwyczaj wytworny: pośrodku biletu, lśniącego jak atłas, drobniutkie litografowane literki składają się na imię i nazwisko mistrza, *Frédéric Chopin*, u dołu zaś wypisany takiemiż drobniutkiemi literami adres: *38, Rue de la Chaussée d'Antin*. Bilet ten przedstawia tem większą wartość, że na nim Chopin napisał następujących kilka słów do bawiącego wtedy w Paryżu muzyka Brzowskiego:

Nieszczęście chce, że dziś przed siódmą moich czynności skończyć nie mogę, ani byśmy się najedli, ani nagadali, zamawiam więc sobie grzeczność pana Brzowskiego na inny i jemu i mnie dogodniejszy czas.

F. F. C.

— Miałem jeszcze drugi taki bilet wizytowy Chopina, lecz zrobiłem z niego w swoim czasie prezent Hermanowi Scholtzowi z Drezna...

Nadzwyczaj ciekawą jest ta münchheimerowska kolekcja biletów wizytowych, powklejanych do olbrzymiego albumu, który już wypełniają od pierwszej do ostatniej stronicy. Są tu bilety Mendelsohna, Liszta, Ole Bulla, Lipińskiego, z tych zaś niezmiernie ciekawym jest bilet Liszta do Bülowa...

— Bülow był wtedy jeszcze kawalerem, a jak panu wiadomo, ożenił się on z czasem z córką Liszta i hrabiny d'Agoult, znanej w literaturze pod nazwiskiem Daniela Sterne'a. W końcu pani Cosima Bülow, skoro poznała Wagnera, rozwiodła się z mężem, by zostać panią Cosimą Wagner...

Pomiędzy biletami temi znajduje się także bilet niejakiego Norblina.

— Był to także przyjaciel Chopina z czasów paryskich.

Do tychże czasów odnoszą się również dwa listy,

[1]) Op. 2. Warjacje na temat Mozartowskiego *La Ci darem la mano*.

które mi czcigodny dyrektor pokazał tego wieczoru, a nawet skopjować pozwolił. Pierwszy z nich, pisany jest przez Juljusza Fontanę, przyjaciela Chopina, do Brzowskiego, który zabawiwszy w r. 1836 czas jakiś nad Sekwaną, zaprzyjaźnił się z Chopinem. List ten, a właściwie karteczka, brzmi, jak następuje:

Kochany Brzoski! prosił mię Chopin, abym Cię wyszukał, gdyż chciałby Ci dać kilka drobnych rzeczy, które mu obiecałeś z sobą zabrać do Warszawy. Zechciej się widzieć z nim przed Twym odjazdem, a jeśli my cię nie zobaczym, przyjm niniejsze życzenia szczęśliwej podróży i przyjacielskie pozdrowienie.

J. Fontana.

Nierównie ciekawszym i ważniejszym jest list Edwarda Wolffa, znanego wówczas muzyka, do Józefa Nowakowskiego w Warszawie, pisany z Wiednia d. 8 Augusta (sierpnia) 1835 roku.

List ten świadczy wymownie, jak olbrzymi wpływ wywierał już wtedy Chopin na innych kompozytorów, jak wielu liczył już naśladowców, rekrutujących się z pomiędzy najsłynniejszych kompozytorów; do takich bowiem należał Edward Wolff. List ten jest zbyt długi, miejscami nawet zbyt *intime*, by go cytować w całości. Wystarczy przytoczyć na tem miejscu tylko jeden obszerniejszy z niego wyjątek, dotyczący Chopina i Fielda, a dowodzący, iż Field nie był wcale tak zaciekłym antagonistą Chopina, jak to np. utrzymuje Niecks w swej książce.

«Chopin tutaj (w Wiedniu) bardzo już znany i lubiony. N. B. Field jest tutaj, poznanie (z nim moje) było komiczne. Byłem u Graffa (słynnego fabrykanta fortepianów), jak zwykle, i grałem mój koncert. W tem wchodzi Field. Ja zaraz domyśliłem się, iż to on jest, bo mi Graff powiedział, że go co chwila oczekuje. Ma się rozumieć, żem zaraz wstał, ale on prosił, żeby mu grać. Ma się rozumieć nie chciałem grać i wyekskuzowałem się, bo chciałem usłyszeć jego najpierwej. On też zaczął grać. Chopin i ty macie rację, że gra, jak jaki początkujący: żadnej biegłości, żadnej elegancji, i żadnych trudności nie jest w stanie wygrać, jednem słowem bardzo nędzny gracz. Ale i on ma swoje zalety: równa niemiecka gra, wolna: ein, zwei, drei; tryle wolne, ale zawsze czterema palcami. Grał mi *b* koncert, grał czysto, pewno i równo. Oto masz Fielda i nie dziw, że się nigdzie nie podobał. Bardzo wymyśla na Paryż i Włochy, Chopina, Kalkbrennera, Moschelesa, a osobliwie Hummla chwali, a Herza, Liszta ogromnie gani. Dzisiaj daje koncert w teatrze, a ja jestem u niego dzisiaj na obie-

dzie. Bardzo grzeczny i poczciwy człowiek... Nakoniec prosił mię, żebym mu co zagrał. Trochem się ośmielił. Wypaliłem mu *Allegro* moje i *Rondo*, którem tutaj zrobił i skończył. Bardzo mu się podobało, nakoniec zagrałem mu *Etiudy* Chopina i moje *Mazury*. Powiedział mi po francusku: «Ta młodzież to prawdziwie djabelska jest». Pasaże z *Ronda* musiałem mu kilka razy grać... Kilka Mazurów à la Chopin zrobiłem, ale coraz większe dziwaki... Bądź zdrów. Pp. Wiechertowi, Unruhowi, Brzowskiemu, Leśkiewiczowi, Elsnerowi, Cichockim, Wysockiemu, Senewaldowi, Kludowskiemu, Dobrzyńskiemu, Nochowi, Ernemanowi, Sandmanowi, Nepilowi, Funkemu, pozdrowienia i ukłony.

— Wśród wymienionych tu osobistości — mówił Münchheimer — prawie wszyscy byli także znajomymi Chopina. Wspomniani tu np. Cichoccy, mieszkający wtedy na Lesznie, w domu własnym, należeli do jego najserdeczniejszych przyjaciół. Był to dom nadzwyczaj muzykalny. Sam Cichocki był ogromnym amatorem muzyki, posiadał całe składy różnych nut u siebie, a na urządzanych przezeń tygodniowych wieczorkach Chopin należał przed rokiem 1830 do stałych gości. Grywał też u niego bardzo wiele. Dla Cichockiego napisał te Warjacje na flet i fortepian, których manuskrypt posiadam. Mam także pamiętnik własną ręką Cichockiego spisany. Muszą tam być niewątpliwie i wzmianki o Chopinie.

Mówiąc o czasach warszawskich Chopina, mimowoli mówiło się na temat jego przyjaciół warszawskich, a zwłaszcza jego kolegów z konserwatorjum, z którymi jednocześnie kształcił się w sztuce muzycznej.

— Dziś już — mówił Münchheimer — żaden z nich nie żyje, ale ja jeszcze znałem ich wielu. Należał do nich np. Szabliński, z czasem pierwszy wiolonczelista w naszym teatrze Wielkim. Chodził on, jako młody chłopiec, z Chopinem do konserwatorjum, gdzie uczył się grać na waltorni. On to mi opowiadał o improwizacji Chopina u Wizytek na organach w czasie niedzielnego nabożeństwa, na które zawsze w dni świąteczne schodziło się całe liceum.

— O improwizacji tej pisze Sikorski w swem *Wspomnieniu o Chopinie*, drukowanem po jego śmierci w *Bibljotece Warszawskiej*. Współcześnie z Chopinem chodził także do konserwatorjum Tomasz Nidecki, z czasem dyrektor Opery w Warszawie; był on dyrektorem po Kurpińskim, a przed Dobrzyńskim [1]). Był to znakomity muzyk, zarówno

[1]) Po Kurpińskim był dyrektorem opery Tomasz Nidecki, po nim — Dobrzyński, po nim — Moniuszko, po nim — Münchheimer, po nim — Trombini, po nim — Rzebicek, po nim — znów Trombini, po nim — Młynarski.

jako fortepianista, jak i jako kompozytor. Ja grałem jeszcze pod jego dyrekcją. Mam jego portret... Kolegą Chopina z konserwatorjum był także Brzowski, późniejszy inspektor konserwatorjum. Zaprzyjaźniony z Chopinem Józef Nowakowski także z nim kolegował pod Elsnerem. Od niego mam te chopinowskie szkice do kompozycji... Znakomity fortepianista i kompozytor nietuzinkowy, został on później profesorem konserwatorjum warszawskiego, oczywiście nowego konserwatorjum, założonego w r. 1860. Ignacy Feliks Dobrzyński, który, jak mi sam opowiadał, przeinstrumentował Chopinowi w Warszawie jeszcze obydwa jego koncerty (obie partytury zginęły), także zapoznał się z nim bliżej na kursach w konserwatorjum. Tutaj też wspomnieć należy Józefa Stefaniego, z czasem dyrektora muzyki baletowej w teatrze, Juljana Dobrskiego, niezapomnianego Jontka z «Halki», oraz Stolpego. Wszystko to byli koledzy Chopina z konserwatorjum.

— Że też to pan dyrektor wszystkiego tego nie spisze!

— A czy pan wie o tem, iż znany mazurek...

Trzeci Maj, Trzeci Maj,
Zieleni się w polu gaj...

skomponowany jest przez Chopina?

Zgadało się także i o grze Chopina, którą my, niestety, znamy tylko z tradycji, a która była tak odmienną od gry innych fortepianistów.

— Od wielu, co znali Chopina, słyszałem nieraz, że miał takie cudowne *legato*, iż nikt się z nim mierzyć pod tym względem nie mógł, na to zaś, by to *legato* grać lepiej, trzymał ręce ogromnie płasko nad klawiaturą, tak, że grał samemi poduszeczkami palców.

Obok wielu innych ciekawych rzeczy, posiada dyrektor Münchheimer także i nadzwyczaj bogaty zbiór afiszów teatralnych i koncertowych warszawskich, począwszy od roku 1778. Do historji pobytu Chopina w Warszawie przed r. 1830 jest to wcale niepodrzędnej wagi materjał. Pomiędzy afiszami temi jest także jeden, odnoszący się już do epoki paryskiej Chopina, do roku 1836, do epoki jego przyjaźni z Lisztem. Jest to program z koncertu Liszta w Paryżu, w sali Erarda, ze spółudziałem Chopina. Program ten, niestety bez daty, jest tem ciekawszy, iż o takim koncercie Liszta ze spółudziałem Chopina nie wspomina żaden z biografów Chopina, ani Karasowski, ani Szulc, ani Niecks.

A jednak koncert taki miał miejsce, skoro zachował się jego program.

Oto parę wyjątków z tego programu, mogących zainteresować każdego, kto się zajmuje biografją Chopina:

Salons de Mr. Erard
Rue du Mail, Nr. 13.
Dimanche, 9 Avril, à l'heure ½ précise
Mr. LISZT
donnera un Grand Concert dans lequel il se fera entendre pour la dernière fois avant son depart.

Tu następuje program koncertu, program składający się z dwóch części i 12 numerów. A oto ostatnie numery tego programu:

11. Etudes de Chopin (inedites) executées par Mr. Liszt.
12. Grande Valse à 4 mains executée par M. M. Chopin et Liszt.

Prix du billet, 10 fr.
On peut s'en procurer chez les principaux Editeurs de Musique et chez Mr. Erard.

Ciekawą jest nawet i ta cena biletu na taki wielki koncert Liszta, bo gdy ten «król fortepianu» zadawalniał się ceną 10 franków za bilet na swój koncert, Chopin, choć tylko uchodził za »Ariela fortepianu», gdy decydował się na danie koncertu, zawsze żądał od swych słuchaczów 20 franków od osoby, a mimo to o bilety na jego koncerty było o wiele trudniej, niż na jakiekolwiek inne, nie wyłączając koncertów Thalberga i Liszta.

Pomiędzy różnemi drogocennemi pamiątkami, których tyle dyrektor Münchheimer nagromadził w swem mieszkaniu przy ulicy Bielańskiej, znajduje się także książeczka, mogąca zadziwić każdego, kto ma pretensję, iż czytał wszystko mniej więcej, co kiedykolwiek o Chopinie napisano i wydrukowano. Jest nią... biografja Chopina, napisana w 1855, a więc na lat 30 prawie przed Karasowskim, przez niemca W. Neumanna. Oto dokładny tytuł tej bibljograficznej rzadkości, o której istnieniu nie wiedział żaden z dotychczasowych biografów Chopina (przynajmniej żaden z nich ani słówkiem nie wspomina o niej).

Die Componisten der neueren Zeit.
Biographien
von
Adam, Auber etc. etc.
mit Portraits
von
W. Neumann.
Einundzwanzigstes Heft:
FRIEDRICH FRANZ CHOPIN
Cassel,
Ernst Balde
1855.

O ile zdołałem przejrzeć tę książeczkę, nabrałem przekonania, iż jest to dziełko, nietylko pod względem literackim nic nie pozostawiające do życzenia (napisane jest bardzo ładnie), ale co ważniejsza, zawiera mnóstwo informacyj, których nie spotyka się nawet w obszerniejszych biografjach Chopina. Uważam, iż należałoby je przyswoić naszemu piśmiennictwu.

SŁOWACKI I WARSZAWA

Nareszcie i w Warszawie doczekaliśmy się widomego a trwałego znaku kultu dla autora *Króla ducha*[1]). Oddawna mu się to już należało: raz dlatego, że kult Słowackiego, zrazu ograniczony do «maleńkiej drużby tych, którzy mogli pokochać serce jego dumne», w ostatnich czasach wzrósł w sposób niebywały, tak, iż dziś «siła fatalna» jego poezji nietylko ujarzmia cały Parnas polski, ale podbija sobie coraz większą ilość czcicieli i wśród zwykłych «zjadaczów chleba»; a powtóre, że żaden z trójcy naszych wielkich poetów, ani Mickiewicz, ani Krasiński, nie żywił takiego kultu dla Warszawy, jak Słowacki. Mickiewicz, który ma tu już swój wspaniały pomnik, nigdy w Warszawie nie był, to zaś, co napisał *O krytykach i recenzentach warszawskich*, dowodzi raczej pewnego uprzedzenia do naszego mazowieckiego grodu, aniżeli szczególnej sympatji. Krasiński, choć tu miał swój pałac na Krakowskiem Przedmieściu, o ile w nim bywał rzadkim gościem, o tyle nie lubił przebywać w jego murach, tęskniąc w nich do słońca Włoch i do tamtejszych mórz z *lapis lazuli*... Słowacki tymczasem, który przez dwa lata mieszkał w Warszawie, jako bezpłatny aplikant w ówczesnej komisji skarbu, przez całe życie nigdy o Warszawie nie odzywał się inaczej, tylko z uwielbieniem, a czasy spędzone tutaj, choć mu «nudna praca finansowa» w biurze przy ulicy Rymarskiej wcale nie dogadzała, zawsze wspominał z rozrzewnieniem, jako jedną z najmilszych epok w swojem życiu.

Ta sympatja dla Warszawy, nacechowana jakby jakiemś uczuciem wdzięczności, jest bardzo znamienna dla Słowackiego i daje mu *pod względem czysto warszawskim* niemałą wyższość nad jego dwoma wielkimi spółzawodnikami. Wszystko mu się tu podobało, a wobec tego nie wyda się nikomu dziwnem, że i o «naszych przymilających się kobietkach warszawskich» wyrażał się do końca życia z niekłamanem uznaniem... Ale bo też i niemało wspomnień przywiązywało go do Warszawy!

[1]) Artykuł ten ukazał się d. 26 listopada 1900 r. w dzień odsłonięcia tablicy pamiątkowej Juljusza Słowackiego w warszawskim kościele Ś-go Krzyża (w dniu śmierci mego ojca).

Tutaj, w roku 1830, stawiał swe pierwsze kroki na literackiej arenie (w wydawanej przez Odyńca *Meliteli*) a w chwilach wolnych od obowiązkowych zajęć biurowych napisał prawie całe dwa pierwsze tomy swoich pozyj (opublikowanych następnie w r. 1832 nad Sekwaną). *Marja Stuart* i *Mindowe*, *Mnich* i *Arab*, *Jan Bielecki* i pierwsze pieśni *Żmiji* wyszły z pod pióra 20-letniego podówczas poety w jego mieszkaniu przy ulicy Elektoralnej... Tutaj też w roku 1830, jako autor *Hymnu do Bogarodzicy* kosztował po raz pierwszy — i bodaj czy nie jedyny w życiu — słodkich owoców popularności. Wszystko to usposabiało go dla «grodu syreniego» nadzwyczaj przychylnie, to też i listy, jakie stąd pisywał do swoich, nie zawierają ani jednego wyrażenia na niekorzyść Warszawy; owszem, wszystkie świadczą wymownie, że do Warszawy przywiązał się całem sercem, że pokochał to miasto, podobnie jak kochał Krzemieniec i Wilno.

Dowodów na to dostarczają nietylko listy Słowackiego, ale i jego poezje. Rozmiłowany w Warszawie, niejednokrotnie obierał ją za tło dla swych utworów, a swój poemat o *Piaście Dantyszku* poprzedził wzniosłym sonetem, w którym pieśń tę składa Warszawie «pod nogi» w hołdzie, niby królowej. Jak poprzedzające poemat ten *Ofiarowanie* jest jednym z najpodnioślejszych wierszy Słowackiego, przyczem równa się wspaniałej apoteozie Warszawy, tak poemat sam jest dantejskim obrazem Warszawy za Królestwa Kongresowego. To samo da się powiedzieć i o *Kordjanie*, w którego dramatycznych dziejach najefektowniejszemi są te sceny właśnie, które się rozgrywają na warszawskim bruku, bądź w Zamku, bądź w Katedrze Św. Jana, bądź na Placu Saskim, bądź pod kolumną Zygmunta. Do tej ostatniej czuł Słowacki szczególną predylekcję, tak dalece, że jeszcze w okresie towjanizmu, a więc w lat kilkanaście po opuszczeniu Warszawy, rozrzewniał się w przystępie jakiegoś mistycznego *Uspokojenia* na samą myśl a tej smukłej kolumnie. Oto, co o niej pisał między innemi:

> Jest u nas kolumna w Warszawie,
> Na której usiadają podróżne żórawie,
> Spotkawszy jej liściane czoło śród obłoka...
> Taka, zda się, odludna i taka wysoka!

Za tą kolumną, we mgły tęczowe ubrana,
Stoi trójca świecących wież świętego Jana,
Dalej ciemna ulica, a z niej jakieś szare
Wygląda w perspektywie sinej *Miasto Stare...*

Z wrażeń Słowackiego, doznanych w czasie pobytu w Warszawie, jedno, mianowicie chwila odsłonienia pomnika Kopernika przed gmachem Towarzystwa Przyjaciół Nauk w d. 11 maja 1830 r., odbiło się w jego *Podróży na Wschód,* gdzie poeta pisze między innemi:

Lubię, gdy pada promień złotolity
Na siwe włosy starego żebraka
Albo na czoło umarłej kobiety...
Lubię, gdy pada z chmur na odsłonioną
W pochmurnym rynku statuę Kopernika...

Z listów Słowackiego do matki, pisanych z Warszawy od lutego 1829 r. aż do marca r. 1831-go, zachował się tylko jeden z dnia 15-go września 1830-go r., zawierający opis wizyty poety i Tomasza Potockiego u Niemcewicza w Ursynowie. Nie od rzeczy może będzie opis ten raz jeszcze szerszemu ogółowi przypomnieć.

«Ursynów leży o maleńką milę od Warszawy za Mokotowem. Śliczny był ranek, trochę zimny, mgła lekka jesienna pokrywała rozległe i piaszczyste równiny Mazowsza. Myśl, iż jadę do starego poety, który wiek Stanisława Augusta z naszym wiekiem łączy, zajmowała mnie bardzo; nadto niepewny byłem, jakie mnie tam spotka przyjęcie, bo Niemcewicz przez kobiety popsuty, bardzo się zrobił kapryśnym. Nareszcie stanęliśmy u celu podróży. Pojazd nasz zatrzymał się w alei, w której zdaleka widać już było dom poety. Nie kazaliśmy jechać dalej, bo Niemcewicz stał przed gankiem. Podobnie więc, jak Lubańska do Częstochowy, zbliżaliśmy się pieszo z sercem skruszonem. Powitał nas dość obojętnie, ułożyłem mu jakiś naprędce komplement, który przyjął z uśmiechem. Zaczął rozmowę o Wilnie rąbiącym tonem Śniadeckiego. O źle, pomyślałem sobie, na toż przyjechałem tutaj, żebym mu potakiwał. Szczęściem, iż rozmowa ta prędko się skończyła. «Panie hrabio, rzekł do Potockiego, wszak znasz mój Ursynów, oprowadź pana Słowackiego po piękniejszych miejscach, ja się muszę tymczasem przebrać». To mówiąc, skłonił się nam i wszedł do domu, a my poszliśmy chodzić po ogrodzie. Śliczny starego Ursynów; zarosły wielkiemi drzewami, bardziej do dzikiego lasu niż do ogrodu podobny. W wielu miejscach małe widać łąki, na których wybiera paszę jedyna krowa Niemcewicza... Przyszliśmy wkrótce do małej altanki z kory, na której wszyscy podróżni piszą wierszyki na pochwałę Niemcewicza; żadnego jednak napisu nie widać, bo je staruszek zdzierać kazał przez skromność. Usiadłem w altanie. Potocki stał nade mną, a widząc, że jestem nadzwyczaj smutny i blady, spytał mnie o przyczynę. «Myślę — odpowiedziałem mu — iż szczęśliwy, kto może tak pisać, jak Niemcewicz, słodko i przyjemnie, bez trawienia się własnym ogniem. Szczęśliwy, odpocznie na starość w tak cichym domku, wtenczas, gdy na grobach młodszych od niego ludzi trawa porastać będzie». Wtem lokaj, przysłany od starego, zaprosił nas na śniadanie. Właśnie trzeba było śniadania, żeby przerwać bieg marzeń! Usiedliśmy po obu bokach Niemcewicza i podano herbatę z pasztetem na zimno. Wymówiliśmy się od jedzenia i przestaliśmy na samej tylko rozmowie... Przy śniadaniu Potocki zaczął mnie prosić, żebym co przeczytał Niemcewiczowi. Staruszek oświadczył mi także chęć słyszenia moich robót, chociaż wprawdzie dosyć obojętnie... Opatrzyłem się na przypadek w trzeci akt tragedji *Mindowe;* na wezwanie powtórne staruszka czytać zacząłem. Niemcewicz słuchał z początku bokiem odwrócony; gdy przyszło do drugiej sceny, w której Mindowe zrywa z krzyżakami, obrócił się nagle, czoło jego pomarszczyło się, widać było znacznie natężoną uwagę; patrzył mi w oczy, jakby chciał mnie całego przeniknąć; a oczy ma szare, przenikliwe i z wielkiemi najeżonemi brwiami, jak oczy Jana Śniadeckiego. Przy końcu drugiej sceny wykrzyknął głośno. Ten wykrzyknik bardziej mi pochlebił, niż wszystkie potem dawane pochwały. Czytałem dalej, słuchał cierpliwie. Kiedy skończyłem, powiedział: «Cieszę się, iż przed śmiercią widzę, że jeszcze zostanie w Polsce poeta, co ma tak wielki talent». Potem dodał: «Przepisz pan tę tragedję na kilka rąk. Chciałbym ją całą czytać». Odtąd stary przypatrywał mi się z uwagą, a przy pożegnaniu powiedział mi jeszcze: «Cieszę się, iż poznałem tak zacnego młodzieńca». Prawda, jak to po staropolsku?...

W wydanej niedawno mickiewiczowskiej *Księdze pamiątkowej* p. Ignacy Baliński ogłosił jedenaście listów Słowackiego do Aleksandry Becu w Wilnie, późniejszej pani Mianowskiej, a pomiędzy listami temi aż siedem pisanych jest z Warszawy. Na pobyt Słowackiego w Warszawie rzucają listy te najwięcej światła.

Przybywszy tu z Krzemieńca d. 17-go lutego 1829 r. i zamieszkawszy u młodego litwina, Hrehorowicza, urzędnika z komisji skarbu, w niespełna dziesięć dni po swem rozlokowaniu się na nowej kwaterze tak pisał do «Olesi»:

«Pomimo najtęższych mrozów podróż miałem bardzo przyjemną i prędką: jechałem pocztą i we dwa dni po wyjeździe z Krzemieńca, tak jakby ze snu obudzony, zobaczyłem się na ulicach Warszawy, ale za pierwszem mojem na te ulice wyjściem miałem niepospolity przypadek: para koni, unosząc powóz i pozbywszy się już stangreta, w szalonym pędzie przeskoczyła przez sanki, któremi ja jechałem, i przeskoczywszy przez nie, zaraz padła. Schylony aż do ziemi, cudem prawie niepojętym uniknąłem ich kopyt i ledwom się wyrwał z lejc, któremi mnie oplątały. Ty, która w sny i przepowiednie wierzysz, osądź ten przypadek, zdarzony przy pierwszem wyjściu na ulice Warszawy: dobry mi to w niej lub zły pobyt wróży?... Z Warszawą tak mało jestem obeznany, iż Ci nic o niej jeszcze donieść nie mogę, chyba to, iż bez porównania ładniejsza od Wilna... Dotychczas smutnie mi jeszcze w nowem mieście, tak mało mając znajomych i będąc tak od znajomych daleko».

«Czując potrzebę samotności», przeprowadził się wkrótce Słowacki na ulicę Miodową do pałacu Paca i tu w swem samotnem mieszkaniu, o ile nie pisał, «znakiem krzyża świętego odpędzał spleen i wszystkie mary», które go teraz stęsknionego za domem częściej niż kiedykolwiek napastowały. «Największem dla mnie teraz, roztargnieniem i zabawą — pisał d. 15-go kwietnia 1829 r. do panny Becu — są kłótnie między poetami a recenzentami warszawskimi, których wszystkich prawie poznałem. Rozdrażniła ich i poróżniła na wieki przedmowa Mickiewicza w petersburskiej edycji dzieł jego... Pozajutro już w Warszawie Wielki Piątek. Będę obchodził groby, będę się przypatrywał ładnym i ładnie postrojonym damom... Chciałaś wiedzieć, kochana Olesiu, jak mi się w biurze mojem powodzi? Donoszę Ci, iż dobrze, bardzo dobrze i praca moja, choć bardzo uciążliwa, nie jest jednak machinalna; owszem, użyty byłem przez moich naczelników do zdania sprawy z kilku dosyć trudnych i dawniejszych epok interesów i zdaje mi się, iż z nich byli kontenci».

W liście z d. 23-go czerwca opisuje Słowacki uroczystość wianków: «Powracam właśnie teraz z mostu nad Wisłą. Jest to wigilja do św. Jana, dzień, w którym dziewczęta tutejsze, chcąc się dowiedzieć o prędkiem zamążpójściu, rzucają wianki na wodę. Za wiankami temi upędzają się na czółnach przewoźnicy i łapią je, skoro doścignąć zdołają. Wszystko to przedstawia bardzo ożywiony widok: często się zdarza, że psy, do aportowania wprawne, podżegane od złośliwych chłopaków, wpław się za wiankami rzucają i wynoszą one na brzeg, a stąd zaraz dziewczęta

źle sobie rokują na przyszłość i smutek przynajmniej na cały tydzień. Cała publiczność warszawska w dniu tym zbiera się na moście; mnóstwo dam ładnie ubranych łowi nie mające się na baczności serca. Przyznam Ci się jednak, że dotąd oswoić się nie mogę z przesadą i kokieterją, która tu już ładne i brzydkie ogarnęła...» Mimo to «nudzą mię etykietalne wieczory u panny Kickiej, która tu na wielkim tonie żyje, a jeszcze bardziej mnie nudzą w innych domach wizyty».

Przeprowadziwszy się we wrześniu na ulicę Elektoralną do domu pod numerem 755 (dom ten istnieje dotychczas), zadowolony ze swojej nowej siedziby, tak o niej pisał do Olesi: «Pisałem Ci, że teraz zmieniłem mieszkanie. Muszę Ci donieść, iż moje teraźniejsze apartamenta są mi bardzo miłe z wielu względów: naprzód mam okna długie do ziemi z galeryjkami i często, kiedy miesiąc świeci, opieram się o nie i zdaje mi się, że jestem w Wlnie i z Tobą jeszcze gadam; pierwsze piętro i dosyć ludna ulica przypominają mi bardzo ulicę Zamkową. Nadto ostatni pokoik, w którym pracuję, mały, zielono pomalowany, z wielkim piecem, który się z pokoju pali, podoba mi się nieskończenie i dotąd ciągle w nim siedzę». «Na warszawskim teatrze grają teraz raz po raz nową a dla nas starą sztukę p. t.: *Chłop miljonowy*. Piękność tej sztuki cała leży na dekoracjach, które prawdziwie są zachwycające; zresztą cała sztuka dosyć słaba i bez sensu. Chciałbym, żebym ją kiedy na teatrze wileńskim wystawiono z waszą godną maszynerją: dopieroby się ładna wydała. Wiesz zapewne z gazet, że w Warszawie utworzył się drugi teatr, nazwany Rozmaitości, tańszy od pierwszego, złożony z młodych uczniów szkoły dramatycznej, którzy ciągle same farsy dają, nie tak jednak dobrze, jak w Wilnie *Damy i huzary*.

Ciekawe są te porównania scen warszawskiej i wileńskiej na korzyść tej ostatniej... Interesując się ruchem umysłowym, donosił Słowacki Olesi i o ważniejszych zdarzeniach w świecie literackim warszawskim. «Romantyczność przemaga już u nas — pisał d. 16-go stycznia 1830 r. — Goethe wybrany został na członka Towarzystwa Przyjaciół Nauk i tylko jedna kreska, zapewne Koźmiana lub Osińskiego, była przeciwna temu obiorowi. Obrano także na członka Towarzystwa Korzeniowskiego, autora *Prób dramatycznych*, a spodziewam się, że niezadługo i pannę Korzeniowską obiorą».

Z listów Słowackiego, z Warszawy pisanych, zachował się jeszcze jeden z dnia 21-go maja 1829-go roku do Odyńca, z którym autor *Marji Stuart* często widywał się w począt-

kach swego nad Wisłą pobytu, a który teraz bawił z Mickiewiczem w Petersburgu. W liście tym opisuje Słowacki autorowi *Izory* uroczystości koronacyjne warszawskie w tych słowach donosząc mu o nich: «Wiedzą tutaj wszyscy o Twojem wywróceniu się zaraz po wyjeździe z Warszawy... Twoje nieszczęście kładą na równi z nieszczęściem kilku szambelanów, którzy podczas wjazdu Najjaśniejszego Pana przy wystrzale pierwszym z armat pospadali z koni...» Charakterystyczny jest w liście tym ustęp o Mickiewiczu. «P. Mickiewiczowi oddaj pod sąd moją powieść. Będę mu bardzo wdzięczny, jeśli ją zechce przeczytać. Nieskończenie byłbym mu obowiązany, gdyby raczył choć kilka słów własnoręcznie o niej napisać...»

Wprawdzie Mickiewicz nie uczynił zadość życzeniu Słowackiego, ale wyręczyło go w tem roku 1830 po wyjściu *Meliteli* Odyńca dwóch recenzentów warszawskich, którzy, zdając sprawę z pomienionego «noworocznika», nie pominęli milczeniem i bezimiennie wydrukowanego w nim *Hugona* Słowackiego. Jeden z nich w *Gazecie korespondenta warszawskiego* wyraził się o poemacie tym z lekceważeniem, drugi zaś w *Pamiętniku umiejętności moralnych* z najwyższem uznaniem. Pochwała brzmiała tak: «Autor *Hugona*, powieści krzyżackiej, chociaż się nie nazwał, może być pewnym, że o nazwisko jego dopytywać się będzie publiczność i wyglądać więcej płodów jego pióra». Inaczej brzmiała nagana. «Mickiewicz, naśladowany w baladach i sonetach, znalazł już naśladowców i w *Wallenrodzie*. Jakiś bezimienny umieścił w *Meliteli, powieść* krzyżacką, wiernie przypominającą *Wallenroda* i nieoddzielną cechę naśladownictwa, niedołężność. Ciekawa rzecz, kiedy romantycy przestaną naśladować i, co gorsza, naśladować jedni drugich».

Okazuje się z tego, iż w Warszawie spotkała Słowackiego pierwsza publiczna zachęta do pracy na niwie poezji i że tu również strzelono doń po raz pierwszy z za płotu, co w późniejszej jego karjerze pisarskiej powtarzało się tak często. Tutaj więc, odrazu po swem pierwszem wystąpieniu literackiem, spotkał się z pierwszym głosem uznania i tutaj również, przy tej samej okazji, napojono go po raz pierwszy goryczą.

Ale szlachetny z natury, prędko zapomniał o tym głosie niechęci, a gdy w marcu roku 1831 opuszczał Warszawę, wyjeżdżał ze smutnem przeczuciem, że «śliczny kraj opuszcza i może do niego nigdy nie będzie mógł powrócić». Przeczucie to sprawdziło się, niestety, w zupełności, ale po upływie pół wieku od śmierci poety duch jego nietylko wró-

cił do Warszawy, ale tu zapanował we wszystkich sercach i umysłach. Dzisiaj już wszyscy godzą się na to, że «płaszcz na jego duchu był nie wyżebrany, lecz świetnościami dawnych jego przodków świetny», a ostatnie jego na krótko przed śmiercią wyrażone zaklęcie do rodaków, iżby «przed narodem nieśli oświaty kaganiec», stało się dziś ideą przewodnią całego społeczeństwa...

CHOPIN W DZIENNIKU BRZOWSKIEGO

W końcu listopada 1836 roku przybył do Paryża dobrze znany Chopinowi z czasów jeszcze warszawskich Józef Brzowski (późniejszy inspektor instytutu muzycznego w Warszawie). Źle uprzedzony do twórcy *Ballady G-mol*, nie spieszył się z odwiedzeniem go, gdy jednak, zetknąwszy się ze światem paryskim polskim, dowiedział się, że mu Lipiński «same nieprawdy w Dreznie nagadał» o Chopinie, nie zwłócząc, wybrał się na Rue de la Chaussée d'Antin Nr. 38, odnowić znajomość z «Kopernikiem fortepianu, poetą i śpiewakiem uczuć».

Przez cały czas pobytu swego zagranicą, pisał Brzowski dziennik swych czynności i wrażeń, na którego podstawie skreślił z czasem nieogłoszone dotąd drukiem swe *Wrażenia artystyczne z podróży po Niemczech i Francji*[1]). Są one bardzo zajmujące tam, gdzie mowa o Chopinie, ale nierównie ciekawszym w tych miejscach jest dziennik Brzowskiego, który przez to zwłaszcza, że pisany pod świeżem wrażeniem przeżywanych wypadków, posiada jeszcze wartość pierwszorzędnej wagi dokumentu historycznego. Oto kilka z niego wyjątków, odnoszących się do końca roku 1836.

3 grudnia. Sobota.

Będąc zreflektowany od Lipińskiego względem Szopena, nie chciałem od niego zacząć moich odwiedzin i poszedłem do Wojciecha G(rzymały), co też on mnie o Szopenie powie. Z zadziwieniem przyjął mnie Albert[2]) i z ukon-

[1]) Rękopis obu tych prac Brzowskiego posiada w zbiorach swych p. Al. Poliński. W zajmujących feljetonach *O Fryderyku Chopinie*, drukowanych w *Kurjerze Warszawskim* (z d. 17 października 1899 i nast.) przytoczył on między innemi kilka wyjątków z *Wrażeń artystycznych* i te mianowicie, które się odnoszą do Chopina.

[2]) Grzymała. Choć mu było na imię Wojciech, prawie cała emigracja nazywała go stale Albertem (z niemieckiego).

tentowaniem. Wypytywał się o całą rodzinę i niektóre dał mi objaśnienia co do pozycji artysty w Paryżu. Na Szopena nic tak dalece złego mi nie powiedział i niepowodzenie Lipińskiego przypisywał tylko własnemu jego dziwactwu i niezgrabności... (Po wyjściu od Grzymały), idąc z nim bulwarami, spotkałem Müncheimera i Wysockiego z Banku. Rozstawszy się z Albertem, który mi mieszkanie Szopena i Berlioza wskazał, udałem się do Berlioza...

4 grudnia. Niedziela.

Dnia tego ranek poświęciłem wizycie Szopenowi i o w pół do 10-tej poszedłem do niego. Zastałem go zajętego kilkoma osobami, z któremi był zajęty, jednak uprzejmie mię przywitał i przyjął. Bardzo pięknie ma urządzony apartament, ale nie duży, jak zwykle w Paryżu napotyka się. Znalazłem go niewymownie dobrze ukształconego i pełnego dowcipu. W długiej gawędce, gdy sam był, wręczyłem mu listy i medal Mozarta od Tajchmana. Piliśmy we trzech kawę (trzecim był niezawodnie Matuszyński, z którym Chopin mieszkał). Rozpowiadałem mu nowiny z teatru Warszawskiego. Zostałem u niego przeszło do pierwszej, bo prócz mnie co moment ktoś go odwiedził. Sam nie śmiałem prosić go, aby grał, ale namówiłem do tego drugą osobę (Matuszyńskiego) i zasiadł do fortepianu. Grał parę cudownych nowych Etiudów i inne kawałki, oczywiście niezmiernie przednio, z wielkiem czuciem i natchnieniem. Przyszedł potem Fontana, jego protégé. Poznał mnie odrazu. Po pierwszej godzinie opuściłem ich, bom miał być na koncercie Berlioza.

6 grudnia. Wtorek.

(Po spotkaniu się z malarzem Teofilem Kwiatkowskim, który mi obiecał zwiedzić ze mną muzea paryskie), poszedłem do Szopena, alem go nie zastał. Pograłem trochę na jego fortepianie, a lokaj oznajmił mi, że go mogę zastać o 7-ej dziś wieczór... O godzinie w pół do 5-tej poszedłem do Berlioza, który mię przyjął, mówił o projekcie wyjechania do Niemiec z symfonjami swojemi i prosił, abym poszedł na próbę jego następnego koncertu, w którym i Liszt grać będzie...

Od Berlioza poszedłem do Szopena i zastałem go kończącego obiad z Witwickim i jeszcze kimś, zdaje mi się, że to był doktór Matuszyński. Był to dzień imienin ojca Szopena. Piliśmy kawę, i potem prosiłem Szopena, żeby grał. Cudownie grał Etiudy, Nokturna, i żądał, abym mu co zagrał. Musiałem moje Mazurki grać. Podobały mu się. Sam

się ofiarował mnie wprowadzić w domy (polskie) i zaraz jutro uprojektowaliśmy do pani Mycielskiej, ale powiedziałem, aby odłożyć, gdyż mi brak rzeczy do toalety. A powtóre chcę pójść na jutrzejszą reprezentację *Hugenotów*. Prosił mnie jutro na obiad. Był kontent, że mam listy do Norblina i Huszczewskiego starego i uprzejmie rozstał się ze mną. W tych dwóch spotkaniach się z Szopenem zaczynam się przekonywać o fałszywem odmalowaniu go przez Lipińskiego. Traktowanie mnie Szopena pomyślne mi rokuje powodzenie.

7 grudnia. Środa.

...O 5-tej wróciłem do domu, aby się wybrać na obiad do Szopena. Tymczasem zastałem jego kartę z przeproszeniem, że nie będzie mógł być przed 7-mą w domu, a tem samem najeść się ze mną i nagadać, i osobiście prosił, aby to na inny czas zostawić [1]).

13 grudnia. Wtorek.

...Po obiedzie przychodzę (do domu), zastaję kartkę: poczciwy Szopen był znowu u mnie i zostawił inwitację na dzisiejszy u niego wieczór, w tych słowach: «Dziś mam parę osób u siebie, panią *Sand* między innemi, Liszt gra, Nourrit śpiewa. Jeżeli może to być przyjemnie panu Brzowskiemu, czekam go wieczorem». Te zaprosiny były mi na rękę, gdyż miałem czas pójść do teatru i zrobić początek bywania *gratis* w operze, a później znajdować się na wieczorze tyle interesującym. Opuściwszy *Otella*, którym się był już wczoraj nasycił... trzeba się było wybrać do Szopena... Wieczór ten był dystyngowany, bo się składał z osób dziś wielką sławę posiadających w literaturze i sztukach, i tak: Była pani George Sand, jakaś hrabina (d'Agoult) mająca inklinację do Liszta, Wice-hrabia *Kustine*, Szelszer, Sue, Liszt, Nourrit, Bernard i Włodzimierz Potoccy, Albert (Grzymała), Pixis, pianista wiedeński, Matuszyński, doktór, przyjaciel Szopena, i ja. Te dwie kobiety paryskie były oryginalne, osobliwie pani Sand, piękna dosyć osoba, ale fizjognomja

[1]) Bilet ten Chopina zachował się aż do naszych czasów. Obecnie jest on w posiadaniu dyr. Adama Münchheimera. Napisał na nim Chopin, co następuje:

Nieszczęście chce, że dziś przed siódmą moich czynności skończyć nie mogę. Ani byśmy się najedli, ani nagadali. Zamawiam więc sobie grzeczność pana Brzowskiego na inny i jemu i mnie dogodniejszy czas.

F. F. C.

Zob. moje *Preludja o Chopinie* w *Echu muzycznem* z r. 1899.

zimna, w której malowała się pretensja do literatury i w całej toalecie oryginalnej widzieć się dało chęć do odznaczenia się aż do dziwactwa, bo była pół po męsku pół po damsku ubrana: gorsik z rękawami jakby pasterski, bo i guzikami i wyłogami ozdobiony, przytem szeroka szarfa, do tego czarne włosy na wpół głowy rozdzielone i w lokach po obu stronach twarzy spadające, od czoła przepaską oddzielone. Dziwnie się prezentowało to wszystko. Pani hrabina (d'Agoult) nie odznaczała się dziwactwem ubioru. Szopen poznał mnie z *Pixisem*, a później z Lisztem, który drugim oryginałem mi się pokazał. Nic oryginalniejszego (jak) jego długie włosy. Przy swojem dziwactwie ma coś genjalnego w całej fizjognomji, pełen dowcipu i wiadomości, ale zawsze z fiksacją to połączone. A talent na fortepianie, to jest ósmy cud świata!!! Grał tylko z Szopenem na 4 ręce sonatę Moschelesa, nie okazał więc mi w całej okazałości swoją nieporównaną biegłość, ale i w tej małej próbce nadziemskiego człowieka znalazłem. Po *Sonacie* Nourrit [1]) śpiewał rzeczy Szuberta wybornie, Liszt mu akompanjował. Potem zaczęła się konwersacja, a mianowicie dysputa Bernarda (Potockiego) z Lisztem o *Sekcie ludzkości*, do której Liszt i pani Sand należ(eli). Z tej dysputy i Szopen i drudzy nie byli kontenci, bo nudziła, a na prośbę Liszta, aby co swego sam zagrał (Chopin) nie chciał zezwolić. Nudziłem się przeto z parę godzin i nie wszyscy do końca wytrwali. Przyjmował Szopen po dwakroć lodami i wkońcu herbatą z tortem, czem ona hrabina (d'Agoult) się zajęła. Do oryginalności pani Sand dodać to jeszcze trzeba, że prawie cały wieczór cygaro damskie paliła.

15 grudnia. Czwartek.

Kartka od Marcina Norblina: «Szanowny Panie

[1]) Adolf Nourrit nie był bynajmniej artystą zwyczajnym. Nietylko ze względu jego głosu, wdzięku metody, czystości gustu, potęgi dramatycznej gry, objawiły się za nim te żale (gdy w lutym 1836 roku po raz ostatni w Paryżu wystąpił); Nourrit przez swoją inteligencję i czułość, mieścił się w rzędzie artystów-twórców. On nie ograniczał się na doskonałem odśpiewaniu roli, on rzeczywiście stwarzał osobę, która miała być reprezentowaną, on nadawał ciało ideałowi kompozytorów, głos i odcień, jaki zapomniał kompozytor mu nadać; on wynajdował kształt widzialny dziełu każdego autora. Otóż to, co nigdy zastąpić się nieda... Adolf Nourrit był nietylko artystą; on był także człowiekiem; i dlatego był tak wielkim artystą. Był on człowiekiem: myślał i ukazywał się wszędzie, gdzie tylko jaka nowa idea powzięła zaród, wszędzie, gdzie przeniknął jakowe tajemnicze wstrząśnienia, zapowiadające przyszłość, bo kochał swój kraj świętą synowską miłością.

Brzowski! W sobotę ma być wieczór u Cherubiniego. Jeżeli tam Pana Szopen prowadzi, to już o niczem; jeżeli inaczej, to trzeba, żebyśmy się umówili, gdzie się znaleźć [1]).

18 grudnia. Niedziela.

(Po widzeniu się z Berliozem) poszedłem do Szopena, nie zastałem go i kartkę zostawiłem. Blisko jest mieszkanie Wołowskiego doktora [2]), przeto do niego poszedłem.

[1]) Na wieczorze tym był Brzowski bez Chopina, lecz z Norblinem (polakiem, wiolonczelistą w orkiestrze Wielkiej Opery paryskiej) i Edwardem Wolffem (kompozytorem, również Polakiem). Oto wyjątek z dziennika jego, opisujący pod datą d. 16 grudnia ten wspaniały raut. «Ten wieczór nieporównane mi sprawił korzyści i przyjemność. Znajdowałem się w towarzystwie najzasłużeńszych i najsławniejszych mistrzów przeszłej i teraźniejszej epoki w sztuce muzycznej. Na wstępie pan Norblin przedstawił mię pani Cherubini, potem jej mężowi, dalej panom: Paërowi, Baljotowi, Majerberowi, Haleviemu, Riesowi, Bertonowi, zaś Majerber zaraz mię z Habanekiem zapoznał i młodym Boildieu. Nourrit był, alem go już u Chopina poznał... Bardzo wiele innych jeszcze było osób, a wszystko najznakomitsi artyści. W takiem tedy towarzystwie słuchałem próby ostatniego dzieła Cherubiniego, *Requiem*. Niesłychane wrażenie mi było siedzieć i słuchać w gronie tylu znakomitych mistrzów i widzieć, jak fortepiano trzymał Halevy, zastępując dęte instrumenty, a akompaniamentowi, zdublowanemu kwartetowi i chórowi, dyrygował Habanek. W pośrodku tego wszystkiego siedział staruszek Cherubini i słuchał, dając baczenie na cudownie łączącą się harmonję dzieła swego..., potem śpiewano *Dies irae*.

[2]) W domu Wołowskich bywał Chopin bardzo częstym gościem. Oto, co o nim opowiada pani Aleksandryna Faucher, z pierwszego męża Wołowska. Był on zawsze nadzwyczaj wesołego usposobienia, bo jak się ktoś o nim wyraził trafnie, duszę miał smutną, a umysł wesoły. Jakoż trzymały się go ciągle najrozmaitsze figle, a że posiadał nadzwyczajny talent naśladowczy, pozwalający mu w najzabawniejszy sposób przedrzeźniać ruchy, głos, chód, mowę i t. d. swoich przyjaciół i znajomych, więc zdarzało się nieraz, iż tym swoim talentem doprowadził najwykwintniejsze towarzystwo do wybuchów iście homerycznego śmiechu: szczególniej, gdy naśladował i karykaturował różnych znakomitych fortepianistów. Wogóle, o ile mu zdrowie jako tako dopisywało, zawsze miał głowę pełną konceptów, a im większą czuł dla kogość słabość, tem chętniej lubił mu sprawić jakąś humorystyczną niespodziankę. Z Wołowskimi, u których czuł się jak w domu, łączył go stosunek prawdziwej przyjaźni i poufałości: wpadał do nich, jako bliski ich sąsiad, w różnych porach dnia, nawet w takich godzinach, w których nie zwykło się przychodzić z wizytą, a że zawsze był *le bien venu* rozumie się samo przez się. Otóż zdarzyło się raz, że zadzwonił w porze, w której pani Wołowska jeszcze nie była ubrana. Otworzyła mu służąca, która, spostrzegłszy, że to on, poprosiła go do salonu, sama zaś poszła uwiadomić panią, kto przyszedł z tak wczesną wizytą. Pani Wołowska, która się ubierała właśnie, dowiedziawszy się, iż to Chopin, nie wyszła do niego zaraz, lecz kończyła się ubierać, gdy nagle dosłyszała przez otwarte drzwi odgłos ożywionej rozmowy. Toczyła się ona w przedpokoju, we drzwiach prowadzących do salonu, a okazywało się z niej wyraźnie, że Chopin nie przyszedł sam, lecz w towarzystwie, o czem, dziwna rzecz, służąca nie powiedziała ani słowa. Zaintrygowana, ktoby to mógł być, pani Wołowska zaczęła nadsłuchiwać i o dziwo! poznała po głosie, iż osobą, z którą właśnie Chopin rozmawiał, była... księżna Adamowa Czartoryska. Certowali się oboje, kto ma wejść wprzódy, żadne z nich bowiem nie chciało wejść pierwsze: oboje uważali się za niegodnych pierwszeństwa: księżna utrzymywała, że tak znakomity artysta, jak Chopin, nie mógł wchodzić drugi, on zaś w żaden sposób przystać na to nie chciał, dowodząc, że zawsze w takich razach pierwszeństwo należy się damie, cóż dopiero, gdy nią jest tak dostojna matrona, jak księżna pani, której i z wieku i z urzędu zaszczyt się ten należy. Tak się certując, wciąż nie przekraczali progu salonu, a tymczasem pani Wołowska, zaskoczona tą niespodziewaną wizytą księżny, wizytą o tak niezwykłej porze, mocno tem skonfundowana, że ją księżna zastaje jeszcze przy tualecie, woła służącą i, coraz bardziej śpiesząc się z ubieraniem, pyta ją tonem wymówki, dlaczego nie powiedziała nic, iż pan Chopin przyszedł nie sam, lecz w towarzystwie księżny. Służąca, zdziwiona tem zapytaniem, odpowiada, że prócz Chopina, za którym drzwi sama przecież zamknęła, nie widziała nikogo, coby wchodził z nim razem... W tejże chwili jednak, z przedpokoju doszedł znów odgłos rozmowy Chopina z księżną, która wciąż jeszcze nie mogła się zdecydować na wejście do salonu przed swym znakomitym towarzyszem. Gdy już służąca, dosłyszawszy urywane wyrazy tego djalogu, nie miała wątpliwości, że jednak prócz Chopina był jeszcze w przedpokoju ktoś inny, kazała jej pani Aleksandra prosić tych państwa do salonu, gdzie zechcą poczekać chwileczkę, bo pani już się kończy ubierać... Służąca idzie do przedpokoju, ale, o dziwo, widzi tu Chopina... samego. Cóż się okazało? Oto, iż artysta, dowiedziawszy się, iż pani jeszcze nie ubrana, wpadł na pomysł, by ją przez chwilę wprawić w zakłopotanie, i pewny swego aktorskiego kunsztu, zaimprowizował powyższą scenę. Jakoż osiągnął zamierzony efekt, bo tak znakomicie udawał głos księżny, iż doktorowej ani przez myśl przeszło, by poza tą tak doskonale odegraną rozmową mógł się ukrywać jeden ze zwykłych figlów Chopina.

Innym razem — opowiada pani Faucher — przyszedłszy do nich i zastawszy drzwi od przedpokoju otwarte, zaanonsował się w ten sposób, iż zaczął udawać szczekanie psa, który naciera na broniącego się przed nim kota. Ponieważ odgłosy tej sceny dochodziły z przedpokoju, myślano więc, że pies za kotem wpadł przez otwarte drzwi do mieszkania. Podobne figle trzymały się Chopina ciągle...

22 grudnia. Czwartek.

Byłem u Szopena. Ten w progu mnie spotkał, wrócił

się i chwilę pomówił, zostawił potem u siebie Fontanę, a ze mną wyszedł i na Bulwarach rozstaliśmy się [1]).

W liczbie tych, którzy *Hexameronowi* w wykonaniu dzieła mieli sposobność w tym czasie przysłuchiwać się niejednokrotnie, był między innemi i Józef Brzowski, który wciąż jeszcze bawił w Paryżu, a wmieszany w świat tutejszego życia muzycznego, wszystko, co robił, widział i słyszał, sumiennie co dnia zapisywał w swym *Dzienniku*.

Oto niektóre wyjątki z tego *Dziennika*, dotyczące Chopina, a rzucające niemało charakterystycznego światła na ówczesny rodzaj życia Rafaela muzyki!

31 stycznia 1837. Wtorek.

...Udałem się do Szopena. Przecie raz szczęśliwie trafiłem: był przy fortepianie i grał nowe *Etiudy*, a słuchali Fontana i Franchomme. Grał dużo... potem wyszedł Franchomme i pokazałem partycję Uwertury (mojej opery) Szopenowi i grałem ją. Chwalił i radził, aby *à quatre mains* przerobić i wydać. W tym przedmiocie obiecał mi dopomódz, traktując z Szlezingerem. I *Romans* mój ostatni podobał mu się. Grał śpiew a ja akompanjament; chciał nawet powtórzenia. Pożegnawszy się z Szopenem, byłem u Kosty...

10 lutego. Piątek.

Był czas po temu i odwiedziłem Szopena. Jeszcze był w łóżku. Wstał i widzieliśmy się. Nadszedł potem *Han*, sławny chemik z Warszawy. Po różnych gawędkach Szopen ubrał się i wyszliśmy razem.

[1]) Z dalszego ciągu dziennika Brzowskiego dowiadujemy się, że w Nowy Rok był z wizytą u Chopina, lecz go nie zastał, co także powtórzyło się w d. 4 stycznia 1837 r.

Żałuję niezmiernie, że nie mogę tu przytoczyć obszerniejszych wyjątków z dziennika Brzowskiego, które, choć nie odnoszą się specjalnie do Szopena, jednak czytane być mogą z najwyższem zajęciem. Będąc w Berlinie w d. 25 października z wizytą u słynnego twórcy *Westalki*, Spontiniego, zanotował później w swym dzienniku, co następuje: «Gdym mówił, że do Paryża jadę, napomknął, że tam są moi kompatrjoci, t. j. Chopin i Lipiński». W Lipsku pod datą d. 17 listopada zapisał Brzowski, co następuje: «Koło 10-tej byłem z Bobrowiczem u Szumanna. Miły bardzo i młody człowiek. Grałem mu *Mazurki*. Oświadczył, że chciałby je widzieć napisane. Umówił się ze mną, że o 12-tej przyjdzie do mnie, aby udać się do Mendelsohna». Autorem jednak *Pieśni bez słów* nie był Brzowski zachwycony, a po wizycie u niego napisał w swym dzienniku: «Niesmaczne żydzisko» i nic więcej.

19 lutego. Niedziela.

O 9-tej rano przyszedł do mnie Wolff i poszliśmy do Thalberga, aleśmy go nie zastali. Ztamtąd byliśmy u Szopena, z którym parę godzin przyjemnie i korzystnie przepędziliśmy. Był Jełowicki i Zawadzki, księgarz z Wilna. Szopen mnóstwo swoich rzeczy wygrywał i był w humorze przedziwnym. Wielki ma talent do imitowania drugich. Pokazywał Liszta i Pixisa, szczególniej drugiego tak doskonale, że umierałem ze śmiechu...

7 marca. Wtorek.

Przechodząc (około południa) przez Palais Royal, spotkałem Szopena, z którym gadu gadu wróciłem się i przechadzałem się ulicą Rivoli. On zaprosił mię na śniadanie do jednej z dobrych kawiarni. Jedliśmy po tuzinie ostryg *Marins* zwanych i Beftek *aux pommes*, przytem wino Bordeaux, nakoniec kawę. Po gawędce wyszliśmy i na *Place Vendôme* on spotkał znajomych i rozstaliśmy się... (Wieczorem, wracając z jakiejś wizyty, odprowadzałem jedną Angielkę), przez drogę mówiliśmy dużo o muzyce i artystach. Okropnie śmiesznie omyliłem się, mówiąc o grze Szopena i zamiast powiedzieć że *Chopin a beaucoup d'âme*, powiedziałem *Chopin a beaucoup de dames*. Długo śmiałem się z tej pomyłki i moja Angielka także...

24 marca. Poniedziałek.

Na koncercie Herza. Koncert ten tyle mi tylko pożytku przyniósł, żem zaspokoił ciekawość moją co do gry Herza. Ten mi żadnego wrażenia nie zrobił. Ma wiele zręczności, ale po grze Szopena, Liszta i Thalberga, wielka nędzota [1]).

[1]) Był to właśnie czas, gdy Liszt i Thalberg dawali koncerty w Paryżu. Dnia 9 marca był Brzowski na koncercie w Sali Musarda z udziałem Liszta. Dnia 12 marca był na koncercie Thalberga w sali Konserwatorjum. Oto, co o tym koncercie zapisał w swym dzienniku: «Dnia tego dawał koncert Thalberg w sali Konserwatorjum. Wolff miał obiecane dla mnie wejście gratis... O w pół do 1-ej wpadł do mnie i poszliśmy na koncert, który o 2-ej się zaczął. Było pełno ludzi. Ja go po raz pierwszy słyszałem. Grał trzy razy: Fantazję *God save the king* i *Rule Britania*, fantazję z własnych pomysłów i Grande Caprice sur des thèmes de Moise, wszystko swojej kompozycji. Pierwszemi dwiema nie zrobił wrażenia, lecz ostatnią wiele. W ogólności nie mogę mu tego genjuszu przyznać, co ma Liszt. Możeby mi lepiej się podobał, gdybym go przed Lisztem usłyszał. Widać w nim wypracowanie, ale ognia i inspiracji brak. Był nadzwyczajnie dobrze przyjęty, a mianowicie po ostatniej sztuce; widać, iż obrażona część publiczności artykułem Liszta, świetnem przyjęciem Thalberga chciała Lisztowi dokuczyć.

1 kwietnia. Sobota.

Dnia tego byłem u Szopena. Długo u niego zostawałem, gawędziliśmy o Thalbergu, o jakiejś pannie z prowincji, która grała kompozycje Szopena, szczególniej jego *Mazurek*, którego expressją odgadła, Prosiłem go o *Etiudy* nowe do przepisania i dał mi je. Zaczął potem grać na fortepianie, ale nadeszła pani Matias z synkiem na lekcję, więc opuściłem Szopena.

9 kwietnia. Niedziela.

Była godzina 12-ta, kiedy po ogoleniu się i ubraniu wyszedłem z domu ku koncertowi Liszta, który dawał w salonach Erarda. Jeszcze było więcej jak godzinę do zaczęcia, a już zastałem dużo osób mieszczących się w ławkach. Widziałem się z Albertem i umieściłem się razem z nim tuż blisko fortepianu. Nacisk ludzi był niepojęty i zbyt niewygodnie słuchało się koncertu. Mnóstwo było dam ładnie wystrojonych. Blisko mnie znajdowała się Xna Belgiojozo, hrabina d'Agoult (inklinacja Liszta). Koncert rozpoczął Liszt przez wykonanie kwintetu Beethovena, który mu akompaniowali pp.: Brod, Clauret i bracia Prevost. ...Część pierwszą zakończył Liszt swoją nową fantazją z Hugonotów, której kompozycja i egzekucja wyobrażenie przechodzące tak mnie jak i całą publiczność do nadzwyczajnych uniesień doprowadziła. Część drugą rozpoczął Liszt przez *Allegro* pierwsze i *Menuet* z Septuoru Hummla, czem równie zachwycił... (Na zakończenie) Liszt grał dwie nowe Etiudy Szopena, lecz w nich było widać dorywkowość wykonania. Dziwna rzecz, że na dwie godziny przed koncertem wpadł do mnie Wolff i wziął ode mnie jeden z Etiudów, pożyczonych mi przez Szopena, a to dla Liszta, bo chciał ten a nie inny grać, a egzemplarza drugiego nie było. Nakoniec miał być wykonany *Grande Valse à 4 mains* kompozycji Liszta przez niego samego i Szopena, ale że Szopen od kilku dni słaby nie opuszczał łóżka, więc Liszt był zmuszony przeprosić publiczność. Wołano, żeby sam grał tego walca. Odpowiedział żądaniu zadość i wykonał go pięknie.

24 kwietnia. Poniedziałek.

Rano o 9-tej wybrałem się do Szopena, lecz nieszczęśliwie, bo spał jeszcze. Lokaj nie mógł wejść, bo Szopen zamknął się ze środka... Nie chciało mi się wracać napróżno, bom miał ze sobą jego Etiudy, które chciałem mu oddać. Dzwoniłem silnie i napróżno... Nadszedł doktór Matuszyński, i ten miał pilne widzenie z Szopenem, ale z pół godziny ogromnie dzwoniąc a ze mną rozmawiając, nie

doczekał się otworzenia drzwi i poszedł. Ja także przeszedłem się po ulicy; potem, wróciwszy, znowu dzwoniłem napróżno. Nadszedł Florkiewicz, jego znajomy, który nazajutrz miał już wyjechać w krakowskie, i z tym bardzo długo oczekując i dzwoniąc, nie mogliśmy dobić się do Szopena. W takim razie znowum się przeszedł po ulicy w zamiarze koniecznie widzenia się z nim, gdyż uwziąłem się na to, a nie chciałem Etiudów zostawiać lokajowi. Za trzeciem przyjściem przecież było otwarte... Tłumaczył się Fryderyk, że przez kilka drzwi nie słyszał, a chociaż trochę czasem usłyszał, zdawało mu się, że na ulicy. Nadszedł potem Matuszyński i Florkiewicz... Oddałem Szopenowi Etiudy i prosiłem o inny. Mówiłem mu, żem ciekawy jeszcze usłyszeć Kalkbrennera. W tem obiecał mi dać sposobność w ten sposób, że na przyszłą niedzielę pójdzie ze mną do pana Fromont, który będąc amatorem muzyki, miewa prawie co niedziela u siebie zgromadzenia, na których popisują się artyści i Kalkbrenner właśnie tym razem ma grać. Przyszedł potem Franchomme i przyprowadził ze sobą dwóch mężczyzn i kobietę, z czego nadzwyczajnie Chopin nie był kontent i straszliwie złośliwą zrobił minę na ten wypadek. Nim przyszli, gadał mi ze znanym dowcipem niektóre śmieszne zdarzenia z Würflem i Czapkiem w Wiedniu, o Nideckim i zapałkach chemicznych pewnego Austrjaka służącego. On się zaczął ubierać na przyjęcie niemiłych mu gości, a ja poszedłem... (Po południu) byłem u Liszta. Było jak zwykle dużo jego znajomych, między innymi Szopen, Sowiński, Fontana. Liszt, porządkuje papiery, a znalazłszy swoją Fantazję z *Żydówki* ofiarował mi egzemplarz i pełen figlów napisał mi na nim *à mon ami inomable* Brzooowsoski (chociaż moje nazwisko dobrze już umiał wymawiać, jednak nie przestał zastanowiać się nad trudnością jego wymówienia). Dał mi przytem egzemplarz Fantazji paszkwilowej na Thalberga. I tym razem prześladował mnie bulwarową damą, gdyż zapomnieć tego nie mógł...

30 kwietnia. Niedziela.

Dzień ten był cokolwiek pogodniejszy, deszcz nie padał, słońce trochę się pokazało. O 11-tej poszedłem do Szopena. Przyszedł tam i Wolff, a zastałem kobietę w żałobie... Po rozmaitej gawędce wyszliśmy z Wolffem... Szopenowi powiedziałem o Liszcie, że mnie chciał zaprowadzić do p. Fromont. Szopen dziwił się temu, że Liszt tam chce być, i mówił, że (Liszt) ma dziwny zwyczaj ni stąd ni zowąd

wkręcenia się wszędzie...[1]) (Po śniadaniu) trzeba było pójść do Erarda. Wolffowi mówiłem o rendez-vous z Lisztem tamże, więc obadwaj razem udaliśmy się do Erarda. Probowaliśmy fortepiany, przypatrywałem się pięknym oryginałom Rubensa i Corregia, i ślicznemu fortepianowi, całemu wyzłoconemu i na bronzie malowanemu, widać na ekspozycję zrobionemu. Wtem nadszedł Liszt. Zaraz prosił o mój koncert i zaczął deszyfrować. O takiem deszyfrowaniu ani wyobrażenia nie miałem. Ten jeden wygląd już genjalność Liszta wykrywa... Jednakże dla nieporządnego manuskryptu nie chciał wszystkiego grać. *Tutti* ja grałem. *Mazurki* znalazł nadzwyczaj pięknemi, szczególniej pierwszy podobał się mu niesłychanie i grał go parę razy z taką ekspressją i natchnieniem, że ja i Wolff nie mogliśmy się nadziwić. Zbliżała się 3-cia. Chciałem pójść. Liszt, wiedząc, gdzie mam pójść, powiedział, że przyjdzie razem ze mną, ale że miał buty zabłocone, prosił, jeżeli nie chcę czekać na niego, by prosić Szopena o zatrzymanie się trochę, a on nadejdzie i pójdziemy razem do Fromonta. Było tak, Szopen jednak nie był kontent z Liszta i dziwiła go chęć jego pójścia do Pana Fromont. Przyszedł potem Liszt z Wolffem i Fontaną. Wyszliśmy razem: Wolff i Fontana poszli swoją drogą, a my we trzech (t. j. Liszt, Szopen i ja) w swoją. U pana Fromont, któremu mnie Szopen przedstawił, było dużo ludzi, pokoików kilka, ale ciasnych, tak, iż koncert odbył się w szyjowatej bibljotece, gdzie siedziało kilkanaście dam i dużo mężczyzn. Słyszałem na tym koncercie pana Allard na skrzypcach. Bardzo piękny talent: więcej mi się podobał, niż Massard. Kalkbrennera nie było, bo słaby, i dopiero się przybycie tem Liszta wyjaśniło, gdyż pan Fromont w miejsce Kalkbrennera prosił Liszta. Zaczął grać Liszt i olbrzymim efektem zachwycił mnie w odegraniu części Sonaty Beethovena. Nadzwyczajne czucie i szerokość tonu wzbudziły podziw... potem wykonał *Etiud* Szopena z C-mol, stary, *wściekle*, a fantazją swoją z Hugonotów oczarował wszystkich[2]). Prawda, żem nie zaspokoił ciekawości, jaką

[1]) W swych *Wrażeniach artystycznych z podróży* pisze z tego powodu Brzowski, co następuje: «Chopin znał jego fantazyjne wybryki, dlatego źle przyjął zaimprowizowane narzucenie się, przytaczając, iż Liszt, jako zepsute dziecko społeczeństwa, nieraz już mu podobną próbę urządził i w kłopot wprowadził. Tak np. gdy nie zastał go w domu, spytał, gdzie poszedł, a dowiedziawszy się, że jest w prywatnym domu na obiad zaproszony, z zupełną naiwnością naszedł ten nieznany mu dom i pozostał sam z nim na obiedzie...

[2]) Scenę tę tak opisuje Brzowski w swych bardziej wykończonych

miałem co do Kalkbrennera, ale Liszt mi wynagrodził stokrotnie swoją egzekucją. Pan Fromont pytał się, czy i ja się zajmuję muzyką, Szopen powiedział, że komponuję także... Na wychodnem Liszt, będąc rozgrzanym wykonaniem swojej muzyki nie chciał wyjść na ulicę lekko ubrany i prosił mnie o pożyczenie płaszcza. Dałem mu go chętnie i opuściliśmy pana Fromont.

2 maja. Wtorek.

...Miałem pójść do Liszta odebrać mój płaszcz, alem się zdecydował wpierw zajść do Alberta (Grzymały). Potem poszedłem do consierge'a Liszta, u którego zastałem mój płaszcz, lecz ponieważ było pięknie, więc nie wziąłem go i poszedłem do Szopena. Tam zastałem Liszta i Fontanę. Długo różne farsy rozpowiadano i Szopen odznaczył się w nich teorją brzydkich rzeczy, bo nam cytował nazwiska sposobów nam wszystkim trzem nieznane... Liszt jak zawsze mając w pamięci zdarzenie bulwarowe, sekował mnie. Poszedł potem Szopen się ubierać, Fontana *Mazurki* moje deszyfrował, ja mu je grałem. Wyszliśmy razem. Rozstawszy

Wrażeniach artystycznych z podróży: «Z wielkim oczekiwaniem patrzono, jak się Liszt zbliżał do fortepianu, a zbliżał się pewnie z wznieceniem w sobie wszystkiego zasobu talentu, gdyż miał przy swym boku Szopena, którego czcił i kochał, a oceniał jego genjalność. By takiemu słuchaczowi coś przekonywającego powiedzieć, zwłaszcza w jego mowie, bo na jego instrumencie, mniemam, że ten głos musi wyjść ze szczytu poetycznego natchnienia, z ostatnich szczebli wzniosłości talentu. I tak też było: nie minę się z prawdą, jeśli powiem, że Liszt wyżej był natchniony, niż kiedykolwiek. Gdy wzniósł ręce, by owładnąć szczytnym pod jego palcami instrumentem, Chopin usiadł blisko fortepianu, a następnie słuchał swej *Etiudy* C-moll, która pod lewą ręką Liszta równała się nawałnicy, w czasie gdy prawa najdobitniej wyrażała boleść i rozpacz. Twarz Liszta zaszła ognistym płomieniem zapału, a oblicze Chopina pobladło przed ogromem wykonania, które twórczej jego duszy wracało myśl utworu, jak wraca odchowane dziecko na łono matki... Talent Liszta sprzysiągł się tym razem najmocniejsze sprawić wrażenie, dał bowiem najwymowniejsze słyszeć nam utwory. Po *Etiudzie* Chopina, grał ulubioną przez siebie *Sonatę* As-dur Beethovena. Pojęcie tego dzieła przez Liszta, zaiste wszystko przechodziło. *Andantez*, warjacjami odegrał z potęgą poezji uczuć wskróś przenikającą. Nie do uwierzenia, jak pod dotknięciem każdego klawisza nabierała u niego nuta rozciągłości rzewnego śpiewu. Szerokość frazowania posunął do tego stopnia, iż badawczo słuchający go Chopin uznał za zbyt nawet powolne wykonanie. Tem *Andantem* Beethovena, pełnem tęsknych, a razem jakby ukajających nadmiar boleści wrażeń, dał luby spoczynek wezbranym wstrząśnieniom uczuć, jakie pobudziła *Etiuda* Chopina.

się z niemi, wziąłem płaszcz od concierge'a Liszta, bo deszcz zaczął padać...

10 maja. Środa.

(Z Lafonem) poszliśmy do Szopena. Tego zastaliśmy przy lekcji z Gutmannem, młodym niemcem, najlepszym uczniem Szopena, który z niego wielkie robi *cas*. Popisywał się Szopen przed nami ze swoim uczniem i kazał mu grać kilka swoich *Etiudów*, Fantazję Hummla i parę rzeczy Liszta: fantazję z Żydówki i z...

19 maja. Piątek.

(Po śniadaniu z Wolffem) poszedłem do Szopena. Nie zastawszy go grałem sobie na fortepianie. Nie mogąc się go doczekać, poszedłem z Karwowskim do pani Zal... Potem znowu do Szopena. Był tym razem w domu i prosił mię na obiad na wtorek przyszły...

23 maja. Wtorek.

(O godzinie 6-tej po południu) poszedłem do Szopena na zaproszony obiad. Nie było go jeszcze. Przyszedł tam dr. Matuszyński, równie ze mną zaproszony. Niedługo i Szopen nadszedł i tak we trzech poszliśmy na obiad do najpierwszej restauracji *Rocher de Cancal*. Zaraz na wstępie dał się czuć ton, jakim się restauracje paryskie pierwszego rzędu odznaczają, gdyż garsoni na głos zadysponowali osobny gabinet na trzy osoby. Tam zasiadłszy, Szopen na przygotowanym papierze napisał to, cośmy mieć chcieli, i wśród przyjemnej gawędki rozpoczęliśmy pamiętny mi obiad. Zaczęliśmy od ostryg, potem na zupę *purée de gibier*, dalej przenajdoskonalszego *Matelota*, dalej szparagi i inne przysmaki. Piliśmy do tego tylko szampana: pierwsza butelka była przewyborna, druga nie tyle dobra, aleśmy ją dlatego wypili. Po obiedzie poszliśmy do *Tortoniego* na kawę. Po kawie rozstałem się z Szopenem i Matuszyńskim...

25 maja. Czwartek.

Odwiedziłem zrana Szopena, aby go ostatecznie pożegnać. Ten powiedział mi także ważną okoliczność, dla której wartoby było zostać, oświadczył mi bowiem, żeby mnie wziął w niedzielę do *Marquis de Custine* na wieś do *St. Gratien:* tam bym nabrał wyobrażenia o wiejskim stylu siedzib magnatów francuskich i nadto usłyszałbym *Duprego* z żoną w salonie ozdobionym najpierwszem towarzystwem Paryża. Przytem pokazałby mi Montmorency, Anghien, jego przeszłoroczne letnie mieszkanie, i zabawilibyśmy się z korzyścią i przyjemnością. Po takiej propozycji myślałem, że się rozchoruję, ale darmo, szkoda 40 franków i trzeba było

myśleć tylko o wyjeździe. Wziął mnie Szopen do Pleyela, przechadzaliśmy się po ulicach i w końcu pożegnałem się z nim, oświadczając mu, że będę tentował o ile możności raz jeszcze wytargować od Messażerji odwleczenia mojego wyjazdu. Rozstawszy się z Szopenem, lękałem się odmówienia mi propozycji i dlatego nie chciałem sam pójść w tym interesie...

26 maja. Piątek.

Rano wyszedłszy z domu, wstąpiłem po drodze do Münchheimera, a mając na celu pójście do Szopena, aby mu oznajmić, iż zostaję, a przeto będę mógł z nim jechać w Niedzielę do Montmorency, proponowałem Münchheimerowi, aby poszedł ze mną odwiedzić Szopena... Poszliśmy zatem razem i zastaliśmy go przy lekcji z młodym jakimś uczniem. Mimo lekcji zajął się nami, był kontent, że zostaję, i umówił się względem wyprawy do St. Gratien i Montmorency. Krótkośmy bawili, a zostawiwszy go przy lekcji, odeszliśmy obadwa z zadowoleniem, on, że się zbliżył z naszym artystą, a ja, że przezemnie to skutek wzięło.

28 maja. Niedziela.

Przychodzi mi opisać dzień jeden z najprzyjemniejszych i najkorzystniejszych w mojej podróży, dzień, dla którego przedłużyłem i tak już bardzo przeciągany pobyt mój w Paryżu... Stosownie do umowy ubrałem się i byłem gotowy o godzinie 10-tej. Miałem tedy godzinę czasu do pójścia do Szopena... Przyszedłem do niego z Zanem, który razem ze mną nadszedł. Nie był gotowym Szopen i dopiero wziął się do toalety. Zan wpierw udał się do St. Gratien, a ja czekałem na Szopena, przeglądając partycję Symfonji Beethovena. Szopen, ubrawszy się, prosił, abym się zatrzymał i grał sobie, gdyż on ma się widzieć z panem Albrecht z Ambasady Saskiej i zaraz wrócić... Wrócił wkrótce, zabraliśmy się i wsiedli do kabryoletu, który na nas czekał. Jechaliśmy na rogatki Clichy. Jadąc przez ulicę tego nazwiska, widzieliśmy pięknie przyporządzony ogród Tivoli na otwarcie go dnia tego. Uradziliśmy, że jeśli prędko będziem wracać, to wstąpiemy do niego. Wyjechawszy w pole, uczuliśmy czyste powietrze, którego w Paryżu brakuje, i admirowaliśmy widoki, jakie nam się ukazywały. Droga między drzewami przypominała mi okolice Warszawy, a rozmawiając i ciesząc się piękną pogodą, przechadzce sprzyjającą, ujrzeliśmy wspaniale opodal wznoszące się wieże kościoła w St. Denis. Ładny widok był i miasta. Wjechaliśmy w miasto, w którem ciekawe są groby królów

Francji w katakumbach tego kościoła, i które sławne jest instytucjami wychowania *Legji honorowej*. Z tego to instytutu wyszła sławna pani Campan... Cała przestrzeń od St. Denis do St. Gratien odznaczała się pysznym i malowniczym widokiem oddalonego Paryża i pozycją St. Denis. Przybyliśmy nakoniec do St. Gratien według projektu Szopena w celu prezentowania się, a potem ruszenia do Montmorency. Jak tylko weszliśmy do ogrodu, znaleźliśmy się obok pałacyku i szedł ku nam jeden z przyjaciół ulubieńców Markiza Custine, Anglik, któremu Chopin mnie rekomendował, i weszliśmy razem do pałacyku. Naprzód spotkaliśmy jakąś panią, która z wylaniem najczulszem przywitała się z Szopenem. Mnie prezentowano i pan Custine nadszedł. Gdy mnie Szopen przedstawił, mówił markiz, że mnie pamięta od wieczoru Szopena. Dama, którą tam obaczyłem, wielkich wpływów była za czasów Karola X, przez nią to dostawano krzyże i Benini tym sposobem otrzymał. Wpadł potem z dobrą miną drugi protégé pana Custine, Anglik i Ignace! Oprowadzali nas po pokojach pałacyku i nie jestem mocen opisać gustu, przepychu, bogactwa, jakiemi jaśniało całe urządzenie i umeblowanie apartamentu. Główny salon, z którego zaraz widok: wyjście na ogród, ma ściany na białem tle rzucane kwiaty, takiegoż rodzaju meble okryte, złote listwy obrębiają ściany, z dwóch stron ogromne zwierciadła w ścianach, pod jednem kominek marmurowy, na nim i na innych miejscach wazony prawdziwe orjentalne... i wygodna kanapa obok kominka na środek posunięta. Pantaljon wyborny naprzeciw kominka, firanki białe w podobne kwiaty. Co (okazało się) szczególnie godnem widzenia, to gabinet turecki: wszystko złoconemi lamami zarzucone, w środku przedziwna lampa arabska... Sala bilardowa przepyszna, pokój jadalny jak u króla, a buduarek jak może być najwykwintniejszy i najroskoszniejszy, z jednej strony cały szklanny pokój, w którym się jest jak w latarni. Wschody, sienie na piętrach, raj przypominają. Na pierwszem piętrze ślicznie i czysto zameblowane pokoje dla gości... Nie mogę nic więcej na pochwałę tego wszystkiego powiedzieć, jak że pałac Meudon tylko może iść w porównanie. Obejrzawszy wszystkie kąty, ja, Szopen, Anglik i Ignace, rozstaliśmy się z panem Custine i poszliśmy obejrzeć ogród, śliczny i rozkoszny; na urządzenie wewnętrzne wpływał Anglik, zatem Ignace był pikowany pokazać mi jego urządzenie zewnętrzne, i tak pokazał mi całe gospodarstwo, jako to stajnie, wozownię, w której była dorożka i powóz ruskie, pokazywał mi sławnego swego ogromnego psa aż z *Terre neuve*, dalej mieszkanie krów normandzkich i świń siedziby,

gdzie każda miała dwa pokoje dla utrzymania czystości. Gdy nam wszystko pokazano, objawiliśmy z Szopenem plan nasz dalszy, iż chcemy jechać do Montmorency, a obiad potem będziemy jedli w Anghien, zaś potem na koncert do St. Gratien. Ignace oświadczył życzenie jeść z nami i daliśmy sobie rendez-vous w Anghien o 6-tej. Wsiedliśmy w nasz kabrjolet i pojechaliśmy do Montmorency. Jadąc tam przez Anghien, wskazał Szopen miejsce, gdzie będziemy jedli obiad, pokazywał mi także śliczne jezioro i nad niem pałacyk, gdzie zeszłego roku mieszkał. Widziałem w nim przejęcie się miłemi wspomnieniami. Jadąc, rozglądaliśmy się na malownicze widoki oddalonego Paryża i St. Denis, tudzież St. Gratien, któreśmy także już zostawili, i w rozmowie wcale miłej dojechaliśmy przecie do Montmorency. Spotykaliśmy konno i kilka pojazdów osób udających się na przechadzkę, między innemi sławnie bogatego Anglika Hute Bol na koniu samego, znanego, iż od króla angielskiego kupił ze trzy pałace. Wjechaliśmy nakoniec na rynek miasteczka: w środku duże poddasze, gdzie stały gotowe do jazdy konie i osły dla płci obojej. Ruch był duży, bo niedziela, a my weszliśmy sobie do jednej z oberż i na propozycję Szopena kazaliśmy sobie dać mleka, masła świeżego i chleba. Szopen taki amator mleka, a mnie tak smakowało, żeśmy po drugi raz konsumować poczęli wiejskie śniadanie. Po śniadaniu Szopen zadecydował, że wsiądziemy na osły i pojedziemy zwiedzić las Montmorency i *l'Ermitage*, miejsce sławne pobytu Russa i Gretrego. Przez okno oberży poznały go kobiety od osłów i kazał nam dać dwa okulbaczone. Wyszliśmy z oberży i dalej na osłów. Ta okoliczność nie mało mnie ambarasowała, gdyż niewprawny jeździec ze mnie i mogłem się wystawić na hecę. Szopen wsiadł na osła, a ja na swego, i dalej w drogę. Towarzyszyły nam dwie dziewczyny pieszo, siostry, jedna bardzo młoda, druga zupełnie dojrzała. Obie będąc wykomenderowane dla bezpieczeństwa osłów, ciągle były z nami. Tą starszą mocno był Szopen zajęty, w sposób poetyczny jedynie, gdyż ją znał od przeszłego pobytu w Anghien. Przechadzaliśmy się ciągle po lesie, admirując otwarte widoki między drzewy lub wąwozy. Szopen był dużo zajęty dowcipkowaniem z dziewczyną, a ja lubo się odzywałem czasem, cały byłem osłem zajęty i lasem Montmorency. Piękne to miejsce, bogate w widoki, i jazda osłami z Fryderykiem, przytem pogoda towarzysząca przechadzce, wszystko to było dla mnie urokiem niezwyczajnym. Trzeba było do uświetnienia wyprawy doczekać się sceny, która właśnie w całym swym blasku nastąpiła, gdyśmy wyjechali z głębi parku. Tą sceną było spad-

nięcie moje z osła. Prawda, że mogłem się spodziewać tego nieszczęścia, nie będąc nawykniętym do utrzymania równowagi, jaką należy zachować na koniu lub ośle, ale zbierałem dotychczas wszelką przytomność i dowcip, by się nie skompromitować; ale przecież nastąpiła kompromitacja, a to w ten sposób, że mój osioł, prostą idąc drogą ku drzewu, nie omijał go i łbem dotknąwszy go stanął przed nim. Dziewczyna — towarzyszka podróży, nie czekając, aż ja go skieruję, nagle szarpnęła lejcami, chcąc go na bok odwrócić, osioł się zwraca, ja nie spodziewając się, nagłym ruchem osła w równowadze skłócony, waham się, ratuję, szukam Ekwilibrium, coraz bardziej przechylam się na tę i na ową stronę, nareszcie rozbujany na grzbiecie osła, nie mogąc się oprzeć własnemu ciężarowi, spadam, czuję, żem na ziemi, słyszę poza sobą umierającego od śmiechu Szopena, dziewczyna ani myśli mnie ratować lub przepraszać, a mój osioł prościuteńko w nogi. Podniosłem się, trzymając batog w ręku, obcieram frak *Humana*, a osioł daleko jak bieży, tak bieży drogą, oczywiście ku domowi. Nie było innego ratunku, jak biec za osłem i prosić okrutnego losu, aby go kto na drodze zatrzymał. Tak też się zrobiło. Osioł przybiegł na miejsce, gdzie kobiety miały wodę dla przejeżdżających. Przybiegłem i złapałem mojego osła, swobodnie zasilającego się, nurząc łeb w wiadrze. Kobiety i inni zgromadzeni zrozumieli, co się święci, i uśmiechali się, a ja byłem skazany znowu wleźć na grzbiet osła. Szopen nadjechał z dziewkami i ruszyliśmy w bok tej drogi dla zwiedzenia *l'Ermitage*. Tam przybywszy, zsiedliśmy ze swawolników, dziewki ich odebrały do trzymania, a sami weszliśmy do małego dziedzińczyka osztachetkowanego i zaraz parę kobiet wyszło ku nam, które wykomenderowały małą dziewczynę, aby nas oprowadziła i wskazała tyle wsławione miejsce. Naprzód weszliśmy do małego pokoiku, gdzie Russo był pracował, i na środku stał zakonserwowany stoliczek, na którym pisał swoją *Nową Heloizę*. Znajduje się tam nędzny, popsuty fortepianik Gretrego, przy którym komponował. Wiele wizerunków tych dwóch ludzi i biustów tam się znajduje. Innych pamiątek tam niema, jak ich *facsimile* i tylko interesuje to przekonanie, że się jest w miejscu ich niegdyś pobytu. Z tego pokoiku wychodzi się na mały ogród, gdzie są również na ich pamiątkę wzniesione pomniki, t. j. ich biusta. Widok z tego ogrodu na okolicę bardzo ładny. Opuszczając *l'Ermitage*, przejęty byłem dziwnem uczuciem, jakie mi sprawiają zwykle podobne wspomnienia przeszłości. Wsiedliśmy na nasze osły, dziewki za nami i dalej w drogę ku miastu. Deszcz zaczął padać, ale to nie zrażało nas wierz-

chowców, tem bardziej, żeśmy spotykali partje złożone z mężczyzn i kobiet, tak na koniach, jak i na osłach. Deszcz nas popędzał i mimowolnie posuwając się za Szopenem, kłusowałem i galopowałem, częścią idąc za wolą osła, częścią zmuszając go batogiem, aby nie zostać sam. Przyjechaliśmy nakoniec na rynek i wjechaliśmy pod szopę, gdzie zgromadzone konie i osły, a zsiadłszy ze swawolników, poszliśmy do oberży, gdzieśmy mleko zapijali, każąc kabrjoletowi zajechać. Deszcz padał ciągle, wsiedliśmy w kabrjolet i ruszyliśmy do Anghien na obiad. Popadujący deszcz orzeźwił powietrze i zwiastował prześliczny wieczór. Te same pyszne widoki, któreśmy mieli, jadąc do Montmorency, z tyłu, mieliśmy przed sobą. Pełen zadowolenia z wyprawy i śmiechu z mojego oślego przypadku, pragnąłem już się obaczyć z obiadem i stanęliśmy przed restauracją. Wysiadając z kabrjoletu, ujrzałem przez okno pierwszego piętra kieliszek od szampańskiego wina do mnie się wznoszącego na powierzchni nakrytego stołu i to nas obu uradowało: sprawdziła się przepowiednia Szopena, że Ignace będzie miał z sobą Szampana! Już było wiele po 6-tej godzinie, a towarzyszów obiadu nie było widać. Szopen chciał zagrać na stojącym tam fortepianie, ale był zepsuty. W tem zajeżdża szumnie powóz, a w nim francuz mnie nieznajomy, a na koźle Ignace tęgo powożący. Kazali dać do stołu, a Ignace zaproponował mi, abym wsiadł z francuzem do kocza, gdyż nim dadzą zupę, on chce zajechać do Anglika wyżej wspomnianego Hute Bol na chwilę, mając do niego interes. Pojechaliśmy nad przepyszne jezioro, gdzie przeszłoroczny pobyt letni Szopena. Ignace wysiadł, a mnie dał konie do trzymania. Długośmy na trzpiota czekali, bo Anglik z żoną i z drugiemi woził się po jeziorze; dopłynęli do brzegu, rozmówili się, Ignace także się trochę puścił z niemi na jezioro, wreszcie wrócił. Stanąwszy z powrotem w oberży, zabraliśmy się do obiadu. Było tedy nas czterech: ja, Szopen, Ignace i ów francuz, bardzo miły człowiek, z wielkiej familji, krewny Markiza Custine i Karlista. Obiad jedliśmy wybornie. Jedzenia było co niemiara, i wina zbyt wiele; ani jedzenia, ani picia nie mogłem wystarczyć. *Bordeaux* piłem mało i to z wodą z początku, ale szampana dużo i reńskiego *Rüdesheimer*, które mi wiele przyjemności zrobiło żywem przypomnieniem Warszawy, gdyż w Paryżu nie używają win reńskich. Tak byłem opity i syty, że po obiedzie wyszedłem na dwór, spodziewając się jakiejś eksplozji, co nie nastąpiło, i wróciłem pić kawę. Już był wielki czas ruszyć do St. Gratien na koncert i wsiedliśmy do powozu. Ignace, powożący nas, cudów dokazywał: całą ogromną drogę prze-

byliśmy *en carrière* w parę minut, ludzie stawali po drodze, tyle dziwnym był pęd naszego ekwipażu, a franzuz z nami siedzący był w nieporównanem zadziwieniu i uradowaniu z tej jazdy mu nieznanej. Pędem błyskawicy stanąwszy w St. Gratien, poszliśmy na I-sze piętro do pokoiku dla Szopena przeznaczonego. Tam poprawiwszy toaletę etc., zeszliśmy na dół do salonu i zastaliśmy towarzystwo zupełnie zebrane. Nie było osób wiele, ale za to *la crême de societé parisienne* i tak: księżna N., pani Gaj, ta dama, co była z rana, i pani Merlin rodem Hiszpanka, z domu Santa Cruz, osoba nadzwyczaj miła i najpierwszy rej wiodąca w Paryżu. Dalej był Berlioz z żoną (panna Smithson), Duprez z żoną, Vicecomte D'Arlincourt, autor *Samotnika,* jakiś stary literat, nas czterech, Zan, Anglik domowy i jakiś akompanjator Duprema. Miał być Wiktor Hugo z żoną, ale nie był. Po powitaniach i niejakich rozmowach zaczął się koncert. Wszyscy posiadali i Duprez ze swoją żoną stanęli przy fortepianie do odśpiewania duetu... Duet odśpiewany był z wielką mocą i stylem; pani Duprez wcale dobrze śpiewała. Była to kompozycja Donisettiego z *Parisienny.* Potem śpiewał Duprez z panią Merlin deut Belliniego, pani Duprez — Arję. Szopen grał Etiud As-dur nowy, Mazurka i pieśń wojenną. Duprez śpiewał Glucka. Potem ochłodzono się w pokoju jadalnym i nawet kilka osób opuściło wieczór. Pani Merlin proszona, aby hiszpańskie śpiewy dała słyszeć, z uprzejmą łatwością przystąpiła do ich wykonania. Czarowała wszystkich i sama w coraz większy entuzjazm wpadała. Podano jej kastaniety, Szopen akompanjował, a ona z większym jeszcze ogniem śpiewała, klekocąc. Zakończyła śpiew z gestem, jakiemi się lubieżne tańce hiszpańskie odznaczają. Mówił mi Ignace, że pewnoby tańczyła, ale żenowała się starego literata. Kobieta ta, łącząc w sobie dystynkcję pierwszej damy paryskiej z naturalnym wdziękiem rozognionej Hiszpanki, niepodobna wyobrazić sobie, ile czarowała nas wszystkich. Śpiewała przytem z doskonałą, romansową i pełną gustu ekspressją, dającą nam poznać oryginalne przedziwne pienia hiszpańskie. Było po północy, gdy pani Merlin przestała nas talentem i rozkosznym humorem swoim uszczęśliwiać. Zabrano się do odjazdu. Pani Merlin, pani Gaj i pan D'Arlincourt wsiedli do powozu i odjechali. Markiz usilnie domagał się, abyśmy nocowali u niego dla spóźnionej pory, lecz Szopen nie przystał na propozycję, tłumacząc się lekcją, którą miał mieć nazajutrz rano. Pożegnaliśmy się z gospodarzem, Anglikiem i Ignacem, ostatni nas wpakował do kabrjoletu, i opuściliśmy St. Gratien, który nam tyle uroku sprawił i dzień ten pamiętnym na całe życie uczynił. Powrót

mieliśmy do Paryża nader miły. Po deszczu powietrze było wonniejsze, noc cicha, gwiazdy jak w Hugonotach, nie zimno, słowem, rajska przejażdżka. Wjechaliśmy do miasta. Do Tivoli było zapóźno, Paryż jak wymarły. Szopen wysiadł do siebie przy ulicy Montblanc, ja tymże kabrjoletem przez bulwary na St. Denis, a dopukawszy się do pasażier, któremi do domu powracać mi zwykło, dostałem się do mieszkania i przyjemnie mi było rozmyślać nad dniem upłynionym i marzyć o zdarzeniach Montmorency, Anghien i St. Gratien.

Do opisu koncertu należy dodać, że Szopen był proszony *repondre* na tema hiszpańskie, które pani Merlin śpiewała, którą to improwizacją z talentem wykonał.

30 maja. Wtorek.

W tym dniu mieliśmy z Münchheimerem odwiedzić Szopena i na ten koniec poszliśmy do niego około 11-tej. Zastaliśmy go przy lekcji, nie mógł się z nami bawić i prosił, by za pół godziny go odwiedzić. Wyszliśmy i na drodze spotkałem Habaneka... (Po upływie pół godziny) wróciliśmy do Szopena. Z tym przepędziliśmy kilka godzin niesłychanie przyjemnie, grał nam ciągle rozmaite swe dzieła. Ja, jak zwykle, doznawałem silnego wrażenia jego genjalnego talentu, a świadkiem byłem silnego wzruszenia Münchheimera, który pewnie nigdy tak blisko, tak długo i tak swobodnie nie kosztował muzyki Szopena. Był i Fontana. Szopen prosił nas trzech na obiad o godz. 6-tej, i pełni zadowolenia rozstaliśmy się z nim... O 6-tej udaliśmy się do Szopena. Dopiero przed 7-mą wrócił do domu i zabrał nas do kawiarni narożnej Bulwarów i (Rue) Montblanc i tam w antresoli zabraliśmy się do obiadu. Obiad był suty i wina szampańskiego nie brakło, bośmy trzy butelki wypróżnili. Przy gawędzie, winie i dobrem jedzeniu mile nam czas zeszedł. Po obiedzie znowu Szopen nas wziął do siebie i do północy jeszcze, będąc w dobrym humorze, wygrywał nam na fortepianie i rozmaite swoje farsy produkował. Miał iść na wieczór do państwa Turkasów, ale przyszedł Ignace, rozpoczęła się sprzeczka między nim a Fontaną o Londyn i Paryż, co trwało więcej półtory godziny, i była 2-ga po północy, gdy Ignace wziął Szopena do kabrjoletu i dalej z nim na wieś do St. Gratien, a ja z Münchheimerem do domu spać.

3 czerwca. Sobota.

Zrana poszedłem z Wolffem do Szopena, aby mu donieść, że w poniedziałek mam odjechać, t. j. 5-go. Ten miał lekcję, więc krótko się tylko ze mną widział...

7 czerwca. Środa.

Natura jednak jest jedna z dobrych matek i dowcipnie urządziła ludzkie okoliczności: jedno tracąc, mamy często lepsze natychmiast. Tak jest ze mną: opuszczając Paryż, który pod względem sztuk, a szczególniej Muzyki, był samem niebem, tracąc go może na zawsze, natychmiast zasilam się tą pewnością, że ujrzę miejsce rodzinne, żonę i córkę, Matkę, siostry...

Rano poszedłem pożegnać się z Szopenem. Ten miał lekcję. Chciałem tylko jedną chwilę od niego, ale mnie koniecznie zatrzymał i po skończeniu lekcji dał mi ostatnie polecenia rodzicom swoim i familji, ukłony Kurpińskiemu, Elsnerowi, Saydmanowi i innym. Chciałem się już oddalić, ale wziął mnie w kabrjolet i zawiózł do atelier pierwszego w Paryżu malarza *de marine*, pana Gudin. Byłem uderzony talentem tego artysty, a niemniej godnością i przyjemnością jego całej powierzchowności, jako też i obejścia się jego... Pobywszy u niego, rozstałem się z Chopinem i panem Gudin. Szopen mi dał słowo do Wiednia, do Hofräthin Schaschek.

Z ROZMÓW O CHOPINIE

Już pół wieku minęło, odkąd śmiertelne szczątki «Rafaela fortepianu» spoczęły na paryskim cmentarzu Père Lachaise; z pomiędzy przyjaciół jego, uczniów i uczennic, noszących głośne nazwiska, wszyscy już pokładli się w mogiłach: umarł Liszt, umarł Franchomme, umarła pani Sand, umarła Delfina Potocka, aż wreszcie poszła za nimi i księżna Marcelina Czartoryska. A jednak, pomimo tego półwiekowego żniwa śmierci, żyją jeszcze ludzie, co pamiętają Chopina nietylko z czasów jego pobytu zagranicą, ale nawet z epoki z przed roku 1830, gdy jeszcze młodziutki «Szopenek» mieszkał z rodzicami swymi w prawej oficynie pałacu Kazimierowskiego w Warszawie, a potem w lewej oficynie pałacu Krasińskich na Krakowskiem Przedmieściu.

Dla historyka, który życie danego człowieka, już należącego do historji, zna z książek i dokumentów, bardzo ciekawą i nasuwającą mnóstwo refleksyj jest rozmowa z osobami, które go znały osobiście, dla których imię jego nie jest «dźwiękiem pustym», co «trwa przez pokolenia», ani żadną myślową abstrakcją, lecz żywem wspomnieniem z lat minionych — wspomnieniem, budzącem w mózgu cały szereg konkretnych faktów, scen, rozmów i przygód.

Szczęśliwy zbieg okoliczności pozwolił mi w ostatnich czasach zbliżyć się w Warszawie do trzech takich osób, dla których postać Chopina wiąże się ze wspomnieniami młodości... Mam tu na myśli panią Józefę z Wodzińskich Kościelską, panią Emilję z Borzęckich Hofmanową, oraz p. Artura Szczukę.

I.

— Domyślam się, co pan możesz mieć do mnie za interes — były pierwsze słowa pana radcy Szczuki, gdym się do niego zgłosił do Towarzystwa Kredytowego Ziem-

skiego. — Nie wiele jednak będę mógł panu powiedzieć o Chopinie, w czasach bowiem, gdy mieszkałem na pensji u Mikołaja Chopina, Fryderyk bawił już zagranicą. Bywałem tylko świadkiem, jak przychodziły od niego listy z Paryża, ale i te przychodziły rzadko, albowiem były to czasy, gdy listy z Paryża bywały rozpieczętowywane i czytane na poczcie, tak, iż treść ich z konieczności musiała być bardzo błaha. Pensjonat Mikołaja Chopina znajdował się wtedy w pałacu Krasińskich na Krakowskiem Przedmieściu, a był to jeden z najlepszych pensjonatów w Warszawie, a może ze wszystkich najdroższy. Zato żywiono nas doskonale. Już to wogóle na nic nie mogliśmy się uskarżać. Dbano o nas, jak o rodzonych synów. Przed rokiem 1830, gdy Mikołaj Chopin był profesorem Liceum warszawskiego, miewał u siebie na stancji zawsze bardzo wielu pensjonarzy. W czasach, gdy ja mieszkałem u niego, było nas wszystkiego sześciu, i to samych starszych chłopców. Ponieważ Liceum już nie istniało, więc Mikołaj Chopin wykładał tylko w Szkole Aplikacyjnej. W domu rozmawiał z nami wyłącznie po francusku, gdyż w tym celu głównie mieszkało się u niego. Był to zakomity pedagog, a jako człowiek, nadzwyczaj dobry i miły. Niezależnie od tego trzymał nas krótko, a że był niezmiernie żywego usposobienia, więc należało się mieć na baczności... Żona jego będąca prawdziwem uosobieniem dobroci, słodyczy i łagodności, ogromnie miła, cała oddana domowi, nadzwyczaj dbała o nas, prawdziwie, jak matka. Siostry Fryderyka, Barcińska i Jędrzejewiczowa, były już wtedy zamężne. Bywały jednak u rodziców bardzo często, a nawet p. Barcińska zaczęła mię uczyć muzyki, ale mi się to sprzykrzyło i zaniedbałem tych lekcyj. Obie siostry Chopina były muzykalne. Co niedziela chodziły zawsze z mężami do nas na obiad. Naturalnie, że między innemi niemało mówiło się przy stole i o Fryderyku Chopinie. My, pensjonarze, choć obcy, należeliśmy do tych familijnych obiadów: zawsze do nich zasiadaliśmy razem z całą rodziną państwa Mikołajów, bo wogóle atmosfera, panująca w ich domu była bardzo *gemüthlich*. Nigdy nam nie dawano uczuć, że jesteśmy tylko pensjonarzami; przeciwnie, zawsze byliśmy tak traktowani, jakbyśmy należeli do rodziny. To też wspomnienia, jakieśmy wynieśli z domu Chopinów, należą do najmilszych... Ja przynajmniej nie mogę powiedzieć inaczej.

II.

Pani Kościelska, matka Józefa Kościelskiego z Miłosławia, a rodzona siostra Marji Wodzińskiej, — tej samej,

w której się ongi kochali Słowacki i Chopin, mieszka stale w Warszawie przy ulicy Nowogrodzkiej, a pamięta Chopina jeszcze z czasów jego pobytu w kraju... Później widywała go w domu swej matki w Dreznie w r. 1835, oraz w Marjenbadzie i znowu w Dreznie w roku następnym; to zaś, co o nim wie i opowiada, rzuca całkiem nowe i odmienne światło na jeden z najważniejszych epizodów w życiu Chopina, a jednocześnie prostuje cały szereg *faktów*, opisywanych przez różnych biografów artysty, — faktów, które w rzeczywistości albo nie istniały wcale, albo były zupełnie odmienne. Nadto zna takie fakty z życia Chopina, których nie zapisali w swoich monografjach o nim ani Liszt, ani Karasowski, ani Szulc, ani Niecks, ani p. Strzelecki...

— Znajomość nasza z domem Chopinów datuje się od czasów, gdy bracia moi, w pierwszym roku naszego pobytu w Warszawie, mieszkali na stancji u Mikołaja Chopina. Później, aż do ukończenia Liceum, mieszkali razem z nami u matki, która dla naszego wychowania na stałe przeniosła się do Warszawy. Przedtem mieszkaliśmy w naszym rodzinnym majątku pod Brześciem-Kujawskim, w Sułkowie. Przez rok, gdy bracia moi mieszkali u rodziców Fryderyka, zadzierzgnęły się węzły naszej przyjaźni z domem Chopinów, — przyjaźni, która się nie rozluźniła i w wiele lat później... Tymczasem widywaliśmy się co niedziela: raz myśmy bywali u nich w Kazimierowskim pałacu, to znów oni bywali u nas, w domu Pszennego, gdzie matka moja zajmowała obszerny lokal na pierwszem piętrze. Chopin, choć już wtedy cieszył się sławą najlepszego fortepianisty w mieście, dzielił wszystkie nasze zabawy, a nawet był ich dumą, czy to bawiliśmy się w lisa, czy w ciuciubabkę, czy w cenzurowanego. Nieraz też, gdy przyszła ochota potańczyć, służył nam za grajka. A pysznie się tańczyło po jego muzyce! Często też, bywało, czyniąc zadość prośbom starszych osób, grywał dla słuchu. Nieprawdą jednak jest, by udzielał lekcyj gry na fortepianie siostrze mej i był jej pierwszym nauczycielem muzyki. Pierwszą jej nauczycielką była moja matka... Później, gdyśmy się z Chopinem spotkali zagranicą, Marja nieraz zasięgała jego rad w kwestjach muzyki, ale tego, co się nazywa braniem lekcyj, nie było nigdy. Nie należy zapominać, że w czasach, gdy u nas Chopin bywał w Warszawie, Marja była jeszcze dzieckiem, Chopin zaś już grywał publicznie. Nieprawdą jest również, jakoby na wakacje jeździł z braćmi mymi do Służewa. Przed rokiem 1830 nikt z nas, prócz ojca, do Służewa nie jeździł. Gdy przyszło lato, jeździliśmy do Sułkowa; Chopin jeździł z nami, lecz do Żelazowej-Woli, gdzie, prócz

rodziny Skarbków, miał jakichś krewnych po kądzieli. Pamiętam, że i myśmy tam z Chopinem pojechali. Przed mym wyjazdem z Warszawy dał Chopin pożegnalny koncert w teatrze Narodowym. Wiem, że cała nasza rodzina była na tym koncercie, — tego wszakże, czy i mnie zabrano, już sobie dziś nie przypominam. W czasach, gdy Chopin wybierał się zagranicę, mieszkaliśmy za Żelazną-Bramą, na pierwszem piętrze domu, przytykającego do ogrodu Saskiego. Tutaj pożegnał się z nami Chopin, tutaj też, wkrótce po jego wyjeździe, zaskoczyła nas rewolucja... Pamiętam, ojciec mój bawił właśnie w Warszawie, wieczorem zaś 29 listopada był z dwoma synami w teatrze... Gdy rozpoczęła się wojna, dwaj bracia moi, Antoś i Feliks poszli do wojska, a my przeniosłyśmy się na wieś do Sułkowa. Następnie wyjechałyśmy z matką do Berlina, gdzie nas doszła wiadomość o wzięciu Warszawy; potem przeniosłyśmy się na dłuższy czas do Drezna, aż wkońcu zjechała się cała nasza rodzina w Genewie. Tam przemieszkaliśmy do sierpnia 1835 roku. Wracając ztamtąd, zatrzymaliśmy się znowu na czas dłuższy w Dreznie. Tutaj też, ledwośmy się rozlokowali w świeżo najętem mieszkaniu na Rampische-Strasse, niedaleko Frauenkirche, spotkaliśmy się przypadkiem z Chopinem. Wracał z Karlsbadu, gdzie zjechał się był ze swymi rodzicami. Zabawił wtedy z nami kilka dni, w dzień zaś samego odjazdu ofiarował siostrze mej na pożegnanie — i zagrał — świeżo skomponowanego przez siebie *Walca F-moll*, w którego trzeciej części dwanaście razy z rzędu powtarzająca się nuta *des* oznacza bijącą na zegarze Frauenkirche godzinę 12-tą, środkowy zaś motyw ciągle wzmagającem się *crescendo* naśladuje turkot zajeżdżającego przed dom powozu...

Po upływie roku, który przemieszkaliśmy w Dreznie, zjechaliśmy się z Chopinem podczas lata w Marjenbadzie. Tym razem przyjechał już umyślnie dla spotkania się z nami. Spędziliśmy miesiąc razem, a Chopin był nieodłącznym naszym towarzyszem wszędzie. Dnie i wieczory spędzał z nami i w licznem gronie Polaków, którzy tego lata bawili u wód marjenbadzkich, a pomiędzy którymi było mnóstwo naszych znajomych. Naturalnie, iż go ciągle proszono, żeby grał, a on chętnie czynił zadość żądaniu; cieszył się wówczas już europejską sławą, jako kompozytor i wirtuoz — jako kompozytor bez współzawodników, a jako wirtuoz, mający współzawodników tylko w Liszcie i Thalbergu, których obu w arcyzabawny sposób naśladował przy fortepianie. *A propos* Liszta, który wtedy uchodził za «króla fortepianu», to zdawał on sobie doskonale sprawę ze swej niższości w porównaniu z Chopinem. Sama go słyszałam,

gdy mówiąc o Chopinie, jako kompozytorze, wyraził się: *Moi, je ne suis pas digne de lui dénouer les cordons de ses souliers*. Niemniej jest dlań charakterystycznem, że gdy miał grać Chopina, odrazu zmieniał się całkiem, nawet na twarzy, która wtedy przybierała wyraz skupienia i rozmarzenia, niedostrzegalny przy wykonywaniu dzieł innych kompozytorów. Ale bo też ze wszystkich pianistów, jeden Liszt tak grał Chopina, jak on sam. Liszt i Paderewski! Pamiętam, że gdym tego ostatniego słyszała w Berlinie, doznałam dziwnego rozrzewnienia: bo, przymknąwszy oczy, zupełnie miałam wrażenie, że jeszcze słyszę Chopina... Wtedy w Marjenbadzie grywał bardzo wiele, niezależnie od tego, że zawsze, gdy wstawał od fortepianu, był blady i tak dalece wyczerpany, że nic nie wiedział, co się działo wkoło niego, że na entuzjastyczne pochwały nie umiał odpowiedzieć jednego słowa, że nie słyszał prawie, co do niego mówiono, że potrzebował dłuższego czasu, by się uspokoić i wrócić do równowagi. Wogóle był bardzo mizerny i nerwowy, tak iż patrząc nań, miało się przeczucie, że to jeden z tych «ukochanych przez bogów», który umrze młodo. Takim też mizernym i wątłym jest on na akwarellowym portrecie, wtedy w Marjenbadzie przez siostrę mą namalowanym, a z którego później w Dreznie siostra zrobiła litografję, sama go rysując na kamieniu litograficznym. Na portrecie tym jest Chopin nadzwyczaj podobnym, zupełnie taki, jak w r. 1836 wyglądał w Marjenbadzie. Myliłby się jednak, ktoby przypuszczał, że ta melancholijna postać młodego artysty, jakim go widzimy na tym portrecie, zawsze bywała owiana mgłą melancholji. Całkiem przeciwnie: Chopin bowiem, o ile rzewny w swych kompozycjach, o tyle w życiu najczęściej był ogromnie wesoły, niewyczerpany w figlach, dowcipny, pełen humoru; pamiętam, jak pewnego razu, będąc u nas, pisał list do swego przyjaciela w Paryżu, doktora Jana Matuszyńskiego, z którym razem mieszkał na Rue de la Chaussée-d'Antin, list, dotyczący przeprowadzki do nowego mieszkania, a w którym Chopin dawał przyjacielowi swemu instrukcje w kwestji ustawienia mebli. Cały list był napisany wierszem, a pisał go Chopin w ten sposób, że każdy wiersz, w miarę napisania go, odczytywał nam głośno, my zaś siedząc dokoła, pokładaliśmy się od śmiechu, albowiem każdy niemal wyraz tego listu był dowcipem. Swoją drogą, gdzie potrzeba było, tam mu nie brakło nigdy ani powagi, ani nawet odwagi. Opowiadał nam naprzykład, że w ciągu upłynionego roku zgłosił się do niego ambasador jednego z państw, ofiarując mu, w imieniu swego monarchy, zaszczytny tytuł: *premier pianiste de Sa Majesté l'Empereur*...

On jednak tytułu tego nie przyjął, motywując odmowę swą w następujący sposób: «Jakkolwiek nie brałem udziału w rewolucji roku 1830, gdyż byłem jeszcze na to za młody, to jednak sercem byłem z nimi... Dlatego uważam się za emigranta, który to tytuł nie pozwala mi przyjąć innego...»

Oczywiście, iż mu już powtórnie nie zaproponowano nic podobnego.

Jak dalece dbał o swą godność, a nawet był drażliwy na jej punkcie, o tem najwymowniej świadczy następujący fakt, żadnemu z biografów Chopina, o ile wiem, nieznany. Spędziwszy miesiąc w Marjenbadzie, udaliśmy się zpowrotem do Drezna. Chopin pojechał z nami. Gdy wieść o jego pobycie w Dreznie rozeszła się wśród mieszkańców stolicy, odrazu znalazło się wielu takich, co go pragnęli usłyszeć. Wszelkie nalegania jednak nie odnosiły żadnego skutku, albowiem zaprzysiągł sobie, że go Drezno nie usłyszy, ponieważ w swoim czasie, gdy chciał tu wystąpić z koncertem, nie przyklaśnięto temu zamiarowi.

Wobec tego grywał tylko u nas, oraz w kilku znajomych domach, gdzie bywał z nami, ale o koncercie nie można mu było wspominać... Tymczasem w liczbie tych, coby go usłyszeć pragnęli, znalazła się i rodzina królewska saska. Szczególniej ciekawym był król. Muzykalny z natury, słysząc tyle pochwał o nieporównanej grze Chopina, który już wtedy raz po raz grywał na dworze Ludwika-Filipa, pragnął i on słynnego artystę ujrzeć u siebie i poznać jego genjalny talent. Niestety, Chopin, gdy mu powiedziano o tem życzeniu monarszem, stanowczo odmówił, oświadczając, że za nic na dworze grać nie będzie. Czemu? Poprostu dlatego, że kiedy przed laty pięciu jemu zależało na tem, by grać przed królem, królowi wtedy nie zależało na usłyszeniu go. Otóż obecnie jemu nie zależy na tem, by go król usłyszał. Nie chciał go słyszeć wtedy, nie usłyszy i teraz! Na nic się zdały wszelkie namowy i perswazje: zaciął się w swym uporze i nie ustąpił. Tymczasem król chciał urządzić specjalny raut w zamku, raut, na którym, prócz Chopina, nie miał się popisywać żaden z wirtuozów, lecz dumny artysta nie dał się nakłonić. Gdy nie pomagały żadne nalegania i błagania zarówno z naszej strony, jak i ze strony panny Salomei Dobrzyckiej, która, jak wiadomo, była frejliną na dworze drezdeńskim, i gdy Chopin oświadczył stanowczo, że nie zagra na żadnem przyjęciu u króla, ani wogóle w zamku, wtedy postanowiono uciec się do podstępu i uknuto formalny spisek przeciw Chopinowi, spisek, do którego i myśmy należały, a w którym głównymi promotorami miały być panie Dobrzyckie i... saska rodzina królewska. Ułożono taki projekt, że pani Dobrzycka, matka panny Salomei, urządzi u siebie raut, na którym poprosi się Chopina, żeby grał, a tymczasem król z całą rodziną, w największej tajemnicy przed kapryśnym artystą, będzie znajdował się w przyległym pokoju. Nikt nie wątpił, iż taki manewr będzie uwieńczony najpomyślniejszym skutkiem, ale, na nieszczęście, ledwo Chopinowi wspomniano o tym raucie, odrazu domyślił się o co idzie i zapowiedział z całą bezwzględnością iż grać nie będzie. I znowu na nic się zdały wszelkie perswazje, że wobec takiego ustępstwa ze strony głowy koronowanej, powinien dać się przebłagać. Nic nie pomogło! Pomimo zaklęć pani Dobrzyckiej i jej córki, pomimo naszych błagań, jak się zaciął, tak trwał w powziętem postanowieniu, a gdy wreszcie i nasza matka, mająca ogromny nań wpływ, zaczęła go prosić, żeby przez wzgląd na nią, zadość uczynił królewskiemu życzeniu, rzucił się jej prawie z płaczem do nóg i, całując ją po rękach, zaklinał, by już nie nalegano nań dłużej... «Wszystkiego żądajcie ode mnie — mówił — wszystko, co chcecie, dla was zrobię; o tem jednak, bym miał grać przed tutejszą rodziną królewską, niech już nie będzie mowy!» Mimo to nie przestano w dalszym ciągu nalegać, aż wkońcu, po wielu perypetjach, ustąpił, zgodził się zagrać wobec dworu, ale pod jednym warunkiem: że to się będzie działo... u nas, w naszem mieszkaniu na Theater-Platz. «Skoro przyjdą tutaj — mówił — będę im grał ile zechcą, ale nigdzie indziej grać nie będę». Gdy o tym warunku zakomunikowano królowi, przystać nań nie mógł: było to zbyt wielkie wymaganie ze strony artysty; największe ustępstwo, na jakie pozwala etykieta dworska, była wizyta u pani Dobrzyckiej, jako pozostającej w bliższych stosunkach ze dworem; na to jednak, by przyjąć gościnę w domu prywatnym, król saski zgodzić się nie mógł żadną miarą. Jakoż skończyło się na tem, że Chopina nie usłyszał. Dumny artysta postawił na swojem!... Tymczasem zbliżał się termin wyjazdu Fryderyka do Paryża. Z ogłoszonych niedawno przez p. Mieczysława Karłowicza listów rodziny mej do Chopina okazuje się, że Chopin w wilję wyjazdu swego z Drezna oświadczył się Marji o «szarej godzinie», i że spotkawszy się z przychylną odpowiedzią, również i ze strony mej matki nie doznał zawodu. Uchwalono tylko, by fakt ten zachować w tajemnicy, dopóki okoliczności nie pozwolą zakomunikować go światu. Tajemnicy tej dotrzymano obustronnie tak dalece, iż o tych oświadczynach Chopina dowiedziałam się dopiero teraz ze wspomnianych listów... Nieprawdą jest jednak, by głównym sprawcą niedojścia małżeństwa tego do skutku miał być

mój ojciec, który jakoby słyszeć o tem nie chciał, by córka jego miała wyjść za... grajka, by w tem jakąkolwiek rolę miały grać jakieś *préjuges aristocratiques*.

Ojciec mój nadzwyczaj lubił Chopina i z pewnością nie odmówiłby mu ręki swej córki, gdyby nie następujące względy. Przedewszystkiem Chopinowi nie wolno było powrócić do kraju, czyli że Marja, wychodząc za niego, musiałaby przenieść się do Paryża i tam zamieszkać na stałe, co z punktu widzenia mego ojca równało się prawie stracie ukochanej córki, bo były to czasy, w których dla mieszkańców Królestwa wyjazdy zagranicę, a zwłaszcza stałe utrzymywanie stosunków z Paryżem, nie należały do rzeczy łatwych... Ojciec nasz tymczasem był ogromnie do dzieci swych przywiązany i z myślą o rozłączeniu się z któremś z nich prawie na zawsze, nie mógł się żadną miarą pogodzić. Chopin zaś musiał mieszkać w Paryżu, tam go bowiem wiązały stosunki, tam zarabiał na utrzymanie lekcjami. To był pierwszy wzgląd. Drugim — było nadzwyczaj już wtedy słabe zdrowie Chopina, wcale nie pozwalające wróżyć mu długiego życia. O tem, że w najbliższej przyszłości zagrożony był suchotami, o ile ich już nie miał, nie wątpił nikt, kto widział jego bladą twarz, jego wątłą budowę, kto słyszał jego kaszel, jego częstą chrypkę, kto znał jego łatwość do wszelkich przeziębień etc. To był drugi wzgląd. Trzecim — było nadzwyczaj zmienne usposobienie Chopina, wcale nie odznaczające się stałością. Wiadomo było, że wrażliwy nadzwyczaj na wdzięki niewieście, długo kochać się w jednej kobiecie nie potrafił. Jakoż, że tak było, okazało się niebawem, bo ledwośmy wrócili do kraju, odrazu zaczęły z Paryża dochodzić wiadomości o Chopinie i pani Sand... Ta okoliczność rozstrzygnęła o sytuacji. W r. 1837 miał się Chopin znów zjechać z nami podczas lata, ale już nie przyjechał... Tymczasem jego stosunek z panią Sand nabierał coraz większego rozgłosu. Oczywiście, że wobec tego Marja czuła się zwolnioną ze wszystkiego, o czem rok temu była mowa w Dreznie «o szarej godzinie»... Tak zerwał się ten stosunek z Chopinem, a o ile wiem, zerwał się on sam przez się, bez żadnego oficjalnego zerwania z naszej strony. Że jednak z powodu tego zdarzenia nie miała rodzina Chopina najmniejszej do nas urazy, i że wogóle pozostało ono bez najmniejszego wpływu na nasz stosunek do niej, dowodzi fakt, że stosunek ten po roku 1837 całkiem nie uległ zmianie. Ile razy bywaliśmy w Warszawie, zawsze odwiedzało się rodzinę Chopina, jego rodziców, jego zamężne siostry; przyjaźń Marji z Ludką Jędrzejewiczową nie ostygła bynajmniej, gdy Marja była narzeczoną Skarbka,

ani później, gdy przyjeżdżała do Warszawy już jako Skarbkowa. Otóż można być pewnym, że gdyby rodzina Fryderyka przypisywała *nam* niedojście do skutku małżeństwa jego z Marją, wówczas stosunek nasz do rodziców i sióstr Chopina stałby się po roku 1837 naprężonym, a tem samem niemożliwym — tymczasem nigdy do tego nie przyszło.

PANI KOŚCIELSKA O CHOPINIE

W czasie uroczystości odsłonięcia pomnika Słowackiego w parku państwa Kościelskich w Miłosławiu poznałem tam matkę szanownego gospodarza, panią Józefę z Wodzińskich Kościelską, która, jako młodsza siostra Marji Wodzińskiej, owej Marji, co to się w niej kochali Słowacki i Chopin, nietylko pamięta doskonale te czasy, ale i opowiedzieć o nich potrafi wiele ciekawych rzeczy.

Na całą sielankę genewską pomiędzy rokiem 1834 a 1835-ym, w której bohaterami byli Słowacki i jej starsza siostra, ona patrzyła własnemi oczyma, a kiedy następnie we wrześniu roku 1835-go, już po opuszczeniu Genewy, spotkano się w Dreźnie z Chopinem, była znów naocznym świadkiem sielanki pomiędzy Marynią a słynnym już podówczas w świecie całym «panem Fryckiem», sielanki, która w roku 1836-ym zakończyła się omal że nie narzeczeństwem, a w roku 1837-ym miała dla Chopina przybrać obrót tak smutny...

O tych to czasach rozmawialiśmy jednego wieczora przez całą godzinę, a że pani Kościelska, choć staruszka 70-kilkoletnia, wcale się pod brzemieniem tego ósmego krzyżyka nie ugina, lecz w zupełności zachowała całą świeżość i świetność niepowszedniego i bardzo kulturalnego umysłu, więc gdy mi opowiadała o Słowackim i Chopinie, jako o ludziach, z którymi tak niegdyś rozmawiała, jak ze mną w tej chwili, czułem się wyobraźnią przeniesiony w owe odległe lata, kiedy to Słowacki, pod wpływem uczucia dla Marji, napisał swój poemat *W Szwajcarji* a Chopin skomponował *pour M-elle Marie* swego melancholijnego walca *F-moll.*

— Przez cały czas naszego wspólnego pobytu w Dreznie — mówiła między innemi moja dostojna narratorka —

Chopin prawie nie wychodził od nas z domu. Grywał godzinami całemi, ale grywał tylko dla nas, w najściślejszem kółku rodzinnem. Zresztą nie chciał się dać słyszeć nikomu.

Następnie mówiliśmy jeszcze o Chopinie, jako człowieku.

— Było to — mówiła pani Kościelska — uosobienie wdzięku, delikatności, wytworności. Gdy się chciał komuś podobać, nikt urokowi jego się nie oparł. W zwykłych warunkach wesoły, dowcipny, trzpiot, dopiero przy fortepianie stawał się poważnym. Gdyśmy byli w Dreźnie, grywał tylko u nas, i to najczęściej, gdyśmy byli w kółku rodzinnem. Wtedy grał, o cośmy go prosili, lub godzinami całemi improwizował.

— Czy rzeczywiście gra jego była tak piękną?

— Była to czysta poezja, i to poezja, wobec której gra każdego innego fortepianisty, nie wyłączając najznakomitszych, wydawała się czemś trywjalnem...

— A kiedy się słyszało grę którego z uczniów lub uczennic Chopina, np. księżnę Marcelinę, czy mogła ona dać pojęcie o grze samego Chopina?

— Stanowczo nie. Ilukolwiek fortepianistów słyszałem, a zdaje mi się, że słyszałam wszystkich najsłynniejszych, żaden, gdy grał Chopina, nie przypominał jego rodzaju gry... Jeden tylko Paderewski gra utwory Chopina tak, jak je grał on sam.

Zbiory Słowa I.F.C.
INSTYTUT FRYDERYKA CHOPINA WARSZAWA BIBLIOTEKA

SPIS RZECZY

	Str.
Hrabina Idalja	1
Preludjum	34
Korespondencja Chopina z panią Sand	51
Jak się naprawdę odbyło ostatnie spotkanie Chopina z panią Sand	57
W obronie pani Sand	61
Z życia Chopina	76
Nieznane listy Chopina do Solange Clesinger i Marji de Rozières	83
Z pobytu Chopina w Szkocji	106
Arcybiskup Feliński o Słowackim	114
Ostatnia miłość Juljusza Słowackiego	119
List otwarty Dr Piotra Maszyńskiego	129
Pamiątki po Chopinie	133
Tom trzeci listów Słowackiego	141
Dzieło Niecksa o Chopinie	159
Słowacki i Matejko	195
Antoni Małecki o Słowackim i jego biografach	210
W setną rocznicę urodzin Chopina	214
«Kurjer Warszawski» w życiu Fryderyka Chopina	224
Chopin po amerykańsku	234

ANNEKSY

Wiersze Chopina	245
Pogawędka o Chopinie	247
Słowacki i Warszawa	256
Chopin w dzienniku Brzowskiego	264
Z rozmów o Chopinie	285
Pani Kościelska o Chopinie	294

U siostrzeńca CHOPINA (Antoniego Jędrzejewicza) 249

FERDYNAND
HOESICK

SŁOWACKI I CHOPIN

TRZASKA,
EVERT
I MICHALSKI
S. A.

TEGOŻ AUTORA:

ZE STUDJÓW NAD KOCHANOWSKIM. Kraków 1909. Nakładem Akademji Umiejętno
JAN KOCHANOWSKI. Życie i dzieła. Wydanie drugie. Kraków 1922.
ŻYCIE JULJUSZA SŁOWACKIEGO. Biografja psychologiczna. 3 tomy. Kraków 1
(wyczerpane).
SIŁA FATALNA POEZJI SŁOWACKIEGO. Przyczynki do dziejów sławy pośmiertnej poe
Kraków 1925.
O SŁOWACKIM I KRASIŃSKIM. Studja historyczno-literackie. Kraków 1894 (wyczerpan
ANHELLI I TRZY POEMATY. Przyczynki do dziejów twórczości J. Słowackiego. Kraków 18
Nakładem Akademji Umiejętności (wyczerpane).
FRYDERYK CHOPIN. Zarys biograficzny. Petersburg 1899 (wyczerpane).
CHOPIN. Życie i twórczość. 2 tomy. Wydanie drugie. Warszawa 1926.
CHOPINIANA. Tom I. Korespondencja poety. Warszawa 1912.
Z PAPIERÓW PO ELSNERZE. Z dziejów muzyki w Polsce. Warszawa 1900 (wyczerpan
MIŁOŚĆ W ŻYCIU ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO. Kraków 1909. Wydanie dru
(wyczerpane).
JULJANA KLACZKI PISMA POLSKIE. Warszawa 1902 (wyczerpane).
JULJANA KLACZKI ZAPOMNIANE PISMA POLSKIE. Kraków 1912.
JULJANA KLACZKI LISTY WŁOSKIE. Margrabia Aleksander Wielopolski, Książę Ada
Czartoryski. Kraków 1908 (wyczerpane).
JULJAN KLACZKO. Rys życia i prac. Kraków 1910 (wyczerpane).
STANISŁAW TARNOWSKI. Rys życia i prac. 2 tomy. Kraków 1916.
SIENKIEWICZ JAKO FELJETONISTA. Zapomniane kartki z teki Litwosa. Warszawa 19
(wyczerpane).
SIENKIEWICZ I WYSPIAŃSKI. Przyczynki i szkice. Warszawa 1918 (wyczerpane).
WARSZAWA. Luźne kartki z przeszłości Syreniego grodu. Poznań 1922.
ZE WSPOMNIEŃ O CENZURZE ROSYJSKIEJ W WARSZAWIE. Warszawa 1929.
TATRY I ZAKOPANE. Przeszłość i teraźniejszość. 2 tomy. Poznań.
LEGENDOWE POSTACIE ZAKOPIAŃSKIE (Ksiądz Stolarczyk, Chałubiński, Sabała
Warszawa 1921.
TATRY I ZAKOPANE. Przeszłość i teraźniejszość. Tom IV.
PARYŻ. Wydanie drugie. Warszawa 1923.
SZKICE I OPOWIADANIA historyczno-literackie. Warszawa 1900 (wyczerpane).
WĘDROWIEC. Wrażenia z podróży. Warszawa 1925.
MIŁOŚĆ I MIŁOSTKI W ŻYCIU SŁAWNYCH LUDZI. Wydanie drugie. Warszawa 192
WENUS I AMOR w feljetonach literackich. Warszawa 1928.
SAMOTNOŚĆ. Krajobrazy i opowiadania. Kraków 1894 (wyczerpane).
DOLE I NIEDOLE MIŁOSNE. Nowele. Kraków 1920.
NEMEZIS. Romans. Wydanie drugie. Warszawa 1926 (wyczerpane).
GOETHE I „NAJPIĘKNIEJSZE DNI" W JEGO ŻYCIU 1814—1832. Studjum biograficzne
Warszawa 1931.

W DRUKU:

KSIĄŻKI I LUDZIE. Feljetony literackie.
WARSZAWA I KRAKÓW. Korespondencje ze stolicy i do stolicy.
RZECZY WŁOSKIE I RZYMSKIE. Wrażenia i szkice.

FERDYNAND HOESICK

SŁOWACKI I CHOPIN

Z ZAGADNIEŃ TWÓRCZOŚCI

PISM ZBIOROWYCH
TOM PIERWSZY I DRUGI

TRZASKA, EVERT I MICHAŁ
WARSZAWA, KRAKOWSKIE PRZED
GMACH HOTELU EUROPEJSKIE

